ORGAN MEDIALNY POROZUMIENIA POKOLEŃ KRESOWYCH

Wydanie specjalne

KSI odznaczony Medalem Pro Patria
Legitymacja nr. 710 / 12

KRESOWY Serwis Informacyjny

PAMIĘTAĆ O KRESACH, O MAŁEJ OJCZYŹNIE PRZODKÓW,
TO NIE TYLKO OBOWIĄZEK, ALE ZASZCZYT

Nr. 07/2018 (/86), e-miesięcznik
1 lipca 2018

NIEZBĘDNIK KRESOWY 2018
ISSN 2083-9448

75 rocznica „Rzezi Wołyńskiej" na tle 100 rocznicy odzyskania „Niepodległości"

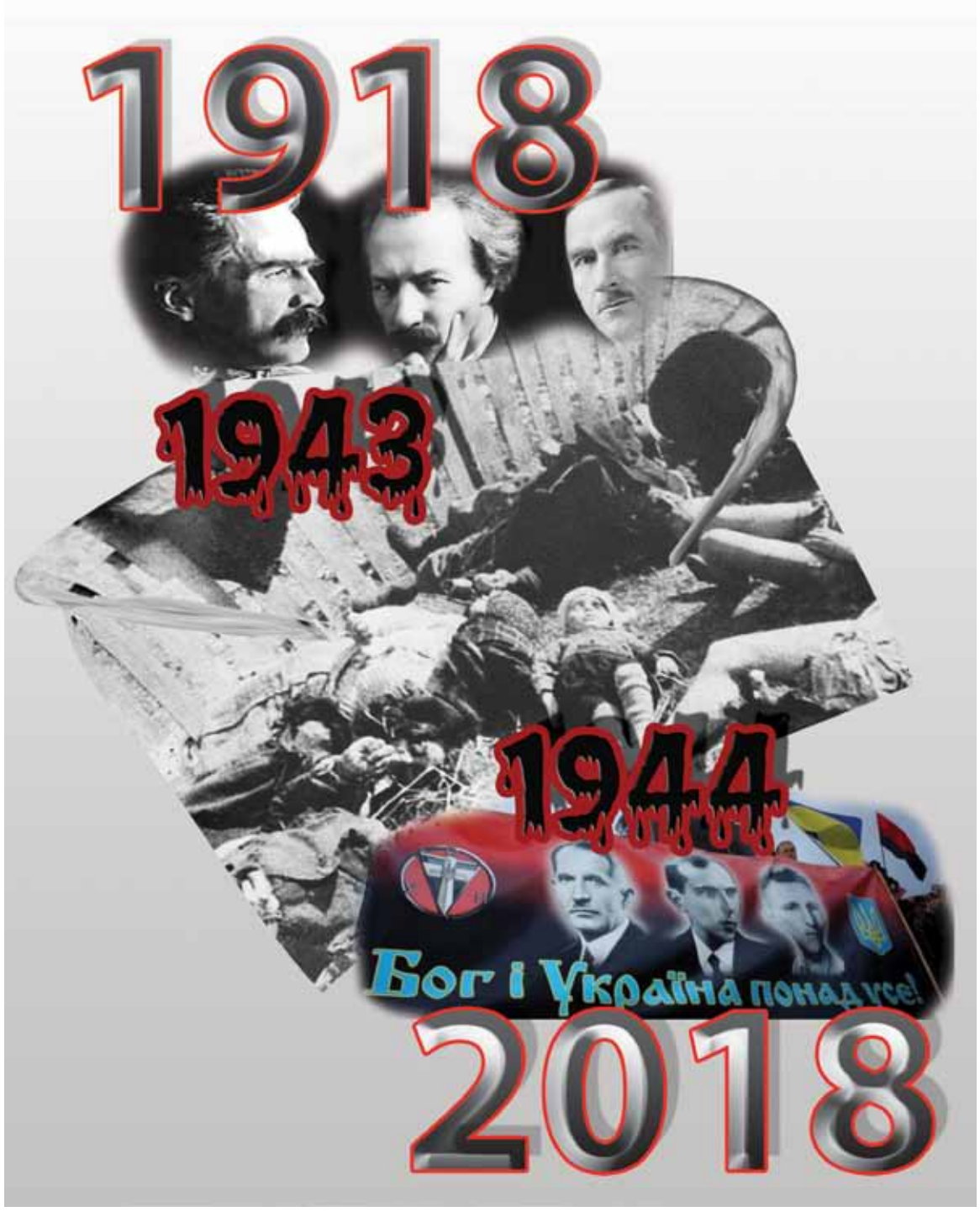

Po 123 latach niewoli Polacy w końcówce I wojny światowej wreszcie mieli szansę na odzyskanie nie tylko niepodległości ale i ojczyzny w granicach sprzed zaborów.
Niestety na przeszkodzie do osiągnięcia tego celu stali nie tylko niedawni zaborcy, ale i część dawnych obywateli I Rzeczypospolitej, Ukraińcy. To dlatego 11 listopada 1918 r. jako data odzyskania niepodległość nie może być przypisana do całych terenów II RP.
1 listopada 1918 r. niespodziewanie ukraińskie oddziały wojskowe (Strzelcy Siczowi), wsparte przez bojówki ukraińskie przejęły znaczną część ważnych urzędów we Lwowie .
W ciągu kilku dni oddziały ukraińskie opanowały miasto. - Strona ukraińska traktowała Lwów jako punkt wyjścia do zajęcia całej zachodniej Galicji, a w szerszym planie miał to być początek niepodległego bytu ukraińskiego, proklamowanego zresztą w połowie października pod nazwą **Zachodnio-ukraińska Republika Ludowa**.
Na prosty rozum **to była zwykła rebelia** a podszyta zawiścią i chęcią zaboru mienia. Tylko państwo przeciw państwu może wypowiedzieć, czy wszcząć bez uprzedzenia wojnę, a tu nie było państwa zwanego Ukrainą, jedynie samozwańcza republika, dziś nazwali byśmy ich separatystami. ..... ***Dokończenie na stronie 17***

Obchody 75. rocznicy ludobójstwa.
Informacje o obchodach 75 rocznicy ludobójstwa.
.....strona od 2 do 9

Duchy Kresów Wschodnich
Nie tak dawno, bo w maju 2018 r., na rynku księgarskim pojawiła się nietypowa pozycja książkowa zatytułowana jak wyżej, autorstwa: A. Łukawskiej.....strona 15

Żołnierz Niepodległości - pułkownik „Lis- Kula"
Poszedł na wojnę mając zaledwie 17 lat. Zginął jako 22 -letni major Wojska Polskiego odznaczony orderem Virtuti Militari, awansowany pośmiertnie .....strona 18

Bez prawdy nie ma pojednania
W dniu 25 czerwca 2018 roku odbyła się w PAU w Krakowie konferencja naukowa w ramach obchodów 75 rocznicy ludobójstwa na na Kresach Południowo - Wschodnich II RP. Rocznicowe obchody strona 20

Z cyklu zapomniana historia „Czerwieńska Golgota"
Marsz śmierci, czyli piesza ewakuacja więźniów z Mińska do Czerwienia połączona z ich masowym i indywidualnym mordowaniem w dniach 24-27.06.1941. Czerwień, a do 18.09.1923 Ihumeń. Z dawnego .....strona 23

75. rocznica ludobójstwa lipiec1943r
1 lipca 1943 roku:
We wsi Bucharów pow. Zdołbunów Ukraińcy zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: .....strona 26

Jan Bednarek ps. „Kowiński" -żołnierz 27 WDP AK
Wiesław Bednarek Jan Bednarek urodził się w Nowej Dąbrowie w roku 1915 jako syn Piotra i Weroniki zd. Leśniewska. Początkowo przebywał w Radowiczach, gdzie zawarł związek .....strona 57

"Wszystko będzie nasze", powiedziała Ukrainka... „Musicie zginąć, nie ma tu dla was miejsca"
Zarówno przekaz rodzinny jak i wspomnienia wielu byłych mieszkańców Wołynia, którzy uratowali się z „ Rzezi Wołyńskiej" wyraźnie mówią o akcji agitacyjnej jaką OUN .....strona 58

11 lipca 1919 r." wpisany w walkę o „Niepodległość"
Od listopada 1918 na południowym wschodzie trwała wojna polsko-ukraińska o Galicję wschodnią. Tereny województwatarnopolskiego były widownią walk w 1918 r. ..strona 68

Moje Kresy Genowefa Pniewska-Puszczewicz. cz.3
„Dubno było miastem rzemieślniczym. Mieszkała w nim spora ilość złotników, ludwisarzy, zegarmistrzów, krawców, stolarzy, zdunów, kamieniarzy, murarzy, piekarzy, kuśnierzy, kowali, rzeźników, garbarzy,.....strona 70

Życie artystyczne Lwowa w latach międzywojennych.
Lwów fredrowski, dziewiętnastowieczny, nie był miastem wielkim. „Mimo prześlicznego [...] położenia u stóp .....strona 73

LIPIEC 1943 to miesiąc szczególny ze względu na apogeum zbrodni dokonanych przez OUN-UPA dlatego bieżące wydanie Kresowego Serwisu jest wyjątkowo obszerne. Upublicznione kalendarium zbrodni opracowane przez red. Stanisława Żurka nie mogło być skrócone ze względu na wyznawaną przez zespół redakcyjny zasadę, że:

„Historii nie wolno i nie da się skrócić!!!".

PAMIĘTAĆ O KRESACH, O MAŁEJ OJCZYŹNIE PRZODKÓW,
TO NIE TYLKO ZASZCZYT ALE OBOWIĄZEK!!!

LUBLIN: UROCZYSTOŚĆ ODSŁONIĘCIA POMNIKA

Zdzisław Koguciuk

UROCZYSTOŚĆ ODSŁONIĘCIA POMNIKA Ofiar Wołynia w 75 rocznicę apogeum ludobójstwa Polaków dokonanego przez UPA-OUN

Prawda o tym ludobójstwie była skrywana i zakłamywana przez ponad 70 lat.
Przychodząc dajesz świadectwo prawdzie o historii naszej Ojczyzny.
Przewodniczący Obywatelskiej Inicjatywy Uchwałodawczej
Rady Miasta Lublin w sprawie wzniesienia pomnika „Ofiar Wołynia"
Zdzisław Koguciuk
e-mail: zdzislawko@poczta.onet.pl, tel. 698 96 78 84

UROCZYSTOŚĆ ODSŁONIĘCIA POMNIKA
Ofiar Wołynia
w 75 rocznicę apogeum ludobójstwa Polaków dokonanego przez UPA-OUN
11 lipca 2018 r.

Kościół Garnizonowy NMP w Lublinie ul. Aleje Racławickie 20 o godzinie 12.00 Msza Święta w intencji Pomordowanych Polaków po której przejdziemy w MARSZU PAMIĘCI na Skwer Ofiar Wołynia gdzie nastąpi:
ceremoniał wojskowy odegranie hymnu polskiego,
modlitwa wołyńska,
hymn wołyński charakterystyka pomnika,
odsłonięcie i poświęcenie pomnika,
apel pamięci i salwa honorowa
wystąpienia okolicznościowe złożenie wieńców, kwiatów i zapalenie zniczy
program słowno-muzyczny p.t.
„Nie o zemstę lecz o pamięć wołają ofiary"
Prawda o tym ludobójstwie była skrywana i zakłamywana przez ponad 70 lat. Przychodząc dajesz świadectwo prawdzie o historii naszej Ojczyzny.

Przewodniczący Obywatelskiej Inicjatywy Uchwałodawczej Rady Miasta Lublin w sprawie wzniesienia pomnika „Ofiar Wołynia"
Zdzisław Koguciuk e-mail: zdzislawko@poczta.onet.pl, tel. 698 96 78 84

15 czerwca, 84. zapomniana rocznica

Andrzej Łukawski

Przed wejściem do Klubu Towarzyskiego mieszczącego się w Warszawie przy ulicy Foksal, 15 czerwca 1934 r. członek Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów dokonał w Warszawie zamachu na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego. Zamachowiec oddał trzy celne strzały w tył głowy ministra. Minister Pieracki wyniku odniesionych ran zmarł tego samego dnia. Sprawcą zabójstwa był Grzegorz Maciejko ps. Gont, który w tym Mykoła Łebied, Bandera i Szuchewicz.

Trzej oskarżeni otrzymali wyroki śmierci, zamienione na mocy amnestii na kary dożywotniego więzienia. Dwaj inni skazani zostali na dożywocie. Pozostałym wymierzono kary od 15 do 7 lat pozbawienia wolności.

W celu przywrócenia przestrzeni publicznej tej zapomnianej rocznicy, potomkowie Kresowian złożyli w miejscu mordu polne kwiaty a o godz. 17:15, w godzinie zgonu, zapalili biało czerwone znicze.

Link do video na: https://www.youtube.com/watch?v=QpyzL0PSgjI&feature=share

Zaproszenie na pielgrzymki

Stanisław Szarzyński

STOWARZYSZENIE
PAMIĘCI POLSKICH TERMOPIL I KRESÓW
im. ks. BRONISŁAWA MIRECKIEGO
37-700 PRZEMYŚL
ul. FR. DOLIŃSKIEGO 6/20 tel. 608-611-549, e-mail: spptik.przemysl@gmail.com
KONTO: PBS O/PRZEMYŚL Nr 82 8642 1155 2015 1509 6119 0001
NIP 795 25 29 125 REGON 181110099

Stowarzyszenie Pamięci Polskich Termopil i Kresów
i Klub Inteligencji Katolickiej w Przemyślu
zapraszają członków i sympatyków do udziału w organizowanych pielgrzymkach

==========

Lwów –Zadwórze –Żółkiew– sobota, niedziela - 18 i 19 sierpnia 2018r./ Apel Poległych na cmentarzu Obrońców Lwowa, Msza Św. polowa przy pomniku w Zadwórzu –„Polskie Termopile"- 98 rocznica Bitwy„ Orląt Lwowskich" z bolszewicką konnicą Siemiona Budionnego, /nocleg w Żółkwi/
„ VI Zadwórzański Rajd Rowerowy" na trasie Przemyśl -Lwów –Zadwórze –Lwów - Przemyśl

==========

Zakopane -piątek – niedziela, 31.08 - 02.09. 2018r. - zwiedzanie z przewodnikiem , w drodze do Zakopanego ; Żarnowiec – Muzeum Marii Konopnickiej , Ludźmierz – Sanktuarium M.B. Królowej Podhala, w drodze powrotnej – Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach
Częstochowa –niedziela -1lipca 2018r.- XXIV Światowy Zjazd i Pielgrzymka Kresowian na Jasną Górę

==========

Warszawa - niedziela- 08 lipca 2018r. Marsz Pamięci Ofiar Wołynia- 75 rocznica ludobójstwa Polaków

==========

Przemyśl – „Rondo Wołynia" -11 lipca, godz.12.00 Modlitwa w intencji Ofiar Wołynia, Rowerowy Rajd Pamięci Ofiar ludobójstwa Polaków na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej.

==========

Rzeszów –29 lipca 2018r.- Filharmonia im. Artura Malawskiego – Oratorium „Kres Kresów" w wykonaniu muzyków Filharmonii Podkarpackiej pod batutą kompozytora Krzesimira Dębskiego.

==========

Informacja i zapisy w siedzibie SPPTiK i KIK w Przemyślu, Klasztor Sióstr Benedyktynek (wejście od ul. Krasińskiego -dawny sklepik) w poniedziałek, środę w godz. 16:00 do 17:00
tel. kom. 608-611-549

Polegli pod Korcem w 1920 r.

Edmund Goś

/ Msza

/ W trakcie mszy polowej ks.Waldemar Szlachta, ks. Tomasz Czopor, ks. Stanisław Lityński

/ Odsłonięcia dokonują Marek Zapor i Tadeusz Gałka

Od sześciu lat sycowska młodzież licealna corocznie pracuje w Korcu na Wołyniu porządkując teren 1,5 ha przedwojennego polskiego cmentarza. W tym roku również młodzież z LO Syców będzie w Korcu w dniach 3-12 lipca z opiekunami: Przemysławem Strzelcem i Markiem Malinowskim. Muszę jednak wspomnieć, że przez pierwsze pięć lat to ja sprawowałem opiekę nad naszą młodzieżą. W trakcie prac przy mogile zbiorowej z 1920r. młodzież pytała dlaczego znajduje się tam tylko napis: „32 poległo za Ojczyznę”? Dlaczego brak nazwisk?

Postanowiłem odszukać nazwiska poległych pod Korcem w 1920 roku przeglądając książkę „Lista strat Wojska Polskiego”. Wśród 47 tyś nazwisk poległych odnalazłem 45 poległych pod Korcem. Wiosną 2016 roku ukazał się artykuł Grzegorza Kłosa opisujący dzieje podpułkownika Artura Buola (barona, obywatela szwajcarskiego, Węgra z urodzenia) ochotnika walczącego w polskim wojsku w wojnie polsko-sowieckiej. Ciężko ranny przebywał w szpitalu polowym 4010 w Korcu i tam zmarł 5 listopada 1920r. Aby być pewnym że odszukałem wszystkich poległych musiałem przeszukać listę jeszcze raz, szukając zmarłych z ran w szpitalu polowym 4010. Znalazłem takowych 3 następnych. I tak powstała lista 48 żołnierzy z których w mogile zbiorowej jest pochowanych 32 żołnierzy. Ciężko było namówić kogoś na zasponsorowanie i wykonanie tablicy z nazwiskami poległych. Kilka miesięcy temu skontaktował się ze mną funkcjonariusz Bieszczackiego Oddziału Straży Granicznej Ryszard Maciołek informując, że w porozumieniu z Parafią w Korcu, przygotowują tablicę z nazwiskami poległych, którą planują umieścić na cmentarzu w Korcu w czerwcu 2018r. i serdecznie na tą uroczystość mnie - autora listy – zapraszają.

W maju otrzymałem od proboszcza Parafii pw. Świętego Antoniego w Korcu ks. Waldemara Szlachty zaproszenie na uroczystości w dniach 13-14 czerwca br.

Uzgodniłem, że dojadę do Przemyśla, aby tam już jako członek 6-cio osobowej delegacji polskiej pojechać do Korca. Wieźliśmy ze sobą granitową tablicę z wygrawerowanymi nazwiskami 48 poległych oraz opakowany ogromny obraz (2m x 1,5m). Gdyby nie to że wśród nas byli m.in. funkcjonariusze Straży Granicznej myślę że taki transport pewnikiem granicy polsko-ukraińskiej by nigdy nie przekroczył. W dniu 12 czerwca wieczorem dotarliśmy do Korca na uroczystości odpustowe dzięki niezawodnemu kierowcy Romanowi Pavlesa z Mościsk. W tym dniu odbyła się instalacja przez nas przywiezionego obrazu Świętego Antoniego Padewskiego w ołtarzu głównym tutejszego kościoła. Obrazu, który jest wierną kopią oryginału znajdującego się od 1945r. w Wałczu przywiezionego tam przez byłych mieszkańców Korca. Autorem kopii jest malarka Danuta Kruk (członek naszej delegacji). Dostąpiłem zaszczytu wraz z ks. Waldemarem, umieszczenia obrazu w centralnym miejscu ołtarza – bo podobno nie mam lęku wysokości.

Uroczystości odpustowe rozpoczęły się w środę o 11.00. Kaznodzieją i głównym celebrantem był ks. Adam Bogusz palotyn, proboszcz z Rokitna. W liturgii uczestniczyli m.in. ks. Prałat Antoni Chodakowski, ks. Kanonik Kazimierz Łukaniuk (kapelan środowisk kresowych z woj. Zachodniopomorskiego) ; w sumie

11 kapłanów oraz duchowny Cerkwi Zmartwychwstania Pańskiego Ivan Macykanycz. Poświęcenia obrazu Świętego Antoniego dokonał ks. Prałat Antoni Chodakowski (był ochrzczony w Międzyrzeczu Koreckim) w towarzystwie autorki obrazu Danuty Kruk.

W uroczystościach uczestniczyły władze starostwa i miasta Korca.

Następnego dnia – 14 czerwca – miało miejsce wmurowanie granitowej tablicy pamiątkowej z nazwiskami 48 legionistów polskich poległych w 1920 roku

/ Autorka obrazu z członkami delegacji i ks. Waldemarem

i pochowanych m.in. w mogile zbiorowej na cmentarzu w Korcu. Głównym celebrantem mszy polowej był ks. Tomasz Czopor wikary Parafii Równe w towarzystwie ks. Waldemara Szlachty proboszcza Parafii Korzec oraz dominikanina Stanisława Lityńskiego wikarego. Uroczystego odsłonięcia dokonali pan Marek Zapór z Konsulatu Generalnego RP w Łucku oraz Tadeusz Gałka mjr WP w stanie spoczynku. Tablicę ufundował NSZZ Funkcjonariuszy Straży Granicznej przy Bieszczadzkim Oddziale Straży Granicznej w Przemyślu z okazji obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości.

I tak po wielu latach bezimienni bohaterowie wojny polsko-sowieckiej odzyskali swe nazwiska umieszczone na trwałe przy mogile zbiorowej „32 poległych za Ojczyznę”.

Mózgiem a zarazem głównym organizatorem wyprawy był Ryszard Maciołek – Prezes POAK pw. Św. Apostoła Przemyśl, Przekopna i członkowie: Regina Tomczak – POAK Przemyśl, Przekopna, Anna Potocka – POAK Karmel, Przemyśl, Tadeusz Gałka – POAK Karmel, Przemyśl, Danuta Kruk – malarka, Przemyśl oraz Edmund Goś – Syców.

W Lublinie rozpoczęto obchody 75 rocznicy Ludobójstwa na narodzie polskim

Redakcja

W dniach **22 i 23 czerwca br.** w Lublinie odbył się**, Kongres Środowisk Kresowych „Tożsamość- Pamięć- Przyszłość" oraz konferencja naukowa „Wołyń 1943: Walka o pamięć – walka o Polskę".** Głównym organizatorem tego wydarzenia był Instytut Pamięci Kresowej. Ideą przyświecającą organizatorom było zintegrowanie środowisk kresowych i nie tylko kresowych, bo to ważny element naszej narodowej historii, oraz uczczenie pamięci pomordowanych Polaków w planowanym ludobójstwie, dokonanym przez OUN-UPA w **75 rocznicę apogeum tej zbrodni.** Jak dowiedzieliśmy się od organizatorów**, patronat honorowy nad wydarzeniem objęli JE ks. abp Mieczysław Mokrzycki – Metropolita Lwowski Obrządku Łacińskiego, Sławomir Sosnowski – Marszałek Województwa Lubelskiego oraz Ryszard Czarnecki – Poseł do Parlamentu Europejskiego**. Niestety wydarzenie to nie znalazło uznania u premiera rządu polskiego p. Mateusza Morawieckiego ani marszałka senatu RP p. Stanisława Karczewskiego. W ostatniej chwili swój udział w tym wydarzeniu wycofał również IPN oraz Lubelski Urząd Wojewódzki, mimo, że te dwie instytucje miały być głównymi współorganizatorami Kongresu. Jak zauważył prof. Włodzimierz Osadczy: . Wzgardzeni i porzuceni przez władze, które z „racji na wcześniej podjęte obowiązki" olały spotkanie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, spotkanie udało się niezwykle skuteczne**.** ***Zwolennicy ruchu kresowego z Polski i innych krajów, gdzie mieszkają Polacy (też zza Wody)*** **(** Jak udało się ustalić: . byli goście z Francji, Ukrainy, Litwy, a nawet z Kanady- red) ***przez dwa dni obradowali w prestiżowym gmachu Centrum Spotkania Kultur w centrum Lublina. Na ironię losu w tym pomieszczeniu przez 10 lat mieściło się Kolegium Polsko-Ukraińskie*** . Mimo sprzeciwu obcych ambasad i służalczości władz polskojęzycznych idą nowe czasy. Poznać znaki nowych czasów. Nie da się powstrzymać ich przemożnego postępu. Co by nie mówić, krzepiąca ocena

Pierwszy dzień przeznaczony był na konferencję naukową; **„Wołyń 1943: Walka o pamięć – walka o Polskę".** Wśród prelegentów nie zabrakło autorytetów w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich. Swoje wystąpienia mieli między innymi. ks. bp Marian Buczek z Charkowa, ks. prof. Józef Marecki z Krakowa, o. Mariusz Bigiel z Warszawy, , prof. Andrzej Zapałowski z Przemyśla, dr Lucyna Kulińska z Krakowa, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski z Krakowa, dr Leon Popek z Lublina, ks. prof. Roman Dzwonkowski z Lublina, Marcin Skalski z Warszawy, dr Adam Kulczycki ze Strasburga, dr Renata Pomarańska z Rzeszowa a nawet Stanisław Srokowski. Warto zauważyć, że wystąpił również przedstawiciel młodego pokolenia Marcin Skalski, który w 100 rocznicę odzyskania niepodległości RP, przypomniał o zbrodniach popełnionych przez Ukraińców z ZURL na Polakach w latach 1918/1919. Wykazał tym samym, że „ludobójstwo na Polakach dokonane przez OUN-UPA w latach 1939-1947" nie miało związku ze sposobem traktowania Ukraińców w okresie międzywojennym, co próbują nam wmówić niektórzy historycy pro-banderowscy. Znalazło się również miejsce dla wystąpienia: przedstawiciela mniejszości łemkowskiej solidaryzującego się w walce o prawdę ze środowiskami kresowymi i znanej działaczki polskiej z Litwy Renaty Cytackiej.

Drugi dzień, odbywający się pod hasłem: „**Tożsamość- Pamięć- Przyszłość"** rozpoczął się Mszą Świętą w intencji zamordowanych na Kresach. Po skończonej liturgii zgromadzeni przeszli **w Marszu Pamięci upamiętniający 75 rocznicę zbrodni na narodzie polskim**. Na Placu Litewskim oddano hołd i zapalono znicze ku czci pomordowanych. W trakcie trwania obrad zaprezentowano kilka wydanych z tej okazji książek o tematyce kresowej. Warto zwrócić uwagę, że na zakończenie, Kongres przedyskutował projekt: **Apelu do władz państwowych**, w którym zawarta jest prośbę o poszanowanie pamięci i prawdy, a także podjęcie zdecydowanych kroków, mających doprowadzić do zgody na ekshumację ofiar ludobójstwa. Kongres w Lublinie można potraktować jako odradzanie się , a nawet powstawanie nowych idei narodowych**. Sprawa środowisk kresowych nie dotyczy jedynie wąskiej grupy osób, ale całego społeczeństwa polskiego, dlatego tak ważne jest wspólne działanie – trafnie podkreślił prof. Włodzimierz Osadczy**. W ramach podsumowania należy stwierdzić, że pomimo prób zmarginalizowania tego wydarzenia, czego przykładem jest odwołanie przedstawicieli TVP 1, mających relacjonować przebieg Kongresu, jasno widać potrzebę trwania w prawdzie historycznej w sprawie ludobójstwa dokonanego na narodzie polskim. Kongres stał się kolejnym sprawdzianem dla władz państwowych z ich reakcji na narodową historię. Jak informują organizatorzy, relacje z kongresu przeprowadziło: Radio Maryja. Telewizja TRWAM, Nasz Dziennik, inne uczciwe media. Redakcja KSI o ile uda się pozyskać prezentowane materiały będzie je sukcesywnie publikować.

Zdjęcia z kongresu -archiwum – prof. W. Osadczy

XXIV Światowy Zjazd i Pielgrzymka Kresowian Jasna Góra – 1 lipca 2018

Danuta Skalska

PROGRAM

9.30 –Kaplica NMP. Msza św. za wypędzonych, poległych i pomordowanych na Wschodzie.

Homilię wygłosi - ks**. Tadeusz Isakowicz – Zaleski**

10.30 – Marsz pokoleń kresowych. Ułożenie Krzyża Pamięci ofiar ludobójstwa OUN UPA pod figurą Matki Bożej (przed szczytem).

11.00 Apel poległych.

11.30 – Sala Papieska. Wejście pocztów sztandarowych. Powitanie Gości.

Światełko Pamięci – chwila wspomnień o ludziach Kresów.

Wystąpienie **Jana Skalskiego** - prezesa Światowego Kongresu Kresowian, przewodniczącego Europejskiej Unii Uchodźców i Wypędzonych.

Wystąpienia Honorowych Gości. Projekty uchwał Światowego Kongresu Kresowian.

Wręczenie nagród Światowego Kongresu Kresowian i Związku Wypędzonych z Kresów Wsch. II RP

W jubileuszowym roku 100 -lecia odzyskania przez Polskę niepodległości i i w przededniu obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez OUN UPA - XXIV Zjazd i Pielgrzymka Kresowian odbywać się będą pod hasłem:

Kresowianie w obronie godności Polski i polskiej racji stanu.

12.30 – 14.30 Otwarte Forum Kresowe z udziałem przedstawicieli Sejmu i Senatu RP, partii politycznych oraz delegatów organizacji kresowych z kraju i ze świata.

Tematyka: Muzeum Kresów. Tworzenie szerokiego frontu na rzecz zachowania narodowej pamięci o Kresach. Zweryfikowanie dotychczasowej polityki wschodniej. Edukacja patriotyczna młodych Polaków. Wypracowanie skutecznych sposobów działania, struktur i zasad współpracy mających na celu zobligowanie do współuczestnictwa w przywracaniu pamięci o Kresach ludzi młodych, a organów władzy państwowej do szerokiego i wszechstronnego wsparcia tych działań; walka z zakłamywaniem historii szczególnie dot. drugiej wojny światowej; troska o upamiętnienie miejsc kaźni naszych Rodaków na Kresach i należytego miejsca dla tych tematów w naszych mediach i programach szkolnych. Pomoc Polakom na Wschodzie.

14.30 – 15.00 Podjęcie uchwał Zjazdu.

15.00 Koncert Jasnogórski - „PIEŚŃ o WOLNOŚCI".

Udział biorą: **Grzegorz Podwójny, Zespół BRACIA z Bukowiny, Zespół ANTYRAMA .**

Informacje: Centrum Kresowe, 41-902 Bytom, ul. Moniuszki 13

Tel/fax:32-281-51-51; 507-169-825;

e-mail: kongreskresowian@vp.pl
Organizacje prosimy o przybycie ze sztandarami! Nie zapomnijmy o białych i czerwonych zniczach, z których ułożymy Krzyż Pamięci.

Do Członków Organizacji Kresowych, Przyjaciół i Sympatyków Kresów.

Szanowni Państwo,

W imieniu organizacji kresowych zrzeszonych w Światowym Kongresie Kresowian zapraszam Państwa do wzięcia udziału *w* **XXIV Światowym Zjeździe i Pielgrzymce Kresowian, 1 lipca 2018 roku na Jasnej Górze.**

Wobec wielu trudnych, wciąż spychanych na margines życia politycznego i społecznego,

bądź pomijanych milczeniem spraw dotykających szczególnie boleśnie Kresowian, w przededniu obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez OUN UPA - XXIV Zjazd i Pielgrzymkę Kresowian organizujemy pod hasłem:

Kresowianie w obronie godności Polski i polskiej racji stanu.

Informujemy, że w związku rocznicą 100 - lecia odzyskania Niepodległości tegoroczne Forum Kresowe ukierunkowane będzie na tematykę tworzenia szerokiego frontu na rzecz zachowania narodowej pamięci o Kresach i zweryfikowania dotychczasowej polityki wschodniej, wypracowanie skutecznych sposobów działania, struktur i zasad współpracy mających na celu zobligowanie do współuczestnictwa w przywracaniu pamięci o Kresach ludzi młodych, natomiast organów władzy państwowej do szerokiego i wszechstronnego wsparcia tych działań, głównie w zakresie walki z walki z zakłamywaniem historii, szczególnie dot. drugiej wojny światowej; troski o upamiętnienie miejsc kaźni naszych Rodaków na Kresach oraz należytej przestrzeni dla tych tematów w naszych mediach i programach szkolnych, a także pomocy Polakom na Wschodzie. powołania Muzeum Kresów oraz edukacji patriotycznej młodych Polaków.

Organizowane od wielu lat Jasnogórskie Zjazdy Kresowian gromadzą licznych uczestników z kraju i spoza jego granic; – Rodaków, których łączy dziedzictwo Kresów Wschodnich

Rzeczypospolitej, troska o jego zachowanie i przekazanie kolejnym pokoleniom Polaków.

Zapowiedzieli swój udział przedstawiciele Sejmu i Senatu, Stowarzyszenia Wspólnota Polska i
Pomoc Polakom na Wschodzie.

Kresowianie i ich potomkowie pragną także ocalić dla przyszłości pamiątki przeszłości, aby przypominały kolejnym pokoleniom o ich ojcowiźnie, pracy i walce dla Polski zarówno naszych przodków, jak i Polaków ciągle obecnych na Kresach Wschodnich. Będziemy konsekwentnie czynili również starania o właściwą rangę powołanego do życia Muzeum Kresów, w trosce o to by stało się równocześnie ośrodkiem dokumentacji i ośrodkiem badawczym.

Światowy Zjazd i Pielgrzymka Kresowian na Jasną Górę, które w tym roku odbywają się pod Honorowym Patronatem Wicemarszałka Woj. Śląskiego Stanisława Dąbrowy i Starosty Częstochowskiego Krzysztofa Smeli - to znaczące wydarzenie nie tylko dla Kresowian i ich potomków, ale dla wszystkich Polaków dbających o pamięć narodową; spotkanie, z którego czerpiemy motywację i siły do dalszego działania.

Liczymy na Państwa obecność!

Z wyrazami szacunku.

W imieniu Dyrektoriatu Światowego Kongresu Kresowian

/ Foto: TVP Katowice. Kadr z ubiegłorocznej pielgrzymki

Marsz Pamięci w Warszawie

Redakcja

W 75. rocznicę Krwawej Niedzieli na Wołyniu, 11 lipca 2018r. kwiatem lnu, symbolem pamięci połączymy lewo i prawobrzeżną Warszawę by razem uczcić pamięć ofiar ludobójstwa.

Plan obchodów w dniu 11 lipca 2018r.

16:00 - początek wydarzenia
16:30 - Msza Święta w Katedrze Praskiej
ok 18:00 - Marsz Pamięci ulicami Pragi i Śródmieścia który tradycyjnie zakończymy przed Tablicą Wołyńską umieszczoną na fasadzie Domu Polonii.

/ Pierwszy Marsz Pamięci z roku 2011

/ Marsz Pamięci z roku 2017

Kwiat lnu. Symbol pamięci o ludobójstwie na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich II RP

14 października ponowny pochówek generała Pierackiego. Pod honorowym patronatem Prezydenta RP

Redakcja

/ *Październik 1935. Stary Cmentarz. Na pierwszym planie mauzoleum Pierackiego. W głębi trumna z jego ciałem. Fot. Józef Gawłowski / Twój Sącz*

Jak podaje: http://twojsacz.pl/14-pazdziernika-ponowny-pochowek-generala-pierackiego/ **Ponowny, czwarty (!) w historii pochówek generała Bronisława Wilhelma Pierackiego w Nowym Sączu, ma być głównym wydarzeniem miejskich obchodów 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Patronat Narodowy nad uroczystościami objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda.**

/ Złożenia trumny ze zwłokami Bronisława Pierackiego do grobu na cmentarzu w Nowym Sączu. Fot. Józef Gawłowski / Twój Sącz

Takiego wydarzenia nie możemy pominąć, jest to uroczystość w celu, uhonorowania postaci i zasług gen. Bronisława Wilhelma Pierackiego, polskiego dowódcy i polityka, uczestnika walk o niepodległość Polski, obrońcy Lwowa, ministra II Rzeczypospolitej i Kawalera Orderu Orła Białego, zamordowanego przez terrorystów ukraińskich .

/ 1935. Ponowny pochówek Bronisława Pierackiego. Fot. Józef Gawłowski / Twój Sącz

Szczecińskie Obchody Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa Dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów w latach 1939-1947.

Jerzy Mużyło

Środowiska Kresowe Ziemi Szczecińskiej, pragną uczcić pamięć o synach i córkach, naszego narodu zamordowanych przez szowinistów spod znaku OUN/UPA.Za to tylko, że przynależeli do naszego narodu.

Dzień 11 lipca tego roku, miał być dniem odsłonięcia upamiętnienia ofiar tej zbrodni na szczecińskim Cmentarzu Centralnym. Niestety, nie udało się z wielu względów tego terminu dotrzymać. Wierzymy i gorąco ufamy, że zaplanowany pomnik zostanie wykonany jeszcze w tym roku . Zostanie zrealizowane przez to, porozumienie jakie zostało zawarte, między naszym Stowarzyszeniem, a Oddziałem – Szczecin Instytutu Pamięci Narodowej.

Z tego względu uroczystości 11 lipca odbędą się w innej formule. W dniu 11 lipca o godz.16.00 zapraszamy wszystkich chętnych, którym droga jest pamięć, tych tragicznych wydarzeń do wzięcia udziału uroczystości na szczecińskim Cmentarzu Centralnym(przy Krzyżu Wołyńskim, gdzie 27października ub.r został wmurowany kamień węgielny pod planowany pomnik).

Także 11 lipca zapraszamy do szczecińskiej katedry pw.św.Jakuba Apostoła na godz.18.00, gdzie zostanie odprawiona msza św.w intencji wszystkich ofiar, do dzisiaj spoczywających w różnych miejscach bez pochówku i krzyża.

Uroczystości , co warto zaznaczyć odbędą się także w innych miejscach na Ziemi Szczecińskiej.

Dnia 21lipca br.(sobota) o godz.12.00 sprawowana będzie Msza Św.w intencji mieszkańców Wyrki i okolic, oraz ich rodzin w Kościele Dominikanów-pl.Ofiar Katynia 1 w Szczecinie.

Wszelkie szczegóły z tym związane można zdobyć u Pani Małgorzaty Witko

e-mail:wyrka.historia@wp.pl, lub tel.517964505

O Niepodległą i jej granice na Wschodzie

Tomasz Kuba Kozłowski

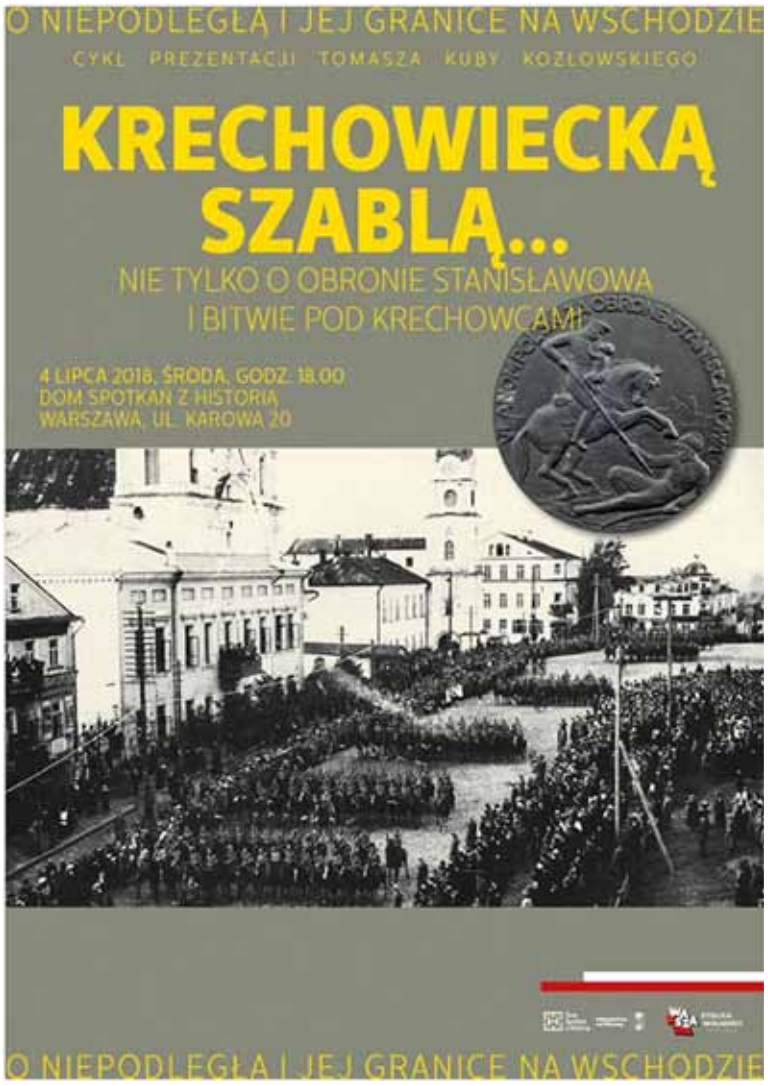

Szóste spotkanie z cyklu „O Niepodległą i jej granice na Wschodzie" Tomasz Kuba Kozłowski poświęci legendarnej formacji kawaleryjskiej jaką byli Ułani Krechowieccy. W programie spotkania opowieść o sformowaniu w 1917 roku 1 pułku kawalerii polskiej w ramach armii rosyjskiej, dramatycznych wydarzeniach z lata 1917 roku - obronie miasta i ludności Stanisławowa przed gwałtami ze strony zdemoralizowanych oddziałów rosyjskich oraz bitwie stoczonej z oddziałami niemieckimi i austriackimi pod Krechowcami a także sylwetka wyjątkowego dowódcy - pułkownika Bolesława Mościckiego. Całość ilustrowana będzie tradycyjnie oryginalną ikonografią z epoki. Zapraszamy do udziału i zachęcamy do udostępnienia informacji!

4 lipca 2018, środa, godz. 18.00
Dom Spotkań z Historią, Warszawa, ul. Karowa 20

XV Wojewódzkie Dni Kultury Kresowej w Kędzierzynie -Koźlu

Redakcja

2-3 czerwca już po raz 15. Kędzierzyn-Koźle był gospodarzem Wojewódzkich Dni Kultury Kresowej. Do miasta zjechali przedstawiciele różnych środowisk oraz organizacji, które pielęgnują pamięć o ziemiach utraconych przez Polskę po II Wojnie Światowej. 2. czerwca 2018 r. Uroczystość patriotyczna w Koźlu. Msza święta w intencji Polaków pomordowanych na Kresach II RP Kościół pw. Św. Zygmunta i św. Jadwigi Śląskiej. Marsz pamięci z udziałem Kompanii Wojska Polskiego Rynek Koźle. Apel Pamięci przed Tablicą Upamiętnienia PG nr 1 im. Orląt Lwowskich - Koźle. DK

„Koźle", ul. Skarbowa 10-Konferencja historyczna. Z kolei w niedzielę (3.06) o godz. 14:30 w hali sportowej „Śródmieście" odbyła się część artystyczna.

Źródło: https://naszkedzierzyn.pl/20180522571 92/mdk-kedzierzyn-kozle-xv-wojewodzkie-dni-kultury-kresowej1526995385

„Rondo Kresowian” w Dębnie na Pomorzu Zachodnim

Redakcja

Jak udało się nam ustalić **w niedzielę 17 czerwca odbyła się uroczystość oficjalnego nadania nazwy nowemu rondu w Dębnie.** Od kilku miesięcy skrzyżowanie ulic Piasta, Wojska Polskiego i I Armii łączy nowo wybudowane rondo. Teraz nosi ono nazwę Ronda Kresowian. Uroczystość poprowadził Adam Kaczmarczyk - wiceprzewodniczący Rady Miejskiej. Paweł Chrobak odczytał uchwałę dotyczącą nadania imienia Ronda Kresowian. Przecięcia wstęgi dokonali: Piotr Downar – burmistrz Dębna wraz z reprezentantami każdego województwa z byłych Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej . Otwarcie uświetniła kapela „Dębniacy” wraz z zespołem wokalno - instrumentalnym z Centrum Kultury Polskiej ze Stanisławowa (obecnie Iwano-Frankiswk na Ukrainie). Ks. proboszcz Henryk Łącki dokonał poświęcenia nowo powstałego ronda. Na zakończenie wysłuchano pieśni Grzegorza Podwójnego „Mój Kresowy Dom”.

W uroczystym otwarciu nowopowstałego ronda „ Rondo Kresowian „ w Dębnie , wzięli udział dawni mieszkańcy drugiej Rzeczypospolitej . Pierwszy od lewej :p. Zdzisław Pyro : województwo Wileńskie . 2. p. Feliks Cholewiński woj. Nowogródzkie.3. p. Janina Bieniasiewicz . woj. Lwowskie.4.p Antoni Dąbrowski woj. Stanislawowskie.5. p. Edward Babczyszyn. woj. Tarnopolskie.6.p. Apolonia Gerlak woj Wolynskie

Jak informuje Antoni Dąbrowski ze Stowarzyszenia „Kresy Wschodnie- Dziedzictwo i Pamięć” oddział w Dębnie” 15 lipca (niedziela) o godz. 11 odbędzie się w kościele pw. świętego Piotra i Pawła, msza za ofiary ludobójstwa OUN-UPA i przemarsz na „Promenadę Pamięci” pod „Głaz Pamięci” upamiętniający pomordowanych na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej, celem uczczenia 75 rocznicy Ludobójstwa na Narodzie Polskim.

Odsłonięcie Krzyża Pamięci o Wołyniu w Zamościu

Redakcja

Jak pisze Leszek Wójtowicz w „Kronice Tygodnia” 10 czerwca br.w Zamościu na cmentarzu parafialnym przy ul. Peowiaków, dzięki staraniom Zarządu Stowarzyszenia Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu, odbyła się uroczystość odsłonięcia „Krzyża Pamięci”.

Pomnik poświęcił ks. Robert Strus, proboszcz zamojskiej parafii katedralnej. Uroczystości odbywały się z udziałem nie tylko członków stowarzyszenia ale obecni byli również parlamentarzyści, lokalne władze samorządowe, przedstawiciele IPN i lokalna społeczność. Wszystko odbyło się zgodnie z ceremoniałem wojskowym, apelem pamięci i salwą honorową. Msza święta w intencji ofiar nacjonalistów ukraińskich odbyła się w południe w kościele wojskowym. Przewodniczył jej ks. Jan Buras, proboszcz parafii pw. Świętej Trójcy w Lubomlu, zaś homilię wygłosił ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. – Poświęcony i odsłonięty dziś krzyż stanął dzięki wysiłkowi wielu osób, które od wielu lat upominają się w Zamościu o prawdę – powiedział duchowny. – Ze smutkiem trzeba stwierdzić, że III RP nie potrafi należycie upamiętnić ofiar ukraińskiego ludobójstwa. Ponad 80 proc. zamordowanych rodaków wciąż nie ma swoich grobów, nie prowadzi się ekshumacji ani badań.

Zdjęcia Leszek Wójtowicz za: http://www.kronikatygodnia.pl/wiadomosci/10647,zamosc-krzyz-pamieci-o-wolyniu-odsloniety-zdjecia

Kartka z kalendarza- 28 a 30 lipca 1941r. Mord na inteligencji krzemienieckiej.

Redakcja

.2 lipca 1941 r. Krzemieniec został zajęty przez wojska niemieckie. W tym samym miesiącu do miasta przybyła Einsatzgruppe C, która 28 lipca 1941 r. na podstawie listy sporządzonej przez nacjonalistów ukraińskich (wśród których największą aktywnością wykazywał się Iwan Miszczena), aresztowała najbardziej znaczących przedstawicieli polskiej inteligencji, wśród nich wielu nauczycieli Liceum Krzemienieckiego. Aresztowanych uwięziono w Domu Społecznym, gdzie byli torturowani przez Sonderkommando i milicję ukraińską.

Pomiędzy 28 a 30 lipca 1941 r. Polaków wyprowadzono pod Górę Krzyżową i rozstrzelano. Zabito około 30 osób. Zwłoki zakopywała grupa przypędzonych Żydów.

To samo komando SS na podstawie list proskrypcyjnych sporządzonych przez ukraińskich nacjonalistów wymordowało profesorów lwowskich i nauczycieli ze Stanisławowa. Poniżej główny zbrodniarz odpowiedzialny za ten mord.

„Intelligenzaktion” – akcja wyniszczenia polskiej inteligencji – rozpoczęła się w 1939 r. na obszarach Polski zajętych przez wojska niemieckie, a po roku 1941 objęła jej dalsze tereny, które wcześniej zostały włączone do ZSRR. Jest, podobnie jak Holocaust, hańbą dla Europy. Dziś Europa jest inna, Niemcy zmienili się, wyciągnęli wnioski z przeszłości. Druga wojna światowa skrzywdziła oba narody.

W obecnych czasach powstały warunki do wzajemnego wybaczenia i współpracy. Pamięć o przeszłości traktujemy jednak jako ważną przestrogę. Szkoda jednak, że nie możemy tego samego powiedzieć wobec Ukrainy , gdzie nie rozliczono się z przeszłością

Kto odda Hołd Bohaterom z Samoobrony Polskiej...?

Bogusław Szarwiło

W Warszawie poczynając od 8 do 11 lipca, rozpoczną się obchody „Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego na Narodzie Polskim przez ukraińskich onalistów". Ogólnopolski Komitet Obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich, informuje, że: **8 lipca (niedziela) odbędzie się o godz. 12.00 – Uroczysta zmiana wart i Apel Pomordowanych przy Grobie Nieznanego Żołnierza, g. 12.45 – Marsz Pamięci przez Stare Miasto do katedry polowej przy ul Długiej. g. 14.30 – Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem księży biskupów w intencji Ofiar Ludobójstwa.**

Już w tym miejscu pojawiają się pytania kierowane do naszej redakcji: *Co wspólnego z „Ludobójstwem...." ma Grób Nieznanego Żołnierza? Dlaczego organizatorzy nie czynią tego przy pomniku Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej znajdującym się na Skwerze Wołyńskim przy ul. Gdańskiej? Czy odczytywanie Apelu Pomordowanych przy Grobie Nieznanego Żołnierza nie jest aby afrontem wobec „Bohaterów Samoobrony Polskiej na Wołyniu, Małopolski Wschodniej i Lubelszczyzny" których akurat upamiętniono tablicami na tym pomniku?* W tym miejscu przypomnijmy, że liczba pomordowanych Polaków byłaby znacznie większa niż wspominane 130 tys., gdyby nie „Placówki Samoobrony". Redakcja KSI nie odpowiada jednak za pomysły w/w Komitetu, dlatego nie jest w stanie odpowiedzieć na tak postawione pytania. Jedno jest jednak pewne, że coś jest nie tak jak być powinno. **11 lipca obchody tego święta organizuje również Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, IPN, Akademia Sztuki Wojennej i Okręg Wołyń ŚZŻ AK**. I tu na zaproszeniach rozesłanych po kraju znajdziemy program:

godz. 10, 30- Msza św. w Katedrze Polowej WP. godz. 12,00 - Ceremonia składania wieńców na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza godz. 14,00 - Uroczystości na Skwerze Wołyńskim

Ten program obchodów jak widać nie budzi wątpliwości, chociaż nie jestem pewien kto i jak odda „**Hołd Żołnierzom Samoobrony**", czy oprócz wieńców ktoś o nich wspomni dobrym słowem, a na to zasłużyli. W tym miejscu muszę powiedzieć, że w pierwszej kolejności taki obowiązek spoczywa na OW ŚZŻ AK. Pewien niesmak i obawy budzą zaproszenia rozesłane przez Okręg związane również z XXIX Zjazdem żołnierzy 27 WDP AK. W programie na dzień 11 lipca napisano:

Uroczystość z okazji 74 rocznicy Akcji „Burza" na Kresach II RP i 75 rocznicy ludobójstwa ludności polskiej na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej. Oczywiście dalszy ciąg programu jest identyczny jak p/w, z racji podpięcia się pod te obchody. Ze smutkiem dostrzegam, że zarząd OW ŚZŻ AK całkowicie zapomniał o „ **Żołnierzach Samoobrony**", chyba już dawno wymarli , a żywi zapomnieli bo mają się dobrze. Tymczasem przypominam, że to powinna być „**Uroczystość z okazji 75 rocznicy powstania i walk Samoobrony Polskiej na Wołyniu**", gdyby nie ta Samoobrona i jej placówki, nie było by ani Akcji „Burza" ani 27 WDP AK. Późno bo późno, ale zrozumiały to władze Polskiego Państw Podziemnego. Tymczasem wspomniany zarząd nie zorganizował żadnego upamiętnienia tych ważnych faktów. W programie zjazdu nie ma żadnego punktu poświęconego, tak **75 rocznicy Samoobrony** jak i przygotowaniom do przypadającej w przyszłym roku **75 rocznicy 27 WDP AK.** Najważniejszą pozycją w programie zjazdu, poza projekcją filmu „**Płk Kazimierz Bąbiński żołnierz legionów i dowódca 27 WDP AK**", oczywiście jest punkt : Sprawozdawczo-Wyborczy i drugi zakończenie zjazdu. Zbędny jest chyba w tym miejscu jakikolwiek komentarz.

Spektakl „Ballada o Wołyniu"

Redakcja

„Ballada o Wołyniu" to pierwszy w Polsce spektakl sceniczny, który opowiada o ludobójstwie na polskiej ludności Kresów Wschodnich w latach II wojny św., dokonanym przez nacjonalistów ukraińskich. Ten niezwykle trudny temat, przez cale dziesięciolecia przemilczany, a obecnie niestety nadal zakłamywany, obchodzi jednak setki tysięcy Polaków: wciąż żyjących świadków tamtych wydarzeń, ich rodziny i ludzi zainteresowanych prawdą historyczną. Scenariusz spektaklu korzysta z wątków legendarnej książki wielkiego polskiego pisarza Włodzimierza Odojewskiego „Zasypie wszystko, zawieje" (za zgodą autora). Wykorzystywane są także oryginalne świadectwa osób, które przeżyły Zagładę Polaków na Kresach oraz stare pieśni, w tym starą melodię ukraińską ze współczesnymi słowami Bogny Lewtak-Baczyńskiej.

Reżyseria, scenariusz i scenografia:
Tomasz A. Żak

Występują:
Aleksandra Pisz,
Agnieszka Rodzik,
Ewa Tomasik Głos 1
Tomasz Lewandowski Głos 2

Narrator: Jerzy Pal

Technika:
Ryszard Zaprzałka
.

Pielgrzymka na Kresy w 100. rocznicę Odzyskania Niepodległości Polski i w 100. rocznicę urodzin śp. Księdza Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka - „Niezłomnego Pasterza Kościoła”

Stanisław Szarzyński

Pielgrzymka na Kresy w 100. rocznicę Odzyskania Niepodległości Polski i w 100. rocznicę urodzin śp. Księdza Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka - „Niezłomnego Pasterza Kościoła”

Rok 2018 ustanowiony został przez Sejm RP Rokiem Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka, Metropolity Przemyskiego, który był Honorowym Obywatelem Przemyśla, a także Honorowym Członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej w Przemyślu.

Klub Inteligencji Katolickiej i Stowarzyszenie Pamięci Polskich Termopil i Kresów w Przemyślu dla uczczenia 100 rocznicy Niepodległości Polski oraz pamięci Czcigodnego Ks. Arcybiskupa I. Tokarczuka, a także Ks. Bronisława Mireckiego – Patrona Stowarzyszenia Pamięci Polskich Termopil i Kresów w Przemyślu zorganizowali patriotyczną pielgrzymkę autobusową do miejsc polskich korzeni na niepodległości Kresach, do grobów Legionistów, „Orląt Lwowskich”, Obrońców Odrodzonej Rzeczpospolitej, a także do grobów i miejsc pamięci zamordowanych Polaków przez NKWD, a także przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA.

Pielgrzymka odbyła się pod duchowym przewodnictwem Ks. prałata Stanisława Czenczka – kapelana Klubu Inteligencji Katolickiej i Stowarzyszenia Pamięci Polskich Termopil i Kresów w Przemyślu, a także z udziałem Ks. Mieczysława Farunia – salezjanina z Przemyśla, ks. Michała Błaszkiewicza – obecnie z Sanoka, ks. Kazimierza Batora z Kąkolówki k/ Błażowej i Ks. Stanisława Chrapka z Cierpisza k/ Łancuta. Uczestnikami tej wyjątkowej, patriotycznej pielgrzymki byli członkowie i sympatycy KiK i STPPiK oraz pielgrzymi z wielu miast z Polski. To dzięki Ks. Isakowiczowi –Zaleskiemu i Tygodnikowi Niedziela, gdzie zamieszczona była informacja o pielgrzymce, uczestnikami byli mieszkańcy Warszawy, Gdańska, Mielca ,Stalowej Woli, Dębicy, Rzeszowa i Jarosławia.

Relację z pielgrzymki na żywo i nadal po jej zakończeniu przekazywała w Polskim Radiu Rzeszów Pani redaktor Iwona Piętak, która była uczestnikiem pielgrzymki.

Głównym celem pielgrzymki były Łubianki Wyższe – miejsce urodzenia Ignacego Tokarczuka gdzie świadkiem historii jest tylko kapliczka z figurką Matki Bożej wybudowana przez Marią i Szymona Tokarczuków na 10 urodziny Ignacego, jako wotum wdzięczności rodziców za zdrowie syna. Wcześniej trzy córki M. i S. Tokarczuków zmarły. W tej dość rozległej wiosce, gdzie wyjątkowo dużo jest kapliczek i figurek M.B. odnaleźliśmy kapliczkę z figurką M.B. ufundowaną przez M. i S. Tokarczuków. Niedaleko kapliczki, byliśmy w

miejscu gdzie stał dom Tokarczuków, o czym poinformowali nas Ukraińcy – przesiedleńcy z okolic Przemyśla.

Przy Kapliczce z Figurką Matki Bożej złożyliśmy kwiaty, zapalone znicze pamięci i pomodliliśmy się w intencji śp. Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka – Niezłomnego Pasterza Kościoła.

To wdzięczność Arcybiskupowi przywiodła tutaj, pielgrzymów z różnych miast z Polski, a także pięciu Księży, którzy współpracowali lub byli wyświęcani przez Arcybiskupa.

Kolejnym miejscem, które zwiedziliśmy był kościół w Zbarażu , gdzie odbyła się msza św. koncelebrowana w intencji pielgrzymki.

Do tego kościoła uczęszczał młody Ignacy z rodzicami ,a po wyświęceniu na Kapłana odprawił swoją Mszę św. prymicyjną w dniu 28.06.1942r.

Następnym miejscem pielgrzymki były Hałuszczyńce, gdzie na miejscowym cmentarzu zapaliliśmy znicze na grobie Ks. Bronisława Mireckiego Patrona naszego Stowarzyszenia Pamięci Polskich Termopil i Kresów w Przemyślu. Na grób Ks. Bronisława przyprowadziła nas Pani Maria Krych – Prezes Towarzystwa Kultury Polskiej, której brat, ks.

Michał Bajcar – uczeń Ks. Bronisława jest obecnie proboszczem w Strzałkowicach k/Sambora. To wierni i wdzięczni Ks. Bronisławowi mieszkańcy Hałuszczyniec zamieścili na grobie napis:

„W TRUDNYCH CZASACH POŚWIĘCIŁ SIĘ , NIE OPUŚCIŁ NAS I POZOSTAŁ Z NAMI NA ZAWSZE JAKO WIERNY PASTERZ”

Ks. Bronisław Mirecki mając 16 lat, jako ochotnik walczył z bolszewikami w sierpniu 1920r. pod Zadwórzem. Był jednym z 12 ocalałych w bitwie, gdzie poległo 318 „Orląt Lwowskich”.

W Hałuszczyńcach zwiedziliśmy parafialny kościół, a następnie pojechaliśmy do kościoła i siedziby Towarzystwa Kultury Polskiej w Podwołoczyskach gdzie przekazaliśmy Pani Prezes Marii Krych paczki z pomocą charytatywną dla Kościoła i członków Towarzystwa Kultury Polskiej. Tu w Podwołoczyskach stanęliśmy na moście nad rzeką Zbrucz, gdzie do wojny w 1939 roku była granica Rzeczypospolitej Polskiej z Rosją.

W tej pielgrzymce po dawnych ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej odwiedziliśmy kościół w Złoczowie, gdzie proboszczem jest Ks. Michał Hołdowicz, absolwent Przemyskiego Seminarium, który w kwietniu 2013r poświęcił przemyskie Rondo Kresowian.

Kościół w Złoczowie czynny był nawet w okresie władzy radzieckiej, a proboszczem od 1938 do 1992 roku był Ks. Jan Cieński potajemnie wyświęcony na Biskupa w 1962r. przez Papieża na prośbę Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Tu w złoczowskim kościele uczestniczyliśmy w mszy św. koncelebrowanej przez naszych Księży w intencji śp. Ks. Biskupa Jana Cieńskiego i śp. Ks. Arcybiskupa I. Tokarczuka.

Po Mszy św. udaliśmy się z Ks. Michałem na Zamek Sobieskich, a później na złoczowski cmentarz, by pomodlić się i złożyć zapalone znicze pamięci na grobie Ks. Biskupa Jana Cieńskiego, następnie przy Mauzoleum „ 22 Orląt Złoczowskich” torturowanych i zamordowanych przez Ukraińców w dniu 27 marca 1919r. Modliliśmy się również w miejscu spoczynku Ofiar Ludobójstwa NKWD dokonanego w złoczowskim więzieniu w czerwcu 1941r, Wśród zamordowanych 611 osób, Polaków, Ukraińców i Żydów był dziadek Ks. Arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego.

Podczas tej czterodniowej pielgrzymki zwiedziliśmy nowy polski Kościół w Tarnopolu, Pałac Wiśniowieckich w Wiśniowcu, Muzeum Juliusza Słowackiego, Górę Bony i Kościół w Krzemieńcu, Sanktuarium Prawosławne w Poczajowie, Klasztor w Podkamieniu, Kościół w Podhorcach i Busku, Kolegiatę w Zółkwi i Katedrę we Lwowie. Na cmentarzu w Podkamieniu, przy pomniku pamięci zamordowanych Polaków uczestniczyliśmy w Mszy św. koncelebrowanej w intencji zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich, mieszkańców Podkamienia, Huty Pieniackiej i wielu innych miejscowościach na Podolu i Wołyniu.

W Busku po zwiedzeniu kościoła udaliśmy się z Ks. proboszczem Janem Stachurą na miejscowy cmentarz, by pomodlić się przy grobach Obrońców Rzeczypospolitej z 1920 r., którzy polegli w bitwie z bolszewikami.

W niedzielę, w czwartym dniu pielgrzymki Msza św. odbyła się w Kaplicy Cmentarza Obrońców Lwowa przy wyjątkowo dużej ilości pielgrzymów z Polski. Po Mszy św. złożyliśmy kwiaty i zapalone znicze na głównym grobie „Orląt Lwowskich”

W drodze powrotnej do Polski przyjechaliśmy do Komarna, miejscowości rzadko odwiedzanej przez Polaków. Tu w Komarnie pielgrzymi mogli zobaczyć popadający w ruinę polski Kościół z połowy XVII wieku fundacji rodziny Lanckorońskich. Kościół ten został zabrany Polakom przez grekokatolików, którzy mając dwie cerkwie i to niezbyt przepełnione, nie zamierzają zwrócić Polakom ich własności. Polacy zmuszeni są modlić się w Kaplicy

Grobowej na miejscowym zabytkowym cmentarzu, gdzie wśród starych nagrobków stoi pomnik Poległych Legionistów w 1914 do 1916r.

Jest też Kwatera 100 ofiar niemieckiego nalotu we wrześniu 1939 r. na sąsiednią miejscowość Buczały. Po modlitwie i złożeniu zniczy pamięci przy Pomniku Legionistów udaliśmy się do Rumna, rodzinnej miejscowości przemyskiego salezjanina Ks. Tadeusza Patera, gdzie z 2 na 3 czerwca 1944 roku ukraińscy nacjonaliści zamordowali 40 mieszkańców Rumna i okolic w tym 5 osób z najbliższej rodziny Księdza.

Staraniem Ks. Tadeusza i rodzin zamordowanych Polaków, dopiero po 50 latach udało się na miejscowym cmentarzu wybudować pomnik zamordowanym.

Serdecznie dziękuję Księdzu prałatowi Stanisławowi Czenczkowi i wszystkim Księżom uczestniczącym w mszach św. i modlitwach w miejscach pamięci na dawnych ziemiach.

Rzeczpospolitej Polskiej. To dzięki Księżom i temu wyjątkowemu, katolickiemu gronu pielgrzymów, chociaż z wielu miejscowości z Polski, udało się godnie upamiętnić 100 rocznicę Niepodległości Polski i śp. Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka w 100 rocznicę Jego urodzin, a także zapalić znicze pamięci Tym Rodakom, o Których Winniśmy Pamiętać.

Z Kresowym pozdrowieniem,

Stanisław Szarzyński organizator pielgrzymki, prezes KiK, SPPTiK w Przemyślu

Z prasy polonijnej

Szkoła letnia w Tarnopolu: zajęcia, gry i wycieczki w przyjaznej atmosferze

MONITOR WOŁYŃSKI

Od 29 maja do 18 czerwca w Szkole Języka Polskiego przy Polskim Towarzystwie Kulturalno-Oświatowym Obwodu Tarnopolskiego odbywała się «Szkoła Letnia 2018».

W czasie trwania zajęć szkoły dzieci w atrakcyjny sposób uczyły się języka polskiego oraz historii i kultury Polski, śpiewały piosenki i tańczyły poloneza, rozwiązywały quizy i świetnie spędzały czas razem. Oprócz tego wspólnie szukały śladów polskości w Tarnopolu, a następnie zwiedziły Zbaraż – miasto z bogatą przeszłością. Podczas pobytu na terenie zamku w Zbarażu uczniowie poznali historię tej twierdzy oraz obejrzeli wspaniałe obrazy i rzeźby. Następny wyjazd dzieci miały do Kamieńca Podolskiego, gdzie znowu otrzymały wiele informacji z zakresu historii, geografii i kultury.

Zajęcia, gry i wycieczki odbywały się w przyjaznej atmosferze. Dzięki szkole letniej uczniowie pogłębili swoją wiedzę o Polsce, mile spędzili czas i nawiązali nowe znajomości.

Wsparcia finansowego projektowi «Szkoła Letnia 2018» udzieliła Fundacja «Wolność i Demokracja» oraz Senat RP.

Halinówka w gminie Silno

MONITOR WOŁYŃSKI

Halinówka została napadnięta nocą z 28 na 29 marca 1943 r. Na pomoc przyszła samoobrona z Huty Stepańskiej, jednak banderowcy wcześniej się wycofali. Od 1939 do 1945 r. zostało zabitych i zamordowanych w różnych okolicznościach około 50 mieszkańców tek kolonii.

Halinówka była bogata w ludzi bezgranicznie ją kochających. Ich historią obdarzyć by można wiele miejscowości. Związani z tą wsią bohaterowie Wojny Światowej i Polsko-Bolszewickiej, posłowie, zesłańcy Syberyjscy, porucznik Józef Miernik, zamordowany w Katyniu, Ukrainiec Piotr Lebiedziuk, którego los był bardzo tragiczny, rodzina Krzaczkowskich, których w 1943 r. utopiono w studni, ofiary napadu na tę kolonię, mieszkańcy Halinówki, którzy polegli w obronie Huty Stepańskiej i wielu innych.

Ten fotoreportaż poświęcam śp. Edwardowi Pomerańskiemu (1922–2017). Miłość do Halinówki, jaką posiadał, stawiała Go na piedestale wśród byłych mieszkańców.

Przed wybuchem wojny Edward Pomerański złożył podanie do szkoły wojskowej, miał rozpocząć naukę na jesieni 1939 r. Przeżył sowietów, potem przyszli Niemcy i banderowcy. Od pierwszych dni Edward brał udział w samoobronie. Kiedy napadnięto Halinówkę, razem ze wszystkimi uciekł się do Huty Stepańskiej. Najpierw z chłopcami z Halinówki i Borowej był w zwiadzie konnym. Ich zuchwałe rajdy dawały rozeznanie w aktualnej sytuacji i przemieszczaniu się oddziałów banderowskich. Przed samym atakiem awansował na stanowisko dowódcy VI Sektora obrony Huty Stepańskiej, tj. od strony kolonii Borek. Jego sektor nie przepuścił atakujących banderowców, jednak rano 17 lipca wycofano ich pod szkołę w Hucie Stepańskiej.

Edward Pomerański opuszczał Hutę Stepańską jako jeden z ostatnich, ochraniając tyły wycofującej się kolumny. Po wojnie przez ponad 50 lat prowadził bibliotekę Uniwersytetu Wrocławskiego.

Tekst i zdjęcia 2–5: Janusz HOROSZKIEWICZ

Zdjęcie 1 udostępnił autorowi Grzegorz NAUMOWICZ

P. S.: Zainteresowani mogą uzyskać więcej informacji pod adresem mailowym: janusz-huta-stepanska@wp.pl.

Michał Duć – chłopiec znad Sanu i Horynia

MONITOR WOŁYŃSKI

Usłyszał nadlatujący pocisk, potem jakby Go ktoś szarpnął za rękę. Nie czuł nawet bólu, a raczej zdziwienie: «Co się dzieje? Przecież wojna się kończy, Niemcy uciekają, do Breitenbach wkraczają Amerykanie».

Dla ośmioletniego Michała Ducia rozpoczęło się życie kaleki: stracił prawą rękę, a reszta ciała była potwornie poszarpana. Uratował Go amerykański lekarz wojskowy, który w końcu zaproponował wielodzietnej rodzinie, że zabierze Go ze sobą do USA i usynowi. Ma wszystko, ale nie ma dzieci. Matka się nie zgodziła i przywiozła Michała do rodzinnej Bartkówki nad San (wieś Bartkówka – obecnie część miasta Dynów w województwie podkarpackim – red.), z której sowieci wywieźli ich w kwietniu 1940 r. do Kolonii Mydzkiej w powiecie Kostopol. Wywózka objęła 800-metrowy pas przy granicy. Wywieziono wówczas prawie całą wieś.

Wracając do Bartkówki po zakończeniu wojny, zetknęli się z potworną rzeczywistością: wojna nad Sanem trwała nieprzerwanie. Płonęły wsie polskie i ukraińskie, z ich domu pozostały tylko zgliszcza. Śmierć mogła przyjść w każdej chwili. Ledwie zdołali uciec przed grabieżcami, rabującymi tych, którzy wracali z «walizkami». Przeworska kolejka wąskotorowa przywoziła powracających z robót, a na stacjach czekali bandyci, zabierali przyjezdnych i rabowali ich nędzny dobytek.

100 pytań na 100-lecie Niepodległości Polski: w Równem odbył się konkurs wiedzy historycznej

MONITOR WOŁYŃSKI

«Kręte drogi do Niepodległości Ojczyzny: 100 pytań na 100-lecie Niepodległości Polski» - pod taką nazwą w Towarzystwie Kultury Polskiej im. Władysława Reymonta w Równem odbył się konkurs wiedzy historycznej.

W związku z setną rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości realizowane są liczne ważne zadania, konkursy oraz projekty. Młodzież z Towarzystwa Kultury Polskiej im. Władysława Reymonta w Równem również przystąpiła do konkursu wiedzy historycznej pn. «Kręte drogi do Niepodległości Ojczyzny: 100 pytań na 100-lecie Niepodległości Polski». Uczestnicy odpowiedzieli na 25 pytań wybranych losowo. Jurorzy – Wacław Buklarewicz (przewodniczący), Natalia Derewiańczuk i Tatiana Gnatiw – oceniali odpowiedzi według kryteriów podanych w regulaminie.

Uczestnicy konkursu podzieleni zostali na grupy, które zawzięcie rywalizowały między sobą. Aktywność każdego zespołu wzbudzała podziw, zwłaszcza że pytania były bardzo szybko podawane przez prowadzącą. Jury miało więc trudne zadanie, aby wyłonić zwycięzcę. Po długiej naradzie, podczas której wystąpił wokalny zespół «Faustyna» działający przy TPK, przewodniczący jury ogłosił wyniki. Zwyciężył zespół nr 3, pokonując rywali dwoma punktami. Drugie miejsce uzyskały dwa zespoły nr 1 i 2, zdobywając jednakową ilość punktów. Wszyscy otrzymali dyplomy i głośne brawa.

Całe przedsięwzięcie zaszczycił swoją obecnością Gustaw Marek Brzezin, marszałek województwa warmińsko-mazurskiego wraz z towarzyszącymi mu osobami. Pogratulował on zwycięzcom, ale jednocześnie wyraził wielkie uznanie dla wszystkich uczestników konkursu. Podkreślił, iż młodzież z Równego jest prawdziwie zainteresowana historią Polski.

Monitor Wołyński

Umieść nasze logo w swojej gazecie, my umieścimy Twoje w TYM miejscu

info@kresy.info.pl

Strzelanie brylantami

Bożena Ratter

Skoro mowa o tworzeniu mitów, warto poświęcić parą słów socjologicznej niezwykłości Legionów Piłsudskiego, która tę mitotwórczą pracę umożliwiła. Styl i poziom życia narzucali tu nie wojskowi lecz studenci, artyści i młodzi naukowcy, zresztą - jak to ujął Wieniawa - nawet zapapuziali profesorowie stawali się tu studentami, odrastały im włosy itd. Przyczynek do społecznej charakterystyki Legionów daje zestawienie z 17 lutego 1917 r., które wylicza, że na 1215 oficerów było min.:

3 profesorów i 9 asystentów Uniwersytetu;

100 nauczycieli (to tym 40 gimnazjalnych i 4 nauczycieli muzyki); 106 inżynierów i architektów; 26 urzędników państwowych i 76 urzędników prywatnych; 59 lekarzy, 9 weterynarzy i 4 dentystów;

27 artystów malarzy, rzeźbiarzy i muzyków;

7 doktorów praw, 12 adwokatów i 10 kandydatów adwokackich; 11 literatów;

10 dziennikarzy.

Liczby te są portretem korpusu oficerskiego, portretem z ostatnich lat wojny, kiedy to „ubyli" już z niego (tak się w raportach oznaczało śmierć) liczni oficerowie stanowiący trzon „Strzelców" - w tym wielu krakowskich literatów, młodych uczonych i studentów z UJ oraz artystów z Akademii Sztuk Pięknych - macierzystej szkoły Rydza-Śmigłego. Socjologiczny wizerunek szeregowych (żołnierzy Legionów) podobny był do portretu kadry, z tym, że mniej było tutaj absolwentów, a więcej studentów i uczniów – pisze ***Bohdan Urbankowski*** *w rozdziale Dygresja o strzelaniu brylantami w „Filozofii czynu".* Nieproporcjonalnie liczną grupę oficerską stanowili…doktorzy filozofii. Nie był to wynik niezwykłej bojowości absolwentów tego wydziału, a tylko efekt konserwatywnej struktury ówczesnych uczelni: tytuł doktora filozofii otrzymywali prawie wszyscy absolwenci kierunków humanistycznych - poloniści, historycy itp. Nie znaczy to, iż w Legionach nie było autentycznych filozofów. Byli - i to wybitni: dr Jerzy Żuławski - dramaturg i poeta, jeden z tych, którzy po spustoszeniach pozytywizmu odbudowywali myśl metafizyczną (zmarł w szpitalu polowym w 1915r); dr Leon Chwistek - twórca teorii wielości rzeczywistości i zarazem wybitny malarz; dr Zygmunt Janiszewski, który zasłynął także jako światowej sławy matematyk; dr Henryk Wid-Strengler - poeta i muzyk; Wacław Kostek Biernacki, który jako Bruno Kostecki wydał kilka powieści o czynach podziemnej PPS. Filozofami z wykształcenia byli m.in. także: Wacław Aleksandrowicz, dowódca kompanii w I Brygadzie (dwukrotnie ranny - Krzyż Niepodległości i Krzyż Walecznych); Stanisław Parczyński, bohater walk o redutę pod Tarłowem (zginie jako major 1 V 1920 r. pod Fastowem); Janusz Jędrzejewicz - późniejszy premier Rzeczypospolitej. Dyplomy filozofii mieli także Adam Skwarczyński (Uniwersytet Jana Kazimierza, Lwów), Stanisław Baczyński - szef oddziału wywiadowczo-dywersyjnego w POW, doktoratami filozofii za prace w dziedzinie historii legitymowali się także Kazimierz Świtalski - późniejszy premier KP i Marian Kukieł - późniejszy generał, jeden z naszych najwybitniejszych historyków, profesor Wacław Tokarz oraz historyk literatury i krytyk Wilhelm Feldman.(*Bohdan Urbankowski*)

Dlaczego w 100-lecie odzyskania niepodległości nie przypominamy choćby tych kilku postaci z wymienianych przez Bohdana Urbankowskiego? Na ogrodzeniu Parku Łazienki przy Belwederze zdjęcia mężczyzn z castingu reklamującego garnitury Vistuli zamiast plejada mądrych, pomysłowych, przedsiębiorczych, szlachetnych, pracowitych obywateli II RP. Gdyby ich wszystkich zaprezentować, zmiany plansz należałoby dokonywać codziennie. I turyści zagraniczni poznaliby naszą historię nie ze szkalujących nas gazet. Zwykli obywatele i jednocześnie brylanty w naszej historii z racji poszanowania przenoszonych przez pokolenia wartości a tymczasem w metrze warszawskim **niepodległa.pl** powtarza do znudzenia PRLowską, komunistyczną propagandę o zbytkach „pańskich" w II RP – skarpety do sandałów i suknie w II RP. W podobnej tonacji wykład prof. Aleksandra Smalianchuka pt. „Skirmuntowie z Polesia" podczas sobotniej konferencji o zagładzie ziemiaństwa polskiego w latach 1939-1945. Profesor skupił się na analizie 2-ch typów „pana" w Mołodowie, złego i dobrego, uczciwie dodał, iż los obu był ten sam (czyli zakończony morderstwem, zesłaniem lub ucieczką oraz grabieżą majątku) i usprawiedliwił "konflikty społeczne" między chłopami białoruskimi a Skirmuntami w Mołodowie obecnym we dworze kultem kultury angielskiej, brakiem ślubu w rodzinie Skirmuntów oraz nie spełnionym marzeniem chłopów o ziemi. Konstanty Skirmunt zamiast zwyczajowo- jak powiedział profesor- dać chłopom ziemię, przekazał ją siostrom urszulankom „szarym" . Usprawiedliwienie zbrodni jak za PRL. A co pisze o rodzinie Skirmuntów ks. Walerian Meysztowicz - W *pokoleniu mojego ojca było ich czworo: Konstanty, Henryk, Maria i Konstancja. Tej ostatniej nie pamiętam, wiem tylko, że była w przyjaźni z Marią Rodziewiczówną. Do dalszej rodziny należał ks. Kazimierz Skirmunt, długoletni przedstawiciel episkopatu polskiego w Rzymie. Cieszył się on przyjaźnią i zaufaniem Benedykta XV, który przez niego kierował do polski swoją pomoc w latach wojennych. Przyjaźnił się z jezuitami, szczególnie z o. Ledóchowskim, ostatnie lata życia spędził w ich domu….Mołodów należał do trojga rodzeństwa: mieszkał tam, po chlubnie zakończonej służbie Rzeczypospolitej, ambasador Konstanty Skirmunt, jego brat Henryk (niezwykłych zdolności w muzyce, napisał operę, nie wiem czy była kiedykolwiek wystawiana, ceniłem wysoko jego poezje) i siostra panna Maria. Wszyscy już byli starzy, dzieci nie mieli. Mołodów miał się dostać siostrom urszulankom „szarym" założonym przez Matkę Urszulę Ledóchowską; miały już one w Mołodowie klasztor i zajmowały się oświatą i opieką społeczną, uzupełniając to, czego instytucje Polski niepodległej jeszcze w pełni zrobić nie mogły. Chętnie do dworu, do gościnnych, kulturalnych gospodarzy przyjeżdżali goście: odbywały się zamknięte rekolekcje dla ziemian, które prowadził Prymas Hlond… Wiersz Henryka Skirmunta o oraczu:*

Rzuć posiew bogaty Rola obfity
plon wyda i kwiaty Choć pusto
będzie na twej własnej glebie
Bo w rannych świtach, gdy się
pola roszą Anioły schodzą i
ziarna roznoszą Te złote ziarna
zasiane przez Ciebie Czarno
jest na mołdawskiej glebie…
Siali tam ziarna Skirmuntowie długo, hojnie, nie dbając o plon. ..Przyszedł wrzesień 1939 roku. Wyprowadzili ich do lasu. Wykopali dół. Zastrzelili. Anioły schodzą - tak kończy opowieść o Skirmuntach ks. Walerian Meysztowicz.

Ciekawe, czy współcześni „ziemianie" czy kamienicznicy pochodzący z „mas robotniczo chłopskich", którzy w III RP weszli w posiadanie majątku narodowego, więc i Polaków II RP zamordowanych czy wypędzonych lub skazanych na życie na marginesie społecznym w wyniku rewolucji socjalistycznej niosącej szczęścia nam wszystkim, boją się tych, którzy dla ich zysku pracują ? A jaka byłaby wrzawa gdyby „masy robotniczo – chłopskie" pracujące ciężko w PRL i III RP i pobierające 1000 zł emerytury chciały podnieść rękę na nich, na beneficjentów transformacji 1989 roku, którzy jawnie i bez poczucia winy chlubią się tą datą, choćby na muralu metra centrum. Dlaczego brak rzetelnych badań i publikacji o tej nieznanej, skrywanej, fałszowanej do dzisiaj historii Polaków? A jeśli są prowadzone takie badania to w rycie komunistycznej propagandy, fałszowania historii w interesie wrogów Polski i oskarżeń moich Rodaków? Dzisiaj w witrynie księgarni na Wiejskiej czołową pozycją jest kolejna propagandowa, szkalująca mnie i wydana za moje pieniądze pozycja : Dalej jest noc – pod redakcją *Barbary Engelking i Jana Grabowskiego*. O postawie polskiego społeczeństwa wobec zagłady Żydów. **Czy zostały przekazane przez rząd miliony na badania postawy żydowskiego społeczeństwa wobec zagłady Polaków, Ormian, Czechów i innych narodowości Rzeczypospolitej? Czy zostały przekazane miliony na badania postaw ukraińskiego społeczeństwa wobec zagłady Polaków, Ormian, Czechów i innych narodowości Rzeczypospolitej?** (mapka na dole)

W Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu nie ma zgody na pisanie pracy o miejscach zagłady Polaków na Ukrainie a konsul Ukrainy w Przemyślu jest właścicielem kilkunastu budynków, w których prowadzi sieć handlową „Piotruś Pan" . Ciekawe, swoje punkty handlowe ma w pobliżu miejsc zagłady Polaków jak np. przy rampie, z której wywożono Polaków na Syberię (na podstawie donosów mniejszości ukraińskiej również) czy naprzeciwko wejścia do pałacu w Krasiczynie, do którego schroniła się u Sapiehów ludność polska przed bandami ukraińskich nacjonalistów. A w pobliżu miejsc zagłady Polaków na Ukrainie (Wiśniowiec, Podkamień, Złoczów, Rumno, Komarno, Podhorce itp.) wiszą flagi banderowskie, ulica musi nazywać się Stephana Bandery lub musi być muzeum Szuchewycza. Polskie MSZ oraz konsul polski na Ukrainie nie gwarantuje bezpiecznego dojazdu do Huty Pieniackiej a pokazywanie flagi polskiej jest drażnieniem Ukraińców , więc lepiej tego unikać. Na cmentarzach polskich nie widać śladu bytności polskiego konsula. Czy to nie ciekawe tematy do badań? *Sapieha Książe Stanisław był potomkiem prastarej rodziny herbu Lis. Leon Sapieha, uczestnik wojny narodowej z r. 1831 w sztabie generała Skrzyneckiego, który emigrował z zaboru rosyjskiego, gdzie car skonfiskował jego majątek to jego pradziadek. W zaborze austriackim nabył majątek Krasiczyn i stanął do pracy dla dobra kraju. Jemu zawdzięczają powstanie i rozwój liczne stowarzyszenia i zakłady krajowe. Wdzięczne społeczeństwo powołało go na stanowisko marszałka pierwszego Sejmu Krajowego. Żona jego, Jadwiga z Zamoyskich, była panią wielkiego serca i rozumu, opiekowała się gorliwie ubogimi i sierotami. Jej staraniem powstał w r. 1878 we Lwowie szpital dla dzieci im. Św. Zofii. Lwowska Rada Miejska wybiła na jej cześć pamiątkowy medal. Syn Leona i Jadwigi , Adam członek Izby Panów był więziony za udział w powstaniu w 1864 i przebywał na emigracji a po powrocie zajaśniał w życiu politycznym i w Sejmie jako gorący patriota i niepospolity mówca. Był członkiem i przewodniczącym rozmaitych towarzystw i instytucji, w 1894 r. stał na czele powszechnej wystawy krajowej we Lwowie. Ożeniony był z Jadwigą Klementyną z ks. Sanguszków, gorliwą patriotką i opieunką potrzebujących pomocy… Ich wnuk Stanisław z chwilą walk o polskość Lwowa w listopadzie 1918 roku, bierze natychmiast czynny udział w walkach z Ukraińcami, a jednocześnie pracuje nad organizacją tworzącej się armii polskiej we Lwowie….Pełniąc w dniu 11 stycznia 1919 roku w boju o Pasieki Miejskie służbę wywiadowcy na ważnym posterunku, ginie trafiony pociskiem ukraińskiej artylerii. Zwłoki zostały przewiezione do Krasiczyna i pochowane w grobowcu kaplicy zamkowej* – to fragment jeden z wielu biogramów uczestników walki w obronie Lwowa w listopadzie 1918 roku, przygotowanych w 1925 roku na uroczystości państwowe. A co przygotowała Rada Mediów Narodowych na 100-lecie odzyskania Niepodległości i na 75 rocznicę Ludobójstwa na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej? Przekazuję harmonogram obchodów 75 rocznicy ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej http://isakowicz.pl/harmonogram-upamietnien-75-rocznicy-ludobojstwa-polakow-na-wolyniu/

Bożena Ratter

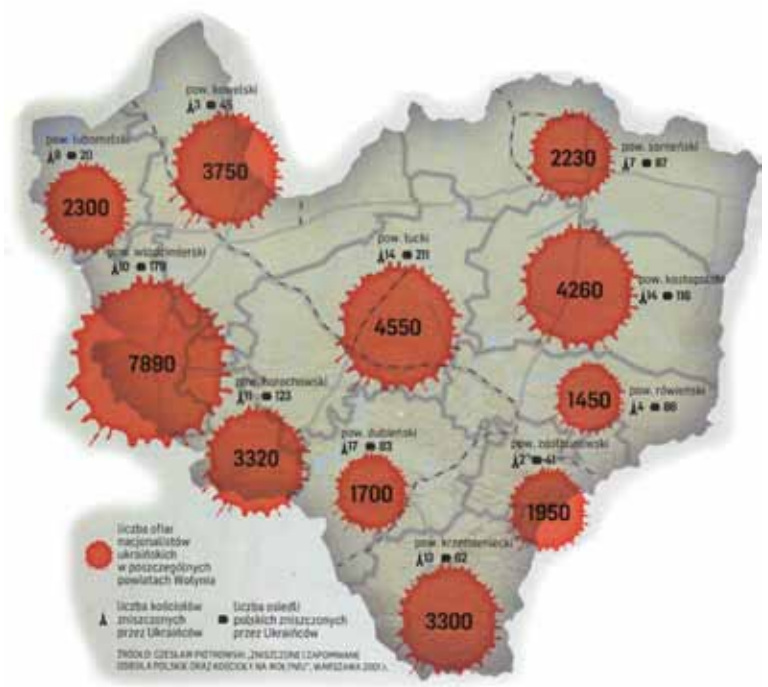

Dziewczyny z Wołynia

Redakcja

W 75 rocznicę „Rzezi Wołynia”: 4 lipca wydawnictwo Znak Horyzont wystawia na rynku księgarskim swoją najnowszą pozycję **Dziewczyny z Wołynia**, której autorką jest Anna Herbich. Autorka sama przyznaje, że jest to opowieść o”Ludobójstwie oczami ocalonych kobiet. „Dziewczyny z Wołynia” - To najbardziej poruszająca i wstrząsająca książka jaką napisałam.”

Dzieci przetrwały rzeź. Teraz opowiadają historię zamordowanych rodziców i dziadków. Rozalia miała osiem lat, gdy schowana w piwnicy słyszała ostatnie słowa umierającej matki i siostry. Zofia pamięta złowieszczą przestrogę – „Jutro ma was tu nie być. Będą mordowali”. Tak ostrzega ich wiejska położna, Ukrainka. Nikt w to nie wierzy. Pogrom przetrwa jedynie garstka. Teodora uczestniczyła we mszy, kiedy Ukraińcy zaatakowali kościół w Kisielinie. Uratowała się z płonącej dzwonnicy. To jest jej pierwsze spotkanie z banderowcami. Niestety nie ostatnie. W 1939 roku sielskie życie na Wołyniu się kończy. Polska upada, zmieniający się okupanci sieją postrach. Jednak największe zagrożenie przychodzi ze strony, z której nikt się tego nie spodziewał. Sąsiadów. Kumów. Ukraińców. Wiedzeni banderowską wizja Ukrainy zaczynają mordować Polaków. Wołyńskie dziewczęta były jeszcze dziećmi, gdy rozpoczął się pogrom. Widziały śmierć rodziców, braci, sióstr i rzeź całych wsi. Słyszały błagania bezbronnych ofiar opętanych szałem mordu Ukraińców. Z dnia na dzień straciły nie tylko najbliższych, ale również swoją ojcowiznę.

Samoobrona na Kresach

Redakcja

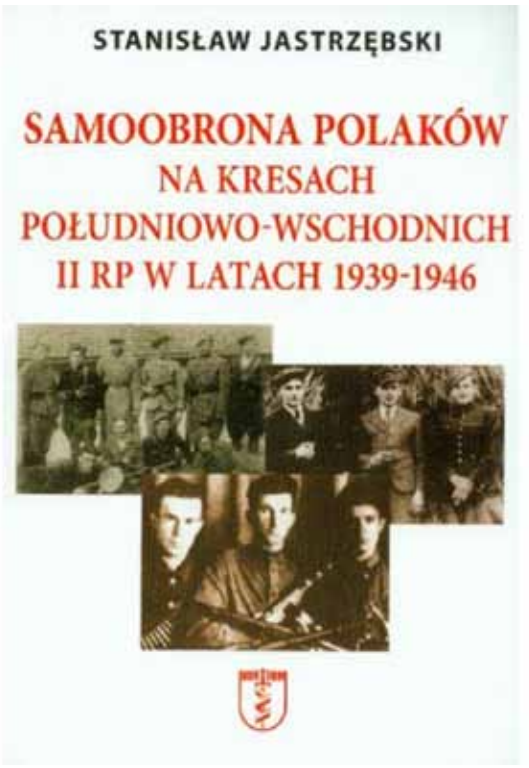

Autor, opierając się na dokumentach i relacjach świadków wydarzeń, przedstawia samoobronę Polaków przed ludobójstwem UPA na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczpospolitej w latach 1939-1946. Zbrodnie UPA swym barbarzyństwem i okrucieństwem przewyższały wszystkie inne, jakich doznał naród polski w czasie II wojny światowej. Autor wyjaśnia okoliczności powstania i funkcjonowania polskich oddziałów samoobrony, w czasie okupacji niemieckiej i II okupacji sowieckiej.

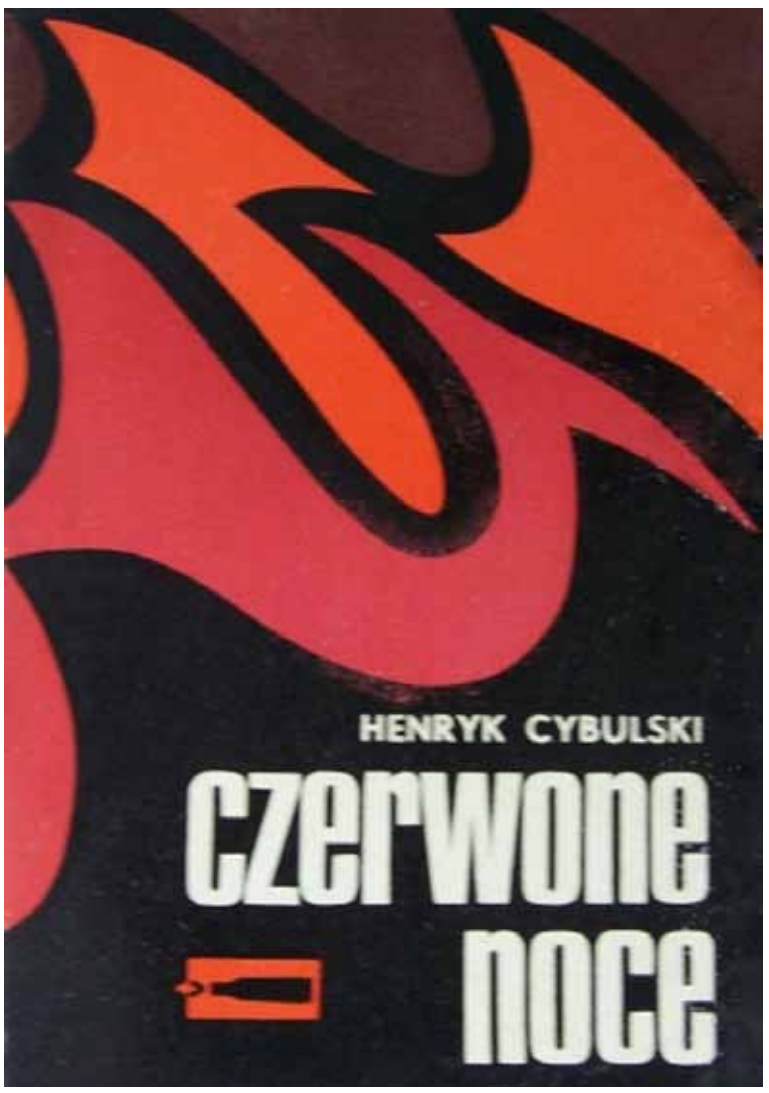

Są to wspomnienia komendanta najbardziej znanego ośrodka samoobrony polskiej we wsi Przebraże na Wołyniu z okresu walk z nacjonalistycznymi bandami UPA w okresie okupacji hitlerowskiej. Relacja Henryka Cybulskiego obfituje w nieznane, a nieraz rewelacyjne szczegóły i gdyby nie autentyzm faktów, można by ją uznać za książkę sensacyjną. Organizacja tej swoistej „mikrorepubliki”, jej obrona,..

Duchy Kresów Wschodnich

Redakcja

Nie tak dawno, bo w maju 2018 r., na rynku księgarskim pojawiła się nietypowa pozycja książkowa zatytułowana jak wyżej, autorstwa: Alicji Łukawskiej. Dzięki uprzejmości autorki i wydawnictwa poniżej prezentujemy fragment tej ciekawej pracy. Po przeczytaniu tego fragmentu jednak nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Kresy nasiąknięte polską krwią, szczególnie podczas ostatniej wojny światowej, jak przyznają obecni mieszkańcy np. Wołynia są pełne duchów tych ludzi którym nie dane było spocząć we własnej mogile po masowych mordach UPA. Autorce nie o te duchy chodzi, chociaż o nie się trudno nie otrzeć. Zapraszamy do lektury. „Rok 1943 to był dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia – można powiedzieć, parafrazując początek „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza. Latem tego roku mieszkańcy polskiej kolonii (osady wojskowej) Karczunek Wołyński w powiecie włodzimierskim ujrzeli na jasnym, niebieskim niebie duży napis białymi, drukowanymi literami. Niestety, mimo, że napis był bardzo wyraźny, to ludziom nie udało się go przeczytać, gdyż nie widzieli go wyraźnie pod słońce. Po paru dniach wieczorem na ciemnym niebie widoczny był duży słup ognia, który świecił krwistą czerwienią na tle czarnego już nieba, później zaś ukazał się duży czerwony sierp i młot, co mieszkańcom Wołynia skojarzyło się, oczywiście, z symbolem znienawidzonego Związku Radzieckiego. Wkrótce potem pojawił się na niebie obraz przypominający ogromną ognistą miotłę, taką, jaką na wsi robi się z brzozowych rózeg. Ludzie gadali, że to bardzo zły znak, bo ta miotła ich na pewno wymiecie. Późną jesienią 1943 roku pojawił się ognisty słup ognia na ziemi. To paliło się gospodarstwo na obrzeżach Karczunku Wołyńskiego. Sąsiedzi natychmiast rzucili się z wiadrami z wodą, by ratować płonący dom i jego mieszkańców. Jednak kiedy ludzie z wioski dobiegli do zagrożonego budynku, płomienie nieoczekiwanie zniknęły. Pożar okazał się złudzeniem, wizją, rodzajem fatamorgany, bo nagle zniknął jakby zapadł się pod ziemię. Potem okazało się, że właściciele budynku nic nie widzieli, nie czuli, a nawet się nie obudzili, całą noc przespali spokojnie aż do rana. Jednak ów niezwykły, widmowy pożar był zapowiedzią śmiertelnej zagłady, która miała nadejść zimą. Atak bandy UPA na Karczunek Wołyński nastąpił 19 lutego 1944 roku i rozpoczął się właśnie od tego domu, który na jesieni palił się owym dziwnym, widmowym płomieniem. Ale tym razem palił się naprawdę, podpalony przez banderowców, a ze środka dochodziły straszne krzyki i wycie nieludzko cierpiącego człowieka. To płonął żywcem właściciel domu, niepełnosprawny Ignacy Wenena, który miał jedną nogę drewnianą. Wcześniej Ukraińcy połamali mu zdrową nogę i obie ręce, a potem wrzucili w płomienie. Jego żona Aniela zdążyła uciec na początku napadu, schowała się przed napastnikami w ziemiance i dzięki temu przeżyła. Kiedy wyszła z ukrycia, okazało się, że wszystko, całe gospodarstwo jest spalone. Nie znalazła nawet szczątków swojego męża, bo spalił się on wraz z domem. Wcześniejsza wizja pożaru i inne znaki okazały się prorocze. „Ognista miotła" wkrótce wymiotła z Ukrainy nie tylko mieszkańców tej jednej wioski, ale prawie wszystkich mieszkających tam Polaków. Część z nich została zamordowana przez ukraińskich nacjonalistów, część przymusowo wysiedlona, reszta wyjechała „do Polski" sama, ze strachu przez banderowcami i nową, sowiecką władzą. Polski na kresach wschodnich już nie ma. Jako zbiorowość żyjąca od 1945 roku między Bugiem a Odrą i Nysą Łużycką powoli zapominamy o tym, że w XVI wieku Rzeczpospolita Obojga Narodów była potężna i sięgała daleko na wschód, obejmując m. in. województwo wileńskie, trockie, połockie, witebskie, smoleńskie, mińskie, mścisławskie, nowogródzkie, brzesko-litewskie i jeszcze Księstwo Żmudzkie na północy. A później nasz stan posiadania na wschodzie zaczął się stopniowo kurczyć. Nasza wschodnia granica przesuwała się coraz bardziej na zachód, aż w końcu przyszły rozbiory i Polska na okres przeszło stu lat zupełnie zniknęła z mapy świata. Ale jeszcze wciąż gdzieś tam na wschodzie Europy, wśród Łotyszy, Litwinów, Białorusinów i Rusinów mieszkali liczni Polacy. A potem przyszła I wojna światowa i bolszewicka rewolucja październikowa. Nadeszła ostateczna zagłada polskiej (i nie tylko) szlachty i ziemiaństwa w imię okrutnej i krwawej rewolucji społecznej. Z tzw. dalszych kresów wschodnich uciekał, kto mógł, do „Polski", tak jakby tam już tej Polski na wschodzie nie było i być nie mogło. Wśród tamtej pierwszej fali „repatriantów" byli tacy kresowi Polacy jak Zofia Kossak-Szczucka, Maria Dunin-Kozicka, Jarosław Iwaszkiewicz, Sergiusz Piasecki, Melchior Wańkowicz, Michał B. Pawlikowski, Mieczysław Jałowiecki i inni, którzy pozostawili po sobie liczne wspomnienia i pamiętniki z dawnego życia. A kiedy Polska

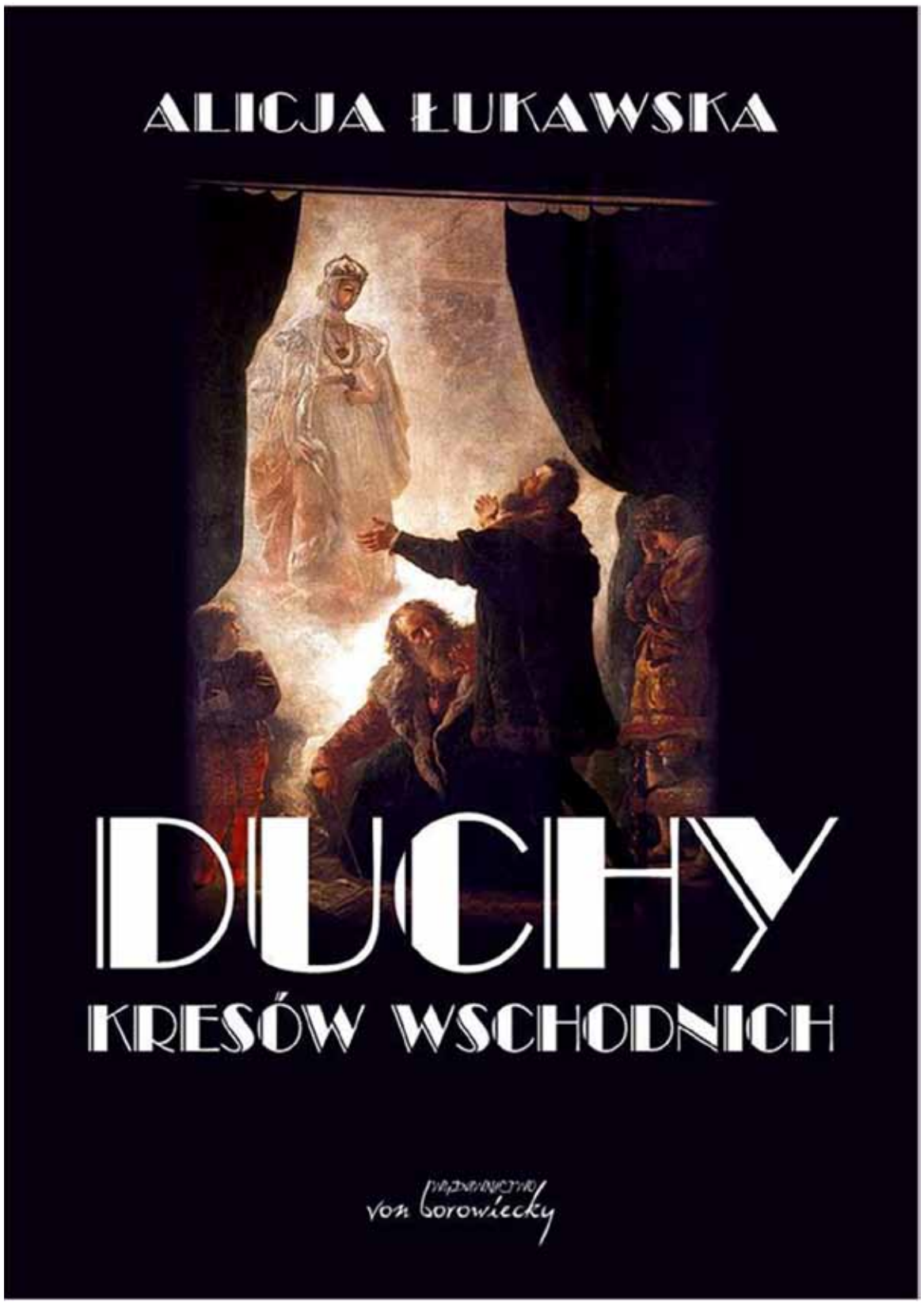

odrodziła się na nowo po I wojnie światowej, jej obszar na wschodzie był o wiele mniejszy niż w czasach Rzeczpospolitej szlacheckiej. Ostatecznie, w wyniku I wojny światowej, rewolucji październikowej i jej negatywnych następstw utraciliśmy tzw. dalsze kresy wschodnie, które opłakiwano już w okresie międzywojennym. Zaś po II wojnie straciliśmy resztę kresów. Polski już tam nie ma. Nie ma tam także Polaków, a jeśli są jeszcze jakieś niedobitki, to bardzo mało liczne. Prawdopodobnie w sensie politycznym utraciliśmy te tereny na zawsze. Raczej nigdy już nie wrócimy na Kresy, a jeśli już to najwyżej w charakterze sentymentalnych turystów szukających pamiątek po przodkach. Możemy tam być już tylko gośćmi. A jednak ta utracona kraina trwa nadal w polskiej pamięci, tradycji i literaturze. Pierwsza fala kresowej literatury wspomnieniowej pojawiła się już w okresie międzywojennym, po utracie kresów wschodnich „dalszych", z Dyneburgiem, Mińskiem, Słuckiem, Mozyrzem, Żytomierzem, Winnicą, Humaniem i Kamieńcem Podolskim. Po II wojnie światowej wspomnienia o kresach wschodnich były źle widziane przez peerelowskie władze. Swobodnie i bez cenzury mogły się ukazywać się tylko na emigracji. Dopiero po 1989 roku nastąpił wysyp literatury pamiętnikarskiej dawnych mieszkańców Kresów, wydawanej jawnie, w oficjalnym obiegu. Była to właśnie druga fala kresowych wypominków. Wtedy do świadomości społecznej zaczęły wkraczać indywidualne historie opowiadające o dawnym życiu na Kresach. Zaczęto też wtedy mówić głośno i pisać o niezliczonych zbrodniach banderowskich na Polakach, czyli o tym, że ukraińscy nacjonaliści wymordowali na Ukrainie około 200 tysięcy mieszkających tam Polaków. Kiedy czytamy kresową literaturę wspomnieniową, wyłania się z niej obraz krainy w dużym stopniu niezwykłej, pełnej różnych dziwów i niewyjaśnionych zjawisk paranormalnych, zamieszkałej przez równie niezwykłych ludzi, często oryginałów, ekscentryków i dziwaków. Duchy, zjawy, wiedźmy, wampiry i charakternicy, wiejscy znachorzy i różni mistycy to barwne postaci zaludniający dawne polskie Kresy, których mieszkańcy w większości wyznawali powszechnie wiarę chrześcijańską (katolicką i prawosławną), ale też wierzyli w magię, czary, liczne przesądy i zabobony; z jednej strony modlili się przy krzyżach stawianych przy drogach i pielgrzymowali do licznych sanktuariów maryjnych, a z drugiej strony odprawiali prastare pogańskie obrzędy i rytuały, a szczególnie „dziady"

ku czci zmarłych przodków. „Było wiele różnych dosadnych porzekadeł, przysłów i przepowiedni na każdą okoliczność oraz zabobonów. Byli znachorzy i babki odczyniające czary. Wierzono w dobre i złe duchy własnych domów i zagród oraz znano miejsca w okolicy, gdzie straszy. Na Zaduszki noszono na mogiły swoich najbliższych zmarłych jedzenie, a po pogrzebach wyprawiano stypy." Kresy to także liczne miejsca nawiedzane przez dobre i złe moce oraz litewsko-ukraińsko-białoruski folklor ludowy pełen opowieści o nadnaturalnych istotach gdzieś z zaświatów: „Człowieka urodzonego i wychowanego na Ukrainie Naddnieprzańskiej, na Wołyniu czy Podolu otaczały, stale przypominając o swym istnieniu, tajemnicze siły przyrody i moce opiekuńcze, składające się na dziwny panteon, w którym pogańscy bożkowie sąsiadowali z Trójcą Świętą, Matką Boską, świętymi i… legendarnymi bohaterami opowieści ludowych." Wszystko to razem tworzyło obszar niezwykle ciekawy i sprzyjało tworzeniu przekazywanych z pokolenia na pokolenie ustnych przekazów o duchach, zjawach i nawiedzonych miejscach. O tej ustnej tradycji kresowego opowiadania o duchach pisali już polscy romantycy, którzy – jako pierwsi – rzucili się do eksploatowania ludowych przekazów o zjawiskach paranormalnych. Kresowe motywy niesamowite pojawiły się wówczas w balladach Adama Mickiewicza, dramatach Juliusza Słowackiego, a także licznych ówczesnych opowiadaniach grozy osnutych jakoby na prawdziwych zdarzeniach (m. in. u Jana Barszczewskiego, Aleksandra Grozy, Henryka Rzewuskiego, Ludwika Sztyrmera i Teodora Tripplina). O dziwnych zjawiskach na dalekiej Ukrainie wspominał Antoni Urbański, autor książek opisujących utracone polskie rezydencje i dwory, które po pokoju w Rydze zostały po radzieckiej stronie granicy: „Jedziesz nocą po osrebrzonym promieniami miesiąca stepie i widzisz, jak na rozdrożu woźnica twój żegna się i mocniej konie zacina. Prędzej, prędzej, bo tu był niegdyś wisielec zakopany, tutaj „błud wodyt". A na ten kurhan nie patrz o północku, bo ujrzysz cień dziewczyny zwodnicy, spływający na mogiłę zmarłego z jej winy kozaka. Takie były te wsie podolskie, rozrzucone na szlakach od Jahorlika i Konieczpola aż hen, ku Kamieńcowi." Wiele lat później wtórował mu nieżyjący już, szczeciński profesor literatury Bolesław Hadaczek, który był rodem z Podola: „Podania o strachach wiązały się z dziką przyrodą, np. z Wrażym Uroczyskiem koło Dniestru, jego sterczącymi płytami kamiennymi niczym nagrobki na cmentarzu, gdzie nocami duchy przeklęte odprawiały swoje korowody, słyszano żałosne jęki, śmiechy i kwilenia dzieci. Czortowyj Jar był wąski i głęboki, gęsto zarośnięty po bokach, wypełniony czaszkami i piszczelami ludzkimi. W Jampolu przy ujściu Szumiłówki i na pobliskich Dniestrowych porohach słychać było o północy płacz wielki i stękania, a woda w poświacie księżyca wyglądała jak krew. Z ogromnych borów i bagnisk nad brzegami Suły nocami wychodziły upiory i wyły, a nad wodą dzwoniły dzwony. Podanie głosiło, że kto za długo patrzył na Nenasytcia, ten rozum tracił: tam nieraz z wirów wynurzały się długie ręce i chwytały nieostrożnych, a wtedy mrożący krew w żyłach chichot rozlegał się w przepaściach śmiercionośnego poroha." Pamiętnikarz i kresowy arystokrata Mieczysław Jałowiecki uważał, że nie ma innego kraju na świecie, z wyjątkiem górzystej części Szkocji, gdzie znajdowałoby się tyle miejscowości, z którymi wiążą się legendy i opowiadania o duchach i strachach, jak na jego rodzinnej Litwie: „W naszej parafii pełno było miejsc, których unikano nocą jak zarazy. Straszyło i u nas w Sygułdyszkach, i na pobliskich mogiłkach, i na gościńcu koło pagórka, i na rzece Kiemeszce, i na brzegach Jesiaty i Laumesty. Najbardziej bałem się jednak psów leśnych i dworu w Antokolu."" Tematyką tej książki są duchy i zjawiska paranormalne występujące na dawnych polskich kresach wschodnich. Wszystkie przytaczane w niej opowieści i relacje są udokumentowane w dawnych przekazach ustnych i pisemnych, zanotowane w pamiętnikach i wspomnieniach. Terytorium, jakiego dotyczy ta książka, jest dość rozległe i obejmuje obszar, na którym dawniej rozciągała się Rzeczpospolita Obojga Narodów, to jest od morza do morza, czyli od Połągi i Rygi na północy do Akermanu i Odessy na południu, a także od Bugu aż po Berezynę na wschodzie. Na zakończenie**, nota o autorce: Alicja Łukawska** – absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, praco Nota o autorce: Alicja Łukawska – absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka pism lokalnych. Zajmowała się zawodowo literaturą polską okresu oświecenia i romantyzmu, pracowała w mediach, współpracowała z miesięcznikami „Czwarty Wymiar" i „Nieznany Świat". Interesuje się historią Polski i tematyką kresową, a także tym wszystkim, co cudowne, niezwykłe i fantastyczne. Od lat zbiera opowieści o duchach. Nawiasem mówiąc, autorka liczy, że czytelnicy po zapoznaniu się z tą pozycją może skontaktują się z nią, nadsyłając dalsze przykłady zjawisk paranormalnych z zachowanych w rodzinnych przekazach z Kresów.

Nie opłakano zmarłych, nie pozwolono na wyrażenie bólu

Bożena Ratter

Niewiele osób w Polsce zajmuje się tą częścią historii – dr Leon Popek wystąpił na Kongresie w Lublinie z referatem „**Doły śmierci na Kresach - losy szczątków ofiar ludobójstwa OUN-UPA**". Polacy na Wołyniu w 1939 roku mieszkali w około 2500 miejscowościach , były to kolonie, chutory, wsie, miasteczka. W wyniku działania OUN UPA co najmniej 1500 miejscowości przestało istnieć, zostało spalonych, zniszczonych, nie ma śladu po nich. Na Wołyniu zginęło około 60 000 Polaków. Zaledwie 3000 z nich miało religijny pochówek na ziemi poświęconej, na cmentarzach, nie zawsze rzymskokatolickich, najczęściej bez udziału księży i w zagrożeniu życia uczestników pochówku. Większość ofiar była potraktowana jak padłe zwierzęta, zwłoki były masowo bezczeszczone, okaleczano ciała za życia ale i po śmierci. Były zakopywane bardzo często w stanie rozkładu w miejscach mordu ale też na cmentarzyskach dla zwierząt, po to, żeby jeszcze bardziej upokorzyć rodziny, ogólnie Polaków. Zwłoki zakopywano też w innych miejscach, bardzo często były palone wraz z zabudowaniami, wrzucane do rzek, do studni. Co znaczy w kulturze wschodu wrzucanie zwłok do studni? Studnia jest symbolem życia, jest świętością – wrzucanie zwłok oznacza, że te miejsca zostały na dziesiątki lat wyłączone z życia, żeby już nikt i nigdy nie napił się z tych studzien wody, żeby Polacy już tam nie mogli wrócić. Część zwłok nigdy nie została zakopana, była żerem dla dzikiego ptactwa i zwierząt. Uniemożliwiano rodzinom, sąsiadom (nawet ukraińskim) pochowanie ciał pod karą śmierci, naśmiewano się z bólu , z żalu rodzin. Dotykamy rzeczy podstawowej, najistotniejszej, to jest podstawy ludzkości- wbrew zwyczajowi **nie opłakano zmarłych, nie pozwolono na wyrażenie bólu**. Jeżeli już doszło do zakopania, pogrzebania, były liczne przypadki profanacji grobów, niszczenia upamiętnień, ścinania, wykopywania krzyży nawet, jeśli postawili je miejscowi sąsiedzi - Ukraińcy. Do dnia dzisiejszego **nie udzielano informacji rodzinom gdzie są polskie doły śmierci**. Od kilku lat widzimy, że miejscowi ludzie zaczynają się jeszcze bardziej bać, nie chcą udzielać informacji o miejscu zwłok sąsiadów. Starsze pokolenie wymarło i nie przekazało kolejnym pokoleniom gdzie leżą ich bliscy, nie tylko na Wołyniu. 1943 rok to Wołyń a potem kolejne województwa doświadczyły tego samego. Na naszych oczach odchodzą ostatni, nikt nie zadbał o to, żeby zebrać relacje, nagrać świadków, stworzyć mapę byłych polskich miejscowości. 40 lat temu zacząłem zbierać relacje, gdyby nie one, nie byłoby książek i kilku tysięcy nazwisk. Sytuacja ta rodzi negatywny wpływ na obecne relacje Polska - Ukraina i na przyszłą współpracę. Te negatywne emocje są przekazywane następnym pokoleniom i to co ma budować , co ma być pozytywne, piękne, z braku prawdy w naszych relacjach niestety nie jest. Przekazywany jest smutek, żal, złość, bezsilność, upokorzenie . Ofiary nie mają grobów a doły śmierci nie są oznaczone. Miejsca śmierci Polaków to około 4000 miejscowości, w niektórych z nich jest od kilku do kilkudziesięciu dołów śmierci, ponieważ w wielu miejscowościach jest nim każdy dom ze spaloną rodziną czy każda studnia, to której wrzucono członków rodziny, żywych, okaleczonych bądź martwych. Nikt nie robił żadnych badań, nie mamy mapy miejscowości, obecnie na Ukrainie jest upamiętnionych około 180 miejsc gdzie mieszkali i ginęli Polacy, nie zawsze te skromne krzyże stawiane były na mogile, często pod lasem, na rozstaju dróg, bo nie było zgody, bo nikt nie wiedział gdzie są ciała. ¼ wszystkich upamiętnień jest zasługą starszych osób, o skromnych dochodach. Stawiane przez nie krzyże brzozowe już dzisiaj nie istnieją, napisy na tablicach są zamalowywane, przekłamywane (zamiast 300 ofiar 30). Tych miejscowości już nie ma, na nich są pola pokołchozowe, łąki, bagna. Jest możliwe odnalezienie części dołów śmierci, tylko kto ma je pokazać? W Ostrówkach na pomniku brakuje 12 tablic z 1050 nazwiskami, nie zgodzili się, przestraszyli się. 5 lat temu arcybiskup Mokrzycki zaproponował jako zadośćuczynienie ze strony cerkwi greckokatolickiej, aby w miejscu dołów śmierci odprawić msze św. żałobne i postawić skromne krzyże. Nie zostało spełnione to proste zadośćuczynienie, bo i nie ma poczucia winy i żalu wśród Ukraińców. Od 2-ch lat nie ma żadnych poszukiwań, ekshumacji, pochówków – obecnie IPN zabiega o to, ale od kwietnia 2017 strona ukraińska zablokowała możliwość poszukiwań i pochówków. **Nie ma na świecie drugiego takiego państwa, które zabrania pochowania innych obywateli!** Stowarzyszenie na Ukrainie Czarny Tulipan, zajmuje się poszukiwaniem, ekshumacją i pochówkiem żołnierzy ukraińskich, którzy zginęli w Donbasie. Czarni archeolodzy jadą do Donbasu, proszą stronę separatystów o możliwość poszukiwania ciał, separatyści w Donbasie zawieszają działania wojenne, pozwalają na poszukiwania, ekshumację i pochówek. To jest możliwe gdy jest wojna! **My z Ukrainą wojny nie prowadzimy a mamy zakaz pochówku!** W Poranku Wnet pani poseł Małgorzata Gosiewska w rozmowie z Wojciechem Jachymiakiem o cyklu filmowym „Przyjaźń w cieniu Kremla", wypowiedziała się na temat naszych stosunków z sąsiadem: *spieramy się z Ukrainą, mamy problemy historyczne , nie uciekamy przed nimi ale musimy pamiętać, by nie dać się wkręcić propagandzie sowieckiej, która próbuje nas skłócić bo są sprawy dużo ważniejsze i w imię tego musimy współdziałać*". No i mam wątpliwość, czy „czarni archeolodzy" dogadujący się z okupantem sowieckim w Donbasie na linii frontu dali się już wkręcić propagandzie sowieckiej, czy jeszcze nie. A nas, którzy jeszcze się nie dogadaliśmy w sprawie poszukiwań, ekshumacji i pochówku polskich obywateli II RP zamordowanych bestialsko przez nacjonalistów ukraińskich i którzy domagamy się tego, oskarża się o uleganie propagandzie Kremla. A ja napisał ukraiński historyk Wiktor Poliszczuk w pracy „Potępić UPA, „*jedyną drogą wyjścia z obecnej sytuacji jest potępienie OUN-UPA przez naczelne organy państwowe Polski i Ukrainy i dopiero po tym nastąpi całkowita normalizacja w stosunkach polsko-ukraińskich, która leży w interesie narodu polskiego i ukraińskiego*". A jeśli chodzi o wypowiedź pani poseł odnośnie Ukraińców, którzy do nas przyjeżdżają, to młodzi na polskich uczelniach nie pochodzą z rodzin, z których żołnierze walczą na froncie. Ukraińcy przyjeżdżają, ponieważ traktują pobyt u nas za niezły interes, można otrzymać pomoc, znaleźć partnera, mieszkanie, utrzymać rodzinę na wsi, która nie potrafi wykorzystać swojego potencjału (czarnoziem przy gospodarstwach leży odłogiem), otworzyć interes niczym konsul honorowy, właściciel sieci handlowej „Piotruś Pan" na Podkarpaciu. Nie czynimy tego, co zalecał nam Wiktor Poliszczuk: „*należy znaleźć sposoby na doprowadzenie do zorganizowania przez ośrodki naukowe szeregu sesji naukowych, poświęconych tematyce ideologicznej i programowych założeń oraz praktycznej działalności ukraińskich struktur nacjonalistycznych – w okresie międzywojennym, w okresie okupacji hitlerowskiej, bezpośrednio po wojnie, na Zachodzie, w Polsce i na Ukrainie, należy pokazywać prawdę o tragedii polskiej ludności Kresów Wschodnich II RP*". Obyśmy nie znaleźli się w sytuacji podobnej do obecnych relacji polsko-izraelskich. Nie tylko środowiska naukowe czy urzędowe nie są zainteresowane losem szczątków naszych Rodaków zamordowanych tylko dlatego, że byli Polakami (byli katolikami również). Jak napisał ks. Tadeusz Isakowicz - Zaleski na swoim blogu: „*Gdyby Kościół w Polsce choć część energii, którą wkłada w relacje z Żydami i Izraelem, poświęcił polskim katolikom na Ukrainie, to może część parafii odzyskałaby swoje kościoły, a kości ofiar UPA zostałyby wreszcie pochowane*". 11 lipca chcemy przekazać prawdę o tragedii polskiej ludności Kresów Wschodnich II RP w Warszawie przejściem na Skwer Wołyński a już 7 lipca w siedzibie IPN Przystanek Historia przy ul. Marszałkowskiej 21, odbędzie się konferencja popularno-naukowa.

Bożena Ratter

75 rocznica „Rzezi Wołyńskiej" na tle 100 rocznicy odzyskania „Niepodległości"

Redakcja

...dokończenie ze strony 1.

Konflikt rozpoczął się walkami o Lwów, a zakończył się po 8 miesiącach walk, bez formalnego zawieszenia broni. Po przełamaniu frontu pod Jazłowcem 12-13 lipca 1919 r. oddziały ukraińskie zostały zmuszone do wycofania się za Zbrucz, na teren URL. **W listopadzie 1919 państwa ententy przyznały Polsce mandat nad Galicją Wschodnią na okres 25 lat, który kilka lat później zamieniono na pełnoprawną obecność na tym terenie**. Jednak Ukraińcy nie zrezygnowali z aspiracji niepodległościowych, a dla strony polskiej zmiana granicy wschodniej była nie do pomyślenia. Polska bez Kresów nie mogła istnieć . W tym miejscu warto obalić lansowany przez Ukraińców **mit , że Małopolska Wschodnia i Wołyń były zawsze ziemiami etnicznie ukraińskimi.** Sprawa ma się jednak trochę inaczej, a pisze o tym między innymi : Marian Kałuski w art." Sprawy polsko- ukraińskie" (http://www.kworum.com.pl/art5310,tematy_polsko_ukrainskie.html)

*Małopolskę Wschodnią i zachodni Wołyń zamieszkiwały plemiona lechickie (Bużanie na Wołyniu, Biali Chorwaci w Małopolsce Wschodniej) i ziemie te (w granicach Grodów Czerwieńskich) znalazły się w granicach powstałego w latach 60. IX wieku państwa polskiego. Ich władcą był książę polski Mieszko I. Potwierdza to kronikarz kijowski Nestor, który pisze, że w 981 roku książę Włodzimierz Wielki wyruszył „ku Lachom" (ukraińska nazwa Polaków) i zajął ich (Polaków) ziemie. Wspomina o tym także ówczesna kronika niemiecka, która najazd Włodzimierza Wielkiego na ziemie Bużan i Białych Chorwatów nazwała najazdem na Polskę. Potem bez przerwy aż do XIV w. terytoria te były ziemiami spornymi, do których posiadania rościli sobie prawo władcy polscy; królowie Bolesław Chrobry i Bolesław Śmiały przyłączali je ponownie do Polski. W 1340 roku ich panem – z woli ostatniego księcia Rusi Halicho-Wołyńskiej Jerzego II, który pochodził z Piastów mazowieckich – został król polski Kazimierz Wielki**. ***Odtąd aż do 1772 roku nie tylko dzieliły one losy Polski, ale były ziemiami wyjątkowo wiernymi Rzeczypospolitej. Lwów został nawet nazwany miastem Semper Fidelis (zawsze wiernym Polsce)***. *Ziemie te po najazdach tatarskich i litewskich były bardzo wyludnione, a później wyludniały je częste najazdy Tatarów krymskich i Turków. Stąd trwała ich naturalna kolonizacja elementem polskim, niemieckim, wołoskim (z obecnej Rumunii), ormiańskim i żydowskim. Czyli od XIV wieku były to tereny wybitnie etnicznie mieszane. Prawda, przeważał na nich element ruski (tylko na wsi; miasta były zawsze niemiecko-polsko-żydowsko-ormiańskie, a później polsko-żydowskie, element ruski był w nich nieliczny). Element ruski przeważał na wsi, głównie dlatego, że w Polsce przedrozbiorowej nikt nie dbał o to, aby rozproszeni osadnicy polscy pozostawali Polakami, a Wołosi Wołochami. Jestem pewny, że gdyby Bóg chciał zabrać głos w tej sprawie, to dowiedzielibyśmy się, że co najmniej 50% dzisiejszej ludności tzw. Zachodniej Ukrainy (Małopolska Wschodnia) ma w swych żyłach krew polską. W Małopolsce Wschodniej były jednak nie tylko wsie czysto polskie czy których ludność była w większości polską, ale także całe gminy, a nawet powiaty, w których Rusini/Ukraińcy stanowili mniejszość ludność a Polacy większość (powiaty: brzeżański, buczacki, czortkowski, drohobycki, jarosławski, kamionecki, lwowski, mościski, podhajecki, przemyski, przemyślański, rudecki, skałacki, tarnopolski, trembowelski, zbaraski, zborowski, złoczowski). A więc w 18 powiatach na 42 powiaty Małopolski Wschodniej Polacy stanowili większość ludności. A trzeba przy tym pamiętać, że Polacy mieszkali na tych terenach od 600, 500, 400, 300, 200 czy chociażby 100 lat. To była ich ojczyzna, tam był ich dom, miedza i warsztat pracy ich kościoły z pokolenia na pokolenie oraz groby przodków.* **Tadeusz Hołówko** czołowy przedstawiciel idei prometejskiej, która zakładała współpracę zniewolonych narodów Związku Sowieckiego i Polski w imię walki o niezawisłość polityczną, pisał w **„Gazecie Polskiej" :**"*Społeczeństwo ukraińskie winno zrozumieć, że (...) element ukraiński ma prawo uważać się za współgospodarza kraju, któremu należy się pełnia praw równych z ludnością polską oraz poszanowanie jego interesów narodowych i kulturalnych*" . Niestety nacjonaliści ukraińscy po klęsce w latach 1918/1919 r. postanowili kontynuować walkę o „Samostyjną Ukrainę" w czasach pokoju międzywojennego. Nie interesowało ich żadne porozumienie ani współdziałanie. W lipcu 1920 r. byli oficerowie Strzelców Siczowych i Armii Galicyjskiej założyli podziemną organizację zbrojną UWO (Ukraińską Organizację Wojskową). Celem tej organizacji była kontynuacja zbrojnej walki o niepodległość, propagowanie idei nar. oraz szkolenie wojsk. młodzieży, a także przeciwdziałanie tendencjom zmierzającym do ugody między Ukraińcami a władzami państw uznanych za zaborcze (Polska, ZSRR). Początkowo (do 1922) UWO podejmowała akcje także na terenie ZSRR, później jej działalność koncentrowała się w Polsce i środowiskach emigr. (Czechosłowacja, Niemcy, Austria, Litwa, Gdańsk); najgłośniejszymi akcjami UWO **były zamachy na J. Piłsudskiego i wojewodę W. Grabowskiego (1921), S. Twerdochliba (udany, 1922), prezydenta S. Wojciechowskiego (1924), T. Hołówkę (1931), napad na Targi Wschodnie we Lwowie (1929).**

Zamachu na Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego dokonano **niebawem po sejmowym wystąpieniu Ignacego Paderewskiego,** premiera i ministra spraw zagranicznych RP, dotyczącym polityki wobec mniejszości i poszanowania jej praw: *[…] Bo nie masz człowieka, który by goręcej niż ja pragnął spokoju, pomyślności i szczęścia dla tej polskiej ziemi i dla wszystkich jej bez wyjątku dzieci. Tym tylko stale kierowany uczuciem, śmiem tutaj [...] wypowiedzieć pragnienie, ażeby w tej Czerwonej Rusi, którą dziś jeszcze Wschodnią Galicją nazywają, a której administracja nam została powierzona, abyśmy tam wprowadzili amnestię dla tych wszystkich, którzy w godziwy sposób przeciwko mam walczyli. Powinniśmy wymazać z pamięci wszystkie urazy i krzywdy, powinniśmy zapomnieć o przeżytych bólach i doznanych cierpieniach, powinniśmy zapomnieć, bośmy Polacy i chrześcijanie."* Większość Ukraińców przyjęła to stanowisko ze zrozumieniem i próbując zintegrować się ze społeczeństwem polskim i wspierając odbudowę kraju. Niestety skrytobójcy z UWO próbowali zastraszyć współplemieńców. Przykładem był mord prof. Sydora (Teodora) Twerdochliba. Pochodził on z patriotycznej rodziny ukraińskiej. Był nauczycielem gimnazjalnym, utalentowanym pisarzem i tłumaczem języka polskiego, jednym z najwybitniejszych literatów ukraińskich u. Zginął z rąk UWO za krzewienie idei zgodnego współżycia Polaków i Ukraińców. Z punktu widzenia zasad ukraińskiej organizacji terrorystycznej Twerdochlib był zdrajcą, którego dla zastraszenia innych należało zabić. UWO od połowy lat 20. stawała się ośrodkiem skupiającym rzeczników idei skrajnego nacjonalizmu; do 1929 r. Na I Kongresie Ukraińskich Nacjonalistów w Wiedniu 1929 r. , w którym wzięli udział delegaci Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO), środowisk emigracyjnych oraz młodzieżowych organizacji ukraińskich, **powołano Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN**). UWO została wchłonięta przez referat bojowy OUN. Polem działania OUN była przede wszystkim Małopolska Wschodnia, a w dokonaniu tego dzieła finansowo i logistycznie pomagali im wrodzy Polsce sąsiedzi: Niemcy, Litwini, Rosjanie, a w pewnych okresach Czesi. Jakkolwiek ruch skrajnie nacjonalistyczny – faszystowski, początkowo jeden z wielu prądów politycznych mniejszości ukraińskiej, z biegiem lat stał się najważniejszym. Prostymi, radykalnymi ideami opanował bowiem umysły ukraińskiej młodzieży. Terroryzm na terenie Polski objawiał się nie tylko zamachami na polskie i ukraińskie osobistości polityczne (8 udanych), ale i akcjami sabotażowymi przeciw mieniu publicznemu, społecznemu i prywatnemu. Ogółem w całym okresie 1921-1939 ukraińskie podziemie nacjonalistyczne przeprowadziło 63 zamachy w których zginęło łącznie: 36 Ukraińców (w tym jeden komunista), 25 Polaków, 1 Rosjanin i 1 Żyd, oraz 5 zamachów bombowych i 18 akcji ekspropriacyjnych**. Po zabójstwie Bronisława Pierackiego i Iwana Babija (1934) , Policja dokonała masowych aresztowań, które objęły prawie całą Krajową Egzekutywę OUN z Banderą i Szuchewyczem i wielu członków powiatowych i okręgowych władz OUN – łącznie ok. 800 osób** (prawie połowę czynnych członków OUN. Aresztowania sparaliżowały OUN, ale nie zniszczyły samej organizacji. W 1934 OUN na terenie II Rzeczypospolitej liczyła ok. 2000 zakonspirowanych członków wszystkich szczebli organizacyjnych. Szacuje się, że w latach 1929-1939 przeszło przez jej szeregi ok. 20 000 ludzi. Nowe kierownictwo wstrzymało szersze akcje bojowe.. Skoncentrowano się na odbudowie rozbitych struktur organizacyjnych i nielegalnych wydawnictw i na ich rozbudowie na terenie Wołynia, gdzie siatka organizacyjna OUN była dotąd słabo rozwinięta. Na Wołyniu dokonywano również po 1935 pojedynczych akcji terrorystycznych. Od początku roku 1939 członkowie OUN prowadzili przygotowania do zbrojnego powstania antypolskiego. Gromadzono broń i materiały wybuchowe, nadawano meldunki z radiostacji, prowadzono akcje szpiegowskie. Część z nacjonalistów ukraińskich, przeszkolonych wojskowo, przez Abwehrę, do działań dywersyjnych, połączyła się z ochotnikami z Siczy Karpackiej i została przeformowana w dwa bataliony dywizjonu ukraińskiego. Dywersanci zostali skierowani na tereny Małopolski Wschodniej, aby tam, w czasie najazdu Niemiec hitlerowskich, realizować zbrojną dywersję. Wywiad niemiecki zakładał bowiem, że w Małopolsce Wschodniej Polacy, ze względu na połączenie z Rumunią, mogą się bronić najdłużej. **Aby odnieść ostateczne zwycięstwo, ukraińscy szowiniści musieli swoje hasła – bezwzględnej walki z II Rzeczpospolitą i Polakami – zaszczepić całej ukraińskiej społeczności, zwykłym ludziom, często żyjącym z polskimi sąsiadami w zgodzie, a nawet zażyłości**.. Oparli swą agitację na podkreślaniu upośledzonej pozycji społecznej i socjalnej Ukraińców w Polsce. **Obiecano ukraińskim chłopom, że ziemia i własność zostanie Polakom i innym „czużyńcom" odebrana bez prawa do jakiegokolwiek wykupu czy odszkodowania. Aby usprawiedliwić takie łamanie prawa używali koronnego argumentu – „historycznej krzywdy ukraińskiej".** Najbardziej spektakularnym środkiem „propagandy" był sam terror i anarchizowanie państwa. Setki zamachów, napadów, podpaleń, służyły szerzeniu agresywnych postaw, wywoływały strach, podważały wiarę w siłę i stabilność Rzeczypospolitej. Gdyby nie odwołanie rozkazu ataku przez Niemców, a potem powstrzymanie mordowania Polaków przez Rosjan, to do ludobójstwa polskiej ludności cywilnej kresów doszłoby już jesienią 1939 roku. Nie mniej doszło do już wtedy do wielu zbrodni zarówno na ludności cywilnej, w tym uciekinierach z centralnej Polski, jak na drobnych oddziałach wojska polskiego. **Wreszcie 75 lat temu postanowili zaatakować Polaków w miejscu gdzie było ich najmniej, gdzie nie było żadnych oddziałów partyzanckich i gdzie nikt tego się nie spodziewał. Udało się im doprowadzić do „Rzezi bezbronnych sąsiadów" na Wołyniu.** Stosunkowo słabe jeszcze siły, dopiero co powstałej UPA, wsparli „czernią" (ciemnym chłopstwem) częściowo skuszoną obietnicą grabieży polskiego mienia, a częściowo sterroryzowaną. Fala zbrodni z Wołynia później rozlała się na sąsiednie województwa i następne lata. Kontynuowali dzieło które rozpoczęli w 1918 r., czyli wtedy gdy Rzeczpospolita odzyskiwała niepodległość. **Dziś Wołodymyr Wiatrowycz, ukraiński historyk i dyrektor Centrum Badań Ruchu Wyzwoleńczego we Lwowie mówi,** że na Wołyniu doszło do wojny polsko-ukraińskiej, gdzie z jednej strony była AK a z drugiej UPA. „**Ta wojna była w istocie przedłużeniem walki zbrojnej między Polską i Zachodnioukraińską Republiką Ludową, która zakończyła się w 1919 roku"** - pisze Wiatrowycz. Przekonuje przy tym, że w obu „wojnach", tej z lat 1918-1919 oraz z lat 1943-1944, głównym celem walczących stron było ustanowienie własnej kontroli nad spornymi terytoriami." (art. „Szukanie winnego").

Żołnierz Niepodległości - pułkownik „Lis- Kula”

Bogusław Szarwiło

Poszedł na wojnę mając zaledwie 17 lat. Zginął jako 22 -letni major Wojska Polskiego odznaczony orderem Virtuti Militari, awansowany pośmiertnie do stopnia pułkownika**. A zginął na Wołyniu w walce z Ukraińcami o miasteczko Torczyn, 6 marca 1919 roku**. Z okazji 100 rocznicy odzyskania przez nasz kraj niepodległości nie można zapomnieć o postaci, wzorze dla młodzieży wychowującej się w okresie międzywojennym. Jak wspominają świadkowie prawie w całej Polsce były szkoły, ulice, drużyny harcerskie jego imienia. Wszyscy znali jego krótki ale bohaterski szlak bojowy. Nie zamierzam w tym miejscu pisać jego biografii, bo takowe już napisano. Dla przykładu Marek Syriusz - Wolski, redaktor naczelny niezależnego magazynu strategicznego PARABELLUM. w artykule zatytułowanym „ **Niepodległa 2018. Historia niezwykła płk. Leopolda Lisa--Kuli** „ przypomina w doskonały sposób **tą** nietuzinkową ale zapomnianą postać jednego z «Żołnierzy

Niepodległości», najmłodszego pułkownika legionów- Leopolda Kulę- Lisa. (https://wszystkoconajwazniejsze.pl/marek-sarjusz-wolski-niepodlegla-2018-historia-niezwykla-plk-leopolda-lisa-kuli/). Ja zamierzam jedynie przypomnieć kilka faktów z jego życia które stało się wzorem dla młodzieży w okresie II RP. Urodził się 22 lata przed odzyskaniem niepodległości, 11 listopada 1896 roku. Rodzice mieszkali w Kosinie, koło Łańcuta Leopold Kula, pseudonim „Lis” przyjął po wstąpieniu do Związku Strzeleckiego w Rzeszowie. Tydzień po 18 urodzinach (a było to17 listopada 1914 r**.) porucznik Kula prowadził swoją kompanię do krwawego starcia pod Krzywopłotami**. (obecnie pow. olkuski**). Marszałek Józef Piłsudski nazwał to miejsce „Krzywopłockimi legionowymi Termopilami**. Boże Narodzenie 1914 r. por. Kula spędził wraz ze swoimi podopiecznymi w okopach **pod Łowczówkiem**, prawie po kolana w błocie. Odparli wszystkie rosyjskie szturmy. Rok 1915 to kolejne sukcesy. Pod Łagowem poprowadził kompanię pod ogniem artylerii tak, że ta nie straciła ani jednego żołnierza. Kiedy jego oddział przeniosły się na Wołyń i Polesie, na pomoc austriackim dywizjom, znów ujawnił się jego dowódczy talent - jednostka Lisa wyszła z okrążenia w nienagannym porządku i niemal bez strat. Pod Podhaciami jego żołnierze bronili się przed rosyjską piechotą przez sześć dni, niemal bez snu i jedzenia**. Legendarne wieści krążyły po krwawej bitwie pod Kostiuchnówką.** Austriacy odznaczają go krzyżem żelaznym**. 7 grudnia 1916 roku mianowany zostaje kapitanem oraz dowódcą VI batalionu – ma wówczas 20 lat** Dochodzi jednak do kryzysu przysięgowego. Wśród oficerów, którzy odmawiają złożenia przysięgi cesarzowi Wilhelmowi, Lis-Kula jest jednym z najznaczniejszych. **Gdy Legiony idą w rozsypkę, swój rozbrojony pułk prowadzi do Przemyśla. Austriacy degradują go do stopnia sierżanta i posyłają na front włoski.**. Od nowa musi pracować na oficerskie szlify, tymczasem jednak nosi zdobyte już odznaczenia bojowe, celowo akcentując, że zasłużył na stopień na polu walki.. Zamiast zorganizowanych i karnych polskich oddziałów dowodzi teraz rozpasanym „batalionem szturmowym”. Austriacy chcą mu utrzeć nosa i posyłają go na czele plutonu na straceńczą misję: przez bagna, tuż pod włoskie okopy. Lis pozycję wroga zdobywa, ale od wybuchu granatu ma kilkanaście ran w nodze. Natychmiast wysyłają do szpitala w Szambathely (Węgry). Tam jednak ucieka ze szpitala i przybywa do Krakowa ale już pod rozkazy Rydza -Śmigłego. Nieco później trafia na wschód. Na Ukrainie, oddanej państwom centralnym mocą traktatu brzeskiego, Lis-Kula ma koordynować działania polskich oddziałów wojskowych i organizacji podziemnych. Parę miesięcy przed ogłoszeniem niepodległości Lis zostaje komendantem naczelnym POW na Ukrainie. **Nie mógł zapewne Lis-Kula wymarzyć sobie lepszego prezentu urodzinowego. W dniu, w którym skończył 22 lata, 11 listopada 1918 roku, Polska odzyskała niepodległość** Ukraińcy zaczynają przejmować od Niemców władzę i kiedy zaczynają się walki o Lwów, Lis--Kula zarządza mobilizację polskich oddziałów. W czasie, gdy Piłsudski powraca z Magdeburga do Warszawy i obejmuje władzę, Lis-Kula zostaje aresztowany w Brodach. Na szczęście dla niego Ukraińcy nie wiedzą, kogo pojmali. Wkrótce opuszcza areszt i melduje się w Lublinie. Ma współtworzyć korpus oficerski w odrodzonej Polsce. Prowadzi wykłady dla oficerów, ale siedzieć w koszarach nie chce - ciągnie go na wschód. „Mogę już spokojnie zginąć, tylko jeszcze mi się trochę chce polskiej wojny zakosztować” - mówł. Po koniec listopada 1918 roku Lis przedziera się przez posterunki ukraińskie i melduje się u Rydza (wówczas dowódcy DOG w Lublinie). Zostaje mianowany majorem i obejmuje dowództwo II batalionu 23 pp, z którym wyrusza na początku stycznia 1919 roku na front ukraiński. W końcu lutego 1919 roku obejmuje dowództwo grupy wojsk, złożonej z dwóch batalionów piechoty oraz słabych jednostek kawalerii i artylerii. Na początku marca śmiałym manewrem zdobywa Poryck. 6 marca 1919 roku w trakcie natarcia na Torczyn zostaje ciężko ranny w pachwinę. „Sam powalił -wspomina jego podkomendny M. Królikowski- wystrzałem z pistoletu dwóch znajdujących się tuż przed nim Ukraińców, lecz jeden z następnych żołnierzy ukraińskich strzelił w tym czasie z karabinu wprost na dwa kroki od Lisa i ugodził kulą w pachwinę”. W trakcie operacji 7 marca umiera. Następnego dnia komunikat Sztabu Generalnego ogłosił: „Dla przeszkodzenia koncentracji nieprzyjacielskiej na północ i zachód od Łucka wojska nasze przeprowadziły wspólną akcję od Hołubów i Włodzimierza Wołyńskiego. Jedna z naszych kolumn pod dowództwem majora Lisa-Kuli zaatakowała Torczyn, broniony uporczywie przez większe siły ukraińskie i artylerię. Po zaciętej walce miasteczko to wpadło w nasze ręce. Nad kolumną, skierowaną na wschód od Torczyna, przeznaczoną dla odcięcia odwrotu nieprzyjacielowi, objął dowództwo sam major Lis-Kula, biorąc na siebie po raz ostatni najodpowiedniejsze, lecz i najniebezpieczniejsze zadanie. Śmierć nie oszczędziła tego dzielnego żołnierza, a wróżącego wielkie nadzieje dowódcy. Ciężko ranny, wkrótce zmarł. Młoda Armia Polska straciła jednego z najlepszych swych oficerów”. W Warszawie odbył się pogrzeb, awansowanego do stopnia pułkownika, Leopolda Lisa-Kuli. Przed lawetą armatnią, na której spoczywała trumna z ciałem Pułkownika, toczył się żałobny rydwan, ozdobiony wieńcem z napisem:” Memu dzielnemu chłopcu – Józef Piłsudski”. **Jeszcze tego samego dnia trumna wyruszyła do Rzeszowa, gdzie 16 marca 1919 r. odbył się jego pogrzeb. W rodzinnym mieście żegnały go wielotysięczne tłumy**. W 1932 roku uroczyście odsłonięto, z udziałem m.in. Rydza-Śmigłego, Sosnkowskiego, Wieniawy oraz marszałkowej

Piłsudskiej, pomnik Lisa w Rzeszowie. Pomnik został zniszczony przez Niemców 11 listopada 1940 roku. W okresie PRL jego imię usuwano z nazw wielu szkół, zachowała je jedynie jedna z krakowskich drużyn harcerskich. W miejscu, gdzie stał monument 11 listopada 1981 r., po raz pierwszy od 1939 r., Solidarność zorganizowała obchody rocznicy odzyskania przez Polskę; ten dzień to także data jego urodzin. Pomnik odbudowano w latach 90. ubiegłego wieku. W tym czasie również , przywrócono jego imię dwóm szkołom w Rzeszowie oraz XIII L.O. w Warszawie.

Władze lokalne Rzeszowa pamiętają o chłopaku z Rzeszowa, wnuku powstańca styczniowego i skaucie zastępu „Lisów” , którego pomnik stoi w sercu stolicy Podkarpacia. Dowodem na to patriotyczne uroczystości organizowane od lat, a szczególne w tym roku. W roku jubileuszu 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości 6-7 marca 2018 r. w Rzeszowie odbyły się obchody 99. rocznicy śmierci płk. Lisa--Kuli**. 6 marca** złożono kwiaty i zapalono znicze przy grobie płk. Leopolda Lisa-Kuli na cmentarzu Pobitno w Rzeszowie**. 7 marca** odbyła się okolicznościowa akademia w auli II Liceum Ogólnokształcącego im. płk. Leopolda Lisa-Kuli. Następnie o godz. 12.00 odprawiono uroczystą Mszę Świętą pod przewodnictwem ks. bpa. Kazimierza Górnego w kościele Świętego Krzyża, podczas której swoje ślubowanie złożyło ponad stu uczniów szkół podstawowych - Orląt Związku Strzeleckiego Strzelec Józefa Piłsudskiego. Uczestnicy obchodów rocznicowych uroczyście przemaszerowali przed pomnik swojego patrona.

Głównym punktem uroczystości było złożenie przyrzeczenia przez młodzież Związku Strzeleckiego Strzelec Józefa Piłsudskiego z Rzeszowa, Stalowej Woli, Leżajska, Nowej Dęby, Sędziszowa Małopolskiego, Kołaczyc, Brzeska, Mielca, Niska, ale również z Torunia, Warszawy, Wrocławia i Lwowa. Rotę przyrzeczenia odczytał Jan Józef Kasprzyk - szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Listy do uczestników uroczystości przesłali premier Mateusz Morawiecki, wicepremier Beata Szydło oraz marszałek sejmu Marek Kuchciński. Odbył się również apel pamięci, salwa honorowa, pokaz sprawności młodzieży strzeleckiej, defilada pododdziałów. W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie dr Dariusz Iwaneczko, dr Piotr Szopa i dr Jacek

Magdoń. W tym dniu dr Jacek Magdoń przeprowadził spacer historyczny „Śladem pułkownika Leopolda Lisa-Kuli" dla Samodzielnej Jednostki Strzeleckiej Strzelec im. kpt. Bolesława Zajaczkowskiego we Lwowie oraz młodzieży Szkoły Ogólnokształcącej nr 10 im. Świętej Marii Magdaleny we Lwowie, którzy przyjechali na uroczystą przysięgę z Erykiem Mateckim - komendantem Związku Strzeleckiego Strzelec Józefa Piłsudskiego we Lwowie. Niestety media ogólnopolskie nie były zainteresowane tym tematem, dlatego informacje można znaleźć jedynie w internecie.

Źródła:

1) Biografia Leopolda Lisa - Kuli http://www.gminalancut.pl/asp/pl_start.asp?typ=14&sub=25&menu=52&strona=1

2) Lis-Kula pierwszy bohater Niepodległej- https://www.salon24.pl/u/chris1991/118441,lis-kula-pierwszy-bohater-niepodleglej 3) F. Demel, W. Lipiński – Pułkownik Lis-Kula

4)http://www.strzelec.erzeszow.pl/old/nasze_pismo_strzelec/STRZELEC%20Nr%201_2009.pdf

5) http://dzieje.pl/aktualnosci/rocznica-smierci-plk-leopolda-lisa-kuli

6) https://rzeszow.ipn.gov.pl/pl8/aktualnosci/47830,Obchody-99-rocznicy-smierci-plk-Leopolda-Lisa-Kuli-Rzeszow-6-7-marca-2018.html

/ foto: za: https://rzeszow.ipn.gov.pl/pl8/aktualnosci/47830,Obchody-99-rocznicy-smierci-plk-Leopolda-Lisa-Kuli-Rzeszow-6-7-marca-2018.html

Te rodziny wnosiły europejską kulturę na wschodnich terenach RP

Bożena Ratter

O Dzieduszyckich można mówić godzinami –prof. Kazimierz Karolczak, Rektor Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie rozpoczął referat o stratach rodziny w okresie II wojny światowej na konferencji *„Zagłada ziemian 1939-1945"*. Zaliczamy ich do znaczących polskich rodzin historycznych o udokumentowanej przeszłości sięgającej początków XV wieku. Po rozbiorach większość Dzieduszyckich stała się poddanymi Habsburgów, w chwili wybuchu II wojny ziemia uprawna i lasy ordynacji zostały zagarnięte przez bolszewików. Jedynie si**edziba ordynata w Zarzeczu** pozostała po stronie polskiej i chwalebnie zapisała się w okresie okupacji. Tam **przyjmowano wygnańców z Wielkopolski, odbywało się tajne nauczanie, ordynat zatrudniał niewspółmiernie do potrzeb ludzi**, ratując ich od wywiezienia na roboty do Niemiec. Po wojnie ordynację zlikwidowano, Dzieduszyckich wypędzono z pałacu. Prócz tego, że utracono hektary lasów i ziem, utracono także **Muzeum Przyrodnicze im Dzieduszyckich we Lwowie oraz bibliotekę poturzycką**. Jeśli mówimy o stratach rodzin historycznych, mocno rozgałęzionych i bogatych to są straty w sensie osobowym – życia ludzkiego , materialnym i przede wszystkim kultury, bo **te rodziny wnosiły w polską (europejską) kulturę na wschodnich terenach Rzeczypospolitej ogromnie wiele**. I wraz z końcem istnienia tych rodzin na tych terenach ta kultura zanikała, albo była niszczona albo zapominana. To są straty trudno policzalne. Muzeum Przyrodnicze pozostawione przez Dzieduszyckich we Lwowie to pierwsze w Europie prywatne muzeum przyrodnicze na taką skalę w XIX wieku, założone przez ordynata Włodzimierza Dzieduszyckiego i podarowane krajowi. Zbudowane i utrzymywane przez jedną rodzinę do wybuchu II wojny światowej (ordynacja została w założona dla utrzymania muzeum). Drugie dziedzictwo to fantastyczna biblioteka poturzycka tworzona przez Dzieduszyckich od pierwszej połowy XIX wieku, jedna z największych bibliotek we Lwowie. Ona dzisiaj nie istnieje. **Nieliczne starodruki z pieczęcią JD lub JWD można znaleźć w pleśniejących zbiorach lwowskiego (polskiego) Ossolineum**. Znaczna część zbiorów, rzadkie książki, starodruki, była przekazywana podczas wojny (1939-1941) Ukraińcom na opał za samogon przynoszony przez nich. To są wymierne straty, które poniosła nasza kultura i rodzina Dzieduszyckich. Brat ordynata, Stanisław, miał majątek k. Stryja. Uprzemysłowione, znakomicie prosperujące gospodarstwo rybne i bardzo dobre szkółki ogrodnicze, z którymi Dzieduszycki jeździł po wystawach. W Poznaniu uzyskał nagrody na ogólnopolskiej wystawie – **dzisiaj nie ma śladu po Sokołowie,** wszystko zostało zniszczone. Całe miasteczko spalone w czasie wojny a Ukraińcy z okolicznych wsi wynieśli z pałacu co dało się, nie pozostał kamień na kamieniu. Okrutny los spotkał Dzieduszyckich z innego, małego majątku - zamordowani przez bandy ukraińskie. **Dzieduszycki** był nie tylko zamordowany, on **był obdzierany ze skóry, ćwiartowany, resztki jego ciała wieszano na drzewach w lesie**. Dzieci jakaś Ukraina wpuściła do studni, przetrwały ale nie miały możliwości wyjechania, żyły w kołchozie. Jedną z córek przewodniczący kołchozu wziął za kochankę – bardzo tragiczny los tych ludzi. To właśnie ich zagładę będziemy przypominać podczas Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach II RP. Synem Marii Dzieduszyckiej i Tadeusza Cieńskiego (polityka, posła na Sejm galicyjski, działacza społecznego, przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego we Lwowie podczas walk o miasto w 1918 r., senatora II RP) a wnukiem fundatora Muzeum Przyrodniczego we Lwowie, jest **ks. Włodzimierz Cieński**, wielkiego formatu człowiek, kapelan armii Andersa. KIK i Stowarzyszenie Pamięci Polskich Termopil i Kresów w Przemyślu dla uczczenia 100 rocznicy odzyskania Niepodległości oraz pamięci ks. Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka, a także ks. Bronisława Mireckiego (brata pani Marii Loryś - Mireckiej) zorganizowali patriotyczną pielgrzymkę do polskich korzeni na ziemiach wschodnich RP, do grobów Legionistów, „Orląt Lwowskich", Obrońców Odrodzonej Rzeczpospolitej, a także do grobów i miejsc pamięci Polaków zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA. Z wielką godnością i wzruszeniem pielgrzymi uczestniczyli w mszach św. i modlitwach koncelebrowanych przez pielgrzymujących z nimi księży w miejscach pamięci na dawnych ziemiach Rzeczpospolitej i zapalali znicze pamięci tym Rodakom, o których winniśmy pamiętać. Jednym z miejsc był Złoczów. Kościół czynny był nawet w okresie władzy radzieckiej, a **proboszczem od 1938 do 1992 roku ks. Jan Cieński**, wyświęcony potajemnie na biskupa przez papieża. Ks. Jan Cieński to również **wnuk fundatora Muzeum Przyrodniczego** im. Dzieduszyckich we Lwowie, brat ks. Włodzimierza Cieńskiego. Dzięki pomocy, której udzielił ks. Jan Cieński napotkanemu przy drodze ciężko rannemu człowiekowi (oddał w szpitalu krew czym uratował mu życie), który okazał się ważnym dla NKWD, kościół nie został zburzony a ksiądz nie został zesłany. We wczorajszym poranku w radiowej trójce Marcin Wolski wyraził swój stosunek do postaw ludzkich, nie lubi wielkich bohaterów a woli takich niepokornych jak np. suspendowani księża. Nie wiem czy to był żart, może pomylił się a miał na myśli ks. Stanisława Małkowskiego. Ciekawe, dziadek ks. Stanisława Małkowskiego miał swój epizod w walce w obronie Lwowa w 1918 roku, przeżył obóz w Sachsenhausen a po wojnie założył Muzeum Ziemi na Skarpie i był jego pierwszym dyrektorem. W Złoczowie trafił w moje ręce dwujęzyczny Monitor Wołyński współfinansowany przez Senat RP i Fundację Wolność i Demokracja. Niestety, nie znalazłam tam promowania twórców europejskiej kultury na terenie obecnej Ukrainy. W artykule pt. Filmy o Wołyniu nie było wzmianki o śladach polskości na Wołyniu, o ważnych z punktu widzenia polskiego interesu miejscach i tematach, natomiast autor projektu napisał: „ wybierałem najciekawsze miejsca, a także mało popularne, takie jak fort w Tarakanowie. Najważniejsze było, żeby te historyczne miejsca nadal istniały". Dla ciekawych: fort został zbudowany dla obrony zachodniej granicy Imperium Rosyjskiego. No cóż, zacierane są kompletnie ślady polskości, rosyjskie można promować. Tylko dlaczego za moje pieniądze? A jeśli chodzi o literaturę, nauczyciel języka polskiego skierowany do Łucka cytował w Monitorze Wołyńskim fragmenty twórczości Olgi Tokarczuk. W Zarzeczu od 10 lat działa Muzeum Dzieduszyckich. Ciekawe, w pobliżu Muzeum Dzieduszyckich w Zarzeczu znajduje się kolejne centrum handlowe ukraińskiego konsula „Piotruś Pan".

Rodzina Dzieduszyckich w pałacu w Pieniakach (rok 1911)

/ Rodzina Dzieduszyckicj. Źródło www.lwów.com.pl

Bożena Ratter

Bez prawdy nie ma pojednania

Aleksander Szumański

KONFERENCJA NAUKOWA „NIEDOKOŃCZONE MSZE WOŁYŃSKIE" W POLSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE W RAMACH OBCHODÓW 75 ROCZNICY LUDOBÓJSTWA NA WOŁYNIU.

W dniu 25 czerwca 2018 roku odbyła się w PAU w Krakowie konferencja naukowa w ramach obchodów 75 rocznicy ludobójstwa na na Kresach Południowo - Wschodnich II RP.

Rocznicowe obchody „Niedokończone msze wołyńskie" – Kraków, 25 czerwca 2018 odbyły się pod honorowym patronatem JE ks. abp. Marka Jędrzejewskiego, metropolity krakowskiego oraz prof. dr hab. Ryszarda Legutki, posła do Parlamentu Europejskiego.

Podczas konferencji naukowej „Ludobójstwo na Kresach Południowo-Wschodnich 1943–44. Aspekt diecezjalny i teologiczny", która odbyła się w auli PAU w Krakowie, mówiono o duchownych zamordowanych podczas rzezi wołyńskiej.

– ***„Tragedia ta okaleczyła setki tysięcy Polaków. Wschodnie ziemie II RP, określane Kresami, to niezwykle ważny obszar dla naszej kultury i tożsamości. Niestety wiedza młodego pokolenia na ten temat jest niezwykle ograniczona. IPN czyni wiele, żeby tę pamięć przywracać. Bez tej pamięci nie zrozumiemy, czym jest Polska"*** **– mówił prezes IPN dr Jarosław Szarek.**

Masowa akcja przeciwko ludności polskiej przeprowadzona przez Ukraińską Powstańczą Armię (UPA) na Wołyniu, określana mianem Rzezi Wołyńskiej, rozpoczęła się 11 lipca 1943 r. Tego dnia, nazwanego później Krwawą Niedzielą, zaatakowano ludność z blisko 100 polskich miejscowości. Historycy oceniają, że podczas rzezi wołyńskiej zginęło od 30 do 60 tys. Polaków. (wielu historyków tę liczbę określa
od 60 - 100 tysięcy pomordowanych - dopisek AS redakcja KSI).

Strona ukraińska ocenia swoje straty na 10-12, a nawet 20 tys. ofiar, przy czym część ofiar zginęła z rąk UPA za pomoc udzielaną Polakom lub odmowę przyłączenia się do sprawców rzezi.

– ***„Wiele mówimy o pojednaniu. W naszej cywilizacji i tradycji Kościół jest miejscem spotkania z Bogiem, jest miejscem pokoju. Przez lata to właśnie w Kościele znajdowano azyl i schronienie. 11 lipca 1943 r. to wszystko zostało w tak bestialski sposób zburzone. W tych kościołach doszło do zbrodni, polała się krew, wyrządzono setkom ludzi krzywdę, wielu zapłaciło życiem"*** **– mówił Szarek.**

W rozmowie z dziennikarzami prezes IPN powiedział, że 75. rocznica ludobójstwa na Wołyniu to ostatni moment, kiedy świadkowie tych dramatycznych wydarzeń mogą wziąć udział w obchodach. Dodał, że na początku lipca 2018 r. planowana jest duża międzynarodowa sesja o relacjach polsko-ukraińskich w czasie II Wojny Światowej z udziałem naukowców z Polski i Ukrainy.

– Chcemy, żeby ta wiedza docierała także do młodego pokolenia i organizujemy warsztaty dla nauczycieli, pokazy filmów dokumentalnych i spotkania z ostatnimi świadkami – mówił dr JarosławSzarek. Dodał, że warsztaty będą się odbywać w całej Polsce na początku września 2018 r.

Poseł do PE prof. Ryszard Legutko mówił podczas konferencji, że ***„ludobójstwo na wschodnich terenach II RP to jedno z tych zdarzeń, które umykają wyobraźni ludzkiej i każą się zastanawiać nad mrocznymi stronami naszej natury". – |"To jest także jedna z najboleśniejszych kart naszej historii"*** **– mówił prof. Legutko. –** ***„Wydarzenie bolesne z uwagi na to, że przez tyle lat było wymazywane z kart książek i podręczników wydawanych w Polsce, a i teraz można odnieść wrażenie, że nie jest temu ludobójstwu oddawana moralna sprawiedliwość w takim zakresie, w jakim być powinna"*** **– powiedział.**

Historyk ks. prof. Józef Marecki stara się od lat skompletować listę osób duchownych, zakonników i kleryków zamordowanych w czasie II Wojny Światowej na Wołyniu.

Jak podkreślił ks. Marecki, dotarcie do rzetelnych informacji utrudnia brak archiwaliów oraz bezkrytyczność w zbieraniu relacji świadków i informacji w latach 50. i 60.

Dr Leon Popek z IPN powiedział, że Polacy mieszkali na Wołyniu w 2,5 tys. miejscowości, z których 1,5 tys. nie ma już na mapach, a zaledwie kilka proc. zamordowanych osób ma pochówek. Dodał, że księża byli mordowani w okrutny sposób. – Wielu zginęło 11 lipca razem ze swoimi wiernymi. Wielu z nich było wcześniej ostrzeganych, mogło uciec, ale tego nie zrobiło – powiedział historyk.

Prof. Józefa Brygowa, która jako kilkuletnie dziecko została ocalona z rzezi na Podolu, mówiła dziennikarzom, że przez wiele lat emocje były tak wielkie, że nie potrafiła odpowiadać o tym, czego była świadkiem. – Chodzi nam o pamięć i o upamiętnienie ofiar. Nie możemy o nich zapomnieć. Wiemy dobrze, że historia kołem się toczy, że może się powtarzać. I dlatego zawsze podkreślam, że emocje muszą być uspokojone, że warto przekazywać wiedzę następnym pokoleniom, żeby nic podobnego nigdy się nie powtórzyło – podkreśliła.

Dla Polaka wychowanego w kręgu cywilizacji łacińskiej, Kościół zawsze był schronieniem. 11 lipca 1943 r. – w tak zwaną Krwawą Niedzielę" próbowano nam to odebrać w bestialski sposób. Krew polała się w kościołach, a przerwane Msze nie zostały dokończone do dzisiaj. Nie ma pojednania bez poznania prawdy – takie przesłanie przynieśli ze sobą uczestnicy konferencji „Niedokończone Msze wołyńskie", zorganizowanej w Państwowej Akademii Umiejętności w Krakowie.

– Pytanie zasadnicze: ***„czy za to zło odpowiedzialny był tylko diabeł, czy może człowiek, który poddał się woli diabła"*****? – pytał ks. prof. dr hab. Franciszek Longchamps de Berier i nie miał wątpliwości, że to, co działo się na Wołyniu, było wcieleniem osobowego Zła. Zdaniem duchownego, człowiek może popełniać zło z chęci czynienia dobra, lub złem się zachłysnąć i popełniać je z czystej przyjemności, tak jak podczas Rzezi Wołyńskiej. Jednocześnie zaznaczył, że** ***„nie wystarczy pamiętać, potrzeba przebaczenia i postawy miłosierdzia"*****. Również dla katów.**

Prof. dr hab. Józef Marecki z kolei wskazał, że informacje o pomordowanych w wołyńskiej rzezi księżach zaczęły spływać stosunkowo szybko. – Już

podczas II Wojny Światowej zaczęto przekazywać dane do instytucji kościelnych, kto, skąd i w jaki sposób zginął. Czasem nawet już w kilka godzin po śmierci. Po 1945 roku przygotowywano materiał w kuriach, jacy bracia, księża czy osoby zakonne zginęły – na podstawie tych informacji powstały wybitne dzieła: „Martyrologium polskiego duchowieństwa", „Droga krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II Wojny Światowej 1939-1945" i wiele innych – powiedział.

Na Wołyniu mieszkało oprócz katolików wielu innych chrześcijan. Byli wśród nich zarówno grekokatolicy, ormianie, luteranie, kalwini czy prawosławni. W nacjonalistycznej ideologii chodziło o zniszczenie pamięci o człowieku, dlatego mordowano nawet osoby przekazujące dane do Kurii. Jak zaznaczył ks. prof. Marecki, istnieją problemy z klasyfikacją ofiar, gdyż duchowni byli ofiarami zarówno bezpośrednich ataków nacjonalistów, jak i tracili życie na skutek bardzo częstych donosów do okupanta autorstwa ludności ukraińskiej (powszechne były oskarżenia o np. ukrywanie Żydów czy przechowywanie partyzantów). Łącznie zamordowano ponad 200 katolickich księży oraz tych spośród prawosławnych i grekokatolików, którzy pomagali Polakom.
Łacińskich duchownych mordowano dlatego, że byli Polakami (a dla nacjonalistów ukraińskich to największa wina) – to był kąkol, który trzeba było wyciąć – cytował podręcznik nacjonalistów ks. prof. Marecki. Bycie Polakiem oznaczało dla Ukraińca grzech pierworodny. Wraz z zabijaniem duchowieństwa burzono cmentarze, kościoły, a czasem nawet wycinano drzewa z terenu parafii.
Dzisiaj, jeżeli zapytać lokalnego duchownego ukraińskiego, to wcześniej na tych terenach przed Ukraińcami „nic nie było", a ślad o Polakach jest wymazywany nawet w seminariach duchownych. Neounitów – wiernych Kościoła katolickiego obrządku bizantyjsko-słowiańskiego – uważano za zdrajców. Każdy, kto odchodził z Kościoła greckokatolickiego lub prawosławnej Cerkwi, uważany był za popełniającego grzech przeciwko narodowi. Prawosławnych mordowano, gdy wobec braku katolickich księży odprawiali dla katolików nabożeństwa. Byli na celowniku nacjonalistów, gdyż bardzo zdecydowanie sprzeciwiali się UPA i OUN oraz dlatego, że niektórzy mieli żony Polki. Za odprawienie pogrzebu Polaka także groziła kara śmierci. Stracić życie można było też za nawoływanie do zaprzestania przemocy i opamiętania.
– Nie chcemy popełnić grzechu zapomnienia, grzechu zaniedbania – dlatego zajmujemy się tym naukowo. Kiedy nie mówimy o nich, mordujemy ich po raz drugi – wskazał ks. prof. Marecki oraz zacytował powiedzenie oddające dramat tamtych czasów: „mówią że kapłan jest z ludu, pochodzi z ludu. A my na Wołyniu mówimy, że kapłan umiera z ludem".
Dr Leon Popek, zaznaczył, że żadna inna diecezja, jak diecezja łucka oraz wołyńska, nie poniosła takich strat liczebnych. W 1939 r na Wołyniu było 166 parafii z około 350 tys. wiernymi. W 1945 roku – pozostała tylko jedna, a 70 proc. parafii dosłownie zrównano z ziemią.
Tragedia wołyńskiego duchowieństwa rozpoczęła się już 1 września 1939 roku. Nacjonaliści ukraińscy dokonywali licznych napadów na przedstawicieli administracji (urzędników, policjantów, żołnierzy, leśniczych czy pracowników straży granicznej).
Wobec wprowadzania komunistycznej indoktrynacji, księża nie zaprzestali posługi duszpasterskiej i byli na cenzurowanym, a następnie trafiali w szpony NKWD. Z 260 księży tylko 2 nie było represjonowanych. Łucki ordynariusz bp Adolf Szelążek jako jedyny na tych terenach zorganizował tzw. parafialne komitety pomocy, dla rodzin tych, którzy zostali wywiezieni na Syberię. Żeby podtrzymać na duchu tych ludzi, cały czas sprawowali posługę np. udzielając na peronach, skąd wywożono Polaków na Sybir, absolucji ogólnej na wypadek śmierci.
Bp Adam Szelążek wysyłał także misjonarzy w konspiracji idących za wojskiem niemieckim do m.in. diecezji żytomierskiej i innych.
Za czasów okupacji niemieckiej zostało zamordowanych ponad 240 tys. Żydów. Wśród oprawców była policja ukraińska. Po powtórnym wkroczeniu Sowietów, policjanci wstąpili w szeregi UPA i wykorzystali zdobyte doświadczenie w Rzezi Wołyńskiej. To głównie oni dowodzili morderstwami.

Skąd taka skala zbrodni?

– *„Macie być straszni, aby 10 pokolenie bało się patrzeć w tę stronę"!* – głosiło jedno z nacjonalistycznych wytycznych. Istotnie, do dzisiaj niektórzy potomkowie boją się jechać na groby rodziców.
Wołyńscy księża zostali po części zapomnieni także przez Kościół. W przypadku tylko jednego z ponad 200 zamordowanych prowadzony jest proces beatyfikacyjny.
Księża ginęli w sposób okrutny. Podczas tzw. Krwawej Niedzieli zabijano ich także podczas Mszy św.. Wszyscy mieli szansę ucieczki, docierały do nich informacje o zbliżających się morderczych sotniach. Oni jednak zostali i wytrwale prowadzili pracę duszpasterską w parafiach.
– „Jakim byłbym księdzem, gdybym w momencie próby zostawił swoje owce na pożarcie wilkom" – miał powiedzieć jeden z księży żołnierzom AK, którzy chcieli, by uciekał z nimi.
Według dr hab. Andrzeja A. Zięby, nacjonaliści naciskali na prawosławnych sprzyjających Polakom i starających się powstrzymać masowe mordy.
Słynne powiedzenie, że „popi święcili kosy rezunów" – nie jest do końca prawdą. Jednak faktem jest, że wobec mordowania Żydów Cerkiew prawosławna siedziała cicho. Wobec zagłady Polaków zachowano się nieco inaczej. Biskupi autokefaliczni w pełni poparli UPA, jednak nie zrobili tego oficjalnie (ze względu na sprawujących swoją administrację Niemców). Prawdziwe jest stwierdzenie, że Cerkiew prawosławna – z nielicznymi wyjątkami – pozostała zupełnie obojętna wobec mordowania Polaków.

Po konferencji odbył się przedpremierowy pokaz filmu dokumentalnego „Niedokończone msze wołyńskie" (reż. Tadeusz Arciuch i Maciej Wojciechowski), a o godz. 17.30 w Katedrze Wawelskiej odprawiona została Msza św. w intencji duchowieństwa wołyńskiego i ludności cywilnej – ofiar zbrodni.
Organizatorami obchodów były: Komisja Wschodnioeuropejska Polskiej Akademii Umiejętności, Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie, Sekcja Historyczna Polskiego Towarzystwa Teologicznego, Muzeum Armii Krajowej oraz Stanica Kresowa.

Patronat medialny: „Gość Niedzielny", „Krakowskie Pismo Kresowe", „Wołanie z Wołynia", „Pauza Akademicka", TVP Historia.

Opracowanie na podstawie komunikatu PAP.

Źródła:

krakow.gosc.pl

https://krakow.ipn.gov.pl/pl4/aktualnosci/54532,Rocznicowe-obchody-quotNiedokonczone-msze-wolynskiequot-Krakow-25-czerwca.html

https://krakow.gosc.pl/doc/4837350.Bez-prawdy-nie-ma-pojednania

https://www.pch24.pl/niedokonczone-msze-wolynskie--zapomniana-karta-historii-ukrainskiego-ludobojstwa,61177,i.html

Opinię Karola Krafta poręczoną swym majątkiem

Bożena Ratter

Podczas uroczystości przygotowanych na 100-lecie Odzyskania Niepodległości i 100-lecie Obrony Lwowa w Kędzierzynie Koźle, zorganizowanych przez władze samorządowe i Witolda Listowskiego, zabrał również głos Jan Skalski: *Minister Beck powiedział, że w życiu narodów i państw liczy się wiele wartości a jedna z bezcennych, to sprawa honoru. Obchodzimy w tym roku setną rocznicę zmartwychwstania Rzeczypospolitej po 123 latach niewoli. Granice Rzeczypospolitej wyznaczali nasi żołnierze, tym pierwszym a jakże skutecznym żołnierzem jest miasto Lwów odznaczone Krzyżem Virtuti Militari. Chwilowo Rzeczypospolitej tam nie ma, myśmy nie utracili małej ojczyzny, tam została duża część naszego państwa, naszego narodu, który żyje w ciężkich warunkach i oczekuje na pomoc Rzeczypospolitej. Ukraińcy o nastawieniu nacjonalistycznym wymordowali część narodu w formie okrutnej, ale pamiętać należy, że w 1939 roku zamordowano tam Rzeczypospolitą. Jednak tam pozostała nasza kultura, cywilizacja europejska, którą tam ułożyliśmy. ..Węgry uzależniły wejście Ukrainy do UE od poszanowania praw mniejszości węgierskiej, która została na ziemiach odebranych.* A co my robimy? I nie chodzi o zbieranie pieniędzy na nowy kościół we Lwowie bo będzie on służył tak jak i Dom Polski Ukraińcom, chcemy odzyskać nasze polskie kościoły, miejsca drogie nam i naszym Rodakom i naszej kilkusetnej historii, zainteresowania dla naszych rodaków oczekujących posługi w języku polskim i pomocy finansowej. Student z Ukrainy w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu otrzymuje 1500 zł stypendium, które wywozi do domu by utrzymać całą rodzinę. Mniejszość polska żyje z emerytury w wysokości 300 zł. *Tymczasem na publicznych budynkach związanych z Polską pojawiają się tablice z Banderą a w patriarchacie kijowskim kanonizuje się zbrodniarzy z UPA, którzy mają ręce zabrudzone krwią. Prezydent Ukrainy chce ten kościół legalizować a polska cerkiew i inne kościoły nie godzą się na to*! – dodał obecny podczas uroczystości patriarcha. Niszczone, okaleczane są budowane i utrzymywane przez wieki cuda europejskiej architektury, ośrodki użyteczności publicznej, fałszowana jest historia architektury, przestrzeni publicznej, obiektów kultury i sztuki poprzez przemalowanie, zdzieranie inskrypcji, tablic, pomników, umieszczanie niezgodnych z faktem treści itp., niszczone są polskie cmentarze i groby przedstawicieli naszego narodu. To nie była mała ojczyzna jakiś Kresowian – jak wyraził się Marszałek Kuchciński w liście skierowanym do organizatorów, to znaczna i znacząca część Polski, od wieków tam budowana i zamieszkała przez obywateli polskich różnych narodowości a przed wszystkim polskiej.

Krystyna Romer-Patyra przedstawiając losy ziemiaństwa z kresów północno-wschodnich na przykładzie rodzin Romerów i Mokrzyckich wspomniała o pewnym epizodzie rodzinnym pokazującym, iż etos i wartości cenne dla ziemiaństwa przetrwały do dzisiaj. Niestety, nie jest to atrybut współczesnych ziemian. Syn babci Kamili, spadkobierczyni majątku zmarłego generała Stefana Mokrzyckiego, Justyn, ożenił się z ciocią Ireną, która zachowała wszystkie plany majątku utraconego wskutek traktatu ryskiego jak i rodowe precjoza. Nie przeszły one na nas gdyż na fali uniesienia przekazała je na rząd Mazowieckiego. W gazecie pojawił się nawet komunikat, iż mieszkanka Gdańska przekazała dorobek swego życia. Nie dorobek swego życia ale paru pokoleń Mokrzyckich –komentuje pani Krystyna. Zostało to zmarnowane. Mąż cioci, Justyn Mokrzycki zginął jako dowódca artylerii z Wilna w walce o wolną Polskę pod Miastkowem Kościelnymi i pochowany w zbiorowej mogile wojennej. Mogiła ta została w latach 70-tych zaorana i w tej chwili prowadzone są na cmentarzu poszukiwania. Skoro jeździmy na cmentarze na Białoruś czy Ukrainę w poszukiwaniu pojedynczych grobów, może czas by zająć się opuszczonymi grobami na terenie Polski – słusznie zauważa pani Krystyna. Czy Towarzystwo Miłośników Lwowa jak i inne kresowe stowarzyszenia posiada bazę grobów choćby wypędzonych ze Lwowa a zamieszkałych w Warszawie i otacza je opieką, czy domaga się takich działań od instytucji państwowych ? Oddział Stołeczny Miłośników Lwowa w Warszawie zarejestrowany został w 1989 roku, pierwszym prezesem był Jerzy Janicki. Jednym ze statutowych działań było „działalność na rzecz członków TML i Warszawy, przypomnienie i przybliżenie wkładu Lwowa oraz miast i miasteczek Małopolski Wschodniej w dorobek naukowy, kulturalny i gospodarczy Polski na przestrzeni dziejów". Czynił to doskonale Jerzy Janicki i pozostali sygnatariusze (choćby Witold Szolginia) tak skutecznie, że wiedza ówczesnych Polaków o Lwowie była znakomicie większa od obecnej, mimo sprzeciwu władz. Wypędzeni ze Lwowa zamieszkali w Warszawie czy zmuszeni do tułaczki po świecie, u schyłku życia przekazywali swoje relacje (nagrane lub zapisane) jak i pamiątki uratowane z zagłady Towarzystwu. Przekazywano również pieniądze, czasem znaczne. Gdzie znajduje się rejestr tych darowizn jak i one same, jak jest upowszechniana wiedza o tych zbiorach. Osobiście obserwuję kompletny brak takich działań. W Święto Zmarłych zbierane są fundusze przez TML w różnych miastach na renowację nagrobków. Nie spotkałam się w Warszawie z towarzyszącą temu informacją, który grób będzie odnowiony i jaki jest tego koszt. W czasach PRL w struktury dyplomacji, kościoła jak i stowarzyszeń czy organizacji wprowadzani byli funkcjonariusze, których rolą było rozbicie jedności i celowe destrukcja działań w celu ich likwidacji. Jak jest dzisiaj? Czy działalność w stowarzyszeniu czy fundacji ma służyć tylko wejściu w intratne struktury urzędnicze, państwowe? W dzielnicy Częstochowy Stradomiu, znajduje się zbiornik wodny w wyrobisku dla zbudowanego tam pieca do wyrobu cegieł w związku z projektem budowy w 1824 roku, drogi łączącej Starą i Nową Częstochowę. W Almanachu Częstochowy z 1995 roku znalazłam opisy działań miasta, *burzono domy by budować drogę, w oparciu o dziesięcioletni plan przystąpiono do porządkowania połączonych miast, do brukowania ulic, budowy kanałów ściekowych, budowano i remontowano studnie, stawiano bariery, sadzono drzewa, montowano podjazdy do budynków i mostki ściekowe. ...W oparciu o* ***opinię przekazaną przez Karola Krafta poręczoną swym majątkiem*** *podjęto budowę w dwóch rynkach, czterech studni – pomp żelaznych wrocławskiego projektu Hofmana. Wg deklaracji wspomnianego projektanta - mechanika koszt zabudowy jednej pompy wraz „z maszynerią" i transportem nie przekroczy 225 Rbl. Dodatkowe koszty roczne to ubezpieczenie pomp w przypadku zamarznięcia wody, które określił od 50 kop. do 9 Rbl. srebrnych. Zamówiono więc w lipcu 1860 r. cztery pompy żelazne w Warsztatach Żeglugi hrabiego A. Zamojskiego w Warszawie. ...Więcej niż ciekawą jest związana ze studniami decyzja podjęta przez prezydenta Miasta. Mianowicie poleca on Kasie Miejskiej* ***nie wypłacać straży i policjantom należnych pensji. Decyzję swą motywując zaniedbaniem obowiązków dopuszczając do kradzieży „stali się powodem zatracenia wiader*** *..." Wprowadzono w miejsce dotychczas dwóch jedną taryfę opłat brukowojarmarcznego. Dotyczyła ona przybywających do miasta w celach handlowych na targi i jarmarki z bydłem, produktami i wyrobami tak krajowymi jak i zagranicznymi. Opłatom nie podlegały (w całym Królestwie) przyjazdy na nabożeństwa, w celu odwiedzenia przyjaciół i znajomych, oraz we wszystkich innych przypadkach nie mających charakteru "spekulacyjnego" - handlowego. Tak jak i dzisiaj nasuwały się wątpliwości jak interpretować niektóre przepisy. Czy dzierżawca rogatki w dniu nie targowym, nie jarmarcznym gdy handlujący wozi do miasta zboże lub inne produkty na sprzedaż lub skład, brać opłatę targowego i brukowego czy tylko brukowego. Dostawy do kolei wówczas budowanej, od furmanki wjeżdżającej do miasta podlegały również opłatom. Wątpliwości jednak rodziły się i były przyczyną licznej korespondencji, czy pozostałości materiałów po budowie kolei wywożone z miasta równi podlegają opłacie... Koszt wykonania i zabudowy słupków, tablic i budek pokrywali dzierżawcy, nie obciążały one Kasy Ekonomicznej miasta..... Wybór wykonawców odbywał się drogą przetargów o których terminie za opłatą rubli srebrnych 2,55 obwieszczono trzykrotnie w Gazecie Rządowej Królestwa Polskiego oraz informacją w Urzędzie Miejskim powiadamiano zainteresowanych. Uczestniczący w przetargu musieli wpłacić wadium w wysokość 60 Rbl. srebrnych w Kasie Ekonomicznej Częstochowy lub innego miasta bądź w Banku Polskim. Jedynie uszkodzenia wymagające natychmiastowej napraw wykonywano sposobem administracyjnym, z tym że koszt tych napraw nie mój przekroczyć 40 rbl.* Tak niegdyś obchodzono się z pieniądzem i majątkiem publicznym.

Bożena Ratter

„Pomiędzy"

Romuald Mieczkowski

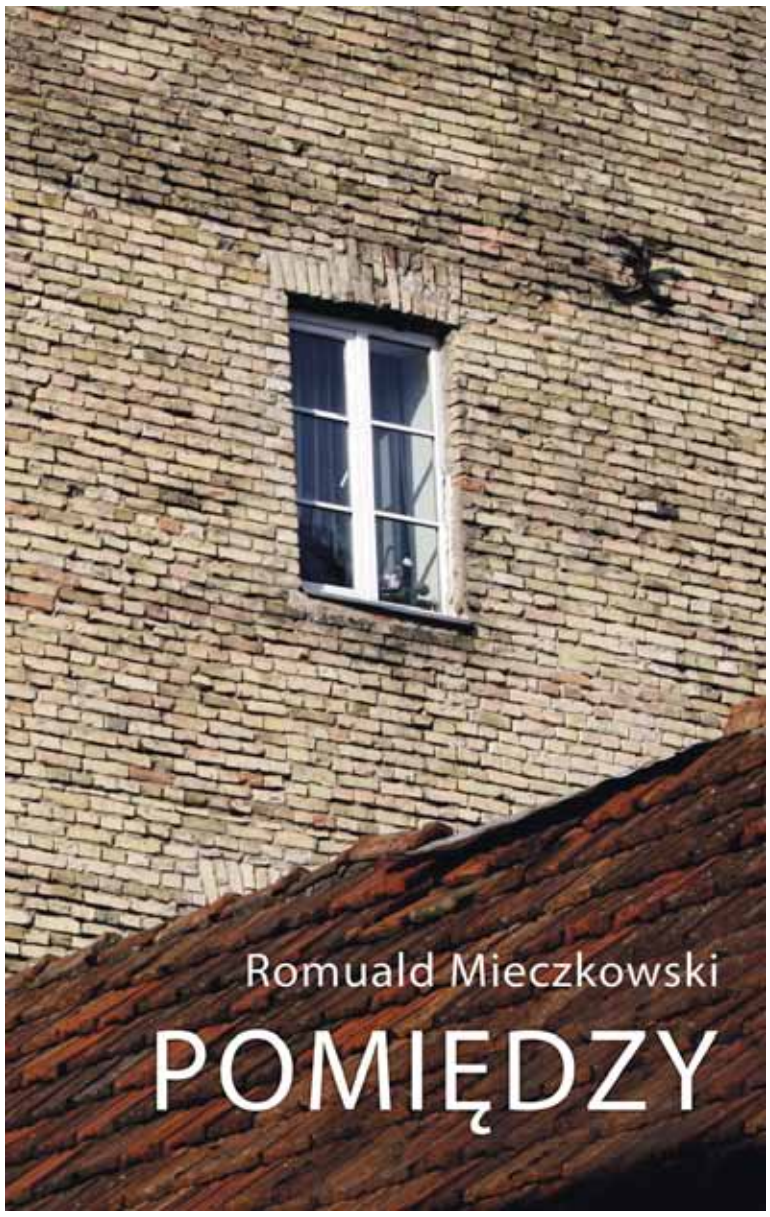

Drodzy Państwo,

Mam przyjemność zawiadomić, że w maju tego roku ukazała się kolejna moja książka wierszy, pt. Pomiędzy.

Nie jesteśmy sami, żyjemy wśród innych ludzi, w najprzeróżniejszych kontekstach i scenariuszach, jakie nam pisze los, pomiędzy różnymi sytuacjami i sprawami.

Wszystko jest pomiędzy.

I wiersze powstawały pomiędzy. Pomiędzy podróżami, pomiędzy Wilnem a Warszawą, pomiędzy smutkiem a radością, pomiędzy szukaniem a odnajdywaniem.

W książce znalazło się 66 wierszy, które umieściłem w czterech rozdziałach:

I. Gotyckość, II. Fatamorgana innego życia, III. Do przydrożnego świerka, IV. Jesienią nie zadawaj pytań.

Zamieściłem też kilka wklejek z fotografiami, robionymi przeze mnie w sepii i pozwoliłem sobie zaprojektować okładkę tomu w serii wydawniczej Znad Wilii.

Romuald Mieczkowski

Pomiędzy, Wydawnictwo Znad Wilii, Wilno 2018, stron 76.

Z cyklu zapomniana historia
„Czerwieńska Golgota”

Przygotował Kazimierz Niechwiadowicz

Czerwieńska Golgota

Na podstawie tekstu Joanny Stankiewicz-Januszczak „Czerwieńska Golgota”.

Marsz śmierci, czyli piesza ewakuacja więźniów z Mińska do Czerwienia połączona z ich masowym i indywidualnym mordowaniem w dniach 24-27.06.1941.

Czerwień, a do 18.09.1923 Ihumeń. Z dawnego powiatu ihumeńskiego pochodzą tak znani Polacy jak Stanisław Moniuszko (Ubiel), Melchior Wańkowicz (Kałużnica), rodzina Bułhaków (Natalewsk). Ta piękna i historyczna ziemia w czasie II wojny światowej została nasączona krwią ludzi pomordowanych w marszu śmierci.

Wyjście z Mińska

Niespodziewany atak Niemców 21.06.1941, dotychczas przyjacielskich wspólników, zaskoczył władze Związku Radzieckiego. Już 23 czerwca NKWD zaczęło likwidować więźniów skazanych na karę śmierci dodając im do posiłków truciznę (tak zginęła kurierka KG AK „Teresa”), lub zabijając ich strzałem nawet na szpitalnym łóżku (pułkownik Jerzy Dombrowski, słynny zagończyk z wojny polsko-bolszewickiej i porucznik Zaremba z Łomży).

W dniu 24 czerwca Mińsk był mocno bombardowany. W jednym z dwunastu nalotów na centrum miasta została uszkodzona brama więzienna centralnego więzienia i część bloku głównego, gdzie mieściła się również kancelaria.

Co prawda istniał plan ewakuacji więźniów transportem kolejowym, ale panika i ograniczona liczba wagonów zmusiły NKWD do zarządzenia pieszej ewakuacji więźniów z Mińska do Mohylewa z takim założeniem, że nie powinni oni byli dojść do celu. Było to łatwe do zrealizowania biorąc pod uwagę fakt, że większość więźniów politycznych przebywała ponad rok w potwornych warunkach, stłoczona w celach bez dostępu świeżego powietrza i ruchu.

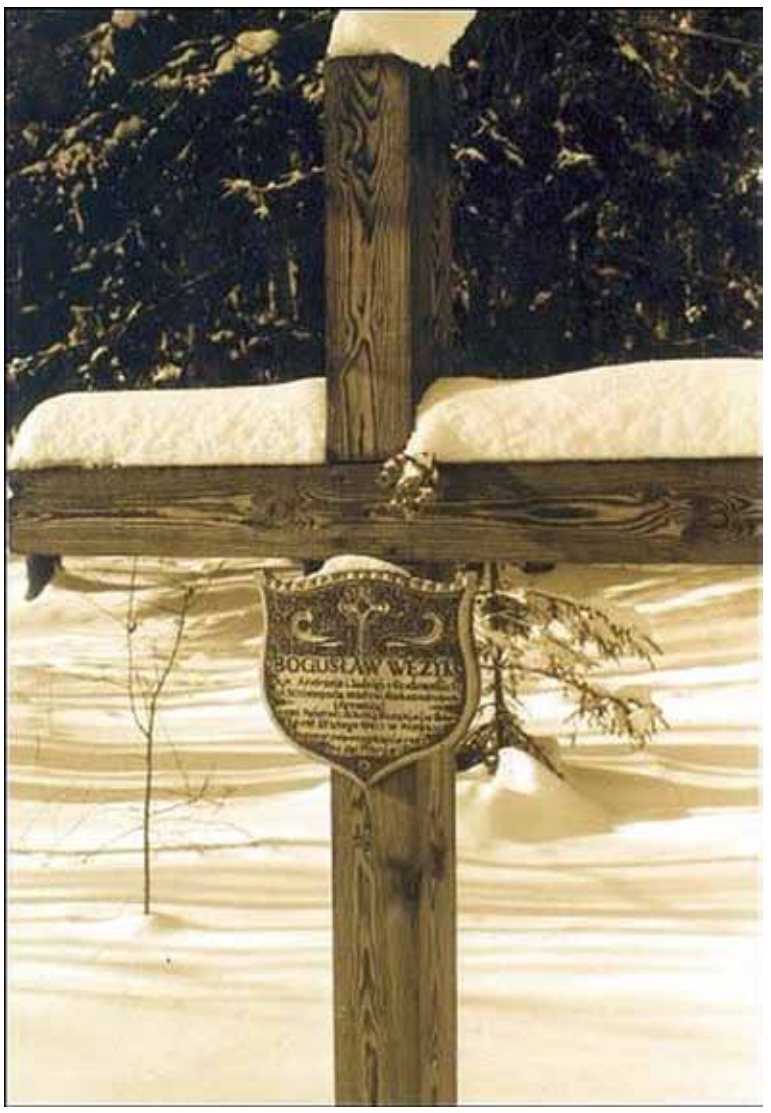

/ Krzyż upamiętniający Bogusława Wężyka ur. 30.11.1920 r. w Baranowiczach, syna Andrzeja i Jadwigi z Godlewskich, ucznia Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, zamordowanego w Mińsku 17 lutego 1941. Foto © Joanna Januszczak.

Ewakuację rozpoczęto gdzieś około północy z 24 na 25 czerwca. Nasza kolumna liczyła od dwóch do trzech tysięcy osób, a według niektórych nawet pięć tysięcy. Konwojenci popędzali nas okrzykami: Dawaj Skarej! Nie adstawaj! Biegom! Na miasto spadały bomby. Ludzie potykali się o ruiny domów. Na głowy spadały im płonące żagwie i ka-

/ 26.06.1993 r. Tablica na krzyżu upamiętniająca ofiary bolszewickiego terroru. Foto © Joanna Januszczak.

/ Joanna Januszczak z Marią Wojtuszkiewicz, przyjaciółką z Lidy.

/ 06.04.2001 r. Uroczysko Cegielnia, miejsce stracenia 5-7 tysięcy osób. W 1990 r. ustawiono tu pomniki: Anioł w smutku, Pieta, kapliczka białoruska, kapliczka litewska, krzyż upamiętniający ofiary bolszewickiego terroru. Foto © Joanna Januszczak.

wałki okiennych szyb.

Ton marszu, a raczej biegu nadawali kryminaliści nazywani błatniakami. Jako lepiej traktowani niż więźniowie polityczni, rwali do przodu nie licząc się ze słabszymi. Tych ostatnich wyszukiwali konwojenci i dwoma strzałami w potylicę uciszali na zawsze. Tak zginęli jako jedni z pierwszych Tadeusz Giedroyć - senator RP i sędzia Sądu Okręgowego w Łucku oraz major Wojska Polskiego z żoną.

W tej ewakuacji małżonkowie spotkali się po raz pierwszy po rocznym pobycie w więzieniu. Major był zbyt słaby, żeby kontynuować wędrówkę mio usilnych próśb żony, która nie chciała go opuścić. Czterema kulami enkawudzista połączył ich na wieki, na poboczu drogi z Mińska do Czerwienia.

Niedaleko za miastem na leśnej polanie leżało około trzysta zwłok pomordowanych więźniów. Takie grupowe mordowanie powtarzało się pod drodze kilkakrotnie, a bez przerwy rozlegały się pojedyncze strzały.

25 czerwca około południa krótko odpoczywaliśmy nad rzeką Wołmą. W nocy spaliśmy w lesie i byliśmy tak zmęczeni, że nie budziły nas ani liczne komary, ani wilgoć ciągnąca od ziemi. O świcie: Padjom! I dalej marsz.

Droga do Czerwienia

Pędzono nas bez jedzenia z rzadka pozwalając na ugaszenie pragnienia wodą z rzek i rzeczek, lub po prostu z bagien. A czerwiec tamtego roku był bardzo upalny i z nieba lał się żar. Wielu nie wytrzymywało tempa i warunków marszu, i ci zapełniali rowy i pobocza drogi. Poza tym wśród konwojentów byli też sędziowie śledczy. Rozpoznawali oni swoich podopiecznych i chętnie skracali ich męczarnie kilkoma strzałami.

Do więzienia w Czerwieniu przygnano nas 26 czerwca wczesnym popołudniem. Miejscowa ludność starała się podać nam, a to kubek wody, a to kawałek chleba. Ale korzystali z tego głównie kryminaliści idący na czele kolumny. My byliśmy zbyt słabi, żeby sięgnąć po ofiarowany dar.

Zagnano nas na więzienne podwórko i tam wszyscy otrzymali po kromce chleba i kubku wody z tym, że kryminalni dostali więcej chleba i dodatkowo zupę.

Nareszcie mogliśmy odpocząć. Położyliśmy się na ziemi i drzemaliśmy, a wokoło płonął Czerwień., rozlegały się strzały karabinowe i wystrzały armatnie, latały samoloty i rozrywały się bomby. Jednak to docierało do nas jako jeden wielki hałas. Najważniejsze było, że mogliśmy leżeć, że nie musieliśmy iść w skwarze, że nie groził nam z bliska konwojent z bronią gotową do śmiertelnego strzału, że nie patrzyły na nas jego straszne oczy. Za wszelką cenę chcieliśmy uciec od rzeczywistości i tylko spać, spać, spać ...

Segregacja i masowe egzekucje

Około godziny 22 rozpoczęła się kontrola i segregacja. Sprawdzano nazwisko, imię, imię ojca, wiek i „statia po katoroj obwiniajetsia", czyli paragraf oskarżenia. Ci, którzy nie dowierzali Sowietom podawali się za kryminalistów. Natomiast naiwni i bojaźliwi mówili prawdę, a słowa „statia" 64 i 76, czyli paragrafy mówiące o przynależności do kont rewolucyjnej organizacji, decydowały o życiu lub śmierci.

Tym razem z mężczyzn, którzy przyznali się do tych paragrafów utworzono dwie grupy liczące po około 500 i 750 osób. Kryminaliści i ci, którzy się za nich podali oraz kobiety pozostali w więzieniu bez straży.

Grupę 500 osób pognano na leśna polanę i rozstrzelano z karabinów maszynowych, a po rannych przepuszczono ciągnik czy też czołg. Grupę 750 osób pognano drogą na Bobrujsk i rozstrzelano na uroczysku Cegielnia w odległości 2,5 km od Czerwienia. Miejsce tej kaźni rozciągało się aż do zakrętu drogi na długości 1,5 km. Rannych enkawudziści dobijali z broni ręcznej, saperkami, pikami, a nawet butami i przez dwa dni poszukiwali tych, którzy ocaleli.

Następnie część zwłok zabrali na samochody i potopili w pobliskich bagnach. Uratowali się ci, którzy szli z boku kolumny i jako pierwsi zostali ranni, wpadli do rowów i zostali przykryci następnymi zwłokami. Przeżyły również te osoby, którym, gdy rozpoczęła się egzekucja, udało się uciec w głąb lasu i na bagnach przeczekać kilka dni, aż pogoń ustała.

Spośród 57 wyższych oficerów litewskich uratowało się 8 osób, w tym dwóch braci księży. Wśród 37 pozostałych przy życiu Polaków byłam ja, Grażyna Lipińska (żołnierz Legionów Polskich, ZWZ i AK, szef wywiadu AK na Wschodzie, ppłk wojska Polskiego, autorka książki-dokumentu „Jeżeli zapomnę o nich ..." - przypis KN) i Janusz Prawdzic-Szalski, późniejszy komendant Nowogródzkiego Okręgu AK. Po kilku dniach Niemcy, którzy już zdążyli nadejść zmusili okolicznych mieszkańców do pogrzebania zamordowanych.

/ 24.06.1995. Brama więzienia w Czerwieniu. Obecnie magazyn żywnościowy. Foto © Joanna Januszczak.

Pamięć

I nastała cisza, cisza trwająca latami, tylko sosny szumiały nad grobami zamęczonych. Przerwano ją dopiero w latach 90tych dzięki mieszkańcowi Czerwienia panu Włodzimierzowi Daragużowi, który jako pierwszy rozpoczął poszukiwań miejsc mordu.

W 1991 roku w 50tą rocznicę zbrodni, zainaugurował wraz z Litwinami obchody Żalbin, czyli białoruskich rocznicowych uroczystości żałobnych. Na Zaduszki tego roku stanął na Cegielni pierwszy krzyż z metalową tablicą i napisem w językach białoruskim, litewskim i polskim „Ofiarom stalinowskiego terroru". Po kilku latach tablica znikła, ale Białorusini postawili obok krzyża kapliczkę, a na końcu uroczyska Litwini ustawili swojego świątka i tablicę z napisem w językach białoruskim, polskim, litewskim i rosyjskim: „Ofiarom stalinowskiego terroru 26 czerwca 1941 roku".

Od 1992 roku w ostatnią sobotę lub niedzielę czerwca odbywają się w Czerwieniu Żalbiny. Brałam w nich udział od 1995 roku jako jeden z niewielu żyjących i mogących jeszcze przyjechać uczestników pamiętnego marszu. Często byłam tam jedyną Polką, a ze względu na swój wiek przyjeżdżałam z towarzyszącym mi opiekunem.

Z inicjatywy wrocławskiej Straży Mogił Polskich (SMP) we wrześniu 1996 roku na Cegielni został poświęcony krzyż SMP uzupełniony w 2001 roku opisami i emblematami SMP.

Zapragnęłam i ja przyczynić się do upamiętnienia rodaków pomordowanych w marszu śmierci, którzy jako pierwsi stanęli do walki z drugim najeźdźcą. Wraz z Ewa Ziółkowską z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i dzięki pomocy Wspólnoty Polskiej doprowadziliśmy do powstania w Czerwieniu pomnika w formie kapliczki z Pietą.

Jest to dzieło białoruskiego rzeźbiarza polskiego pochodzenia, mieszkańca Czerwienia, Eugeniusza Matusewicza. Artysta umieścił u dołu rzeźby napis „Polakom pomordowanym w więzieniach Mińska i w Marszu Śmierci w dniach 24-27 czerwca 1941 roku". Gdy odsłanialiśmy pomnik w 2000 roku nasz kraj reprezentowała wyjątkowo duża grupa Polaków, bo aż 15 osób. Nigdy w Czerwieniu nie poja-

/ 28.06.1998. Procesja od więzienia do Cegielni. Z kwiatami Joanna Januszczak.

/ Eugeniusz Matusewicz przy pracy nad Pietą. Foto © Joanna Januszczak.

/ Kapliczka litewska. Foto © Joanna Januszczak.

wił się przedstawiciel polskiego parlamentu, chociaż w marszu śmierci zginęły tysiące Polaków. Natomiast regularnie przyjeżdżają Litwini z posłami, chórem i orkiestrą, a zginęło ich około stu. Litwini też zaraz po wojnie postawili w tym miejscu masowego mordu swojego świątka.

Ostatnio z uwagi na swój wiek nawet ja już nie mogę brać udziału w tych uroczystościach. Większość tych, co się z tego marszu śmierci uratowali już nie żyje, a wraz z nimi umiera również pamięć o tych tragicznych wydarzeniach z lat 1939-1941 i o zbrodniach stalinowskich. W wielu miejscach urządza się cmentarze, ale o Kuropatach dorównujących rozmiarami zbrodni cmentarzyskom w Oświęcimiu i Buchenwaldzie nikt nie chce pamiętać, a władze białoruskie starają się zatrzeć ich ślady. Jedynie młodzież białoruska broni tego ponurego cmentarzyska zapełniając je krzyżami i chroni przed zaasfaltowaniem dołów grzebalnych, w których poniewierają się szczątki Polaków, Białorusinów oraz przedstawicieli innych narodowości

W Kuropatach rodziny mińszczan stawiają swoim zamordowanym bliskim krzyże z nazwiskami, a kto zechce pamiętać o tysiącach Polaków pomordowanych tam od 1937 roku w ramach eksterminacji elementu polskiego na Mińszczyźnie i potem na całej tzw. Zachodniej Białorusi?

Jest to jedyny pomnik poświęcony tym, którzy jako pierwsi stanęli do walki z drugim najeźdźcą, zapełniali sowieckie więzienia i łagry i częstokroć tam ginęli od wrogiej kuli.

To smutne, że nikt nie chce o nich pamiętać, a przecież była to głównie najlepsza polska młodzież

Cześć ich pamięci. Niech odpoczywają w Panu!

Joanna Stankiewicz-Januszczak, pseudonimy z okupacji „Jaśka" i „Dżana". Urodziła się w Lidzie 26.08.1920 z ojca Bronisława i matki Pauliny z Litwinowiczów, w rodzinie o tradycjach patriotycznych wywodzonych jeszcze z okresu powstania styczniowego. W okresie międzywojennym ukończyła Gimnazjum i Liceum im. Hetmana Karola Chodkiewicza w Lidzie. W maju 1939 r. otrzymała świadectwo dojrzałości.

Po ogłoszeniu mobilizacji w związku z napadem Niemiec na Polskę zgłosiła się do Służby Pomocniczej Kobiet i została przydzielona do zespołu telefonistek przy sztabie obrony przeciwlotniczej w Lidzie. Po agresji sowieckiej brała udział w likwidacji urzędów Starostwa, Magistratu i Policji w Lidzie.

Podczas okupacji sowieckiej została zatrudniona jako kasjerka w elektrowni w Lidzie. Na początku listopada wstąpiła do polskiej organizacji konspiracyjnej, kierowanej przez studenta USB, Kleofasa Piaseckiego („Lolek"). W marcu 1940 roku wraz z szeregiem innych osób zastała aresztowana przez NKWD, po czym poddana została ciężkiemu śledztwu w więzieniach w Baranowiczach i Mińsku, zakończone dopiero 29.01.1941 wyrokiem Kolegium Sądu Najwyższego ZSRR, skazującym ją na 5 lat więzienia oraz 3 lata zesłania.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej zastał ją w więzieniu w Mińsku. W dniach 24-27.06. 1941 podczas ewakuacji więzienia była uczestnikiem słynnego „Marszu śmierci". Po ucieczce konwojentów wróciła do Lidy, a następnie pracowała jako nauczycielka w jednej z wiejskich szkół. W maju 1943 roku wstąpiła do AK, do kompanii dowodzonej przez Jana Wasiewicza „Lech", jako sanitariuszka „Jaśka". W akcji „Burza" była łączniczką przy mjr „Kotwiczu".

Po wojnie zamieszkała na Wybrzeżu, pracując jako ekonomistka w spedycji międzynarodowej, a po pracy była przewodniczką wycieczek zagranicznych. Ukończyła studia w Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Sopocie. Po zawarciu związku małżeńskiego zmieniła nazwisko na Januszczak. Z chwilą powstania Związku Sybiraków włączyła

/ „Pieta" autorstwa rzeźbiarza Eugeniusza Matusewicza. Foto © Wital Sawicz.

/ „Anioł w smutku" autorstwa rzeźbiarza Eugeniusz Matusewicz. Foto © Joanna Januszczak.

się do pracy w jego oddziale w Gdyni. Jej szczególnym zainteresowaniem stały się losy byłych więźniów w Mińsku i uczestników „Marszu śmierci", co zaowocowało wydaniem książki „Marsz Śmierci Mińsk - Czerwiec 1941" w 1990 roku. Trzy lata później wydała pracę „Dziś mówię ludziom, co mówiłam Bogu ...", o młodzieży lidzkiej sprzed wojny i w czasie okupacji. Jej zasługi dla działań i walk niepodległościowych zostały uhonorowane Krzyżem Armii Krajowej Wiano-Nów, Polska Swemu Obrońcy, Krzyżem Partyzanckim, Odznaką „Burza", Krzyżem Sybirackim.

Zmarła 05.09.2007 w Gdyni, została pochowana na cmentarzu przy ulicy Witomińskiej.

Przygotował Kazimierz Niechwiadowicz w marcu 2005 roku.

75.ROCZNICALUDOBÓJSTWALIPIEC1943R.

Stanisław Żurek

1 lipca 1943 roku:

We wsi Bucharów pow. Zdołbunów Ukraińcy zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

We wsi Bukowina pow. Biłgoraj policjanci i esesmani ukraińscy zamordowali 11 Polaków.

W kol. Retowo pow. Łuck Ukrainiec Iwan Muzyczko zamordował Polaka Jana Pachlę, męża swojej siostry.

We wsi Wilia pow. Zdołbunów zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Wyszatyce pow. Przemyśl policjanci ukraińscy zastrzelili Leona Radochońskiego, oficera WP, który uciekł z oflagu.

W kol. Zawodnia pow. Równe Ukraińcy zamordowali 40-letnią Polkę Petronelę Rzewucką.

2 lipca:

W kol. Borszczówka pow. Równe upowcy zamordowali co najmniej 6 Polaków.

We wsi Długi Kąt pow. Biłgoraj esesmani ukraińscy razem z Niemcami zamordowali 7 Polaków, w tym rodziców z 2-letnim dzieckiem oraz wysiedlili pozostałych do obozu w Zwierzyńcu.

We wsi Eliaszówka pow. Zdołbunów zamordowali 14 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Hurby pow. Zdołbunów zamordowali 3 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Kopytów pow. Równe Ukraińcy zamordowali 2 Polaków.

We wsi Maziarnia pow. Kamionka Strumiłowa: „02.07.1943 r. zamordowano 5 osób z rodziny Karst." (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie...; w: Ludobójstwo OUN-UPA na Kresach Południowo-Wschodnich. Seria – tom 7, pod redakcją Witolda Listowskiego, Kędzierzyn-Koźle 2015.

We wsi Ujeźdźce pow. Dubno upowcy zamordowali 9-letnią dziewczynkę polską Krysię Szczotarską.

We wsi Werbeń pow. Dubno zamordowali 4 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

We wsi Wołkowyje pow. Dubno zamordowali 2 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Zahajce Wielkie pow. Krzemieniec zamordowali 14 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

3 lipca:

We wsi Czajków pow. Sarny Ukraińcy zamordowali 25 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Górna pow. Kostopol o godz. 10 kolonia została otoczona przez Ukraińców i wyrżnięta za pomocą siekier, wideł i noży, część ofiar spłonęła w zabudowaniach. Polacy byli wyłapywani, torturowani i zabijani przez cały dzień, noc i dzień następny..15-letniej Wandzie Korda obcięli uszy, język, wydłubali oczy i pokłuli całe ciało. Zabudowania obrabowali i spalili. Zginęło wg E. Siemaszko 92 Polaków, wg A. L. Sowy (Stosunki polsko-ukraińskie 1939 – 1947; s. 207 – 208) 180 Polaków; Józef Turowski w książce Pożoga na s. 127 pisze: „w czerwcu w Górnej Kolonii w jednej ze stodół znaleziono zwłoki 76 osób". Relacjonuje Piotr W. (ur. 1928): „Obawialiśmy się ataku i na noc kryliśmy się po polach. 3 lipca również zamierzaliśmy iść spać w pole. [...] Wszyscy byliśmy gotowi, chcieliśmy jeszcze tylko zjeść kolację (stała na stole) i czekaliśmy na brata Romualda, który lada moment miał przygonić krowy. Niemalże równo z zachodem słońca podniósł się krzyk i rozległy strzały. Matka podbiegła do okna, krzyknęła, że są już banderowcy i trzeba uciekać. Wyskoczyli z ojcem przez okno do ogródka kwiatowego i zaczęli uciekać drogą między zbożami, pod górkę. Matka nie zdążyła zabrać mojej małej siostry, czego ja początkowo nie spostrzegłem. Wyskoczyłem na podwórko, a tam było pełno Ukraińców. Biegali, krzyczeli, podpalali zabudowania, wynosili z obejść mienie. Prawdopodobnie wzięli mnie za Ukraińca, gdyż miałem na sobie kurtkę z pasem, podobną do wojskowej, a oni ubierali się podobnie. Kręciłem się po podwórku, szukając kryjówki i zobaczyłem, jak Ukrainiec położył się na drodze i zaczął strzelać w kierunku uciekających rodziców. [...] Matka upadła, pomyślałem, że została trafiona i nie żyje, ojciec pobiegł dalej. Zauważyłem też krowy, zatem gdzieś w pobliżu musiał być brat. W tym momencie podbiegła do mnie pięcioletnia siostra, złapała mnie za nogę i zaczęła płakać. Nakazałem jej milczeć i skoczyliśmy do pobliskiego ogródka warzywnego, gdzie położyliśmy się w wysokiej fasoli. Jednak któryś z myszkujących po obejściu lub mieszkaniu Ukraińców musiał coś zauważyć, gdyż dwóch lub trzech przybiegło do ogródka i odkryli nas. Twierdzili, że jestem Polakiem. Ja zaprzeczałem, na dowód zacząłem modlić się jak prawosławny. Jeden z Ukraińców uderzył mnie silnie kolbą karabinu w klatkę piersiową, straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, zmierzch przeszedł już w noc. Wszędzie pełno było gryzącego dymu. Zauważyłem, że brat ucieka z ogródka. Byłem mocno pobity i pokrwawiony, nie miałem siły, ale zarzuciłem siostrę na plecy i pobiegłem za bratem, w kierunku pobliskiego stawu dla gęsi i rozciągającego się za nim lasu. [...] Co chwila przystawałem dla odpoczynku lub przewracałem się pod ciężarem siostry. Dobiegłem do lasu, tam znowu się przewróciłem, zabrakło mi sił. […] Zamiast jednak ukryć się w tym lesie, przebiegłem go. Kiedy wyskoczyłem na szeroki szutrowy trakt na Ludwipol, podjechał Ukrainiec na koniu i czymś twardym uderzył mnie w głowę. Upadłem, a Ukrainiec pojechał dalej. Resztką sił zerwałem się i dobiegłem do lasu po drugiej stronie traktu. Tuż za mną przybiegła siostra, której już nie miałem siły dźwigać. Ukryliśmy się pod pniem zwalonego drzewa. Po pewnym czasie teren wokół zaczęli penetrować Ukraińcy. Nie znaleźli nas jednak i odeszli. Po chwili straciłem świadomość. Ocknąłem się, kiedy już było widno. Siostra leżała obok i, co dziwne, nie płakała. Postanowiłem pójść do wioski Hurby, odległej o parę kilometrów od Górnej, do domu siostry ojca [...]. Nikogo tam nie zastałem. Mieszkańcy, słysząc odgłosy napadu na naszą kolonię, pouciekali w las. Wziąłem chleb i mleko i zamierzałem wrócić do siostry, którą wcześniej ukryłem w lesie. Wtedy zawołał mnie brat, leżał w sianie w stodole. Okazało się, że noc przesiedział na drzewie w lesie. Brat powiedział, że widzi jakieś postacie w pobliskim domu. Podczołgałem się w zbożu w tamtym kierunku i spostrzegłem kilku mężczyzn z naszej kolonii. Powiedzieli mi, że matka żyje, natomiast ojciec został zabity. Furmankami zawieziono nas do Huty Starej, gdzie stacjonowały oddziały polskiej samoobrony." (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus).

We wsi Hłuboczek pow. Równe Ukraińcy zamordowali co najmniej 7 Polaków. Zginęła m.in. 40-letnia Polka Tyszkiewicz, której obcięli piersi i rozpłatali brzuch, oraz jej córka lat 13 i syn lat 16. Wszystkie domy polskie w Hłuboczku i w okolicy zostały obrabowane i spalone, a także kościół. Łuna pożarów była tak silna, że nocą było jasno jak w dzień, co umożliwiało upowcom jeżdżącym na koniach wykrycie i wymordowanie ukrywających się w łanach zbóż wielu Polaków.

W kolonii Klecka Mała pow. Równe zamordowali 6 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Klecka Mała pow. Równe zamordowali 23 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Korytnica pow. Horochów zamordowali w gajówce 22-letniego Polaka uprowadzonego z Mołyszowa, natomiast nie jest znany los Polaków ze wsi Korytnica, skąd zdołała uciec tylko jedna rodzina. Inni: „W Korytnicy, leśniczówce, położonej w pow. włodzimierskim, zatrudniony był Stanisław Rodziewicz. 3 lipca, napadnięto na niego, obrabowano i uprowadzono z domu w Skurczu, (pow. Łuck), wszelki ślad po nim zaginął". (Stanisław Dłuski: "Fragment wielkiej zbrodni"; w: „Las Polski", nr 10 z 1991 roku).

We wsi Majdan Nowy pow. Biłgoraj esesmani ukraińscy z SS „Hałyczyna" oraz Niemcy dokonali pacyfikacji wsi mordując 69 Polaków (26 mężczyzn, 28 kobiet i 15 dzieci) oraz spalili 76 gospodarstw; mężczyzn powiązali powrozami za szyje i rozstrzelali esesmani ukraińscy, kobietom i dzieciom kazali uklęknąć i rozstrzelali seriami z karabinów maszynowych; następnie Ukraińcy zdemolowali i sprofanowali miejscowy kościół.

W kol. Rakowa Góra pow. Łuck Ukraińcy zamordowali 17 Polaków, w tym 6-osobową rodzinę: Jana Kostrzewę z żoną i 4 ich dzieci w wieku 3 – 17 lat.

W miasteczku Rożyszcze pow Łuck zamordowali 4 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Wólka Porska pow. Kowel zamordowali 21 Polaków.

We wsi Zielony Dąb (Góra Wereszczyńskich) pow. Zdołbunów Ukraińcy zamordowali 62 Polaków. „W dniu 3 lipca 1943 r. około godz. 12 w południe uzbrojona w karabiny i noże banda ukraińskich nacjonalistów, podająca się za partyzantów radzieckich, okrążyła ze wszystkich stron wieś Zielony Dąb ([też:] Góra Wereszczyńskich) i pod przymusem doprowadziła wszystkich schwytanych Polaków na teren naszego podwórka. Na podwórzu gospodarstwa Wacława Wereszczyńskiego (naszego ojca) [we] wsi Zielony Dąb, gmina Zdołbunów, woj. Równe, w stodole dokonano wymordowania wszystkich zgromadzonych, za wyjątkiem mego brata Ambrożego, który sprytem wyślizgnął się z tego przeklętego kręgu. Ofiary napadu siłą wciągano do stodoły, zadając im okrutne męczarnie, zadając nożami w klatkę piersiową rany kłute, uśmiercając w ten sposób dorosłych. W pierwszej kolejności mężczyzn, na czele ojca Wacława Wereszczyńskiego, co jeszcze widział Ambroży, a następnie kobiety. W końcowej fazie dzieci wpędzono [do środka] i żywcem spalono w zamkniętej stodole. Pomordowanych w stodole osobiście chowałem wraz ze stryjem Stanisławem Wereszczyńskim i ciocią Antoniną Jasińską oraz stryjem Marcelem Wereszczyńskim, obecnie już nieżyjącymi. Zwłoki, opalone ogniem, dorosłych osób – ręcznie przenosili do dołu wyżej wymienieni mężczyźni, a ja z wyżej wymienioną ciocią – zwłoki bardzo zwęglonych dzieci. Zwłoki najmłodszych dzieci były tak doszczętnie spalone, że leżały tylko bardziej wysycone solami wapnia fragmenty szkieletów, które przy dotyku rozsypywały się na popiół. Zbieraliśmy je do wiadra (zachowane fragmenty tych szkieletów) i przenosiliśmy je do wspólnego grobu. Przyczyną masywnego spalenia była gruba warstwa słomy przy drewnianej ścianie, którą usiłowali pokonać przy próbie ucieczki." (Jan Wereszczyński, w: Siemaszko..., s. 1144 – 1146).

4 lipca (niedziela):

W kol. Adamów I pow. Łuck zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol Adamów II pow. Łuck liczba ofiar nie jest znana.

W kol. Aleksandria pow. Łuck liczba ofiar nie jest znana.

W zaścianku Armatniów pow. Łuck liczba ofiar nie jest znana.

We wsi Bodiaczów pow. Horochów Ukraińcy wymordowali wszystkich mieszkających w tej ukraińskiej wsi Polaków, ponad 20 osób (4 rodziny). „W Bodiatyczach 16-letnią Zielińską Danutę, córkę polskiego pułkownika przebywającego obecnie w Londynie 5 zbirów, zamordowawszy uprzednio dziadków w piwnicy, w bestialski sposób niewinne dziewczę zeszpeciło, później w sposób krew mrożący w żyłach, odciąwszy piersi, ręce, uszy i nos, zamordowali ją" („Sprawozdanie z powiatu horochowskiego"; w: Lucyna Kulińska, Dzieje Komitetu Ziem Wschodnich..., t. 2, s. 703).

We wsi Czołnica Nowa pow. Łuck zamordowali 24 Polaków (kilka rodzin).

W miasteczku Kołki pow. Łuck zamordowali 4-osobową rodzinę polską: „Na przełomie maja, czerwca i lipca 1943 r., w czasie gdy bandy ukraińskich nacjonalistów zaatakowały wszystkie wsie i osiedla sąsiadujące z Przebrażem [gm. Trościanie, pow. Łuck], w miasteczku Kołki, gdzie wówczas zamieszkiwałem razem z rodziną, zostaliśmy wówczas napadnięci w domu. W wyniku tego napadu śmierć ponieśli: 1. Ojciec Andrzej, lat ok. 55; 2. Matka Anastazja, lat ok. 50; 3. siostra Bolesława, lat ok. 15; 4. brat Ryszard, lat ok. 9. Dokładnej daty urodzenia ww. podać nie mogę, gdyż nie znam, a dokumentów na tę okoliczność nie posiadam. Mnie udało się zbiec, a raczej wyrwać się z rąk bandyty, który mnie zaatakował, gdyż wszczęłam z nim szamotaninę. W czasie, gdy doskoczyli do mnie, przystawiwszy mi karabin w piersi, odruchowo najprawdopodobniej z przerażenia, gdyż ze strachu wrzeszczałem okropnie, chwyciłem tego Ukraińca za lufę karabinu, starając się odchylić od siebie, w wypadku gdyby strzelił nie strzelił we mnie. Matka moja była wolna, gdyż Ukraińcy zaatakowali nas mężczyzn, tj. mniej i Ojca. Matka moja widząc, że się bronię, pospieszyła mi z pomocą. Dopadła Ukraińca z tyłu i chwyciła go za ramiona. Ten moment wykorzystałem i zbiegłem przez drzwi wiodące do przybudowanego do mieszkania chlewa, o którym Ukraińcy nie wiedzieli. Za mną wybiegła tym samym wyjściem moja siostra Bolesława, ale pobiegła w innym kierunku. Pamiętam, że było to w niedzielę wieczorem około godziny 21. Na dworze panował zmrok. Ponieważ napadu dokonano niespodziewanie, [a] ja przygotowywałem się do snu, znajdowałem się wyłącznie w koszuli i kalesonach, i boso. Gdy wyskoczyłem z domu i uciekając w wielkim przerażeniu i strachu - przesadzając kilkurzędowe ogrodzenie z drutu kolczastego, którym ogrodzone były przy domu ogródki, tak koszulę, jak i kalesony ze siebie zdarłem. Okropnie się pokaleczyłem i zostałem nagi. Gdy znajdowałem się od domu około 100-150 m usłyszałem głos Matki, która musiała wybiec za nami. Wołała "Matko Boska, gdzie moje dzieci". W tym czasie padły dwa strzały. Lament Matki ucichł. W tym czasie podpalono nasze mieszkanie. Ja dobiegłem do rzeki Styr, gdzie przebiegałem całą noc. O świcie, okrążając miasteczko, polami, zbożami przedostawałem się w kierunku Balarki z myślą, że spotkam tam swoją siostrę. Przechodząc przez Hołodnicę (polska wieś) stwierdziłem, że domy są puste. Nie spotkałem żadnej żywej duszy. Opuszczając Hołodnicę, usłyszałem, że w kierunku, w którym podążałem, czyli w kierunku Balarki, rozgorzała jakaś bitwa. Strzelali z broni maszynowej i pojedynczej, z działek lub moździerzy. Ponieważ nie mogłem zlokalizować miejsca walki, omijając główne szlaki, szedłem dalej. Gdy następnego dnia znalazłem się we wsi Marianówka, stwierdziłem że domy są powypalane. Gdy wszedłem do jakiegoś sadu, by zerwać kilka niedojrzałych jabłuszek i posilić się nimi, gdyż byłem bardzo osłabiony, obok zgliszcz domu zauważyłem kilka zwęglonych ciał ludzkich. Mieli poopalane ręce i nogi. Wiem, że byli to mieszkańcy tego domu - Polacy, gdyż była to wyłącznie wieś polska. Ogarnięty panicznym strachem nie skorzystałem z planowanego posiłku - zbiegłem byle dalej i do przodu. Wówczas skojarzyłem, że strzelanina, którą słyszałem uprzednio musiała się rozgrywać w Marianówce i innych wsiach, przez które przechodziłem. Następnego dnia, idąc na przełaj lasami, łąkami i polami dotarłem do wsi, jeżeli nie mylę się, Dermanki. Tam też stwierdziłem zgliszcza i wypaleniska. W zasięgu wzroku naliczyłem chyba dwa ocalałe domki. Analizując sytuację, jaką spostrzegłem, doszedłem do wniosku, że ta sama sytuacja panuje we wszystkich naszych wsiach. Gdy zbliżyłem się do jednego z ocalałych domków i usiadłem sobie na płocie z żerdzi, aby ogrzać się w promieniu słońca, spostrzegłem, że kilka sztuk bydła wyszło z lasu i weszło w owies. Aby wypędzić bydło z tzw. szkody, z lasu wybiegła mała dziewczynka, lecz zauważywszy mnie podobnego do diabła, zbiegła. Za jakiś czas z lasu wyszedł mężczyzna, który też usiłował wypędzić te krowy. Gdy zbliżył się bliżej - rozpoznałem ob. Trybulskiego. Ten rozpoznał mnie również, zaprowadził mnie do lasu, gdzie koczowali mieszkańcy tej wsi. Tam mnie przyodziano i nakarmiono." (List Longina Kubryna, byłego mieszkańca miasteczka Kołki do Józefa Ostrowskiego, datowany 12 kwietnia 1985 r. W: Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu-Instytutu Pamięci Narodowej: nr 638 księgi nabytków, sygn. AGK27W-DAK, V/8).

We wsi Lachów pow. Zdołbunów zamordowali 38 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Palcze pow. Łuck zamordowali 3 Polaków: 2 kobiety i 68-letniego mężczyznę spalili wraz z domem.

We wsi Siekierzyce pow. Łuck Ukraińcy zamordowali kilka rodzin polskich, znane są 24 ofiary.

W kol. Zaturce gmina Kisielin pow. Horochów został zamordowany w swojej kancelarii w czasie napadu uzbrojonych Ukraińców na leśniczówkę nadleśniczy Andrzej Kubryn. ur. 1888; jego żonę

Anastazję zamordowano w ogrodzie, dzieci (Bolesława, Ryszard) zamordowano w czasie próby ucieczki. (Edward Orłowski, w: http://www.krosno.lasy.gov.pl/documents/149008/17558056/martyrologium+le%C5%9Bnik%C3%B3w+2013.pdf).

4 lipca 1943 roku o godz. 23, 07 w Gibraltarze zginął Naczelny Wódz i Premier RP generał Władysław Sikorski, premier Rządu Polskiego w Londynie. Wiadomość ta obiegła świat i niewątpliwie przyśpieszyła i zintensyfikowała działania OUN-UPA zmierzające do całkowitej likwidacji ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

4 lipca 1943 roku w Przemyślu greckokatolicki biskup Jozafat Kocyłowski w towarzystwie ks. Wasyla Hrynyka wziął udział w nabożeństwie dla ochotników do ukraińskiej dywizji SS Galizien, które odbyło się na miejskim stadionie sportowym przy obecnej ulicy Sanockiej.

W nocy z 4 na 5 lipca:

W kol. Adamów I i II pow. Łuck Ukraińcy spalili 25 zagród polskich i wymordowali wszystkie rodziny polskie.

W kol. Balarka pow. Łuck spalili 17 zagród polskich i zamordowali 3 starszych Polaków, w tym 2 kobiety, którzy nie chcieli opuścić swoich domów podczas wcześniejszej ewakuacji mieszkańców do Rafałówki.

W kol. Dobra pow. Łuck zamordowali co najmniej 6 Polaków w starszym wieku, którzy nie opuścili swoich gospodarstw.

W kol. Nowa Ziemia pow. Łuck upowcy spalili wszystkie polskie gospodarstwa i wymordowali Polaków, imiennie znane są tylko 3 ofiary, uciekinierów z Wólki Kotowskiej.

W kol. Osiecznik pow. Kowel: "W nocy z 4 na 5 lipca 1943 r. upowcy zamordowali Sikorskiego" (Siemaszko..., s. 386). Inni: upowcy zamordowali Polaka o nazwisku Sikorski (Teofil Nadratowski; w: Leon Karłowicz, Leon Popek: Śladami ludobójstwa na Wołyniu. Okrutna przestroga, cz. II. Lublin 1998). Na Gibraltarze w zamachu ginie Naczelny Wódz i premier Rządu Polskiego w Londynie. Na Wołyniu z rąk rizunów Ukraińskiej Powstańczej Armii, być może o tej samej godzinie, ginie polski gospodarz na swojej ojcowiźnie, noszący takie same nazwisko.

W kol. Tworymierz pow. Łuck upowcy idący zlikwidować kolonię Przebraże obrabowali i spalili polskie zagrody oraz wymordowali około 30 Polaków, w tym całe rodziny.

W kol. Wincentówka pow. Łuck upowcy idący na Prebraże obrabowali i spalili polskie zagrody oraz wymordowali Polaków, imiennie znane jest tylko jedno małżeństwo.

We wsi Wólka Kotowska pow. Łuck bojówki UPA z sąsiednich wsi Kotów i Moszczenica zamordowały 37 osób, a 11 zginęło w podjętej przez Polaków obronie. Inny świadek datuje napad na dzień 11 lipca 1943 r., niedziela, godz. 4oo rano. (Ze wspomnień Zofi Bamberskiej z domu Sewruk; tekst przysłał Marian Maksymiuk; w: http://wolyn.ovh.org/opisy/wolka_kotowska-07.html).

W kol. Zagajnik pow. Łuck upowcy zamordowali co najmniej 3 Polaków.

W kol. Żaszcze pow. Łuck oddziały UPA idące na Przebraże zamordowały nie ustaloną ilość Polaków. Polskie domy zostały obrabowane i spalone.

4 i 5 lipca:

We wsi Aleksandrów pow. Biłgoraj policjanci ukraińscy razem z Niemcami podczas pacyfikacji, łącznie z dniem 25 czerwca, zamordowali 253 Polaków oraz wysiedlili 5155 Polaków; 9 lipca zasiedlili około 300 rodzin ukraińskich, które ograbiły dobytek i wyjechały stąd 1 listopada 1943 roku.

5 lipca:

We wsi Bogusze pow. Dubno zamordowali 3 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszko-TomaszBereza.docx).

W kol. Chmielówka pow. Łuck upowcy siekierami i widłami zamordowali 2 Polki: matkę z 15-letnią córką o nazwisku Masztalerz. Inni: „W pierwszych dniach czerwca 1943 r. duży oddział samoobrony z Przebraża zorganizował transport dla ludności polskiej mieszkającej jeszcze w Kołkach i pobliskich koloniach. /.../ Z naszej kolonii prawie wszyscy dołączyli do transportu na Przebraże. Zostały tylko trzy rodziny, w tym nasza. Na drugi dzień rano, nasza jedyna sąsiadka Ukrainka przybiegła przerażona i ostrzegła nas abyśmy natychmiast uciekali, ponieważ w ich domu 15 banderowców szykuje się nas zamordować. Narażała życie, bo gdyby odkryli, ze poszła nas ostrzec, zabiliby ją i całą jej rodzinę. W ciągu kilku minut byliśmy gotowi do drogi. Tylko z tobołkami w dłoni i psem Żukiem na smyczy, uciekliśmy przez pobliski lasek, bocznymi ścieżkami na Chmielówkę. Była to polska kolonia w pobliżu Przebraża. Trzeba było tylko przejść przez las. Tam zamieszkaliśmy u naszego kuzyna Stanisława Drzewińskiego. Mieszkaliśmy tam kilka tygodni, gdy pewnej soboty wieczorem banderowcy napadli na Chmielówkę. Ledwie uszliśmy z życiem. Wszyscy uciekaliśmy na Przebraże. Chmielówkę całą obrabowali i spalili. Zginęło kilka osób ale dokładnie ile nie wiem. Wiem, że zginął teść naszej kuzynki Adam Rosiński. Był to starszy człowiek i chodził z laską. Na drugi dzień, mężczyźni z Przebraża poszli zobaczyć co się stało na Chmielówce i znaleźli Rosińskiego zamordowanego na ścieżce. Miał rozbitą głowę." (Anna Kownacka Góral: Przeżyłam w Przebrażu; w: KSI nr 7 z 2013 r.).

W kol. Chołopiny pow. Łuck Ukraińcy zamordowali 19-letniego Tadeusza Galę.

We wsi Dermanka pow. Łuck atak UPA i chłopów ukraińskich nastąpił o świcie, Polacy byli mordowani za pomocą wideł, pił, noży, kołków, siekier. Znanych jest imiennie 61 ofiar, prawie wyłącznie kobiety i dzieci.

W kol. Hermanówka pow. Łuck upowcy zamordowali 6 Polaków: 4-osobową rodzinę z 2 dzieci oraz małżeństwo.

W kol. Jaromelskie Budki pow. Łuck wymordowali większość mieszkańców tej polskiej kolonii.

W kol. Józefin pow. Łuck zamordowali co najmniej 6 Polaków, których przybili rozkrzyżowanych do drewnianej kuźni i ją podpalili (w tym 23-letnią nieuleczalnie chorą Elżbietę Ostrowską uprowadzoną z kol. Dobra), oraz kilku Polaków w ich domach.

We wsi Latacz pow. Zaleszczyki: „05.07.1943 r. został zamordowany strażnik Polak NN". (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

We wsi Łyczki pow. Łuck zamordowali 7 Polaków, w tym 5-osobową rodzinę Zawadzkich oraz Ukrainkę, żonę Polaka.

W kol. Majdan Jezierski pow. Łuck obrabowali i spalili gospodarstwa oraz wymordowali wszystkich mieszkańców tej polskiej kolonii.

W kol. Marianówka pow. Łuck upowcy z sąsiedniego Horodyszcza obrabowali i spalili zagrody polskie oraz zamordowali 28 Polaków, z czego 14 osób pobili i zakłuli, osoby 2 zakatowali pałkami, 28-letniego Dominika Cybulskiego przebili żelazną sztabą, 11 osób zmaltretowali i spalili w zabudowaniach.

W miasteczku Mizocz pow. Zdołbunów Ukraińcy zamordowali 27-letnią Zofię Walerian.

We wsi Mosty pow. Łuck zamordowali 5 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Myków pow. Łuck zamordowali 1 Polaka.

W kol. Przebraże pow. Łuck od ostrzału i w walce z UPA zginęło 10 Polaków. 6 lipca patrole z Przebraża naliczyły w okolicy co najmniej 550 zwłok pomordowanych Polaków. Ofiar było znacznie więcej, patrole nie miały czasu na poszukiwanie zwłok, ani miejsc, gdzie mogły być zakopane. Wiele ciał zostało spopielonych w spalonych zagrodach.. Natomiast relacje zbierane w 50 - 60 lat potem były szczątkowe, wielu świadków już nie żyło, do wielu świadków nie dotarto. Z wielu wsi, kolonii i futorów nie ocalał żaden świadek.

W kol. Siedliszcze pow. Łuck Ukraińcy zamordowali 5 Polaków, w tym 3-osobową rodzinę, a następnie Ukraińcy z Harajmówki wyłapali i utopili w bagnie następnych 9 Polaków.

W kol. Żabecznik pow. Łuck zamordowali 4 Polaków, którzy wrócili do swoich domów po żywność.

6 lipca:

W kol. Cegielnia pow. Łuck upowcy podczas napadu zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, kolonię ograbili i spalili,

We wsi Kuraż pow. Zdołbunów zamordowali 5 Polaków /lista niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

W okolicach miasteczka Rokitno pow. Sarny zamordowali 79-letniego Mariana Wojciechowskiego.

7 lipca:

W majątku Chołopecze pow. Horochów zamordowali 2 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Perełysianka pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali Witolda Grabowskiego, który wrócił do domu po żywność.

7 lipca we wsi Huta Stara pow. Kostopol porwany został przez partyzantów sowieckich ze zgrupowania płk Dmitrija Miedwiediewa i zamordowany dowódca oddziału AK por. Leon Osiecki „Razem z nim został zastrzelony por. rez. Leon Sielecki – zawiadowca stacji kolejowej (wąskotorówki) w Moczulance, który udał się z Osieckim, jako tłumacz oraz Bagiński, który ich odwoził. W podobny sposób zginął również Bronisław Chodorowski, były właściciel kamieniołomu w Moczulance. Zaistniała sytuacja dla Polaków w tym rejonie zarysowała się wówczas katastrofalnie" (Czesław Piotrowski: Przez Wołyń i Polesie na Podlasie). Uchwały podjęte 22 czerwca 1943 roku w Moskwie przez KC Komunistycznej Partii Ukrainy nakazywały, aby „wszystkimi sposobami zwalczać oddziały i grupy nacjonalistyczne", w tym kierowane przez „polskie burżuazyjne ośrodki", gdyż tereny te zostały uznane za sowieckie.

W nocy z 7 na 8 lipca:

W kol. Rakowa Góra pow. Łuck upowcy zamordowali 11-osobową rodzinę polską.

8 lipca:

We wsi Balarnia pow. Zdołbunów zamordowali 26 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Kudryń pow. Zdołbunów zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W majątku Poryck Stary pow. Włodzimierz Wołyński w nocy został uprowadzony w bieliźnie przez upowców zarządca majątku Adam Rudek i ślad po nim zaginął.

We wsi Radów pow. Dubno Ukraińcy zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

9 lipca:

We wsi Budzyń koło Kraśnika 9 lipca 1943 roku do obozu przejściowego trafił Aleksander Zakościelny. Zeznał jako świadek: „Co pewien czas przez naszą salę przechodzili esesmani ukraińscy w czarnych mundurach i gestapo, przepędzali po kilka osób skutych kajdankami i wyprowadzali na zewnątrz budynku, gdzie były zarośla. Za grupami skutych pod konwojem esesmanów pędzono grupy mężczyzn z łopatami" („Jesteśmy świadkami", s. 304).

W kol. Gregorówka koło Iwańczyc pow. Łuck od 8 maja do 9 lipca Polacy nocują w polu. Rodziny rozdzielają się, aby w przypadku schwytania przez Ukraińców, nie zginęła cała rodzina. Każdy rodzic ma przy sobie część dzieci. Po śmierci jednego dziecka, w dniu 9 lipca ruszył do Łucka kondukt pogrzebowy z wszystkimi mieszkańcami kolonii. Zmyliło to Ukraińców, którzy sądzili, że po pogrzebie Polacy wrócą na kolonię.

W kol. Hutwin pow. Kostopol Ukraińcy spalili 52 budynki należące do Polaków oraz zamordowali kilku starszych Polaków, którzy nie opuścili swoich gospodarstw.

W majątku Koniuchy pow. Horochów upowcy i miejscowi Ukraińcy wymordowali przed kościołem około 50 Polaków. Drewniany kościół z 1667 roku spalili w styczniu 1944 roku.

We wsi Koniuchy pow. Horochów Ukraińcy zamordowali Stanisława Okopniarka.

W majątku Rykowicze pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 7-osobową rodzinę polską zarządcy majątku.

W nocy z 9 na 10 lipca:

We wsi Stadarnia pow. Krzemieniec: ks. Tadeusz Chrobak zapisuje: "W Stadarni pod Kołodnem zamęczono siekierami 9/10.VII.1943: 1. Sienkiewicza Wawrzyńca (dwóch synów uciekło); 2. Sienkiewicza Wawrzyńca żonę; 3. Sienkiewiczówna Maria (24 lata); 4. N.(20 lat); 5. N.(16 lat); 6. Kazia (14 lat); 7. Atwinowskiego N.(żona i córka uciekły)" (Iwona Kopańska – Konon, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl oraz e-mail do autora). W. i E. Siemaszko nie wymieniają w swojej książce tej wsi. „Podczas przeglądania ksiąg metrykalnych parafii Zbaraż natknęłam się na zapisy zabitej rodziny Sieniakiewicz z Kołodna. Występuje ona na Państwa stronie http://www.stankiewicze.com/ludobojstwo/ w dwóch miejscach, dane są jednak niepełne i zmienione: - na liście ofiar woj. tarnopolskiego, jako rodzina z Nowego Rogowca, inna jest data mordu i wiek zabitych - w miejscu zgłoszenia czytelników (wg relacji ojca Tadeusza Chrobaka), jako rodzina Sienkiewicz ze Stadarni pod Kołodnem. Nie podane są imiona żony i dzieci. Według zapisu w Księdze Zgonów zabici 09.07.1943 w Kołodnie-Siedlisko (ocissus): 1. Wawrzyniec Sieniakiewicz, syn Józefa, lat 57 2. Michalina Sieniakiewicz, z domu Oleszczuk, córka Maksyma i Marii Stankiewicz, lat 55 3. Maria Sieniakiewicz, córka Wawrzyńca i Michaliny Oleszczuk, lat 24 4. Franciszka Sieniakiewicz, córka Wawrzyńca i Michaliny Oleszczuk, lat 22 5. Eugenia Sieniakiewicz, córka Wawrzyńca i Michaliny Oleszczuk, lat 18 6. Katarzyna Sieniakiewicz, córka Wawrzyńca i Michaliny Oleszczuk, lat 16 Wpisów dokonał ks. Krzysztof Polak, pogrzeb odbył się 12.07.1943. Możliwe, że rodzina zmarła w szpitalu w Zbarażu i stąd zapisy zgonów umieszczone w zbaraskich księgach. Proszę o dodanie tych informacji do już istniejących" (Anna Weryszko, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl; 03.01.2013).

10 lipca:

We wsi Błozew Górna pow. Dobromil banderowcy zamordowali 14 Polaków z 3 rodzin. Ofiary miały po kilka – kilkanaście ran kłutych. 4-letnia Krystyna Grabowska miała złamaną szczękę i rozpruty brzuszek (Siekierka..., s. 149; lwowskie).

W miejscowościach: Dominipol, Jesionówka, Mikołajówka, Swojczów, Swojczówka, Turża (wszystkie w gminie Werba, pow. Włodzimierz Wołyński), Budy Ossowskie, Kowalówka – Marszałkówka, Kowalówka, Ossa (wszystkie w gminie Turzysk, pow. Kowel), Leżachów (gmina Kupiczów, pow. Kowel), Czosnówka lub Szczęsnówka, Kisielówka (gmina Kisielin, pow. Horochów) i w wielu innych, na wiosnę 1943 roku Ukraińcom ze sztabu UPA we wsi Wołczak udało się namówić około 90 młodych Polaków w wieku 15 – 20 lat do polskiej partyzantki, która rzekomo miała razem z partyzantką ukraińską walczyć z Niemcami na podstawie zawartego porozumienia polsko-ukraińskiego. Polacy broń na noc musieli zdawać do magazynu pilnowanego tylko przez upowców. "Od wiosny 1943 r. partyzanci ukraińscy kwaterowali także w szkole w Dominopolu oraz w prywatnych mieszkaniach wielu Polaków w naszej wsi. Ludzie miejscowi mówili, że te duże wojska ukraińskie przyjechały gdzieś od strony Lwowa. Pamiętam, że mówiono o 2 tysiącach wojaków, a może nawet więcej. Polskie rodziny karmiły ich, prały rzeczy i kwaterowały, były przy tym solennie zapewniane, że między nami będzie pokój i sojusz przeciw Niemcom. Opowiadano mi także, że już w lecie 1942 r. Ukraińcy ogłosili publicznie wezwanie, skierowane przede wszystkim do młodych, silnych Polaków zamieszkałych w naszej okolicy, aby chętnie wstępować do polsko-ukraińskiej partyzantki. Przyjeżdżali nawet osobiście furmankami do polskich domów i zabierali wybranych mężczyzn mówiąc: Będziemy razem wojować, nie pójdziemy tak jak Żydzi do dołu!". /.../ A jednak doszło do najgorszego, zginęli nie tylko prawie wszyscy żołnierze ze wspomnianego oddziału, ich liczba miała dochodzić do 120. Wymordowana została także w bestialski sposób prawie cała moja wieś, w tym moi najbliżsi" (Kazimierz i Antonina Sidorowicz; w: www.stankiewicze.com/ludobójstwo.pl, relacje spisał Sławomir T. Roch). „Coraz częściej wzywano polskich gospodarzy, młodych, silnych, najczęściej po wojsku jako potrzebne im PODWODY. Niestety jak już ktoś do nich pojechał to już prawie nigdy do domu nie wrócił. Ludzie w naszej kolonii po cichu komentowali to jednoznacznie: „Ukraińcy skrytobójczo mordują naszych mężów i synów w lesie, dlatego wciąż nie wracają do swoich domów!". W ten sposób zaginął bez wieści mój kuzyn Stanisław Hypś lat około 32 z naszej kolonii Piński Most oraz wielu innych, przede wszystkim z Dominopola". (Antoni Sienkiewicz, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). „Mój brat Adam Turowski i jeszcze trzech innych gospodarzy z Dominopola, pewnego razu też pojechali wezwani przez Ukraińców, którzy po nich przyjechali do naszej wsi. Opowiadał mi o tym osobiście Marcel Mikulski. Od tej pory ślad po nich i koniach zaginął" (Kazimierz i Antonina Sidorowicz..., jw.). „Ukraińcy coraz częściej pojawiali się w polskich wsiach i koloniach i prowadzili ożywioną akcję propagandową. Namawiali młodych mężczyzn i chłopaków polskich, aby wstępowali do powstającego właśnie oddziału polskiej partyzantki w Dominipolu, który będzie walczył wspólnie z UPA przeciwko Niemcom. Znałem wielu chłopaków, którzy do tego wojska zgłosili się pod wpływem tej propagandy na ochotnika, służyli tam dla przykładu: Eugeniusz Buczko lat około 20. Pozostali chłopcy byli z wielu różnych miejscowości, w tym: Jesionówki. Ich kwaterą był budynek naszej dawnej szkoły podstawowej pod lasem, tam mieli swój wojskowy posterunek. Oddział młodych chłopaków, który stacjonował w szkole został przez Ukraińców wyprowadzony w las na jedną z polan, a tam był już ustawiony wcześniej strzelec ukraiński z karabinem maszynowym. Z tej jatki uratował się tylko jeden chłopak, który w chwili likwidacji oddziału mając przepustkę przebywał w swoim domu" (Antoni Sienkiewicz, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). „Na kilka godzin przed krwawą niedzielą 11 lipca 1943 r., nocą kilku uzbrojonych Ukraińców przyjechało

furmanką do polskiej wsi Ludmiłopol. Zajeżdżali do polskich rodzin i powoływali silnych, młodych mężczyzn do polsko-ukraińskiej partyzantki, która formowała się w Dominopolu. Zabrali w ten sposób ze sobą kilku Polaków i pojechali w stronę Dominopola. Do celu jednak nie dotarli. Jeszcze tej samej nocy, Ukraińcy dojeżdżając do pierwszych domów wsi Zarudle, tuż obok gospodarstwa Polaka Żukowskiego, nagle niespodziewanie się zatrzymali i kazali zsiąść Polakom z furmanki. Gdy Polacy znaleźli się na łące, Ukraińcy zdradziecko otworzyli do nich ogień i wszystkich wystrzelali. Zginęli wtedy: Feliksiak Józef lat ok. 30, Szymański Henryk lat ok. 30. Puzio Franciszek lat ok. 30, a pozostałych nazwisk nie pamiętam. Jest mi także wiadome, że z domu zabierał polskich mężczyzn Ukrainiec Ostapczuk Pieter, także pochodzący z Ludmiłpola i on także ich potem rozstrzelał. Mordercy albo wcale nie kryli się ze swoją zbrodnią, albo zostali czymś spłoszeni, bo nie zdążyli ukryć ciał pomordowanych, którzy zostali znalezieni nad ranem przy drodze, w miejscu ich rozstrzelania. Ofiary obrabowane zostały także częściowo z rzeczy, które miały na sobie. W miejsce mordu przychodziły potem żony ofiar i ich rodziny i dokonywali rozpoznania swoich chłopców. Wśród tych osób, była też żona Józefa Feliksiaka Antonina, która mi to wszystko później osobiście opowiedziała" (Kazimierz Sidorowicz..., jw.).

We wsi Kustycze pow. Kowel upowcy zamordowali pełnomocnika Delegata Rządu RP na Wołyń por. Zygmunta Rumla („Krzysztof Poręba") oraz przedstawiciela AK por. Krzysztofa Markiewicza i ich woźnicę Witolda Dobrowolskiego, którzy toczyli rozmowy z dowództwem UPA we wsi Wołczak pow. Włodzimierz Wołyński. Polskich parlamentariuszy banderowcy rozerwali końmi i ciała ich poćwiartowali na kawałki. "9 lipca 1943 roku wieczorem, w punkcie kontaktowym w Budach Ossowskich por. Zygmunt Rumel, ppor. Krzysztof Makiewicz, plutonowy podchorąży Wacław Kopczyński – mieszkaniec Bud Ossowskich, oraz Antoni Kazimierski – mieszkaniec kolonii Brodyszcze, ustalili, że w następnym dniu to jest 10 lipca, wymienieni oficerowie: Rumel i Markiewicz na polecenie delegata rządu w Londynie, Kazimierza Banacha „Linowskiego", pojadą jako delegacja na pertraktacje z przedstawicielami strony ukraińskiej. Założony cel delegacji polskiej był otwarty i jednoznaczny – zaprzestanie i ustosunkowanie się do wykonywanych mordów i eksterminacji ludności polskiej przez OUN-UPA. Jak też rozważenie tematu uzgodnień i woli strony polskiej i ukraińskiej we wspólnej walce przeciw Niemcom hitlerowskim. Delegaci: Zygmunt Rumel i Krzysztof Markiewicz pojadą w pełnym umundurowaniu oficerów polskich na zaplanowane rozmowy do Kustycz. Powozić końmi będzie Witold Dobrowolski, mieszkaniec Kowalówki, sąsiadujący z Antonim Kazimierskim, u którego wymienieni oficerowie zatrzymają się na noc. W noc tę, z 9 na 10 lipca, oficerów będą ubezpieczać Antoni i Henryk Kata z bronią krótką. Zgodnie z tymi ustaleniami, ja z bratem Antkiem mieliśmy, toteż ubezpieczaliśmy oficerów – delegatów całą noc do 7 rano, do chwili wyjazdu z Witoldem Dobrowolskim. W tym dniu rano w sprawach organizacyjnych pojechał mój brat Władysław z Wacławem Kopczyńskim, ps. „Sokól", do Włodzimierza Wołyńskiego i do Uściługa nad Bugiem. W Uściługu już w godzinach popołudniowych do punktu kontaktowego dotarła wiadomość, że dwaj oficerowie polscy i furman zostali bestialsko zamordowani w Kustyczach przez OUN-UPA. Byli to por. Rumel, ppor. Markiewicz i powożący końmi Witold Dobrowolski. Wiadomość o zabiciu naszej delegacji przez OUN-UPA w Kustyczach była szokująca, to było coś jak z okresu Dżyngis-Chana. Przestaliśmy mieć nawet nikłą nadzieję, że będziemy mogli połączyć się z Ukraińcami w jakąś wspólną walkę przeciw jednemu wrogowi, jakim był wówczas faszyzm, a jeśli już nie, to przynajmniej tolerować się, a nie wyniszczać, na co ręce zacierali zarówno faszyści, jak i komuniści." (Fragment książki Henryka Katy "Wojenne Wichry" wydanej dzięki Urzędowi Miasta Otwocka w 2001 r. Nakład 200 egzemplarzy. Przepisany przez Bogusława Szarwiło, w: http://27wdpak.btx.pl/publikacje/435-woy-przed-qburzq). Razem z Zygmuntem Rumlem pojechał Krzysztof Markiewicz, ponieważ znał osobiście z czasów szkolnych komendanta Służby Bezpieczeństwa UPA, którym w tym rejonie był Szabatura. Szabatura po wojnie, występując pod przybranym nazwiskiem, był szefem Urzędu Bezpieczeństwa w Szprotawie na Dolnym Śląsku.

W kol. Ozerce pow. Łuck w zasadzce na Polaków jadących po żywność zginęło 12 osób. Ranni byli dobijani przez sąsiadów Ukraińców z Iwańczyc Starych, którzy następnie zrabowali 10 wozów i 8 par koni należących do ofiar.

We wsi Wołczak pow. Włodzimierz Wołyński: „Dwie polskie rodziny z Wołczaka – Mikulskich i Buczków wymordowano dzień wcześniej, czyli 10 lipca. Ocalał tylko nieobecny tego dnia Franio Mikulski, mój serdeczny kolega i przyjaciel z ławy szkolnej w Swojczowie". (Henryk Kata: "Wojenne Wichry"..., jw.).

Pomiędzy wsiami Wyrka i Police pow. Kostopol został złapany w zasadzce Antoni Kobylański, kiedy jechał wraz z córką Genowefą, Feliksą Kobylańską, Andrzejem Sochą i Józefem Zakrzewskim z Rafałówki i w bestialski sposób zamordowany (porżnięty żywcem na kawałki) przez Ukraińców. (http://wolyn.ovh.org/opisy/brzezina-09.html). Prawdopodobnie miało to miejsce koło kolonii Temne Stepańskie pow. Kostopol.

W nocy z 10 na 11 lipca:

We wsi Białostok pow. Łuck Ukraińcy zamordowali około 50 Polaków. „Białostok - wieś ukraińska, oddalona o osiem kilometrów na południe od Torczyna, w tym trzy kilometry od kolonii Jamki, i ~25 km od Łucka. /../ Administracja niemiecka rozpoczynała organizować w Białostoku duże gospodarstwo „Liegenschaft", z trzech gospodarstw (Dulskiego, Bujalskiego i Krutia), obok siebie położonych. A więc, poproszono (w przypadku odmowy wydadzą nakaz) nas na zmianę miejsca pobytu z Białostoku na Jamki. /.../ Polacy, przyszli pracownicy nowo powstającego gospodarstwa w Białostoku, po rozładowaniu swego sprzętu domowego, pomagali nam w transporcie naszego dobytku na Jamki. /.../ Polacy, którzy zamieszkali w naszym domu w Białostoku w 1943 r. zostali zamordowani i spaleni. Z ~ 50 osób uratowało się tylko dwoje dzieci: sześcioletni chłopiec i dziewczynka. Chłopiec wymknął się i schował w agreście. Następnego dnia, pracownicy gospodarstwa, zaopiekowali się dziećmi i odwieźli ich do Torczyna. Szczątki spalonych ciał wrzucono do piwnicy i tam nadal spoczywają. Obecnie w miejscu opisanej tragedii, pozostała studnia, a obok stoją skromne budynki, w których mieszkają Ukraińcy i udają, że nic nie wiedzą o tej tragedii.. Podświadomie jestem przekonany, że zorganizowane gospodarstwo „Liegenschaft" zmusiło nas do wysiłku, przy zmianie miejsca zamieszkania, ale ochroniło moją rodzinę przed tragedią i dlatego odczuwam niepokój przemilczenia tragicznej śmierci ~50 osób". (Ryszard Bujalski, lipiec 2009, w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/bialostok-ryszard_bujalski.html). "Pani Irena (Piliszewska – przyp. S.Ż) opowiedziała o losie rodziny swego ojca. Ich dopadli noc wcześniej. Najmłodszy brat ojca, Ryszard, miał wtedy 16 lat. Był łącznikiem w polskich oddziałach samoobrony. Dużo czasu spędzał w lasach, często w nocy. Gdy nie było go dłużej w domu, jego ojciec kładł mu jedzenie pod krzakiem w pobliżu wsi. W nocy z 10 na 11 lipca: - Nagle stryj usłyszał przeraźliwy krzyk od strony wsi. Pobiegł tam, podszedł pod dom. W oknie stanął jego ojciec, zobaczył go. Już miał wyskoczyć przez to okno. Lecz w tym momencie dobiegł do niego z tyłu Ukrainiec, z całej siły wbił mu w plecy kosę. Na oczach stryja ciało jego ojca spadło na ziemię przed domem. Z innego pokoju dobiegł przeraźliwy krzyk jego siostry Stasi. Miała 25 lat. Błagała o życie. Nagle krzyk umilkł. Później stryj trafił na mieszkankę wioski. Opowiedziała, że Stasia była dosłownie pocięta na kawałki. Jej głowę i głowy innych Polaków ponabijali na żerdzie i wystawili przy drodze biegnącej przez wieś. W sumie dwadzieścia dwie głowy". (Damian Szymczak: „Czy żołnierze chodzą z tasakami"; w: „Gazeta Polska" z 23 lipca 2008). "W najbliższą niedzielę, gdy wierni opuszczali kościół w Torczynie, na placu przykościelnym stał wóz z dwoma skrzyniami – trumnami i dwóch mężczyzn. Jeden z nich powiedział: przywieźliśmy ludzi z majątku w Białostoku, którzy zostali zamordowani i spaleni. Domyślam się, że ofiary zostały pochowane na cmentarzu w Torczynie, który został po 1945 r. całkowicie zniszczony. Założono w tym miejscu park spacerowy z pomnikiem „Sława bohaterom 1941 - 1945". A w 2006 r. postawiono na byłym cmentarzu kaplicę i tablice z nazwiskami mieszkańców parafii. Ocalał: Ryszard Piliszewski, syn Andrzeja ur. w 1927 r. - naoczny świadek torturowania siostry Stanisławy i ojca Andrzeja. „Mój ojciec Ryszard ocalał tylko dlatego ze nie było go wtedy w domu" - Grażyna Piliszewska -Niebylecka. Zamordowani: Andrzej Piliszewski, Albin Piliszewski lat 21, Mieczysław Piliszewski lat 31, Antoni Piliszewski lat 33, Stanisława Piliszewska lat 25." (Ryszard Bujalski, jw.).

We wsi Dominipol pow. Włodzimierz Wołyński uprowadzili do lasu około 50 młodych Polaków, których wcześniej zwerbowali rzekomo do wspólnej walki z Niemcami, i tam ich wymordowali.

We wsi Rewuszki pow. Kowel Ukraińcy zamordowali 2 Polaków.

We wsi Zawidów pow. Włodzimierz Wołyński miejscowi Ukraińcy zamordowali 3 Polaków z rodziny nauczyciela: jego 29-letnią żonę z 3-letnim synem oraz 36-letnią siostrę żony. Nauczyciel Tadeusz Kubit ukryty pod podłogą ocalał. Polacy sądzili, że Ukraińcy nie będą mordować kobiet i dzieci. Wcześniej z tymi Ukraińcami nauczyciel był w dobrych kontaktach.

11 lipca 1943 roku, tzw "Krwawa Niedziela"

W kol. Antonówka Sileńska pow. Łuck Ukraińcy zamordowali 4 Polki, w tym matkę z córką.

W majątku Biskupicze Górne pow. Włodzimierz Wołyński 15-osobowa banda „ukraińskich partyzantów" pod dowództwem Stepana Stolaruka ogłosiła, że będzie dokonany spis ludności i zostaną wydane nowe dokumenty. Zamieszkałe w majątku rodziny – oddzielnie mężczyźni, oddzielnie kobiety z dziećmi – były kolejno przyprowadzane do jednego z domów i tam mordowane siekierami. Dom został następnie podpalony. Tak zamordowali 70 Polaków, po majątku obecnie nie ma śladu (Siemaszko..., s. 857).

W kol. i wsi Biskupicze Górne pow. Włodzimierz Wołyński upowcy i chłopi ukraińscy spędzili Polaków do budynku szkolnego, gdzie ich wymordowali przy pomocy siekier, noży i innych narzędzi – co najmniej 20 osób, potem budynek szkolny z zabitymi i rannymi spalili. Na kolonii zamordowali 12 Polaków, we wsi 8 Polaków.

We wsi i w majątku Biskupicze Szlacheckie pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali kilka mieszkających tutaj rodzin polskich oraz kilku pracowników majątku, liczby ofiar nie ustalono.

We wsi Bogudzięka pow. Włodzimierz Wołyński nie ustalono ilości wymordowanych Polaków.

W kolonii Boża Wola pow. Włodzimierz Wołyński "banderowcy żywcem wrzucili do studni Antoniego Stelmacha i dwunastu innych młodych chłopców, którzy ponieśli śmierć przez utonięcie bądź od kamieni wrzuconych do studni" (Feliks Budzisz; w: http://w.kki.com.pl/piojar/polemiki/rubiez/niedziela/niedziela.html.) W. i E. Siemaszko na s. 914 stwiedzają, że w 1943 roku sąsiad Ukrainiec zabił żonę Antoniego Stelmacha z trojgiem dzieci oraz została zamordowana przez Ukraińców Maria Fornal z dwojgiem dzieci.

W kol. Brzezina gmina Chotiaczów pow. Włodzimierz Wołyński 11 i 12 lipca 1943 roku Ukraińcy wymordowali Polaków, liczby ofiar nie ustalono.

W kol. Brzezina gmina Grzybowica pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy wymordowali Polaków w tej polskiej kolonii, tylko kilku osobom udało się uciec do Sokala, liczby ofiar nie ustalono.

We wsi Bubnów pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 11 Polaków, w tym 5-osobową rodzinę Rutkowskich.

We wsi i kolonii Bubnów pow. Włodzimierz Wołyński nie jest znana liczba ofiar, wiadomo, że we wsi zamordowany został kowal.

We wsi Bużanka pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 14 Polaków (trzy rodziny).

We wsi Chobułtowa pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, imiennie znana jest tylko 3-osobowa rodzina. „Kilka dni po pogromie ok. 15 lipca, do miasta przywieźli całą rodzinę z Chobułtowej. Ciała tych 7 osób widziałem osobiście, były wręcz nieludzko zmasakrowane, złożone na placu niedaleko stacji kolejowej wciąż przyciągały kolejnych ciekawskich. Moją uwagę od razu przykuły straszne cierpienia, jakie zadano tym ludziom: mieli poodcinane nosy, wydłubane oczy, a oczodoły zapchane sianem i słomą. Kobiety miały poodcinane piersi i porąbane nogi. Wywarło to na mnie niezatarte wrażenie, czułem wielki, piekący ból, przez kilka dni miałem nawet kłopoty z jedzeniem." (Wspomnienia Romana Szymanek z wsi Kohylno w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1939 – 1944; spisał Sławomir Tomasz Roch; w:

http://wolyn.org/wolyn-wola-o-prawde/156-wspomnienia-romana-szymanka-ze-wsi-kohylno-w-pow-wodzimierz-woyski-na-woyniu-1939-1944.html).

W osadzie Chrynów pow. Włodzimierz Wołyński upowcy wymordowali w kościele i wokół kościoła podczas ucieczki około 150 Polaków; w tym zastrzelili księdza Jana Kotwickiego. Wspomina Zygmunt Abramowski: „Dnia 11 lipca 1943 r. służyłem do mszy świętej o godz. 9.00. Ksiądz Jan Kotwicki zaniepokojony również wytworzoną sytuacją, bez kazania odprawił szybko mszę świętą i powrócił na plebanię. Ludność wyszła z kaplicy i niebawem zaczęła powracać strwożona, że posterunki banderowców nie pozwalają jej powrócić do domów, zawracając z powrotem do kaplicy. Dodatkowo zaczęła jeszcze przybywać następna ludność na sumę na godz. 11.00. /.../ Ksiądz rozpoczął sumę. Ja z moim kolegą Jankiem Żebrowskim, stanęliśmy za drzwiami kaplicy, które otwierały się do wewnątrz. W kaplicy, razem z ludnością zawróconą z poprzedniej mszy świętej, było około 200 osób, przeważnie kobiet i dzieci. Po podniesieniu zauważyłem, stojąc obok drzwi, podejrzany ruch. Zobaczyłem, że kilku banderowców ustawiło ręczny karabin maszynowy typu Diechtiarewa i poczęli strzelać do ludzi seriami i z pojedynczych karabinów; rzucono również dwa granaty, które jednak nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube drzwi kapliczne. W świątyni zaś zaczął się popłoch i wrzask rannych. Ludzie zaczęli uciekać drzwiami bocznymi obok zakrystii i chóru. Kaplica jednak była otoczona szczelnie i bez przerwy rozlegały się strzały. W świątyni, bez przerwy ostrzeliwanej z rkm-u i broni pojedynczej, trwał krzyk, jęki i rozdzierający uszy wrzask dzieci. Ksiądz od ołtarza, w szatach liturgicznych, wraz z innymi kobietami uciekał przez zakrystię, ale na zewnątrz wszyscy zostali zabici. Ojciec mój, który był organistą, uciekał z ludźmi przez drzwi przy chórze. Banderowski bandyta podbiegł i czterokrotnie strzelał do ojca, na szczęście był to niewypał i ojciec zdołał uciec. Po jakimś czasie w kaplicy pozostali już tylko zabici i ranni. Banderowcy, widocznie czymś spłoszeni, wycofali się do lasu w pobliżu kaplicy." (Leon Karłowicz, Leon Popek: Śladami ludobójstwa na Wołyniu, Lublin 1998, str. 314-315; oraz: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/447-masakra-wiernych-w-kaplicy-w-chrynowie.html). Zygmunt Maguza relacjonuje: „Gdy przybyłem do Włodzimierza, był on już cały zapchany uchodźcami. Przedstawiali straszliwy widok. Byli zakrwawieni, mieli odrąbane ręce, niektórzy wykłute oczy. Znajdowali się w szoku, a od tego, co mówili włosy stawały dęba. Zezwierzęcenie Ukraińców przerastało wszystkie ludzkie wyobrażenia. Dowiedziałem się nawet, co działo się w Chrynowie, do którego tego dnia, bo była to niedziela, wybierałem się do kościoła. Banderowcy napadli na kościół podczas Mszy św. Zabili księdza Jana Witwickiego (Kotwickiego – przypis S.Ż.) przy ołtarzu. Ich ofiarą padło też wiele moich koleżanek. Bestialsko zabito m.in. Elizę Kruczyńską. Ranna w rękę została Aniela Janusz. Janinę mieszkającą obok Mrozów banderowiec trafił najpierw w nogę, gdy uciekała w stronę lasu. Padła na plecy i banderowiec chciał ją dobić i trafił w oko. Oblaną krwią znalazł Mróz i zaniósł do rodziców. Ci wpadli w popłoch i uznali, że naprawdę trzeba uciekać do Włodzimierza". (Marek A. Koprowski : Uciekajcie, mordują!, 25 kwietnia 2011; w: http://www.kresy.pl/kresopedia,historia,ii-wojna-swiatowa?zobacz%2Fuciekajcie-morduja). „18-letni Henryk Maguza wstąpił potem do 27. dywizji wołyńskiej AK, jeszcze później z armią Berlinga dotarł do Berlina. Forsował Prypeć, gdy przełamywano front, i patrzył, jak innych pochłania rzeka. Widział śmierć na wojnie, koledzy umierali mu na rękach, sam wiele razy cudem ocalał. Opowiada o tym spokojnie. Nie może jednak powstrzymać łez, gdy mówi o rzezi w rodzinnym Chrynowie. – Była tam siedmioletnia dziewczynka. Mamusia ubrała ją w ładną sukienkę do kościoła, zaplotła warkoczyki i zawiązała kokardę. Ukrainiec zatłukł dziewczynkę kolbą karabinu przed kościołem. Po prawie 70 latach Maguza potrafi wyrecytować listę krewnych, którzy zginęli na Wołyniu. Jest ona długa, zawiera kilkadziesiąt nazwisk. Jest na niej zastrzelony drugi dziadek, Ignacy Girgilewicz, zarąbani siekierą rodzice chrzestni i ich troje dzieci wrzuconych do studni. Najmłodsza z ofiar ma zaledwie kilka miesięcy. – Dziecko rozerwano i położono na stole, na urągowisko Lachom. Matkę zostawiono z rozprutym brzuchem na podłodze. Ojciec był na polu, ocalał. Był ze mną potem w dywizji. Kiedy mówił o tym, co zobaczył w domu, miał nieprzytomne oczy, z ust leciała mu piana." (Maja Narbutt: Warkoczyk zbryzgany krwią; w: http://www.historia.uwazamrze.pl/artykul/911232).

W osadzie Czerniaków pow. Włodzimierz Wołyński upowcy wymordowali ludność polską, ilość ofiar nie została ustalona

W kol. Dolinka pow. Włodzimierz Wołyński obrabowali i spalili polskie gospodarstwa oraz zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków. „Grzelak Adam - mój dziadek urodził się już chyba na Wołyniu, a jego ojciec przywędrował tu w latach 1870-1880 z powiatu tureckiego (nie znam miejscowości) w Wielkopolsce. Osiedlili sie w Gurowie, w gminie Grzybowica w powiecie włodzimierskim, parafia Zabłoćce. Dziadek Adam ożenił się z Franciszką Piątek. Rodzice babci też pochodzili z Wielkopolski, z okolic Kalisza, ale urodziła się na Wołyniu w miejscowości

Dolinka w gminie Poryck. Jej rodzicami byli Franciszek Piątek i Katarzyna Grabowska. Mieli czworo dzieci. Niestety, oboje zginęli 11 lipca 1943 roku, zamordowani przez bandy UPA". (Marian Grzelak, 14.10.04; w: http://forum.gazeta.pl/forum/w,76,12039249,,Szukam_osob_ktorych_rodziny_pochodza_z_Wolynia.html?v=2).

We wsi Dominopol pow. Włodzimierz Wołyński nocą uzbrojona bojówka UPA z Wołczaka wraz z okolicznymi chłopami ukraińskimi dokonała rzezi ludności. Do każdego polskiego domu wpadali Ukraińcy z siekierami, nożami, bagnetami. Po wymordowaniu zastanych w mieszkaniu, przeszukiwali zabudowania gospodarcze. Uciekających zdradzały ślady widoczne po strąconej rosie na trawie. Wymordowali całą wieś, łącznie z dniem 12 lipca 253 Polaków. Domy polskie zajęli Ukraińcy (Siemaszko..., s. 950). Sławomir Tomasz Roch spisał relacje świadków. Kazimierz Sidorowicz: "Od wiosny 1943 r. partyzanci ukraińscy kwaterowali w Dominopolu, w szkole i w wielu prywatnych mieszkaniach Polaków. Ukraińcy zapewniali wszystkich na lewo i prawo, że między nami będzie sojusz przeciw Niemcom, że będziemy razem walczyć, ramię w ramię o wspólną sprawę. Jak to potem wyglądało w rzeczywistości przekonaliśmy się 11 lipca w niedzielę. Mieszkańców Dominopola mordowali żołdaki ukraińskie spode Lwowa, chłopi z Kohylna i z Wołczaka." Pani Antonina Sidorowicz z d. Turowska: "Mój sąsiad z Dominopola Marcel Mikulski, który mieszkał tuż obok nas, zaledwie przez drogę, opowiadał mi i mężowi w 1944 r. w Siedliskach pod Zamościem tragiczne losy mieszkańców Dominopola. Pamiętam, że po raz pierwszy opowiadał nam o tym już we Włodzimierzu w lipcu 1943 r., zaraz po pogromie, a potem jeszcze kilka razy po wojnie. Mówił tak: „Już twoja rodzina nie żyje, moje dzieci też już nie żyją, wszyscy zostali zamordowani przez Ukraińców." Potem zaczął po kolei opowiadać przebieg wydarzeń. W nocy z 10 na 11 lipca cała rodzina Mikulskich była w domu. Była noc, matka Marcelego, która tej nocy z jakiegoś powodu nie spała zobaczyła na niebie czerwoną rakietę. Mocno zaniepokojona natychmiast obudziła swoje dzieci i wołała, aby wstawać i uciekać do stodoły, bo coś się zaczyna dziać. Marcel i jego żona Helena zdążyli uciec i schować się w stodole, z nimi ukryła się także matka. Tymczasem dzieci zostały w domu, bowiem rodzice nie chcieli budzić swoje pociechy. Wciąż nie wiedzieli co się naprawdę dzieje, dlatego nie zdawali sobie sprawy z powagi zagrożenia. Gdy tylko znaleźli się w stodole, zobaczyli biegających Ukraińców od domu do domu, którzy za chwilę trafili także na ich podwórko. Nie wiedzieli, że ich akcja jest obserwowana przez troje ludzi ukrytych w stodole i patrzących przez szpary. Ukraińcy zaczęli się gwałtownie dobijać do domu, krzyczeli przy tym: „Otwieraj bo i tak nie uciekniesz. Jak nie otworzysz porąbiemy drzwi." Ponieważ nikt nie otwierał, włamali się do domu i bagnetami pokłuli dzieci Mikulskich. Zginęły wtedy: dwie dziewczynki lat około 12 i 10 oraz chłopiec lat około 8. Dzieci były pokłute w swoich łóżkach, widać stąd, że przerażone tą sytuacją, nawet nie próbowały uciekać tylko pochowały się głębiej w pościel. Odchodzący zbrodniarze zostawili na stole bagnet wbity w blat stołu. Siedzący w stodole drżeli w tym czasie o życie swoich dzieci, po chwili zobaczyli trzech Ukraińców jak opuszczają ich dom i udają się do domu sąsiadów. Na szczęście nie szukali w stodole i nie podpalili zabudowań gospodarczych, Mikulscy nie zauważyli też, aby Ukraińcy zabrali cokolwiek z domu. Marcel opowiadał dalej, że zaraz po odejściu bandytów matka Marcela poszła do domu i znalazła zakłute dzieci. Wróciła do stodoły i opowiedziała rodzicom co się wydarzyło. Po pewnym czasie Mikulscy opuścili stodołę i przenieśli się do ogrodu, gdzie ukryli się w grochu. Po pewnym czasie dostrzegli ponownie nadchodzących Ukraińców, którzy wykopali obok domu grób i wrzucili tam ciała dzieci. Marcel widział także, jak Ukraińcy zakopywali ciała ich sąsiadów Traczyńskich, też brutalnie pomordowanych wcześniej. Z ukrycia rozpoznał ciała Weroniki lat ok. 35 i Aleksandra lat ok. 40 Traczyńskich oraz dwie ich dorosłe córki: Eugenię lat ok. 16 oraz druga Felicja lat ok.14. Mikulscy siedzieli w grochu cały dzień 11 lipca, całą niedzielę. Marcel poinformował mnie także, że słyszał nad ranem ukryty w grochu, dwa strzały dochodzące z obory Turowskich. Jednak nic poza tym nie widział i także później nie słyszał o śmierci mojej najbliższej rodziny, także ja do dziś nie wiem właściwie jak ich zamordowano. Do dziś nie wiem także gdzie pochowano moich rodziców i rodzeństwo oraz innych. Dopiero w nocy z 11 na 12 lipca wycofali się przez położone tam „betony" drogowe do drugiej wioski. O ile pamiętam Marcel opowiadał chyba, że uciekali na Zarudle, a potem do Włodzimierza Wołyńskiego." Antonina Sidorowicz: „Po wojnie spotkałam też pana Bronisława Kraszewskiego, który był moim bliskim sąsiadem w Dominopolu. Tej tragicznej nocy wracał ze wsi Wandywola i gdy już chciał przechodzić przez rzekę Turię, na moście stała bowiem warta ukraińska, z którą nie miał ochoty się widzieć, usłyszał strzały i mrożące krew w żyłach, straszne krzyki mordowanych ludzi. Powoli robiło się jasno, ukrył się więc w pobliskich zaroślach i obserwował uważnie wieś. Wtedy zobaczył, jak w gospodarstwie Ewy i Antoniego Turowskich, Ukraińcy wyprowadzają z domu do sadu rodziców: Ewę i Antoniego oraz ich troje dzieci. Następnie na jego oczach zaczęli ich po kolei mordować. Na początku zamordowali dzieci, a potem rodziców. Tak pobitych zostawili w sadzie." Kazimierz i Antonina Sidorowiczowie: „Druga córka Wasilewskich, miała na imię Stanisława lat ok. 24, wyszła za mąż za Jana Szulkiewicza i mieszkali ok. 1 km od Dominopola, niedaleko ukraińskiej wioski Rewuszki. Marcel Mikulski opowiadał mi, że oni także zostali zamordowani, a było to tak: 'W niedzielę 11 lipca w dzień, na podwórko Jana Szulakiewicza przyszli Ukraińcy i weszli do domu. Stanisława właśnie misiła ciasto, gdy Ukraińcy z miejsca zamordowali jej męża, wtedy ona postanowiła wyjść z domu na dwór. Jednak, gdy Ukraińcy zauważyli, że opuszcza dom zaczęli do niej strzelać i zabili ją w drzwiach jej domu. Marcel Mikulski mówił mi i mężowi, że przebieg tych wydarzeń wie od sąsiada, który był tego naocznym świadkiem." Kazimierz Sidorowicz: „Leon Buczek, brat Kazimierza opowiadał mi po wojnie, że raniutko w poniedziałek na podwórko Bernackich przyjechało furmankami kilku uzbrojonych w automaty Ukraińców. W tym czasie Kazimierz Buczek siedział w stodole i wszystko widział przez szpary. Nocowali razem z żoną w stodole, gdyż bali się zostawać w domu. Raniutko, żona obudziła się, wstała i powiedziała do Kazika, że idzie zobaczyć, jak się dziatki w domu mają. Gdy była już na podwórku, właśnie nadjechali Ukraińcy i od razu, bez żadnego słowa zaczęli do niej strzelać, zabijając na miejscu. Kazimierz zauważył, że napastnicy mieli zamaskowane twarze chustami, aby nie można ich było rozpoznać. Tymczasem rodzice mocno zaniepokojeni tymi strzałami, wyszli z domu na dwór. Ukraińcy z kolei do nich otworzyli ogień i ich też zabili. Zginął wtedy dziadzio Bernacki lat ok. 50 i jego żona, babcia Bernacka lat ok. 50 oraz żona Kzimierza lat ok. 26 i chłopiec lat ok. 15. Syn Kazimierz Bernacki był po pierwszym ojcu i dlatego nazywał się Buczek. Gdy Kazimierz poznał, jak Ukraińcy obeszli się z jego najbliższą rodziną wyszedł na tyły stodoły i zaczął uciekać na łąki w krzaki, aby bliżej rzeki Turii. Jeden z bandytów dostrzegł go i zaczął gonić na koniu. Kazik uciekał co sił w nogach, Ukrainiec w swej gorliwości bezlitosnego mordowania Polaków chciał długim susem przeskoczyć przez rów. Tym razem jednak z woli Pana naszego przeliczył się i koń się zapadł, unieruchamiając jeźdźca na chwilę. Kazimierz to wykorzystał i przebił bandziora jego własnym bagnetem. Kazimierz opowiadał to później swojemu rodzonemu bratu Leonowi Buczek, a on opowiedział to mi." Inny mieszkaniec Dominopola Jan Nowaczyński przeżył masakrę, bo zdążył ukryć się w schronie, w ogrodzie pod ziemią. Kazimierz i Antonina Sidorowiczowie: „Janek spotkał nas we Włodzimierzu niedługo po napadzie i zaczął opowiadać co się wydarzyło w Dominopolu, mówił tak: „Tej nocy kiedy był napad moja rodzina Nowaczyńskich wraz ze mną nocowała w schronie, który znajdował się w ich ogrodzie, niedaleko rzeki Turii. W nocy usłyszałem strzały i przeraźliwe krzyki mordowanych ludzi w nasze wsi. Ponieważ nasz schron był dobrze zamaskowany, rósł na nim posadzony groch bandyci ukraińscy nie zdołali nas wykryć. Ja i moja żona oraz nasz syn Henryk lat ok. 10 widzieliśmy nawet wyraźnie nogi szukających nas oprawców banderowskich. Przerażeni tym co się działo dookoła nas, przesiedzieliśmy w tym schronie cicho cały dzień, słysząc co jakiś czas krzyki dobijanych ludzi. Dopiero nocą, gdy zrobiło się już dość ciemno i cicho wyszliśmy za schronu i przeszliśmy przez rzekę Turię na drugi brzeg, udając się ostrożnie w stronę polskiej wioski Władysławówki. Jan miał tam rodziców i rodzonych braci, którzy udzielili nam natychmiastowej pomocy. Stamtąd uciekliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego." Właśnie wtedy, przebywając w mieście spotkali nas i wszystko nam opowiedzieli. Jest nam wiadomo, że ocalona rodzina Nowaczyńskich po wojnie osiadła w Gdańsku, tam żyła, pracowała i tam odeszła już na wieczną wartę." Inny naoczny świadek tej strasznej tragedii Franciszek Mikulski, tak opowiadał mi i memu mężowi Kazimierzowi po wojnie, w naszym domu w Siedliskach koło Zamościa: „Jako młode i pełne życia chłopaki, ja Franciszek Mikulski, Jan Zawadzki i Sylwester Mokrecki bawiliśmy się w niedzielny wieczór na zabawie w Budkach Ossowskich. Kiedy po skończonej zabawie wracaliśmy nocą rowerami, już w poniedziałek 12 lipca do Dominopola, na drodze spotkaliśmy znajomego Ukraińca z Rzewuszek, który za pierwszej okupacji sowieckiej był znanym urzędnikiem sowieckim. Ostrzegł nas, abyśmy już nie wracali do swojej wsi, bowiem wszyscy mieszkańcy Dominopola zostali wymordowani z soboty na niedzielę przez Ukraińców. Powiedział do nas wtedy tak: „Nie jedzcie na Dominopol, bo tam już wszyscy zostali zamordowani." Wtedy ja postanowiłem zawrócić z drogi i wróciłem z powrotem do swojej dziewczyny w Budkach Ossowskich, natomiast Mokrecki i Zawadzki nie dawali wiary słowom Ukraińca. Chcieli koniecznie zobaczyć, co tam właściwie się wydarzyło i pojechali dalej rowerami. Gdy przybliżyli się do wioski, spotkali Ukraińców, którzy ich zastrzelili. W jakiś czas później bandyci ukraińscy zamordowali także tego Ukraińca, który ostrzegł nas na drodze. Mord ten był zemstą, właśnie za ten dobry uczynek względem mnie i moich przyjaciół, tam na drodze. Banderowcy wymordowali także całą jego rodzinę, która mieszkała w Rzewuszkach." Franciszek Mikulski był dobrym przyjacielem tego sowieckiego „Procedatiela" gdzieś się o tym mordzie, widocznie dowiedział."(Sławomir Roch, Wspomnienia Kazimierza i Antoniny Sidorowicz z d. Turowska ze wsi Dominopol z Wołynia, Zamość 2003 r., s. 6-10). Wspomina była mieszkanka Swojczowa pani Władysława Główka z d. Bedychaj, obecnie zamieszkała w Zamościu: „Zanim jednak udała się do szpitala, osobiście opowiedziała mi i nam wszystkim w naszym domu, to co widziała na własne oczy i czego osobiście doświadczyła tam w Dominopolu, podczas straszliwej rzezi ludności tej miejscowości z 10 na 11 lipca, mówiła tak: „Tej nocy cała nasza rodzina spała w domu, nagle ktoś zastukał do drzwi naszego domu. Mój tatuś niczego się nie domyślając wstał z łóżka i spokojnie poszedł otworzyć drzwi. Gdy tylko otworzył drzwi Ukraińcy od razu, bez jednego słowa przebili tatę bagnetem, a on upadł w progu. Potem rzucili się na nas wszystkich i zaczęli mordować kogo popadło pierwszego. Ja też zostałam przebita bagnetem i natychmiast straciłam przytomność!! Na jak długo utraciłam świadomość nie wiem, jednak w pewnym momencie, ocknęłam się i poczułam, że jestem przygnieciona ciałami innych osób z mojej rodziny. Ukraińcy bowiem gdy już pomordowali wszystkich w moim domu, poskładali nasze trupy w mieszkaniu na jedną kupę. Zebrałam w sobie siły i udało mi się wydostać spod tych ciał. Widząc, ze w domu nikogo nie ma i panuje głęboka cisza, wyszłam z domu i instynktownie schowałam się w konopiach, które rosły tuż obok naszego domu. Tam siedziałam i bardzo się bałam, że mnie tu Ukraińcy znajdą i zabiją na miejscu . Po jakimś czasie, jeszcze tej samej krwawej nocy znów usłyszałam ukraińskie głosy, tuż obok naszego domu. Zaczęłam uważnie nasłuchiwać i nagle usłyszałam takie słowa: „Tu brak jednej osoby!" Bardzo się przestraszyłam, bo od razu domyśliłam się, że mówią o mnie, bałam się, bałam się, że zaraz zaczną mnie szukać po całej okolicy. Ale na szczęście nie zdecydowali się i po chwili gdzieś dalej odeszli, a ja długo jeszcze siedziałam w tych konopiach. W pewnym momencie usłyszałam, że ktoś jedzie na koniu, za chwilę zobaczyłam rzeczywiście, jak Ukrainiec jedzie na koniu, a za nim leci pies. Znów bardzo się wystraszyłam, serce biło mi jak oszalałe, bałam się, że mnie psisko wyczuje i koniec ze mną, na szczęście znów mi się udało!! Tu jednak dłużej nie mogłam zostać, postanowiłam więc uciekać z Dominopola i szukać ratunku u naszej rodziny w Swojczowie. Po drodze widziałam świeżo wykopane doły, przypuszczam, że dla pomordowanych członków naszych rodzin z naszej wsi Dominopol. Przeszłam przez rzekę Turię i dotarłam do mojej cioci Karoliny Rusieckiej, która zaraz się mną zaopiekowała i trochę mnie leczyła." (Sławomir Roch, Wspomnienia Władysławy Główka z d. Bedychaj ze wsi Swojczów na Wołyniu...., s. 17-18).

Antonina Sidorowicz: „Z mojej rodziny zginęli wtedy:

- Moi kochani rodzice Maria lat ok. 65 i Aleksander lat ok. 70 Turowscy, oraz moje rodzone siostry: Ewa lat ok. 40 i jej mąż Antoni Turowski lat ok. 42, ich dzieci: Ryszard lat ok. 13, Roman lat ok. 10 i Romualda lat ok. 4.

- Druga moja rodzona siostra Anna lat ok. 33 i jej mąż Franciszek Iwanicki lat ok. 35 oraz ich dzieci: Zbysław lat ok. 12 i Roman lat ok. 11.

- Trzecia moja rodzona siostra Stanisława lat ok. 35 oraz jej mąż Stanisław Iwanicki lat ok. 30 i jedna dziewczynka ok. 1,5 roczku, imienia nie pamiętam.
- Czwarta moja rodzona siostra Eugenia lat ok. 18, była jeszcze panną.

- Pierwszy rodzony brat Władysław Turowski lat ok. 30 i jego żona Weronika lat ok. 25 i ich dzieci: Alina lat ok. 3 oraz drugie dziecko - niemowlę około 1 roczku, wydaje mi się, że to był chłopczyk.
- Drugi rodzony brat Adam Turowski lat ok. 25 i jego żona Władysława lat ok. 20 oraz ich jedno dziecko - niemowlę 1 roczek, chłopczyk.
- Trzeci rodzony brat Edward lat ok. 16, był jeszcze kawalerem.

Razem z Władkiem i Weroniką mieszkała moja ciotka Katarzyna Majewska lat ok. 60. Wszyscy wyżej wymienieni, którzy należą do mojej najbliższej rodziny zostali prawdopodobnie bestialsko zamordowani wraz z innymi mieszkańcami Dominopola .Z całym prawdopodobieństwem ich szczątki do dziś spoczywają w obrębie naszego podwórka. Pragnę w tym miejscu wyrazić gorące pragnienie przeprowadzenia, jeśli to tylko możliwe, ekshumacji doczesnych szczątków byłych mieszkańców Dominopola i uroczystego przeniesienia ich na pobliski cmentarz. Byłabym bardzo szczęśliwa gdyby na grobach stanął symboliczny krzyż i mogło być odprawione nabożeństwo za zmarłych. W Dominopolu zginęli także z mojej rodziny:

- Pierwszy mój stryj Adolf Turowski lat ok. 70 i jego żona Maria z domu Czyżewska lat ok. 65 oraz ich dzieci: syn Mikołaj lat ok. 40 i jego żona Dominika lat ok. 35 oraz ich troje malutkich dzieci, chłopcy i dziewczyny, imion niestety nie pamiętam. Mikołaj był gajowym w lesie Świnarzyńskim i mieszkał na skraju lasu.
- Córka Adolfa i Marii Adela Krawiec lat ok. 35 i jej mąż chyba Stanisław lat ok. 38 oraz ich dzieci: córka Bronisława lat ok. 25, druga córka Maria lat ok. 20 oraz syn lat ok. 13.

- Drugi mój stryj Julian Turowski lat ok. 60 i jego żona Maria lat ok. 55 oraz ich dzieci: córka Władysława lat ok. 30 i jej mąż Leon lat ok. 32, nie pamiętam ich nazwiska oraz ich dzieci: syn Antoni lat ok. 7.
- Trzeci mój stryj Stanisław Turowski lat ok. 45 i jego żona lat ok. 35 oraz ich troje dzieci. Najstarszy syn pojechał do Niemiec na roboty, chyba to było w 1942 r.
- Moja cioteczna siostra Antonina Karagin lat ok. 23 i jej dwoje dzieci, imion nie pamiętam. Mąż Antoniny chyba Bolesław Karagin lat ok. 25, został przez Niemców zabrany na roboty jesienią 1942 r. Po wojnie wrócił jeszcze do Włodzimierza Wołyńskiego, ale co się z nim stało potem już nie wiem. W styczniu 2003 r. do moich rąk trafiła książka Władysława i Ewy Siemaszków. Pragnę uzupełnić listę prawdopodobnych ofiar o tych, których jeszcze sobie przypominam. 1. Bernacki lat ok. 60 i jego żona lat ok. 55 i ich dzieci: chłopiec lat ok. 15 oraz żona syna Bernackiej po pierwszym mężu, Kazimierza Buczek lat ok. 25, żona pochodziła z Budek Osowskich. Rodzina Bernackich sąsiadowała przez miedzę z rodziną Szulakiewiczów. /.../ 15. Pruchacki Władysław lat ok. 30 i jego żona Anna lat ok. 27 i ich troje małych dzieci: syn lat ok. 5 i dwie dziewczynki lat ok. 2 i 4. Pragnę potwierdzić, że w naszej wsi była rodzina o nazwisku Pruchacki, a nie Pluchacki, takich sobie nie przypominam. Władek był Czechem z Kupiczowa. 16. Rakowska Pelagia, wdowa lat ok. 64 i jej dzieci: córka Bożena Bielicka, wyjechała z mężem do Polski jeszcze przed wojną. Druga córka Maria wyszła za mąż do Turzyska i jej też nie było w wiosce w czasie pogromu. Trzecia córka Ewa lat ok. 22, wyszła za mąż za Stefana, nauczyciela w Dominopolu lat ok. 30, wydaje mi się, że dzieci jeszcze nie mieli. Ewa i Stefan zostali zamordowani w czasie rzezi. 17. Uleryk Władysław lat ok. 75 i jego żona lat ok. 70 i ich dzieci: dwóch synów: Stanisław lat ok. 30 i drugi lat ok. 25 oraz dwie córki, jeszcze panny lat ok. 19 i 17. 18. Uleryk lat ok. 65 i jego żona lat ok. 50 i ich dzieci: syn Stanisław Uleryk lat ok. 26 i jego żona Stanisława lat ok. 20 oraz ich jedno dziecko, chyba dziewczynka 1,5 roczku. Córka starych rodziców Uleryków Wiktoria lat 34 i jej mąż Andrys lat ok. 35 oraz ich małe dzieci, dziś już nie pamiętam ile i jak miały na imię. 19. Wasilewski lat ok. 55 i jego żona lat ok. 45 oraz ich dzieci: trzech synów oraz dwie córki. Pierwszy syn Feliks lat ok. 33 i jego żona Stanisława lat ok. 30, oni nie mieli dzieci. Drugi syn Antoni lat ok. 22, był jeszcze kawalerem. Trzeci syn Stanisław lat ok. 17, także kawaler. Pierwsza córka Ewa lat ok. 35 i jej mąż lat ok. 38. Ewa i jej mąż mieszkali w Budkach Osowskich, gm. Werba. Druga córka Wasilewskich, miała na imię Stanisława lat ok. 24 i jej mąż Jan Szulkiewicz. 20. Zawadzki lat ok. 50 i jego żona lat ok.

43 i ich dzieci: syn Jan lat ok. 25 i córka lat ok. 25, ona wyszła za mąż do Turzyska. Jeszcze były małe dzieci, ale imion nie pamiętam. Zawadzki przyjechał do Dominopola jeszcze przed wojną z Radomia i tu się chyba ożenił z jedną z naszych dziewczyn. Jan Zawadzki, kawaler został zastrzelony w poniedziałkowy ranek na drodze, gdy rowerem wracał z zabawy do wsi. 21. Zdończak Paweł lat ok. 50 i jego żona lat ok. 40 oraz ich dzieci: dwie córki Bogusława lat ok. 19 i Urszula lat ok. 15. To były panny. Tej niedzieli w dzień napadu, Bogusława miała wziąć ślub z Hipolitem Potockim. Zdończak przyjechał z Fajsławic w Chełmskiem. 22. W Dominopolu mieszkała też jedna rodzina cygańska: mąż lat ok. 25 i jego żona lat ok. 25 i ich dzieci, ale nie pamiętam jak mieli na imię i rodzice i dzieci. Wiem tylko, że Cygan był kowalem w naszej wsi. Oni też zostali zamordowani" (Antonina Sidorowicz i Kazimierz Sidorowicz, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl; relację spisał Sławomir T. Roch. S.T. Roch spisał bardzo cenne relacje kilkudziesięciu świadków zbrodni popełnionych przez Ukraińców na Polakach na Wołyniu, znakomicie uzupełniając opracowanie W. i E. Siemaszko). „Tej nocy cała nasza rodzina spała w domu, nagle ktoś zastukał do drzwi naszego domu. Mój tatuś niczego się nie domyślając wstał z łóżka i spokojnie poszedł otworzyć drzwi. Gdy tylko otworzył drzwi Ukraińcy od razu, bez jednego słowa przebili tatę bagnetem, a on upadł w progu. Potem rzucili się na nas wszystkich i zaczęli mordować kogo popadło pierwszego. Ja też zostałam przebita bagnetem i natychmiast straciłam przytomność!! Na jak długo utraciłam świadomość nie wiem, jednak w pewnym momencie, ocknęłam się i poczułam, że jestem przygnieciona ciałami innych osób z mojej rodziny. Ukraińcy bowiem gdy już pomordowali wszystkich w moim domu, poskładali nasze trupy w mieszkaniu na jedną kupę. Zebrałam w sobie siły i udało mi się wydostać spod tych ciał. Widząc, ze w domu nikogo nie ma i panuje głęboka cisza, wyszłam z domu i instynktownie schowałam się w konopiach, które rosły tuż obok naszego domu. Tam siedziałam i bardzo się bałam, że mnie tu Ukraińcy znajdą i zabiją na miejscu . Po jakimś czasie, jeszcze tej samej krwawej nocy znów usłyszałam ukraińskie głosy, tuż obok naszego domu. Zaczęłam uważnie nasłuchiwać i nagle usłyszałam takie słowa: „Tu brak jednej osoby!" Bardzo się przestraszyłam, bo od razu domyśliłam się, że mówią o mnie, bałam się, bałam się, że zaraz zaczną mnie szukać po całej okolicy. Ale na szczęście nie zdecydowali się i po chwili gdzieś dalej odeszli, a ja długo jeszcze siedziałam w tych konopiach. W pewnym momencie usłyszałam, że ktoś jedzie na koniu, za chwilę zobaczyłam rzeczywiście, jak Ukrainiec jedzie na koniu, a za nim leci pies. Znów bardzo się wystraszyłam, serce biło mi jak oszalałe, bałam się, że mnie psisko wyczuje i koniec ze mną, na szczęście znów mi się udało!! Tu jednak dłużej nie mogłam zostać, postanowiłam więc uciekać z Dominopola i szukać ratunku u naszej rodziny w Swojczowie. Po drodze widziałam świeżo wykopane doły, przypuszczam, że dla pomordowanych członków naszych rodzin z naszej wsi Dominopol. Przeszłam przez rzekę Turię i dotarłam do mojej cioci Karoliny Rusieckiej, która zaraz się mną zaopiekowała i trochę mnie leczyła." (Sławomir Roch, Wspomnienia Władysławy Główka z d. Bedychaj ze wsi Swojczów na Wołyniu...., s. 17-18). Petronela Władyga z d. Rusiecka : „Pamiętam pierwszą ogromną rzeź, jaka była w naszych stronach w dniu 11 lipca 1943 roku we wsi Dominopol, odległej tylko 4 km od Swojczowa. […] Zginął tam mój wujek Lipina Franciszek z całą rodziną, która składała się z 6-ciu osób. Ukraińcy opowiadali, że po zabiciu ojca, matki i starszego rodzeństwa, żył jeszcze najmłodszy ich syn, liczył zaledwie dwa latka. Dziecina nie rozumiała co się stało, zrozpaczona, głodna i wyziębiona szarpała zwłoki matki, ojca, brata i siostry, krzyczała przy tym przeraźliwie. Tymczasem ukraińscy zbrodniarze (dziś na Ukrainie – bohaterzy UPA), naśmiewali się z dziecka, tak przez cały dzień, potem to biedne dziecko zabili. Ukrainki opowiadały, że nie mogły przez dłuższy czas domyć podłogi z której wychodziła żywa krew, mówiły, że to kara Boża za znęcanie się nad „detyną" . [….] szesnastoletnia Antonina Uleryk córka, siostry mojej babci, która szczęśliwie zdołała przedostać się do Swojczowa, […] opowiedziała nam ze szczegółami przebieg masakry [….] W naszym domu wszyscy obudzili się od razu. Matka mając wtedy ponad pięćdziesiąt lat, otworzyła oprawcom drzwi. […] ..nie interesowało ich wcale, co mówiła moja matka, w ogóle nie słuchali, tylko jeden z nich uderzył ją kolbą karabinu, a gdy w następstwie silnego ciosu przewróciła się na ziemię, brutalnie zabił. W tym czasie drugi banderowiec zabił ojca, jeszcze w łóżku. Ja sama także zostałam ciężko ranna, byłam uderzona bagnetem w bok tak, że bagnet przeszedł na drugą stronę. Gdy rezun uderzył mnie bagnetem po raz drugi, przekłuł mi rękę na wylot i wtedy straciłam przytomność. Po odzyskaniu przytomności, usłyszałam tylko rzężenie konającego ojca, który leżał we krwi przy łóżku." (http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/411-wspomnienia-petroneli-wadyga.html).

W majątku Drewinie pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 21 Polaków.

We wsi Dziegciów pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 2 Polaków: matkę z małym dzieckiem, które uciekły ze wsi Smołowa podczas dokonywanej tam rzezi. (Siemaszko..., s 818; mord datuje na 12 lipca, ale w publikacji: Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx , podaje datę 11 lipca 1943). Inni: Zygmunt Maguza relacjonuje: „O świcie wstałem i wyszedłem na drogę. Wieś była uśpiona. Wydawało się, że nic się nie dzieje. Znienacka słyszę jednak straszny, rozdzierający powietrze krzyk – uciekajcie, mordują! Patrzę na ulicę, a tam biegnie kobieta i znów krzyczy - uciekajcie, mordują! – Tak, jakby chciała ostrzec sąsiadów. Banderowcy mordowali w tym czasie rodzinę Chomczyńskich. Zaczęli od niej, bo liczyli na niezły łup. Uchodziła ona za zamożną, mającą sporo ukrytych kosztowności. Chomczyńscy ukryli się jednak w solidnej piwnicy, jak gdyby coś przeczuwając i nie dali się łatwo wykurzyć. Banderowcy chcąc ich zmusić do wyjścia, wytracili czas i nie zdążyli przyjść o świcie do Girgilewiczów. Natychmiast pobiegłem do wujostwa i mówię im, co się dzieje i też krzyczę, że trzeba uciekać. W progu spotkałem Władka, który też się obudził, ale on tylko wzruszył ramionami. Wpadłem do wujostwa krzycząc, że musimy uciekać! Wuj jednak tylko wzruszył ramionami i ofuknął mnie – czego ty się boisz? – Mnie Ukraińcy powiedzieli, że mogę spać spokojnie, bo jestem im potrzebny. Beze mnie nie będzie miał kto kuć im koni, wykonywać obręczy żelaznych na koła do wozów. Ja wtedy nie czekając na nic wsiadłem na konia i pognałem do Włodzimierza. Władek też zdecydował się zaprząc konia do wozu i z żoną i dzieckiem pogalopował za mną. W okolicy, gdzie banderowcy mordowali kolejne polskie rodziny rozległy się strzały i już nikt nie mógł mieć wątpliwości, że we wsi dzieje się coś złego... Gdy banda zbliżała się do domu Girgilewiczów, wujenka jakby coś przeczuwając uciekła w zboże. Była niewidoczna, ale mogła obserwować, co dzieje się na podwórku jej domostwa. Ukraińcy jak wpadli na nie, od razu zastrzelili wujka Girgilewicza. Zrobił to Ukrainiec o nazwisku Trofimiuk. Zbrodniarze rozbiegli się po całym obejściu, szukając pozostałych domowników, w tym mnie - Byli wściekli, że nikogo oprócz wujka Girgilewicza nie było. Wściekali się również, że na stole nie znaleźli wódki i śniadania, które ja miałem przygotować. Zbrodniarze chcieli zapewne „podsumować" mord w Dziegdziowie u wujostwa, a następnie wszystkich zabić." (Marek A. Koprowski : Uciekajcie, mordują!, 25 kwietnia 2011; w: http://www.kresy.pl/kresopedia,historia,ii-wojna-swiatowa?zobacz%2Fuciekajcie-morduja). Z relacji Zygmunta Maguzy wynika, że rzeź wsi Dziekciów (wymienia ją jako Dziegdziów) miała miejsce 11 lipca 1943 roku i zamordowana została większa ilość Polaków.

W kol. Franopol pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy wymordowali Polaków, znane jest 9 ofiar.

We wsi Gnojno pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 12 Polaków.

We wsi Grabina pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 5 Polaków.

We wsi Gruszów pow. Włodzimierz Wołyński wiadomo o zamordowaniu 8 Polaków.

We wsi Grzybowica pow. Włodzimierz Wołyński miejscowi upowcy wymordowali mieszkające tutaj rodziny polskie, imiennie znane są tylko 34 ofiary.

W kol. Gucin pow. Włodzimierz Wołyński upowcy i chłopi ukraińscy otoczoną w nocy kolonię napadli o świcie i dokonali rzezi 146 Polaków, w tym 40 osób spalili żywcem w kuźni oraz około 15 rodzin w stodole. Ukraiński nauczyciel Peter Muzyka ukrył 18-letnią Polkę i nie chciał jej wydać, więc oprawcy zastrzelili go. Polaków wyłapywali i zabijali po całej kolonii i w jej okolicach. Wymordowali także kilka polskich rodzin przypędzonych tutaj z sąsiedniej wsi Myszów. Zwłoki zakopane zostały w 3 zbiorowych mogiłach, na których obecnie znajdują się pola kołchozowe. Jak wszędzie, tak i tutaj miały miejsce sadystyczne tortury i gwałty. Już po rzezi złapali ukrywające się 3 dzieci Jana Krzysztonia i utopili w studni. „Pada deszcz. Ojciec Józefa Ostrowskiego, nastoletniego chłopaka, nie obawia się partyzantów z UPA. Owszem jest Polakiem, jednak urodził się na Wołyniu i mieszka tu całe swoje życie. Nawet jego syn Józef nie umie poprawnie mówić po polsku. Ranek, banda Ukraińców napada na polską wieś Gucin. Wpadają do domu sąsiadów. Cała rodzina jeszcze śpi. Rodzice zostają zakłuci jeszcze w łóżku. Córka posiekana nożami. Wnętrzności wypływają na wierzch. Najmłodszy syn umiera przybity do podłogi drewnianym kołkiem w brzuch. Józefa budzi krzyk. Ojciec każe mu uciekać do pobliskiego lasu. Sam pakuje najpotrzebniejsze rzeczy i szykuje się do ucieczki. Matka i młodsza siostra płaczą. Sąsiedzi z gospodarstwa obok kryją się w stodole. Mają dwójkę synów. Ze starszym Józef chodzi do szkoły. Młodszy ma zaledwie rok. Banderowcy przeszukują ich dom. Wybiegają na podwórko. Muszą znaleźć każdego Polaka bez wyjątku. Dziecko zaczyna płakać. Matka próbuje je uciszyć. Za późno. Partyzanci zamykają stodołę i podkładają ogień. Józef jest już za domem. Czeka na rodzinę. Banderowcy przychodzą i po nich. Wyciągają jego ojca, matkę i siostrę z domu. Na ich podwórze przybiegają Ukraińscy sąsiedzi. Wstawiają się za jego ojcem. Józef ukrywa się w ogrodzie. Jego rodzina zostaje spalona żywcem. Sąsiadów przywiązują do drzew i obcinają kończyny" (Kazimierz Maciejewski; w: https://wzzw.wordpress.com/2010/01/25/wykosimy-wszystkich-lachow-po-warszawe/ ; 25 stycznia 2010). „Urodziłam się 26 lipca 1940 roku we wsi Gucin, położonej w gminie Grzybowica, w powiecie Włodzimierz, w województwie wołyńskim./.../ Kilka dni przed napaścią mój ojciec został upomniany, by zabrał rodzinę i opuścił ziemię, bo inaczej wszyscy zostaną wymordowani. Ale ojciec, widząc przed domem kołyszące się łany zboża, stwierdził, że tu jest jego miejsce na ziemi i że nie zamierza stąd odejść. Przyszła niedziela, 11 lipca 1943 roku zostaliśmy znienacka napadnięci przez Ukraińców, którzy w bestialski sposób zaczęli mordować mieszkańców wsi. Były siekiery, noże, sztylety, wszystko, co tylko się dało. Podobno jeden z napastników, dźgał ludzi, jadąc na koniu. Ja jako trzyletnie dziecko, zostałam uderzona siekierą w głowę na wysokości opony mózgowej. Dziadek Władysław, babcia Bronisława, moja siostrzyczka Wiesia oraz ciocia Janina i wujek Roman zostali spaleni żywcem w stodole. Natomiast ojciec Jan został przywiązany do studni i zadźgany sztyletami, a półtoraroczny braciszek Boguś przecięty na pół. Jako jedyna z całej rodziny przeżyłam Rzeź Wołyńską. Niestety nie wiem kim była osoba, która uratowała mi życie. Najprawdopodobniej był to człowiek z partyzantki, którego wysłano na zwiady. Rannych odwożono do szpitala, martwych chowano. Zalaną krwią i nieprzytomną odnalazł mnie wśród trupów. Wziął mnie na barana, by przedostać na wolniejszą strefę. Szliśmy nocą między krzakami, polami, bo tylko i wyłącznie nocą mógł się tam ze mną przedostać. Bał się, żeby i jego nie zbrodniarze nie dopadli. Trafiłam do 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, leżałam przez dwa tygodnie szpitalu we Włodzimierzu Wołyńskim i zostałam zgłoszona do księdza jako sierota. Po tych wydarzeniach całkiem obcy ludzie wzięli mnie do siebie na wychowanie." („Banderowcy wymordowali mi rodzinę" - wywiad z Anną Załęcką, świadkiem Rzezi Wołyńskiej. Wywiad przeprowadzili: Małgorzata Stasiak i Kamil Woźniak. W: http://twojradom.pl/artykul/banderowcy-wymordowali-mi-rodzine--wywiad-z-anna-zalecka-swiadkiem-rzezi-wolynskiej/54906).

W kol. Gurów (Górów) pow. Włodzimierz Wołyński polska kolonia otoczona została około północy przez bojówki UPA oraz chłopów ukraińskich ze wsi: Iwanicze, Bielicze, Myszków, Zabłoćce i Żdżary Duże. Około godz. 2.30 każdy polski dom zaatakowany został przez 1-2 uzbrojonych w broń palną upowców oraz kilku chłopów ukraińskich uzbrojonych w różne narzędzia. Domownicy byli torturowani, rąbani siekierami, kłuci widłami itp. Ciężko ranni, bestialsko okaleczeni, konali przez 2 – 3 dni, niektórzy lżej ranni zdołali uciec do powiatu sokalskiego w woj. lwowskim. „Dane dotyczące wsi Gurów, pow. Włodzimierz.

Dokładnie wedle naszych danych ze wsi tej uratowało się 132 ludzi (wykaz dokładny imienny – z podaniem wieku), reszta została wymordowana. Sporadyczne mordy zaczęły się już w okresie Bożego Narodzenia – nasilenie było już dość znaczne w lutym i marcu, od niedzieli Palmowej ludność już żyła w strachu ze względu na to, że masowy mord Polaków był zapowiedziany. Kryli się jednak tylko mężczyźni, bo tych nocami uprowadzano i mordowano w lesie. Kobiety i dzieci przebywały po chatach nie spodziewając się specjalnie niczego złego. Toteż gdy doszło do zorganizowanego napadu na ruskiego Piotra i Pawła tj. z 11 na 12 lipca mordercy zebrali obfity plon, właśnie wśród kobiet i dzieci, bo je głównie zastano w chatach. Mężczyźni leżąc w krzakach, w zbożu, bezsilnie przypatrywali się jak mordowano ich najbliższych. Reszta ludności rankiem zbiegła do Włodzimierza – wieś została doszczętnie spalona.

Zginęli następujący ludzie (dane podane przez naocznych świadków i podpisywane przez nich – sporządzony jest rodzaj metryk śmierci).

1. Ponińskie – Helena, Sabina, Wanda 10.VII.1943. 3 os.

2. Dołmat vel Dotman Jerzy – leśniczy, lat 29 – lasy hr. Czackiego, zamordowany sam w lesie 25.III.1943. 1.os.

3.cała rodzina wymordowana doszczętnie 11.VII.1943. 6 os. Barszewski Bolesław, lat 62; żona Stanisława, lat 60; syn Zygmunt' synowa Wincentyna; wnuk Leszek; wnuk Wacek

4. Hublowa z córką Gizą

5. Stankiewicz Regina, lat 29, córka Jagusia, lat 1,5

6. Witaszczyk Piotr, lat 48; żona Józefa, lat 48; córka Adela, lat 17; syn Bolesław, lat 12

7. Malinowski Jan 11.VII.1943. 6 os.

8. Malinowski Leon 11.VII.1943. 6 os.

9. Piątek Józef 11.VII.1943. 1 os.

10. Poniński Franciszek, lat 67. 4 os.; syn Teodor, lat 32; synowa Aniela, lat 32; wnuk (imię niezn.), lat 4 wymordowani u siebie w domu 11.VII.1943

11. Poniński Władysław, lat 48 11.VII.1943. 3 os.; żona Malwina., lat 48; matka żony Serafińska Waleria, lat 70

12. Radzikowski Jan, lat 52; Maria, lat 52; Aniela, lat 30; Danusia, lat 12; Florian, lat 14 - 11.VII.1943. z 10-osobowej rodziny uratowało się tylko 3

13. Matwijczuk Paweł, lat 48 3 os. ; Antonia, lat 50 ; Domicela, lat 25

14. Szczęśniewski Zbigniew, lat 11, Danuta, lat 15 - dzieci wójta z Gurowa zamordowane u niego na podwórzu przez sąsiada z UPA

15. Szczęśniewski Stanisław, lat 25

16. Tenichiewicz Wiesława, lat 17 wychowanka wójta.

17. Jaruga Józef, lat 32 11.VII.1943. 2 os. żona Maria, lat 32

18. Jaruga Wincenty, lat 30; Michalina, lat 22; Danusia, lat 1,5; Stanisław, lat 70; Franciszka, lat 48 wymordowani w jednym domu 6 os.

19. Sadowski Franciszek, lat 67 3 osoby; Kazimiera, lat 36; Maria, lat 34

20. Szczawiński Jan, lat 67 4 osoby Aleksander, lat 32 Helena, lat 20; dziecko (imię niezn.), lat 1

21. Szczawiński Paweł, lat 35 3 osoby Helena, lat 30; dziecko (imię niezn.), lat 4

22. Janas Ewa, lat 60 1 osoba

23. Grzelak Stefan, lat 11 3 osoby w jednym domu Bednarek Józefa (babka), lat 70; sługa, wołany Wołodka, lat 25

24. Szelepajło Teodor, lat 33 3 osoby Franciszka, lat 22; matka Gertruda, lat 60

25. Utracka Michalina, lat 60 11.VII.1943. 4 os. Józefa, lat 36; Stanisław, lat 13; Mieczysław, lat 17

26. Świątek Władysław, lat 41 10.VII.1943. 2 os. żona Anna, lat 50

27. Poniński Ignacy, lat 40 10.VII.1943. 3 os. Ballina, lat 30; Julian, lat 14

28. Cepowski Stanisław, lat 30 5 osób Rozalia, lat 30; córka (imię niezn.), lat 8; syn (imię niezn.), lat 6; syn (imię niezn.), lat 5

29. Koper Antoni, lat 58 4 osoby żona, lat 56; babka, lat 80; synowa Stanisława, lat 23 (syn na robotach w Niemczech)

30. Kaniecka Józefa, lat 60 3 osoby córka, lat 3; Witaszczyk Józefa (wychowanka), lat 27

31. Popiel Marian, lat 41 5 osób. Popiel Marian, z zawodu nauczyciel gimn. pochodził z m. Stryja, gdzie ma bliską rodzinę. W Gurowie osiedlił się czasowo; Zofia, lat 41; Janusz, lat 11; Zofia, lat 9; syn (imię niezn.), lat 1,5

32. Jarosz Wojciech, lat 47 5 osób Wiktoria, lat 47; Władysława, lat 17; córka, lat 12; syn, lat 11

33. Grzelak Adam, lat 60 5 osób Maria, lat 60; Kaczorowska Stanisława, lat 27 (córka); Katarzyna, lat 7 (wnuczka); (imię niezn.), lat 5 (wnuczka)

34. Milczarkowa Józefa, lat 80 1 osoba

35. Graczyk Jan, lat 43 2 osoby Józefa, lat 70

36. Kaczorowski Michał, lat 70 4 osoby. z nim 3 osoby z rodziny

37. Krysiak Jan, lat 60 3 osoby Wiktoria, lat 58; Maria, lat 25

38. Sas Wojciech, lat 70 1 osoba

39. Jaruga Feliksa, lat 40 4 osoby z nią 3 osoby

40. Światek Józef, lat 43 5 osób Rozalia (niewiad.); z nimi 3 dzieci

41. Witaszczyk Anastazja, lat 48 1 osoba

42. Górski Józef, lat 36 5 osób Józefa, lat 36; z nimi 3 dzieci

43. Ponińska Aniela, lat 25 4 osoby Nowakowa (imię niezn.), lat 60; Z nimi 2 dzieci

44. Wojcieszek Józef, lat 58 5 osób z nim żona i 3 dzieci

45. Ponińska Feliksa i 2 dzieci 3 osoby

46. Wojcieszek Anna, lat 70 1 osoba

47. Kowalski Michał, lat 33 2 osoby Feliksa, lat 33

48. Kowalska Stanisława, lat 33 6 osób z matką Balliną i 4 dzieci.

49. Nazwisko męża świadek zapomniał 3 osoby; żona z domu nazywała się Kowalska Maria, lat 40 i 2 dzieci

(według zeznań świadków, którzy napływali w sierpniu dzieci Kowalskich zostały też wymordowane w ten sposób, że je żywcem porozdzierano, głowa Kowalskiej była odcięta siekierą).

50. Malinowska Józefa i 2 dzieci 3 osoby

Zeznaje mąż zamordowanej Piotr Malinowski.

Malinowska Józefa z dwojgiem dzieci przerąbana siekierą, mord miał miejsce 11.VII.1943. Nazwiska morderców – miejscowi Ukraińcy – Szakuła, Mykieta, Pyłypiuk, Kapryjan, Gnat, prócz tego było 2 ludzi nieznanych, zdaje się o charakterze prowodyrów, którzy przyszli i wymordowali, a później odeszli.

Zestawienie podawane według rozmieszczeń domu we wsi Gurowie – łatwo przy wizji lokalnej będzie można odtworzyć obraz wypadków. Z tego zupełnie suchego zestawienia wynika, że zupełnie pewne dane istnieją co do śmierci 163 osób, w tym 61 dzieci poniżej 15 lat i 64 kobiet - mężczyzn powyżej 15 lat zginęło 38. Z tego wynika, że był to masowy mord kobiet i dzieci. Celem tego zupełne wytępienie ludności polskiej "aż do 7 pokolenia", jak brzmiało hasło. Mordercami była ludność ukraińska miejscowa, przy dopływie elementów obcych z sąsiednich wsi – nadto kręcili się ludzie z Galicji, którzy spełniali rolę prowodyrów.

Na 480 Polaków uratowało się 132 (około 27%). Zupełnie pewne dane istnieją co do śmierci 163 osób (33,9%), nie wiadomo co się stało z resztą ludności polskiej tj. około185 osób. Na razie traktujemy je jako zaginione. Ale zasadniczo należy przyjąć jako pewnik, że ludzie ci w 90% nie żyją. Wskazuje na to fakt, że po 17.VII, prawie nikt z Gurowa już do Lwowa nie napłynął (8 osób, które później napłynęły stwierdzają, że wieś jest kompletnie spalona i absolutnie z Polaków nikogo nie ma). Ponieważ na podstawie obserwacji mogliśmy stwierdzić, że wsie o ile możliwe trzymają się razem i razem nawet na pobyt czasowy lubią się osiedlać, to niewątpliwie, gdyby reszta ocalała, przeszłaby przez Lwów dla połączenia się ze swoimi. Tymczasem już nikt z Gurowa nie napłynął. Właściwie już dziś jako pewnik możemy przyjąć, że 70% mieszkańców polskiej wsi Gurowa nie żyje – cyfra to raczej za niska. Wśród ocalałej ludności szereg wypadków ciężkiego poranienia, dane: szpital w Sokalu, szpital na Rappaporta i klinika we Lwowie." (1943, lipiec – Wykaz uratowanych i ofiar oraz omówienie mordu dokonanego przez Ukraińców we wsi Gurów na Wołyniu; sporządzony w RGO we Lwowie. W: B. Ossol. 16722/2, s. 297-307). „Grzelak Adam - mój dziadek urodził się już chyba na Wołyniu, a jego ojciec przywędrował tu w latach 1870-1880 z powiatu tureckiego (nie znam miejscowości) w Wielkopolsce. Osiedlili się w Gurowie, w gminie Grzybowica w powiecie włodzimierskim, parafia Zabłoćce. Dziadek Adam ożenił się z Franciszką Piątek. Rodzice babci też pochodzili z Wielkopolski, z okolic Kalisza, ale urodziła się na Wołyniu w miejscowości Dolinka w gminie Poryck. Jej rodzicami byli Franciszek Piątek i Katarzyna Grabowska. Mieli czworo dzieci. Niestety, oboje zginęli 11 lipca 1943 roku, zamordowani przez bandy UPA". (Marian Grzelak, 14.10.04; w: http://forum.gazeta.pl/forum/w,76,12039249,,Szukam_osob_ktorych_rodziny_pochodza_z_Wolynia.html?v=2). E. Siemaszko podaje liczbę 352 zamordowanych Polaków oraz 3 Żydów. Natomiast w Naszym Dzienniku (nr 4 z 5-6 stycznia 2002 r.) w rozmowie Wojciecha Wybranowskiego z prokuratorem Andrzejem Witkowskim, naczelnikiem Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN, znajduje się informacja: „Według ustaleń prokuratorów prowadzących śledztwo, z 480 mieszkańców Gurowa ocalało tylko 70 osób. – We wszystkich relacjach świadków tamtych wydarzeń znamienne jest okrucieństwo, z jakim działali sprawcy. Mordowano wszystkich: kobiety, dzieci, starców, osoby chore i niedołężne – opowiada prokurator Andrzej Witkowski". Okazuje się, że ówczesne Raporty Komendy AK Lwów, podające liczbę 410 ofiar, były dokładne. (Archiwum Akt Nowych, sygn. 203/XV/42, k. 78 – 85). Alina D.: „Tego wieczoru mama szyła mi sukienkę i z tego powodu nie poszła spać do kryjówki, co stale czyniono ze względu na nocne napady band UPA i urządzane przez Niemców łapanki na roboty do Niemiec. Gdy skończyła szyć, powiedziała, że na pewno banda dziś nie przyjdzie i położyła się spać ze mną. Los okazał się jednak nieubłagany i mordercy spod znaku OUN-UPA o północy załomotali do drzwi. Kiedy im otworzył dziadek Jan R., od razu zastrzelili go w progu mieszkania. Mama, słysząc strzał i jęk dziadka, wyskoczyła z łóżka i zaczęła krzyczeć. Ja również zerwałam się z łóżka, podbiegłam do mamy i trzymałam się jej spódnicy. Nagle obie upadłyśmy na podłogę, gdyż mama została trafiona kulą przez wybite okno. Kiedy ucichły strzały, zaczęłam wołać mamę i szarpać ją. Wtedy usłyszałam głos babci Marii R.: „Nie wołaj mamusi, mamusia jest zabita! Ciocia Danusia też jest zabita, popatrz!". Był już ranek. Rozejrzałam się, zobaczyłam najmłodszą siostrę mojej mamy całą we krwi, leżącą obok warsztatu tkackiego, a babcię siedzącą na łóżku, również zakrwawioną. Babcia powiedziała: „Idź, Alinko, do wujostwa, tylko ostrożnie i powiedz im, co się u nas stało". Wybiegłam z mieszkania i widząc, że nikogo nie ma, pobiegłam do wujostwa, na drugą stronę ulicy. Wujek M. leżał zabity w kuchni, ciocia Domicela martwa, siedziała oparta o kufer i ścianę, pokłuta bagnetami lub nożem. Jak się później dowiedziałam, ciocia spała ukryta w stodole, ale nad ranem wróciła do domu, sądząc, że nie będzie napadu i trafiła na morderców. Po obejrzeniu domu wujostwa, pobiegłam do P. Tam zobaczyłam młodą synową P. z niemowlęciem na ręku, oboje byli martwi. W pobliżu leżał jej martwy teść. Wróciłam do babci, opowiedziałam wszystko, co widziałam. Na jej prośbę przyniosłam z drugiego pokoju firankę, którą babcia owinęła swoje rany. Wzięłam poduszkę i blachę z upieczonymi poprzedniego dnia drożdżowymi bułkami i poszłyśmy ukryć się w zbożu za sadem. Po pewnym czasie przyszli do nas dwaj synowie babci, którzy spali na strychu nad stajnią, piętnastoletni Florek i nieco starszy od niego Czesiek. Babcia kazała im przynieść kożuch, aby mogli leżeć na ziemi. Pobiegli w kierunku domu, a za chwilę przebiegli obok nas, ścigani przez Ukraińców na koniach. Kiedy babcia to zobaczyła, powiedziała do mnie: „Uciekaj Alinko, i to szybko, biegnij do cioci Jadzi". Ciocia mieszkała na kolonii Bogudzięka. Zdążyłam tylko zapytać: „Babciu, a ty, co z tobą?". Zawahałam się, babcia powiedziała: „Uciekaj, ja tu zostanę z twoją mamą i dziadkiem" i upadła na poduszkę. Pobiegłam miedzą w innym kierunku niż moi wujkowie. Dobiegając do Bogudzięki musiałam przejść w pobliżu ukraińskiego gospodarstwa. Stała tam grupa kobiet i dzieci. Patrzyły na drogę, którą jechały wozy ze zrabowanym dobytkiem, a banda UPA pędziła stado krów. Niezauważona weszłam do domu cioci. Nie było w nim nikogo. Pobiegłam dalej do nie ukończonego domu cioci Wandy J. Tam zobaczyłam teścia cioci całego we krwi. Myślałam, że jest zabity, ale, jak się później okazało, był tylko ranny. Wystraszyłam się i pobiegłam do babci W. na Witoldówkę. […] Gdy biegłam przez pola, spostrzegł mnie wujek Czesiek, siedzący na czatach na polnym dębie. [...] W zbożach siedziała grupa Polaków, ocalałych z pogromu. Wśród nich również ciocia Wanda J. z dziećmi. W nocy wujek Czesiek poszedł pochować babcię, którą dobili Ukraińcy, i wujka Florka, zastrzelonego podczas ucieczki. Pogrzebał ich pod polną gruszą. [...] Dziadek, moja mama Aniela W. i ciocia Danusia R. nie zostali pochowani i nikt nie wie, gdzie spoczywają ich zwłoki. Wujek Czesiek zdobył konia i wóz, na który załadowała się nasza gromadka i w strugach deszczu, polnymi drogami i przez lasy ruszyliśmy w stronę Sokala." (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus). Natalia O. (ur. 1936): „Kiedy 11 lipca o trzeciej nad ranem obudziłam się, w mieszkaniu znajdowało się sześciu bandytów ukraińskich. Wszystko było rozwalone, rzeczy powyrzucane na środek pokoju. Ukraińcy bez przerwy krzyczeli: „Gdzie jest gospodarz?". Bili przy tym mamę, domagając się odpowiedzi. Mama uklękła i mówiła, że mąż nie wrócił z Romanówki. Wtedy jeden z bandytów zaczął do niej strzelać. Została trafiona siedmioma pociskami, skonała we krwi na podłodze. Babcia Stanisława B., która tej nocy u nas spała, również została zastrzelona. Obie z siostrą Alą, przerażone, błagałyśmy o darowanie życia. Zawinęłam się w pierzynę i cała skurczyłam. Oprawca strzelił. Kula musnęła mi lekko skroń i przeszyła lewe ramię. Dostałam jeszcze cios kolbą i straciłam przytomność. Ala krzyczała, zasłaniając się rękoma. Przestrzelono jej prawą dłoń, pobito kolbą, również straciła przytomność. Siedemnastomiesięczna Jadzia została zastrzelona. Nie wiem, jak długo trwała rzeź. Gdy się obudziłam, siedziała nade mną Ala, cała we krwi i w czerwonej pościeli. Wstałyśmy i poszłyśmy do domu naszego dziadka Bolesława B., mieszkającego jakieś 150 metrów dalej. Wokół słychać było strzelaninę. Na drodze zauważyłyśmy wóz, na którym siedział uzbrojony Ukrainiec. Na jego widok schroniłyśmy się w gęstym zagonie kwitnącego maku. Gdy wóz odjechał, weszłyśmy do mieszkania dziadka. Leżał zabity, a obok niego jego syn Zygmunt z żoną Wiktorią i ich synkami, Wackiem i Leszkiem. Zabite zostały również farmaceutka H. i jej córka Giza — Żydówki, które ukrywały się u dziadków. (Uciekł dziewięcioletni Hałek H., tułał się przez dwa tygodnie i został zastrzelony w pociągu przez Niemca.) Z domu dziadka poszłyśmy do mieszkania szewca W. Tam zobaczyłyśmy trupy: W., jego żony i dwójki dzieci, Bolka (8 lat) i Adeli (15 lat) [...]. Dalej nie mogłyśmy iść, bo zostałyśmy zauważone przez Ukraińca, który gonił młodego mężczyznę i strzelał za nim. Chyłkiem powróciłyśmy do domu, tam położyłyśmy się do łóżka. [...] Potem przyszły trzy kobiety z różańcami i zabrały nas." (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus).

We wsi Haliczany pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 3 Polaków.

W kol. Hirki pow. Kowel: „Nazywam się Jan Feliks Jakubiak, ur. się 02. 01. 1924 r. w kolonii Hirki, sołectwo Ossa, gm. Turzysk, powiat Kowel. /.../ Bardzo przeżyłem śmierć mojego dziadka Tomasza Pietruka. 11 lipca 1943 r. wracał on pieszo z Kościoła w Swojczowie (to była nasza parafia oddalona ok 10 km od Ossy). Szedł najkrótszą drogą: przez most na rzece Turia w polskiej, starej i b. dużej wsi Dominopol. Wartownik banderowski nie przepuścił go przez most, wobec czego dziadek postanowił, że przejdzie w innym miejscu, wpław przez rzekę. Wartownik zauważył i strzałami z karabinu zastrzelił tam dziadka. Sytuację tę obserwował Ukrainiec (NN), który prawdopodobnie wyciągnął ciało dziadka z rzeki i zakopał na łące, miejsca niestety nie znamy. Także 11 lipca 1943 r. we własnym domu został zamordowany mój wujek Piotr Obuchowski i pogrzebany we własnym ogrodzie." (Sławomir Tomasz Roch: Wspomnienia Jana Jakubiaka; w: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/119-wspomnienia-jana-jakubiak.html)

W osadzie Holendernia pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 7-osobową rodzinę polską, rzeź pozostałych Polaków miała miejsce na drugi dzień.

W powiecie Horochów woj. wołyńskie zamordowali 3 Polaków: w jednym z majątków Ledóchowskich starsze małżeństwo polskie oraz w jednym z nadleśnictw został porąbany na części przez upowców gajowy Hołdowaniecki, urzędnik nadleśnictwa (Edward Orłowski…, jw.).

W kol. Iwanicze Nowe i wsi Iwanicze Stare pow. Włodzimierz Wołyński upowcy i chłopi ukraińscy zamordowali co najmniej 15 Polaków, w tym 9-osobową rodzinę Kalinowskich oraz wokół stacji kolejowej Iwanicze zginęli prawie wszyscy Polacy.

W majątku Janiewicze pow. Włodzimierz Wołyński nie ustalono liczby ofiar upowskiego napadu.

We wsi Janiewicze pow. Włodzimierz Wołyński obrabowali i spalili polskie gospodarstwa oraz zamordowali kilka rodzin polskich, imiennie znane są 22 ofiary, w tym spalili żywcem siostry-bliźniaczki o nazwisku Pieniążek, w wieku gimnazjalnym.

W majątku Janin pow. Horochów o świcie Ukraińcy uzbrojeni w broń palną, siekiery, topory, bagnety, widły, drągi itp. wymordowali wszystkich Polaków, tj. około 50 osób oraz zrabowali ich dobytek.

W kol. Jerzyn pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 63 Polaków, m.in. do studni wrzucili 5-osobową rodzinę Stanisława Woźniczka lat 42 z żoną Stefanią lat 38 i dziećmi: Zdzisławem lat 12, Krystyną lat 8 i Alicją lat 6.

W kol. Karczunek pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali Józefa Garbatego, lat 45, któremu siekierą rozrąbali głowę (Kazimiera Kowalczyk, w: www.stankiewicze.com.ludobojstwo,pl).

W miasteczku Kisielin pow. Horochów „ukraińscy powstańcy" zaatakowali Polaków w kościele, po zakończeniu mszy świętej. Spędzili do nawy głównej część Polaków, rozebrali do naga i rozstrzelali z karabinu maszynowego, rannych dobijali różnymi narzędziami, najczęściej zakłuwali bagnetami. Zginęło co najmniej 109 Polaków w kościele i wokół niego. Jedna grupa przez kilka godzin skutecznie broniła się m. in. rzucając w napastników cegłami. Relacja Anieli Dębskiej: „Dzień 11 lipca 1943 r. był pochmurny. Około godziny jedenastej zaczął padać deszcz. Ludzie szybko wchodzili do kościoła. Nabożeństwo odbyło się bez przeszkód, normalnie. Ja jak zwykle poszłam na chór, należałam bowiem do kościelnego chóru, który zawsze śpiewał podczas nabożeństw. Na koniec jak zwykle wykonaliśmy „Żegnaj Królowo". Po mszy św. jako jedna z pierwszych wyszłam z kościoła, razem z mężczyznami, którzy jak zwykle spieszyli się na papierosa. Gdy stanęłam przed świątynią i spojrzałam w stronę ogrodu księdza, zobaczyłam idącą tyralierę. Obróciłam się w drugą stronę, gdzie znajdował się park hrabiowski i tam też zobaczyłam uzbrojonych Ukraińców. Jak zobaczyłam Ukraińców, idących w stronę kościoła, to nie miałam żadnych wątpliwości, że przyszli nas wymordować. Od razu, tak jak wszyscy, cofnęłam się do świątyni. Mój przyszły mąż, czyli Włodzimierz Sławosz Dębski, jako członek konspiracji też wiedział, co się święci i zaczął zamykać drzwi w kościele. Ludzie byli przerażeni. Niektórzy stali nieruchomo pod ścianami kościoła. Część pobiegła na chór, a nawet na strych. Po chwili rozległ się okrzyk: Otwórzcie drzwi, oni tylko kogoś szukają. Zabiorą go i pójdą sobie! Mnie wtedy zamroziło. Okazało się, że niektórzy Polacy, ratując swe życie, byli skłonni wydać na śmierć kogoś ze swoich sąsiadów. Jak zaobserwował to mój mąż, pierwszym człowiekiem, który wezwał do otwarcia drzwi był Tadeusz Różański, ochotnik w wojnie z bolszewikami z 1920 r. Miał on złudzenia, że Ukraińcy mają wobec Polaków dobre zamiary. Zaraz potem córka organisty, Bronisława Janaszkówna, zwróciła się do swojej stryjecznej siostry: Chodź Tereska! Otwórzmy! I poszły obie otwierać. Część ludzi, w tym ja, na komendę mojego przyszłego męża ruszyło przejściem z kościoła na piętro plebanii. Tam się zabarykadowaliśmy. Ukraińcy już wtedy zaczęli do nas strzelać. Celowali w okna w przejściu. Idący przede mną wysoki mężczyzna, którego zapamiętałam, bo bardzo ładnie śpiewał, dostał kulę i padł ranny. Nie wiem jak razem z siostrą zdołałyśmy go podnieść i zawlec na górę. Mój przyszły mąż wraz z innymi mężczyznami zabarykadował drzwi meblami, w rezultacie czego Ukraińcy nie mogli ich sforsować, mimo że kilkakrotnie ponawiali próby. Banderowcy w tym czasie wyprowadzali już z kościoła Polaków sądzących, że jak w nim zostaną, to ocalą życie. Wszyscy zostali później zamordowani. Ludzie zgromadzeni w kilku pokojach na piętrze plebani byli bardzo przerażeni. Dopiero zdecydowane komendy mojego męża postawiły ich na nogi. Obrona zaczęła samorzutnie ich porządkować. Przy każdym oknie stanęło po trzech, czterech mężczyzn. Napastnicy początkowo strzelali w okna bezładnie. Pociski trafiały w sufit. Ksiądz Kowalski, znajdujący się w jednym z pokoi, chciał zasłonić okno poduszką, wierząc, że kula nie przebije pierza, ale bandyta strzelił, gdy kładł poduszkę i dostał kulę. Pocisk przebił poduszkę i ranił księdza. Myślałam, że nie żyje, ale okazało się, że nie. Mój przyszły mąż kazał mi się nim zająć. To był nasz pierwszy ranny. Wcześniej, co trzeba podkreślić, ksiądz wszystkim udzielił ostatniego rozgrzeszenia i przygotował każdego z nas na śmierć! W którymś momencie zaczęły się ataki przez okna. Najpierw ostrzelali nas z broni palnej, aż tynk zaczął się sypać. Powstał wielki kurz, rozległo się dzikie Hurra! i jeden z napastników zaczął wchodzić po drabinie. Zaczęliśmy rzucać w niego cegłami, które wyjęliśmy z pieca. To poskutkowało, bandyta się cofnął. W kilki minut później ataki znowu się nasiliły. Nadal broniliśmy się, zrzucając na głowy napastników cegły i kafle z rozbieranych pieców. Powstało duże zagrożenie, gdy jeden z bandytów wlazł na dach obory, stojącej o kilka metrów od narożnika plebani. Usiadł okrakiem na kalenicy i zaczął nas ostrzeliwać. Widział nas bardzo dobrze. Gdyby jego ostrzał napastnicy skoordynowali z atakami z drabiny, to wdarliby się na górę. Na szczęście zaczęło lać i ten siedzący na dachu, porzucił swoje stanowisko. Kolejny bandzior pojawił się nagle na daszku letniego ołtarza, przylegającego do plebani. Strzelał z bliska wprost w nasze okna. Romuald Rodziewicz zaryzykował, wychylił się z okna i uderzył napastnika w tył głowy cegłówką. Ten runął w dół, machając rękami. Później upowcy wzmogli ataki od strony zabarykadowanych drzwi i zaczęli strzelać w drewniany sufit księżowskiej spiżarni kulami zapalającymi. Według mojego męża na pomysł ten wpadł pewnie Iwan Fediuk, który przed laty służył u księdza i dobrze znał ten budynek. Sufit się jednak nie zapalił. Przy obronie zabarykadowanych drzwi zginął Janek Krupiński. Dostał ukraińską kulę przez otwór wyrąbany w drzwiach. Umarł na rękach zrozpaczonej matki. Mój przyszły mąż został ranny w nogę odłamkiem granatu. Zajęłam się nim, wykonując tampon z grubo złożonych gazet i ciasno owinęłam, co zatamowało krwotok z przerwanej arterii. Ciężko ranny

został też Władysław Kraszewski, który zmarł z upływu krwi. Upowcy, kontynuując atak, wrzucali do nas przez okna granaty, które staraliśmy się im odrzucać. Nie byli biegli w sztuce żołnierskiej i odbezpieczali granaty nieprawidłowo, dzięki czemu mieliśmy czas, by je odrzucać. Czyniąc to, wiele osób spośród nas otrzymało rany postrzałowe. Późnym wieczorem Ukraińcy rozsierdzeni naszą obroną podpalili stodołę, oborę księdza, a także parter plebani i wnętrze kościoła. Chcieli sobie oświetlić plac boju. Liczyli też, że ogień przeniesie się na dach plebani. Nie był jednak na tyle intensywny, żeby go ogarnąć. Byliśmy okropnie zmęczeni i wyczerpani, ale walczyliśmy dalej. Wśród obrońców pałeczkę po moim mężu przejęli mój przyszły szwagier Jerzy Dębski, który mimo ran zachowywał się bardzo dzielnie, a także bracia Chmielniccy, Romuald Rodziewicz i Józef Bagnecki. Mężczyzn odpierających ataki wspierały też dziewczęta. Jedną z nich była moja siostra Tumiła, a także Adela Ziółkowska, Teresa Świderska, Elzamina Romanowska i Teresa Masłowska. Wszyscy rzucali cegłami i czym popadnie w napastników, którzy ponownie zaczęli po drabinach wspinać się na zajmowane przez nas piętro. Pamiętam łapy bandziora, który chwycił za parapet okna, a także reakcję Bronka Kraszewskiego, który złapał z Janaszkiem maszynę do szycia i rzucili nią w napastnika. Zleciał w dół i został odniesiony przez swych kompanów na punkt zborny w pobliżu cerkwi. Tam, jak się później okazało, w jednym z domów na strychu siedział Stanisław Janaszek, bratanek organisty i przez szparę między deskami oglądał plac i rozpoznawał wszystkich Ukraińców, biorących udział w mordzie Polaków w kościele i w szturmie na piętro plebani. Gdy zapadła noc, napór Ukraińców na kościół słabł. Strzelanina ustawała. W końcu około północy ktoś zauważył, że bandyci ustawiają się na rynku w kolumnę i zbierają się do odejścia. Nie wiedzieliśmy, czy to nie jest podstęp. Czterech mężczyzn spuściło się po linie na dół, żeby udać się do Rudni, Zaturzec i Mańkowa w celu ściągnięcia pomocy. Żaden z nich jednak nie wrócił. Rozpłynęli się we mgle. Po nich na dół po linach zjechały dwie kobiety, które rozpoznały sytuację i kazały wszystkim zjeżdżać na dół. Ja z moim przyszłym mężem, jego bratem i jeszcze jednym chłopakiem zostaliśmy do rana na plebani. Przez całą noc co pewien czas musiałam luzować opaskę uciskową, żeby krew dopływała do nogi. Przyszły mąż miał uszkodzoną tętnicę pod kolanem, co powodowało, że przy każdym popuszczeniu opaski strasznie krwawił. Jakoś dotrwaliśmy do rana. Wtedy spuściliśmy Sławka na dół i ukryliśmy go w malinach. Następnie ogrodami zaczęłam przekradać się do naszego domu po konie. Szłam wolno, uważając, czy nie kręcą się w pobliżu jacyś upowcy. Gdy dotarłam do naszego domostwa, nie zastałam nikogo. Rodzice nie byli w kościele. Grupa upowców szła ich zamordować, ale ojciec w porę ich zobaczył i wraz z mamą zdążyli wyskoczyć przez okno i schronić się w zbożu, a później na cmentarzu żydowskim. Przesiedzieli w nim całe niedzielne popołudnie, noc i wyszli z ukrycia dopiero, gdy zaczęłam się kręcić po podwórku. Zwierzęta nie były nakarmione, krowy niewydojone. Ja zaprzęgłam konie do wozu i z tatusiem pojechaliśmy pod kościół. Tam już było kilku Ukraińców, przeciwników mordów. Pomogli nam przenieść mojego przyszłego męża na wóz. Przywieźliśmy go do nas do domu, a ja poszłam szukać Dębskich. Jak ich znalazłam, przyszli i zrobili synowi profesjonalny opatrunek. Na wieczór zawieźliśmy go do Ukraińca zaprzyjaźnionego z Dębskimi. Nazywał się Parfeniuk. Ukrył Sławka w swojej stodole. Tu był najbezpieczniejszy. Doglądali go tu razem ze mną ojciec i matka. Po dwóch dniach musiał zostać przewieziony do szpitala w Łokaczach. Mój ojciec dał konie, a Ukrainka Paraska Padlewska podjęła się zawiezienia go. Tu amputowano mu nogę. Później przetransportowano go do Włodzimierza i dzięki pomocy kolegów z konspiracji dostał się do szpitala. Moja rodzina ukrywała się u Ukraińca Sawy Kowtoniuka, który przechowywał nas w stodole i w zbożu. Nocami widać było łuny płonących, mordowanych przez upowców kolejnych polskich wsi. W dzień przez Kisielin bandyci pędzili stada krów zrabowane u polskich gospodarzy, które czując, że idą na rzeź, strasznie ryczały. Na trzeci dzień Sawa przyszedł rano do ojca i powiedział, że upowcy chcą z nim rozmawiać. On poszedł. Gdy wrócił, poinformował nas, że przekonywali go, że atak na kościół był nieporozumieniem, że to się już nie powtórzy. Sugerowali też ojcu, by z rodziną wracał do domu, bo nic jej nie grozi. Ojciec wahał się, ale Ukrainiec ostrzegł go, by nie wierzył w zapewnienia upowców. Jego zdaniem chcą oni wszystkich Polaków wymordować. 15 lipca 1944 r. przeprowadził nas do Zaturzec. Najpierw wziął kosę na plecy, poszedł przez swoje pole i łąkę do lasu i sprawdził, czy droga jest wolna. Po godzinie wrócił i powiedział, że można iść. Szybko ruszyliśmy do Zaturzec. Nie mieliśmy co zabierać z domu, bo wszystko zostało zrabowane. Tak jak my postąpiła większość mieszkańców Kisielina i okolicy. Dębscy zostali w Kisielinie. Ojciec mojego przyszłego męża, Leopold, nie chciał się nigdzie ruszać. Wierzył, że jako lekarz jest niezbędny dla Ukraińców i ci go nie ruszą. Upowcy zabrali go z domu w końcu lipca i powieźli drogą do Twerdyń. Więcej go nikt nie widział. Jego żona zginęła wraz z nim. Według Ukrainek, Anny Parfeniuk i Ahniji Sidłowskiej, gdy Ukraińcy zabierali Dębskiego, jego żonie powiedzieli: A ty idź, gdzie chcesz. Miała bowiem wpisaną w dowodzie narodowość ukraińską. Wpisał ją szef rejonu. Ona odpowiedziała, że miejsce żony jest przy mężu i razem z nim dobrowolnie poszła na śmierć. Ukraińcy zamordowali jeszcze Wincentego i Józefa Biesiagów, Rudolfa Nowickiego i Salomeę Ziółkowską. Jak po latach ustalił mój mąż, Ukraińcy zamordowali w kościele w Kisielinie 17 osób, pochodzących z Kisielina, dwie osoby z Kisielina Zielonej, dziewięć z Adamówki, jedną z Jachimówki, pięć z Janowca, trzy z Dunaju, dwie z Leonówki, jedną z Niedźwiedziej Jamy, osiem z Rudni, dwie z Trystaku, dwie z Twerdynia, dziesięć z Warszawki, pięć z Woronczyna, osiem z Zapustu, siedem z Żurawca. Łącznie zamordowali 82 osoby. Cztery osoby poległy w obronie świątyni. Dzięki obronie uratowało się zaś osiemdziesiąt osób. Mord w kościele był oczywiście dopiero początkiem czystki etnicznej, przeprowadzonej przez UPA w całej okolicy". (Marek A. Koprowski: Dramat w Kisielinie; w: http://www.replika.eu/index.php?k=ksi&id=462&fr=1). „Adamówka należała do parafii Kisielin. Z rodzinnego domu Henryka do kościoła w Kisielinie było ok. 7 km. W niedzielę 11 lipca 1943 r. na sumę na godzinę 11.00 od Pałków wybrali się ojciec Bolesław i córka Maria, która zresztą trochę się ociągała. Podczas śpiewu na wyjście, gdy przy ołtarzu był jeszcze celebrans otworzyły się drzwi i oddano starzał, który ranił p. Marka. Padł także rozkaz, aby wychodzić na zewnątrz czwórkami. Powstało zamieszanie, do Bolesława podbiegła córka z zapytaniem „Tato co robimy?" Na chwilę postanowiła podejść jeszcze do znajomych, aby poznać ich zamiary. Niestety Maria do ojca już nie wróciła. W atmosferze zastraszenia i niepewności jedni szukali kryjówek w zakamarkach kościoła, inni zdecydowali się na opuszczenie budynku. Dużej części uczestników mszy udało się dostać na piętro plebani, która połączona była ze świątynią, gdzie zabarykadowali się i skutecznie bronili przez 11 godzin, aż do przerwania oblężenia i wycofania się Ukraińców. Wśród ocalonych był także Bolesław, który wrócił do Adamówki w poniedziałek rano i powiadomił rodzinę o śmierci Marii. Jej zabójstwo widział z ukrycia Władysław Czernienko. Maria otrzymała dwa ciosy nożem, jeden w mostek drugi w brzuch. Banderowcy przed wyprowadzeniem ofiar na miejsce kaźni przymuszali je do rozebrania się. Następnie ustawiali nad wykopem i zakłuwali lub podrzynali nożami. Wiele osób skonało po jakimś czasie, niektóre zadusiły się dopiero po zasypaniu dołu ziemią." (Henryk Pałka: Z Wołynia do Ziemi Iłżeckiej'; w: http://www.ilza.com.pl/aktualnosci,83,artykuly,5,1300,z_woynia_do_ziemi_ieckiej,20). „Z mojej rodziny bliższej i dalszej w kościele zamordowano w sumie 15 osób. Gdzie i jak została zamordowana nasza 17-letnia Czesia, nigdy nie udało się nam ustalić. Bardzo prawdopodobne, że odstawili ją na bok, żeby zgwałcić. Była ładną i niedostępną dziewczyną i wielu młodych Ukraińców wodziło za nią oczami. Inne dziewczyny, które Ukraińcy zamordowali i złożyli w płytkim masowym grobie, miały zdarte majtki, gdy je krewni potem odkopali. Świadczyłoby to o tym, że przed śmiercią były przez zwyrodnialców gwałcone. /.../ W zbrodniach tych uczestniczyli przede wszystkim młodzi Ukraińcy. Zdarzało się, jak później słyszałem, że wybierali oni z ofiar ładne dziewczęta, ładowali na wozy i zawozili do Moczułek, gdzie kwaterował sztab UPA, miały one służyć „kamandirom" do zabawy. ". (Roman Witwicki: By nasz ból nie umarł razem z nami. W: Marek A. Koprowski: „Wołyń. Epopeja polskich losów 1939 – 2013. Akt III.". Warszawa 2013, s. 373 – 374).

We wsi Kłopoczyn pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali w jednym domu 15 Polaków, w tym uciekinierów z Porycka.

We wsi Kohylno na osiedlach Zastawie, Barbarówka i Tartak pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali kilka rodzin polskich, wiadomo o co najmniej 13 ofiarach. „Około tygodnia po pogromie Michał i Bolesław Roch oraz Tadeusz albo Roman Roch poszli nocą w trzech na Zastawie, aby zobaczyć co się stało z naszą rodziną. Pamiętam, że wdowa Amelia była namawiana przez Michała Rocha do ucieczki, jednak mimo że jej dwaj synowie Tadeusz i Roman chcieli ona zdecydowała się zostać w domu. 11 lipca 1943 r. w nocy z soboty na niedzielę, na ich dom był napad podczas którego zamordowano wdowę Amelię lat ok. 60 oraz jej najmłodszą córeczkę Zosię lat ok. 14. Tej nocy Tadeusz Roch spał w swojej stodole, między słomą a ścianą, a jego rodzony brat Roman w ogrodzie w kapuście, niedaleko łąki. Romek Roch opowiadał mi osobiście, że nad ranem już robiła się „szarówka" posłyszał jakieś głosy, a w chwilę później jakieś głośne, przeraźliwe wręcz krzyki, dochodzące od domu Grzegorza Rocha. Jednak nie zdecydował się tam pobiec, gdyż na podstawie tego co słyszał, poznał, że są to krzyki mordowanych ludzi. Szybko ukrył się w pobliskich szuwarach i przesiedział tam cały dzień. Romek opowiadał mi także, że Tadek też obudził się w stodole, gdy Ukraińcy zaczęli dobijać się do drzwi domu Grzegorza. Widział przez szpary w ścianie stodoły, jak Ukraińcy wpuszczeni do domu, po chwili całą rodzinę wyprowadzili na podwórko. Przodem szły dzieci Grzegorza i jego żony. W tym momencie było jeszcze cicho i spokojnie, wszystko wskazywało na to, że gospodarze nie spodziewali się najgorszego. Na pewno mieli nadzieję, że to zwykłe najście, które zakończy się przesłuchaniem lub co najwyżej pobiciem i groźbami, tym razem było jednak inaczej. Gdy dzieci były już na dworze, Ukraińcy nagle uderzyli je siekierami w głowę, natychmiast zginęli wtedy: syn lat ok. 16 oraz dwie córki, starsza lat ok. 25 i młodsza lat ok. 20. Gdy matka zorientowała się, że dzieci zostały zaatakowane, dopiero wtedy zaczęła histerycznie krzyczeć i właśnie te krzyki słyszał Roman w ogrodzie. Możliwe, że któreś z dzieci też zdążyło krzyknąć przed samą śmiercią. Po zarąbaniu dzieci wyprowadzili Grzegorza i jego żonę, pierwsza porąbana została żona lat ok. 60. Wtedy bandyci zaczęli się zastanawiać jaką śmierć zadać gospodarzowi i wtedy Tadek usłyszał wyraźnie takie słowa jednego z Ukraińców do pozostałych: „Oo, uciekł nam do miasta i przyszedł z powrotem. Trza mu dać lekkie skonanie!" Zaraz potem Tadek zobaczył, jak za chwilę powiesili go na jabłonce, tuż obok ich domu rodzinnego. Tak skonał Grzegorz lat ok. 60. Tadeusz widział też, jak zginęła jego matka, opowiadał wszystkim, że ta sama grupa Ukraińców po wymordowaniu rodziny Grzegorza przeszła pod drzwi jego domu i zaczęła się dobijać do środka. W końcu udało im się wejść do środka i po chwili słyszał niewyraźnie jak matka prosiła kilku oprawców o darowanie jej życia. Potem wszystko ucichło, po chwili zobaczył jednak, że mężczyźni opuszczają dom i odchodzą. Tadek wspominał także, że rozpoznał jednego z napastników, ale dzisiaj już nie pamiętam, o kim mówił. Wiem zaś na pewno, że to był Ukrainiec z Kohylna. /.../ Michał, Bolek i jeszcze Romek albo Tadek Roch z Zastawia poszli na Barbarówkę, a potem wstąpili do Tartaku, gdzie też w ten sam dzień pogromu pomordowanych zostało wielu Polaków. W jednym z domów spotkali żywego Polaka, który opowiadał im nazwiska pomordowanych i wydarzenia jakie miały tu nie dawno miejsce. Gdy wrócili, opowiadali nam wszystkim, że tam na Tartaku Ukraińcy pomordowali dużo ludzi. Napad miał miejsce w tę samą niedzielę, co cały pogrom w okolicy. Z tartaku poszli jeszcze na Teresin, do którego nie było daleko. Michał Roch opowiadał mi także, że był po pogromie w Kohylnie, gdzie spotkał Ukraińca, który był sąsiadem Drabików. Czy to była ta sama wyprawa, czy inna, już nie pamiętam. Właśnie ten Ukrainiec opowiedział Michałowi jak została zamordowana cała ich rodzina. 11 lipca 1943 r., w niedzielny ranek przyszli do Drabików banderowcy i weszli do domu. Po chwili zaczęli mordować tych, którzy byli w domu. W chałupie zabili matkę i dwie córki, tymczasem dwaj synowie spali w stodole. Gdy Ukraińcy wykryli ich kryjówkę, jednego chłopca zabili na miejscu, a Józek rzucił się do ucieczki przez pola. Nie zdołał jednak uciec i gdy go dopadli to go też zabili." (Wspomnienia Romana Szymanka ze wsi Kohylno w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1939 – 1944. Wspomnienia wysłuchał, spisał i opracował Sławomir Tomasz Roch, 2009 r W: http://wolyn.org/wolyn-wola-o-prawde/156-wspomnienia-romana-szymanka-ze-wsi-kohylno-w-pow-wodzimierz-woyski-na-woyniu-1939-1944.html).

We wsi Kołonna pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 17 Polaków. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

We wsi Koniuchy pow. Horochów 9 i 11 lipca 1943 Ukraińcy zamordowali 64 Polaków, w tym przed kościołem (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Korczunek pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali Polaków mieszkających w co najmniej 4 gospodarstwach, liczby ofiar nie ustalono. „Nazywam się Barbara Hypś. Jan Garbaty ur. 1899 lub 1900r. wymieniany w książce E.W. Siemaszko "Ludobójstwo..." był drugim mężem mojej babci Weroniki Bajek zd. Seliga. /.../ Według mojej cioci J. Garbaty został zamordowany przez Ukraińca o nazwisku Staruch, który był sąsiadem. Babcia mówiła, że został uderzony w głowę siekierą, natomiast ciocia twierdzi, że zastrzelony (strzał w głowę). Datę znalazłam na stronie internetowej 11.07 1943 r., ciocia pamięta, że był to ciepły dzień i w chwili morderstwa dzieci spały. Nie pamięta czy był to ranek, czy wieczór. Dziadek spożywał z babcią posiłek. /.../ Według relacji babci i cioci Niemcy pozwolili Polakom przez most przejść na drugą stronę Bugu dali na to godzinę. Ze sobą nie mogli zabrać nic cennego. Wozy były przeszukiwane przez Ukraińców natomiast Niemcy się tylko przyglądali. Babcia zamieszkała w domu żony wujka Karola, Zofii Stawickiej wioska Hosynne. Niestety Ukraińcy zamordowali ojca cioci Stawickiego oraz jej siostrę z małym dzieckiem. /.../ Moja babcia miała siostrę Władysławę, braci Bolesława i Antoniego rodzicami ich byli Gabryjel Seliga i Franciszka zd. Długosz. Antoni według mojej cioci został zamordowany przez swoją żonę, która była Ukrainką."(Barbara Basia; w: http://www.stankiewicze.com/ludobojstwo/zgloszenia.html).

W kol. Kowalówka pow. Kowel Ukraińcy zamordowali co najmniej 6 Polaków, w tym 3-osobową rodzinę z 16-letnią córką oraz 19-letniego chłopca. Inni: „W naszej kolonii Kowalówka została zamordowana rodzina Piotrowskich – pięć osób, Mirosław Karaniewicz i cała wieś Dominopol, odległa od nas o około 4 kilometry". (Henryk Kata: "Wojenne Wichry"..., jw.).

We wsi Koziatyn pow. Horochów zamordowali 19 Polaków, w tym całe rodziny. „W miejscowości Koziatyn pow. Horochów, gmina Podberezie mieszkali moi dziadkowie Bronisław oraz Jadwiga z d. Gołębiowska Komarniccy. Mieli oni 4 córki Irenę, Marylę, Janinę oraz Mirosłwę. W tej samej miejscowości mieszkali brat Bronisława Władysław Komarnicki oraz jego żona Stanisława i ich 4 letni syn Edzio. W mordach zginęli moi dziadkowie Bronisław i Jadwiga, oraz Stasia i jej syn Edzio. Moja mama Irena wraz z Janiną i Mirosławą w tym czasie były w Warszawie z obawy na ryzyko wywózki (wg relacji mojej mamy). Jedna z córek Maryla była w czasie mordów w Koziatynie i udało jej się uciec - schowała się w zbożu a nad ranem przeczołgała się do domu zobaczyła martwego ojca i uciekła (przynajmniej dwie rodziny ukraińskie pomogły jej w ucieczce).Posiadam dwa listy z tamtego okresu - jeden od Stasi (z dopiskiem małego Edzia) opisujące strach i ciągłe nocne "wizyty gości" po których np. brakowało szyb w części okien. W sąsiedniej miejscowości - w Laszkach mieszkała siostra dziadka Wanda, żona stryja Władysława Czerkawskiego - niestety nie posiadam informacji na temat ich losów" (Robert Kubiak, 25.05.08, Łódź; w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). W. i E. Siemaszko..., s. 179 – 180 podają, że 11 lipca 1943 roku upowcy zamordowali 16 Polaków. Nie wymieniają Jadwigi Komarnickiej z d. Gołębiowskiej (żony Bronisława), Stanisławy Komarnickiej (żony Władysława oraz jej 4-letniego syna Edwarda.

Koło wsi Koziatyn pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 5 Polaków; matkę z 2 dzieci i matkę z 8-letnim synem.

W kol. Kropiwszczyzna pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali ponad 20 Polaków.

We wsi Krymno pow. Kowel upowcy zamordowali zgromadzonych w kaplicy na nabożeństwie około 40 Polaków.

We wsi Krzeszów pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali kilka polskich rodzin.

W majątku i wsi Kwasów pow. Horochów wymordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We majątku i wsi Lachów pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali co najmniej 21 Polaków, w tym 5 rodzin.

W majątku i wsi Laszki pow. Horochów wymordowali wszystkich Polaków pracujących w majątku oraz mieszkających we wsi.

We wsi Liniów pow. Horochów zamordowali około 70 Polaków. Genowefa Modrzejewska z d. Sobczyńska, wówczas 5-letnia, wspomina, jak matka, idąc na śmierć, kazała jej się schronić wraz z siostrą w psiej budzie. „W budzie Kruczka było ciasno i ciemno, strasznie. Nie

pamiętam, jak długo byłyśmy w budzie. Pewnie ze strachu zasnęłam. Emilka też. Te chowania nauczyły nas być cicho, bo to nakazywała chwila. [...] Z budy zabrały nas Ukrainki. Za przechowanie polskich dzieci w tamtym czasie groziła śmierć. Ale one się nie bały wcale. Przekazały nas do innego domu. Do babci Julii i dziadka Pawła Sobczyńskich we wsi Kołbań". (Siemaszko..., s. 190–191) .

We wsi Litowież pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali Polaka Konstantego Miaskowskiego, męża Ukrainki.

W miasteczku Łokacze pow. Horochów : „W niedzielę 11 lipca, najpierw rzucili się na bezbronne kościoły w Łokaczach, Kisielinie, Porycku. Tam wymordowali w Kisielinie 500 osób, a w Porycku 180 osób, a w Łokaczach jakoś się bronili z pałacu i niedużo padło osób" (Wspomnienia Józefy Wolf z domu Zawilskiej; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/aleksandrowka-jozefa_wolf.html). „Strup Józef, żona Stanisława z d. Wójcik, dzieci: Ryszard, Zbigniew 1939. Trzeci syn wraz z dziadkiem (Red.; chyba wraz z... ojcem?) zginęli w płomieniach w kościele. Stanisława z ocalałymi 2 synami uciekła do Krasnegostawu" (http://www.wolyn.ovh.org/opisy/lokacze-02.html). W. i E. Siemaszko nie wymieniają napadu na kościół w Łokaczach (s. 142 – 143).

We wsi Łysa Góra pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 6 Polaków. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Markostaw pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 44 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.). Zginęło 11 rodzin polskich, spośród 13 rodzin mieszkających w tej kolonii.

W majątku Marysin pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy obrabowali i spalili polskie gospodarstwa oraz zamordowali kilkanaście rodzin polskich, fornali w majątku.

We wsi Męczyce pow. Włodzimierz Wołyński nie ustalono liczby ofiar napadu.

We wsi Michałówka pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali uciekającą ze wsi 3-osobową rodzinę polską: Stefana Zgodę, jego żonę Rozalię i ich syna Tadeusza.

We wsi i majątku Mikulicze pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali kilkanaście rodzin polskich, znanych jest 25 ofiar. „Przyjechał tam na ponad 80 furmankach oddział UPA (około 600 ludzi)… Kolejno mordowali ludzi w poszczególnych domach, bądź wyprowadzali całe rodziny do lasu i tam je zabijali. W ten sposób wymordowana została cała osada" (Feliks Budzisz: Najkrwawsza niedziela; w: Nasz Dziennik - nr 29/1998).

We wsi Milatyn pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali wszystkich Polaków, kilka rodzin, liczba ofiar nie została ustalona.

We wsi (majątku i gajówce?) Miryn pow. Kowel banderowcy zamordowali co najmniej 16 Polaków. „Bolesław Baraniecki z Miryna obok Mielnicy położonej na południowy wschód od Kowla: 10 lipca 1943 r.: Część rodziny była już w Mielnicy. Mój ojciec spał, razem z braćmi i innymi dziećmi rodziny, w stodole. Niektóre deski w ścianach obszernej stodoły były od strony gruntów ornych wybite. O świcie do majątku weszli banderowcy. Na podwórzu, przed wejściem do domu, ustawili armatę przeciwpancerną i zaczęli nawoływać do wyjścia z domu. Nie czekali długo. Wkrótce po pojawieniu się pierwszych mężczyzn na podwórzu zaczęli mordować. Pozostali członkowie rodziny ratowali życie, biegnąc w stronę lasu. Bandyci spod znaku UPA zastrzelili stryja Henryka Dobrowolskiego i wujka Ksawerego Dziadka. Tata nie uciekał. Stał przerażony za rogiem stodoły i modlił się o życie bliskich. Widział, jak wujek Tomasz Pietrzak, unikając banderowskich kul, przeskoczył wóz drabiniasty. Jednak on też nie zdołał uciec. To, co tata zobaczył w chwilę później, zapamiętał na całe życie. Mój dziadek upadł twarzą do ziemi, a spomiędzy palców zaciśniętych pięści wystawała zielona trawa. Po chwili przestał się ruszać. Dopiero wtedy ojciec pobiegł do lasu, gdzie odnalazł braci i innych ocalałych członków rodziny. Tam spędzili noc. Następnego dnia wszyscy ocaleni przybyli do Mielnicy. Wujek Dobrowolski opowiadał mi, że jeszcze wieczorem ktoś z rodziny pobiegł do pobliskiej gajówki, aby ostrzec mieszkających tam Polaków. Była tam rodzina z dziesięciorgiem dzieci. Znaleziono dwanaście głów na podwórzu. Banderowcy zastrzelili również Mykołę, ukraińskiego sąsiada, który próbował ostrzec moją rodzinę. Tego jednego dnia, 11 lipca 1943 roku, na całym Wołyniu w wyniku ludobójczych mordów zginęło kilkanaście tysięcy Polaków. W sąsiedztwie Miryna, w Podryżach, zamordowano 97 Polaków, w Wielicku 47, w kolonii Piaseczno 94" (Z art. „Wspomnienie o Wołyniu". Opublikowanym 12 lipiec 2013 r. w „Gońcu" wydawanym w Kanadzie, w: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/866-pieko-na-ziemi--lipiec-1943-r-na-woyniu.html ; podał Bogusław Szarwiło, 06 lipca 2015). W. i E. Siemaszko na s. 398 – 399 datują napad „pomiędzy 15 sierpnia a końcem września 1943 r." oraz mord 10 Polaków.

W kol. Musin pow. Horochów obrabowali i spalili 9 polskich gospodarstw oraz zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W majątku i wsi Niskienicze pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali kilka rodzin polskich, liczby ofiar nie ustalono.

We wsiach Nowe i Stare Gaje pow. Kowel: „Najgorzej wspomina wydarzenia na Wołyniu w 1943 r. To wówczas doszło tam do okrutnej rzezi Polaków. - Pamiętam Kazika Kaczora, mieszkałam u nich. Miał 21 lat, zakochał się w Ukrainці. Dopadli go. Zachciało ci się Ukrainki, to masz! - krzyczeli. I tłukli bagnetami. A potem przywiązali za nogi do furmanki i ciągnęli dwa kilometry, głową po ziemi. Przywieźli i rzucili pod bramę domu. Zemdlałam, jak go zobaczyłam. Przed oczami ma też widok okrutnej masakry we wsiach Stare Gaje i Nowe Gaje. To było 11 lipca, w niedzielę. Ukraińcy ogłosili, żeby po mszy ludzie zostali, bo odbędą się zebrania na ugodę z Polakami. Dość już kłótni, wystarczy Niemiec za wroga. Miała być zabawa. Zagrała orkiestra i zaczęła się rzeź. Banderowcy z UPA otoczyli budynek. - Jednemu z mężczyzn udało się uciec. Zawiadomił partyzantów. Pojechaliśmy tam następnego dnia, żeby pochować tych nieszczęśników - opowiada drżącym głosem. - Widok był straszny. Rozrzucone szczątki ciał, dzieci powbijane na sztachety, kobiety z porozcinanymi brzuchami. Zginęły wtedy 63 osoby. Spotkanie Wojna odcisnęła tragiczne piętno na całej rodzinie pani Barbary. Ojciec i siostra Janka zginęli prawdopodobnie w 1943 roku podczas rzezi wołyńskiej." (Wspomnienia Barbary Waszkiewicz: „Rozrzucone szczątki ciał, kobiety z porozcinanymi brzuchami. Wołyń - rzeź Polaków w 1943 roku. Tego nie da się zapomnieć", spisała Alicja Zielińska. 20 września 2009; w: http://www.poranny.pl/magazyn/art/5246644,rozrzucone-szczatki-cial-kobiety-z-porozcinanymi-brzuchami-wolyn-rzez-polakow-w-1943-roku-tego-nie-da-sie-zapomniec,id,t.html). W. i E. Siemaszko na s. 383 – 386 wymieniają kolonię Gaj pow. Kowel składającą się z dwóch części – Nowego i Starego Gaju, oraz dokumentują rzeź około 600 Polaków, dokonaną 30 sierpnia 1943 roku.

W kol. Nowiny pow. Włodzimierz Wołyński napad nastąpił o 8.oo rano. Na furmankach wjechali upowcy, wśród których byli Ukraińcy z Nowin i różnymi narzędziami gospodarskimi wymordowali 82 Polaków, na około 90-ciu mieszkających tutaj oraz obrabowali gospodarstwa.

W kol. Nowojanka pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali nie ustaloną ilość Polaków, imiennie znane jest tylko 15 ofiar.

W kolonii Olin pow. Włodzimierz Wołyński chłopi ukraińscy zamordowali co najmniej 1 Polaka, staruszka. Świadek Jan B. (Bławat – przypis S.Ż.) (ur. 1936): „Mieszkaliśmy w leżącej cztery kilometry na południe od Porycka kolonii Olin. W niedzielę udaliśmy się furmanką do naszego kościoła parafialnego w Porycku. Jechało nas sześcioro: dziadek Józef B., ojciec Kazimierz, siostry Waleria (9 lat) i Genowefa (11 lat) oraz brat Józef (15 lat). Gdy dojechaliśmy, konie z wozem zostały przywiązane do drzewa obok parkanu na dziedzińcu przykościelnym, a sami weszliśmy do kościoła. Ksiądz proboszcz Bolesław Sz. (Szawłowski – przypis S.Ż) rozpoczął mszę. Nagle usłyszałem odgłos strzałów karabinu maszynowego, dolatujący od strony głównego wejścia. Tata błyskawicznie posadził mnie w niszy po zrabowanej przez Sowietów figurze Matki Boskiej. Sam uklęknął obok konfesjonału, ale wypatrzył go któryś z banderowców. Kula trafiła go w policzek. Skonał na moich oczach, nic nie mówiąc. Siedziałem skamieniały. Banderowcy rzucali granaty między ławki. Powodowały straszne spustoszenie, rozrywały ciała wiernych, wypływające wnętrzności wydzielały okropny zapach [...]. Posadzka między ławkami była cała zalana krwią. Ukraińcy nie mogąc dorzucić granatów na chór, ostrzelali go z karabinów. Polacy otworzyli główne drzwi i kto żyw biegł do wyjścia. Lecz przed kościołem ustawiony był karabin maszynowy. W ciągu minuty w przejściu powstała góra zabitych i rannych. Wyszedłem z wnęki i pobiegłem do dziadka, leżącego między ławkami. Był ranny w kolano, kazał mi uciekać do cioci Walerii W., która mieszkała nieopodal kościoła. Przedzierałem się przez stos zabitych w drzwiach głównych. Wychodząc na dziedziniec zamarłem, bo ujrzałem dwóch Ukraińców przy karabinie maszynowym. Nieoczekiwanie jeden powiedział do drugiego: „Puść, jego i tak wilki zjedzą". Moje białe jeszcze rano ubranko nasiąkło krwią z ciał, po których musiałem się przedzierać, chcąc wyjść z kościoła. Pobiegłem do domu cioci, ale nie wszedłem do mieszkania, bo zaraz za progiem leżała kobieta z roztrzaskaną głową. Mozg i krew rozbryzgane były po całym przedsionku. Wycofałem się do drewutni. Rozpadał się ulewny deszcz. Banderowcy tymczasem opuścili teren przykościelny, zaczęli bić i rabować mieszkańców Porycka. Schowany za drzwiami drewutni, obserwowałem nasze konie i wóz, czekając, aż ktoś nadejdzie. Po jakimś czasie pojawił się mój brat Józek z sąsiadem. Przeżył schowany w grobowcu /katakumbach pod kościołem/. Wybiegłem do nich i zdałem relację, gdzie kto leży. Idąc do kościoła znaleźliśmy Tośka, syna cioci Walerii. Zanieśliśmy go na nasz wóz, który Ukraińcy porzucili, widząc dyszel złamany przez spłoszone konie. Sąsiad zadecydował, że taty nie zabierzemy, bo w każdej chwili mogą wrócić Ukraińcy, zabraliśmy więc tylko dziadka, po czym kazał nam prędko ruszać. Do wozu dobiegła jeszcze dziewczyna od A. z naszej kolonii. Józek usiadł na złamanym dyszlu i stamtąd powoził. My leżeliśmy na wozie plackiem, by wyglądało, że konie się spłoszyły. Tak pędząc przez pola i łąki dotarliśmy do domu. Domy w kolonii Olin stały opuszczone. Ktoś spóźniony na mszę cofnął się do osady i powiadomił o rzezi w Porycku. Nie zastaliśmy więc ani dziadków Sz., ani mamy z pozostałymi dziećmi. Uciekli w kierunku Sokala, bo tam Niemcy trzymali posterunek na Bugu. Spotkaliśmy za to naszych wujków /.../, którzy obserwowali wioskę i zaskoczeni naszym widokiem krzyknęli: „To wy żyjecie, a mówili, że rezuni wymordowali wszystkich w kościele!". Wujek Kostek rozkazał zaraz zmienić opatrunki rannym. Józek miał pomóc przy zmianie dyszla, a mnie przypadło rozpalić w piecu, aby podgrzać wodę do obmycia ran. Jednakże ran nie zdołaliśmy już przemyć i opatrzyć. Na widok unoszącego się z komina dymu, hurma Ukraińców z sąsiedniej wioski ruszyła w naszą stronę. Wujek Kostek krzyknął: „Na wóz!", a wujek Kuba przeniósł Tośka. Dziadek nie dał się zabrać. Powiedział, że jest już stary i ranny, to nic mu nie zrobią. Został w domu na łóżku. Józek kończył zmianę dyszla i poprawę uprzęży. Wujek Kostek wrzucił jeszcze na wóz worek grochu, przykrył nas sianem i kazał jechać do Sokala, ale tylko leśnymi drogami. Obaj wujkowie zostali, ukrywszy się w sadzie, aby obserwować losy zabudowań i mienia. Do lasu było niespełna 50 metrów, więc ukraińscy chłopi nie zdołali nas dogonić. Józek znając drogi leśne, którymi często chodził na zakupy do Sokala, szczęśliwie dowiózł nas do Bugu. Niemcy skierowali nas do punktu pomocy sanitarnej. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy zastaliśmy tam ciocię Walerię. Pokonała biegiem 22 kilometry, dzielące Poryck od Sokala. Uradowana, wzięła rannego syna na ręce i zaniosła do lekarzy. Ci widząc, że potrzebna jest operacja, gdyż w głowie Tośka utkwił odłamek granatu, skierowali go nazajutrz pierwszym pociągiem do odległego o 100 kilometrów Lwowa. Po operacji żył jeszcze miesiąc. Dwudniowa obecność odłamka wywołała zakażenie krwi. My z Józkiem czekaliśmy w okolicy klasztoru /bernardynów w Sokalu/, mając nadzieję, że któraś z /naszych/ sióstr jeszcze dotrze, gdyż żadnej nie widzieliśmy ani żywej, ani zabitej. Po dwóch dniach udaliśmy się do Wareża, gdzie mieszkał stryj Adam B. Zdaliśmy mu relację o rezunach. Kazał nam poczekać, a sam poszedł przekonać dwóch Niemców, by pojechali z nim do kolonii Olin. Udało mu się dogadać za odpowiednią opłatą. Stryj zastał w wiosce już tylko spalone domy i zabudowania, a w miejscu, gdzie stało łóżko, zwęglone kości dziadka". (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus)

W majątku Olin pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W osadzie Orlęta pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali około 50 Polaków.

W kol. Orzeszyn pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali co najmniej 308 Polaków, majątek zrabowali. Kolonia została otoczona, a Polacy spędzeni do jej środka pod krzyż. Śpiewali „Serdeczna Matko", byli świadomi swojego losu. Spod krzyża, pod las „ukraińscy partyzanci" najpierw zaprowadzili jedną grupę mieszkańców i wymordowali. W tym czasie druga grupa czekała pod krzyżem i modliła się. Następnie wymordowali drugą grupę. Do każdej grupy najpierw strzelali, a następnie dobijali rannych. Znajdują się tam do dzisiaj 3 zbiorowe mogiły. Janinę Rosadę, ranną, pomimo jej próśb o dobicie, zakopali żywcem. Domy obrabowali, wyrwali nawet drzwi i okna, niektóre rozebrali i przenieśli do wsi ukraińskich, pozostałe później spalili (Siemaszko..., s. 892 – 895). „Wtedy dopędzono na skraj lasu pierwszą grupę kobiet i dzieci. Ustawiono ich na linii lasu, przed którym były gotowe doły/okopy. Dano sygnał - rozpoczęło się mordowanie. Poszły w ruch siekiery, łomy i noże. Przy próbie ucieczki - padały strzały. Pozostała część czekała na swoją kolej w środku wsi, pod krzyżem. Oni wszyscy słyszeli straszne krzyki, lament, jakby walił się w gruzy cały świat. Akcja była bardzo dobrze zorganizowana. Mieszkańcy całej wsi podzieleni byli na trzy grupy, na którymi było łatwiej zapanować. Moi rodzice byli w grupie, oczekującej pod krzyżem. Pilnujący ich Ukraińcy uzbrojeni byli w broń maszynową. Ludzie prosili - puśćcie nas, nigdy tu nie wrócimy. Banderowcy drwili - stamtąd dokąd pójdziecie, już nie powrócicie! Mordy przeniosły się ze skraju lasu na pole. Opowiadano mi, że mężczyźni wyrywali banderowcom łomy i siekiery i bronili siebie i dzieci. Wtedy Ukraińcy zaczęli strzelać. Kiedy wymordowali już pierwszą a następnie drugą grupę mieszkańców, zaczęli ściągać zwłoki do dołów. Do tych celów posłużyli się powrósłami wykonanymi z wyrwanego zboża. Zaplątywali je na nogach wymordowanych, żeby łatwiej było dociągnąć je do dołów. Zdarzały się osoby ciężko ranne. Ukraińcy nie dobijali ich, tylko stwierdzali, że i tak zdechną. Malutkie dzieci wrzucali banderowcy żywcem do dołów. Niejednokrotnie starsze dzieci uciekały im w zboże i do lasu. One później błąkały się i powracały do obrabowanych domów, wyłapywali ich upowcy i mordowali. /../ Tę rzeź przeżyła jedna kobieta. Pochodziła z Orzeszyny, mieszkała w Horochowie. Wraz z mężem i córką przyjechała do rodziny w Orzeszynie na okres żniw. Zazwyczaj lato spędzała u matki. Tak było i teraz. Jej córka poszła na mszę do kaplicy. Ją z mężem, brata, dzieci - całą dużą rodzinę, popędzono do lasu. W czasie mordów najpierw upadł na nią mąż a później inni. Wiedziała, że wszystkich wymordowani, ale myśl, że córka jeszcze żyje, dodawała jej sił. Musi iść i ją ratować. Leżała cała we krwi i wszystko słyszała, znała ukraiński. Jej mąż był stolarzem, pracował w niedalekich Pieczychwostach, wsi ukraińskiej, w stolarni dworskiej. Znała wielu Ukraińców, także tych, którzy nieśli zagładę. Leżała na ziemi, na niej zwłoki. Upowcy ściągnęli już wiele ciał do rowów. Dotarli do niej. Najpierw obejrzeli jej buty, były przechodzone, zostawili. Zaczęli ciągnąć ją do dołu. Otworzyła oczy i... poznała młodych Ukraińców pochodzących z Pieczychwostów. Odezwała się po ukraińsku - " Ja żywa". Podleciał jeden z nich z łomem. - Ja ciebie zaraz zabiję! A ona wtedy - Ty mnie zabijesz? A ja jestem kuma wasza! Ty powinowaty! Na takie słowa młodzi Ukraińcy najpierw wrośli w ziemię, a potem ją podnieśli i dopytywali – co robiła w Orzeszynie. Odpowiedziała, że z Horochowa przyjechała po żywność. Wszystkich wyganiali i nikt jej nie chciał słuchać. Młodzi nakazali jej, aby poszła do Orzeszyny umyć się i przebrać, bo cała była we krwi. Uratowana kobieta z Horchowa widziała jak zabijali dorosłych i dzieci. Jeśli mężczyzna miał na nogach oficerki, a Ukraińcy nie mogli ich zdjąć, to obcinali nogi i zabierali z butami. /../ Kiedy ją puścili, skręciła w zboże. Tam odnalazła córkę i bratową. Wspólnie poszły na Józefkę. Ona pierwsza opowiedziała o tym, co wydarzyło się w Orzeszynie, tym, którzy przeżyli i schronili się w Sokalu". (Zofia Szwal, wysłuchała Teresa Madej; 2008-08-07; w: http://www.zamosconline.pl/text.php?id=2426&rodz=kul). Zofia Janina S. (ur. 1930): „W niedzielę rano przyszła grupa uzbrojonych Ukraińców, chodzili po domach i kazali mężczyznom pojechać furmankami do lasu. Mówili, że mają coś wozić dla partyzantów ukraińskich. /.../ Ode mnie z domu nikt nie pojechał, bo w tym dniu przyjechali do nas goście, małżeństwo K. z trzynastoletnim siostrzeńcem. Po godzinie jedenastej usłyszeliśmy strzały od strony Porycka. /…/ Sądziliśmy, że to ćwiczenia partyzantów. Wyszliśmy na chwilę przed dom i wróciliśmy do środka. Za moment drzwi otworzyły się i weszło kilku uzbrojonych mężczyzn. Jeden był w hełmie, pozostali mieli na głowach furażerki. Ten, który nosił hełm, miał przewieszony przez ramię karabin maszynowy. Powiedział, byśmy wyszli z domu. Na pytanie ojca - dlaczego, odparł, że od Gruszowa nadchodzą Niemcy, a oni będą nas bronić. Na co mój ojciec zapytał - przed kim. Wówczas mężczyzna zarepetował broń i powiedział, że jeśli nie wyjdziemy, będzie strzelał. Wyszliśmy przed dom. Na naszym podwórzu stali inni sąsiedzi, część stała na drodze. Pan K. podszedł do mężczyzny w hełmie i chwilę z nim rozmawiał. Domyślam się, że podał się za Ukraińca (nikt go w okolicy nie znał), bo po chwili ten w hełmie pozwolił mu zaprząc do wozu. Nakazał mu jechać do Samowoli, tam zatrzymać się i pójść do sołtysa. Kiedy nasz gość wsiadał na wóz, zabierając swoją żonę i siostrzeńca, mój ojciec podszedł do Ukraińca i poprosił, aby pozwolił zabrać na wóz mnie i brata. Ten przez chwilę zastanawiał się, po czym

wyraził zgodę. Powiedział jeszcze do pana K., aby jadąc do Samowoli zatrzymał się przy figurze /przydrożnym krzyżu/ i tam nas zostawił. Mówił, że nasi rodzice tam przyjdą. Ruszyliśmy. Gdy dojechaliśmy do figury, poprosiłam pana K., by nas wysadził, ale on odpowiedział, że nigdzie nie będziemy wysiadać i żebyśmy w ogóle się nie odzywali. Gdy dojechaliśmy do pierwszego budynku za krzyżem (była to druga część Orzeszyna), z budynku wyszli Ukraińcy i otoczyli wóz. Pytali pana K., kim jest i dokąd jedzie. Odpowiedział, że jest Ukraińcem i jedzie do sołtysa do Samowoli. Wtedy zauważyłam od strony Samowoli idącą dużą grupę osób. Widziałam również, że ludzie z naszej części Orzeszyna byli gromadzeni w jednym miejscu. Nam Ukraińcy kazali wysiadać z wozu i wyprzęgać konie. Mówili, że muszą sprawdzić, kim jesteśmy. Cały czas nas pilnowali. Gdy ludzie idący od Samowoli zbliżyli się, dostrzegłam, że byli dokładnie strzeżeni przez uzbrojonych Ukraińców. Skręcili do lasu. Wówczas Ukraińcom, którzy nas pilnowali, zaczęło się spieszyć. Powiedzieli, żebyśmy jechali do Samowoli i tam czekali u sołtysa. Gdy odjechaliśmy kawałek, usłyszeliśmy z lasu strzały i straszne krzyki. Jechaliśmy szybko pustą już drogą. W pobliżu pól oddzielających Orzeszyn od Samowoli ze zboża wyszło dwóch uzbrojonych Ukraińców. Znowu nas zatrzymali i pytali, dokąd jedziemy. Pan K. odparł, że ich starszyzna kazała mu jechać do sołtysa do Samowoli i że wcześniej wszyscy nas przepuścili. Cały czas rozmawiał po ukraińsku. Kazali nam jechać, ale widziałam, że patrzyli za nami. Gdy dojechaliśmy do niewielkiego lasku, pan K. skręcił do Sokala. Po drodze spotykaliśmy ludzi, którzy uciekali z Wołynia, przeważnie kobiety i dzieci. Niektórzy byli ranni. Zabieraliśmy uciekinierów na wóz". (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus).

W kol. Oseredek Nowy pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy uprowadzili z domu 2 Polaków: dziadka o nazwisku Smyl z wnukiem, po których ślad zaginął.

We wsi Oszczów pow. Horochów zamordowali 3 Polaków.

We wsi Ozierany (Jezierzany) pow. Kowel upowcy ujęli uciekających z innych wsi 2 Polaków, wywieźli do wsi Suszybaba, gdzie jednego zamordowali.

We wsi Oździutycze pow. Horochów zamordowali 14 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi i majątku Pawłówka pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali co najmniej 11 Polaków, w tym 2 mężczyzn, reszta ofiar to kobiety i dzieci.

W kol. Pelagin pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali wszystkich Polaków, ustalono 22 ofiary.

We wsi Piatykory pow. Horochów zamordowali 4 Polaków, w tym dziadków z 4-letnim wnukiem, ich ciała wrzucili do studni.

We wsi Pieczychwosty pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, znana jest 1 ofiara.

W kol. Piński Most pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 6 rodzin, ocalała jedna rodzina mieszkająca pod lasem, którą „ukraińscy powstańcy" wyrżnęli następnego dnia. Zginęło tutaj 36 Polaków. Uratowała się tylko jedna kobieta, która trzy dni bez jedzenia siedziała w krzakach, po czym przez całą noc szła do Włodzimierza Wołyńskiego polami, natrafiając na zwłoki pomordowanych. Antonina i Kazimierz Sidrowicz podają: „ zamordowani zostali przez Ukraińców:

1. Sienkiewicz Hipolit lat ok. 35 oraz jego rodzeni bracia: Kazimierz lat ok. 25 i Antoni lat ok. 20. 2. Zymon Stanisława lat ok. 20 i Konstancja lat ok. 21. Tam było 3 rodziny Zymonów, ale już nie pamiętam imion. 3. Hypś Stanisław lat ok. 40 i jego rodzony brat Eugeniusz lat ok. 25. 4. Żukowski Stanisław albo Antoni lat ok. 35 i jego żona Antonina lat ok. 35. 5. Dobrowolski, tam było 3 rodziny Dobrowolskich, pamiętam że to były liczne rodziny, ale już nie pamiętam imion tych ludzi, ani ich wieku." (Antonina i Kazimierz Sidorowicz, w: jw.).

W miasteczku Poryck pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali około 220 Polaków. Pomimo, iż ksiądz odwołał sumę z godz. 11-tej, Polacy na nią przyszli. Zostali otoczeni w kościele i wymordowani, zginął też ksiądz proboszcz Bolesław Szawlowski. Ukraińcy chodzili po kościele i strzelali do zgromadzonych ludzi, głownie starców, kobiet i dzieci, dobijali rannych. Kościół obrabowali, wypili wino mszalne, śmieli się. W dole śmierci koło dzwonnicy zakopano ponad 100 ofiar. Po dokonaniu rzezi w kościele upowcy polowali na Polaków w całym miasteczku i w okolicach przez dwa dni. W mordach uczestniczyły kobiety i młodzież ukraińska (Siemaszko..., s. 896 – 899). „Palinko był stryjecznym wujem mojego ojca, miał już koło 70 lat, od kiedy pamiętam, to od zawsze był kościelnym. Tego ranka 11 lipca 1943 roku, spotykając mojego ojca powiedział: – ale mamy ładną pogodę (nie było żadnej chmurki na niebie), będzie dużo ludzi w kościele, bo i to chyba ostatnia niedziela przed żniwami. I poszedł do kościoła. My z tatą i Tośkiem Gąsiorowskim poszliśmy na sumę (to tak na godzinę 11:00) do kościoła. Mama Tośka była w innej wsi u znajomych, a siostra (nie pamiętam jej imienia) poszła do kościoła z koleżanką. Jak zwykle my z Tośkiem stanęliśmy przed ołtarzem po lewej stronie, stało tam jeszcze kilku chłopaków. Dziewczyny stawały po prawej stronie ołtarza. Tata zawsze stawał przy oknie na korytarzu (kościół w Porycku miał krużganek wokół kościoła), patrząc prosto na ołtarz. W kościele, jak spostrzegłem, było dość dużo ludzi. Były tam całe rodziny, z małymi dziećmi na rękach. Wuj Palinko (kościelny) zadzwonił sygnaturką, a po chwili wszedł ksiądz Szawłowski z ministrantami, rozpoczęła się suma (nabożeństwo). Już nie pamiętam, w jakim momencie ktoś wszedł do kościoła i krzyknął: – Ukraińcy – upowcy są przed kościołem. Zrobiło się ogromne poruszenie, ludzie zaczęli biegać (do drzwi i z powrotem do ołtarza), dzieci płakały. Ale msza trwała nadal. Dopiero gdy otworzyły się główne drzwi i z nich zaczęto strzelać z karabinu maszynowego, zrobił się popłoch, ogromny krzyk i lament. Ludzie biegali tam i z powrotem, padali, klękali, modlili się i krzyczeli, a najwięcej było słychać krzyki małych dzieci. Nie pamiętam już jak, ale zgubiłem gdzieś w tumulcie i ścisku Tośka. Zacząłem uciekać do drzwi wejściowych bocznych, przy drzwiach powstał ścisk i zamieszanie. Jak potem zrozumiałem, to ojciec mój odwrotnie, po usłyszeniu strzałów wchodził z korytarza (krużganku) do kościoła, i jakimś cudem spotkaliśmy się tuż pod chórem (tam gdzie organista Zegarski grał do mszy na klawikordzie). Ojciec złapał mnie za rękę i pociągnął do wieży i schodami na chór. Karabin maszynowy cały czas strzelał, słychać było także pojedyncze strzały karabinowe. Tam już był pan Zegarski i jeszcze parę osób (nie pamiętam już ich nazwisk). Byli to znajomi mego ojca. Oprócz mnie było tam jeszcze kilkoro małych dzieci. Ojciec z Zegarskim pamiętali, że drzwi z wieży na poddasze krużganków zostały zamurowane tylko na płaską cegłę i to na glinę, bo nie było wówczas cementu. Ponieważ nie było żadnych narzędzi, tata z Zegarskim scyzorykami zaczęli wydłubywać glinę i cegły zaczęły się ruszać, tak jedną po drugiej, dłubiąc, usuwano. Zrobiono niewielki otwór i wszyscy obecni weszli na poddasze. Ktoś ostatni założył otwór cegłami. Było nas, jak pamiętam, kilkanaście, może z 15 osób, w tym małe dzieci. Biegliśmy poddaszem aż do drugiej wieży, w której (jak wiedzieliśmy), nie było schodów. W szybkim biegu przeszkadzały nam grube belki, podtrzymujące zadaszenie. Ale dzięki tym belkom mieliśmy się potem, później, za czym schować. Biegnąc, słyszeliśmy cały czas, jak strzelał karabin maszynowy i wtórowały mu pojedyncze wystrzały oraz wybuchy granatów. Nie zdawałem sobie sprawy, co się tam dzieje, ojciec ani znajomi nie zabierali głosu, byli wystraszeni nie mniej niż ja. Schowaliśmy się za ostatnią belką rusztowania i siedzieliśmy jak myszy, cicho i z zapartym tchem. Wokół nas było ciemno, gdyż – jak już wspominałem – nie było schodów na tej wieży. Wejście do wieży było zamurowane. Po jakimś czasie zobaczyliśmy w poświacie okna nad zakrystią dwie postacie idące w naszą stronę. Byli to mężczyźni z karabinami, szli w naszym kierunku. Zrobiło się małe poruszenie, ale tata powiedział: „siedźcie cicho, to może nas nie zauważą". Wszyscy myśleli to samo, że może nas już odkryli. Dreszcz przeszedł chyba wszystkim po plecach. Jeszcze bardziej przylepiliśmy się do belek i czekaliśmy, co będzie dalej. Oni uszli jeszcze z parę metrów, przechodząc przez belki poddasza i stanęli nadsłuchując, a my wstrzymaliśmy oddech. Po paru minutach tak silnego napięcia odetchnęliśmy, zauważyliśmy, że oni (a byli to najpewniej mordercy z kościoła) zawrócili i odchodzą, a my odetchnęliśmy z ulgą. Zostaliśmy na razie uratowani przez grube belki poddasza. Ale za jakiś czas, może po pół godzinie, powietrzem targnął potężny wybuch, aż strop pod nami się zatrząsł, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Za chwilę do wieży zaczął napływać czarny dym i swąd spalonej słomy. Tata domyślił się, że pewnie to upowcy wysadzili ołtarz lub katakumby hrabiów Czackich pod posadzką kościoła. Gdy byliśmy zajęci ostatnimi przeżyciami i podsłuchiwaniem, co dzieje się w kościele, niespodziewanie zaczęło grzmieć i błyskać. Spadł duży, ulewny deszcz, słyszeliśmy, jak dudnił o blachę dachu. Bardzo głośno grzmiało. Okazało się, że burza była gwałtowna i trwała krótko, ale to wystarczyło, żeby upowcy wynieśli się z kościoła. To już było około czwartej godziny po południu. Takie było nasze napięcie przez ten czas, że nie liczyliśmy, ile to wszystko trwało. Ktoś wszedł od zakrystii i powiedział nam, że Ukraińców już nie ma w kościele. Nie chcieliśmy uwierzyć. Pomalutku, z duszą na ramieniu, zaczęliśmy przechodzić przez belki w kierunku wyjścia, do naszej dziury w tamtej drugiej wieży. Schodząc na schody wieży zobaczyłem pierwszą ofiarę, była to zamordowana kobieta. Leżała na schodach, i jak pamiętam, głową w dół, nie żyła, a kałuża krwi ściekła aż na dół schodów do kościoła. Wychodząc z wieży do kościoła zobaczyliśmy, co się stało, ogarnęło nas przerażenie i strach. Na posadce kościoła leżała biała powłoka kurzu z wapiennego tynku i ludzie byli cali biali. Okazało się, że jak upowcy zapalili słomę, by zdetonować pocisk artyleryjski, który miał zniszczyć ołtarz, to posypał się tynk wapienny z sufitu i ścian kościoła. Wszystko było pokryte białym proszkiem i kawałkami tynku. Wybuch nie zdołał zniszczyć ołtarza. Tylko nadpalone zostały stopnie przed ołtarzem i dywany. Dużo ludzi leżało w kałużach krwi, inni klęczeli, jeszcze inni wołali o pomoc. Widziałem, jak jedni pomagali drugim, by się wydostać spod innych, martwych ciał. Jeszcze inni wynosili na rękach swoich zmarłych lub rannych. Ojciec, przerażony tym, co zobaczył, przypomniał sobie, że w kościele był także dziadek Józef Jezierski, zaczął go szukać, chodząc od jednych zwłok do innych, ale dziadka nie było, ani wśród żywych, ani zmarłych. Ojciec pociągnął mnie w kierunku zakrystii. Ale by tam dojść, musieliśmy przejść przez kałuże krwi, w której leżały trzy kobiety. Jak mi się zdawało, była to matka z córkami. Ojciec wziął mnie na ręce i przeniósł, by nie nadepnąć na leżące kobiety. Dziadka zobaczyliśmy, jak stał schowany za bocznymi drzwiami. Były to duże drzwi, którymi wchodziło się do kościoła i do zakrystii. Dziadek stał za tymi drzwiami, był jakby nieprzytomny, miał osmalone wąsy i nadpaloną marynarkę. Pamiętam, jak ojciec powiedział do dziadka: „niech tata idzie do domu i powie Gienkowi (to brat ojca, który mieszkał z dziadkami w Starym Porycku), by zabierał rodzinę i niech uciekają w kierunku Sokala". (Sokal był poza granicą [dawna granica rosyjsko-austriacka], była to już Generalna Gubernia, tak to Niemcy nazywali). Dziadek zapytał ojca: „a gdzie wy idziecie", ojciec odpowiedział, że w świat, i że do Sokala. Gdy rozmawialiśmy z dziadkiem, widziałem, jak ludzie wychodzili, uciekali z kościoła, nieśli ranne dzieci na rękach. Wszyscy byli bardzo wystraszeni, widziałem, że niektórzy byli zbroczeni krwią. Szli do domów z nadzieją, że tam znajdą schronienie, a tam (jak się potem okazało) już na nich czekali upowcy, by dalej mordować. Tych, co byli w domach, i tych wracających z kościoła. Tak wymordowano całą rodzinę Palinków. Po rozmowie z dziadkiem nie poszliśmy do Palinków (na szczęście), ani do naszego pokoju w baraku, chociaż był on po drodze. Poszliśmy w kierunku chutorów pod lasem, tam ojciec miał znajomego Ukraińca, dawnego sąsiada z Pawłówki, Mielniczuka Kiryka i na niego liczył, że nam pomoże. Biegliśmy opłotkami, unikając spotkania ludzi, tylko psy za nami szczekały. Po godzinie takiego biegu skryliśmy się w zagonie żyta (żyto było wysokie, bo to już krótko przed żniwami) i czekaliśmy, aż się ściemni, by pójść do Kiryka (to jest imię). Gdy tak cicho, trochę drzemiąc, siedzieliśmy, raptem usłyszeliśmy głosy Ukraińców, szli obok drogą. Opowiadali sobie, jak to „strilały do Lachów (strzelali do Polaków) w poryckim kościele". Pochyliliśmy niżej głowy i czekaliśmy, aż przejdą. Aż tu nagle usłyszeliśmy ujadanie psa, zdrętwieliśmy ze strachu, ale prawdopodobnie był to jeszcze szczeniak. Gdyby to był stary pies, to już by było po nas. Zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero gdy Ukraińcy odeszli, a pies przestał ujadać. Prawdopodobnie pies biegał wokół idących, oszczekując swych panów. Kiryk nawet mocno się nie zdziwił, wysłuchał relacji ojca o tym, co się stało w kościele. Przyjął nas do swego domu, nakarmił i przenocował. Ja spałem z jego synem w łóżku, a tata w stogu z sianem, tak było bezpieczniej i dla Kiryka, i dla nas. Drugiego dnia (12 lipca) gospodarz na prośbę ojca pojechał do Palinków w Porycku i przywiózł nasze spakowane walizki. Jak mówił, nie jechał koło kościoła, bo się bał, że spotka upowców. Od sąsiadów Palinków dowiedział się, kogo z nich zamordowano w kościele (zamordowano dziadka Palinkę i jego wnuczkę, a księdza przy ołtarzu tylko raniono). Gdy ojciec szedł do kościoła, nie miał przy sobie dokumentów ani żadnych pieniędzy (ale wszystko było w walizce ojca). Jak Kiryk wrócił z Porycka, to powiedział nam, że upowcy po wyjściu z kościoła poszli mordować po domach. Żona Kiryka dała nam chleba na dalszą drogę. Poczekaliśmy, aż zrobiło się ciemno, bo mieliśmy przejść przez tory kolejowe, a to była droga Ukraińców, którędy jeździli do Porycka. Poczekaliśmy, aż zajdzie księżyc i przebiegliśmy tory. Po pewnym czasie spotkaliśmy znajomych i razem już śmielej szliśmy do granicy (była to granica pomiędzy Ukrainą a Reichem). Było już rano. Niemcy dopiero wychodzili na granicę, nie zatrzymali nas, tylko kazali iść prosto do Sokala. W Sokalu spotkaliśmy już kilkadziesiąt osób, takich jak i my, uciekinierów z okolic Porycka. Ale oni nic nie słyszeli o naszych dziadkach, stryju i stryjence z dziećmi ze Starego Porycka. Ale i w Sokalu nie było spokoju, pewnej nocy obudziły na pojedyncze strzały i kanonada karabinu maszynowego. Rano dowiedzieliśmy się, że to z komendy niemieckiej policji ukraińska policja uciekła w nocy do lasu z całą swoją bronią, stąd ta nocna strzelanina. Dalszy okres okupacji niemieckiej spędziliśmy w Karnkowie u dziadków Bańcerów. Mama już zmarła, a my z bratem i ojcem zamieszkaliśmy w Kwidzyniu. O zamordowaniu dziadków i całej rodziny Jezierskich dowiedzieliśmy się dopiero w latach 60-ych. Nasz znajomy Afanazy Hoszko, Ukrainiec, były pracownik warsztatu w Porycku, po wojnie zamieszkał na Śląsku. Pojechał w latach 60-ych do Porycka, aby odwiedzić rodzinę. Rozmawiał ze swoim bratem Siergiejem i on mu opowiedział, jak zamordowano naszych dziadków ze Starego Porycka. Otóż naszych dziadków: Józefa i Jadwigę Jezierskich, prababkę Ulanowską oraz stryja Gienka, jego żonę i dwoje nieletnich dzieci zamordowali sąsiedzi Ukraińcy. Przewodził im Ukrainiec Klim Matwiejczuk, sąsiad ze Starego Porycka. W domu dziadków była jeszcze rodzina żony stryja. Był tam dziadek i babka Zembrzyscy oraz ich starsza córka z dwojgiem dzieci w wieku 12-14 lat, i była tam jeszcze młodsza siostra stryjenki. Czyli razem w domu było 13 osób. Wszyscy zostali zamordowani na podwórku, a dzieci utopiono w studni. Stryj Gienek, ranny, z żoną próbował uciekać, upowcy dogonili ich na wale pomiędzy jeziorem a stawami i tam dobili. Dom został spalony, a ich cały dobytek zabrał główny morderca Matwiejczuk. Nazwisko Jezierskich, Eugeniusza i jego żony Marii, widnieje na płycie nagrobnej na cmentarzu w Pawliwce. Ten, kto opowiadał o tym okropnym mordzie, musiał tam być, lub dowiedział się od któregoś z morderców." (Ryszard Jezierski: HISTORIA RODZINY JEZIERSKICH Z PORYCKA ' w: „Nad Odrą" , nr 6 – 8/ 2012). „Byłem świadkiem mordu dokonanego w dniu 11.07 1943 r. przez bandę „rezunów" UPA w kościele parafialnym w Porycku powiat Włodzimierz Wołyński. W owym czasie zamieszkiwaliśmy w leżącej 4 km na południe od Porycka Kolonii Olin. W niedzielę 11. 07.1943 r. udaliśmy się furmanką do naszego kościoła parafialnego w Porycku. Jechało nas sześcioro: mój dziadek Józef Bławat lat 66, ojciec Kazimierz Bławat lat 41, moje siostry Waleria i Genowefa, 9 i 11 lat, oraz brat Józef Bławat lat 15. Ja miałem wtedy nieco ponad 7 lat. Gdy dojechaliśmy do kościoła konie z wozem zostały przywiązane do drzewa przy parkanie na dziedzińcu przykościelnym od strony północno-wschodniej. Sami weszliśmy do kościoła. Dziadek udał się do czwartej ławki w prawym rzędzie, siadając na skraju od środkowej nawy. Siostry stanęły pod amboną bliżej balustrady i ołtarza. Brat został z tyłu za ławkami, a ojciec ze mną zatrzymał się obok znajdującego się nieopodal konfesjonału. Kościół zapełniał się powoli, ksiądz proboszcz Bolesław Szawłowski rozpoczął celebrować mszę świętą. Wsłuchani w Introitus nie przeczuwaliśmy nawet, że kościół otoczyła już banda Ukraińców UPA. Nagle usłyszałem odgłos strzałów z ciężkiego karabinu maszynowego dolatujący od strony głównego wejścia do kościoła. Tata błyskawicznie posadził mnie w niszy po zrabowanej w 1939 roku przez Sowietów figurze Matki Bożej. Padły pierwsze ofiary spośród wiernych stojących w środkowej nawie. Wówczas, aby zapobiec dalszej masakrze, a przy tym okupując to w większości własną śmiercią, stojący pod chórem ludzie zamknęli drzwi główne. Ksiądz Bolesław Szawłowski, widząc tylu rannych i zabitych, przerwał mszę świętą, wszedł na ambonę i udzielił ostatniego rozgrzeszenia zabitym, rannym oraz żywym klęczącym przed Bogiem w obliczu śmierci. Wypowiadając jeszcze ostatnie błogosławieństwo dodał słowa: "Bracia Polacy, giniemy za wiarę". W tym momencie banderowcy rozbili granatem drzwi od zakrystii i wdarli się na stopnie ołtarza, skąd rozpoczęli strzelać do wiernych. Jeden z karabinów maszynowych wycelował w księdza znajdującego się jeszcze na ambonie. Ksiądz Bolesław Szawłowski, trafiony w rękę i nogi, stoczył się po stopniach ambony padając na ciała swych parafian zabitych u stup ołtarza. Mój tata klęczał obok konfesjonału, ale i jego wypatrzył jeden z Ukraińców kula

trafiła w policzek przechodząc pod okiem, skonał na moich oczach nic nie mówiąc. Siedziałem skamieniały chwilą niezacieralną jak wieczność. Następnie banderowcy rzucili granaty między ławki. Rzucone wiązki granatów powodowały straszne spustoszenie wśród wiernych: ciała były rozrywane na połowę, wnętrzności wypływające z rozerwanych ciał powodowały przykry fetor, ciała bez nóg w ostatnich impulsach podskakiwały na rękach. Posadzka między ławkami była cała zalana krwią. Nie mogąc dotrzeć do chóru, ostrzeliwali ogniem karabinów. Polacy otworzyli drzwi główne i, kto żył, biegł do wyjścia. Lecz tam, przed kościołem, ustawiony był ciężki karabin maszynowy typu talerzowego. W ciągu minuty w przejściu pozostała tylko góra ciał zabitych i rannych. W międzyczasie czterech "rezunów" wniosło dwa wielkie pociski artyleryjskie, które ułożyli na ołtarzu głównym, obłożyli słomą z sienników, po czym podpalili i odeszli mając nadzieję, że pociski zburzą kościół. Jednakże granat mający dopomóc detonacji, ułożony między pociskami, zdmuchnął płomienie, wyrywając jedynie otwór do grobowca pod ołtarzem. W kościele było pełno dymu. Wyszedłem z wnęki i pobiegłem do dziadka leżącego między ławkami. Ale dziadek, ranny ciężko w kolano, rozkazał mi samemu uciekać do cioci Walerii Walczak, która mieszkała nieopodal kościoła. Więc przedzierałem się przez stos zabitych na stopniach wejścia głównego. Przy wejściu na dziedziniec ujrzałem dwóch Ukraińców przy karabinie maszynowym, zamarłem. Wtedy nieoczekiwanie powiedział jeden z nich do drugiego: "Puskaj, jewo i tak wilki zjedzą" (moje białe ubranko nasiąkło krwią zabitych i rannych, po ciałach których musiałem się przedrzeć chcąc wyjść z kościoła). Ile mi sił starczyło pobiegłem do domu cioci Walerki, ale nie mogłem wejść do mieszkania: zaraz za progiem leżała kobieta z roztrzaskaną głową, mózg i krew rozbryzgane były po całym przedsionku. Wycofałem się więc do drewutni, gdyż zaczął padać ulewny deszcz. Banderowcy tymczasem opuścili tereny przykościelne, ruszając bić i rabować mieszkańców Porycka. Schowany za drzwiami drewutni obserwowałem nasze konie i wóz, czekając, czy ktoś nadejdzie. Po jakimś czasie pojawił się mój brat Józek, który przeżył schowany w grobowcu, wraz z sąsiadem. Uradowany wybiegłem do nich i zdałem relację, gdzie kto leży. Idąc do kościoła znaleźliśmy Tośka (brata ciotecznego, syna Walerii Walczak). Zanieśliśmy go na nasz wóz, który Ukraińcy porzucili widząc dyszel złamany przez spłoszone konie. Sąsiad osądził, że mojego taty już nie zabierzemy, bo nie będzie na to czasu i w każdej chwili mogli wrócić Ukraińcy zabraliśmy więc tylko dziadka po czym kazał nam prędko ruszyć. Do wozu dobiegła jeszcze od Aniołczyków z naszej kolonii. Józek usiadł na złamanym dyszlu i stamtąd kierował wozem oraz końmi. My leżeliśmy na wozie plackiem, by wyglądało, ze konie się spłoszyły, i tak pędząc przez pola i łąki dotarliśmy do domu. Tymczasem domy w kolonii Olin stały opuszczone przez mieszkańców ktoś spóźniony na mszę cofnął się do osady i powiadomił o rzezi w Porycku. Nie zastaliśmy więc ani moich dziadków Szczęchów, ani mojej mamy z pozostałymi dziećmi: jednoroczną Kazią i trzynastoletnim Tadeuszem. Wraz z wieloma innymi uciekli w stronę Sokala, bo tam Niemcy trzymali posterunek na Bugu. Spotkaliśmy za to naszych wujków Jakuba Szczęcha i Konstantego Furmagę, którzy obserwowali wioskę i zaskoczeni teraz naszym widokiem wykrzykiwali: "To wy żyjecie, a mówili, że wszystkich rezuni wymordowali w kościele". "Ano żyjemy"- zdołaliśmy odpowiedzieć. Wujek Kostek rozkazał zaraz "Kuba, zmienić opatrunki rannym!". Józek miał pomóc przy zmianie dyszla, a mnie przypadło rozpalić ogień w piecu, aby podgrzać wodę do obmycia ran. Jednakże ran nie zdążyliśmy już przemyć i opatrzyć. Na widok unoszącego się z komina dymu hurma Ukraińców z sąsiedniej wioski ruszyła w naszą stronę. Wujek Kostek krzyknął: "Na wóz!" a wujek Kuba ruszył przynieść Tośka. Dziadek nie dał się zabrać. Powiedział, że jest już stary i ranny, to mu nic nie zrobią. Został w domu leżąc na łóżku. Józek kończył zmianę dyszla i poprawę uprzęży. Wujek Kostek wrzucił jeszcze na wóz worek grochu, przykrył nas sianem i przykazał jechać do Sokala; "Ale tylko leśnymi drogami". Obaj wujkowie zostali, ukrywszy się w sadzie, by obserwować losy zabudowań i mienia. Do lasu było niespełna 50 metrów, więc ukraińscy chłopi nie zdołali nas dogonić. Józek znając drogi leśne, którymi często chodził na zakupy do Sokala, szczęśliwie dowiózł nas do granicy na Bugu. Niemcy, widząc rannego brata ciotecznego i nas wystraszonych chłopców, przepuścili przez granicę i skierowali do punktu pomocy sanitarnej, który mieścił się na dziedzińcu przyklasztornym. Punkt ten obsługiwany był przez szwedzki i polski Czerwony Krzyż z Kamionki Strumiłowej. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy okazało się, że ciocia Waleria Walczak była już tam na miejscu, pokonując biegiem ok.22 km dzielące Poryck od Sokala. Uradowana wzięła swego rannego syna na ręce i pobiegła do lekarzy. Ci widząc, że potrzebna jest operacja, gdyż odłamek granatu utkwił w głowie, skierowali go nazajutrz pierwszym transportem koleją do odległego o około 100 km Lwowa. Tam, po operacji, brat cioteczny żył jeszcze miesiąc. Zmarł w szpitalu lwowskim. Dwudniowa obecność odłamka wywołała zakażenie krwi. My z bratem Józkiem czekaliśmy w okolicy klasztoru, mając nadzieję, że któraś z sióstr jeszcze dotrze, gdyż żadnej z nich nie widzieliśmy ani żywej ani zabitej. Po dwóch dniach udaliśmy się do miejscowości Waręż gdzie mieszkał nasz stryj Adam Bławat. Zdaliśmy mu relację o „rezunach". Kazał nam zatrzymać się i czekać w jego domu. Sam poszedł przekonać dwóch Niemców, by pojechali z nim do Kolonii OLIN. Umiał trochę mówić po niemiecku z austriacką melodią, bo jeszcze przed I wojną światową służył w CK Armii. Jakoś mu się udało dogadać „za odpowiednią opłatą" i pojechali z nim furmanką do naszej wioski. Tam zastał już tylko spalone domy i zabudowania, a na miejscu gdzie stało łóżko, zwęglone kości dziadka. Pochował więc je, a z domu zabrał ukryte za kominowym popielnikiem dokumenty rodzinne. Udał się do Porycka, aby pochować tatę, lecz tam dowiedział się, że ofiary mordu zostały pochowane z rozkazu Niemców na dziedzińcu przed Kościołem we wspólnej mogile – 180 ofiar mordu. Księdza proboszcza pochowano na prośbę popa oddzielnie w pobliżu figury św. Anny po prawej stronie dziedzińca, gdyż pop uzasadniał, że „księdza nie godzi się chować w ziemi deptanej". Kiedy wrócił, nalegaliśmy, aby zezwolił nam pojechać szukać mamy. Stryj zgodził się, choć nie bez wahania. Załadował nam worek kaszy, ziemniaków, parę bochenków chleba, trochę owsa dla koni, a na wierzch siana. Ruszyliśmy, oczywiście zawracając do Sokala, by sprawdzić, czy przypadkiem nie pojawiły się nasze siostry. Na transport kolejowy nie chciano nas zabrać, gdyż ładowano jedynie ludzi, bez furmanek i koni. Jechaliśmy więc około tygodnia naszym wozem aż do Przeworska na Podkarpaciu, wyposażeni w dokument wystawiony w języku niemieckim i polskim, zaświadczający, że jesteśmy uciekinierami zza Buga. Mieliśmy szczęście. Nasi zatrzymali się dokładnie w Przeworsku u gospodarza o nazwisku Kapusta, który użyczył uchodźcom swych czworaków. Radości było co niemiara. Matula nasza myślała, że wszyscy zginęliśmy. Opowiadać trzeba było po kilka razy, bo sąsiedzi się schodzili, ciekawi na wieści, „jak to rezuni po sąsiedzku dorabiali się na polskim dobytku żywym i martwym".(Jan Bławat: Masakra w kościele parafialnym w Porycku 11.VII. 1943; w: KSI nr 7 z 2013 r. Od redakcji; rozmawialiśmy z autorem wspomnień który powiedział, że w takiej wersji przedstawił wydarzenia na przesłuchaniu u prokuratora IPN w Gdańsku. Spisał je w 1995 roku.). Krzysztof Filipowicz: „Miałem wtedy 15 lat. W niedzielę 11 lipca 1943 r. poszedłem z rodziną do kościoła. Mszę święta o godz. 11 prowadził ks. Bolesław Szawłowski. Kościół był pełen ludzi zarówno z Porycka jak i okolicy. Nie służyłem do mszy, choć byłem ministrantem. Podczas nabożeństwa kościół został otoczony przez uzbrojone bandy ukraińskie. Rozpoczęła się strzelanina. Zgromadzonych w świątyni Polaków ogarnęło przerażenie. Niektórzy w panice próbowali uciec ze świątyni. Kule dosięgły ich na zewnątrz. Po jakimś czasie bandyci weszli do kościoła. – Widziałem jak upadł ksiądz Szawłowski – relacjonuje Filipowicz. – Widziałem jak oprawcy stanęli przy ołtarzu i zaczęli strzelać do ludzi. Ci, których nie dosięgły kule bandytów, zaczęli się chronić, gdzie tylko kto mógł: we wnękach, za filarami. Ja z matką schroniłem się pod ścianą za filarem. W pewnym momencie bandyci zaczęli wnosić do kościoła słomę. Umieszczono w niej materiały wybuchowe. Byłem przekonany, że zginę tak jak inni. W gorącej modlitwie prosiłem Boga, bym zginął podczas ucieczki, trafiony w plecy. Gdy zapalono słomę, zaczęły wybuchać pociski. Ci, którzy jeszcze żyli zaczęli się dusić od dymu. Zacząłem błagać matkę, żeby uciekać z tego miejsca, by żywcem nie spłonąć. Wydaje mi się, że matka już wtedy była ranna, lecz nic mi nie mówiła. Usłuchała mej prośby i zaczęliśmy przesuwać się pomiędzy trupami w kierunku wyjścia. Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, który otaczał główną nawę kościoła, poczułem silny przeciąg i gwizd kul. W tym czasie matka upadła zastrzelona. Biegłem dalej do wyjścia. W pewnym momencie zobaczyłem starszą siostrę, 18-letnią Józefę. Była ranna, leżała we krwi, błagała o pomoc. Usiłowałem ją podnieść, lecz nie dałem rady. Powiedziałem, że sprowadzę pomoc. Wtedy na wprost głównego wyjścia zobaczyłem bandytów. Strzelano do mnie. Upadłem i zacząłem z powrotem czołgać się do kościoła.

Wbiegł na schody prowadzące na wieżę świątyni. Szybko przypomniał sobie, że parę lat wcześniej ksiądz Szawłowski kazał zamurować drzwi prowadzące na strych nad korytarzem otaczającym główną nawę świątyni. Z kilkoma mężczyznami wybili otwór, przez który z trudem przedostali się na strych. „Tam przeleżałem kilka godzin. Zaczął padać deszcz. Woda bębniła w dach tuż nad moją głową. Płakałem i dzwoniłem ze strachu zębami". Kryjówkę opuścił, gdy bandyci oddalili się z miejsca rzezi. W kałużach krwi leżały trupy. Gdzieniegdzie dochodził cichy jęk umierających. Siostra Józefa jeszcze żyła. Stanisław pobiegł do domu i opowiedział ojcu, co się stało w kościele. Najpierw przywieziona została starsza siostra. Na swoim łóżku skończyła życie. – Później ojciec przywiózł matkę, młodszą siostrę, czyli trzynastoletnią Genowefę, i pięcioletnią siostrzenicę – wspomina patrząc przez szybę samochodu het daleko. Wszystkie zginęły od kul ukraińskich bandytów. – Rano ojciec wraz ze znajomymi wykopali na cmentarzu mogiłę. Tam położono moją matkę, siostry i siostrzenicę. Umarłych zakryto deskami i zasypano ziemią. Odmówiliśmy modlitwę i wróciliśmy do domu." (Leszek Wójtowicz: Zmarł Krzysztof Filipowicz; w: http://www.kresy.pl/wydarzenia-?zobacz/zmarl-krzysztof-filipowicz). Nikołaj Ohorodniczuk vel Kwiatkowski (dawny mieszkaniec Radowicz): „11 lipca 1943 r. rano, razem z grupą UPA liczącą około 20 ludzi, wszedłem w czasie mszy św. do kościoła w m. Pawłówka (Poryck) iwanickiego rejonu, gdzie w ciągu trzydziestu minut, wraz z innymi, zabiliśmy obywateli narodowości polskiej. W czasie akcji zabito 300 ludzi, wśród których były dzieci, kobiety i starcy. Po zabiciu ludzi w Pawłówce - udałem się z grupą do położonej w pobliżu wsi Radowicze oraz polskich kolonii Sadowa i Jeżyn, gdzie wziąłem udział w masowej likwidacji ludności polskiej. W wymienionych koloniach zabito 180 kobiet, dzieci i starców. Wszystkie domy spalono, a mienie i bydło rozgrabiono…" – zeznawał w 1981 r. przed sądem Ohorodniczuk. Wg. Aleksandry Hryciuk z Radowicz i Haliny Jucharemiwnej, które obserwowały pokazowy proces Ohorodniczuka w świetlicy cukrowni w Iwaniczach, sąd uznał, że to on kierował akcją w Porycku. W zbrodni uczestniczyli także oskarżeni wówczas Szpaczuk i Stasin. (Tygodnik Zamojski z 9 lipca 2003 r. str.17 art. „Mord w Kościele").

We wsi i majątku Poryck Stary pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, co najmniej kilka rodzin; imiennie znane jest 5 ofiar: matka z 2 dzieci oraz małżeństwo.

Koło miasteczka Poryck pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 4 Polaków: 3-osobową rodzinę oraz męża Ukrainki.

We wsi i majątku Przesławice pow. Włodzimierz Wołyński upowcy obrabowali i spalili polskie gospodarstwa oraz zamordowali kilkanaście rodzin polskich.

We wsi Rewuszki pow. Kowel zamordowali 6 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kolonii Rogowicze pow. Horochów zamordowali Agnieszkę Lipowską, jej córkę Jadwigę, Aleksandra Lipowskiego (syna także Aleksandra), jego żonę Mariannę i ich 2- letnią córkę. „Do lipca 1943 r, mieszkałem z rodziną w kolonii Rogowicze, gmina Chorów, pow. Horochów. Ojciec mój Aleksander oprócz gospodarstwa rolnego posiadał młyn, siostra Jadwiga, lat 25, panna, była nauczycielką w szkole powszechnej, starszy brat Aleksander, lat 35 był sekretarzem gminy, ja zaś miałem kuźnię. Z Ukraińcami żyliśmy w zgodzie i mimo iż docierały do nas informacje o mordowaniu rodzin polskich przez banderowców uwierzyliśmy zapewnieniom naszych ukraińskich sąsiadów, że nic nam nie grozi, mamy mocną pozycję, przecież oni też korzystają z naszego młyna i kuźni, a brat Aleksander był przez nich ceniony za udzielanie porad agronomicznych. A jednak przyszli. Była to niedziela 11 lipca 1943 r. Wróciłem do domu z rodzicami Aleksandrem i Agnieszką z d. Bernat oraz siostrą Jadwigą po nabożeństwie z kościoła w Łokaczach. Przyszedł do nas brat Aleksander z żoną Marianną lat 28 i dwuletnią córeczką. Naradzaliśmy się, czy mamy pozostać w swoich domach, czy też jak inne polskie rodziny opuścić dom i przenieść się do Łokacz, gdzie został utworzony oddział samoobrony i czulibyśmy się bezpieczniejsi. Ojciec wyszedł w pole do krów, a matka smażyła jajecznicę na boczku. Widocznie przywiódł ich zapach jedzenia. Weszło ich trzech, nieznanych mi z widzenia, uzbrojonych w karabiny. Zapytali czy cała rodzina jest w domu, zażądali od nas dokumentów, zabrali z portfelami mówiąc, że nam już one nie będą potrzebne. Byliśmy odświętnie ubrani, więc polecili, abyśmy się rozebrali do bielizny. Krzyczeli: Polskie mordy to już koniec z wami, musicie zginąć, nie ma tu dla was miejsca. Matka prosiła ich, aby pozwolili nam pomodlić się przed śmiercią. Zagonili nas z kuchni do pokoju, a kiedy siostra Jadwiga nie uklękła jak inni i na ich krzyki odpowiedziała: my zginiemy, ale i wy zginiecie, nie zbudujecie Ukrainy na krwi niewinnej i bezbronnej ludności polskiej, a okryjecie siebie i naród ukraiński wieczną hańbą, jesteśmy solą tej ziemi, zamiast mordować uczcie się od nas jak żyć godnie i dostatnio – została uderzona przez bandytę lufą karabinu, zachwiała się i upadła na szafę. W tym zamieszaniu matka powiedziała do mnie, abym uciekał. Klęczałem najbliżej okna. Zerwałem się z klęczek i skoczyłem w okno wybijając łokciem szybę. Kiedy byłem za oknem widziałem jak do mnie strzela inny bandyta stojący na obstawie. Zaciął mu się karabin. Wbiegłem za stodołę, gdzie stał banderowiec z rkm a z drugiej strony dwóch z karabinami. Słyszałem strzały, ale na szczęście nie trafili we mnie. Biegłem w stronę Łokacz polami kryjąc się za dziesiątkami żyta. Na pastwisku pasły się konie. Schwyciłem jednego i na oklep pojechałem dalej. Z ukraińskiej wsi Markowicze wyjechała furmanka z 4-5 mężczyznami którzy strzelali w moim kierunku. Konno dojechałem do rzeki, po czym pozostawiłem konia i wpław przeprawiłem się przez rzekę. Tak dotarłem do Łokacz gdzie poinformowałem znajomych Polaków o napadzie. Zgłosiliśmy o tym Niemcom. Następnego dnia Niemcy za obiecane im krowę, jałówkę i świnię zgodzili się wysłać z Łokacz do mojego domu patrol policji niemieckiej, który będzie mnie i grupę moich znajomych ochraniał przy pochówku wymordowanej mojej rodziny. W pokoju podłoga była we krwi. Nie mogliśmy odnaleźć zwłok. Sąsiad-Ukrainiec powiedział, że ciała pomordowanych leżą w gnojowniku zamaskowane gnojem i słomą. Wszystkie ofiary miały rany postrzałowe z tyłu głowy i w plecach. Odnalazłem swojego ojca w polu, był zszokowany, stracił na bardzo długi czas mowę. Widział z oddali z pola jak banderowcy otaczają nasz dom, słyszał strzały, widział jak uciekam. Zabraliśmy ciała pomordowanych moich bliskich oraz odzież, którą przezornie zakopaliśmy wcześniej w skrzyni na polu i opuściłem na zawsze swoje gniazdo rodzinne". (Eugeniusz Lipkowski: Musicie zginąć, nie ma tu dla was miejsca; w: http://www.martyrologiawsipolskich.pl/mwp/wirtualne-mauzoleum/modul-iv-kresy-ii-rp/kresy-wschodnie/relacje/2511,quotMusicie-zginac-nie-ma-tu-dla-was-miejscaquot-Lipcowa-rzez-w-kolonii-Rogowicz.html). W. i E Siemaszko, na s. 144 podają, że w kolonii w lipcu 1943 roku zamordowany został sołtys Ukrainiec za pomoc Polakom oraz 4-osobowa rodzina Łebkowskich, których ciała zakopano w gnoju, zapewne więc chodzi o 5-osobową rodzinę Lipkowskich.

W kol. Romanówka pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali kilkanaście rodzin polskich; imiennie znane jest 18 ofiar, w tym rodziny: 7-osobowa, 5-osobowa i dwie 3-osobowe zamordowane siekierami we własnych domach.

We wsi i majątku Rykowicze pow. Włodzimierz Wołyński upowcy obrabowali i spalili polskie gospodarstwa oraz zamordowali kilka rodzin polskich, liczba ofiar nie została ustalona.

We wsi Samowola pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali kilkanaście rodzin polskich oraz nie znaną liczbę Polaków, uciekinierów ze wsi sąsiednich (mogiła ich znajdowała się na cmentarzu prawosławnym).

W kol. Sądowa pow. Włodzimierz Wołyński napad nastąpił po godz. 12-tej, po zerwaniu mostów na rzece Ług, aby Polakom odciąć drogę ucieczki do Włodzimierza. Upowcy uzbrojeni byli w bron maszynową, chłopi ukraińscy ze wsi Janiewicze w siekiery, łopaty, orczyki, kosy, widły. Szli od domu do domu torturując, gwałcąc, okaleczając i zabijając. Tropienie i ściganie uciekających trwało także przez cały następny dzień, oprawcy mieli czas na bestialskie znęcanie się nad ofiarami. Zginęło od 160 (Siemaszko), do 580 Polaków (Raport Komendy AK Lwów).

We wsi Sielec pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 20 Polaków, w tym zarąbali siekierami na plebani gospodynię księdza. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Sienkiewicze pow. Horochów zamordowali nie znaną liczbę Polaków, wiadomo o co najmniej 4 ofiarach. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Stasin (wcześniej i obecnie Kałusów) pow. Włodzimierz Wołyński na-

pad nastąpił o świcie. Wśród napastników, pomimo zamaskowania, rozpoznano tutejszych Ukraińców uzbrojonych m. in. w siekiery i kosy nastawione na sztorc. Na każdym polskim domu wisiała tabliczka z wykazem wszystkich domowników. Polaków, którzy musieli wziąć ze sobą dowody osobiste, wypędzili na zbiórkę. Do jednej stodoły wpędzili mężczyzn, do drugiej kobiety z dziećmi. Zgromadzonym ogłosili, że Ukraińcy czekali dwadzieścia lat na tę chwilę, żeby wyrżnąć Polaków do dziesiątego pokolenia. Następnie wymordowali co najmniej 105 osób, wśród ofiar było np. niemowlę rozerwane na połowy i położone na stole. Zagrody zostały ograbione, a 14 lipca spalono całą kolonie, wyrąbano nawet sady. Dwa groby masowe do dzisiaj nie zostały oznakowane. Kolonia nosi obecnie nazwę Kałusów i jest nadal siedzibą ounowsko-upowskich szowinistów. Zygmunt Maguza relacjonuje: „W innej wsi Kałusowie (dawna nazwa Stasina – przypis S. Ż,) banderowcy spędzili mieszkańców pod pozorem zebrania do dwóch stodół. Mężczyzn do stodoły Grabowskiego, a kobiety do stodoły Fila. Taka Adela zdołała uchylić deskę w ścianie stodoły i uciec w zboże. Pozostałych mieszkańców zamkniętych w stodołach zamordowano, strzelając do nich z broni maszynowej. Rannych dobijano siekierami, widłami, bagnetami. Łącznie Ukraińcy zamordowali w Kałusowie ponad sto osób. Z masakry uratował się m. in. Władysław Drożdżowski, któremu w trakcie spędzania mieszkańców wioski do stodół udało się ukryć. Przeżył także ranny Jan Sikora. Następnego dnia po mordzie zostali jednak odkryci przez penetrujących teren upowców i jeszcze raz padli ich ofiarą. Upowcy myśleli, że dobili ich już ostatecznie i pozostawili. Z postrzeloną, zmasakrowana twarzą Drożdżowski doczołgał się do studni, bo chciał napić się wody i wpadł do niej. Wyciągnął go jeszcze inny Polak Ignacy Łaniucha, który ranny wyczołgał się spod zwału trupów. Następnie umieścił go na furmance i zawiózł do Włodzimierza.” (Marek A. Koprowski : Uciekajcie, morduja!, 25 kwietnia 2011; w: http://www.kresy.pl/kresopedia,historia,ii-wojna-swiatowa?zobacz%2Fuciekajcie-morduja).

We wsi Strzelcze pow. Horochów zamordowali 33 Polaków. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W majątku Suchodoły pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali ponad 80 Polaków, w tym dzieci zabijano kolbami karabinów, bo „na szczenięta szkoda kul”.

We wsi Suchodoły pow. Włodzimierz Wołyński upowcy wymordowali kilka rodzin polskich, natomiast Ukraińcy ze wsi Dziegciów zamordowali 3 Polaków, w tym 62-letniego kowala.

We wsi Swojczów pow. Włodzimierz Wołyński: „Wieś polska Dominopol pod lasem Świnarzyn w nocy została okrążona przez partyzantów ukraińskich i ludność, tejże wsi wymordowana została doszczętnie, zaledwie 3 osoby ocalało, które cudem zdążyły wymknąć się: jedna dziewczyna i dwóch chłopców, dziewczyna została pokaleczona. /.../ W tym czasie, gdy w nocy wymordowali Dominopol, w dzień zabrali chłopców, najbliższych moich sąsiadów, których nazwiska podaję: Leon Mierzejewski, Zygmunt Rak, Władysław Bydychaj, Hipolit Majewski, Eugeniusz Buczko, wszyscy ze Swojczowa, którzy zostali zabrani przez ukraińskich banderowców i pomordowani. W innych koloniach i wioskach, też zabierano chłopców polskich i mordowano.” (Sławomir Tomasz Roch: Wspomnienia z Wołynia 1939–44 i ukraińskie zbrodnie na Wołyniu. Wspomnienia Zdzisława Doleckiego ze wsi Swojczów; w: http://3obieg.pl/wspomnienia-z-wolynia-i-ukrainskie-zbrodnie-na-wolyniu-1939-44).

We wsi Szczeniutyn Duży pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali mieszkające tutaj 2 rodziny polskie, zrabowali ich mienie a zagrody spalili.

We wsi Szczeniutyn Mały pow. Włodzimierz Wołyński obrabowali i spalili polskie gospodarstwa oraz zamordowali kilkanaście rodzin polskich.

We wsi Szpikołosy pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kol. Szytnia pow. Równe porąbali na kawałki 48-letniego Ignacego Wójtowicza.

We wsi Świtaź pow. Luboml, świadek Irena Zając (ur. 1931 r. w Dymitrówce): „To był, pamiętam, ranek, o 10, może 11 [godzinie] nasi z naszej wsi szli do Kisielina do kościoła. Ukraińcy naszą wioskę jakoś lubili, tak pod lasem mieszkaliśmy, było dwadzieścia parę numerów, zawracali nas: „Dzisiaj nie idźcie do kościoła, nie trzeba iść dzisiaj do kościoła”. Więc niektórzy wracali, [a niektórzy myśleli] dlaczego on nam zabrania iść? – i poszli. O 12 straszny się zrobił krzyk, jęk, to było z 15 km przez las, ten kościół był. /.../ Oni w tym czasie, jak już kościół podpalili, tu [ludzi] wybili, to szli po mieszkaniach i zabijali – dzieci małe… Była u nas dziewczynka z drugiej wioski, tak niedaleko, jakieś 1,5 km. Ona u nas była, jak już zaczęło się, jak każdy zaczął uciekać. Zabiegła do domu, a jej bracia spali na wozie, to mieli poderżnięte kosą gardła, tak się jeszcze rzucali. Opowiadała [to] później – bo uciekła i wróciła z powrotem do jednej Ukrainki. Ta Ukrainka ją wychowała, to znaczy pilnowała i jakiś czas później odesłała do Polaków”. (Relacja z książki „Pojednanie przez trudną pamięć. Wołyń 1943”. 28 lipca 2012, Świtaź. Nagranie: Ołeksander Dokhnuk, Magdalena Kowalska).

W kolonii Teresin pow. Włodzimierz Wołyński: Świadek Maria B.-Cz. (ur. 1923) datuje napad na 11 lipca 1943 roku: „Na Wołyniu mieszkaliśmy od pokoleń. /.../ Byłam już mężatką i miałam roczną córeczkę Reginkę. Mieszkaliśmy z mężem w domu moich rodziców. Była z nami jeszcze Tamarka, ośmioletnia dziewczynka, którą porzucili Rosjanie w 1941, uciekając przed Niemcami. Nie znała swojego nazwiska. Przygarnęliśmy ją. Na początku 1943 roku zaczęły przenikać do Teresina ponure wieści. Nie chciano dać temu wiary, ale kiedy w cerkwi w Swojczowie Ukraińcy poświęcili kosy, siekiery, łopaty, widły, mieszkańców parafii Swojczów ogarnęła trwoga. W dzień pracowaliśmy na polu i w obejściu, noce spędzaliśmy w zbożu, w stogach siana, stodołach lub zbierając się po kilka rodzin i wystawiając warty, żeby nie dać się zaskoczyć bandytom. /…/11 lipca przyszli u schyłku nocy. Około trzeciej usłyszałam ostre szczekanie psów. Wybiegłam z mężem i ojcem na podwórze. Od strony ukraińskich wsi Gnojno i Mohylno szła szerokim łanem w stronę naszej osady jakby chmura ludzi. Słychać było dudnienie kroków. Cofnęliśmy się do domu. Chwyciłam córeczkę i ukryłam się z nią w piwnicy, pod podłogą kuchni, za rzędem beczek. W tym czasie Reginka była chora na koklusz i bardzo głośno kasłała; bałam się, że kaszel zdradzi kryjówkę, ale dziecko wyczuło zagrożenie i siedziało cichutko. Słyszałam płacz i rozpaczliwe krzyki moich bliskich, których wywlekano z domu i zabijano na podwórzu. Słyszałam też krzyki oprawców. Nie padł ani jeden strzał - zabijali siekierami, widłami. Struchlała, oczekiwałam na swoją kolej. Gdy płacz i prośby moich bliskich ustały, zobaczyłam, jak uchyla się właz do piwnicy i [usłyszałam] męski głos: „Ne maje nykogo”. Po jakimś czasie, gdy zupełnie ucichły głosy ukraińskich bandytów, wyjrzałam przez okno w kuchni. Oczom moim ukazał się potworny widok. Mama, ojciec, siostra, mąż, dzieci: Krysia i Tamarka - leżeli na podwórzu z odrąbanymi głowami w morzu krwi. Cofnęłam się do kryjówki. Przesiedziałam tam cały dzień. Gdy o zmierzchu wyjrzałam po raz drugi na podwórze, zwłok moich bliskich już nie było, zostały zakopane w obejściu. Cały nasz dobytek rozgrabiono. Nocą wymknęłam się z córeczką na ręku, jak stałam, w jednej sukience, bez kromki chleba na drogę. W jednej chwili straciłam wszystko - rodzinny dom, najbliższych. Czołgając się, oddaliłam się w stronę pól. Nocą szłam przez bagna, zwane rudowinami, w dzień siedziałam w łozach. Wiedziałam, że aby żyć, muszę pokonać 17 kilometrów drogi do Włodzimierza Wołyńskiego.” (Lato 1943 - „Karta” – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus). Napad na kol. Teresin miał miejsce 29 sierpnia 1943 roku.

We wsi i kol. Topieliszcze pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali kilka rodzin polskich, imiennie znane jest 18 ofiar.

We wsi Trościaniec pow. Łuck w ataku prewencyjnym na szkołę podoficerską upowców zginął dziewiętnastoletni żołnierz samoobrony z Przebraża Emeryk Korzeniowski. (Henryk Cybulski: Czerwone noce).

We wsi Trubki pow. Włodzimierz Wołyński nie oszacowano liczby ofiar, imiennie znany jest 1 zamordowany Polak.

We wsi Turopin (Turobin) pow. Włodzimierz Wołyński: „We wsi Turobin o mieszanej ludności polsko-ukraińskiej mieszkała moja kuzynka Antosia Uleryk z rodziną. Tylko ona przeżyła napad, w czasie którego wszyscy Polacy zostali wymordowani. Według jej relacji w niedzielę o świcie do mieszkania weszli Ukraińcy, część z nich w niemieckich mundurach i z karabinami, pozostali ubrani po cywilnemu uzbrojeni byli w siekiery, widły, noże i młotki. W czasie poszukiwania „broni" wymordowali wszystkich domowników - 8 osób. Antosia ciężko ranna zemdlała, a kiedy odzyskała przytomność zobaczyła jak rezuni dobijali rannych. Ją też dobijano parokrotnie bagnetem. Nie trafili jednak w serce lecz w rękę i cudem przeżyła. Półprzytomna z bólu i przerażenia usłyszała wołanie ojca, który ciężko ranny wymieniał kolejno domowników i błagał o ratunek. Kiedy upewniła się, że oprawcy wyszli, posadziła ojca pod ścianą, pozostawiła mieszkanie pełne trupów i krwi i wyszła aby zobaczyć co się dzieje u sąsiadów. Ujrzała zakrwawioną dziewczynę wracająca do mieszkania, aby ratować płaczące dziecko - siostrę. Antosia uczyniła to samo, ale gdy wróciła do domu ojciec już nie żył. Wtedy pożegnała swoich najbliższych i szybko ukryła się w ogrodzie, bo usłyszała tętent koni. To patrol ukraiński sprawdzał obejścia i dobijał jeszcze żyjących. Zabili dziewczynę z dzieckiem, do niej leżącej w konopiach i prawie martwej ze strachu dojechali po śladach. Wiele razy naprowadzali na nią konie, wreszcie jeden z jeźdźców stwierdził „tu padochła" i kiedy odjechali. Antosia postanowiła udać się do ciotki. W drodze natknęła się na kolejny uzbrojony patrol. Tym razem byli to dwaj znajomi Ukraińcy. Uklękła przed nimi i prosiła o darowanie życia. Tylko nie przyznawaj się do tego. Im zawdzięcza życie, gdyż pouczyli ją jak ma się dostać do szpitala we Włodzimierzu i poradzili poczekać do wieczora. Kiedy opuszczała na zawsze rodzinną wieś, żegnał ją makabryczny koncert – psy wyły, ryczały głodne nie wydojone krowy, rżały konie, ale harmonia grała, a pijani ukraińscy oprawcy śpiewali i bawili się. Do szpitala dotarła rano i po podleczeniu ran przybyła do Bielina do Samoobrony. Zamieszkała u Bolesława Kobulskieg, brata mojej babci. Tam poznałam jej smutną historię.” („Ze wspomnień Zofii Ziółkowskiej”; w: http://www.najigoche.kaszuby.pl/artykul/artykul=774,ze-wspomnien-zofii-ziolkowskiej/) ; W. i E. Siemaszko na s. 944 podają nazwę wsi „Turopin” i nie wymieniają powyższych zbrodni.

W kol. Turówka pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 52 Polaków, w tym 22 wrzucili do studni.

We wsi Wandówka pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 16 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Witoldów pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 6 Polaków: matkę z 19-letnią córką, rodziców z 12-letnią córką oraz 12-letniego chłopca. Inni: „Obserwując tragedię Polaków szukających schronienia we Włodzimierzu, którzy cudem uratowali się z rąk ukraińskich zwyrodnialców 18-letni chłopak, jakim był wówczas Zygmunt Maguza musiał wykazać sporo hartu, żeby nie zwariować. Najgorsze było jednak dopiero przed nim. Po kilku dniach postanowił z kolegami pojechać bowiem do Witoldowa, żeby zobaczyć, co dzieje się u dziadków Stankiewiczów. To, co ujrzał, przerosło jego najgorsze oczekiwania. - Miałem nadzieję, że Ukraińcy ich nie ruszyli - wspomina Zygmunt Maguza.- Dziadek, gdy go o to pytałem, zawsze mnie uspokajał. Mówił, ja już starszy jestem, babcia też, a Weronika to jedenastoletnie dziecko, więc nas chyba nie zabiją, bo po co mieliby to robić. Wraz ze mną pojechał syn dziadków Julian Stankiewicz, Józef Palczyński, Tadeusz Nowicki. Zastaliśmy straszny widok. Gdy otworzyłem drzwi kuchni, na stole zobaczyłem kury dziobiące chleb, którego kilka bochenków napiekła babcia. Na podłodze w kuchni walały się też łuski amunicji. W pokoju na podłodze leżały trzy trupy dziadka, babci i małej Weroniki straszliwie zmasakrowane. Wszystko było we krwi. Z relacji sąsiadów, którzy przyjaźnili się z dziadkami udało nam się odtworzyć przebieg bestialskiego mordu. Okazało się, że dziadek wstał rano, zaprzągł konie i chciał wyjechać do jakiejś pracy. Bandyci zawrócili go i kazali się położyć na podłodze sypialni z prawej strony. Z lewej strony łóżka na podłodze w sypialni leżała babcia w nocnej koszuli, na której leżały porąbane zwłoki Weroniki. Ich córka, czyli siostrzyczka mamy widząc, że źle się dzieje, wyskoczyła przez okno i zaczęła uciekać. Ukrainiec strzelił jej w nogę. Wtedy upadła. Ukrainiec podbiegł do niej i za nogę przyciągnął do domu dziadków, pokonując kilkadziesiąt metrów. Rzucili ja na ciało babci, czyli jej mamy i tak ją zatłukli siekierą. Jak mi opowiadali sąsiedzi, ona strasznie krzyczała - nie zabijajcie! Słyszał to m.in. Ukrainiec Kościbroda, mieszkający obok, który w 1939 r. jako lojalny obywatel Rzeczpospolitej zgłosił się na mobilizację 23 Pułku Piechoty i walczył w obronie Warszawy. Z jego relacji, a także jego syna wiem, że w mordzie na rodzinie dziadków uczestniczyli: Władysław Prociuk, Matwiej Romaniuk i Petro Horbaczewski. Romaniuk był sąsiadem dziadków, znającym ich bardzo dobrze. Przyjechali oni furmanką rano. Podwiózł ich Grigorka Kuzibroda. Dziadek właśnie zaprzągł konie. Zaprowadzili go do pokoju i kazali się położyć na podłodze. Babci, która wstała w koszuli też kazali to uczynić, tyle, że po drugiej stronie łóżka. Weronika, widząc co się święci, usiłowała uciec, ale jak już mówiłem została przez jednego z oprawców przyciągnięta. Dziadka zbrodniarze najpierw zastrzelili. Babcię zabili siekierą, podobnie Weronikę. Mordowali ich uderzeniami w plecy, rąbiąc na kawałki. Dziadka po zastrzeleniu oprawca nie porąbał, ale obuchem siekiery wbił mu dosłownie głowę do płuc. Kiedy obróciliśmy dziadka na plecy, by wynieść na podwórko, żeby pochować i wziąłem go pod pachy, a Tadziu Nowicki za nogi, to mózg dziadka z krwią chlusnął mi na pierś. Było gorąco i krew nie zastygła. Coś jej jeszcze w dziadku zostało mimo, iż niemal cała podłoga pokoju była nią zalana, a do jego ścian były przylepione kawałki kości i mózgu, które rozprysły się we wszystkie strony, gdy bandyta walił w głowę siekierą. Pan Zygmunt ma łzy w oczach, gdy opowiada swoje przeżycia w domu dziadków i widać, że mocno wryły mu się w pamięć. Nie ma się co dziwić, że poświęcił sporo czasu na zbadanie wszystkich jej okoliczności, a także innych morderstw popełnionych przez Ukraińców na Polakach w Witoldowie. - Gdy byłem w sanatorium w Lądku Zdroju, odnalazłem mieszkającego tam Czesława Staszczyka z Witoldowa, sąsiada dziadków, któremu cudem udało się przeżyć urządzoną przez Ukraińców masakrę - wspomina Zygmunt Maguza. Spisałem jego relację, żeby przetrwała dla potomności. Według niej zbrodniarze zaczęli mord od jego rodziny. Tylko on, widząc ich zdążył się ukryć. Zbytnio go nie szukali, bo spieszyli się do dziadków, gdzie spodziewali się, że znajdą większy łup. Liczyli, że zastaną u nich ich synów i mnie. Wcześniej jeszcze zastrzelili jego teściową panią Sochową i jej 18-letnią córkę Janinę, oraz żonę Czesława Staszczyka i 14-letniego chłopaka Zakrzywickiego, który przyjechał do swojej cioci w odwiedziny. Pani Sochowa zginęła pierwsza. Otworzyła bowiem zbrodniarzom drzwi, gdy ci zaczęli łomotać. Po niej zastrzelili Zakrzywickiego, który leżał na kozetce. Widząc to Janina Staszczyk moja koleżanka padła na kolana i zaczęła histerycznie krzyczeć – nie zabijajcie!!! Jeden z oprawców strzelił jej w czoło. Gdy zamordowali wszystkich w domu, przystąpili do szukania Czesława Staszczyka. Usiłowali wejść do stodoły i wtedy pies zaczął na nich ujadać. Któryś z nich wystrzelił do niego, ale nie trafił. Pies zaskowytał, podkulił ogon i schował się w budzie. Weszli do stodoły, rozejrzeli się i stwierdzili, że Staszczyk uciekł. – Ne maje joho, hdeto wtik - skomentował jeden i poszli. On zaś siedział w kryjówce i przez szpary wszystko widział. Dziadek Stankiewicz w tym czasie wyszedł przed dom ubrany w kożuch, bo ranek był zimny i wyprowadzał za grzywę dwa konie. Jak go zobaczyli, zabrali konie, a dziadka popędzili do domu, by go zamordować. Następnie wdarli się do sąsiadów dziadka Ukraińców Kozibrodów, krzycząc - hde Zygmunt, hde Julik, hde Felik? - Sądzili, że ci porządni ludzie nas ukryli. - Ci rozłożyli bezradnie ręce twierdząc - ne ma! – Was postrelajem - ostrzegli ich oprawcy i dawaj szukać. Później Kozibrodowie pokazywali, jak odsuwali łóżka, przetrząsali strych. Przybycie Zygmunta Maguzy wraz z kuzynem i kolegą nie uszło uwagi miejscowych Ukraińców, należących do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Jeden oddał do nich kilka strzałów, ale nie trafił i uciekł. - My jak tylko ustawiliśmy, przygotowane przez Juliana Stankiewicza, krzyże na zasypanej mogile też wycofaliśmy się w pola, chowając się w bruzdach. Wcześniej mój drugi kuzyn Feliks Stankiewicz zdjął z nóg skarpety i założył zamordowanemu ojcu, którego złożyliśmy do grobu w kożuchu, w którym zamordowali go Ukraińcy. Gdy oddaliliśmy się nieco, obejście dziadków już płonęło.” (Marek A. Koprowski : Uciekajcie, morduja!, 25 kwietnia 2011; w: http://www.kresy.pl/kresopedia,historia,ii-wojna-swiatowa?zobacz%2Fuciekajcie-morduja). Czesław S. (Staszczyk – przypis S.Ż) (ur. 1918): "O trzeciej nad ranem byłem w swojej stodole, gdzie miałem urządzoną kryjówkę. Usłyszałem nadjeżdżającą furmankę. Przez szparę między deskami zobaczyłem dwóch mężczyzn z karabinami, którzy zeskoczyli z wozu w stronę domu. Trzeci siedział na wozie. Obok furmanki zauważyłem chłopca (16–17 lat) /…/ narodowości ukraińskiej, który mieszkał niedaleko mnie w Witoldowie. Mój pies zaczął strasznie ujadać, mordercy skierowali na niego lufy karabinów. Do mieszkania weszli przez niezamknięte drzwi. Strzelali z bliska w głowy. Mozg był na ścianach pokoju. Wszystkie osoby leżały na podłodze we krwi. Czesław Z. (Zakrzewski, lat 12 – przypis S.Ż.) został zabity na kanapie. Moja żona Janina klęczała z rozkrzyżowanymi rękami. Widocznie uklękła, prosząc o darowanie życia. Teściowa upadła pod stół, przewracając naczynia i butelki. Po wymordowaniu mojej rodziny w mieszkaniu, mordercy wpadli do stodoły, szukając mnie. „Nie ma joho, wtikł” (Nie ma go, uciekł) - mówili. /.../ Usłyszałem odjazd furmanki zaprzężonej w dwa konie. Chciałem uciekać do sąsiada Konstantego S. (Stankiewicza – przypis S.Ż.), ale ponieważ mordercy pojechali w

kierunku jego gospodarstwa, cofnąłem się. Zdążyłem zobaczyć, że S. wyprowadza dwa konie i rocznego źrebaka na łąkę obok sadu. /.../ Po kilku minutach zobaczyłem, jak mordercy łapią go przy koniach i prowadzą do domu. Przerażony wróciłem na własne podwórze i schowałem się do piwnicznej kryjówki obok stodoły, gdzie przesiedziałem do godziny dziesiątej. /.../ Potem widziałem pomordowanych S. (Stankiewiczów – przypis S.Ż), postrzelanych i porąbanych siekierami. Konstanty leżał na podłodze z roztrzaskaną głową /.../, obok leżała /.../ Balbina S. i ich córeczka Weronika (11 lat). Przez trzy dni po tragedii panowała cisza, nikogo nie widziałem. Ukrywając się w zbożu, od czasu do czasu wyglądając, co się dzieje wokół domu, udało mi się spotkać z sąsiadami Ukraińcami. Oni wykonali trumny z desek i wykopali dół na mogiłę. Pochowaliśmy trojkę pomordowanych obok domu, w sadzie, stawiając na mogile krzyż, który zrobili Ukraińcy. Ukrainka przyniosła mi bochenek chleba na drogę i rozpłakała się, mówiąc: „My wam nic nie winni, jak będziesz żył, to się dowiesz, kto mordował". W dniu, w którym chowaliśmy w sadzie moją rodzinę, do gospodarstwa S. przyszli jacyś uzbrojeni osobnicy w kolejowych mundurach. Ukraińcy zostawili trumny i uciekli, obawiając się, że może ich spotkać coś złego. Słysząc, że faktycznie przyjechali Polacy, pobiegłem przywitać się i ze łzami w oczach zobaczyłem kolejarzy polskich z bronią, którzy przyjechali z Włodzimierza Wołyńskiego. Julian S. z bratem Feliksem /synowie zamordowanych S./, z siostrzeńcem Zygmuntem M., przygotowali mogiłę na podwórzu gospodarstwa, niedaleko studni. Ułożyli w niej trzy trumny i postawili trzy krzyże. Zaraz po tym pogrzebie i odejściu Polaków /.../, Ukraińcy biegali od jednego do drugiego polskiego gospodarstwa, wzniecając pożary. Pozostały zgliszcza i wypalone sady". (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus).

W kolonii Witoldówka pow. Włodzimierz Wołyński "nacjonaliści ukraińscy wymordowali kilkadziesiąt osób narodowości polskiej" (Feliks Budzisz; informacji tej nie potwierdzają Siemaszkowie na s, 903 – 904).

We wsi Wolica pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 14 Polaków: trzy rodziny: 6-osobową i dwie 4-osobowe.

We wsi Wołczak pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali mieszkające tutaj 3 rodziny polskie (3 małżeństwa mające po 1 dziecku, w tym 17-letnią córkę), 9 Polaków. Ocalał jeden syn, który w czasie rzezi był w sąsiedniej wsi i został ostrzeżony.

We wsi Woszczatyn pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 4 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Wydranka pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali co najmniej 51 Polaków.

W kol. Wygranka pow. Włodzimierz Wołyński około godz. 3-ciej nad ranem usłyszano odległe strzały i zauważono uciekających z Gurowa Polaków. Zaraz też nastąpił atak, wśród napastników rozpoznano znajomych Ukraińców z Wygrani i Gurowa, z którymi dotychczas „sąsiadowano" w zgodzie. Polaków torturowano, kobiety gwałcono, zabijano za pomocą siekier, wideł, noży itp. Po rzezi, po południu nastąpiła grabież dobytku. Zamordowano co najmniej 157 Polaków. Na drugi dzień przyjechali Niemcy z Sokala na inspekcję. W pierwszych domach natknęli się m. in. na dwuletnie dziecko nasadzone na widły i wstawione w okno, drugie miało wsadzoną w brzuch łopatę, którą podparto drzwi. Zrezygnowali z oględzin reszty zagród, porobili zdjęcia i odjechali. Trzy dni po napadzie Ukraińcy spalili kolonię, zwłoki spłonęły w zabudowaniach. Ciała pomordowanych poza domami rozniosły po polach zgłodniałe psy (Siemaszko..., s. 836 – 837). Jerzy Krasowski wspomina: " W pierwszym zabudowaniu znaleźliśmy wstrząsający widok, obraz wbitego na ostry słup przy furtce kilkuletniego chłopca. Na parkanie był napis "Litak Sikorskoho" [samolot Sikorskiego]". (Jerzy Krasowski "Wspomnienia Wołyniaka", bdw., s.84).

W kol. Zabara pow. Równe Ukraińcy zamordowali 2 Polaków: 70-letnią kobietę i 87-letniego mężczyznę.

W majątku Zabłoćce pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 30 Polaków. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Zabłoćce pow. Włodzimierz Wołyński „ukraińscy powstańcy" ze zgrupowania UPA Martyniuka pod dowództwem Iwana Kici oraz miejscowi chłopi ukraińscy wtargnęli do kościoła podczas mszy. Mordując 74-letniego księdza proboszcza Józefa Aleksandrowicza, byłego więźnia bolszewików, drwili: „Niech ciebie polski Bóg ratuje". Na oczach wiernych skręcili mu kark oraz zamordowali co najmniej 78 Polaków. Chłopcu (Henryk Serwetowski) rozerwali usta, bo przed śmiercią krzyczał: "Niech żyje Polska". Barokowy kościół p.w. Św. Trójcy z lat 1760- 1773 zniszczyli, plebanię spalili. Po rzezi do cerkwi i stodół duchownego prawosławnego Ukraińcy zwozili zrabowane polskie mienie (Siemaszko...., s. 638).

We wsi Zahorów Nowy pow. Horochów zamordowali 33 Polaków. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi i majątku Zamlicze pow. Horochów po rzezi w majątku Janin napadu dokonali ci sami oprawcy. Polakom kazali kłaść się twarzami do podłogi i mordowali ich za pomocą różnych narzędzi. Trupy i poranionych wrzucali do dołów z obornikiem. Żartowali z wyglądu masakrowanych kobiet. Następnie dokonali rzezi Polaków w majątku. Zabitych i rannych ściągnęli do dworskiej obory i spalili. Zginęło 118 osób.

W kol. Zaszkiewicze Nowe pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali kilka rodzin polskich.

We wsi Zaszkiewicze Stare pow. Włodzimierz Wołyński zarąbali siekierami 15 Polaków, w tym dziewczynę oraz 4-osobową rodzinę (92-letnią babcię, jej 50-letniego syna, 16-letniego wnuka i 4-letnią wnuczkę) i zakopali za stodołą.

We wsi Zwiniacze pow. Horochów: „11 lipca zostały również zaatakowane Zwiniacze. Mieszkańcy tej wioski byli wyprowadzani z domów i mordowani w obrębie gospodarstw. Sprawcy używali narzędzi gospodarczych (siekier) i broni palnej." (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

W kol. Zygmuntówka gmina Mikulicze pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali ponad 50 Polaków.

W kol. Zygmuntówka gmina Poryck pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali mieszkające tutaj 2 rodziny polskie oraz Polkę, której mąż był Czechem.

W kol. Żdżary Duże pow. Włodzimierz Wołyński upowcy oraz miejscowi chłopi ukraińscy zamordowali 51 Polaków, a wg innych świadków 17 rodzin polskich.

We wsi Żdżary Duże pow. Włodzimierz Wołyński upowcy i miejscowi chłopi ukraińscy wymordowali mieszkających tutaj Polaków, 10 rodzin, liczby ofiar nie ustalono; pozostawiony sparaliżowany brat nauczyciela zmarł po dwóch tygodniach z głodu. Relacja Juliana Małkowicza: "Urodziłem się we wsi Żdżary gmina Grzybowica powiat Włodzimierz Wołyński. Naszymi sąsiadami byli Ukraińcy, o których mój ojciec Franciszek wypowiadał się pozytywnie np.: gdy spaliła się nam stodoła i dwa stogi zboża po zbiorach to sąsiedzi Ukraińcy dwoma wozami objechali całą wieś i nazbierali dla nas dużo produktów potrzebnych do życia jak zboże i ziemniaki. /…/ Od brata swojego Mariana Małkowicza – stryjecznego pochodzącego z Kolonii Żdżary i mieszkającego tam do 1943 roku dowiedziałem się, że tylko 4 osoby ze wsi Żdżary uratowało się, wśród których nazwisko dziewczyny Skrzypacz Eugenia, zam. po wojnie w USA, NY na „Posaiku". Dziewczynka ta przeżyła mordowanie swojej rodziny. Nie chciała z moim bratem rozmawiać ani z nikim rozmawiać na ten temat. /…/ Z tego, co wiem to na wieś Żdżary mordowali miejscowi „Motyka" – tak nazywał się główny zbrodniarz, który wymordował mieszkańców wsi Żdżary. Ten mężczyzna mieszka do tej pory ma ponad osiemdziesiąt lat. Polacy zostali pochowani w mogile zbiorowej pod lasem. Ja byłem na pojednaniu polsko-ukraińskim w Porycku na Ukrainie wraz ze swoim bratem stryjecznym Marianem Małkowiczem. Podczas pobytu rozpytawszy się o Żdżary jeden z mężczyzn wskazał nam kobietę, która pochodziła ze Żdżar, a pracowała w sklepie. Rozpytaliśmy ją o nazwiska byłych mieszkańców, a po wymienieniu nazwiska „Motyka" – głównego prowodyra, ta kobieta powiedziała, że to jej dziadek. Na to ja odciągnąłem brata byśmy już z nią nie rozmawiali. Naszym zamiarem było odwiedzenie wsi i ufundowanie pomnika dla zamordowanych Polaków. Prowodyrami napaści byli Hryciuk Wasyl, Szyna i Sołowiej Jarosław. Po wymordowaniu wsi Żdżary poszli oni na teren lwowski i tarnopolski. Koło sklepu Proska był dół z I wojny światowej i tam pochowano Polaków..." (http://wolyn.ovh.org/opisy/zdzary_duze-10.html).

W nocy z 11 na 12 lipca:

W kol. Bakonówka pow. Horochów Ukraińcy zamordowali kilka rodzin polskich, zdołała uciec tylko jedna matka z dzieckiem. W jednej ze stodół spłonęło 21 Polaków, łączna ilość ofiar nie jest znana.

We wsi Mogilno (Mohylno) pow. Włodzimierz Wołyński: „banderowcy z UPA przyszli i zabrali z domu mojego Tatusia Franciszka Mroziuka, to samo spotkało Stanisława Juszczaka i gajowego o nazwisku Tronow. Wszyscy trzej zostali uprowadzeni do lasu i tam zamordowani" (Jadwiga Kozioł z d. Mroziuk, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl).

We wsi Pustomyty pow. Horochów: „Jeden z Ukraińców złapał Wandę (Piliszczewską, lat 8 – przy. S.Ż), ta jednak po krótkiej szamotaninie zdołała się wyrwać. Wyskoczyła na dwór, nie pobiegła jednak, jak mama i siostra prosto, lecz skręciła w bok. Przy studni stojącej przed jedną z chałup zobaczyła Ukraińca rozdzierającego dziecko. - Małą dziewczynkę, leżała na ziemi. Przydepnął jej jedną nogę i z całej siły szarpał za drugą, właśnie po to, by dziecko rozedrzeć. Potem wrzucił ją do studni. Widząc to Wanda zaczęła biec tak szybko, że przegoniła nas i pierwsza wpadła do zabudowania Karawańskich. /.../ Kowalczykowa miała troje dzieci, dziewiętnastoletnią Stasię, siedemnastoletniego Tadzia oraz dwuletnią Basię. Gdy przyszli do ich domu, kazali im klękać. W stronę ołtarzyka. W jej domu był ołtarzyk, do kościoła ze wsi było daleko, znajdował się w Horochowie, jakieś dziesięć kilometrów. Dlatego mieszkańcy Pustomyt często chodzili modlić się właśnie do Kowalczykowej. Klęczała w środku, syn i córka po jej bokach, mała Basia stała w łóżeczku. Jeden z bandytów strzelił. Syn i córka Kowalczykowej upadli od razu, jej kula przestrzeliła dłonie. Też upadła, udała, że nie żyje. Basia zapłakała. Ukrainiec podszedł do niej, dziecko wyciągnęło ręce do srebrnego ostrza, tamten pchnął, zatopił je w jej piersi. Potem na środek chałupy pokładli drewniane meble, wypchane słomą sienniki, drewno, podpalili to i wybiegli na dwór. Wtedy Kowalczykowa złapała miskę, która stała w rogu chałupy. W misce była woda, wystarczająco dużo, by ugasić płomienie. Lecz zobaczył ją z dworu jeden z Ukraińców, wrócił do chałupy i zaczął tłuc kolbą karabinu po głowie tak długo, aż przestała się ruszać. Uznał, że nie żyje, wtedy wyszedł. Tym razem już domu nie próbowali podpalać. Kowalczykowa odzyskała przytomność. Zeszła na dół do piwniczki. Owinęła przedziurawione ręce szmatami, usiadła na taborecie. A z góry, przez szczeliny w podłodze, kapała na nią krew. Krew jej martwych dzieci, oblepiała ją od głowy do stóp. W końcu nie była w stanie tego znieść, wyszła po dwóch godzinach. Zawinęła ciała w prześcieradła, wykopała pod oknem dół i powkładała tam swoje martwe dzieci. Wcześniej straciła męża. Był leśniczym, na początku roku poszedł do lasu, nie wrócił, wszelki słuch po nim zaginął. Została sama. /.../ Ukraińscy bandyci dopadli Tomasza Hołowańskiego, miał macochę Ukrainkę. Ją zabili w chałupie, martwe ciało posadzili przy piecu. Jego obwiązali pierzyną, podżgali kosą, rzucili na słomiany gnojownik i podpalili. Zdołał się z niego w tej pierzynie skulać, lecz był potwornie poparzony. /.../ Dowieźli go do szpitala, tam zmarł po kilku dniach." (Damian Szymczak: „Czy żołnierze chodzą z tasakami"; w: „Gazeta Polska" z 23 lipca 2008). „Przypomniałam sobie, że w tych dniach napadu i morderstwa na Postomyckiej Kolonii k/Horochowa zabili leśniczego, żonę, córkę i małą dwuletnią córeczkę, a obok leśniczówki mieszkali tacy fajni Polacy nazwiska Hołdowańscy. Mieli wiele dzieci, a jednego mieli syna, takiego sportowca atletę, silnie zbudowanego. Podstępem go podeszli. Ukrainiec wszedł do nich do domu i mówi, że pan leśniczy go woła, żeby zaraz przyszedł, a on widzi, że to Ukrainiec, który u leśniczego pracuje. Uwierzył i pobiegł, a tam było pełno bandytów. Złapali go w taka pułapkę i zamordowali. Odrąbali ręce, wydłubali mu oczy, oderżnęli język, uszy i tak go strasznie umęczyli. Ale trzeba trafu, że żona leśniczego odżyła, bo była uderzona siekierą w plecy i upadła twarzą do ziemi, a po jakimś czasie ocuciła się i zobaczyła, że wszyscy nieżywi, a tylko Hołdowański skomlił, bo język miał odcięty i żył jeszcze jego tułów. Ona wyszła z domu, zobaczyła córkę zabitą w klombach kwiatów, polamentowała głośno i szła przez wieś Postomyte w kierunku Horochowai wołała: dobijcie mnie, zabijcie mnie, nie mam po co żyć. I tak szła przez wieś, prosiła o śmierć, ale nikogo nie spotkała i tak wyszła na drogę traktową, doszła już prawie pod Horochów. Na przedmieściu spotkał ją mój mąż jadąc z Janiny, uciekając też sam przed bandytami. Zszedł z wozu i wsadził ja na wóz ciężko ranną, zawiózł ja na plebanię, opowiedziała swoje przeżycia i zawieźli ją do szpitala i wyleczyła się i z nami razem mieszkała przeszło 7 miesięcy. A jak ona opowiedziała, że tam tak ciężko jęczał jeszcze żywy Tomek Hołdowański, że tak, a tak porąbany to pojechali Polacy uzbrojeni w biały dzień i nie mieli żadnej potyczki. Przywieźli ich zabitych do Horochowa, aby pochować na cmentarzu, a tego pana Hołdowańskiego przywieźli, zrobili Niemcy zdjęcia, że taki tułów jeszcze żyje, wsadzili w samochód i do Lwowa odwieźli to w szpitalu pofotografowali na różne strony i żył jeszcze dwa dni w szpitalu. Zmarł, to było 15 lipca 1943 roku." (Wspomnienia Józefy Wolf z domu Zawilskiej; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/aleksandrowka-jozefa_wolf.html). W. i E. Siemaszko, na s. 191 – 192 podają odnośnie kolonii Pustomyty: „10 czerwca 1943 r. upowcy uprowadzili z domu i zamordowali Władysława Filipiaka, s. Andrzeja i Agnieszki z d. Pierożek, lat 46; 12 lipca 1943 r. zagrody polskie były w kolonii palone, a Polacy zostali doszczętnie wymordowani, tj. około 50 osób" - oraz na s. 192 podają odnośnie wsi Pustomyty: „W lipcu 1943 r., najprawdopodobniej 12 lipca, upowcy zamordowali wszystkich mieszkających we wsi Polaków, tj. co najmniej 40 osób. Nazwisk nie zdołano ustalić".

We wsi Zahorów Nowy pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 46 Polaków, prawie wszystkich mieszkających tutaj. Dwoje dzieci: 11-letniego Edwarda Ślusarskiego oraz jego siostrę Manię w wieku przedszkolnym „ukraińscy partyzanci" żywcem zakopali w ziemi.

We wsi Zahorów Nowy lub Zahorów Stary pow. Horochów: „Jakiś Ukrainiec, który pilnował, dwie rodziny Polaków dał znać do Horochowa, a to było 25 km od Horochowa i pojechali. Oni biedni, Baranowski Julek z rodziną, dwa tygodnie siedzieli w łodzi w trzcinach na jeziorze koło swego młyna i nikt nie wiedział, tylko ten ich młynarz przynosił chleb i mleko. W Horochowie mieli rodzinę, czterech braci. Jak pojechali do nich do Zahorowa i brat Baranowskiego, Tadzik, wołał ich dłuższą chwilę: Julek, Julek, wyjeżdżajcie łodzią, my po was przyjechaliśmy, ja Tadziu; przyjechaliśmy po was autem pancernym, wychodźcie. Chwile potrwało, zanim zrozumieli i po głosie poznali Tadzia i dopiero wyjechali z tej trzciny. Było osiem osób, trzy rodziny w takim strachu siedzieli w trzcinie, dwoje dzieci, a pani Baranowska spodziewała się dziecka drugiego, no i na tej łodzi zamarło w niej to dziecko. Prawie, że ona nie poszła za nim, bo przez dwa tygodnie nie odczuwała żadnych ruchów dziecka i jak tylko dowieźli ja do Horochowa, to od razu do szpitala i wywoływanie porodu." (Wspomnienia Józefy Wolf z domu Zawilskiej; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/aleksandrowka-jozefa_wolf.html)

W dniach 11 i 12 lipca:

W kol. Brzezina gmina Chotiaczów pow. Włodzimierz Wołyński 11 i 12 lipca 1943 roku Ukraińcy wymordowali Polaków, liczby ofiar nie ustalono.

W kol. Sądowa pow. Włodzimierz Wołyński upowcy oraz chłopi ukraińscy ze wsi Janiewicze w drugim dniu rzezi wyłapywali ukrytych Polaków, torturowali ich i zabijali.

11 lub 12 lipca:

W osadzie Łysa Góra pow. Włodzimierz Wołyński upowcy i chłopi ukraińscy zamordowali 10 rodzin polskich, imiennie znana jest zamordowana 1 rodzina.

W osadzie Sienkiewicze pow. Horochów: "11 lub 12 lipca 1943 r. żyjący w osadzie Polacy zostali doszczętnie wymordowani. Liczba ofiar nie ustalona" (Siemaszko..., s. 192).

W kol. Strzelecka pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali w sposób okrutny około 60 Polaków.

W kol. Wandówka pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali prawie wszystkich Polaków w tej polskiej koloni, z kilkudziesięciu rodzin ocalały dwie, liczba ofiar nie została ustalona.

12 lipca:

We wsi Beresk pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Biskupicze Małe pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, kilka rodzin.

We wsi i majątku Biskupicze Szlacheckie pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali Polaków: kilka rodzin oraz pracowników majątku, liczba ofiar nie została ustalona.

We wsi Cewelicze Dolne pow. Horochów zamordowali 3 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Cewelicze Górne pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Czarnokońce Małe pow. Kopyczyńce: „12.VII.1943. Czarnokońce Małe pow. Kopyczyńce. Ukraińcy: Kulczycki Piotr, Bardecki Piotr, Tudorów Fedor, zamordowali Polaka Jana Dąbrowskiego lat 20. Trupa znaleziono. Sprawców aresztowano" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 9, k. 170 – 174).

We wsi Czestny Krest pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy wymordowali przebijając widłami i rąbiąc siekierami 18 dzieci polskich w wieku 3 – 12 lat

wyłapanych w zbożu podczas pogromu kol. Maria Wola i przywiezionych tutaj furmankami.

We wsi Doroginicze pow. Horochów zamordowali 11 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Dziegciów pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 2 Polaków: matkę z małym dzieckiem, które uciekły ze wsi Smołowa podczas dokonywanej tam rzezi. (Siemaszko..., s 818). Patrz: 11 lipca 1943.

W kol. Fundum pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali kilka rodzin polskich oraz obrabowali i spalili ich domy.

W kol. Grabowiec pow. Łuck zabili „trzy rodziny Tarnawskich i dwie rodziny Romaniewiczów" (Zbigniew Starzyński „Senior": Anastazy Ryszard Garcyński „Nadzieja" ; w: „Biuletyn informacyjny 27 DWAK" nr 4/2000). W. i E. Siemaszko podają, że w lipcu chłopi ukraińscy zamordowali tutaj 9 Polaków, w tym rodzinę 7-osobową z 5-giem dzieci.

W kol. Granatów pow. Horochów Ukraińcy zamordowali kilkanaście rodzin polskich (około 50 osób),

imiennie znane jest tylko 8 ofiar. „Pani L. (panieńskie nazwisko Greniuk) poznałem w poczekalni przychodni medycznej w Poznaniu. /.../ W 1942 roku wg. słów Pani L. w lipcu (być może pomyliła się i chodziło o 1943 rok) zginęli w osadzie Granatów od kul ukraińskich nacjonalistów brat najstarszy Mamy pani L. (nazwisko Kolek) liczący lat 40 i jedna z sióstr w wieku 22 lat. Stało się to tak: Rankiem zapukano do domu brata, kiedy otwierał drzwi od razu został zastrzelony bez słowa ani uprzedzenia, jego siostra uciekła tylnym oknem domostwa, Ukraińcy zorientowali się dość szybko i pobiegli na tyły domu nawołując się z dwóch stron. Rozpoczęli bezładną kanonadę z broni palnej, do uciekającej dziewczyny, która wpadła w łany zboża. Któraś z kul trafiła. Jeden lub kilku Ukraińców pobiegli dobić ją kolbami. Tak długo tłukli aż została zamiast głowy bezkształtna miazga. Tak wspominała ciotka Pani L. opowiadając jej to straszne wydarzenie. Sama cudem przeżyła, ponieważ otrzymała „ciekawy postrzał" jak to określiła opowiadająca mi tą historię Pani L.; mianowicie kula przeszyła gardło i wyszła policzkiem. Ciotka padła nieprzytomna w ogromnej kałuży krwi. Ukraińcy uznali, że jest martwa i odeszli po dokonaniu zbrodni na jej rodzeństwie. Tymczasem ranna kobieta ocknęła się po kilkunastu może minutach, widziała palące się zabudowania, leżącego trupa swojego brata ze skrzyżowanymi na piersi motyką i grabiami zostawionymi przez Ukraińców, odnalazła też ciało swojej siostry, trafiając po wygniecionym zbożu do miejsca gdzie leżała…, zatamowała jakoś krwotok i uciekła. Dzień później dotarła do swojego domu gdzie zostawiła swoje młode dwie córeczki. Zastała tylko zgliszcza, już maiła poddać się rozpaczy, kiedy to z krzaków otaczających Miejsce gdzie stał dom, wychyliły przerażone twarzyczki jej dzieci. Okazało się, że kiedy nadeszli ukraińscy bandyci schowały się na strychu w kryjówce. Ukraińcy splądrowali dom kradnąc, co cenniejsze rzeczy, następnie podpalili dom i zabudowania kradnąc też cały żywy inwentarz. Na straży zostawili jednego Ukraińca z bronią w ręku na wypadek gdyby jednak ktoś uciekał z płonących zabudowań. Kiedy ogień doszedł do strychu dziewczynki wyskoczyły. Jak opowiadał później matce i kuzynce były pewne że Ukrainiec je widział – jednak nie zareagował. Udał że ich nie widzi… Ludzki odruch…? Schowały się w przydomowych chaszczach drżąc o to, aby ogień nie przerzucił się na krzaki… Tak się jednak szczęśliwie nie stało." (http://bezprzesady.com/tm-kizk-im-juliusza-slowackiego-w-poznaniu/relacje).

W osadzie Holendernia pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zgromadzili rodziny polskie w stodole, zaryglowali drzwi, oblali benzyną i podpalili; żywcem spalili około 50 Polaków.

W kol. Horochówka pow. Horochów na krotko przed napadem, Ukraińcy powiesili wszystkie psy w polskich zagrodach. Rankiem 12 lipca do wsi wkroczyli uzbrojeni w siekiery, widły i broń palną. Mężczyzn i chłopców zgromadzili w jednej zagrodzie i wymordowali. Następnie kobiety i dzieci wprowadzili do jednego domu, gdzie na podłodze już rozłożona była słoma, dom zamknęli i podpalili. Złapali uciekającą Anielę Golisz, związali drutem kolczastym i wrzucili do ognia. Nad zgliszczami latały białe gołębie, a Ukraińcy mówili, że są to dusze Polaków. Imiennie znanych jest 48 ofiar. Zboże zrabowane przez miejscowych Ukraińców zjadła w 1943 r. plaga myszy. W 1944 roku plony spustoszył front wojenny. W 1945 r. Horochówkę zniszczyła trąba powietrzna. Z rzezi ocalała tylko 1 Polka z 2 córkami, ekspatriowana w 1945 r. tuż przed trąbą powietrzną. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Jachimówka pow. Horochów zamordowali 15 Polaków /liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Janów /koło Oździutycz/ pow. Horochów zamordowali 15 Polaków. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Jasionówka pow. Horochów zamordowali 14 Polaków; dwie osoby żywcem wrzucili do studni, dwie osoby powiesili na drucie kolczastym, 5 osób zatłukli drągami. Następnego dnia podczas rabowania gospodarstw polskich wyłapali jeszcze i zamordowali kilka osób.

We wsi Korytnica pow. Horochów zamordowali Polaka uprowadzonego z innej wsi oraz kilka miejscowych rodzin polskich, liczba ofiar nie została ustalona.

W kol. Krzemieniec pow. Horochów zamordowali 10 – 12 rodzin polskich, co najmniej 40 Polaków.

W osadzie Listopadówka pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, było tutaj 20 gospodarstw polskich, imiennie znane jest tylko 5 ofiar.

We wsi Łukowicze pow. Horochów zamordowali 2 Polaków /liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Majdan pow. Zdołbunów zamordowali 20 Polaków, kilka rodzin.

We wsi Majdańska Huta pow. Zdołbunów Polacy mieli zagwarantowane bezpieczeństwo na mocy pisemnej umowy ze sztabem UPA stacjonującym w Antonowcach pow. Krzemieniec, pod warunkiem, że nie wyjadą do miasta i będą dawać świadczenia na rzecz UPA. Przez kilka miesięcy wieś świadczyła daninę: jaja, sery, mleko, zboże, świnie, konie, furmanki, deski na budowę schronów itp. 12 lipca o świcie upowcy spędzili większość mieszkańców do stodoły i spalili żywcem. Pozostali byli mordowani w różnych miejscach, zginęło co najmniej 184 Polaków. Ze wsi uratowało się 11 Polaków, gdyż przebywali poza domem.

W kol. Maria Wola pow. Włodzimierz Wołyński upowcy oraz okoliczni chłopi ukraińscy dokonali rzezi 258 Polaków. 30 osób żywych wrzucili do studni i przywalili kamieniami, 13 powiązanych mężczyzn spalili żywcem w stodole, uciekających wyłapywali jeżdżąc na koniach, torturowali, okaleczali i zabijali. Głównymi narzędziami mordu były siekiery, noże, widły, drągi itp. Gwałty, pisk torturowanych dzieci, krzyk matek i ojców okaleczanych i zabijanych niósł się daleko od wsi. Wyłapane w zbożu 18-cioro dzieci w wieku 3 – 12 lat, w tym synów Reginy Futyma: 5-letniego Zbigniewa i 3-letniego Ryszarda, „ukraińscy partyzanci" załadowali na wóz drabiniasty i wywieźli do ukraińskiej wsi Czestny Krest, gdzie pomordowali ich przebijając widłami i rąbiąc siekierami. Zagrody ograbili i spalili, często z ciałami ofiar (Siemaszko..., s. 860 – 863; Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszko-TomaszBereza.docx). "Gdzieś w oddali dały się słyszeć pojedyncze wystrzały. I nagle na podwórze wbiegła wujenka Wasilewiczowa z krzykiem, że wieś się pali. Wybiegliśmy z ojcem na podwórze i zobaczyliśmy, że na chutorach sieleckich pali się jedyny Polski dom Kozłowskich, a w naszej kolonii dom Mikołaja Turewicza. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia o tym, że jednocześnie mordują ludzi. O tych zbiorowych mordach nic nie słyszeliśmy, bo możliwość poruszania się była ograniczona do swojej wsi. Sąsiedzi Ukraińcy byli tak nastawieni, że jeżeli ktoś z Polaków wyszedł gdzieś poza wieś, to musieli meldować i w nocy też był zabrany i ginął. Z myślą, że tylko pożary postanowiliśmy ratować coś z dobytku. Tak więc krowy i konie były w polu na pastwisku – pasła je siostra Józia. Mama z Polą wynosiły z mieszkania co się dało, natomiast my z tatem poszliśmy do stodoły, żeby wyciągnąć młocarnię, wialnię, silnik spalinowy i sieczkarnię. Kiedy została do wyniesienia tylko sieczkarnia tato wyszedł ze stodoły przynieść drążek do podłożenia pod sieczkarnię, żeby łatwiej ją przenieść. I w tym momencie podjechała furmanka, a na niej furman i trzech uzbrojonych banderowców. Zobaczyli ojca, zeskoczyli z wozu i zawołali go do siebie jednocześnie repetując karabiny. Tato ruszył w ich stronę, ale po przejściu może dwóch kroków odwrócił się i szeptem powiedział do mnie: - Uciekaj. Ja cały czas nie pokazywałem się ze stodoły, a odległość od stodoły do drogi wynosiła może 10 – 15 metrów, bo stodoła była po drugiej stronie drogi w sośninie. Więc tato poszedł naprzód, a ci trzej za nim na podwórze. Co dalej się działo nie widziałem, bo tych dwóch i tato byli za mieszkaniem. Słyszałem tylko strzały i widziałem, jak jeden z nich strzelał z zapalających kul w strzechę domu, który po chwili zaczął się palić. Płonęły też pozostałe zabudowania. Obserwowałem to wszystko ze stodoły, ale gdy zaczęło się palić na dobre uciekłem ze stodoły w obawie, że mogą tu zaraz przyjść. Ze stodoły obiegłem poza zabudowaniami sąsiada Zwiernika i wbiegłem w innym miejscu do sośniny, przeskoczyłem przez drogę i znalazłem się w naszym zbożu, a był to spory zagon pszenicy. Skierowałem się w stronę małej dolinki z myślą, że tam będzie bezpieczniej. W tej dolince schroniła się też siostra Janina z Danusią. Siedziała na ziemi i zobaczyłem ją dopiero z odległości trzech kroków, aż się przestraszyłem. Powiedziała mi, że jak zobaczyła, że pali się od strony Sielca wzięła Danusię i ścieżką szła do nas. Dopiero w połowie drogi spojrzała i zobaczyła, że palą się nasze budynki, wtedy zawróciła i nie poszła z powrotem, tylko schroniła się w zbożu. Nie wiadomo było, co z siostra Józią, która w polu pasła krowy. Trochę chyłkiem, trochę, gdzie było gołe pole czołgając się dotarłem do niej. Siedziała przestraszona i zapłakana. Powiedziałem, żeby nie ruszała się z miejsca, że ja wrócę tu z siostrą Janiną. Po niedługim czasie przyszliśmy i już byliśmy razem, ale nie wiadomo było, co z rodzicami i siostra Polą, więc siostry zostały, a ja postanowiłem pójść na zwiady. I tak zbożami, a potem przez ogród czołgając się zbliżyłem się do pogorzeliska. Widok był straszny – budynki popalone, nie ma żadnej osłony, widać daleko. Sytuacja nie do zniesienia, jednym słowem zgroza. Zacząłem przybliżać się coraz bardziej nawołując rodziców, ale ani znaku życia. Kiedy byłem całkiem blisko zobaczyłem koło pogorzeliska coś czerwonego na ziemi. Wtedy podbiegłem i rzeczywiście była to czerwona bluzka siostry Poli. Siostra leżała martwa na ziemi, a tuż koło niej oboje rodzice. Wszyscy troje zginęli od kuli. Na ten widok zmartwiałem, zdrętwiałem, nie mogłem nawet zapłakać. Tak odrętwiały stałem jakiś czas, a potem strach wziął górę i uciekłem w pole do czekających sióstr. Kiedy powiedziałem im co się stało podniósł się wielki lament, ale już zbliżał się wieczór, więc ulokowaliśmy się na noc w życie. Dom siostry Janiny nie był jeszcze spalony, ale niebezpiecznie było tam się zbliżać w obawie przed zasadzką. Noc przesiedzieliśmy w życie, a raniutko ledwie się rozwidniało poszliśmy zobaczyć naszych drogich pomordowanych. Leżeli jak poprzednio. Pomodliliśmy się krótko i uciekliśmy z powrotem w zboże. Kłopot był z maleńką Danusią, bo nie było jak przegotować mleka, więc korzystając z tego, że krowy były w polu doiliśmy je i dziecko piło surowe mleko. Z piersi też nie mogło wyssać, bo mama nic nie jadła. Przed południem poszedłem do sąsiada Wasyla Hnatiuka z prośbą, żeby pochował rodziców i siostrę. Jego żona powiedziała mi, że za Bugiem Polacy mordują Ukraińców, więc oni mszczą się na Polakach, ale to była nieprawda. On niby poszedł do drugiego sąsiada, żeby mu pomógł, ale czekałem z godzinę i pomyślałem, żeby on czasem nie sprowadził banderowców, więc uszedłem z powrotem w zboże. Jednak ten sąsiad pochówku nie dokonał. Dopiero po kilku dniach rodziców pochował na miejscu drugi sąsiad z Czestnego Krestu Andrzej Nowosad z synem Wiktorem. My nadal siedzieliśmy w zbożu i od czasu do czasu podchodziłem w pobliże pogorzeliska, bo mieliśmy nadzieję, że wrócą brat Mieczysław i mąż Janiny – Antoni Jakubowski, którzy w dniu 12 lipca też byli na łące, tylko w innym miejscu. Niestety, nie doczekaliśmy ich, ani w dniu następnym, ani nigdy. Jak się później dowiedzieliśmy zostali zatrzymani na drodze, zamordowani i spaleni w stodole. W oczekiwaniu przesiedzieliśmy tak następną noc i dzień i trzeba było na trzecią noc też pozostać w zbożu. W nocy zaczął padać ulewny deszcz tak, że przemokliśmy do suchej nitki. Ale najgorzej było z Danusią, bo po surowym mleku miała rozstrój żołądka, a przy tym ten deszcz tak, że nie było suchej pieluszki, a więc i mokro i zimno. Gdy tylko zrobiło się szaro postanowiliśmy ratować się. /.../ I tak zakończyła się nasza bytność w Marii Woli. Straciliśmy co najdroższe – naszych rodziców, brata i siostrę, a Janina straciła męża. Straciliśmy dach nad głową, dorobek życia rodziców i po troszę nas – dzieci. Uciekliśmy tak, jak staliśmy i w tym co mieliśmy na grzbiecie - lichych codziennych ubraniach szczęśliwi, że unosimy życie, niepewni jutra, zdani na łaskę dobrych ludzi i stając przed wielką niewiadomą, co dalej. Straciliśmy dosłownie wszystko począwszy od chusteczki do nosa, poprzez bieliznę, pościel, ubrania i obuwie letnie i zimowe, naczynia, sprzęt domowy, meble, nakrycia stołowe i wszystko od najmniejszej rzeczy do zabudowań." (Fragment wspomnień Wiktora Korniaka syna Józefa i Anieli z d. Wasiewicz mieszkańca kolonii Marii Wola gmina Mikulicze powiat Włodzimierz Wołyński spisanych w 2007r. w Kraśniku Dolnym. W: KSI nr 7 z 2013).

W kol. Oktawin pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy z sąsiednich wiosek zamordowali 7 Polaków, którzy nie wyjechali z kolonii. Świadek Apolonia Marel (ur. 1930 r. w Oktawinie): „W mojej rodzinnej wsi bardzo w zgodzie [z Ukraińcami] żyliśmy. Ale kto został, to [go] tragicznie wymordowali. Po sąsiedzku mieszkał gajowy, trochę komunista – bo już Sowieci byli. Mówił: „Mnie nie zaczepią". Pięcioro dzieci, jedno malutkie, pięć latek, reszta już takie większe… Naszego mieszkania nie spalili, tylko rozebrali, a tak to się tam paliło dzień i noc. Oni mieli króle w piwnicy, króle hodowali, bo dzieci pięcioro. Porąbali ich i w te piwnice wszystko… To małe uciekało, opowiadał mi taki ksiądz greckokatolicki. To małe tak piszczało, a oni kogo dopadli [mordowali], i [tak] całą rodzinę... Tam, gdzie te króle… straszne. Jeszcze byli [ludzie] pod lasem, mój dziadek [tam] mieszkał też. Pozostali, biedni, to ich nie ruszą – ale skąd! W nocy pozabierali do lasu, kazali jamy wykopać. Moja koleżanka tam była. Strzelali i w te jamy [spychali]. Później drudzy przyszli ich zakopywać, ale to znajomi, wychowywali się blisko. Kto żywiej to niechaj wyłazi! [Kto żyw, niech wychodzi!] To był lipiec, już jej robaki się rzuciły w ranach. Była w moim wieku 13, 14 lat. Ojciec już był zabity, nie wyszedł z jamy. A ona z matką przeżyła. Ci Ukraińcy, co przyszli zasypywać, to nie dobili ich. Dużo ciał leżało w tej jamie. To wojsko było, niby te bulbowce [upowcy], wszystko zbrojne. Ona była mocno poraniona, ale przeżyła. Takie małe dziecko było, matkę ssało, matka nie żyła. Miało ręce przekute drutem. Byłam młoda, ale dużo widziałam pomordowanych. Na naszej wiosce to kto został, to wszystkich wymordowali. [Polacy] nie spodziewali się [tego wszystkiego]. Smert lacham [śmierć Polakom] pisali – oni tak chcieli Samostijną Ukrainę. Jak pomordowali [ludzi] za naszym kościołem, to mężczyźni w nocy wpadli i mówią: „Wy jeszcze siedzicie?". Wszystkich spędzili do stodoły i podpalili. „Uciekajcie, póki jeszcze możecie, Ukraińcy-sąsiedzi – mówili – was nie zaczepią". Ale nieprawda – jak byśmy zostali, to tak samo [by było]... (Relacja z książki „Pojednanie przez trudną pamięć. Wołyń 1943". 2 września 2012, Ostrówki. Nagranie: Emil Majuk, Olga Wójtowicz). Wacław Wiciński: „Siostra ojca została zamordowana, podobny los spotkał naszego sąsiada, jego żonę i ich pięcioro dzieci. On był gajowym i myślał, że go nie ruszą, bo handlował drewnem. Myśmy uciekli w poniedziałek, a w środę wymordowali tych, co zostali. Wieś nazwali Oktawin, bo w oktawę Bożego Ciała tam osiedlali się Polacy. Cały Oktawin został spalony". (Bogusław Szarwiło; w: http://www.wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/134-jak-mali-koldnicy-dostali-od-ukraicow-po-gowie.html).

W kol. Piłsudczyzna pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 6 Polaków, w tym 5-osobową rodzinę.

W kol. Piński Most pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali ostatnią mieszkającą tutaj 6-osobową rodzinę polską: 1 mężczyzna, 3 kobiety (żona i 2 jego siostry) oraz 2 dzieci lat 2 i 5. Inni: upowcy wymordowali Polaków ocalałych z rzezi dnia poprzedniego. Kazimierz Sidorowicz: „Mordy ukraińskie na ludności polskiej Dominopola słychać było w polsko-żydowskiej wsi Piński Most oddalonej tylko 1 km. Naocznym świadkiem tego był Polak Antoni Sienkiewicz, który po wojnie opowiadał mi osobiście, że w niedzielny poranek 11 lipca on i jego rodzina usłyszeli straszne, rozpaczliwe krzyki ludzkie dochodzące od Dominopola. Mówił mi: "Na podstawie głosów dochodzących od Dominopla, szybko domyśliliśmy się, że tam właśnie dzieję się coś strasznego, dlatego ja i mój brat Kazimierz chcieliśmy natychmiast uciekać do Włodzimierza Wołyńskiego. Od samego rana widzieliśmy konie chodzące samopas po ogrodach oraz rozpuszczone bezwładnie krowy i inne bydło. Poza tym nie było widać także żadnych dymów z kominów wsi Dominopol. Po przeprowadzeniu tych obserwacji około południa upewniliśmy się, że ludność Dominopola została dziś w nocy i nad ranem napadnięta i wymordowana. Tymczasem z tamtej strony wciąż dochodziły pojedyncze już strzały, w tym czasie dobijano tych którzy cudownie ocaleli z pierwszej najgwałtowniejszej fazy mordu. Gdy my wciąż z bratem nastawaliśmy na naszą rodzinę, aby uciekać porozumieliśmy się z nimi, że oni zostają natomiast ja z bratem uciekamy do miasta. W domu zostali wtedy mój tato i mama Sienkiewicze oraz nasza siostra Leokadia lat ok. 30. Lodzia została, ponieważ chciała namówić do ucieczki także rodziców. Niestety, następnego dnia 12 lipca Ukraińscy mordercy napadli na naszą wieś Piński Most i wymordowali wielu Polaków, w tym moją najbliższą rodzinę." (Sławomir Roch, Wspomnienia Kazimierza i Antoniny Sidorowicz z d. Turowska ze wsi Dominopol z Wołynia, Zamość 2003 r., s. 6-10). „Moi rodzice i moja siostra zostali

zamordowani na swoim podwórku zaraz po zakończeniu żniw. W naszej koloni zginęli chyba w sierpniu 1943 r także: Okapiec Maciej lat ok. 65 i jego żona lat ok. 60 i ich syn Jan lat ok. 13 oraz dziadek Zymon lat ok. 83 i jego synowie: Adolf lat ok. 40, Stanisław lat 35 i chyba Jan lat ok. 32. Ostateczna rozprawa z mieszkańcami naszej koloni została poprzedzona w lipcu 1943 r., innym aktem terroru, który jeszcze bardziej sparaliżował miejscową społeczność Polaków. Ukraińcy jednego dnia zabrali z drogi 5 polskich mężczyzn, w tym Antoniego Bydychaja, Eugeniusza Hypśa, Adolfa Burlińskiego, Władysława Wawrynowicza oraz Antoniego Hasiaka. Następnie osądzili ich wszystkich w Gnojnie, a potem dwóch uzbrojonych wartowników ukraińskich zawiozło 5 silnych, młodych Polaków do Lasu Świnarzyńskiego i od tej pory wszelki słuch po nich zaginął. Furmanka na której ich wieziono, należała do Ukraińca, który też powoził, on to właśnie mówił później do swoich sąsiadów tak: „Jakie durne chłopy, dali się pobić tylko dwóm rezunom!" (Antoni Sienkiewicz, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl).

W kol. Poluchno pow. Horochów zamordowali około 40 Polaków, całe rodziny.

We wsi Poluchno pow. Horochów zamordowali co najmniej 49 Polaków. W jednej rodzinie zarąbali siekierą 6 dzieci w wieku poniżej 15 lat; spalili żywcem w stodole 15 osób. „Do polskiej kolonii dopadł stary dziadzio Ukrainiec, Kolonia Poluchno 7 km od Horochowa. Przyszedł ten dziadek do naszej babci Kellerowej i mówi: Haniu, ratujcie się i to zaraz, bo moich chłopców zabrali bandyci na furmanki, pojechali na Zagaje mordować, a wy ratujcie się. Mówi Ukrainiec: ja mam 75 lat, mogą mnie zaraz zabić, ale ja będę szczęśliwy, jak was uratuję. To powiedział i poszedł zbożami. Mieli przestrogę, ale to póki dali znać, to tu, to tam, kto od razu z miejsca kopnął się do ucieczki, to ten przeszedł jeszcze front, a kto poplątał się koło domu, a to schować, a to krowom dać, ci już nie zdążyli uciec i front ich połapał w podwórku, bądź też w polu. Janek Keller uciekając z żoną i dzieckiem i swoją siostrą wołał: prędzej chodźcie. A sam myśląc, że jest wojskowym, że to chodzić będzie więcej o mężczyzn niż o kobiety. Wylecieli razem za stodołę, on chłopak po 30-ce, silny, pobiegł prędko wołając: za mną, za mną, prędzej. A kobiety słabsze popadały w zbożu i nie dały rady uciec do lasu, a Janek zdążył do lasu i położył się pod krzakiem i wypatruje za żoną Kazią i córeczką Irenką i siostrą Gienią. A ich nie ma i nie ma, a tu już słyszy jak front nadchodzi z krzykiem i podając komendę do bandytów, że nie strzelać tylko rąbać siekierą, bo szkoda kul na polskie mordy. Struchlał zrozpaczony, ale cóż, nic nie zrobi bez broni, bez niczego. A one w życie usiadły ze zmęczenia i siedzą, ten front doszedł, ale ich w życie nie zauważył. Przeszli, a ci bandyci na koniach zauważyli ich. Zeszli z koni i sztyletami zakłuli Kazię, Gienię i 20-letnią panienkę, a to dziecko 7-letnie nie ruszyli. Irenka się skuliła przy mamie i Ukrainiec ją kopnął nogą, ona się nie ruszyła i powiedział do tego drugiego bandyty, że ona już nieżywa i poszli sobie dalej. Irenka cały wieczór tuliła się do mamy, bo mama jeszcze żyła, ale krwi zeszło tak dużo, że w nocy mama umarła, a Irenka tuliła się koło matki. Jak błysnął dzień Irenka woła: mamusiu, mamusiu. I mamusia się nie odzywa, poszła do cioci Gieni, ale i ta się nie odzywa, więc zabrała się i poszła do Ukraińca, którego znała, a u tego Ukraińca cały sztab bandytów stał, a wtedy akurat wyjechali na mordowanie Polaków. Ten Ukrainiec się strwożył i zapytał: gdzie tato jest? Ona odpowiedziała, że mama zabita z ciocią Gienią, a tato uciekł. O, to Ukrainiec się głęboko zafrasował, że tata uciekł, wziął tę dziewczynkę za rękę i zaprowadził ja do stodoły i zawiązał ją w kul słomy takiej młóconej cepem, prostej słomy. Zawiązał ja i powiedział: siedź tu cicho, bo tu przyjdą bandyci, jak wyjdziesz, to cię zabiją, a jak będziesz cicho siedzieć to ja cię potem zawiozę do tatusia. I na noc poszła do niej, do stodoły, jego żona i z nią między kolanami spała. Tak przechowali ci Ukraińcy małą Irenkę dwa tygodnie. Po tym czasie dał znać do Horochowa, aby Janek przyszedł na cmentarz pod miastem, że przyprowadzi mu jego córeczkę, a już trochę wcześniej dał znać do Horochowa na plebanię, że Janka Kellera córka żyje. Ale Janek na to się nie zgodził, aby spotkać się na cmentarzu, tylko przekazał, że jeżeli masz córkę to przywieź mi ją tu na podwórko plebanii. Na drugi dzień Irenkę przyprowadził Ukrainiec na podwórko plebanii i wyszła nas grupa ludzi ze zbiegowiska na przywitanie tej dziewczynki ze łzami w oczach, że to dziecko jakoś Bóg zasłonił i żywa wróciła do ojca. Poszedł front przez Poluchno, nie zdążyło dużo osób uciec, pozapędzali 4 rodziny w taka dolinę i tam pozabijali sztyletami. Zginęła tam rodzina Abramowiczów, Skawińscy oboje, Wapińscy oboje i Ostrowscy. Zabili ich, poskładali na kupę i tak leżeli 6 tygodni. Po 6 tygodniach udało nam się tam pojechać, zobaczyć, to psy pojadły dużo osób z boku, podrapały ciała zębami. Hani Abramowiczów cały pośladek zjedzony, warkocz jasnych włosów leżał koło głowy, pod sercem trzymała córeczkę swoją 5-letnią, a pani Skawińska, co wzięła chleba bochenek ze sobą, a zostali oboje zabici, to ten bochenek chleba leżał 6 tygodni na przysypanej trochę ziemią mogile i psy tego chleba nie ruszyły. Poszliśmy trochę dalej do babci Kellerowej, co tam słychać, jak wygląda babcia? Babcia, jak ten Ukrainiec dał znać, to się ubrała w swoje szaty przygotowane na śmierć i nigdzie nie mogła od domu odejść, bo z tego strachu, czy pora przyszła, wnuczka zaczęła rodzić. To babcia mówi sobie: czyżby chcieli mnie zabić? Mam 96 lat, wszystkim naokoło pępki zawiązywałam, wszystkich ratowałam w chorobach, w nieszczęściach, czy krowa nie mogła się ocielić to babcia poszła, czy klacz, czy świnia, do wszystkich rzeczy babcia była potrzebna, to gdzieżby oni mieli mnie zabić? A tu jeszcze ta Józia rozbolała się z tym porodem, to naprawdę babcia nie mogła ruszyć się z domu. Wysłała Janka, męża Józi, że uciekaj, bo to może tylko mężczyzn zabijają, a on co wyjdzie za stodołę, to znowu wraca no i doczekał się, że okrążyli i zabili babcię. Józia urodziła, a to maleństwo głową o ścianę i tak leżało na podłodze wyschnięte jak kurczątko, a drugie 2-letnie leżało na łóżku i chcieli zapalić łóżko, ale zgasło, a Józia leżała w łóżku zabita i kołek z drewna jej wbili w brzuch. Jak my to wszystko oglądaliśmy, to konie wydrapały ziemię spod siebie, tak chrapały i strzygły uszami. Bezradnie wsiedliśmy na wóz, strach nas wielki ogarnął i pędem do domu do Horochowa, bo naprawdę stracha mieliśmy okropnego." (Wspomnienia Józefy Wolf z domu Zawilskiej; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/aleksandrowka-jozefa_wolf.html).

W miasteczku Poryck pow. Włodzimierz Wołyński w następnym dniu po rzezi 11 lipca upowcy dokonali ponownego napadu mordując co najmniej 100 Polaków.

W kol. Puhaczówka należącej do wsi Sadowo pow. Łuck w nocy 12 lipca upowcy zamordowali 16 Polaków. Relacjonuje Mieczysław Fligier: „Nocą 12 lipca 1943 r. kończy się także spokój w Puhaczówce. - Mnie to uratowała życie krowa - mówi pan Mieczysław. - W bieliźnie uciekłem do żyta. Goniły mnie wystrzały. Poszedłem do sąsiadów Ukraińców, nie wszyscy oni byli źli. Dostałem od nich ubranie. Jeden dał portki, drugi koszulę i jeszcze czapeczkę na głowę." Przed podpaleniem zabudowań, Ukraińcy wypuścili na pola cały dobytek ze wszystkich we wsi, obór i chlewów. Udając pastucha, z zbłąkaną obcą krową wyrusza do Łucka. Po drodze spotyka ukraińskie patrole. Na potwierdzenie, że jest Ukraińcem nie wystarczy ukraińska mowa, sprawdzają, czy umie się przeżegnać w prawosławnym obrządku. W Łucku spotyka rodziców i całe rodzeństwo z najmłodszą sześcioletnia siostrą wyniesioną na rękach mamy w czasie nocnej obławy. Ukraińskie rzezie po sowieckich deportacjach pustoszą doszczętnie skrwawiony Wołyń. Łuna nad Puhaczówką oświetla szesnaście świeżych polskich grobów. (Paweł Bielinowicz: Chłopak spod Łucka. 13. 02. 2008; w: http://kurekmazurski.pl/chlopak-spod-lucka-2008021342138/). W. i E. Siemaszko na s. 642 wymieniają tylko jedną ofiarę: Ludwika Rutkowskiego zamordowanego i wrzuconego do studni przez upowców wiosną 1943 roku. Wieś Sadowo podają jako wieś Sadów, napad datują na 29 czerwca lub lipiec 1943 roku i wymieniają mord na kilkudziesięciu osobach (s. 642 – 643).

W kol. Pustomyty pow. Horochów zamordowali około 50 Polaków. Patrz też: „W nocy z 11 na 12 lipca 1943 roku".

We wsi Pustomyty pow. Horochów zamordowali około 40 Polaków. "Zwracam się do państwa z pytaniem czy jest możliwość zamieszczenia informacji o mordzie dokonanym na rodzinie mojego dziadka - Kazimierza Sichowskiego pochodzącego z miejscowości Pustomyty w woj. wołyńskim" (Agnieszka Wolszczak, kaysjopeja@gazeta.pl; w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl; nie zostało jednak podane czy mord miał miejsce na kolonii czy we wsi.).

W majątku Radowicze pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 2 rodziny polskie, w tym 5-miesięcznego chłopca i 3 dzieci (inni: kilka rodzin polskich).

We wsi Rudnia pow. Horochów zamordowali 141 Polaków. „Antoni Sienkiewicz opowiedział mi także, jak Ukraińscy nacjonaliści napadli wcześniej na polską wioskę Rudnia koło Kisielina i mordowali tam Polaków. To było tak: gdy wpadli do domu Leokadii Dobrowolskiej, która mieszkała tam u swego męża, jej udało się ujść z życiem. Tymczasem jej męża i całą rodzinę Dobrowolskich okrutnie zamordowano. W tym napadzie, który miał miejsce około 3 dni przed napadem na Dominopol, zginęła większość mieszkańców polskiej wsi Rudnia. Było to więc albo 08 albo 09 lipca 1943 r." (Kazimierz i Antonina Sidorowicz, w: jw.). W i E Siemaszko na s. 166 – 168 datują napad na wieś Rudnia na 12 lipca, a wśród pomordowanych 141 Polaków podają także Leokadię Dobrowolską. Już od kwietnia UPA rekwirowała tutaj żywność, miski, łyżki, ręczniki, itp. Część ofiar zabijano na miejscu stosując bestialskie tortury i gwałty, część spędzono pod kapliczkę i tam wyrżnięto za pomocą siekier, kos, noży, wideł itp. Wieś obrabowana i spalona przestała istnieć. „Gdy wyjechaliśmy z Wojnicy w odległości 2 km zobaczyliśmy straszny widok po prawej stronie szosy. Wielki pożar – pali się cała wieś Rudnia. Słychać jęki mordowanych ludzi, ryk bydła i szczekanie psów. Przerażający widok i wielki strach, bo i nasz transport mogą w każdej chwili okrążyć i wymordować. Po lewej stronie szosy, też do 2 km, wieś Róża - ten sam widok: pali się i bandyci ukraińscy mordują Polaków. Jedziemy w ciszy i wszyscy modlą się, aby szczęśliwie dojechać do miasta." (UCIECZKA Z WOŁYNIA. Wspomnienia Anieli Kuźmińskiej z domu Konsowicz, ur. 2 stycznia 1928, zm. 2 maja 2009, do 1943 roku zam. Wólka Markowicka, ostatnie zamieszkanie Brodzica k. Hrubieszowa Wspomnienia spisane własnoręcznie, opracowane przez jej siostrzeńca ks. Leszka Adamowicza – e-mail: adleszek(at)kul.pl; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/wolka_markowiecka-kuzminska_aniela.html). Wieś Róża pow. Horochów nie została wymieniona w pracy Siemaszków. Z powyższej relacji wynika, że ludność polska została wymordowana tam 12 lipca 1943 roku, a zabudowania spalone.

W kol. Smołowa pow. Włodzimierz Wołyński upowcy oraz miejscowi Ukraińcy zamordowali co najmniej 65 Polaków. W kuźni spalili żywcem około 40 osób, w tym kobiety i dzieci; przy gliniankach znaleziono 18-miesięcznego Leszka Bardygę, który ssał pierś zamordowanej matki (bliźniacza siostra Leszka, Alicja, także została zamordowana). Wargockiej będącej w ostatnim miesiącu ciąży rozpruli brzuch, aby „pomóc urodzić Lacha"; starcowi o nazwisku Prymas sąsiedzi Ukraińcy ścięli głowę kosą (Siemaszko..., s. 823). Z tej wsi zdołała uciec do wsi Dziegciów matka z dzieckiem – i tam została zamordowana. W Smołowej na początku lipca Ukrainiec, który miał odwieźć Polkę z synem lat 3 i jej siostrą lat 5 do Włodzimierza, zastrzelił ich tuż za wsią. „Miałam wtedy trzynasty rok. Moi rodzice mieszkali tam od pokoleń. My się bawiliśmy, to było wieczorem. I tak patrzę – pali się ktoś. I patrzyliśmy przez okno, wyszliśmy na dwór, a tu już blisko ogień, pali się wieś. Ale to była rzadka wieś, tak się ogień nie powinien [sam] przerzucać. Tato mówi: „Idziemy z mamą ratować dobytek (maszyna, młynek) do stodoły". I poszli do stodoły, a my, dzieci, zostaliśmy w domu. Tato chciał z mamą uciekać, ale mama się nie zgodziła. Powiedziała, że woli zginąć, niż zostawić dzieci same. Jak wyszli na podwórze, to tamci już byli. Tato ich znał. Zaczął ich prosić: „Darujcie życie, przecież my razem narabiali, gościli się, co ja wam zawinił?". Nazwisk ich nie pamiętam. Oni powiedzieli, że „Dosyć wam, Lachom, coście się na naszej zemli nażyli, krwi naszej napili!". I my przyszli do mieszkania, poklękaliśmy przy stole, mama wzięła krzyżyk do ręki, a na drugiej ręce trzymała dziewięciomiesięcznego synka Edzia. Tato zaczął prosić: „Nie żałujcie na nas kul, wystrzelajcie nas, tylko nie mordujcie!". I oni puścili serię, to mama upadła, ten krzyżyk tak trzymając w ręce, i poleciała na to dziecko – to nie wiem, czy było zabite, czy zaduszone. Wtedy zginęła mama, dwie młodsze siostry, sześcioletnia Halina i czteroletnia Krysia, i ten chłopaczek. Ta sześcioletnia skoczyła na łóżko i przykryła się, a on ją zaczął czymś bić. Ja w tym czasie z tego strachu zemdlałam. Ile leżałam, to nie wiem. Jak się ocknęłam, to pić mi się strasznie chciało, to pamiętam, że tę krew z podłogi ssałam. Oni nanieśli słomy i podpalili mieszkanie, okna już były powybijane. Podłoga zaczęła się tlić i zapadła się, ogień przygasł. Jak ja się przebudziłam, to pozalewałam ten ogień – woda była w domu. Podeszłam do mamy. Mama była martwa, a tato mówi, żebym uciekała, bo on nie da rady, bo jest ciężko ranny. Ja przez okno uciekłam do sadu, pod taki krzak jaśminu. Tu się wszędzie pali wieś, ogień wszędzie, psy wyją. A starsza o dwa lata siostra Gienia była gdzieś na sadzie, jak ją zaatakowali. Ona w tym czasie, jak przyszli, wyrzucała jakieś ubrania, zapasy z komory i tu ją musieli dopaść. Ja już po napadzie schowałam się [potem] w zbożu. W nocy nad ranem przebudziłam się, bo zrobiło się zimno. Ja miałam przestrzeloną lewą rękę, kula przeszła na wylot i lewy bok mnie bolał. Usłyszałam jęki, a to mój tato wyszedł z domu, miał wydarte mięśnie ramienia. Chciało mu się bardzo pić. Nabrałam wody, dałam ojcu. Jak wracałam, spotkałam siostrę leżącą w sadzie. Prosiła, żeby jej dać coś pod głowę i coś do przykrycia. Przyniosłam jej poduszkę i jakiś koc. Jak przyszłam w dzień koło południa, to już nie żyła. Widać jej było wnętrzności i głowa była pobita. W tym czasie ta, co miała sześć lat, jeszcze żyła, ale głowa była cała sina. Ta czteroletnia już nie żyła. W dzień [13 lipca] siedzieliśmy [z ojcem] w zbożu, ale była burza, na noc przyszliśmy do domu, spaliśmy w kuchni, a w pokoju leżeli pobici. Następny dzień [14 lipca] również spędziliśmy w zbożu, a na wieczór przyszedł szesnastoletni sąsiad Rutkowski, bo oni wszyscy wcześniej uciekli do Włodzimierza. On wrócił na swoje gospodarstwo, bo mieli zakopany kufer z odzieżą, ale już kufra nie było. Razem połapaliśmy konie, pomogłam mu zaprząc. Wsadziliśmy tatę na wóz i zaczęliśmy uciekać do Włodzimierza. To jest 12 km i przez ukraińskie wsie. Jak jechaliśmy przez las, to strzelali za nami, ale udało się przejechać. Tam [za lasem] już byli Niemcy, i Polacy czegoś szukali, jakiejś żywności. Niemcy nas zatrzymali, ale zobaczyli, jak jesteśmy pobici, to nas puścili. Na nas już czekali ciocia z mężem pochodzenia ukraińskiego, którzy mieszkali koło Włodzimierza na Białozowszczyźnie. Tatę wzięli do szpitala, gdzie leczył się przez sześć miesięcy. Za jakieś dwa miesiące pojechaliśmy [z wujkiem] z Niemcami, żeby zobaczyć to pogorzelisko. Okazało się, że bandyci drugi raz przyjechali, zaraz po naszym wyjeździe i drugi raz wszystko podpalili. Jak byśmy jeszcze trochę zostali, to z pewnością by nas też zabili. Siostra w sadzie leżała tam, gdzie umarła. Ktoś ją tylko lekko przykrył ziemią i darnią. Jak przyjechaliśmy, to pozbieraliśmy z pogorzeliska domu głowy, trochę kości i położyliśmy koło siostry. Wujek zbił taki krzyż z brzozy i tam postawił." (Relacja Leokadii Janeczko z Wargackich, spisana przez Ewę Kędrę-Załogę w 2009 r.; za: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/840-wystrzelajcie-nas-tylko-nie-mordujcie.html ; wyszukał i wstawił B. Szarwiło).

We wsi Stężarzyce pow. Włodzimierz Wołyński miejscowi bojówkarze UPA „Krwawego Potapa" uprowadzili do lasu 61-letniego ks. Karola Barana, gdzie przerżnęli go piłą w drewnianym korycie, a miejscowi Ukraińcy zamordowali 7 Polaków, w tym nauczyciela, wiążąc niektórym ręce drutem kolczastym i torturując. Do końca lipca zamordowali jeszcze 22 osoby, które przyjechały do swoich zagród po żywność.

We wsi Szelwów pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 17 Polaków, wśród ofiar był działacz Stronnictwa Ludowego Kazimierz Kolek „Socha".

We wsi Trościanie pow. Łuck w walce z UPA zginął 20-letni Polak z samoobrony w Przebrażu.

We wsi Tuliczów pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 5 rodzin polskich.

We wsi Turia pow. Włodzimierz Wołyński upowcy uprowadzili z domu lekarza, kpt. WP Jana Romanowskiego; dobrowolnie pojechała z nim żona z paromiesięcznym dzieckiem; wszyscy zostali zamordowani między wsią Turia a wsią Rewuszki. Zabili także Polkę z synem, gdy usiłowali uciec z Turii.

W majątku Twerdynie pow. Horochów zamordowali 10 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx). Wśród ofiar była rodzina zarządcy majątku Dzikowskiego: córka Stanisława, jej rodzice i bracia.

We wsi Twerdynie pow. Horochów na początku lipca: „Ukraińcy ustawili duży dębowy krzyż na usypanym wcześniej kopcu. Na uroczystości poświęcenia kopca i krzyża ku czci „odniesionego i przyszłego zwycięstwa", odprawionej przez czterech duchownych prawosławnych, w której licznie uczestniczyli upowcy, młodzież ze swym nauczycielem i okoliczna ludność ukraińska, została poświęcona broń palna, siekiery i widły itp. narzędzia, a jeden z popów agitował do wytępienia „Lachów" i komunistów" (Siemaszko..., s. 170). Bron i narzędzia posłużyły do rzezi Polaków już 12 lipca. Okaleczano, torturowano i gwałcono nawet 15-letnie dziewczęta. Zginęło co najmniej 70 Polaków.

W osadzie Ułanówka pow. Włodzimierz Wołyński upowcy z sąsiednich wsi zamordowali ponad 30 Polaków, których ciała spalili w stodole; 80-letniej Nowakowskiej wyciągniętej z domu odrąbali głowę na pieńku. Leokadia P. (ur. 1935): „Tego dnia z babcią i siostrą Teresą pasłam krowy. Babcia zauważyła z oddali pożar i powiedziała, że trzeba iść do domu i dowiedzieć się, co się dzieje. Mama w tym czasie wynosiła co najpotrzebniejsze

/rzeczy/ z domu w pole. Zabrała mnie i Teresę. Położyłyśmy się na miedzy, pomiędzy łanami żyta, i obserwowałyśmy dom. Po chwili usłyszałyśmy strzał, a mama krzyknęła: „Dzieci, uciekajcie, bo ja już jestem ranna". Podniosłyśmy się i spostrzegłyśmy stojącego w odległości kilkudziesięciu metrów mężczyznę w mundurze wojskowym i butach oficerkach. W rękach trzymał karabin i mierzył w naszym kierunku. Uciekłyśmy w żyto. Mężczyzna zaczął strzelać za nami. Usłyszałam, że babcia, ukrywająca się niedaleko, zaczęła charczeć, chyba została ranna. My dalej siedziałyśmy cicho, a kule padały obok nas. Po chwili usłyszałyśmy kroki, a potem z miejsca, gdzie leżała mama, tępy odgłos uderzenia. Domyśliłyśmy się, że ten mężczyzna dobił mamę. Potem odszedł. Zaległa cisza. Starsza siostra Krysia zaczęła krzyczeć: „Mamo, mamo!" i wybiegła na miedzę. Wybiegłyśmy za nią z Teresą, zauważyłyśmy, że mama ma rozbitą głowę. Już nie żyła. Przeczekałyśmy na polu, aż się ściemniło. Krysia zaprowadziła nas do P. /Ukraińców mieszkających w wiosce/. Po chwili /przyjechali/ Ukraińcy na koniach, zaczęli krzyczeć, żeby wszyscy wychodzili przed dom z dokumentami. Ukrainka P. powiedziała, że może ukryć tylko Krysię. Mnie i Teresę kazała zaprowadzić starszej siostrze w pole. Po jakimś czasie dwóch Ukraińców na koniach znalazło nas w życie. Prowadzili nas obok domu P. i pytali, czyje to dzieci. Nagle znalazł się nasz ojciec i krzyknął, że jego. Wtedy Ukraińcy zaczęli ojca kopać i bić. Kazali mu szybko iść przed nimi. Ojciec krzyczał, że my nie możemy nadążyć. Zaprowadzili nas na podwórko gospodarstwa N. Była tam cała banda Ukraińców z kosami, siekierami i widłami. Widziałam, jak z piwnicy Ukraińcy wywlekli babcię N. Była to staruszka ponad 80-letnia, nie chodziła, Ukraińcy wlekli ją po ziemi. Położyli jej głowę na pieńku i odrąbali siekierą. Przeraziłam się. Ojca zabrali do stajni. Jeden z Ukraińców podszedł do nas. Rozpoznałam w nim znajomego rodziców /.../. Prosiłam go, żeby nas nie zabijali. Spojrzał na nas i zwrócił się do dowódcy bandy: „Nie zabijajmy ich, kto inny je złapie, to zabije". Dowódca kazał mu zapytać nas, czy my Polki, czy Ukrainki. Odpowiedziałyśmy, że Polki. Wtedy krzyknął: „To bierz je!". Znajomy zaprowadził Teresę do stajni, a potem wrócił po mnie. Weszłam do stajni i zobaczyłam stos trupów, kilkadziesiąt zwłok. Uderzono mnie w głowę, straciłam przytomność. Ocknęłam się w chwili, kiedy stajnia zaczęła się palić. Zaczęłam krzyczeć: „Tato! Tereniu!". Ojciec nie odzywał się. Odezwała się Tereska, powiedziała, że jest przerąbana siekierą przez krzyż i nie może uciekać. Krzyczała do mnie: „Uciekaj sama, Lodziu!". Wywlokłam się na kolanach, wszystko się paliło. Podczołgałam się do ogródka i tam zasnęłam. Rano pobiegłam do P. /.../ Starsza siostra zaopiekowała się mną". (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus). Kazimierz Kobylarz (ur. w 1928 roku) 12 lipca 1943 roku zapamiętał bardzo dokładnie – miał wtedy piętnaście lat. „Zaczęła się palić okoliczna wioska Maria Wola, graniczyła z Ułanówką. Poszła tam moja siostra z koleżanką Martykówną do krawcowej przymierzyć jakieś tam kostiumy. Ale już nie wróciła. […] Uciekliśmy razem z gospodarstwa: ojciec, matka, bratanek, ja i starszy brat Tadzik i brat Staszek. Uciekliśmy na dół w zboża. Tam żeśmy się ukryli". Po pewnym czasie ojciec Kazimierza Kobylarza postanowił wrócić z matką i bratankiem do domu. Po drodze zostali zatrzymani przez Ukraińca z karabinem i ukraińskiego sąsiada Kulisza. Kazimierz wraz z braćmi podczołgali się pod niemiecki cmentarz, położony niedaleko ich domu. „Naraz słyszymy krzyk ojca: »O Jezus Maria!!!«. I chyba tak z dwa razy krzyknął i cisza. Strzału nie było. Za chwileczkę słyszymy, jakby głos ukraiński: »I dawszczob wona perekynułas'«. Coś takiego. I był strzał. O bratanku nie słyszeliśmy. Więc jak już był ten strzał i ojciec krzyknął, to my spod tego cmentarza niemieckiego czołgaliśmy się, żeby ewentualnie pomóc ojcu. W międzyczasie przechodzimy drogą, co koło Kulisza idzie. […] I słyszymy rechotanie szprych jezdnych, konnych i jedzie ich cała kawalkada. Myśmy się w tym zbożu zatrzymali od tej drogi w odległości trzech, pięciu metrów. Padliśmy, brat nakazał, żeby nawet nie oddychać głośno. Przejeżdżali i widać było, jak siedzą na furmankach, mieli karabiny, pepesze, było te lufy widać. […] jak oni przejechali, to myśmy się przez tę drogę przeczołgali i poszliśmy pod górkę na gospodarstwo. […] Brat zauważył, że ojciec leży zamordowany. […] Szukamy matki. Matka leżała przed domem, prawdopodobnie schowała się, i wyszła, kiedy usłyszała, jak krzyczał, widocznie chciała mu pomóc. No i dostała. Tu była kula [pokazuje na prawy policzek] i w tym gdzieś miejscu jej wyszła [lewą rękę unosi na wysokość lewego ucha]. Leżała na wznak. Bratanka nie znaleźliśmy, szukaliśmy go. Prawdopodobnie uciekł do zboża, miał dziewięć lat". Zagrożenie narastało, po chwili rozpoczęły się wystrzały. Kazimierz wraz z braćmi musiał ponownie uciekać. O miejscu pochówku rodziców i losie bratanka dowiedział się dopiero po latach: „Opowiadała mi Sikorska [sąsiadka], jak ściągała z Kalinowskim moich rodziców, że chowali ich tak, jak mogli: wykopali dół, włożyli w prześcieradło. I mówi: »Tego Bolusia« – mojego bratanka – »to znalazłam w zbożu. Miał postrzał w kostkę. I jak zmarł, to trzymał w ręku zboże«. Zmarł chyba z wycieńczenia, z upływu krwi". („Bery kosu, bery niż i na Lacha…"– relacje ocalałych z rzezi wołyńskiej; w: http://www.zbrodnia-wolynska.pl/swiadkowie-mowia/beru). „Po chwili zobaczyła znajomego Ukraińca, jeszcze z Izowa nad Bugiem, obecnie również zamieszkałego w Ułanówce Kulisza. Szedł drogą przez naszą kolonię i prowadził ze sobą Polaków: starego Kobylarza, jego żonę oraz ich wnuczka Bolesława lat ok. 7. /.../ Gdy tylko zeszli z głównego traktu na drogę prowadzącą do ich domu, Kulisz zdradziecko rzucił się na starego Kobylarza i począł gwałtownie wykręcać, a nawet łamać mu ręce. Potem zaczął też łamać mu nogi, gdy Kobylarz usiłował się wyrwać oprawcom, drugi Ukrainiec o nazwisku Taszak, sąsiad Kobylarza, uderzył go mocno siekierą w głowę rozcinając ją niemal na pół. Jedna połowa głowy wraz z mózgiem, padła od razu na drogę, z drugą konający Kobylarz lat ok. 75, zdołał jeszcze przebiec 14 rzędów kartofli zanim upadł na ziemię. /…/ Na dwie godziny przed napadem na naszą kolonię, oprawcy ukraińscy wymordowali prawie całą polską rodzinę o nazwisku Adwent, która mieszkała kawałek od nas, właściwie już pod samym lasem. Bandyci napadli na ich dom w samo południe, kiedy wszyscy razem jedli właśnie obiad. Niespodziewanie i gwałtownie wdarli się do domu i obstawili całą rodzinę przy stole, następnie brali po kolei od stołu i stawiali pojedynczo pod ścianą, zabijając strzałami. Najpierw wystrzelali w ten sposób 7 sióstr, a potem ich rodziców. Po rzezi, wychodząc z domu podpalili dom i zabudowania gospodarcze. Gryzący dym płonącego domu, ocucił jedną z postrzelonych sióstr, choć była strzelana pierwsza z wszystkich, cudem przeżyła te masakrę pod ciałami pozostałych, którzy strzelani padali potem na nią. Będąc ciężko ranna, resztkami sił, wygramoliła się i uciekła do lasu, który znajdował się zaraz koło ich domu." (Marian Sikorski, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl; relację spisał Sławomir Tomasz Roch).

We wsi Werchnów (Wierzchnów) pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 3-osobową rodzinę polską: Michałkiewicza i jego 2 córki do lat 8, które nadziali na bagnet i śmiali się, że to „polski samolot" (Siemaszko..., s. 824).

We wsi Wiktorówka pow. Horochów zamordowali 5 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Wojnin pow. Horochów Ukraińcy zarąbali siekierami 12 Polaków: 2 rodziny z dziećmi, małżeństwo, 24-letnią matkę z malutkim dzieckiem oraz 18-letnią dziewczynę.

We wsi Woszczutyn pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 3 Polki: matkę z córką i 35-letnią kobietę, oraz małżeństwo polsko-ukraińskie.

We wsi Wólka Sadowska pow. Horochów Ukraińcy z sąsiednich wsi zamordowali 80 Polaków. Bestialska rzeź miała miejsce w domach, w ogrodach, na podwórzach i pobliskich polach. Zwłoki były przeważnie bez odzieży, nieprawdopodobnie okaleczone i zmasakrowane, ze śladami gwałtów, tortur, cięcia nożami i kosami, kłucia bagnetami i widłami, rąbania siekierami. Trupy znajdowano w zbożu jeszcze podczas żniw, rozkładające się, nie do rozpoznania. W obejściach pełno było zwęglonych szczątków ludzi, koni, bydła, świń. M.in. „partyzanci ukraińscy' zamordowali 5-osobową rodzinę Lachiewiczów z 3 dzieci: 10-letnim Waldemarem, 9-letnią Danutą i 5-letnią Zofią - „dziewczynki miały połamane ręce, powykręcane nogi i inne ślady znęcania się". 40-letniego cieślę Mieczysława Romanowskiego oraz jego 43-letnią siostrę Marię pocięli kosą, a 43-letnią bratową Mieczysława Emilię zakłuli bagnetem. 5-osobową rodzinę Ludwika Tuńskiego z dziećmi lat 13, 9 i 3 spalili żywcem. (Siemaszko..., s. 173).

We wsi Wyrka pow. Kostopol zamordowali 2 Polaków: Felicjana Felińskiego, lat 40 i Stanisława Krasinkiewicza, lat 35.

We wsi Zagaje pow. Horochów o godz. 13-tej na parokonnych furmankach wjechało około 100 upowców z okolicznych wsi uzbrojonych w szpadle, siekiery, widły, kosy, noże, sznury oraz część w broń palną. Jeden z dowódców UPA, Iwan Żuk z Wygranki, był ze swoim 14-letnim synem. Podczas rzezi większość ofiar torturowano, okaleczano, masowo gwałcono kobiety. Dzieci były przywiązywane za rączki do drzew i rozrywane, wrzucane żywcem do studni itp. Zakopywano rannych, jeszcze żywych. Ustalono 260 ofiar. Wieś została obrabowana i spalona, włącznie z kaplicą. „Był poniedziałek – 12 lipca 1943 roku. Z samego rana gruchnęła wieść, że dzień wcześniej w Porycku oraz Kisielinie wymordowano wszystkich Polaków, w tym wiernych zgromadzonych w kościołach, na niedzielnych nabożeństwach. Zrobiło się bardzo nerwowo, powszechnie przeczuwano nadchodzącą tragedię. W większości domów naradzano się co robić dalej, co począć. Około południa do wioski zaczęły wjeżdżać wozy, na których siedzieli, ubrani po cywilnemu, uzbrojeni Ukraińcy. Gdzieniegdzie pocieszano się jeszcze i uspokajano, że oni tylko przejeżdżają przez Zagaje. Niestety, mylono się. Wkrótce bowiem rozległy się strzały, a na obu krańcach wsi podpalono domy. Jak się miało okazać osada została okrążona przez Ukraińców z sąsiednich miejscowości. W pierwszej linii szli chłopi uzbrojeni w szpadle i siekiery. W drugiej linii posuwali się do przodu zbrojni w kosy, widły i noże. Trzecią linię tworzyli jeźdźcy na koniach, trzymając karabiny gotowe do strzału. Pierwsza i druga linia mordowała w straszny sposób. Jeżeli komukolwiek udało się przedrzeć, na trzeciej trafiały go kule lub dopędzony przez jeźdźca ginął uduszony sznurem. O okrucieństwie napastników niech świadczy fakt, że jednemu z mieszkańców wioski, który pasł konie, po złapaniu wycięto język i wykłuto oczy, a potem szyderczo pytano, czy wie, kto to zrobił. Ukraińscy zbrodniarze zostawili go w kałuży krwi, by konał w męczarniach i odjechali. Mieszkańcy wioski wpadli w panikę i zaczęli uciekać gdzie bądź. W tym czasie Jadwiga Bracław wraz z mężem Józefem kręcili na podwórzu powrozy, zaś dzieci (Miecio – 6 lat i Kazia – 2 latka) przebywały w domu Szubertów. Zorientowawszy się co się dzieje, również przedostali się do domu Szubertów, gdzie ukryli się w piwicznym schowku. Wcześniej Jadwiga próbowała ratować swoich teściów Władysława Bracława i jego żonę Zofię (z d. Szubert), namawiając ich, by i oni ukryli się w piwnicy u sąsiadów. Władysław Bracław oświadczył jednak stanowczo, iż nigdy nie zrobił nikomu nic złego, nikomu nie wyrządził krzywdy, w związku z czym nie ma najmniejszego powodu do lęku i jest spokojny o swój i żony los. Oboje zostali bestialsko zamordowani i pochowani (przysypani cienką warstewką piasku) we własnym obejściu. Tymczasem w piwnicy Szubertów schroniło się grubo ponad 30 osób. Pech chciał, że wśród napastników był czeladnik stolarski, niejaki Miszka, który wcześniej pracował u Stanisława Szuberta, i między innymi pomagał kopać oraz budować ów piwniczny schowek. Bandyta ten, doskonale zorientowany w rozkładzie domu Szubertów, podniósł wieko przykrywające wejście, a kiedy wpadające do piwnicy światło zwabiło czteroletniego chłopczyka, który jako pierwszy wszedł na szczebel drabiny, zastrzelił go z zimną krwią. Zgromadzeni w piwnicy ludzie wpadli w popłoch i, panicznie walcząc o życie, zaczęli wydostawać się na zewnątrz przez malutkie okienko, służące do wsypywania ziemniaków. Wszyscy oni zginęli od kos, noży, wideł i siekier lub od kul bandytów z UPA. W piwnicy pozostało zaledwie osiem osób. Mordercy, będąc pewni, że wszyscy przebywający w lochu uciekli, oddali kilka strzałów w jego głąb, po czym oddalili się, by kontynuować swój zbrodniczy proceder. Napad trwał ok. 3 godzin. Przez cały ten czas schowani w piwnicy domu Szubertów słyszeli błagania i jęki mordowanych, kłótnie morderców podczas rabunku mienia Polaków (zasada była prosta: kto najwięcej ludzi wymordował, ten najwięcej ich rzeczy zabierał), pospieszne grzebanie ofiar we wspólnym dole, pijackie przechwałki, kto i w jaki sposób zabił najwięcej Polaków oraz podpalanie domów, chlewów i stodół. Wiele z tych głosów należało do znajomych, niekiedy nawet zaprzyjaźnionych, Ukraińców. Po wielu godzinach dręczącej niepewności, głęboką nocą, korzystając z faktu, iż rozpętała się burza, ukryci w piwnicy postanowili opuścić swój azyl i, poprzez ogród, przedostać się w pobliską pszenicę i konopie. Jako pierwsi wyszli Stanisław Szubert z zięciem Jankiem Bracławem. Po nich, w chwilowym zamieszaniu, z kryjówki wyszedł 6-letni Miecio Bracław. Jako następni piwnicę opuścili kolejni mężczyźni, wśród nich Józef Bracław – mąż Jadwigi, ojciec Mieczysława. Jadwiga Bracław z dwuletnią córeczką Kazią opuściły kryjówkę jako ostatnie. Wszyscy, po kolei, przedostawali się w pobliskie zboże, gdzie niestety pogubili się. Wędrując polami, często na kolanach lub nawet czołgając się, nieustannie uważając na ukraińskie patrole, które z lubością mordowały uciekających Polaków, po wielu perypetiach, matka z córeczką doszły do oddalonego o 15 km Stojanowa. Stamtąd, po mniej więcej tygodniowym pobycie, Jadwiga z Kazią przedostały się do Lwowa, gdzie czekał już na nie Józef Bracław. Niestety, Miecia nigdzie nie było. /.../ Kiedy więc we wrześniu 1943 roku w Zagajach i okolicznych miejscowościach pojawiło się wojsko niemieckie, czworo uciekinierów – wśród nich Jadwiga Bracław – postanowiło wrócić do rodzinnej wioski i rozejrzeć się. Krajobraz po bitwie, a właściwie – nazywając rzecz po imieniu – po ludobójstwie. 12 lipca 1943 roku, w przeciągu kilku zaledwie godzin, banderowcy, w niezwykle okrutny sposób, wymordowali ok. 260 mieszkańców wsi Zagaje. Między innymi zginęło 19 osób z rodziny Ziemiańskich (najmłodsza Albina miała 2 latka, najstarsza Zofia – 83), 16 Bracławów (wśród nich siedmiomiesięczny Józio!) i aż 58 Szubertów (w tym zaledwie trzydniowy noworodek!!!) Wioska zmieniła się nie do poznania. Po kwitnącej osadzie zostały tylko ruiny i zgliszcza, wielkie pogorzelisko, morze krwi i łez, jeden ogromny cmentarz! Wszystkie studnie zapełnione były ciałami dzieci (zgodnie z logiką upowskich bandytów na dziecko szkoda było kuli!). Część ofiar została pochowana w masowym dole za stodołą Szubertów, niektóre ciała leżały tam, gdzie pozostawili je mordercy, przykryte jedynie cienką warstwą piachu, szczątki jeszcze innych zostały rozwleczone przez wygłodniałe psy. Najbardziej bolesna była identyfikacja ciał najbliższych krewnych. Ziemiański rozpoznał w studni sąsiadów dwie swoje córeczki po... sukienkach. Paradoksem było, że 19 młodych mieszkańców Zagajów przeżyło wojnę tylko dzięki temu, iż zostali wywiezieni na roboty do Niemiec. Wypędzeni mieszkańcy połapali pasące się gęsi i konie, zabrali resztki żywności oraz dobytku, wymłócili trochę zboża, po czym załadowali to wszystko na wozy i zawieźli do Stojanowa, a stamtąd dalej, do Lwowa. Ciała swojego synka Miecia Jadwiga Bracław nie znalazła. Z jednej strony fakt ten nieco ją uspokoił, z drugiej jednak niepokoił i przeraźliwie dręczył, no bo skoro nie zabili go bandyci spod znaku UPA, to gdzie się właściwie ukochany synek podział?! Wtedy Jadwiga Bracław jeszcze nie wiedziała, że myśl ta będzie prześladować ją do końca życia." (Zbyszek Beling: Rzeź wołyńska. Zagaje – historia prawdziwa;16 grudzień 2013; w: http://www.piastowskakorona.pl/news.php?readmore=602). „Nagle rozległy się ze wszystkich stron strzały, na furmankach nikogo już nie było, ludzie zaczęli krzyczeć. Na podwórze wbiegł mój ojciec, krzyknął do mamy „Uciekaj za mną z dziećmi" (było nas pięcioro rodzeństwa). Ja zaczęłam biec za ojcem w pole, nie wiedząc, że mama z rodzeństwem została na podwórzu. Ojciec po przebiegnięciu z dwieście metrów zawrócił i wziął mnie na ręce, mówiąc „Nie możemy biec dalej, bo wioska jest okrążona przez Ukraińców uzbrojonych w widły, kosy i łopaty". Weszliśmy w zboże, które nie było na szczęście jeszcze skoszone, dało ono schronienie kilkunastu osobom. W zbożu siedzieliśmy do zmroku, słyszeliśmy krzyki, jęki, strzelaninę, wioska częściowo płonęła. Pod osłoną nocy, ojciec wziął mnie na ręce, wyszliśmy ze zboża i szliśmy w kierunku Stojanowa [pow. Radziechów, woj. tarnopolskie], 10 km od naszej wioski. Szliśmy tylko polami, bo po drogach jeździli Ukraińcy na koniach lub furmankami. Do Stojanowa weszliśmy skoro świt, tam już czuliśmy się bezpieczni. Byłam cała mokra od rosy, a nogi, bose, miałam strasznie pokaleczone. Weszliśmy na drogę i ojciec powiedział „Zostaliśmy sami, wszyscy nie żyją" i bardzo się rozpłakał, ja również przez całą drogę płakałam. Pierwsze kroki ojciec skierował do kościoła, na plebanię, obudził księdza, opowiedział, co się stało. Ksiądz narzucił na siebie płaszcz, wszedł na dzwonnicę i zaczął bić w dzwony, zaczęli się zbiegać ludzie, pytając, co się stało. Ksiądz oznajmił, że w Zagajach banderowcy wszystkich wymordowali. Prosił ludzi by weszli do kościoła, bo będzie odprawiał nabożeństwo za pomordowanych. Wszyscy weszli do kościoła i my również z nimi, ja ciągle płakałam, bo było mi zimno, byłam cała mokra i miałam bardzo pokaleczone nogi. Podeszła do mnie jakaś kobieta i okryła mnie dużą chustką. Jak się trochę ogrzałam, to zasnęłam. Nie pamiętam, kiedy mnie wynieśli z kościoła, obudziłam się będąc w łóżku, przebrana i sucha. Było już chyba koło południa, wyszłam na ulicę i zobaczyłam mojego ojca. Stał z mężem kuzynki Antonim Szubertem, który też sam uciekł, kuzynka została zamordowana. Dwie swoje córki odnalazł po dwóch tygodniach we Lwowie, uciekły z ciocią i babcią. Po pewnym czasie zaczęli nadchodzić inni niedobitkowie, przyszła pani Pikotowska z trzema synami i malutkim czteroletnim synkiem swojego brata Zygmunta Madury. Oboje rodzice małego zostali zamordowani, pani Pikotowskiej rodzice i dziewiętnastoletnia

córka Weronika, również została zamordowana. Powstał wielki płacz, gdzie iść i co robić? Po trzech dniach, my z ojcem wyjechaliśmy do Lwowa, a dokładnie do Sichowa [wieś i majątek, gm. Sichów, pow. Lwów] koło Lwowa. Tam mieszkał młody chłopiec z rodzicami, miał na imię Mietek, on u nas nocował, jak przychodził do Zagaj po żywność. Po dwóch tygodniach we Lwowie ojciec odnalazł swojego brata Stanisława Ziemiańskiego z żoną i synem, siostrę Katarzynę Szubert z mężem i jednym synem, bo drugi był wywieziony na roboty do Niemiec w 1942 r. Ze strony mamy z całej rodziny nikt się nie uratował, wszyscy zginęli. Po dwóch miesiącach mój ojciec ze swoim bratem i szwagrem oraz jeszcze paru mężczyzn, pojechali do Horochowa, a stamtąd do Zagaj. To co zapamiętałam, jak opowiadał ojciec, to było straszne – wioska częściowo była spalona, studnie wszystkie zapełnione dziećmi, moje dwie siostry były wrzucone do studni u sąsiadów, ojciec poznał je po sukienkach. /.../ Po 51 latach stanęłam ponownie na mojej rodzinnej ziemi. Uciekałam jako 8-letnie dziecko, a wróciłam 59-letnią kobietą, zmęczoną życiem, strasznymi przeżyciami i nieszczęściami. Z mojej wsi Zagaje nic nie pozostało, po jednej stronie drogi rosły buraki, a po drugiej – skoszona trawa. Była to wioska z pięknymi sadami, 50 gospodarstw zniknęło. Na ten widok dostałam szoku, szłam tą drogą, zapalałam znicze co kilka metrów po jednej i po drugiej stronie, krzyczałam z rozpaczy i bólu, dlaczego to się stało? i za co takie okrucieństwo? co winne te dzieci, kobiety, starcy? /.../ Ukraino, oskarżam cię o ludobójstwo, nigdy nie będziesz szczęśliwym narodem, z tą hańbą będziesz żyć na wieki" (Stanisława Mogielnicka z d. Ziemiańska; w: Siemaszko..., s. 1125). „Gdzie kto mógł to przyjmował do siebie i wspomagał, czym kto mógł, tych parę osób z Poluchna, a z Zagaj uciekali do Druszkopola do placówki niemieckiej, a stamtąd do Lwowa, kto tylko uciekł żywy. Napadli ich w biały dzień, całą noc wartowali się, a Ukraińcy ich wypatrzyli, że w dzień, to każdy zarobiony jest, to kosi, to w polu przy ziemniakach, to przy sianie. I tym całym frontem napadli w dzień o 12, a jak to w gospodarstwie, to krowy doją, to chleb pieką, to piorą. Ci śpią, co w nocy wartowali i tak zastali ich prawie bezbronnych. Kto zdążył chwycić za broń to odstrzeliwał się dobiegając do szkoły, bo tylko jedna szkoła była murowana, a ta reszta 120 budynków pod słomą, część pod blachą. Bandyci zaczęli mordować, palić, kto mógł, to do szkoły doleciał a tam było dwóch nauczycieli z rodzinami. Mieli broni dużo, ale na tyle, żeby obronić się to zabrakło. Siekli oni z tego murowanego budynku, ale cóż, jak się do nich dostali, to nikt żywy nie uciekł i taka liczba ludzi z Zagaj wyszła, że kto był w polu, to się uratował od strony lasu. Jak opowiadał Dominik Brocłow, że oni z żoną byli przy sianie jak posłyszeli strzały to od razu uciekli do lasu, a czworo dzieci w domu było i Ukraińcy zamordowali. Nikt nie spodziewał się, że taką niewinną krwią dzieci będą zdobywać Ukrainę. Siedzieli w lesie przez dzień, a w nocy do Druszkopola doszli i tam stała placówka niemiecka i ich przywiozła do Horochowa. Z Zagaj z 360 osób to 40 uratowało się, a reszta zginęła w strasznych mękach. Siekierami ukraińskimi rąbani byli ludzie na kawałki, a małe dzieciątka to za nogi i o ścianę, aż mózg wytrysnął, w taki okropny sposób mordowali. Jedni państwo mieli akurat malutkie bliźniaczki, jak weszli bandyci to mówią, że jednym rady nie mogą dać, a tu po dwoje jeszcze rodzą i za nóżki i o ścianę główką, aż główka pękła. Tak bestialsko mordowali na oczach żony męża i dzieci, a na końcu ją zgwałcili i zamordowali." (Wspomnienia Józefy Wolf z domu Zawilskiej. Opracowanie komputerowe - córka Gabriela Sadzińska, Ciechocinek 2012; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/aleksandrowka-jozefa_wolf.html). We wsi znajdowała się kaplica z 1910 roku należąca do parafii Drużkopol. Została ona zaatakowana przez upowców podczas nabożeństwa a następnie spalona. Liczba Polaków zamordowanych w kaplicy nie została ustalona (za: www.wikipedia.org/w/index.hp?title=Wikipedystka:Loraine/brudnopis4&oldid=24260048).

Mordu w kaplicy nie odnotowali W. i E. Siemaszko.

We wsi Zahorów Stary pow. Horochów Ukraińcy zamordowali ponad 70 Polaków, kilkanaście rodzin.

We wsi Zajęczyce pow. Horochów wyrąbali siekierami kilka rodzin polskich, około 25 osób.

W kolonii Zapust pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków. Wiadomo o 33 ofiarach /liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.). „Zobaczyłam, że poszli wszyscy za stodołę. Tam zobaczyliśmy widok nie do opowiedzenia. Był to poniedziałek 12 lipca 1943 roku. Palą się gospodarstwa polskie w kolonii o nazwie Zapust. Od naszej Wólki było to półtora kilometra. Pomiędzy Zapustem, a naszą wioską była mała wioska Krzemieniec – tam mieszkali Ukraińcy – tam była cisza. Najpierw myśleliśmy, że ogień jest przenoszony przez wiatr, ale po małej chwili zobaczyliśmy, że zapalają się zabudowania pod wiatr i słychać krzyk ludzi, ryk bydła i okropne szczekanie psów, do tego pojedyncze strzały. Tato i stryj powiedzieli jednocześnie: „Mordują Polaków, co robić, za parę minut przyjdą nas mordować. Chodźmy do pana Kowalczuka - tam się czegoś dowiemy". Izydor Kowalczuk był Ukraińcem, ale to człowiek bardzo mądry, wykształcony, bogaty, więcej przebywał z Polakami. Z Ukraińcami nie miał żadnego towarzystwa. Był przed wojną 1939 roku wójtem w naszej gminie Chorów. Kiedy zobaczył na swoim podwórku Ojca i Stryja, z przerażeniem powiedział: „Panowie Konsowicze, uciekajcie, ładujcie na wozy co możecie, najpotrzebniejsze rzeczy i uciekajcie. Banda banderowców morduje wszystkich bez wyjątku. Ja też wyjeżdżam." Mieszkał on w wiosce ukraińskiej, ale pierwsze zabudowania od naszej wioski dzieliła tylko droga, łatwo było do niego dojść. Jak Ojciec i Stryj wracali z powrotem, wszystkim sąsiadom mówili, że wyjeżdżamy. Zaczęliśmy ładować na wozy. Mieliśmy dwa wozy, trzy konie i dwa źrebaki 6-miesięczne, trzy krowy i roczną jałówkę, świnie, owce, kury, psy. Wszystko to zostało bez opieki. Zapas zboża – niewiele brakowało do stu kwintali, wszystkie narzędzia rolnicze: żniwiarka, młockarnia, wialnie do zboża, saszki do ciężaru, meble, naczynia – wszystko to zabrali Ukraińcy. /.../ Cała wieś, wszystkie wozy stały na drodze gotowe do odjazdu. Wartownicy zobaczyli, że ktoś biegnie od tej strony, gdzie się pali. Myśleli, że to bandyci. Po paru minutach zorientowali się, że to ktoś ucieka. I rzeczywiście, był to młody chłopak, 18 lat, Tadeusz Kicki. Bandyci zamordowali jego rodziców i siostrę. On ukrył się w zbożu, biegnąc do naszej wioski zwichnął nogę i tak o kiju jakoś do nas doszedł. Mama jeszcze raz weszła do mieszkania, zdjęła Krzyż ze ściany, wyszła na drogę, przeżegnała Krzyżem cały transport, usiadła na wóz i ruszyliśmy w drogę." (Ucieczka z Wołynia ; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/wolka_markowiecka-kuzminska_aniela.html . Wspomnienia Anieli Kuźmińskiej z domu Konsowicz, ur. 2 stycznia 1928, zm. 2 maja 2009, do 1943 roku zam. Wólka Markowicka, ostatnie zamieszkanie Brodzica k. Hrubieszowa. Wspomnienia spisane własnoręcznie, opracowane przez jej siostrzeńca ks. Leszka Adamowicza – e-mail: adleszek(at)kul.pl). „Z Zapustu uciekli wszyscy Polacy za wyjątkiem Mariana i Stefanii Kuźmińskich, mających sześcioro dzieci, z których najstarsze miało 13 lat. Na noc dzieci prowadzili do znajomych Ukraińców, a sami spali w zbożu. Gdy rano poszli po dzieci, w domu Ukraińców nie zastali nikogo, ani ich, ani dzieci. Najprawdopodobniej ktoś doniósł, że Ukraińcy ukrywają polskie dzieci i wraz z nimi zostali zamordowani. Najprawdopodobniej wywieziono ich pod kościół w Kisielinie i tam zamordowano. Była to bardzo częsta praktyka stosowana wtedy przez bandziorów z UPA, którzy pewnie nie mogli ścierpieć, że w Kisielińskiej świątyni nie udało im się wymordować wszystkich Polaków, a ich część obroniła się w plebanii. Kuźmińscy, jak nie znaleźli swoich dzieci, to przyszli do Zaturzec. Rwali sobie włosy z głowy". (Roman Witwicki: By nasz ból nie umarł razem z nami. W: Marek A. Koprowski: „Wołyń. Epopeja polskich losów 1939 – 2013. Akt III.". Warszawa 2013, s. 376). W. i E. Siemaszko na s. 149 podają, że w kol. Zapust w lipcu 1943 roku upowcy zarąbali siekierami Wacławę Markowską, lat 35, żonę kowala Józefa i ich dwoje dzieci w wieku przedszkolnym. Markowski uratował się, podwiesiwszy się na belkach stropowych piwnicy, dzięki czemu nie został zauważony przez morderców.

We wsi Zaszczytów pow. Horochów zamordowali 4 Polaków.

W kol. Złoczowiecka pow. Dubno zamordowali po torturach 15 Polaków. Ukraińcy z sąsiedniej wsi Złoczówka podpalili polskie zagrody. Uciekających Polaków chwytali i torturowali, ucinając różne części ciała, pozbawiając oczu, a potem okaleczonych wrzucali do płonących domów, m.in. 5-osobową rodzinę Klimowiczów z 2 synami i córką. Krzykom mordowanych towarzyszyło bicie w bębny, dźwięki piszczałek i skrzypiec, na których grali przyglądający się ukraińscy chłopi.

We wsi Złoczówka pow. Dubno zamordowali 38 Polaków (w tym całe rodziny), który po ucieczce po rzezi w maju, wrócili po żywność oraz 1 Ukraińca.

We wsi Żurawiec pow. Horochów upowcy od maja rekwirują żywność. 12 lipca 8 Polaków wywieźli do lasu, rozebrali do naga i wymordowali, w tym dwoje małych dzieci. W następnych dniach dokonują kolejnych morderstw.

Przed 13 lipcem:

Na drodze między wsiami Maślanka i Użyniec pow. Dubno upowcy zamordowali 2 Polki: matkę z córką.

W nocy z 12 na 13 lipca:

We wsi Dominopol pow. Włodzimierz Wołyński upowcy wyłapali kilkudziesięciu uciekających z tej wsi i wsi okolicznych Polaków przywożąc ich z lewego brzegu rzeki Turia i tutaj wymordowali. „Noc z 12 na 13 lipca ja i mój brat Kazimierz spędziliśmy w zbożu, w wysokim życie, które w tym roku wyjątkowo pięknie obrodziło. W środku nocy, znowu posłyszeliśmy jadących w stronę Dominopola, tym razem na własne oczy zobaczyłem ludzi wiezionych w stronę wybitej wsi. Tym razem to była bardzo znana i lubiana w naszych stronach grupa polskich muzykantów, którzy w większości wywodzili się z jednej rodziny polskiej, o nazwisku Struś. Ukraińcy gdzieś ich dorwali, wsadzili na furmankę i kazali sobie grać po drodze do Lasu Świnarzyńskiego. Od tej chwili wszelki słuch po nich zaginął, jestem prawie pewien, że zostali skrytobójczo i okrutnie zamordowani, może nawet jeszcze tej samej nocy (Antoni Sienkiewicz, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl).

W kol. Zofiówka pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 7 Polaków, którzy nie wyjechali stąd wcześniej. w tym ojca z 16-letnią córką a jego teściów spalili w stodole.

13 lipca:

W kol. Czestny Krest pow. Włodzimierz Wołyński upowcy siekierami i innymi narzędziami zamordowali co najmniej 16 Polaków.

W kol. Dmitrówka pow. Horochów zamordowali co najmniej 6 Polaków, w tym 5-osobową rodzinę: Józefa Figurę z córkami lat 18 i 20 oraz jego rodziców. Losy pozostałych Polaków nie są znane, kolonia została spalona.

W kolonii Fundum pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali kilka rodzin polskich

W osadzie Fundum pow. Włodzimierz Wołyński wymordowali osadników polskich, których Sowieci nie deportowali na Sybir, znana jest imiennie tylko 3-osobowa rodzina Jana i Amelii Sokół z synem Zbigniewem, która została zamordowana i spalona.

W kol. Horochówka pow. Horochów w drugim dniu napadów Ukraińcy zamordowali około 20 Polaków, głownie starców i dzieci.

W kol. Jasionówka pow. Horochów w drugim dniu napadów zamordowali kilku Polaków.

W kol. Józefin pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali ponad 20 Polaków, którzy nie uciekli wcześniej, od 2-miesięcznej dziewczynki po starców. Franciszka B.-Dz. (ur. 1921): „W Józefinie mieszkaliśmy z mężem, trojgiem dzieci: Halinką (4 lata), Henią (2 lata) i urodzoną w maju 1943 Aldoną. Mieszkała także z nami teściowa Maria N. (70 lat). W lipcu 1943 postanowiłam odwiedzić swojego ojca w Kalinówce; matka już nie żyła. W niedzielę nie pojechaliśmy, bo bardzo padało. W poniedziałek powiedziałam mężowi, że po takim deszczu nie pójdzie w pole i żeby pojechać do ojca. Wzięłam opiekunkę do dzieci i pojechaliśmy. Przez całą drogę, około 20 kilometrów, wszystkie miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy, wyglądały na wymarłe, nie widzieliśmy żadnych ludzi. Dojechaliśmy do Bielina, gdzie mieszkała moja najstarsza siostra Maria K., podjechaliśmy pod jej dom. Wybiegła do nas, powiedziała, że całe szczęście, że nie przyjechaliśmy dzień wcześniej, bo wczoraj Bielin został napadnięty przez Ukraińców /.../ Wszystkie polskie domy zostały obstawione. Gdy po jakimś czasie Ukraińcy odstąpili, okazało się, że tego dnia nikogo nie zabili, ale obrabowali prawie całą wieś. Przyjechali wozami i brali, co im się podobało. Gdy zabrakło im wozów, zmusili część polskich gospodarzy, aby swoimi wozami przewieźli im zrabowane rzeczy. /…/ Postanowiliśmy z mężem wracać do domu. W mijanych miejscowościach, jak poprzednio, ani żywej duszy. Dopiero jakiś kilometr od domu zobaczyliśmy furmankę. Na wozie jechali Ukraińcy, chłop z przodu, kobieta z tyłu. Jednocześnie dostrzegliśmy łunę nad Józefinem i straszny pożar dalej na widnokręgu. Mąż zapytał Ukraińca, co się tak pali. Chłop opuścił głowę i nie odezwał się, natomiast kobieta złożyła ręce i powiedziała: „Oj, bida, panoczku" - i pojechali. Przyjechaliśmy na podwórko. Akurat był tam brat męża Franciszek. Pokazał na łunę i powiedział, że tam już płoną polskie wsie. /…/ Stwierdził, że może tej nocy jeszcze do nas nie dojdą, ale trzeba wystawić wartę. Mąż z bratem umówili się, że będą pilnować w nocy, a kobiety i dzieci będą spać. Brat poszedł do domu. Po kolacji położyłam dzieci spać, a mąż wyszedł na podwórko pilnować. Nad ranem przyszedł do mieszkania, usiadł przy stole, zapalił papierosa i stwierdził, że robi się dzień, to już chyba nic nie będzie. Rozbudziłam się, zaczęliśmy rozmawiać. Nagle otworzyły się drzwi i do domu wpadło kilku Ukraińców. Któryś krzyknął: „Najsampierw gospodarza". Chwycili męża, wykręcili mu ręce i dwóch zabrało go na dwór. Dwóch innych podeszło do teściowej, która leżała na łóżku. Uderzyli ją kolbą i wywlekli na dwór. Przy mnie został jeden chłopak, około dwudziestoletni [...]. Zaczęliśmy rozmawiać po polsku, był grzeczny. Powiedział, żebym prędzej wychodziła z dziećmi. Zaczęłam je ubierać. Widząc, że nie daję rady, krzyknął do swoich, aby przyprowadzili teściową. Teściowa wzięła Henię, ja najmłodszą córkę okręciłam w becik i wzięłam na lewą rękę, a Halinkę wzięłam za rączkę. Halinka kucnęła i nie chciała iść. Powiedziałam jej: „Chodź, bo tam został tatuś". Na zewnątrz zobaczyłam męża, odwróconego twarzą do ściany domu. Przy nim stał Ukrainiec /.../ i trzymał wycelowaną pepeszę. Gdy wyszłyśmy, uwolnił męża, który podszedł do nas i wziął Halinkę na ręce. Wtedy spostrzegłam, że Ukraińców jest kilku. Byli po cywilnemu, nie mieli mundurów ani widocznych oznaczeń wojskowych. Część przeszukiwała budynki. Domyślam się, że od razu chcieli nas wymordować, tylko nie wiedzieli gdzie. Mieszkania, stodoły i stajni było im szkoda. Po chwili jeden, który buszował po gospodarstwie, wskazując na szopę, powiedział: „Tam nie ma niczego". Zaczęli nas popychać do szopy. Spieszyli się, byli nerwowi, ponieważ wstawał już dzień. W szopie znajdowała się pryzma cegieł. Przed wojną planowaliśmy wybudować cegielnię. Stanęliśmy przy tej ścianie z cegieł, po mojej prawej stronie mąż, po drugiej teściowa. Do tej chwili byłam przekonana, że Ukraińcy chcą tylko przeprowadzić u nas rewizję, teraz zrozumiałam, że to koniec. W ostatniej sekundzie pomyślałam, że dowiem się, jak jest na tamtym świecie i zobaczyłam, że ów grzeczny młody Ukrainiec, który stał przy mnie w domu, wycelował do nas z pepeszy i zaczął strzelać. Mąż zginął chyba od razu, razem z Halinką. Ja trzymałam dziecko na lewej ręce. Kula przeszyła mi rękę jakieś 15 centymetrów od nadgarstka. /.../ Pocisk, który przebił rękę, spowodował znacznie większą ranę w miejscu wylotu niż wlotu. Następnie prawdopodobnie przebił ciało mojej córeczki, po czym powierzchownie rozerwał mi mięsień nad prawą piersią. Musiałam zemdleć po strzale. Gdy się ocknęłam, zupełnie nie pamiętałam, co się wydarzyło, zobaczyłam tylko ogień. Szopa płonęła. /.../ Na czworakach zaczęłam przesuwać się dalej od ognia. Szopa była nieszczelna i znalazłam otwór, przez który wydostałam się do ogrodu. Nie miałam orientacji, co robię. Wpadłam w wielki dół, w którym trzymaliśmy w zimie wytłoki dla inwentarza. W dole uświadomiłam sobie, że coś miałam na ręku, po chwili dotarło do mnie, że trzymałam córkę. Błyskawicznie wszystko mi się przypomniało i w tej chwili z ręki wytrysnęła mi krew. Obcisnęłam sobie ranę narzutką. Pomyślałam, że jeżeli moje dzieci żyją, będą piszczeć, ale szopa spaliła się, a ja żadnych dźwięków nie usłyszałam. /…/ Usłyszałam rozmowę na podwórku; myślałam, że wrócili bandyci, ale rozpoznałam głos sąsiada P. Na nasze podwórko zaczęli schodzić się nieliczni ocaleni. Poprosiłam ludzi o odszukanie w zgliszczach zwłok moich bliskich. Teściowa, mąż i najmłodsze dziecko byli zupełnie spaleni. Z dwumiesięcznej Aldonki znaleźliśmy tyle ciałka, co na mojej dłoni. Starsze dziewczynki były calutkie, miały nie spalone włosy, skórę. Widziałam miejsca, gdzie zostały postrzelone — średnia w buzię, a Halinka, już nie pamiętam, pamiętam tylko, że z buzi wystawał jej języczek. Zwłoki ułożyliśmy w skrzyni ze spiżarni, a skrzynię postawiliśmy w ogrodzie. P. zaprzągł nasze konie - chciał uciekać z rodziną i wziąć mnie. Weszłam jeszcze do domu, gdzie w otwartej szafie zobaczyłam ubranka dzieci. Nie byłam w stanie niczego zabrać. /…/ Tej nocy Ukraińcy wymordowali prawie całą polską ludność Józefina i przylegającego do niego Fundumu. Zostały tylko niedobitki, jak ja. /…/ Ukraińcy, gdy nie zdołali zabić gospodarzy, palili ich budynki, natomiast gdy zabili całą rodzinę, nie podpalali, gdyż planowali, że to będzie ich. Naszego gospodarstwa, oprócz szopy, nie spalili." (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus)

We wsi Koniuchy pow. Horochów został podstępnie wywołany z domu i zamordowany przez banderowców gajowy Paweł Wagner ur. 1905 r. Pracował w lasach Tadeusza hr. Czackiego. Przed pogromem UPA schronił się u rodziny we wsi lub w majątku Białopol pow. Horo-

chów. Pochowany w Koniuchach. (Edward Orłowski..., jw.).

W kol. Ludwikówka pow. Dubno Ukraińcy nie mogąc zniszczyć tej polskiej kolonii donieśli Niemcom, że są tu Żydzi i partyzanci sowieccy, w wyniku czego nastąpiła pacyfikacja kolonii z udziałem Niemców (SS i własowcy) i policji ukraińskiej, w której zginęło 172 Polaków, w tym 75 chłopców i mężczyzn spalonych żywcem. „Proszę o zgłoszenie do listy ofiar egzekucji w kolonii Ludwikówka 13.07.1943 brata mojej mamy - Feliksa Kucharskiego, mieszkańca miejscowości Młynów, powiat Dubno. W chwili śmierci miał on 26 lat. W dniu pacyfikacji przyjechał do Ludwikówki wozem konnym, wysłany tam w celu przewiezienia robotników z Młynowa do Ludwikówki na polecenie niemieckiego gospodarza, u którego był zmuszony pracować. Na miejscu trwało już spędzanie ofiar, Mimo iż wujek posiadał dokumenty stwierdzające tożsamość, nie pozwolono mu odjechać, uznając za prawdę słowa nieznanego nam z nazwiska Ukraińca, który utrzymywał, iż Feliks jest inną osobą, i wskazał przypadkowego człowieka. Wujek zamordowany został 13 lipca 1943 r. wraz z innymi ofiarami i spalony w stodole. Do Młynowa zamiast Feliksa Kucharskiego powrócił wozem inny człowiek. Ktoś z Ludwikówki przypadkowo przeżył. Rodzina Feliksa - ojciec, matka i siostra rozpoznali konie oraz wóz. Podnieśli alarm, że zamiast Feliksa wrócił ktoś inny. Niemiec - gospodarz również poświadczył, że osoba, która wróciła z Ludwikówki, nie jest Feliksem Kucharskim. Ojciec zamordowanego Feliksa, a mój dziadek Stanisław Kucharski, udał się do Ludwikówki, aby odszukać syna wśród ofiar. Znalazł jego nadpalone zwłoki wśród innych na zgliszczach stodoły. Rozpoznał go po ocalałym fragmencie chusteczki do nosa z inicjałami FK, którą Feliks miał w kieszeni, w chwili śmierci leżał na boku. Wujek pochowany został wraz z ludźmi, z którymi zginął we wspólnej mogile. Feliks Kucharski służbę wojskową odbył w Pułku Ułanów Wołyńskich (niestety, nie znam numeru pułku). W relacji rodziny zapamiętany został, jako człowiek szlachetny i dobry. Był miłośnikiem i znawcą koni. Osierocił córeczkę Irenę Kucharską, która niedługo potem zmarła na zapalenie płuc. Żona jego Anastazja, z pochodzenia Ukrainka, po śmierci męża przestała utrzymywać kontakt z naszą rodziną. Feliks Kucharski był synem Stanisława Kucharskiego oraz Marianny Kucharskiej z domu Sierpina, mieszkającymi przed repatriacją w Młynowie. Żyjącymi krewnymi zmarłego w linii prostej jesteśmy: ja oraz siostra Elżbieta, córki młodszej siostry Feliksa - Stanisławy Michałek z domu Kucharskiej". (Mirosława Socha; w: http://www.stankiewicze.com/ludobojstwo/czytelnicy_2.html).

We wsi Łudzin pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 11 Polaków, w tym 5-osobową rodzinę Górskich, a także 4-osobową rodzinę polsko-ukraińską Semczuka.

We wsi i kol. Malin pow. Dubno policjanci ukraińscy z oddziałem esesmanów dokonali pacyfikacji wsi za pobyt sowieckich partyzantów gen. Sidora Kowpaka; żywcem spalili 378 Czechów i 26 Polaków oraz rozstrzelali 132 Ukraińców.

We wsi Moniatycze pow. Hrubieszów miejscowi policjanci ukraińscy zamordowali 22-letniego Polaka, uciekiniera z Wołynia. Oraz: „Dnia 13 lipca 1943 r. w Moniatyczach ukraińscy nacjonaliści w służbie policji niemieckiej uśmiercili trzech mieszkańców wsi: Bolesława Łepika (lat 24), Feliksa Rudzińskiego (44) i Bogdana Rudzińskiego (17)." (Dr Szymon Solak: Rola Ukraińców w niemieckich planach przesiedleńczych na terenie powiatów hrubieszowskiego, biłgorajskiego i zamojskiego, w latach 1941 – 1943, w świetle dokumentów SS i polskiego zbrojnego podziemia; w: kresykedzierzynkozle.pl/wp-content/uploads/2017/05/dr-Szymon-Solak-referat.pdf).

We wsi Nowy Oseredek pow. Włodzimierz Wołyński: „Stanisław Burliński lat ok. 26, brał udział w Kampanii Wrześniowej 1939 r. i jako żołnierz polski dostał się do niemieckiej niewoli. Po pewnym czasie jakiś niemiecki Bawor zabrał go do siebie na gospodarstwo, aby pracował niewolniczo dla III Rzeszy. Ponieważ dobrze się sprawował Niemiec wystawił przepustkę, aby mógł na krótki czas wyjechać na Wołyń, na taki urlop do swojego domu. Tak więc od pewnego czasu przebywał już w swoim rodzinnym domu. I właśnie tego samego dnia 13 lipca, kiedy my przyjechaliśmy do naszego brata, po niego przyszli do domu Ukraińcy i zabrali go przemocą ze sobą do lasu. Od tej pory jak zwykle wszelki słuch już po nim zaginął, kolejna bardzo prawdopodobna ofiara banderowskich zbrodniarzy" (Antoni Sienkiewicz, w: jw.). W. i E. Siemaszko na s. 929 piszą, że w marcu 1943 roku „został uprowadzony i zamordowany w lesie Stanisław Barliński (Borliński?), lat 32".

W majątku Radowicze pow. Włodzimierz Wołyński Ukrainiec Petro Szpaczuk zamordował 70-letniego Polaka Stanisława Dudzisza, a jego zwłoki zakopane zostały w parku.

We wsi Radowicze pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 6-osobową rodzinę Zakrzewskich: matkę z 5 dzieci od 6-miesięcznego do lat 19.

We wsi Rzeczki pow. Równe "ukraińscy powstańcy" zamordowali 4-letniego polskiego chłopca Zygmunta Mendaluka, którego dwóch braci 3-letniego Franciszka i 5-letniego Bronisława zamordowali już 30 czerwca 1943 roku.

We wsi Serniczki pow. Horochów zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszko-TomaszBereza.docx).

We wsi Sielec pow. Włodzimierz Wołyński upowcy z okolicznych wsi zamordowali od 16 do 40 Polaków, m.in. Ukrainiec zamordował Polkę-akuszerkę, która odbierała go przy porodzie. Ofiarom zabrali dokumenty, którymi po wojnie posługiwali się w Polsce; zniszczyli też barokowy kościół z 1668 roku. Podczas napadu rodzinę Styczyńskich uratował Ukrainiec Juchno, a w tym czasie jego syn mordował w tejże wsi Polaków (Siemaszko..., s. 866 – 867). Kto jest bohaterem obecnej „samostijnej" Ukrainy – stary Ukrainiec Juchno ratujący rodzinę polską, czy jego syn, młody Juchno mordujący bezbronną ludność polską, w tym kobiety i dzieci?

W kol. Trystak pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 33 Polaków, w tym 14-osobową rodzinę Jerzaków, 7-osobową Swatków, dwie 4-osobowe i kobietę.

Koło osady wojskowej Wola Wilsona (Kniażyna) pow. Krzemieniec: „13.VII.43. Pod Wilsonową Wolą (=Kniażyniem) padł postrzelony ks. kanonik Murawiec prob. w Wisznowcu, w drodze do Netreby?" (Andrzej Biernat 23.11.2009 na podstawie zeszytów o. Tadeusza Chrobaka; w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). W. i E. Siemaszko, na s. 438 – 439 opisując Wolę Wilsona nie wymieniają tego mordu.

We wsi Wyszatyce pow. Przemyśl policjanci ukraińscy zamordowali 2 Polaków, którzy uciekli z transportu do Oświęcimia.

We wsi Zaturze pow. Horochów następuje mord 5 rodzin polskich mieszkających na obrzeżach wsi, 33 Polaków. Od 11 lipca ściągają tutaj niedobitki z rzezi okolicznych wsi, furmankami, pieszo, często ludzie są półnadzy. Zaczyna brakować żywności i wody. 15 i 28 lipca upowcy zamordowali tutaj dwie 22-letnie polskie dziewczyny.

14 lipca:

W futorze Babie pow. Krzemieniec ukraińscy "powstańcy" zamordowali pod lasem 6-osobową rodzinę polsko-ukraińską Sieniakiewiczów, w tym córki lat: 13, 16, 18 i 23.

We wsi Batorówka pow. Horochów tego dnia oraz w ciągu 2 dni następnych Ukraińcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Błażenik pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 30 Polaków.

W kol. Horochówka pow. Horochów w trzecim dniu obław i polowań na polską ludność zamordowali co najmniej 15 Polaków.

We wsi Kołodno (Kołodno Lisowszczyzna i Kołodno Siedlisko) pow. Krzemieniec około godz. 14 do wsi wjechało 300 ukraińskich "powstańców" na 50 furmankach i dokonało rzezi co najmniej 516 Polaków. Przez parę godzin dom po domu torturowali, gwałcili i rąbali ofiary siekierami „od niemowlęcia po starca" w tym „konflikcie polsko-ukraińskim". Ciała wrzucali do studni bądź grzebali na miejscu zbrodni. Kowalowi ścięli głowę kosą, jego żonie (lat 31) ucięli język i piersi, ich córkę 5-letnią rozdarli na pół. Jedna grupa Polaków, w której była Janina Sadowska, szła do Zbaraża nocą na czworakach. Ukraińcy świętowali rzeź, śpiewali, sypali pamiątkowy kopiec. Do rzezi zachęcał pop prawosławny, a jego syn dowodził jedną z band UPA. Ukraińcy zniszczyli pałac i kościół sprzed 1789 roku. Wśród napastników rozpoznano braci Michała i Antoniego Adamczuków, mieszkających po wojnie w Polsce. Mieszkała tutaj także łączniczka UPA Katarzyna Adamczuk. Świadek Stanisław Kazimierów: „Trwało to kilka minut. Mama poszła do domu po wiadro do dojenia i szliśmy razem do obory. Nagle zauważyliśmy na drodze pięciu mężczyzn, czterech z nich byli z bronią, dwóch było ubranych w niemieckich mundurach, dwóch w radzieckich, na rękawach mieli opaski z tryzubami i tak samo na czapkach, jeden z nich był w cywilnym ubraniu, który mówił, jak słyszałem, do pozostałych bandytów, wskazując ręką: „Oto lachy." Tym, który wskazywał, był [to] mieszkaniec Kołodna, którego osobiście rozpoznałem – nazywał się Safon Metro, Ukrainiec, pozostałych nie rozpoznałem. W tym czasie zostaliśmy zatrzymani i kazano nam iść do mieszkania. W tym czasie słońce już zachodziło i było bardzo czerwone. Po wejściu do mieszkania, kazano nam kłaść się twarzą do ziemi, ponieważ oni będą przeprowadzać rewizję w mieszkaniu, żebyśmy im nie przeszkadzali. W tym czasie moja mama już wiedziała, w jakim celu trzeba się kłaść. Zaczęła błagać tych bandytów, mówiąc do nich: „Za co wy chcecie nas mordować, co ja stara kobieta wam winna z tym małym chłopcem", [ale to] nie dawało żadnego efektu. Zaczęli nam grozić, że dostaniemy bagnetem. W tym czasie ja dostałem kolbą w plecy i musiałem się kłaść jako pierwszy, co uczyniłem. Ale kiedy kładłem się, popatrzyłem się jeszcze przez okno na zachodzące słońce i nie miałem żadnych nadziei, że już kiedykolwiek będę mógł zobaczyć to zachodzące słońce. Tego momentu przeżycia przed świadomą śmiercią dokładnie opisać nie można, ale strasznie było mnie żegnać się z tym światem, po czym położyłem się. Mama moja jeszcze błagała o darowanie życia, ale najprawdopodobniej otrzymała uderzenie kolbą, czego nie widziałem, ponieważ leżałem twarzą do ziemi (ponieważ rzadkością była w mieszkaniu podłoga). Po czym moja mama położyła się, kładąc swoją głowę na moje nogi. Po tym momencie pozostało czekać już na śmierć, kiedy nastąpi strzał. A ja w tym czasie jeszcze proszę Pana Boga o lekką śmierć, i żebym został celnie trafiony, żebym później nie męczył [się], najgorzej bałem się, że może będziemy zabijani bagnetami albo siekierami, ponieważ jeden z tych [Ukraińców] miał siekierę za pasem. Nie wiedziałem do kogo zostaną oddane pierwsze strzały. Wreszcie nastąpił strzał, po którym ja odwróciłem głowę, patrząc jak ten bandyta ładuje karabin, i zrobił [on] ruch do mnie bagnetem, krzycząc „Ty sukinsyn, czego patrzysz". Po czym padł drugi strzał, a ja ciągle mam takie odczucie, że żyję, pada trzeci strzał, ja nadal żyję, ale już się nie ruszam. Pada czwarty strzał, po czym w głowie zrobił się bardzo silny huk, a ja nadal żyję, w co w ogóle nie wierzę, ponieważ strzały były oddawane na odległość nie większą jak 2 metry. (…) Bardzo dobrze zapamiętałem, że w czasie oddawania strzałów w mieszkaniu było dwóch bandytów, a strzałów oddanych zostało 4, czyli do każdego z nas oddali po 2 strzały. Jak długo wówczas leżałem po tej strzelaninie, to nie mogę tego określić, ale cały ten czas jak leżałem, miałem takie odczucie, że nie zostałem zastrzelony, ponieważ czułem jak strasznie biło moje serce i jak bym oddychał. Po pewnym czasie miałem już takie odczucie, że jestem żywy, ale nie robiłem żadnych odruchów ciałem, ponieważ nie miałem żadnej pewności, że ci bandyci opuściły mieszkanie. Ale ja nadal jeszcze nie wierzę, że naprawdę żyję... .Z mojej najbliższej rodziny zginęło 6 osób: moja mama Maria Kazimierów, babcia Tekla Bielińska, kuzyn Jan Bieliński, jego żona Wiktoria Bielińska, [ich] syn Jan, lat 3, syn Adam, lat 2." (Siemaszko..., , s. 1151-1155). Jan Białowąs; Kołodno w powiecie krzemienieckim to duża wieś, w której Polacy stanowili 60 proc. ludności. Dzieliła się ona na Kołodno Lisowszczyznę i Kołodno Siedlisko. Granicę między nimi stanowił zespół pałacowo-parkowy Zygmunta hr. Grocholskiego. Pierwsze morderstwa na Polakach popełniono tu jesienią 1942 r. Uprowadzonym do lasu mężczyznom bandyci z UPA zadawali okrutną śmierć, m.in. rozrywali usta i wkładali kartki z napisem „Polska od morza do morza". W czerwcu 1943 r. została zamordowana przez upowców pani Gorzkowska z 17 letnią córką. Bandyci poobcinali im piersi i nimi na ścianie ich mieszkania napisali: „Smert' Lacham".14 lipca 1943 r. między godziną 14 a 15 na obie wsie napadły uzbrojone bojówki UPA. Mordercy w grupkach po 2 - 3 osoby chodzili po polskich zagrodach, najpierw pytając o gospodarza. Kiedy go znajdowano, kazano wszystkim wchodzić do domów. Tam ich zabijano strzałami z bliskiej odległości albo siekierami. Najpierw rodziców, potem dzieci i starców. Tak samo rozprawiali się z uciekającymi. Nie strzelano na zewnątrz budynków, ażeby ludność polska nie została od razu zaalarmowana i nie rzuciła się do ucieczki. Z tego powodu sąsiedzi nie wiedzieli, co się dzieje na posesjach obok. Napastnicy metodycznie rozprawiali się z każdą polską rodziną. Wskazówek, gdzie mieszkają Polacy, udzielali miejscowi Ukraińcy. Rzeź Polaków trwała około 3 godziny. Uratowali się tylko ci, którzy zdołali uciec i ukryć się w zbożach lub przebywali poza domem, w polu czy na pastwisku. Zabudowania rodzin polskich palono. Pomordowanych Polaków grzebano gdzie popadło, w rowach, piwnicach, sadach, przeważnie w miejscu zbrodni lub w pobliżu. Powstały także zbiorowe mogiły. Jedna z nich, w Kołodnie - Siedlisku ,skryła 95 pomordowanych. Ofiary wrzucano i to dość często do studzien. Do mordów podburzał miejscowy duchowny prawosławny. Łączniczką w UPA była Katarzyna Adamczuk z Kołodna, która po wojnie zamieszkała w Polsce. Liczba Polaków zamordowanych jednego tylko dnia, 14 lipca 1943 r., w obu wsiach, waha się od 320 do 500 osób. Polacy z Kołodna żyjący obecnie w Korfantowie podają liczbę 496 ofiar. Całkowicie wymordowano 22 rodziny w Kołodnie Lisowszczyźnie i 12 rodzin w Kołodnie Siedlisku. Terror UPA nie odebrał wszystkim Ukraińcom ludzkich uczuć. Niektórzy ratowali Polaków ukrywając ich w swoich gospodarstwach. Po morderczej „robocie" zlikwidowania wszystkich Polaków w Kołodnie, upowcy od wieczora do rana następnego dnia sypali kopiec koło kościoła katolickiego dla upamiętnienia swego „zwycięstwa". W swoim pamiętniku Piotr Rozwadowski napisał: „Słyszałem z ukrycia okrzyki radości banderowców z odniesionych sukcesów. Na zakończenie odśpiewali hymn „Szcze ne umerła Ukraina" (Jan Białowąs; http://www.irekw.internetdsl.pl/bialowas/m.html). Stanisław K. (ur. 1931): „Po południu pasłem pod wsią bydło na łące i zobaczyłem, że ludzie w wiosce uciekają w rożnych kierunkach. Myślałem, że to Niemcy robią łapankę na roboty, bo tak wcześniej bywało. Gdy pędziłem bydło do domu i szedłem koło zabudowań ukraińskich, zaczęły do mnie dochodzić odgłosy jakby wystrzałów, ale na ulicy niczego nie było widać. Gdy wszedłem z bydłem na podwórze, dobiegł Polak, nie pamiętam, jak się nazywał i powiedział: „Uciekajcie, Ukraińcy mordują!". /.../ Brat Antoni uciekł do ogrodu i ukrył się, ale mama powiedziała, że jest stara i nie będzie uciekać. Żona brata, Katarzyna, była narodowości ukraińskiej – uciekła z dzieckiem do swej rodziny. Ja zostałem z mamą. Gdy szliśmy doić krowy, na podwórze weszło trzech uzbrojonych banderowców po cywilnemu, z opaskami i tryzubami, i jeden Ukrainiec z naszej wioski, który pokazał na nas palcem: „To Lachy". Wówczas ci trzej kazali nam wejść do mieszkania, ponieważ, jak powiedzieli, chcą zrobić u nas rewizję. Gdy weszliśmy, od razu jeden z tych trzech kazał się mamie położyć na ziemi. Mama zaczęła prosić, żeby nas nie mordowali. Drugi powiedział do mnie, abym też się kładł. Chciałem złapać mamę za rękę, ale on odtrącił mnie kolbą. Położyłem się pierwszy, a mama dalej prosiła. Wtedy jeden z trojki dźgnął mamę w pierś bagnetem, następnie usłyszałem cztery strzały z karabinu. Nie widziałem, kto strzelał, bo ze strachu leżałem twarzą do ziemi. Prosiłem Boga, żebym się nie męczył. Miałem twarz zakrytą rękami i w czasie strzałów nic nie czułem. Gdy Ukraińcy wyszli z domu, wstałem i wziąłem mamę za głowę. Zobaczyłem masę krwi i dziurę wielkości pięści. Ciało było jeszcze w konwulsjach. Zauważyłem też, że mam całe spodnie zakrwawione, myślałem, że to krew mamy. Wyszedłem na strych, żeby się ukryć. Słyszałem jęki sąsiada, mieszkającego 30 metrów od nas, konał na swoim podwórzu chyba z pół godziny. Nagle zobaczyłem, że z lewej nogi sika mi krew i zaczęło mi się robić słabo, a jednocześnie pomyślałem, że mogą spalić dom. Zszedłem ze strychu i gdy już byłem w korytarzu, utraciłem siły w nogach. Udało mi się jedynie wyjść z mieszkania i na drodze straciłem przytomność. Znalazł mnie sąsiad Ukrainiec Antoni G. i wziął do domu. Jego rodzina ukryła mnie w pokrzywach za domem i powiedziała o mnie mojemu bratu, który po napadzie też przyszedł do tego sąsiada. Brat poszedł do wioski Netreba, już w galicyjskiej części Wołynia, zorganizować transport. Poprosił Ukraińca o imieniu Jarsen, u którego miał dług wdzięczności, żeby przywiózł mnie wozem konnym. On faktycznie przyszedł i wziął wóz od Antoniego G., ponadto Antoni G. dał swojego syna do powożenia. Na drodze złapali nas Ukraińcy. Odgrzebali mnie w słomie i chcieli zastrzelić. Słyszałem, jak Jarsen targował się o moje życie. W końcu puścili nas i zawieziono mnie do Netreby, a następnie do szpitala w Zbarażu. Lekarz, który mnie opatrywał, stwierdził na mojej głowie dwie smugi po pociskach, stąd wiem, że dwa strzały były przeznaczone dla mnie. /…/ Syn Antoniego G., który mnie wiózł do Netreby, stanął za to przed banderowskim sądem i został skazany na karę śmierci, ale im uciekł i ukrywał się nawet po wojnie". (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus)

We wsi Ławrów pow. Łuck zamordowali bagnetami 9 Polaków, a ciała wrzucili do studni, w tym 7-osobową rodzinę z 5 dzieci w wieku od 5-miesięcznego do lat 12. Stanisław M. (ur. 1935): „Pan B., który przyjaźnił się z sąsiadem, gospodarzem ukraińskim I.S., powiedział mi, że całą rodziną musimy wyjeżdżać, bo I.S.

ostrzegł go, że Ukraińcy będą mordować w Ławrowie. B. zabrali na wóz konny trochę ubrania i jedzenia i wyjechali z córką do Łucka. Ja nie pojechałem, bo miałem króliki i gołębie, poza tym w Ławrowie została babcia B. z córką kaleką. Tak mieszkaliśmy jeszcze miesiąc. Do domu wprowadziła się pani J. z mężem i siedmiorgiem dzieci. Było nas dwanaście osób w gospodarstwie. 14 lipca zaczęliśmy żniwa. Kosa była tępa i pan J. poszedł do I.S. ją wyklepać. Ja siedziałem na drzewie i rwałem czereśnie. Zobaczyłem, że jakieś wojsko niemieckie - tak mi się wydawało, bo widziałem ludzi w mundurach niemieckich - idzie do naszego gospodarstwa. Było ich chyba szesnastu. Antek, syn J., mówił, że może idą po ojca, żeby jechał do Łucka. Ja powiedziałem, że to są chyba ukraińscy bandyci i lepiej będzie, jak się ukryjemy. Gdy ci żołnierze zbliżyli się, zawołali Antka, żeby przyprowadził ojca. Antek poszedł do I.S., ja zaś pobiegłem do domu ukryć się. Poznałem, że dwaj przebrani w niemieckie mundury mężczyźni to nasi sąsiedzi, synowie gospodarza czeskiego. Mieli po około 25 lat i wiedziałem, że przystąpili do ukraińskich band. Nie dołączył się do bandy I.S., bo sobie przestrzelił nogę, był kulawy i go nie wzięli. /…/ Babcia, jej kaleka córka, J. i jej dzieci - wszyscy byli w domu. Wszedłem i powiedziałem, że trzeba się ukryć, bo przyszli Ukraińcy. Wcisnąłem się za pryczę stojącą w kuchni, na której był siennik ze słomy, i schowałem się za drewnianym szaflikiem. Ze mną ukryła się Kazia, jedna z córek J. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Cały dom został otoczony przez Ukraińców. Do środka weszło dwóch [...], mówili po polsku, pytali, kto jest Polakiem, zaczęli bić i kazali wszystkim kłaść się na podłodze w kuchni. Zaczął się lament. Ukraińcy mieli karabiny z bagnetami. Pierwszą przebili babcię B. i panią J. Dzieci biegały po kuchni, chciały się gdzieś schować, był pisk, krzyk, płacz, ale żadnych szans ucieczki. Ukraińcy wszystkie dzieci przebili bagnetami, wielokrotnie. Potem kłuli bagnetami pod łóżkiem, gdzie siedzieliśmy z Kazią. Uciekły tam jeszcze jej trzy młodsze siostry. Widzieli to Ukraińcy i jeden schylił się /.../, uderzył kilka razy bagnetem i te dzieci przebił. Kazia miała pokłute ręce, nogi i klatkę piersiową, leciała jej krew, ale nie były to groźne rany. Mnie bagnet nie trafił, bo byłem osłonięty szaflikiem. /…/ Gdy Ukraińcy odeszli i zrobiło się cicho, wyszliśmy z Kazią z kryjówki. /…/ Na podwórku zobaczyłem przy pniaku zwłoki pana J. i Antka, którym bandyci obcięli głowy siekierami. Leżały obok pniaka. Ukryliśmy się w zbożu i postanowiliśmy uciekać przez pola. Zapadła noc, weszliśmy do jakiegoś domu, w którym paliło się światło. Okazało się, że banderowcy mają w nim zebranie. Obok przenocowaliśmy. Kazia była ranna, więc została, a ja rano wróciłem polami do naszego gospodarstwa. Z ukrycia zobaczyłem, że jacyś ludzie w cywilnych ubraniach załadowali na furmankę ciała zabitych i odjechali. Polami szedłem za nimi. Dojechali do wsi Kościuszków, gdzie poprzednio mieszkali J., tam wrzucili zabitych do studni na podwórku J. Wróciłem do Ławrowa i spotkałem pana B., który przyjechał zobaczyć, co się dzieje w gospodarstwie. Razem pojechaliśmy po Kazię. Po drodze zatrzymali nas Niemcy z oddziału walczącego z Ukraińcami i pomagającego uciekać Polakom. Wyjaśniliśmy, gdzie i po co jedziemy. Niemiec kazał otoczyć dom, w którym była Kazia; została zabrana. Niemcy znaleźli w tym domu broń, a Ukraińcy, którzy się tam skryli, zaczęli strzelać. Wówczas żołnierze niemieccy podpalili dom, wrzucili granaty do środka i nikt się z niego nie uratował." (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus)

W kol. Niedźwiedzie Jamy pow. Horochów zamordowali 2 Polaków: matkę o nazwisku Szyszko z dzieckiem.

We wsi Pańska Dolina pow. Dubno zamordowali 2 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

We wsi Rzeszniówka pow. Krzemieniec wymordowali ludność polską, kilkanaście rodzin.

We wsi Wiktorówka pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali kilka rodzin polskich, wiadomo o 2 rodzinach 5-osobowych (2 mężczyzn, 2 kobiety, 6 dzieci).

We wsi Zarudzie pow. Krzemieniec zamordowali kilka rodzin polskich, co najmniej 25 Polaków. „Zarudzie koło Matwiejowiec – Felka Pawłowskiego końmi rozerwano" (AAN, DR, sygn. 202/III/200, k. 32 – 35).

We wsi Zaturce pow. Horochów zamordowali Jana Jączko-Jączkowskiego.

We wsi Zboryszów Nowy pow. Horochów tego dnia oraz w ciągu 2 dni następnych zamordowali 20 Polaków /liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Zboryszów Stary pow. Horochów tego dnia oraz w ciągu 3 dni następnych zamordowali 21 Polaków /liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

15 lipca:

We wsi Aleksandrówka pow. Kowel ukraińscy "partyzanci", w tym miejscowi, dokonali rzezi kilkunastu rodzin polskich, 92 osoby. „Szczególnie pastwiono się nad dziećmi – najmniejsze utopiono w studniach, pozostałe wrzucono do lochu po ziemniakach i zasypano ziemią, część zabito kolbami karabinów." (Siemaszko..., s. 338 – 339). „Konstanty Jeżyński, 17-letni chłopak, mieszka z rodziną we wsi Aleksandrówka. Do szkoły chodzi razem z kolegami Ukraińcami. Pewnego razu Konstanty stoi z kolegami w cerkwi. Słucha przemówienia popa. „Bracia chrystijany Ukraińcy, waszym obowiązkiem jest rżnąć Polaków, a będzie niepodległa Ukraina. I na tę rzeź was błogosławię", słyszy. Biegnie do domu. Opowiada o wszystkim rodzicom i sąsiadom. We wsi nastaje poruszenie. 15 lipca 1943 roku członkowie UPA wyżynają całe wsie polskie w okolicach Łucka. „Bratu mojemu zawiązali drut kolczasty wokół szyi, przywiązali do siodła końskiego i tak powlekli do pobliskiego lasu", opowiada. Sąsiadka Konstantego zostaje zamordowana przez swojego męża Ukraińca, a wraz z nią ich dzieci. Tylko dlatego, że była Polką" (www.stankiewicze.com/ludobójstwo.pl). „W kolonii Aleksandrówka Ukraińcy kazali ludności zebrać się pod jedną chatą. Potem w ten tłum zaczęli strzelać. Małe dzieci wrzucali do studni. Starsze zgromadzili w piwnicy i wrzucili do niej granat. Stryj Teresy Radziszewskiej obserwował ich schowany w żywopłocie. Opowiadał potem, jak jeden z banderowców wyrwał matce z rąk dziecko i roztrzaskał mu głowę o kant chałupy. Matkę przebił widłami. Tego dnia UPA zabiła w Aleksandrówce 92 osoby. - Nasza rodzina uszła wtedy z życiem, bo nie poszliśmy na zbiórkę pod chatę" - opowiada Teresa Radziszewska." (http://www.nawolyniu.pl/artykuly/mord.htm). „W 1943 r. (miałam wówczas dziesięć lat) nasza wieś Aleksandrówka na Wołyniu boleśnie doświadczyła kilku napadów rezunów ukraińskich wywodzących się z naszych i sąsiednich wiosek. Najtragiczniejszy z nich miał miejsce 15 lipca około godziny 9 wieczorem./…/ Pamiętam dokładnie, jak moi rodzice podeszli do nas, do czwórki dzieci, mówiąc, że banda jest bardzo blisko i musimy uciekać z wioski. Zrozpaczeni, w pośpiechu pożegnali się z nami. Ojciec do przygotowanych przez mamę węzełków włożył nam na drogę / zamiast pieniędzy, którym w domu ograbionym przez wojnę nie było/ po butelce bimbru mówiąc, że gdy będziemy głodne, to ktoś da nam za niego kromkę chleba, lub talerz gorącej strawy. Rozbiegliśmy się w różne strony. Gdy dobiegłam do pszenicznego zagonu, padł strzał i poczułam straszny ból w nodze. Karabinowa kula przeszła przez stopę. Porażona postrzałem upadłam i zaczęłam się czołgać przez zboże do najbliższej wysokiej miedzy, pod którą wygrzebałam jamę i w niej przeleżałam do świtu. Do poranka słychać było odgłosy strzelaniny i przerażające krzyki męczonych i mordowanych ludzi. Noga coraz gorzej bolała. Byłam bliska omdlenia. Wtedy przypomniałam sobie o wódce w węzełku. Z koszuli, nasączonej alkoholem, zrobiłam sobie opatrunek. Ziemię, która leżała obok wygrzebanej jamy rozsypałam garściami po zbożu, aby nikt nie mógł domyśleć się, że pod miedzą ktoś jest. Mijały dzień po dniu, wyczerpał się skromny zapas żywności i głód oraz pragnienie zaczęły mi coraz bardziej dokuczać. Za napój służył mi bimber, a jedzeniem były ziarna wyłuskane z kłosów zbóż. Po tygodniu, w niedziele czy poniedziałek - nie pamiętam dokładnie - usłyszałam we wsi jakieś odgłosy. Po chwili rozpoznałam głos Ukrainki - Ulany Sidor, naszej sąsiadki, z którą rodzice moi dobrze żyli, a ja nawet nazywałam "ciocią". Głodna i obolała odważyłam się pójść do niej, ale nie mogłam stanąć na zranioną nogę, która mocno spuchła i bardzo mnie bolała. Z trudem doczołgałam się na pobliskie podwórze, na którym była owa "ciocia" i ze łzami w oczach zaczęłam ją prosić o kawałek chleba. Ona groźnie popatrzyła na mnie i z nienawiścią w oczach na cały głos wyrzuciła z siebie: "Ty, polska mordo, jeszcze żyjesz?!" Następnie chwyciła za stojącą przy ścianie motykę. Ze strachu nie czułam bólu okaleczonej nogi, tylko poderwałam się i zaczęłam uciekać. Mściwa Ukrainka, goniąc za mną, zgubiła mój ślad. Chyba myślała, że uciekłam na drogę, a ja, klucząc między zabudowaniami, powróciłam do swojej kryjówki w zbożu pod miedzą. Noga bardzo opuchła i tak bolała, że nie mogłam się ruszyć. Pod opuchlizną w ogóle nie było widać stopy. Żywiłam się tylko ziarnami zboża i - stale się modląc tak, jak nauczyła mnie mama - coraz częściej myślałam o śmierci. Najprawdopodobniej po jedenastu dniach Ukraińcy postanowili zrobić porządek po tym napadzie, gdyż dookoła unosił się niesamowity fetor rozkładających się ciał. Szli więc od podwórza do podwórza, dróżkami i po zbożach, a gdy znaleźli jakiegoś nieboszczyka, to go zakopywali na miejscu. Prześladowcy byli coraz bliżej mnie, a ja przerażona nie wiedziałam co mam robić i w tym momencie usłyszałam nad sobą głos jednego z Ukraińców, z którym moi rodzice też zawsze żyli w sąsiedzkiej zgodzie. Nazywał się on Harasym Łukajczuk. Szedł wolno i dyskretnie mówił do mnie: "Nie ruszaj się stąd, może cię nie zauważą. Wieczorem przyjdę po ciebie. Twój brat jest już u mnie." Poszedł dalej, a ja miałam szczęście, bo nikt więcej nie zbliżał się do mojej kryjówki. Wieczorem Łukajczuk, tak jak obiecał, przyszedł do mnie. Wsadził mnie w worek, zarzucił na plecy i zaniósł do swojego domu. W izbie obejrzał postrzeloną nogę. Była bardzo opuchnięta i cała czerwona. Po namyśle orzekł, że nie można zwlekać, tylko trzeba jechać do szpitala, do Kowla. Ukrainiec Łukajczuk obwiązał mi twarz chustką i włożył mnie do tzw. maniaka, z którego karmi się konie w czasie postoju. Następnie przysypał mnie obrokiem i położył na wóz. Natomiast mego ukrywanego brata Stanisława, który był ranny w brodę w czasie ucieczki przed rezunami, posadził obok siebie i ruszyliśmy w drogę. Gdy dojechaliśmy do Lasu Świniarzyńskiego, wyskoczyli z zarośli bandyci i zaczęli wypytywać woźnicę, gdzie i po co jedzie. Nasz wybawca, Harasym Łukajczuk wytłumaczył im, że wiezie bardzo chorego syna do lekarza i wskazał na mojego brata. Rezuni dali mu wiarę i pozwolili nam odjechać. Tak dotarliśmy szczęśliwie do Kowla, gdzie przyjęto nas do zatłoczonego szpitala, a mnie zrobiono operację. Brat wyzdrowiał wcześniej i wypisano go z leczenia, ja zostałam dłużej. Po około 20 dniach przyszła do mnie w odwiedziny mama, o której od dawna nic nie wiedziałam. Niestety, mama nie mogła być przy mnie dłużej, bo zostawiła ojca i rodzeństwo ukryte w lesie, w pobliżu naszego domu. Pewnego dnia lekarz oznajmił, że z nogi nic nie będzie, bo się nie goi i trzeba będzie ją uciąć. Strasznie się rozpłakałam, ale cóż mogłam zrobić. Tego samego dnia przyszedł do szpitala mój wybawca - Łukajczuk. Wiadomość, którą mi przekazał, całkiem mnie dobiła. Moi rodzice oraz brat i siostra zostali w sposób bestialski zamordowani. Rodzice świadomi faktu, że ze wszystkimi Ukraińcami zawsze żyli w wyjątkowej zgodzie i z nikim nie mieli żadnych zatargów, opuścili las i wrócili do wioski. Jeszcze tego samego dnia (29 sierpnia 1943 – S. Ż.) miejscowi rezuni otoczyli nasz dom, włamali się do środka i najpierw bagnetami zakłuli moją 11-letnią siostrę Irenę. Później zaczęli znęcać się nad mamą. Ojciec wyrwał się z łap oprawców i stanął w jej obronie. Wówczas jeden z Ukraińców zastrzelił go. Następnie długo pastwili się nad 13-letnim bratem Henrykiem, zanim wyzionął ducha. Wszystkich pochowano na kukurzysku po spalonej stodole". (Leokadia Skowrońska; relację spisał i opracował Paweł Wira - "Biuletyn" Nr 5).

W kol. Apolonia pow. Łuck upowcy zabili 5-osobową rodzinę Kulinów i spalili jej gospodarstwo.

We wsi Bodiaki pow. Krzemieniec zamordowali około 30 Polaków.

We wsi Czajczyńce pow. Krzemieniec zamordowali 60 Polaków, większość zwłok spalili z domami.

W kol. Dąbrowa koło Woronczyna pow. Horochów zamordowali kilka polskich rodzin.

W osadzie Ferma pow. Horochów zamordowali 9 polskich rodzin.

W kol. Hirki pow. Kowel: „Nazywam się Jan Feliks Jakubiak, ur. się 02. 01. 1924 r. w kolonii Hirki, sołectwo Ossa, gm. Turzysk, powiat Kowel. /.../ Początkowo, w naszej okolicy upowcy mordowali Polaków wybiórczo. Około 15 lipca 1943 r. została zamordowana w czasie ucieczki, moja ciocia Katarzyna Obuchowska. Uciekała z małym 3-letnim dzieckiem Heleną Obuchowską. Kiedy matka Katarzyna, po śmiertelnym strzale upadła, to i tuż obok upadło dziecko, oblane krwią matki. Przestraszone dziecko leżało bez ruchu. Banderowcy byli przekonani, że dziecko nie żyje i tak już ofiary zostawili na pastwę losu. Można powiedzieć, że Helena cudem ocalała. Dziecko znalazła sąsiadka Ukrainka (NN), która przechowała niemowlę kilka dni, a następnie przekazała ukrywającej się drugiej cioci Dominice Kwarcianej. Ciocia Kwarciana opiekowała się dzieckiem do 1946 r., a następnie moja mama Janina. (Sławomir Tomasz Roch: Wspomnienia Jana Jakubiaka; w: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/119-wspomnienia-jana-jakubiak.html)

W kol. Janina pow. Horochów zamordowali kilka rodzin polskich, imiennie znane są 2 rodziny liczące 8 osób.

We wsi Julianówka pow. Dubno zamordowali 2 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W osadzie (kolonii) Kielecka pow. Horochów upowcy oraz miejscowi Ukraińcy zamordowali 66 Polaków. Po gwałtach i torturach, ofiary zabijali widłami, siekierami, bagnetami. Stefanowi Urbańczykowi wbili w usta pręt i dobili kolbą karabinu. Kowala Czesława Deca, który usiłował nie dopuścić do zgwałcenia córki, zakłuli w kuźni rozpalonymi prętami i bagnetami, jego żonę i dwie córki także zamordowali. Rodzinę Pożogów z synami lat 12 i 14 zarąbali siekierami (Siemaszko..., s. 159; oraz: Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

We wsi Kowbań pow. Horochów upowcy zamordowali ponad 70 Polaków. Na początku lipca Polacy chcieli uciekać, ale Ukraińcy uspokajali ich „was nichto ne trone". 15 lipca o godz. 16 otoczyli wieś. Polacy pobiegli pod figurę - krzyż modlić się. Tam zostali ostrzelani, rannych dobijano kolbami karabinów i siekierami. Wśród ofiar był dr Będkowski, który przez 20 lat bezpłatnie leczył okoliczną ludność ukraińską.

W kol. Kurhan pow. Łuck podczas napadu upowcy zamordowali nie ustaloną liczbę osób, była to kolonia polska. Rodzinę Soroczyńskich ukrył Ukrainiec Hryć Kuczeruk i przeprowadził do wsi Berezołupy. Jego syn Bartosz i córka Nina brali w tym czasie udział w mordowaniu ludności polskiej w osadzie Kielecka.

W majątku Łobaczówka pow. Horochów zamordowali 34 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Maniów pow. Krzemieniec zamordowali 60 Polaków.

We wsi Markowicze, gmina Chorów, pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 6-osobową rodzinę: Kazimierza Piotrowskiego z żoną i 4 dzieci.

We wsi Prybeń pow. Przemyślany: „Dnia 15.07.1943 r. został zam. Borkusz Franciszek l. 30." (Prof. dr hab. Leszek S. Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw. tom 8).

We wsi Smyków pow. Dubno zamordowali 3-osobową rodzinę: Mikołaja Stelmachowicza z żoną i 10-letnim synem.

W mieście Stary Skałat woj. tarnopolskie: "15.VII.1943. Stary Skałat. Banda ukr. napadła na szkołę polską skąd uprowadziła w pole nauczyciela Kapuścińskiego, który zaginął bez śladu" (AAN, AK, sygn. 203 / XV/ 9, k.170 – 174).

W kol. Wielick pow. Kowel Ukraińcy zamordowali około 15 Polaków oraz rodzinę żydowską, którą ukrywali Polacy.

We wsi Woronczyn pow. Horochów zamordowali kilka rodzin polskich, imienne znanych jest tylko 13 ofiar. „Nadszedł dzień 15 lipca 1943. Był to dzień bardzo piękny. Słoneczko przygrzewało dość mocno. Mama (Marianna Zdzymira) piekła chleb, Tata (Wincenty Zdzymira) poszedł do szewca po buty. Sąsiad Ukrainiec przyszedł pożyczyć konia. Uwiązał go przy swoim płocie. Nic nim nie robił. Pożyczył go po to, abyśmy nie mogli wyjechać ze wsi. Ja z dziadkiem poszłam do gospodarstwa stryjka (Władysława Zdzymiry), aby wydoić krowy. Tego dnia rano stryjek z rodziną wyjechał. To właśnie podczas dojenia usłyszeliśmy pierwsze strzały. Było to około godziny 13-14-tej. Dziadek zawołał: „Uciekajmy, bo nas zabiją!". Uciekliśmy w zboże, ale i tak byliśmy zbyt blisko wsi i domu. Dziadek się obawiał, że jak podpalą dom, „to nas upieką". Poszliśmy zatem dalej w żyto sąsiada, który nazywał się Mańko. Kiedy my, przestraszeni siedzieliśmy w życie, we wsi rozpętało się piekło. Żadne słowa nie opowiedzą i nie oddadzą grozy tamtych godzin. Strzelanina była straszna. Towarzyszyło jej ryczenie krów, beczenie owiec, psy przejmująco wyły, kury, kaczki robiły przeraźliwy hałas. Jednak przez ten jazgot przebijały się najwyraźniej strzały. Kiedy padał kolejny żegnaliśmy z dziadkiem Kogoś, kogo dopadła kula. Mógł to być Każdy kogo znaliśmy. We wsi została przecież moja mama i rodzeństwo. Bałam się okropnie. Siedzieliśmy skuleni, aż tu nagle słychać rozmowę. Powolutku podniosłam głowę. Zobaczyłam białego konia, na którym siedział Ukrainiec. Przez pierś miał przewieszony karabin. Prowadził przywiązaną do siodła kobietę (podkr. – S.Ż.). Była to nasza sąsiadka Krzeszczykowa" (Stanisława Jędrzejczak; w: Biuletyn Informacyjny 27 Dywizji Wołyńskiej AK, nr 1 z 2000 r.). Nie mniej tragiczne są dalsze przeżycia autorki, mającej wówczas 15 lat. Losu uprowadzonej „w jasyr" polskiej kobiety można domyśleć się, był gorszy od losu branek tatarskich, a działo się to w połowie XX wieku.

We wsi Zaborol pow. Łuck upowcy zaatakowali konwój uciekających Polaków z Antonówki Szepelskiej do Łucka: 15 wozów z 64 osobami, głównie kobietami i dziećmi. Zamordowali 54 osoby, w walce zginęło 2 członków samoobrony z Antonówki przybyłej na pomoc a 10 zostało rannych. Ciała pocięte były

nożami, zmasakrowane, z wyłupanymi oczami, powiązane drutem kolczastym. Na terenie wsi zamordowali 14-letniego chłopca i 16-letnią dziewczynę. Relacja Konstantego Jeżyńskiego: „Ryzuny ukraińskie zorientowały się, że obrońcy placówki Antonówka dowożą żywność do miasta dla swoich dzieci i żon wozami konnymi i zaraz zaczęły tez rzezać Polaków pojedynczo. I tak stała się rzecz straszna. Dnia 15 lipca 1943 r. mój rodzony brat najstarszy, Kazik Urbański (nazwisko panieńskie matki), jadąc do Łucka z żywnością dla dzieci i żony, grupowo taborem wozów konnych z naszej wsi, został napadnięty i w bestialski sposób zamordowany w miejscowości Zaborol [gm. Kniahininek] koło Łucka. Bratu mojemu ryzuny wydłubali jedno oko i kazali uciekać, następnie na koniec ryzun dogonił koniem, zawiązał drut kolczasty wokół szyi, przywiązał do siodła końskiego i tak powlókł do pobliskiego lasu. /.../ We wsi Zaborol, tam gdzie zginął brat Kazik, przed 1939 r. mieszkało małżeństwo mieszane. Zona Ukrainka, jej mąż Polak policjant, to żona tego policjanta była naocznym światkiem mordu mego brata, to ona zeznała nam, że brat jest zakopany pod płotem we wsi Zaborol koło Łucka w gospodarstwie Ukraińca o nazwisku Staniszewski. (…) Z naszej wsi został zabity Czerniak Bolesław, też przewożący żywność dla najbliższych, też w Zaborolu przybity do ziemi kołkiem drewnianym w brzuch. Zginął Kuczyński Bronisław, nasz sąsiad, też w Zaborolu, który ubezpieczał konwój w dowozie żywności do miasta dla zagłodzonych rodzin. Został zabity Dąbrowski Albin, nasz sąsiad, (...) jadąc wozem do zięcia po proso - koło Torczyna [gm. Torczyn, pow. Łuck]; koń z wozem przyszedł sam do domu. Nowakowski, który mieszkał na Aleksandrówce, został zamordowany w Budkach Usickich [gm. Torczyn] koło Torczyna. W mojej wsi Aleksandrówka pod lasem mieszkał pan Galewski, córka jego Janina wyszła za mąż za Ukraińca, ten zamordował swą żonę Janinę i uciekł do ryzunów, pozostawiając list, że musiał to uczynić, ponieważ władze ukraińskie dokonałyby na nim wyroku. Siostra rodzona mojej matki Aniela, z męża Łącka, mieszkała koło Zdołbunowa we wsi Marianówka, gmina i powiat Tajkury. Poszła odwiedzić znajomych sąsiadów Ukraińców, została schwytana przez ryzunów i powieszona żywcem za piersi w pobliskim lesie na drzewie, [zamordowana] w bestialski sposób." (Relacja Konstantego Jeżyńskiego, byłego mieszkańca kolonii Aleksandrówka, gm. Kniahininek, pow. Łuck. W: Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu-Instytutu Pamięci Narodowej: nr 638 księgi nabytków, sygn. AGK27WDAK, Vl53. Relacja wpłynęła do Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w 1985 r.).

We wsi Zastawie pow. Horochów zamordowali 7 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Zaturce pow. Horochów zamordowali 22-letnią Weronikę Pawlakiewicz.

W kol. Żurawiec pow. Horochów zamordowali 29 Polaków, w tym 25 osób spalili żywcem w stodole, całe rodziny. „Banderowcy, na drugi dzień po mordzie w kościele napadli na Rudnię, a następnie, trzy dni później, dokonali potwornej zbrodni w Żurawcu, leżącym niedaleko Zapustu. U Zdeba w stodole spalili żywcem 25 osób, w tym 6 z rodziny Siutów. Widziałem to na własne oczy, jak tych biedaków pędzili do tej stodoły. Jakie straszne jęki i wycie wydobywały się z tej stodoły! Do końca życia ich nie zapomnę. /.../ Z rodziny Siutów ocalał tylko Władysław, który był później w 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK." (Roman Witwicki: By nasz ból nie umarł razem z nami. W: Marek A. Koprowski: „Wołyń. Epopeja polskich losów 1939 – 2013. Akt III.". Warszawa 2013, s. 374 – 375).

We wsi Żurawiec pow. Horochów zamordowali 2 Polaków.

W nocy z 15 na 16 lipca:

W majątku Pułhany pow. Horochów zamordowali około 15 Polaków. Po grabieży majątek spalili.

We wsi Pułhany pow. Horochów upowcy oraz miejscowi i okoliczni Ukraińcy zamordowali co najmniej 102 Polaków za pomocą różnych narzędzi, po torturach. W następnych dniach zamordowali jeszcze kilku Polaków, którym podczas rzezi udało się ukryć. Wcześniej Ukraińcy zabronili Polakom opuszczać wieś. Od początku lipca mają miejsce pojedyncze mordy, m.in. uprowadzona została i zamęczona 26-letnia dziewczyna. „Wartę" nad Polakami pełnili miejscowi młodzi Ukraińcy. 15 lipca do wsi weszły dwie upowskie bandy i na wystrzał dowódcy zaczęła się rzeź. Bestialskie gwałty i tortury trwały całą noc i cały następny dzień. „Ukraiński partyzant" zabił Stanisława Kolana i sześcioro jego wnucząt, dzieci Aleksandra, które najpierw zabijał nożem, a potem rozbijał główki siekierą. Z kolei Władysława Kolmana z żoną Heleną i pięciorgiem ich dzieci zamordowali sąsiedzi – Ukraińcy. „Zamordowanych i żyjących jeszcze ciężko rannych, którzy nie mogli uciec, grzebali na miejscu zbrodni miejscowi młodzi Ukraińcy" (Siemaszko..., s. 133).

W pierwszej połowie lipca:

We wsi i kolonii Antonówka pow. Horochów upowcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków; we wsi mieszkało kilka rodzin polskich, natomiast w kolonii w większości rodziny polskie.

We wsi i majątku Fusów pow. Horochów podczas napadu wymordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We wsi Holatyn Dolny pow. Horochów podczas napadu zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, w tej ukraińskiej wsi mieszkało kilka lub kilkanaście rodzin polskich.

We wsi Jankiewicze pow. Kostopol podczas napadu zamordowali nieznaną liczbę Polaków.

W kol. Janówka (Iwanówka) pow. Horochów podczas napadu zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków. Wiadomo, że spalili żywcem trójkę dzieci Antoniego Szczepańskiego. Mieszkało tutaj kilkanaście rodzin polskich; ich domy zostały spalone.

W kol. Jasnobór pow. Kostopol wymordowali prawie wszystkie polskie rodziny, ilości ofiar nie ustalono.

W kol. Kołmaczówka pow. Horochów zamordowali bestialsko 35 Polaków. Ofiary miały poucinane nosy, języki, uszy, pozdzieraną skórę, rozprute brzuchy. Niemowlę z rozdeptaną główką, rączkami i nóżkami wyrwanymi i rozczapierzonymi, miało przypięty napis: „polski orzeł". (Siemaszko..., s. 123).

We wsi Laszki pow. Horochów: „W pierwszej połowie lipca 1943 r. upowcy mordowali Polaków mieszkających we wsi i Polaków mieszkających i pracujących w majątku, których liczba jest nieznana. Prawdopodobnie zginęli wówczas m.in.: Władysław Czerkawski (Czerkaski ?) z żoną Wandą, z d. Komarnicka." (Siemaszko..., s. 180).

We wsi Lipa pow. Horochów upowcy podczas napadu zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kolonii Lipszczyzna pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kolonii Mytnica pow. Dubno podczas napadu zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We wsi Mytnica pow. Dubno podczas napadu zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, znane jest tylko 9 ofiar, w tym rodzice z 2 córkami oraz ojciec z 3 dzieci.

We wsi Ostrów pow. Dubno podczas napadu zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We wsi Pieczychwosty pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We wsi Szpikołosy pow. Horochów zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We wsi Tesłuhów pow. Dubno podczas napadu zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W połowie lipca:

W kol. Buda Hruszewska pow. Równe upowcy zamordowali 17 Polaków: 12 mężczyzn wpędzili do stodoły, powiązali im ręce i nogi drutem kolczastym i żywcem spalili, Annę Bagińską z córką zamordowali na progu domu, jej dwie córki: Bronisławę, lat 16, oraz Helenę, lat 24, w zaawansowanej ciąży wrzucili do studni, zamordowali też 2-letniego syna Heleny, Jana.

W kol. Dębowa Góra pow. Sarny Ukraińcy zamordowali 65-letniego Majewskiego.

We wsi Kołodeże pow. Łuck zgromadzili kilka polskich rodzin przy studni w pobliżu drogi i dosłownie wyrżnęli je kosami i sierpami. Uratowała się Bogacka, która zdążyła uskoczyć w sad i na wpół oszalała w ciągu dnia i nocy przybiegła do Łucka.

W kol. Mirosławka pow. Łuck podczas nocnego napadu upowcy zamordowali co najmniej 34 Polaków, uratowało się tylko 16 ciężko rannych osób, nie wiadomo ile spłonęło w zagrodach.

Tuż przed 16 lipca:

W lasach koło wsi Mydzk pow. Kostopol upowcy bestialsko zamordowali 5-osobową rodzinę leśniczego Matuszaka z żoną Weroniką i 3 dzieci w wieku przedszkolnym.

16 lipca:

W kol. Adamówka koło Ośmigowicz pow. Kowel liczącej 66 gospodarstw polskich i 3 ukraińskie, napad nastąpił w godzinach porannych. Polacy mordowani byli w mieszkaniach, w obejściach, na podwórzach i tam, gdzie dopadnięto uciekających. Wśród morderców byli miejscowi Ukraińcy oraz z sąsiednich Ośmigowicz. Większość ofiar zginęła od siekier, kos, bagnetów, noży, wideł itp. 13 osób półżywych, pokłutych bagnetami, spalono w zagrodzie Korpackich, w tym Józefę Szostak w ciąży. Imiennie znane są 64 ofiary. Polska kolonia z XVIII wieku ograbiona i spalona przestała istnieć. Zamordowani zostali m.in.: Stanisław Badio i jego żona Anna (ich ciała w dużym stopniu spalone leżały w stodole obok siebie, wg przekazu rodzinnego Stanisław miał być przerzynany piłą po brzuchu) oraz ich córka Maria. Bolesław Jędruszczak, jego żona Helena i ich dzieci: Zygmunt i Bolesława - Danuta. Mieczysław Jędruszczak, jego matka Franciszka i siostra Maria Kliszczak. Kazimiera Maria Kamida i jej dzieci: Teresa i Henryk. Józef Kamida, jego matka Maria i żona Honorata (kobiety zostały spalone żywcem 11 lipca 1943 roku w kościele w Kisielinie). Ich syn Roman Kamida po tragedii zaciągnął się do AK i poległ 24 grudnia 1943 roku w Radomlu. Świadkowie twierdzili, że postrzelony przez UPA, konając napisał jeszcze własną krwią na śniegu: "Mamo jak dobrze umierać za Cie" (nie dokończył). (http://wolyn.ovh.org/opisy/adamowka_kupiczow-04.html). „Rodziny ostrzeżone przez Badziów w pośpiechu opuszczały swoje gospodarstwa. Sami Badziowie nie chcieli uciekać twierdząc, że nie mają już dla kogo żyć. Wraz z nimi zginęła ich córka, która przekonywała rodziców do ukrycia się. Ukraińcy schwytali także Królów. Pałkowie mieli więcej szczęścia choć stracili nestora rodu Pawła. Swoją niefrasobliwość przypłacił życiem, gdyż będąc już ukryty wśród zbóż zauważył, że nie zabrał z domu tytoniu i wrócił się. Wraz z innymi schwytanymi zapędzony został przez oprawców do stodoły Dubiela i spalony żywcem. Gdy Polacy zorientowali się, że bandyci opuścili wioskę, niektórzy z nich zaczęli wychodzić z kryjówek i powracać do domostw, czy też do tego co po nich pozostało. Stanisław Mitura, ojciec chrzestny Henryka widział w pogorzelisku stodoły Dubiela spalone ciała powiązane drutem kolczastym." (Henryk Pałka: Z Wołynia do Ziemi Iłżeckiej' w: http://www.ilza.com.pl/aktualnosci,83,artykuly,5,1300,z_woynia_do_ziemi_ieckiej,20). Inni: „Atak na Adamówkę nastąpił dwa dni po masakrze w Kisielinie, we wtorek, 13 lipca, między godz. 8.oo a 9.oo. Pan Henryk opowiada, że banderowcy jechali z góry od pobliskich Twerdyń na taczankach, czyli lekkich, czterokołowych, zaprzężonych w konie wozach. Wzdłuż wozu, oparta o przednią i tylną oś, leżała szeroka, elastyczna deska, na której siedzieli okrakiem"bojcy". Karabiny trzymali zwrócone w obie strony. Jeden obserwował okolicę przez lornetkę. Było ich kilkunastu, bo tylu wystarczyło na bezbronną wieś. Ponieważ zjeżdżali z góry, dokładnie widzieli, jak ludzie chowają się, gdzie kto mógł, w trawę, w kapustę czy w kartofle. Powyciągali ich stamtąd i zgromadzili po kilkunastu w kilku chałupach i stodołach, które podpalili. - Tego dnia zginął mój dziadek, mama i młodszy brat – mówi cicho, ze smutkiem w głosie pan Henryk. - Przeżyłem, bo pasłem krowy z dala od domu. Miałem wtedy 9 lat. /.../ Spalona w stodole rodzina Henryka Malinowskiego została rozpoznana przez ocalałe z masakry jego ciocię i babcię po zachowanych fragmentach ubrań. Ciał nie można było zidentyfikować, ale nasiąknięte krwią ubrania nie spaliły się doszczętnie. - I potem ludzie to rozgrzebywali, każdy swoje szmatki poznawał i gromadził do tych szmatek przynależne kości – wyjaśnia pan Henryk." (Adam Kruczek: Kisielińska epopeja; w: „Nasz Dziennik" z 10 sierpnia 2009).

W kol. Borsuki pow. Kostopol upowcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We wsi Brykula Nowa pow. Trembowla: „16.VII.1943. Waniewicz, kierownik folwarku w Brykuli Nowej, przed wojną dziedzic Brykuli – zamordowany. Jabłońska Irena, lat 17, uczennica, buchalterka folw. w Brykuli Nowej, zamordowana w straszliwy sposób razem z Waniewiczem. Kowalewski, absolwent gim. – zamordowany." (AAN, AK, sygn. 203 / XV/ 28, k. 73 – 90; Komański .... na s. 393 omyłkowo mord datują na kwiecień 1944).

W kol. Czerwona pow. Horochów upowcy oraz miejscowi Ukraińcy zamordowali kilkanaście polskich rodzin, prawdopodobnie nikt nie ocalał.

W kol. Hały pow. Sarny upowcy oraz okoliczni chłopi ukraińscy zamordowali około 60 Polaków i spalili ponad 74 gospodarstw polskich. Atak nastąpił o godz. 23-ciej, kolonia została otoczona szczelnym pierścieniem: w pierwszej linii szła bojówka UPA uzbrojona w broń palną, w drugiej linii maszerowali chłopi ukraińscy uzbrojeni w siekiery, widły, noże i inne narzędzia, za nimi szły kobiety, wyrostki i dzieci ukraińskie rabując polskie mienie i ładując na furmanki oraz pędząc bydło do swoich wsi, po podpaleniu polskich zagród.

We wsi Huta Stepańska pow. Kostopol podczas ataku upowców zginęło podczas obrony bądź zostało zamordowanych około 100 Polaków. Atak na Hutę Stepańską rozpoczął się 16 lipca o godz. 23-ciej. Bierze w nim udział około 2 tysięcy upowców uzbrojonych w broń palną oraz około 4 tysięcy chłopów ukraińskich uzbrojonych w siekiery, widły, kosy itp. Płoną polskie zagrody we wszystkich okolicznych miejscowościach a Polacy są mordowani, część uciekinierów dociera w samej bieliźnie. Pomimo olbrzymiej przewagi Ukraińców udaje się Polakom powstrzymać panikę kobiet i dzieci i podjąć obronę. „W szkole i w schronach zgromadzono wszystkie dzieci z matkami, chorych i starców. Reszta ludności brała udział w obronie. W wyznaczonych rejonach stały przygotowane zaprzężone w konie furmanki do ewentualnej ewakuacji. Z rejonu uzdrowiska Słone Błota strzelano do Huty z granatników. Upadające pociski wzniecały pożary, zabijały ludność, rozbijały furmanki i konie. Mama moja z bratem i siostrą była w szkole, ja z drewnianym „karabinem" i nasadzonym na nim bagnetem byłem w bunkrze. Słychać było straszliwe krzyki ludzi, pomieszane z wybuchami granatów i kanonadą strzałów. Pierwsze wrażenie było straszne. Napór Ukraińców od stron północnej i wschodniej był tak silny, że rozkazano nam kilkakrotnie w ciągu tego napadu wybiegać z bunkra i krzycząc „hurra!" biec do walki na bagnety. To zatrzymywało Ukraińców. Na polu przed naszymi bunkrami leżała duża ilość zabitych bandytów i Polaków." (Włodzimierz Drohomirecki: „Oczami dziecka"; w książce „Świadkowie mówią"). Czesław Piotrowski szacował, że w wyniku pierwszego uderzenia UPA zginęło około 300 osób, głównie z Perespy, Wyrki, Hał, Soszników, Tura i Użania, oraz około 50 osób w Omelance. "W dniu 16 lipca 1943 r. z kierunku Omelanki i Siedliska banderowcy przerwali nasza obronę, weszli przez wieś, paląc po drodze i zabijając uciekinierów, którzy uciekli do szkoły, gdzie mieściła się główna siła samoobrony. Ja w tym czasie, wraz z siostrą, mamą i babcią, skierowaliśmy się do schronu, który sam przez tydzień kopałem a znajdował się w sadzie. Gdy koło 12-tej w nocy walki się nasiliły, baliśmy się siedzieć sami w tej jamie, uciekliśmy w kierunku młyna Szmytkowego na łąki, pod gradem kul zapalających. Na odkrytym terenie przebywaliśmy przez całą noc, wraz z dużą gromadą uciekinierów leżąc plackiem. Gdy nad ranem ucichło, powróciliśmy do domu, zabierając płaszcze i inne drobne rzeczy, a najważniejsze suchary i to wszystko, co mogliśmy w ręku unieść. Było bezcelowe w dalszym ciągu przebywać w mieszkaniu, w każdej chwili groziło ponowienie ataku ze strony banderowców, a we wsi prawie nie było nikogo, wszyscy udali się do szkoły pod opiekę samoobrony. Gdy wracaliśmy przez wieś, gdzie w nocy banderowcy przerwali pierścień samoobrony, zgroza i przerażenie mnie obleciało na widok tylu zabitych i dopalających się domów. A gdy przechodziłem koło Domu Ludowego, wszedłem tam do środka, myślałem, ze zemdleję na widok tylu trupów ułożonych jeden przy drugim, dzieci, kobiety, mężczyźni. W południe 17-go lipca 1943 r. wykopano zbiorowy grób na boisku sportowym, gdzie na dnie ułożono ciała, owinięte w prześcieradła, koce i inne narzuty, bo trumien nie było czasu robić gdyż w każdej chwili spodziewano się ponownego ataku. Jak pamiętam w czasie pogrzebu było trzech księży z pobliskich miejscowości spalonych przez banderowców. Podczas tej smutnej ceremonii rozpacz i płacz ogarnął nas wszystkich zgromadzonych na miejscowym boisku sportowym. Po pogrzebie przybyliśmy pod szkołę, bo do szkoły nie mogliśmy się dostać, bo była zapełniona ludźmi i tylko udało nam się dostać do schronu, gdzie na boisku szkolnym kilkanaście było już wykopanych, z myślą o obronie ludności zgromadzonej we wsi. Wszystkie były zapełnione do ostatniego miejsca, całe rodziny i ci co byli nie zdolni do walki (obrony), bo mężczyźni byli na stanowiskach by bronić swych dzieci, żon i matek. Uzbrojenie samoobrony, było słabe, mało kto miał karabin, a w większość stanowili „kosynierzy" z kosami na kiju, brat który miał 16 lat także zaliczał się do nich. Spokój był do wieczora, ja w tym czasie wraz z kuzynem Stanisławem Włoszczyńskim chodziłem po zgliszczach spalonego domu, który znajdował się w pobliżu szkoły, został spalony w nocy po przerwaniu pierścienia samoobrony. Grzebiąc w popiele i dopalającym się drewnie nazbieraliśmy pełne kieszenie spalonych gwoździ i z tym „skarbem" wróciliśmy do okopów, gdzie odbywały się głośne modlitwy proszące pana Boga o życie, o przetrwanie a także o lekką śmierć, gdyż słaba była nadzieja, aby wszyscy wyszli z tego cało. Ludności było około 5 tys. dzieci, matek i starców, a sprawnych do obro-

ny około 800-900 osób i to co 4-ty miał broń, a ze strony banderowców, przewaga pięciokrotna, mocno uzbrojona w broń maszynową a także i w moździerze, siejąc postrach wśród ludności w okopach i poza obszarem szkoły. Spokój był do zmierzchu. Samoobroną dowodził por. Kochański, który przedostał się tu po rozbiciu samoobrony w Wyrce. W późnych godzinach wieczornych, rozpoczął się atak generalny. Najpierw zaczęto ostrzeliwać z moździerzy, stanowisko w szkole, kościele, cmentarzu. Po tych zastraszających wystrzałach, które trwały kilka godzin, nastąpił atak banderowców ze wszystkich stron, paląc i zabijając naokoło Huty. W tym czasie, dzwon kościelny dzwonił na trwogę, mieszając się z wystrzałami, nacierających i obrońców Huty Stepańskiej. Ja wraz z mamą, babcią i siostrą, oraz z pozostałymi osobami, modliliśmy się o powstrzymanie przez obrońców atakujących banderowców. Była to zażarta walka o swoje i rodzin życie, ginęli nasi obrońcy na stanowiskach, broniąc, swych najbliższych, nie cofając się ani kroku do tyłu, bo za plecami były ich dzieci, matki i dziadki. Późno po północy Bóg wysłuchał modlitwy niewinnych ludzi, zrobiło się cicho, nadeszła duża mgła, obrońcy utrzymali się na swoich stanowiskach, banderowcy zaniechali ataku przy słabej widoczności, a także poniesionych dużych stratach w ludziach i sprzęcie. Korzystając z okazji, ze banderowcy zaprzestali ataku i dużej mgły, dowództwo samoobrony poinformowało ludzi, ze dalsza obrona jest beznadziejna, ponieważ amunicja jest na wyczerpaniu, a miejscowości samoobrony blisko Huty padły m.in. Siedlisko, Wyrka, Hały, a przy takim skupisku ludzi, obrońcy nie gwarantują bezpieczeństwa. Samoobrona radzi, aby przynajmniej połowa ludności, a najbardziej po za szkołą wycofała się w kierunku Wyrki i Hały do miejscowości kolejowych Rafałówki i Grabiny, gdzie stacjonują duże garnizony niemieckie. My z tej okazji także skorzystaliśmy, podążyliśmy pieszo, wraz z około 3-ma tys. ludzi, a było to w nocnej porze z 17 na 18 lipca 1943 r. Większość gospodarzy miała wozy, które w długim ogonie opuszczały swoja ojcowiznę raz na zawsze, na nieznaną poniewierkę. Ja z kolei wraz z rodziną pozostawiając cały dobytek, krowy, kury, mając jedynie niewielki zapas sucharów i płaszcze na sobie, uciekaliśmy przed śmiercią, jaka groziła nam ze strony banderowców. Gdy w nocy kolumna wozów i pieszych, posuwała się w kierunku Siedliska i Wyrki, na tył wozów padły strzały, nie zrobiło to większej szkody, ponieważ odległość była duża, a jedynie niepokój wzrósł wśród uciekinierów, że w każdej chwili ponownie mogliśmy być zaatakowani. Ja wraz z całą rodziną pospieszyliśmy się z końca kolumny do przodu, łatwiej nam było, ponieważ byliśmy pieszo, a furmanki wypełnione dobytkiem wlokły się wolniej, a przy niektórych wozach prowadzono krowy. I tak wędrowaliśmy przez całą noc, bez większych zakłóceń, dopiero gdy kolumna wozów i ludzi wkroczyła do Wyrki, ujrzeliśmy sterczące kominy spalonych domów, gdy dochodziliśmy do mostu drewnianego, po lewej stronie tlił się ogień a przy nim leżeli pomordowani, zwłoki całej rodziny, dzieci, kobiety, mężczyźni. Widok ten mnie bardzo przeraził, a po prawej stronie dopalał się młyn, jakby przed godziną specjalnie podpalony, aby była dobra widoczność na posuwających się uciekinierów. Na wyniki nie trzeba było długo czekać, gdy dochodziliśmy do mostu, posypał się grad kul z karabinu maszynowego, ci co byli w czołówce karabin skosił, konie pokaleczone i ranni ludzie, tworzyli jedno wielkie kłębowisko, krzyk wołających o pomoc rannych ludzi, tarasujących most. Furmanki i ludzie w popłochu zjeżdżali z drogi na lewo i prawo. Ja z kolei stoczyłem się z drogi i wpadłem do rzeczki i zacząłem niemiłosiernie wrzeszczeć i wołać na cały głos „ mamusiu nie zostawiaj mnie”. W tym czasie wszyscy byli w szoku, nie wiedzieliśmy, co się dzieje, przy tym jęku, jazgocie, krzyku, nie wiedzieliśmy gdzie uciekać, gdzie się schronić. Na ten mój krzyk, mama oprzytomniała, złapała mnie za rękę i wraz z siostrą schroniliśmy się pod mostem, przy nas kłębowisko ludzi uciekających z zagrożonej drogi. Po pół godziny czasu tej strzelaniny nasi obrońcy z samoobrony zaczęli strzelać w kierunku, skąd padły strzały ze strony banderowców. Dzięki bohaterskiej samoobronie i niesamowitej mgle, banderowcy nie podjęli dalszej walki. Ludność rozproszona wokoło zaczęła się skupiać i podążać do wsi Hały, a tam już blisko było do stacji kolejowej Grabina, w której stacjonował silny oddział niemiecki. W czasie ucieczki, gorąco i ciężko nam było, pozostawiliśmy jedynie ciepłe palta, a suchary dawno już przy moście w tej zawierusze zgubiliśmy, odbiło się to na dalszym naszym losie, gdyż przez około dwa dni nie mieliśmy co jeść, bo zanim dostaliśmy się do pracy w Niemczech przez dwa miesiące spaliśmy w lagrach na gołych deskach, gdzie nie było się czym przykryć. W czasie ucieczki noga moja bardzo mocno krwawiła, ale ja nic nie czułem. Gdy to mamusia zobaczyła myślała, że jestem ranny, podczas oględzin spostrzegła gwoździe wydobywające się z kieszeni, które kaleczyły mi nogę, natychmiast pozbyliśmy się ich, mój „skarb” znaleziony na pogorzelisku w Hucie Stepańskiej. Gdy przechodziliśmy przez wioskę Hały, która była spalona wraz z dobytkiem, zobaczyliśmy w niektórych miejscach rozkładające się trupy. Po przejściu tej wioski bez przeszkód dotarliśmy do stacji kolejowej Grabina. Wagony towarowe były już podstawione i po paru godzinach Niemcy wywieźli nas do Kostopola, skąd ruszyliśmy w dalszą drogę na roboty do Niemiec, na dalszą poniewierkę, uciekając od jednych bandytów szliśmy pod skrzydła drugich, innego wyjścia nie było, ale przynajmniej była nadzieja przetrwania”. (Władysław Włoszczyński: Moje wspomnienia z Huty Stepańskiej; w: KSI nr 7 z 2013 r.).

We wsi Jabłonowszczyzna pow. Dubno zamordowali 7 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

Koło miasteczka Kiwerce pow. Łuck w zasadzce UPA zginął 1 członek samoobrony z Przebraża, a kilku zostało rannych, w tym ciężko dwóch, którzy pełnili poważne funkcje w samoobronie.(Henryk Cybulski: Czerwone noce).

We wsi Korzyść pow. Równe zamordowali 2 Polki: 26-letnią Paulinę Galińską i 38-letnią Marię Galińską.

We wsi Kupowalce pow. Horochów Polakom tej starej polskiej wsi, z rodowodami szlacheckimi, Ukraińcy gwarantowali bezpieczeństwo w zamian za dostarczanie żywności dla UPA. Atak nastąpił w południe, równolegle z napadem na sąsiednie wsie Szeroka i Lulówka. Pod każdy polski dom podjechała furmanka z „ukraińskimi powstańcami” i następowała rzeź „od niemowlęcia po starca” za pomocą siekier, noży, bagnetów i innych narzędzi mordu własnej produkcji. Miały miejsce potworne gwałty na dziewczętach i kobietach, okaleczanie i bestialskie tortury. Rzeź trwała cały dzień, a następnego dnia przeszła „druga fala” wyłapując ukrywających się i dobijając rannych. Całe rodziny były wiązane drutem kolczastym i palone żywcem, bądź wrzucane do studni. Siekierami odrąbywano głowy nawet kobietom, które następnie oprawcy obnosili chwaląc się swoim „heroizmem” w tym „konflikcie polsko-ukraińskim”. Prawie wszystkie kobiety po gwałtach miały obcinane piersi, wyłupywane oczy, rozprute brzuchy. Tak „ukraińscy powstańcy” wyrżnęli 160 Polaków. Ograbiona i spalona wieś stała się jednym wielkim cmentarzem, po którym obecnie nie ma ani śladu (Siemaszko..., s. 129 – 130). Edmund Żukowski zeznaje: „Po pewnej chwili zajechało pod dom kilka furmanek, wpadli na podwórze, wyciągnęli z domu panią Rabczyńską i przyciągnęli do pnia, który stał na podwórku. Trzech trzymało za ręce i nogi, a czwarty za włosy. Położyli na pniu i toporem obcięli głowę, którą potem trzymali do góry, pokazując. W ukryciu przesiedzieliśmy do nocy. Był to straszny widok, cały widnokrąg w ogniu, ryk bydła, wycie psów, krzyki, sądny dzień. /.../ Tam też znalazłem babcię Żukowską. Miała porżniętą pierś nożem i poderżniętą szyję, którą zawinęła chustką i przez dwa dni jeszcze żyła, po przewiezieniu do Horochowa zmarła. /.../ Na podwórzu był wujek Łazowski, ciotka Pelagia, synowa z 4-letnią córeczką oraz syn Henryk. Ukraińcy otoczyli zabudowania. Synowi Henrykowi udało się uciec. Pozostałych z rodziny powiązano drutami, zamknięto w stodole i podpalono. Spłonęli żywcem” (Siemaszko..., s. 1127). „Samoobrona pojechała na wypad, kierunek Kupowalce, aby zobaczyć, co, gdzie i jak wyglądają ci pomordowani, bo Ukraińcy wybrani donosili, że leżą i nikt nie pochował ich. Pojechali, a było trzy tygodnie po napadzie, tym morderczym. Zeszli z wozów i szli pieszo, i o dziwo kopica siana poruszyła się. Przerażeni patrzą, a w tej kopie siana siedziała kobieta, 55 lat, pani Szuryńska, która siekierą miała przerąbany obojczyk prawy. Upadła i Ukrainiec myślał, że zabita, a ona ocuciła się i doszła do kopicy siana i tam się żywiła. Tarła kłosy ze zboża: żyta, pszenicy i tak żyła trzy tygodnie. Przywieźli ja do Horochowa, opatrzyli w szpitalu, ale rana była tak wielka, że zaraz ja odwieźli do Lwowa do szpitala.” (Wspomnienia Józefy Wolf z domu Zawilskiej; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/aleksandrowka-jozefa_wolf.html). “Wobec przerażających doniesień o dokonywanych przez Ukraińców mordach bezbronnej ludności, ważyliśmy decyzję opuszczenia Kupowalec. I taką decyzję podjęliśmy bodajże 14 lipca 1943 roku. Zaczęły się przygotowania. Mama tego dnia wywiozła do miasta powiatowego Horochowa moją najmłodszą siostrę Alicję, zostawiając ją u księdza z naszej parafii Kobylińskiego, który w Horochowie schronił się już wcześniej. 16 lipca, z rana, ojciec pojechał do kowala, by poprawić coś przy wozie. Czuło się już najwyraźniej atmosferę niepokoju i wielu mieszkańców Kupowalec i pobliskich miejscowości rozważało możliwość opuszczenia swych domów. Zaraz po południu udałem się do Łazowskich. Gdy tam trafiłem, rodziców Heńka nie było, gdyż około południa pojechali wozem na znajdującą się w odległości ok. 1,5 km, nowo kupioną od legionisty, pułkownika Wróblewskiego działkę, grabić uprzednio wykoszoną mieszankę paszową. Heniek i jego siostra Pelagia udawali się tam również. Szedłem z nimi pieszo kawałek, a następnie skręciłem do domu pod szopę, gdzie mama przynosiła mi obiad. Jadłem obiad z mamą, bratem Alfredem i siostrą Moniką. Ojciec był u kowala a brat Zygmunt u dziadka. Ledwo skończyliśmy jeść, zobaczyliśmy, jak drogą maszeruje ogromna, licząca ze stu ludzi gromada. Na czele szedł człowiek z harmonią, i posłyszeliśmy, że gra melodię piosenki „Smert, smert Lacham”. Była to jedna z grup ukraińskich bandytów otaczających miejsca zamieszkania Polaków. Byliśmy bezbronni, bo w ciągu dnia jedyny karabin, jakim dysponowaliśmy, znajdował się w schowku. Siostrze i bratu kazałem natychmiast uciekać w zboże. Kolumna przeszła obok, więc jeszcze nie byliśmy zorientowani w ich zamiarach, ale za chwilę dostrzegłem, że kilku z nich za sadem ustawia karabin maszynowy nazywany przez sowietów „diechtiariowem”. Zostało przy nim trzech bandytów. Pokazałem ich mamie i już wiedzieliśmy, co to oznacza. Prosiłem mamę, by uciekała, ale ona uparła się, by iść do obory i wypuścić krowy. Ja ukryłem się i widziałem, jak krowy wychodzą, w tym jednak momencie na podwórko weszło trzech bandziorów. Skierowali się do obory a ja dosłyszałem ich słowa: „chto u was jest w chati?”. Nie słyszałem odpowiedzi, bo rzuciłem się do ucieczki, jednocześnie rozglądając się, czy gdzieś nie widać siostry i brata. W tym czasie oprawcy zawlekli mamę do mieszkania, gdzie w okrutny sposób ją zamordowali (zakłuta została nożami). Dziadek Kuźmy Niżnika, który żył w przyjaźni z moim dziadkiem Walerym Sawickim, opowiadał później mojemu bratu Zenkowi (w szpitalu), że moja mama i brat Alfred byli bardzo zmasakrowani. Mój ojciec w pierwszej chwili skrył się w zbożu i siedział tam aż do nocy. W nocy udał się do naszego sąsiada Nikoły Kowalczuka, który przechowywał go przez kilka dni. Uciekałem wprost przed siebie i doleciałem do rosnącej na środku pola niewysokiej czereśni. Wdrapałem się na nią i zacząłem rozglądać dookoła. Zobaczyłem, że bandyci rozciągają się w tyralierę i po kilku kierują się do zabudowań. Wkrótce zostałem zauważony i w moim kierunku posłano serię z karabinu maszynowego. Zaszeleściły liście, ale nie zostałem trafiony. Prawie natychmiast zeskoczyłem i najprawdopodobniej Ukraińcy uznali, że zostałem zestrzelony, bo już więcej nie próbowali strzelać. Ja zaszyłem się w zboża, zająłem pozycję na wzniesieniu i czekałem, co będzie dalej. Dobrze widziałem odcinek drogi, która prowadziła ze Stojanowa do Beresteczka. Po drugiej stronie tej drogi było kilka domów odległych ode mnie o jakieś 250 m. Mieszkała tam między innymi rodzina Gadawów. W tym czasie, niczego nie podejrzewając, pracowali w ogrodzie. Była tam matka wdowa z trójką dzieci, a najstarszy syn miał 14 lat. Był z nimi również przechowywany i ukrywany przez tę rodzinę żołnierz sowiecki, który uciekł z obozu jenieckiego. Widziałem, jak skierowało się tam czterech bandytów. Wszystkich mieszkańców bandyci zagonili do domu. Tam matkę, jej trójkę dzieci i żołnierza, w okrutny sposób zamordowali. Właśnie za tym domem pracowała przy sianie rodzina moich sąsiadów - Łazowskich. Gdy bandyci skończyli z Gadawami, wyszli na zewnątrz, a jeden z nich przyklęknął i strzelił w kierunku Łazowskich. Po tym strzale Heniek Łazowski rzucił widły i zaczął uciekać w kierunku Szerokiej. Gdy dobiegał do łanu zboża, z tego zboża wyskoczył bandzior z karabinem, chciał Heńka zatrzymać, ale nie udało się to, bo Heniek biegł bardzo szybko. Ukrainiec zaczął go gonić i strzelać z karabinu. Strzały nie były celne. Biegnąc Heniek wpadał do domów i wołał: „uciekajcie bo mordują!”. W pierwszym domu na Szerokiej goniący Heńka Ukrainiec dopadł matkę i córkę Drewnowskie, które zastrzelił. Heniek pędził dalej i wpadł do domu rodziny Gilewiczów (Aleksandra Gilewicza). Zaalarmował ich, po czym wszyscy rzucili się do ucieczki. Nie zdążył tylko dziadek Gilewicz, którego dopadł Ukrainiec i zastrzelił. Heniek biegł dalej przez Kupowalce i alarmował innych mieszkańców. Dzięki niemu wiele osób zdołało uciec, przede wszystkim w zboża, i uniknąć śmierci. Kiedy Heniek Łazowski zaczął uciekać przed bandytami, jego bliscy, pracujący przy sianie, zaczęli uciekać w kierunku wozu. Zobaczyli jednak, że w zbożu są Ukraińcy i myśleli, że Heniek został zabity. Byli zdezorientowani. Ale niedaleko mieszkała rodzina niemiecka, więc postanowili tam się ukryć. Schowali się w stodole. Nie udało im się jednak uciec przed pogonią. Bandyci ich dopadli. Mieszkająca tam Niemka Hapko opowiadała, że początkowo ją i Łazowskich zgonili razem do stodoły, gdy jednak dowiedzieli się, że jest Niemką puścili wolno. Widziała, jak matka Łazowska klęknęła przed bandziorami i prosiła, aby ją i ojca Łazowskiego zabili, a darowali życie córce Pelagii, synowej Antoninie i jej czteroletniej córeczce Inezie. Ukraińcy zabili jednak z premedytacją naprzód małą Inezę, potem Pelagię, dalej Antoninę a na końcu widzących to wszystko rodziców Heńka Romanę i Aleksandra. Potem stodołę podpalili. Nie wiadomo nawet, czy w momencie podpalenia wszyscy byli już martwi. Wcześniej w domu Łazowskich Ukraińcy zamordowali babcię Łazowską-Bogacką. Tak zginęła rodzina Łazowskich. Moją rodzinę spotkał łagodniejszy los. Siostra Monika ukryła się dobrze w zbożu i przeżyła. Brata Alfreda, który miał wtedy 14 lat, Ukraińcy złapali, zaciągnęli do mieszkania i w okrutny sposób zamordowali. Ojciec zaś, który był u kowala w Kupowalcach, jak już pisałem, zdołał się uratować. Ja przez jakiś czas siedziałem w zbożu, przez które przeszła w kierunku Kupowalec wspominana tyraliera bandytów. Zauważyłem jednak, że od strony Lulówki zbliża się następna tyraliera i bandyci idą gęsto, więc wiedziałem, że nie mam szans, i że nie było na co czekać. Ruszyłem zbożami w kierunku Haliczan. Była to wieś czysto ukraińska i liczyłem na to, że tam bandyci nie będą szukać, i można będzie bardziej bezpiecznie ukryć się w zbożach. Tak też zrobiłem. Znalazłem sobie dobrą kryjówkę i przesiedziałem w niej do nocy. Stamtąd też obserwowałem co się dzieje. Widziałem jak Ukraińcy plądrowali i rabowali wszystko, co było w zabudowaniach, słyszałem krzyki i wołania o ratunek mordowanych Polaków. Widziałem jak czesali zboże i mordowali wyciąganych z niego niedobitków. A gdy już zakończyli polowanie na ludzi i zrabowali co się dało, zaczęli palić Kupowalce. Wysadzili w powietrze szkołę i kościół. Spalone zostały całe Kupowalce i część Szerokiej. Część zabudowań pod lasem nie była tego dnia spalona, ale później została rozebrana. Gdy nastała noc, spod Haliczan wyruszyłem w kierunku stacji kolejowej Horochów 2, obsadzonej przez uzbrojoną placówkę niemiecką. Aby tam się dostać, trzeba było naprzód przejść przez dobrze pilnowaną przez bandytów szosę Horochów-Beresteczko. Noc była bardzo jasna. Widać było, że co kawałek stoją posterunki bandytów i likwidują wszystkich, którzy przez tą szosę zamierzali przejść. W miejscu, w którym się znalazłem, po drugiej stronie szosy był mały wiśniowy sad. Pomyślałem, że mogę przeskoczyć przez drogę i się w nim schować. Długo obserwowałem otoczenie i nie zauważyłem nic podejrzanego. Więc zaryzykowałem. Kilka skoków i byłem po drugiej stronie. Wpadłem między wiśnie, ale ku memu przerażeniu wprost na stojących tam dwóch uzbrojonych bandziorów. Znalazłem się przed nimi nie więcej jak o jeden metr. Całe szczęście, że i oni przestraszyli się podobnie jak ja – krzyknęli wprawdzie kto idzie, ale zanim zdołali zareagować, wykonałem zwrot i przeskoczyłem z powrotem na drugą stronę. Zaczęli mnie wprawdzie gonić i strzelać, ale w nocy miałem nad nimi przewagę i zdołałem uciec. Udałem się więc w stronę Kupowalec. Tam była inna sytuacja, bo teren był zasnuty gęstymi dymami a widoczność bardzo mała. Jednakże ja znałem go bardzo dobrze, w związku z czym mogłem przekroczyć drogę w miarę bezpiecznie. I jeszcze jedna przeszkoda – rzeka Gniła Lipa, przez którą udało mi się przeprawić i znaleźć przy torach, prowadzących do stacji. I tak dotarłem do stacji Horochów 2, gdzie było już bezpiecznie i gdzie znajdowali się pierwsi uciekinierzy a ciągle przybywali nowi. Był to już wczesny ranek, 17 lipca 1943 roku. Niemcy dali nam ochronę, zaś wszystkich zdrowych i sprawnych, a przede wszystkim młodych przewieźli do Horochowa, tam podzielili na grupy – jedną samotnych, drugą żonatych z rodzinami jak też osobno całe rodziny i zakwaterowano gdzie to było możliwe - w domach pożydowskich, bądź u dobrych ludzi. Znalazłem się w pierwszej grupie, która składała się z ludzi najsprawniejszych, w większości młodych, nie obarczonych koniecznością opieki nad bliskimi. Ustawiono nas w czwórki i zaprowadzono do gimnazjum, znajdującego się obok budynku żandarmerii niemieckiej. Tam nas uzbrojono. Mieli tam dużo broni sowieckiej, którą mogli przekazać bez specjalnych formalności. Komendę nad oddziałem przejął przedwojenny komendant Związku

Strzeleckiego z Poluchna - Muciewicz. Ze strony niemieckiej, niejako zwierzchnikiem, został oficer niemiecki, z pochodzenia Czech, który dosyć dobrze mówił po polsku. Tak została stworzona legalna samoobrona, która miała na celu dać odpór bandom, mordującym nie tylko Polaków, ale i Niemców. Odtąd zaczęła się nasza zorganizowana służba, którą pełnili w zdecydowanej większości ludzie tragicznie doświadczeni, z których niemal każdy przeżył utratę swoich najbliższych. Działania nasze miały przede wszystkim na celu ratowanie niedobitków, znajdujących się w okolicznych zbożach i innych kryjówkach. Po paru dniach zaczęliśmy przeszukiwać teren Kupowalec. Znaleźliśmy tam wielu żyjących jeszcze mieszkańców, na przykład ukrywającą się w zbożu przez 10 dni rodzinę Kazimierza Gilewicza z dwójką małych dzieci (rzecz jasna nie wiedzieliśmy wtedy, iż ratując niespełna trzyletniego Krzysia, ratujemy obecnego redaktora naczelnego „Gazety Łańcuckiej" – Krzysztofa Gilewicza), mego ojca Michała Sawickiego, który jak wspominałem w czasie mordu był u kowala oraz bardzo wielu innych mieszkańców Kupowalec i pobliskich miejscowości". (Relacja Czesława Sawickiego, urodzonego 24.04.1923 roku w Kupowalcach, spisana w czerwcu 2000 roku, uzupełniona, poprawiona i autoryzowana w dniu 8 lipca 2003 roku, zamieszczona w II części książki Krzysztofa Gilewicza „Krzyż Wołynia"; za: Czesław Sawicki: Uciekałem wprost przed siebie; w: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/868-uciekaem-wprost-przed-siebie.html). Roman Witkowski: "W Kupowalcach mieszkała tylko jedna rodzina o nazwisku Witkowscy. Jestem jedynym członkiem tej rodziny, który przeżył tragedię wołyńską. W dniu napadu miałem 10 lat i 10 miesięcy. /.../ Napad bandytów ukraińskich w Kupowalcach rozpoczął się po południu 16 lipca 1943 roku. Zawiadomił nas o tym Heniek Łazowski z Lulówki, który przybiegł do Kupowalec i nawoływał do ucieczki. Pamiętam, że Irka Jasińska akurat wygoniła krowy, by je paść na łące. Heniek wołał do niej: "Irka, uciekaj, bo mordują! Już moi rodzice nie żyją!" Pobiegli, już ich więcej nie widziałem. Moi rodzice byli wówczas na łące, składali tam siano, ale w tej sytuacji wrócili szybko do domu. Mój ojciec rozmawiał z sąsiadem - Janem Żukowskim. Nie wiedzieli, co o tym myśleć, bo wcześniej Ukraińcy mówili, że Polaków, mieszkających w tej miejscowości od dziesiątków czy nawet setek lat, mordować nie będą. Postanowili więc, że pójdą dowiedzieć się, co się dzieje. Udali się w stronę Boroczyc. Koło domu Ukrainki zwanej Kowalichą zostali, wraz z innymi sąsiadami, napadnięci przez bandytów, którzy egzekucji dokonali w sadzie Kowalichy. Większość zamordowano na miejscu (napadnięci zostali: Jan Żukowski, Antoni Witkowski, Stanisław Konopko, Kazimierz Konopko i najprawdopodobniej Mikołaj Konopko; w tym miejscu zginęło prawdopodobnie 9 osób, pozostali byli krewnymi żony Józefa Konopki). Ojciec, ranny w szyję, padł jak zabity, był nieprzytomny, ale jeszcze żył. Odzyskał przytomność następnego dnia i dowlókł się do jakiegoś sąsiada Ukraińca, prosząc, by go opatrzył, a ten, podobno, dał mu jakieś brudne szmaty. Potem tato przepłynął rzekę, bo była w tym miejscu niezbyt szeroka, a za nią był już bezpieczniejszy. Tam zaopiekowali się nim Polacy, jednak jego stan był krytyczny z powodu dużego upływu krwi i zakażenia. Został odtransportowany do Horochowa, ale możliwości uratowania życia już nie było i zmarł. Kiedy tato wyszedł, byłem jeszcze w domu. Widziałem, że ludzie biegli na łąki w stronę rzeki. Powiedziałem mamusi: „Ja uciekam!". Mama naprędce przygotowała mi jakąś odzież, którą wziąłem na rękę, pobiegłem. Biegłem szosą w kierunku zabudowań Bronisława Gilewicza, potem skręciłem w prawo, ale koło mnie gwizdały już kule. Skręciłem w podwórko i przez jakąś miedzę dotarłem do stojącego w polu stogu z sianem. Pod nim siedziały dwie kobiety – jedna, jeśli dobrze pamiętam, była to Ukrainka Pograniczna. Kiedy mnie spostrzegła, zaczęła krzyczeć, żebym uciekał, bo jeszcze przyjdą banderowcy i je również zamordują. Dobiegłem do łąk i spostrzegłem, że od strony Haliczan ucieka bardzo dużo ludzi. Ktoś spośród nich miał mocno zakrwawioną koszulę – był to Franciszek Wójcicki. Dołączyłem do nich. W tej grupie był też Bronisław Gilewicz z rodziną. Powiedział, że pójdziemy do olszyny, gdzie rzeka jest najwęższa i może uda się przez nią przedostać. Kiedy tam dotarliśmy, z drugiej strony rzeki wyszedł z lasku na brzeg jakiś człowiek, pewnie ukraiński oficer, w zielonym mundurze, wysokich butach i takiej charakterystycznej wysokiej czapce, obok niego mężczyzna w kombinezonie i jeszcze ktoś trzeci. Ten oficer, widząc tylu ludzi, zaczął krzyczeć, żebyśmy uciekali, bo tu nie ma przejścia. Kiedy udało nam się odskoczyć, wystrzelił w górę czerwoną rakietę (zapewne był to sygnał do niszczenia naszej wsi). A my, zamiast w stronę Boroczyc, zaczęliśmy uciekać w stronę Haliczan. Rósł tam folwarczny owies i w nim się zatrzymaliśmy. Zaraz po tym zobaczyliśmy, że bandyci zaczynają palić Kupowalce. Z czymś takim nigdy się nie spotkałem – był to przerażający szum impetu rozgrzanego powietrza, połączony z ludzkim krzykiem i odgłosami wystrzałów. A potem widzieliśmy, jak Ukraińcy rabowali nasze mienie, ładowali wszystko na wozy i wywozili w stronę Szerokiej i Haliczan. Świnie kwiczały, bo Ukraińcy brali je na wozy, słyszeliśmy, jak Ukraińcy i Ukrainki krzyczeli do siebie. A później żadnych zwierząt błąkających się po Kupowalcach już nie było widać. Pamiętam łuny i słupy ognia, które nad Kupowalcami utrzymywały się przez całą noc. Tak ginęła nasza miejscowość, z którą związane były lata mojego dzieciństwa. Czego Ukraińcy nie zrabowali – zniszczyli i spalili. Palili domy i budynki gospodarcze nie tylko pomordowanych, ale też żyjących Polaków i żywy inwentarz, np. u sąsiada Żukowskiego spalili żywcem jego dwa piękne konie. W okolicznych zbożach ukryło się wtedy sporo mieszkańców Kupowalec. Pamiętam dobrze, że była tam też rodzina Kazimierza Gilewicza, chociaż dla bezpieczeństwa byliśmy w mniejszych grupkach, możliwie daleko od siebie. Wydaje mi się, że w tych zbożach ukrywaliśmy się niecałe dwa tygodnie. Napad rozpoczął się w piątek po południu, a chyba w niedzielę starsi zadecydowali, że pójdziemy tam, gdzie mieszkali Maria i Bronisław Gilewiczowie; przez ich podwórko, na którym była jeszcze niezniszczona studnia, przedostaniemy się w wysokie, dorodne zboża. Gilewicz i Jasiński chcieli też zorientować się, czy nie uda się znaleźć czegoś do jedzenia. Kiedy przeszliśmy przez szosę i weszli w te zboża, Bronisław Gilewicz powiedział do swojej żony Marii, że koło Pogranicznego leżą zamordowani: Antonina Witkowska (moja mama) z dzieckiem (moim pięcioletnim braciszkiem Januszkiem, urodzonym w 1938 roku) oraz stary Sawicki nazywany „Bogaczem". Wtedy zacząłem bardzo mocno płakać, a pani Gilewiczowa powiedziała: "Nie płacz, bo się jeszcze rozchorujesz i co my z tobą zrobimy?!" Pewnego dnia, to chyba była niedziela, kiedy siedzieliśmy w tych zbożach Bronisława Gilewicza, usłyszeliśmy, że turkocze jakiś wóz, który skręcił w prawo na Szeroką. Zaraz potem rozległy się dwa wystrzały. Okazało się, że Ukrainiec zabił wtedy Stanisława Żukowskiego, którego nazywano „Palestyną". Wcześniej Stanisław wpadł na swoje podwórze i wziął bańkę z mlekiem, niestety, nie była szczelna i pozostał ślad. Dostrzegł to Ukrainiec, poszedł za nim i Stanisława zastrzelił. Dosyć długo ukrywaliśmy się w tym zbożu, więc nie było już prawie nic do jedzenia. Poza tym zaczęło tam przychodzić błąkające się po okolicy bydło, co groziło zdekonspirowaniem naszego miejsca ukrycia. Starsi zadecydowali więc, że przejdziemy pod Nowe Gniezno, koło gospodarstw Galiców, gdzie po ich wywiezieniu na Sybir mieszkali nasiedleni Ukraińcy. Starsi nawiązali z nimi kontakt i w końcu zamieszkaliśmy w jakiejś stodole. Nie pamiętam, kto był jej aktualnym użytkownikiem, ale na pewno był to Ukrainiec, jego rodzina żywiła nas, kiedy tam przebywaliśmy. Krążyła tam pogłoska, że pop w Haliczanach może dać zaświadczenia, że jesteśmy prawosławni, ale nikt nie wierzył, że to może nam pomóc. Dziś już nie pamiętam, po co poszedłem z Bronisławem Gilewiczem do Sołonynki (podobno ukraiński bandyta), prawdopodobnie to on dał memu ojcu brudne szmaty na obandażowanie rany. Z tego spotkania zapamiętałem baczne spojrzenie Sołonynki, które napełniało mnie strachem i przerażeniem, i smak jajecznicy ze skwarkami, którą zostaliśmy poczęstowani. Gdy wracaliśmy do Kupowalec, dostrzegliśmy furmanki jadące od strony Horochowa. Rozpoznaliśmy znajome twarze. Byli to ludzie z samoobrony, którzy szybko rozeszli się po zgliszczach swych gospodarstw, wykopywali, co udało się ocalić (jeśli „sąsiedzi" ich nie uprzedzili). Wszyscy przygotowywali się do wyjazdu do Horochowa. Usiadłem na wozie i zapłakałem. Podszedł do mnie młody jeszcze mężczyzna i zapytał, dlaczego płaczę. Powiedziałem, że nie mam do kogo wracać. Pocieszył mnie, mówiąc: "Nie płacz, mam trzech synów, jak będzie trzeba, znajdzie się miejsce i dla ciebie". Kiedy dojechałem do Cechowa, zauważyłem, że u Rajchów i Strutyńskich jest ktoś w domu. Poszedłem do nich i razem pojechaliśmy do Horochowa. Zostałem z Rajchami do kwietnia 1945 roku. W Horochowie słyszałem, jak Hałas opowiadał o losie swojej rodziny. Historia ta bardzo nami wstrząsnęła, bo wiedzieliśmy, że Hałasowa była w ciąży. Dowiedzieliśmy się, że w czasie ucieczki urodziła dziecko gdzieś w polu i oboje zaraz zostali zamordowani przez Ukraińców. Hałas uciekał ze starszą córką (w wieku mojego brata Januszka), ale, ponieważ gonił go Ukrainiec, wiedział, że nie zdoła uciec, więc odrzucił dziecko gdzieś w bok i sam się uratował. Później, po wojnie, nie mógł sobie tego darować i jak mówił, przez całe życie słyszał głos córeczki: „Tatusiu, nie zostawiaj mnie!". Przypomniałem sobie, że kiedy siedzieliśmy w tej stodole, Gilewicz i Jasiński przynieśli wiadomość, że pod lipą u Stanisława Sawickiego (zwanego „Sekretarzem") zakopane są czyjeś zwłoki, bo spod ziemi wystają jasne włosy. Wtedy, kiedy to wszystko się działo, nic nie wiedziałem o okolicznościach, w jakich zostali zamordowani moja mama Antonina i brat Janusz. Dopiero w roku 1975, kiedy pojechałem po raz pierwszy po wojnie w rodzinne strony, dowiedziałem się o niektórych szczegółach. Zatrzymaliśmy się koło posesji Józefa Pogranicznego (to rodzina Ukraińców, o których wiedziałem, że niektórzy byli aktywnymi członkami band, ale przed wojną żyli z Polakami w zgodzie), przy drodze Horochów – Beresteczko. Był tam mały kopczyk, najprawdopodobniej mogiła pomordowanych: mojej mamusi, brata i Sawickiego. Zebrało się tam sporo ludzi, pytali, kim jestem. Okazało się, że niektórzy pamiętali rodziny Witkowskich i Łazowskich. Zapytałem Pogranicznego, czy zna rodzinę Witkowskich. Odpowiedział, że tak. Zapytany, co wie o ich losach, odparł, że Witkowska jest z dziećmi w Polsce, a jej mąż zginął. Kiedy znajomy Ukrainiec, z którym przyjechałem, powiedział, że to młody Witkowski, „przypomniał" sobie, że pochował Witkowską, dziecko i Sawickiego. Znajomy zapytał, w jaki sposób zginęli. Odpowiedział, że zostali przyprowadzeni w to miejsce i rozstrzelani przez dwóch goniących ich bandytów. Pograniczny powiedział mi, że osobiście grzebał moją matkę, brata i Sawickiego. Nie wszystkie relacje, które słyszałem, były dokładne i zgodne, ale z tego, co mi mówiono, wnioskuję, że mama wraz z Januszkiem i Sawickim uciekali wozem, gdy nagle zaczęły padać strzały. Ukraińcy najpierw trafili i ranili konia. Wtedy wszyscy zeszli z wozu i zaczęli uciekać pieszo. Nie uciekli. Zostali zamordowani przez bandytów". (Roman Witkowski "Tego nie można zapomnieć"; w: Rocznik Międzyrzecki, tom XLI z 2011 r., Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Międzyrzecu Podlaskim; za: http://miedzyrzec.info/artykuly/pamietaja-o-pomordowanych-na-kresach/ ; oraz: KSI nr 7 z 2013 r). Krzysztof Gilewicz: Niemal każda rodzina przygotowana była na ucieczkę, czekały kosze i tobołki z najpotrzebniejszymi rzeczami, w nocy wystawiano czujki, a w miesiącach i dniach cieplejszych nocowano w bezpieczniejszych miejscach – stogach, stodołach, w lesie, nawet w zbożu. Złe informacje przychodziły coraz częściej, a nasiliły się w początkach lipca. I tak było do pamiętnego dnia 16 lipca 1943 roku. Tego dnia, po obiedzie, moja Mama ułożyła mnie i moją siostrę do poobiedniej drzemki, którą gdzieś ok. godz. 15-tej gwałtownie przerwał mój Ojciec. Dookoła byli już banderowcy. Otoczyli Lulówkę, Szeroką, Nowe Gniezno i Kupowalce podkową, którą zamykała niezbyt szeroka, ale głęboka rzeka Gniła Lipa. Ten pochód śmierci zacieśniał się w kierunku rzeki i niszczył wszystko co polskie, pastwiąc się nad bezbronnymi ludźmi i bezwzględnie wszystkich zabijając. Polacy byli zaskoczeni, bo nie spodziewali się napadu za dnia. Tym niemniej dwóch mężczyzn, Henryk Łazowski i mój Ojciec, na czas zdążyło powiadomić o sytuacji sąsiadów, dzięki czemu wielu zdążyło uciec (szczególnie z najbliższych rzece Kupowalec) i ukryć się w zbożach, w lesie, a także (mimo zerwanych wcześniej przez banderowców mostów), przedostać się na drugi brzeg Gniłej Lipy. Trzeba tu wyjaśnić, że na drugim brzegu rzeki, w odległości ponad kilometra, znajdowała się stacja kolejowa Horochów 2 – Boroczyce, w której Niemcy utrzymywali dobrze uzbrojony oddział i komu udało się tam dotrzeć – był uratowany. Toteż uciekinierzy kierowali się bądź to na tę stację, bądź do nieco dalej położonej miejscowości Chołoniów, gdzie również stacjonował dobrze uzbrojony oddział niemiecki. Chichot historii - to Niemcy ratowali nam życie i zapewniali bezpieczeństwo, a bracia Słowianie nieśli okrutną śmierć. Moja najbliższa rodzina znalazła się wśród tych, którym się udało. Na sygnał Ojca Mama z nianią Ukrainką porwały mnie, Ojciec moją siostrę i zaczęli wszyscy uciekać w zboża, piękne dorodne łany, ponad półtorametrowej wysokości. Mama Ukrainkę zwolniła i kazała iść do swoich, biegnąc już sama ze mną na ręku i udało się jej niepostrzeżenie wtopić w zbożowy łan. Inaczej było z Ojcem. Dostrzegł go jeden z bandytów i zaczął gonić, cały czas strzelając. Gdyby nie to, że Ojciec gdzieś między łanami zbóż również niepostrzeżenie wrzucił moją 4-letnią siostrę daleko w zboże, byłby bez szans. Banderowiec gonił go jeszcze około kilometra, ale z kolei strzelając cały czas z karabinu szanse miał już mniejsze, tym bardziej, że mój Ojciec był wtedy bardzo sprawnym młodym człowiekiem. W naszym domu mieszkała jeszcze moja ciocia Michalina Łaszczewska i dwie panie Jaroszyńskie, uciekinierki z Haliczan. Wszystkie trzy zostały zatrzymane przez banderowca. Po sprawdzeniu kim są, ustawił je do egzekucji. Bandyta zaczął od pań Jaroszyńskich. W tym czasie, kiedy je rozstrzeliwał, moja ciocia, osoba dosyć niska, czmychnęła w zboża, w efekcie czego zdołała się uratować. Ukrainiec strzelał kulkami rozrywającymi dum-dum i Ojciec, który widział panie Jaroszyńskie po śmierci mówił, że jedna otrzymała kulę w głowę (nastąpiło jej roztrzaskanie) druga zaś w pierś (klatka piersiowa została rozerwana). Kiedy już trochę uspokoiło się, zaczęliśmy szukać się w zbożu. Mamie udało się odnaleźć siostrę, a potem naszą trójkę odnalazła ciocia. Dopiero w nocy dołączył do nas Ojciec. Te chwile, kiedy kolejno wpadaliśmy sobie w ramiona zapamiętałem. Zapamiętałem też czerwone niebo i swąd, na co zostałem uczulony na całe życie. Bo wokół było piekło. Do końca dnia i w nocy słyszeliśmy krzyki rozpaczy ludzi, kwiczenie świń, ryki krów i szczekanie, a raczej wycie psów. Kogo Ukraińcy dorwali – mordowali, potem rabowali wszystko, co miało jakąś wartość, a na końcu to co pozostało po Polakach palili i niszczyli. Słupy ognia i dymu utrzymywały się do końca dnia i przez całą noc. Tylko, że w nocy było niemal tak jasno jak w dzień, a niebo miało kolor krwi. Podczas tego napadu banderowcy zabili ponad 200 Polaków. W dużej części te osoby, które na ratunek miały niewielkie szanse, tj. osoby starsze, chore i dzieci. Z mojej rodziny banderowcy zabili brata mego dziadka, bratową i dwoje bawiących się na podwórzu dzieci. Zabili sąsiadów Antoninę Witkowską z synkiem Januszkiem na ręku, kilkoro dzieci Tolwajów, Ukrainiec Stachu Sołonyna zadźgał łopatą dwoje dzieci - rodzeństwo Cwinarewiczów, itd., itd. Były też przypadki cudownego ocalenia, np. banderowcy wymordowali w mieszkaniu całą rodzinę Markowskich. Ale miejscowy Ukrainiec Wojtowicz, który przyszedł grzebać zwłoki zauważył, że podzgana bagnetem kilkuletnia Ola, daje jeszcze oznaki życia. W tajemnicy zabrał ją do swego domu i wyleczył. Wkrótce jednak po tym, został przez pobratymców zamordowany. Natomiast Ola żyje do dzisiaj. Siedzieliśmy w zbożu przez 10 dni. Gdyby nie przyjaźni nam miejscowi Ukraińcy (Czepiukowie), którzy z narażeniem życia donosili wodę i podstawowe produkty spożywcze, pewnie nie udało by nam się przeżyć. Dziesiątego dnia drabiniastymi wozami przyjechał patrol utworzonej z uciekinierów „Samoobrony", wyposażony przez Niemców w broń. To było nasze ocalenie". (Krzysztof Gilewicz: „Banderowscy bandyci: Moje 67 lat temu"; w: http://wiadomosci.onet.pl/waszymzdaniem/49464,banderowscy_bandyci_moje_67_lat_temu,1,artykul.html „Od czasu, jak zaczęły się te morderstwa jeszcze z wiosny, Ukraińcy, aby zjednać sobie niektóre wioski czy kolonie polskie, kazali dać na ich rzecz woły, kożuchy, masło. To wszystko szło na bandy do lasu i takie były kolonie koło Horochowa, co były zapewnione, że im włos z głowy nie spadnie. Kupowalce, bogata wioska licząca ze 40 gospodarzy i inne wioski, jak Buroczyce, Chołoniów, Musin, Lilówka pełno Polaków zamieszkiwało w tych miejscowościach. I z Kupowalec przyjeżdżają bryczką do Horochowa, do Chrztu Św. przywieźli dziecko, jeszcze z taką paradą i mówią, że u nich spokój. Dają Ukraińcom daninę i oni im zapewniają ochronę i każą, żeby nigdzie się nie ruszali. A my tu akurat jesteśmy na plebanii i wszyscy do nich mówimy, że Poluchno, Zagaje są wymordowane i spalone, że tylu przyleciało rozbitków do Horochowa. Wszystko im opowiedzieliśmy i nakazujemy im, że jak pojedziecie to po drodze powiedzcie wszystkim, aby uciekali i to zaraz, nie zwlekajcie, bo jak rozprawili się z Zagajami i Poluchnem, to do was przyjdą i to jeszcze tej nocy, albo w dzień i mówimy im, że w Porycku w kościele zamordowali 180 osób, abyście nie zwlekali, tylko nocą jeszcze dziś uciekali. Wysłuchali strwożeni i pojechali. Zajechali do Buroczyc do dobrze znanego gospodarza Konopki i do tego, który jest pośrednikiem między nimi, a bandytami. Opowiedzieli mu, co widzieli i słyszeli i koniecznie nakazali mu, aby po Buroczycach dał znać wszystkim, aby uciekali i to dziś w nocy, a on mówi: czekajcie ja pójdę do nich do lasu i porozmawiam. Oni błagają go i mówią, że proszę tego nie robić, a on jednak poszedł do bandytów do lasu i powiedział im, co słyszał. Co to znaczy, że wy obiecujecie nam spokój, a czego na Zagajach i Poluch-

nie takie nieszczęście się zrobiło, że tyle zamordowanych Polaków i niewinnych dzieci, co to ma znaczyć? Bandyci wiele nie tłumaczyli się, powiedzieli na odczepnego, że to nie prawda i kazali mu iść do domu i nigdzie się nie ruszać i poszedł do domu. Zanim przyszedł z lasu do domu, to już była cała wieś okrążona, no i wtedy Konopko zobaczył swój ogromny błąd, że zgubił tylu ludzi. Bardzo dużo tamci uratowali, co z chrztem byli, bo oznajmili po drodze jadąc, każdemu po cichu mówili, że zaraz uciekajcie i dalej powiedzcie wszystkim, aby uciekali z Kupowalec. Na 50 gospodarzy połowa uciekła, a połowę zamordowali. Z Lilówki parę osób uciekło do Beresteczka, a Konopkę puścili Ukraińcy żywego, ale on rozpaczał, że przez niego tyle ludzi zginęło i sam niedługo zmarł. Jeszcze puścili famę do swoich rodzin, że Kupowalce są bezpieczne, to dużo tam przyjechało do nich krewnych, córek, które wyszły za mąż do innych miejscowości, że tu spokojnie to u swoich rodziców można jakoś przeżyć. Tak wszyscy bali się miasta, a miasta puste, po Żydach domy puste. Jaki to wielki błąd Polacy popełnili, że zawczasu do miast nie pouciekali i tak nikt nie korzystał z tych żniw, ani owoców. Wszystko przepadło i ludzie przepadli na zawsze i nawet nie zostali pochowani, tylko psy pojadły." (Wspomnienia Józefy Wolf z domu Zawilskiej; w: http://wolyn.free-host.pl/wspomnienia/aleksandrowka-jozefa_wolf.html).

W kol. Lulówka Węgierszczyzna pow. Horochów upowcy oraz sąsiedzi Ukraińcy za pomocą różnych narzędzi i stosując tortury zamordowali 111 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Łomy pow. Kostopol liczba ofiar nie jest znana.

We wsi Łowiszcze pow. Kowel wymordowali mieszkających tutaj Polaków, ponad 20 osób.

W osadzie wojskowej Nowe Gniezno pow. Horochów Ukraińcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, imiennie znane jest 6 ofiar (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Michałówka pow. Kowel upowcy oraz chłopi ukraińscy za pomocą siekier, wideł, łopat, motyk i innych narzędzi zamordowali 58 Polaków. „Szwagier uciekał, to go zastrzelili, syn jego miał 18 lat, rozłożył ręce i prosił „ludzie kochani ja Wam nic nie zrobiłem, jestem niewinny", to zarzucili mu powróz na szyję, a z tyłu kłuli widłami aż padł. Teście moi zginęli śmiercią męczeńską. Teścia zabili kosą, a teściowej poderżnęli sierpem szyję. Siostrze męża z dwiema córkami i z dwoma chłopakami sąsiada jakoś udało się uciec, jeden dostał siekiera w głowę, stracił przytomność i leżał między trupami dwa dni, znaleźli go jak przyszli zasypywać zwłoki. Polacy ratowali się jak mogli, ratowali tylko życie, nie było czasu myśleć o jakimkolwiek majątku, wielu i to się nie udało, ginęli jak muchy. Kwiatkowski Andrzej, uciekł do Kowla. Jego syn Franek mimo, że miał 16 lat wstąpił do Armii Krajowej, natomiast żona Andrzeja i drugi syn zginęli z rąk Ukraińców - 2 osoby. Kurz, jego żona i sześcioro dzieci, zabici - 8 osób. Mroczkowska i jej syn zabici - 2 osoby. Jacek Teodór, jego żona i dwoje dzieci zabici, 3 dzieci uciekło do Kowla - 4 osoby. Kwiatkowski Jan i jego syn Józef zabici - 2 osoby. Skałuba Anastazja i Jan zabici - 2 osoby. Kwiatkowska Ewa z dwiema córkami 10 i 13 lat oraz od sąsiada chłopcy 9 i 11 lat, uciekli, 6 km gonili ich Ukraińcy strzelając za nimi. Udało im się dobiec do lasu. Żyła jeszcze parę lat, gdyż rozchorowała się psychicznie. Kwiatkowski Piotr z żoną, córka Helena 16 lat, syn Mieczysław 20 lat i mały Stasio zginęli - 5 osób. Januszewska Eugenia i jej dwoje małych dzieci 5 lat a 2-gie jeszcze pierś ssało w bestialski sposób zabici, szpadlem im głowy odrąbali, maleństwo zostawili żywe, jeszcze dwa dni leżało przy niej i ssało pierś. Za dwa dni jak zakopywali zwłoki, rzucili żywe do dołu razem z martwą matką i zakopali - 3 osoby." (Janina Skałuba: „Wspomnienia z wydarzeń w 1943 roku w kolonii Michałowka pow. Kowel", „Niedrzwica Duża, dn. 02.03.2003 r." – w zbiorach autora).

We wsi Ostrówki pow. Kostopol: „Ostrówki k. Wyrki: Fotoreportaż dzisiejszy poświęcam pamięci śp. pułkownika Stefana Wawrzynowicza rodem z Wyrki, który na Ostrówkach trzymał wartę w noc ataku. Opowiedział mi też o tej kolonii. Ukraińcy których było tam kilka rodzin zajęli różne postawy wobec Polaków. Hryszczenki, trzech z czterech braci, stali się bardzo aktywnymi nacjonalistami. Odpowiadali za śmierć por. Jana Skiby, komendanta samoobrony Wyrki. Fiodor został schwytany przez hucian, osadzony i rozstrzelany. Druga znacząca rodzina Zahorujków, przyjęła postawę neutralną, wprawdzie poszli do UPA, nie mając wyjścia, ale biernie tam służyli. Posiadam w swoich zbiorach relację, jak jeden z Zahorujków w czasie zaczystki Ostrówek ocalił schowanych w dole po lnie, sąsiadów. Staną nad dołem z karabinem i wołał: „nikogo tu nie ma", zaczystka (obława) poszła dalej. Inny z Zahorujków, Sierioża ożenił się za Jadzię Mokrzycką z Wyrki i razem z Nią został zabity, nie wyparł się żony. Był wysoki, bardzo silny, odważny, służył w szucmanszafcie, Polacy wspominają go jako dobrego człowieka. Sprawy te w długim wywiadzie, detalicznie, wyjaśnił mi wspominany przy " Białym Krzyżu" Mikołaj Zahorujk, jeden z członków tej rodziny. Ostrówki przestały istnieć w nocy z 16 na 17 VII 1943 r." (Szlakiem Wołyńskich Krzyży, wokół Huty Stepańskiej z Januszem Horoszkiewiczem; w: http://isakowicz.pl/krzyze-w-siedlisku-i-ostrowkach-kwyrki-na-wolyniu/).

W kol. Perespa pow. Kostopol upowcy oraz okoliczni Ukraińcy zamordowali około 50 Polaków.

We wsi Podhajczyki pow. Trembowla: „16.VII.1943. Stefanicki – absolwent gimnazjalny – zamordowany" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 28, k. 73 – 90). Inni: We wsi Podhajczyki Justynowe pow. Trembowla: „16.07.1943 r. został zam. Stefanicki, absolwent gimnazjum" (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw.). Oraz: W mieście powiatowym Trembowla „16.07.1943 r. został zamordowany Stefanicki, absolwent gimnazjum". (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie...,jw.).

W kol. Popiełówka pow. Kowel Ukraińcy zamordowali Polaka, z zawodu matematyka, ożenionego z Ukrainką i ich 2 synów oraz Polaka z drugiej rodziny, którego przerżnęli piłą.

W kol. Przebraże pow. Łuck w zasadzce UPA zginął 18-letni Kazimierz Lejman z samoobrony a 2 zostało rannych

W kol. Siedlisko pow. Kostopol upowcy i okoliczni Ukraińcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, kilka lub kilkanaście rodzin, znane jest 21 ofiar, oraz spalili całą polską kolonię liczącą 52 zagrody. Kazimierz Sidorowicz: „Ojciec Stanisława Nalepko był mieszkańcem naszej koloni Siedliska, już nie żyje. Po wojnie opowiadał mi swoje przeżycia z Wołynia. Ich rodzina mieszkała aż koło Równego. Razu pewnego Nalepko jechał furmanką i wtedy spotkał go znajomy Ukrainiec, który ostrzegł w następujący sposób: „Uciekajcie wszyscy ze wsi do miasta, bo ma być napad na Polaków i mają was wszystkich wybić!" Nalepko zaraz zabrał swoją rodzinę i jeszcze tego samego dnia uciekli wszyscy do Równego. Tymczasem jeszcze tej samej nocy, zaraz po ich wyjeździe Ukraińcy napadli na ich wieś i wszystkich mieszkańców pomordowali, a budynki spalili." Pan Kazimierz: „Mieczysław Pilczuk mieszkaniec Siedlisk, opowiadał mi w naszej wsi, w kwietniu 2003 r., że widział studnię na Wołyniu, całą napełnioną dziećmi pomordowanymi przez Ukraińców w czasie krwawych wydarzeń!" (Sławomir T. Roch: Wspomnienia Kazimierza i Antoniny Sidorowicz z d. Turowska ze wsi Dominopol w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1930 – 1944). „Wieś pomiędzy Hutą Stepańską, a Wyrką, liczyła około 70 gospodarstw. Napadnięta w nocy z 16 na 17 VII 1943 r. przestała istnieć całkowicie. Po wojnie została zaorana, sady wycięte, drogi stare zlikwidowane, dęby wycięte, rzeczka Czapelka wyprostowana, a bagna zmeliorowane. Ostał się jedynie staw który był przy domu Minkiewiczów i " Biały Krzyż" na końcu wsi. Mikołaj Fedorowicz Zchorujko, pierwszy po wojnie sielgołowa Huty Stepańskiej. On to odnajdywane w latach pięćdziesiątych, po zaroślach i krzakach, szkielety Polaków kazał zbierać i po kryjomu zanosić na cmentarz do Wyrki. Opowiadał mi to osobiście, na moje pytanie: a co mieliście robić? Odpowiedział: „zakopać głębiej niż pługi orają". Czy było dużo tych kości? odpowiedział „oj, było", więcej nie pytałem. Mikołaj dożywa swoich sędziwych lat w Hucie Stepańskiej." (Szlakiem Wołyńskich Krzyży, wokół Huty Stepańskiej z Januszem Horoszkiewiczem; w: http://isakowicz.pl/krzyze-w-siedlisku-i-ostrowkach-kwyrki-na-wolyniu/). „Pozorny spokój trwał do 16. 07. 1943 r. Około północy dzwony kościelne ogłosiły alarm, żeby natychmiast opuszczać swoje domostwa i kierować się w kierunku Huty Stepańskiej. Paliły się już pobliskie wsie jak: Soszniki, Wyrka, Ostrówki, początek Siedliska. Ponieważ w ciągu dnia było „niespokojnie", więc każdy był przygotowany do natychmiastowego wyjazdu, gdzie była silniejsza samoobrona i liczono na to, że tam przetrwamy. Ojciec szybko nas zabrał na furmankę łącznie z zapasami żywności i inwentarzem żywym, skierował się w kierunku Huty. Nam było łatwiej przedostać się na drogę, gdyż mieszkaliśmy za „rzeką" i nie musieliśmy przejeżdżać mostów. Niektórym się nie udało jak rodzinie Onuchowskich. Z naszej rodziny we wsi pozostała babcia Teofila Rosińska z d. Sawicka żona Adama Rosińskiego, która była chora i chciała pozostać na miejscu w pobliżu swojej zagrody, prosząc wnuków, żeby ją wynieśli z łóżkiem w zboże i tam ją ukryli, jeszcze nie wierząc, że może być zamordowana. My szczęśliwie już bez większych przeszkód dojechaliśmy do Huty, słysząc za sobą ciągłe strzały. /.../ O losach mojej babci Teofilii Rosińskiej i jej rodziny dowiedzieliśmy się już po wojnie, kiedy to rodziny zaczęły się odnajdywać i odwiedzać, wracając do przeżyć z 1943 r. W roku 1955 mając 19 lat odwiedziłam wujka /brata mojej mamy/ Jana Rosińskiego w Godkowie - województwo zachodnio--pomorskie i mieszkających z nimi syna Czesława i synową Genowefę z d. Brzozowska. Opowiedzieli mi swoją historię jak przeżyli ten koszmar: „Otóż był rozkaz wyjazdu z Huty Stepańskiej do Rafałówki dn.17/18. 07. 43 r. w nocy, wszyscy jeszcze byli razem tj. Jan Rosiński z żoną Heleną i synowie: Eugeniusz, Czesław, Konstanty. Szczepan był z żoną Genowefą z 1-roczną córeczką Zuzanną. W Hucie byli też rodzice Genowefy z rodzeństwem, Gracjan Brzozowski z żoną Filipiną i synami: Piotrem, Ignacym /nie ujęty w spisie zaginionych/, a starsi, gdzieś się „zawieruszyli". Przechodząc przez Siedlisko w czasie ogólnego zamieszania jak Ukraińcy zaczęli strzelać, wtedy zniknął Jan Rosiński i Szczepan, a Helena żona Jana z synem Czesławem i synową ukryli się w krzakach, niedaleko swojej zagrody. Jak się trochę uspokoiło i Ukraińcy wyszli już z Siedliska, poszli zobaczyć co dzieje się z babcią Teofilą, która została w Siedlisku schowana w zbożu. 18.07.- babcia jeszcze żyła. Opowiedziała im, że Ukraińcy ją znaleźli, ale nie zabili, twierdząc, że i tak ona umrze z głodu. /była chora, nie chodziła/ Powiedzieli to bardzo ironicznie, że „padochnie". Synowa z wnukami donieśli jej jedzenie i tam ją zostawili. Genowefa niespokojna o swego męża Szczepana, razem z Czesławem /bratem Szczepana/ poszli go szukać. Idąc obok cmentarza w Wyrce, przy tzw. Pawłowej Górce, natknęła się na zwłoki swoich rodziców Gracjana i Filipinę Brzozowskich z synami Piotrem i Ignacym. Wyglądali makabrycznie, pocięci szablą. Prawdopodobnie chcieli na obrzeżach Siedliska zaczekać na swoich starszych synów i tam ich Ukraińcy dopadli. Szczepana nie odnaleźli. Ponieważ byli już zmęczeni tymi wszystkimi przeżyciami i zrozpaczeni po stracie bliskich, postanowili zostać jeszcze na noc, czyli z 18/19. 07. Po nocy poszli w pola odwiedzić babcię, zabierając dla niej jedzenie, ale babcia już była zamordowana. /nie ujęta w spisie zaginionych/ Trudno im było stamtąd odejść, zostawiając tyle trupów, więc postanowili jeszcze pozostać do następnego dnia. Ukraińcy penetrując teren, odkryli ich kryjówkę /zdradził ich pies/ i zamordowali: Helenę Rosińską żonę Jana z synem Konstantym. Czesław z Genowefą i dzieckiem byli w innym miejscu i dzięki temu zostali przy życiu. Ponieważ Ukraińcy codziennie penetrowali teren, więc bali się oni wychodzić ze swoich kryjówek i w tych zbożach, krzakach, przesiedzieli ok. 1 miesiąca. Aż któregoś dnia już skrajnie wyczerpani fizycznie i psychicznie, słysząc nadjeżdżający samochód, postanowili wyjść na drogę. Okazało się, że byli to Niemcy z Polakami sprawdzający teren, czy jeszcze ktoś żyje. Zabrali ich ze sobą. Od Polaków dowiedzieli się o losie Jana Rosińskiego, ojca Czesława, a teścia Genowefy. Wujek Janek po zamieszaniu jakie wytworzyło się na przejściu w Soszniakach, stracił z oczu swoją rodzinę i uciekał w kierunku Rafałówki, bo to był docelowy przystanek dla uciekinierów. Jak się zorientował, że w Rafałówce nie ma jego rodziny, wrócił na poszukiwanie w kierunku Siedliska wraz z jeszcze kilkoma osobami poszukującymi swoich rodzin. Pod Policami Ukraińcy ich złapali, tamtych zastrzelili, a ze on nie zginął od kuli, to pokłuli go bagnetami 18 razy. Stracił przytomność, więc Ukraińcy myśleli, że on nie żyje i go tam zostawili. Po odzyskaniu przytomności, jakiś /?/ Polak, który go znalazł, odwiózł do Rafałówki, a później odwieziono go do szpitala w Sarnach, gdzie przebywał 2- miesiące, lecząc się z zadanych ran. Czesław z bratową Genowefą postanowili pozostać w Sarnach i tam czekać na jego wyzdrowienie." W Siedlisku zginęła również Bronisława Kaszuba, teściowa Stefana Bitnera, nie wiem w jakich okolicznościach. Wiadomość uzyskałam od Barbary i Leokadii Bitner /mieszkają poza granicami Polski/ Nie ujęta w spisie zaginionych". Kwiecień 2013 r. Łódź. Halina Poros z d. Gutkowska była mieszkanka Siedliska. „Mieszkaliśmy na końcu wsi. Jak paliła się Wyrka, to wszyscy mieszkańcy Wyrki i Siedliska skupili się na drodze, która prowadziła do Huty Stepańskiej. Drogi były zatłoczone, mnóstwo wozów, mosty mało przejezdne, więc rodzice zabierając mnie i moją młodszą siostrę Jadzię na furmankę /starsze rodzeństwo: Marian i Alina, uciekało z grupą AK/ zdecydowali, że przekroczą most /były dwa mosty, którymi można było dojechać do głównej drogi w kierunku Huty Stepańskiej/ od strony Stanisława Gutkowskiego. Z trudem dotarliśmy tam, ale jak Ukraińcy zaczęli palić pierwsze domy w Siedlisku i strzelać do nas, to nasz wóz z końmi zostawiliśmy za mostem i uciekliśmy pieszo przez bród w kierunku Styrki. Tam ukryliśmy się w zaroślach i postanowiliśmy przeczekać noc. Siedlisko się paliło. O świcie wyszliśmy z tych zarośli i zobaczyliśmy, że dom Stanisława Gutkowskiego nie spalony, a nasz wóz stoi po drugiej stronie rzeki. Wtedy Rodzice zdecydowali, że pójdziemy po nasz wóz i dalej będziemy uciekać furmanką. Okazało się, że w waszym domu Ukraińcy zrobili sobie miejsce chwilowego „odpoczynku" po masakrach jakich dokonali. Jak już wyszliśmy z naszej kryjówki i byliśmy w połowie drogi do mostu, Ukraińcy zobaczyli nas i na koniach zaczęli nas gonić. Mnie i mojej siostrze udało się uciec i schować w pobliskie kartofliska, a rodziców złapali i na tym polu zamordowali." (Relacja Wacława Onuchowskiego s. Franciszki z d. Rozalska i Jana Onuchowskiego mieszkańca Siedliska z jego przeżyć w dniach 16-17. 07.1943 r. Wysłuchała i spisała; Halina Poros z d. Gutkowska w marcu 2011 r. „O szczegóły nie pytałam. Wyczułam, że wolałby do tego nie wracać i należy to uszanować. Przecież jako dzieci byli naocznymi świadkami jak zginęli ich rodzice". Halina Poros: Wspomnienia z Wołynia z lat 1938 – 1943 cz. II; w: KSI nr 7 z 2013).

We wsi Sieniawka pow. Kowel wymordowali mieszkających tutaj Polaków, ponad 20 osób.

We wsi Skałat Stary pow. Skałat: „16. VII.1943. Stary Skałat. Banda ukr. napadła na szkołę polską skąd uprowadziła w pole nauczyciela, Polaka Kapuścińskiego, który zaginął bez śladu" („Meldunek Komendy okręgu Tarnopol Obszaru Lwów z 14.IX.1943"; AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 9, k. 170 – 174).

We wsi Stawiska pow. Horochów zamordowali 2 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Swinarzyn pow. Kowel: Zamordowany gajowy Rutkowski z córką Stanisławą i innymi osobami przez Ukraińców sprowadzonych po małżeńskiej sprzeczce sprowokowanej przez żonę Ukrainkę. Wśród ofiar był nadleśniczy Stefan Lipiński lat 51, przedwojenny podłowczy wojewódzki, w czasie wojny członek ZWZ-AK. Zmasakrowany syn Zbigniew, przeżył, był leczony w szpitalu w Kowlu. (Edward Orłowski..., jw.). Ponadto Ukraińcy zamordowali kilkunastu Polaków wyłapanych w okolicy, gdy próbowali uciec do Kowla. Pod koniec lipca dokonują rzezi kilku polskich rodzin. M.in. Polce przybitej gwoździami do drzwi kuchennych obcięli piersi i wypruli z łona wnętrzności. Jej małego synka przybili do stołu za język. Inna cała rodzina została poćwiartowana. Tak zginęło tutaj co najmniej 36 Polaków, ich zagrody zostały obrabowane i spalone. „W czasie ataku na Świniarzyn , gdzie mieszkali Bartoszewscy, bandyci z UPA zabili drugą ich babcię, tę ze strony ojca. - Gdy był napad nie miała siły uciekać ze wszystkimi i żywcem ją spalili – mówi pan Andrzej Bartoszewski. /.../ Rodzina Bartoszewskich straciła wszystko – wiatrak, 6 hektarów ziemi, cały dobytek. Ale i tak mieli więcej szczęścia niż skoligacona z nimi rodzina młynarzy Lipskich ze Świniarzyna, też tak jak oni posiadająca wiatrak. Zwyrodnialcy z UPA przybili Lipską gwoździami do drzwi kuchennych, a następnie odcięli jej piersi. Nad kilkuletnim synkiem pastwili się, przybijając mu język do stołu." (Adam Kruczek: Kisielińska epopeja; w: „Nasz Dziennik" z 10 sierpnia 2009).

W kol. Szeroka pow. Horochów od wiosny uprowadzani są pojedynczo Polacy, po których ślad ginie. Polscy gospodarze muszą żywić sotnię upowską kwaterującą w lesie. Sąsiedzi Ukraińcy pilnują, aby Polacy nie uciekli ze wsi, uspokajają. 16 lipca każą im zgromadzić się na polanie leśnej, aby „uchronić" ich przed pacyfikacją niemiecką. Polacy odśpiewali „Pod Twoją obronę" i zostali przez „ukraińskich partyzantów" wymordowani. Obok mordowana była druga grupa Polaków przyprowadzona z Boroszyc. Przez następne dni trwa polowanie na ukrywających się Polaków, schwytanych torturowali i zabijali. Wiadomo o co najmniej 52 ofiarach.

W kol. Użanie pow. Sarny upowcy i okoliczni chłopi ukraińscy zamordowali co najmniej 40 Polaków i spalili 35 polskich zagród.

We wsi Wieniawka pow. Trembowla: „16.07.1943 r. zostali zamordowani: 1. Gołońska Irena l. 16; 2. Waniewicz Zygmunt l. 54". (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

W kol. Wiktorówka pow. Kowel up-

owcy i chłopi ukraińscy zamordowali około 100 Polaków, prawie wszystkich mieszkających tutaj.

We wsi Wyrka pow. Kostopol upowcy oraz okoliczni chłopi ukraińscy zamordowali około 50 Polaków. 16 lipca 1943 roku, około godziny 23 wieś została jednocześnie z trzech stron podpalona i ostrzelana z okrzykami hurra, rizat' lachiw. W tym samym czasie, na umówiony sygnał, nastąpił zmasowany atak okrężny przeważających sił ukraińskich na inne osiedla skupione w samoobronie rejonu Wyrki i Huty Stepańskiej. Napastnicy podpalali zabudowania i mordowali napotkanych ludzi. Mimo zdecydowanego oporu obrońców nie zdołano odeprzeć ani powstrzymać ataku przeciwnika, a skupiona tam ludność polska została zmuszona, pod ogniem napastników, przez noc do rana 17 lipca wycofać się w większości do Huty Stepańskiej, ponosząc znaczne straty w zabitych, zaginionych - szacuje się, że około 50 osób (łącznie w miejscowości Wyrka i Perespa w gm. Stepań oraz w miejscowościach przyległego powiatu sarneńskiego: Hały, Soszniki, Tur, Użanie - około 300 osób) i rannych. W panicznej ucieczce ludzie ginęli rażeni ogniem z broni, a pozostawieni ranni oraz niedołężni starcy i kobiety z dziećmi byli potem mordowani w straszliwy sposób. Podczas odpierania ataku w nocy z 16 na 17 lipca 1943 r. zginął Bronisław Pietrołaj, lat 43, aktywny członek kierownictwa samoobrony Wyrki. Zamordowani zostali także m.in.: kaleka Helena Felińska, lat ok. 38 z dwiema córkami w wieku 6 i 3 lata (mieszkanki Siedliska, gm. Stepań); babcia Janiny Mokrzyckiej (spalona żywcem); Józef Libera, lat ok.65, któremu wykłuto oczy i pokłuto bagnetami; Bronisław Piotrowski, s. Piotra i Józefy z Bankowskich, lat. 43; Dioniza Wawrzynowicz, lat 51, żona Anastazego (zakłuta bagnetem). Podczas tej ewakuacji została śmiertelnie trafiona kulą Franciszka Dziekańska, lat 50 z Wyrki, niosąca swoją 6-letnią córkę Jadzię, sama kula równocześnie raniła w nogę dziecko. Przez 10 dni dziecko przetrwało przy zabitej matce, żywiąc się kłosami zbóż i pijąc wodę z kałuży. Odnalazł ją Ukrainiec ze wsi Werbcze, który przyjechał kosić zboże z pozostawionych polskich pól, i zabrał do siebie. W lipcu rada wsi Werbcze uchwaliła, by Jadzię zabić. Od wykonania wyroku uchroniła ją rodzina owego Ukraińca oraz miejscowy nauczyciel, również Ukrainiec, który wziął ją na wychowanie. W 1944 roku dziecko trafiło do Kazimierza Karpińskiego, nauczyciela w Wyrce i później zostało oddane ojcu, który powrócił z niewoli niemieckiej (Siemaszko..., s. 303, 305). Halina Gidel: To kilkuletnie dziecko, ranne w nogę, które kilka dni trwało przy martwej mamie - to moja Ciocia Jadzia, zd. Dziekańska kuzynka mojej Mamy. Przeżyła wojnę, założyła rodzinę. Ma 2 wspaniałe córki i wnuki. „Kościół został podpalony 17 VII 1943 r. Kiedy następnego dnia o świcie, cześć ludności uciekała z Huty Stepańskiej, zobaczyła dach blaszany po kościele, który wyglądał jak koszmarny, dymiący namiot. Poszukujący swoich bliskich wchodzili pod tą blachę, w pogorzelisko, sprawdzając czy czasem Ich tam nie ma." (http://isakowicz.pl/wyrka-na-wolyniu-miejsce-po-kosciele/).

We wsi Załawie pow. Trembowla: „16.07.1943 r. został zam. Słonecki i.n. l. 35". (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

We wsi Zuhów pow. Trembowla banderowcy z sąsiedniej wsi zamordowali Ludwika Stefanickiego.

Kilka dni po 11 lipca:

W kol. Marynków pow. Horochów upowcy zamordowali 7 Polaków, dwie rodziny.

W nocy z 16 na 17 lipca:

W futorze Berezówka pow. Sarny upowcy spalili futor i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kol. Borek pow. Kostopol zapamiętano 6 ofiar mordu, kolonia została spalona. Ojciec z 7-letnim synem ukrywali się do późnej jesieni w lesie żywiąc się najpierw jagodami, potem ziemniakami podbieranymi z pól. Wyczerpany fizycznie i psychicznie chciał zabić syna i siebie, lecz uległ woli życia syna. W ciężkim stanie odnalazł ich Ukrainiec i przechował. W tę noc banderowcy i czerń podpalili wsie na obszarze prostokąta ok. 15 na 7 kilometrów, zaczynają od Hał na północy do Omelanki na południu.

W futorze Długie Pole pow. Sarny spalonym tej nocy przez upowców nie ustalono liczy ofiar.

W kol. Grabina pow. Łuck nie jest znana liczba ofiar napadu na kolonię, która została tej nocy spalona.

W okolicach uroczyska Hołe Bołoto, pomiędzy Mielnicą Małą a Stepaniem pow. Kostopol upowcy zastrzelili 20-letniego Wacława Kępę, który jechał prosić Niemców o obronę przed atakującą Mielnicę bandą UPA.

W futorze Hrada pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 4 Polaków: Genowefę Skrzybalską z córką i 1-rocznym wnukiem oraz 4-letniego chłopca.

W kol. Kamionka Nowa pow. Kostopol upowcy spalili polską kolonie i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, kilka lub kilkanaście rodzin, znane są 22 ofiary.

W kol. Kamionka Stara pow. Kostopol zamordowali ponad 20 Polaków z 5 rodzi, w tym 99-letnią staruszkę Maszkowską oraz 60-letnią wdowę Magdalenę Kołodyńską, którą „ukraińscy powstańcy" udusili pętem do pętania koni. „O ucieczce do Huty Stepańskiej opowiada Andrzej Bukowski z Wrocławia, opierając się na wspomnieniach swoich dziadków oraz stryjka Zygmunta: – Bukowscy żyli w niewielkiej (42 gospodarstwa) polskiej wiosce Stara Kamionka. Byli przygotowani, że w przypadku banderowskiego ataku uciekną do oddalonej o 3 kilometry Huty Stepańskiej. Na furmance mieli spakowane najważniejsze rzeczy niezbędne do przeżycia. Na sygnał wioskowej nocnej warty o rozpoczynającym się ataku banderowskim, rodzina Bukowskich z załadowaną furmanką rzuciła się do ucieczki. Niestety, podczas przejeżdżania w bród przez rzeczkę Gołubicę, obciążony wóz ugrzązł. Trzeba było wyprząc konie i uciekać bez niczego. Szczęśliwie schroniwszy się w Hucie, już w trakcie oblężenia następnej nocy, dziadek Bukowski zaryzykował i wyprawił się do pozostawionej furmanki, z której udało mu się przynieść nieco żywności i tytoń. W Hucie, nie mając broni palnej, trafił do oddziału tzw. kosynierów, uzbrojonych we własnej roboty piki, dzidy i kosy przekute na sztorc. Dzięki czujności nocnej warty i wcześniejszym przygotowaniom do ucieczki, większości mieszkańców Starej Kamionki udało się zbiec do Huty Stepańskiej – zginęło 11 osób. Pomnik-krzyż na miejscu nieistniejącej wioski Stara Kamionka stanął w 2010 roku. Ufundowała go rodzina Bukowskich, a postawił Janusz Horoszkiewicz." (Jacek Borzęcki: Obrona Huty Stepańskiej; w: Kurier Galicyjski, nr 13–14 z 16 lipca – 15 sierpnia 2013; za: http://www.kuriergalicyjski.com/historia/upamietnienia/2434-obrona-huty-stepaskiej?showall=1&limitstart=).

W kol. Lady pow. Kostopol zamordowali kilku starców, którzy nie chcieli opuścić swoich zagród podczas ucieczki do Huty Stepańskiej.

W kol. Mielnica Duża pow. Kostopol schronili się także Polacy z Mielnicy Małej, podczas napadu większości udało się uciec, wiadomo o spaleniu żywcem wraz z domem obłożnie chorego Stefana Serbina, lat ok. 50.

W kol. Mielnica Mała pow. Kostopol zamordowali 11 Polaków, w tym rodzinę Zarembów, która w związku z porodem trzeciego dziecka nie mogła uciekać, lecz skryła się w zbożu, gdzie odbył się poród. Tam została wykryta przez „ukraińskich partyzantów" i zamordowana: Genowefa Zaremba, lat ponad 20, jej dwie córeczki w wielu przedszkolnym i nowonarodzony synek oraz jej matka.

W kol. Mielniki pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali kilkunastu uciekających Polaków.

W kol. Mielnikowo pow. Kostopol ludność polska schroniła się w okolicznych lasach i bagnach wraz z Polakami z innych wsi i tam dotrwali aż do końca września 1943 r.

W futorze Mutwica pow. Kostopol zamordowali 11 Polaków, w tym 2 rodziny i 2 małżeństwa.

We wsi Omelanka pow. Kostopol zamordowali co najmniej 55 Polaków, ale polowanie na ukrywających się w lesie trwa jeszcze we wrześniu. „W okresie śmiertelnego zagrożenia w całej okolicy Polacy stawiali krzyże, miały za wstawiennictwem Bożym uchronić ludność od nieszczęść. Krzyże te od napisu na belkach poprzecznych nazywano Jezu Ratuj Nas. Wokół Huty Stepańskiej postawiono ich trzy, pozostał tylko jeden w pobliżu uzdrowiska Słone Błoto. Ten krzyż to naoczny świadek zagłady Huty Stepańskiej. Atakujący banderowcy od strony Rudni szli prosto na krzyż, wbijając klin pomiędzy Hutę Stepańską, a Omelankę. Pod ogniem obrońców atak załamał się pod samym krzyżem, dalej nie zaszli, co umożliwiło ludność Omelanki przedostać się do Huty Stepańskiej. Na zajętym terenie złapali jednak żonę byłego komendanta samoobrony Hieronima Konwerskiego, Stanisławę i dwie córki Janinę 18 l. i Wandę 16 l. Trzecia córka Leokadia 11 l. była nieco dalej i wszystko obserwowała, mimo nocy było jasno, łuny pożarów rozświetlały teren. Najpierw pastwili się nad matką, kiedy sądzili że Ją zamęczyli, zajęli się siostrą Janiną, przed samą śmiercią obcięli Jej piersi. Kiedy przyszła kolej na Wandę, ta prosiła jedynie żeby jej piersi nie obcinali, a zastrzelili. Wołała po imieniu do oprawców, padł strzał, może jeden z kolegów szkolnych się zlitował. Stanisława z córką Leokadią po wojnie zamieszkały w Lublinie i do dziś Ich potomkowie tam żyją. Opowiadali mi starzy kołchoźnicy jak namawiano Ich do usunięcia krzyża, nikt się jednak nie odważył. Komuniści i ateiści, nie byli pewni swoich przekonań, umierając prosili świaszczennika (popa) żeby ich trumnę w sekrecie pokropił. A potem nikt się losem krzyża nie interesował, był Polski więc niewygodny, ale i Boski, to jak Go ruszyć". (Wokół Huty Stepańskiej z Januszem Horoszkiewiczem; w: .http://isakowicz.pl/szlakiem-wolynskich-krzyzy-krzyz-jezu-ratuj-nas-w-hucie-stepanskiej/).

W kol. Ostrówki pow. Kostopol podczas napadu ludność polska uciekła do Huty Stepańskiej, brak jest informacji o ofiarach. Zagrody polskie zostały obrabowane i spalone – tak jak we wszystkich wsiach i koloniach położonych wokół Huty Stepańskiej. „Posiadam w swoich zbiorach relację, jak jeden z Zahorujków w czasie zaczystki Ostrówek ocalił schowanych w dole po lnie, sąsiadów. Stanął nad dołem z karabinem i wołał: „nikogo tu nie ma", zaczystka (obława) poszła dalej. Inny z Zahorujków, Sierioża ożenił się za Jadzię Mokrzycką z Wyrki i razem z Nią został zabity, nie wyparł się żony. Był wysoki, bardzo silny, odważny, służył w szucmanszafcie, Polacy wspominają go jako dobrego człowieka. Sprawy te w długim wywiadzie, detalicznie, wyjaśnił mi wspominany przy " Białym Krzyżu" Mikołaj Zahorujk, jeden z członków tej rodziny. Ostrówki przestały istnieć w nocy z 16 na 17 VII 1943 r." (Szlakiem Wołyńskich Krzyży, wokół Huty Stepańskiej z Januszem Horoszkiewiczem; w: http://isakowicz.pl/krzyze-w-siedlisku-i-ostrowkach-k-wyrki-na-wolyniu/).

W futorze Osy Bród pow. Sarny Ukraińcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków i spalili futor.

W kol. Ożgów pow. Kostopol podczas napadu ludność polska kryła się w schronach lub uciekała do lasu i na bagna. Wiadomo o kilkunastu ofiarach, ale następnie Polacy wyłapywani byli i mordowani w ciągłych obławach („Wysoka Góra" i „Grząskie Bagno"). Łącznie zginęło ponad 60 Polaków.

W kol. Polany oraz w kol. Półbieda pow. Kostopol upowcy spalili zagrody polskie, ludność polska uciekła wcześniej, brak jest informacji o ofiarach.

W kol. Romaszkowo pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 70-letnią Teklę Dawidowicz.

W kol. Soszniki pow. Sarny upowcy zamordowali około 50 Polaków.

W kol. Szymanisko pow. Sarny zamordowali około 50 Polaków i spalili 12 zagród.

W kol. Tchory pow. Kostopol podczas napadu ludność polska podjęła ucieczkę do lasu, gdzie była mordowana podczas obław, wiadomo o 9 ofiarach.

W kol. Temne Rządowe oraz w kol. Temne Stepańskie pow. Kostopol podczas ataku ludność polska podjęła ucieczkę osłaniana przez samoobronę, brak jest informacji o ofiarach.

W kol. Tur pow. Sarny upowcy zamordowali około 50 Polaków.

W kol. Wyrobki pow. Sarny zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, imiennie znane są 2 ofiary oraz spalili 42 zagrody polskie.

W futorze Zakuście pow. Kostopol spalili futor i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, w tym 1 kobietę wbijając jej nóż w pierś.

W kol. Ziwka Stara pow. Kostopol zamordowali 16 Polaków.

17 lipca:

W kol. Antonówka koło Bielina pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zakłuli bagnetami chorego 24-letniego Polaka.

We wsi Boroczyce pow. Horochów upowcy oraz miejscowi Ukraińcy wymordowali mieszkających tutaj 31 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Brykuła Stara pow. Trembowla: „17.VII.1943. Brykuła Stara pow. Trembowla. Ukraińcy zamordowali troje pracowników Liegemschawtaverwaltung, zarządcę, sekretarkę i pomocnika gosp., Polaków" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 9, k. 170 – 174).

We wsi Huta Stepańska pow. Kostopol cały dzień trwała obrona Polaków przed atakami upowców. "W przerwach między atakami zbierano znalezionych pomordowanych Polaków i układano pokotem najpierw w domu ludowym a potem pochowano na nowo wyświęconym cmentarzu./.../ Pogrzebano tylko około 120 osób. Pozostałych zamordowanych nie odnaleziono i nie pochowano. /.../ Generalny atak na Hutę trwał i nasilał się to z jednej to z drugiej strony. Wydawało się, że obrona stawała się beznadziejna, i że tym razem dojdzie do straszliwej ogólnej rzezi. Wtedy to na zewnątrz szkoły dał się słyszeć potężny ze wszystkich gardeł okrzyk „hura" i powtarzający się wielokrotnie niósł się aż na krańce wsi. To zdesperowani mieszkańcy z okrzykiem „hura" ruszyli w stronę napastników. Nawet kobiety będące bliżej wyjścia, a zwłaszcza wszyscy ci, którzy nie pomieścili się w szkole, nagle wyskoczyli z ukrycia z kijami, ręcznymi narzędziami rolniczymi". (Julian Libner: Wspomnienia z Huty Stepańskiej; w: „Biuletyn Informacyjny 27 DWAK nr 3 i 4 z 1998 r.). „W okresie śmiertelnego zagrożenia w całej okolicy Polacy stawiali krzyże, miały za wstawiennictwem Bożym uchronić ludność od nieszczęść. Krzyże te od napisu na belkach poprzecznych nazywano Jezu Ratuj Nas. Wokół Huty Stepańskiej postawiono ich trzy, pozostał tylko jeden w pobliżu uzdrowiska Słone Błoto. Ten krzyż to naoczny świadek zagłady Huty Stepańskiej. Atakujący banderowcy od strony Rudni szli prosto krzyż, wbijając klin pomiędzy Hutę Stepańską, a Omelankę. Pod ogniem obrońców atak załamał się pod samym krzyżem, dalej nie zaszli, co umożliwiło ludność Omelanki przedostać się do Huty Stepańskiej. Na zajętym terenie złapali jednak żonę byłego komendanta samoobrony Hieronima Konwerskiego, Stanisławę i dwie córki Janinę 18 l. i Wandę 16 l. Trzecia córka Leokadia 11 l. była nieco dalej i wszystko obserwowała, mimo nocy było jasno, łuny pożarów rozświetlały teren. Najpierw pastwili się nad matką, kiedy sądzili że Ją zamęczyli, zajęli się siostrą Janiną, przed samą śmiercią obcięli Jej piersi. Kiedy przyszła kolej na Wandę, ta prosiła jedynie żeby jej piersi nie obcinali, a zastrzelili. Wołała po imieniu do oprawców, padł strzał, może jeden z kolegów szkolnych się zlitował. Stanisława z córką Leokadią po wojnie zamieszkały w Lublinie i do dziś Ich potomkowie tam żyją. Opowiadali mi starzy kołchoźnicy jak namawiano Ich do usunięcia krzyża, nikt się jednak nie odważył. Komuniści i ateiści, nie byli pewni swoich przekonań, umierając prosili świaszczennika (popa) żeby ich trumnę w sekrecie pokropił. A potem nikt się losem krzyża nie interesował, był Polski więc niewygodny, ale i Boski, to jak Go ruszyć". (Wokół Huty Stepańskiej z Januszem Horoszkiewiczem; w: .http://isakowicz.pl/szlakiem-wolynskich-krzyzy-krzyz-jezu-ratuj-nas-w-hucie-stepanskiej/).

W kol. Podsielecze pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 3 Polaków; starszemu małżeństwu Antoniemu Konopackiemu, lat 73, z żoną Zofią, lat 65 odrąbali głowy oraz Rozalię Brzozowską z Hutwina.

W kol. Rulikówka pow. Sokal banderowcy zamordowali 21 Polaków.

W kol. Sądowa pow. Włodzimierz Wołyński upowcy pojmali i bestialsko zamordowali 20-letniego Tadeusza Kaczyńskiego z samoobrony w Iwaniczach.

We wsi Suraż pow. Krzemieniec upowcy zamordowali 5 Polaków, w tym spalili żywcem z domem żonę Wieczorka z 3 dzieci.

We wsi Torskie pow. Zaleszczyki: „Należy przy tym również podkreślić, iż coraz częściej zdarzają się wypadki /.../ mordowanie Polaków urzędników – bezpośrednio w budynku służbowym jak Burakowskiego Juliana, naczelnika poczty w Torskiem w dniu 17 lipca br." (1943, 7 sierpnia – Pismo PolKO w Czortkowie do władz niemieckich w związku z falą napadów ukraińskich w powiecie czortkowskim. W: B. Ossol. 16722/1, s. 7-12).

W gajówce Wilcze Brody pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 56-letniego Wincentego Onuszkiewicza uprowadzonego z kol. Wydranka.

W futorze Wychody pow. Kostopol spalili 5 zagród polskich, liczba ofiar nie jest znana. .

We wsi Wyrka pow. Kostopol grupa Polaków, którzy poprzedniego dnia uciekli do Huty Stepańskiej, przyszła do swoich gospodarstw po żywność i została zaatakowana przez Ukraińców. Kilkunastu Polaków zostało zamordowanych; kilku uciekło. Zanim grupę tę zaatakowali upowcy: „/.../ zobaczono rozmiary bestialstwa. We wsi leżeli ludzie z odrąbanymi rękami, wyłupionymi oczami, które penetrowały mrówki, przybici do ziemi (także dzieci) kołkami przez brzuch. Jeszcze żywi, błagali, żeby ich dobić, zanim nadejdą Ukraińcy i będą dalej się znęcać. Tę prośbę spełnił jeden z członków samoobrony, strzelając" (Siemaszko..., s. 305). Łącznie we wsi zginęło co najmniej 161 Polaków. „Ten fotoreportaż poświęcam poległemu w obronie Wyrki Bronisławowi Piotrowskiemu zw. Pietrołaj, którego nikt nie pochował. Kościół wybudowano staraniem ludności w 1934 r. W 1939 r. sowieci wypędzili Księdza Jana Szarka i urządzili sielradę, za Niemców urzędowali tam jeszcze szucmani. Kościół został podpalony 17 VII 1943 r. Kiedy następnego dnia o świcie, cześć ludności uciekała z Huty Stepańskiej, zobaczyła dach blaszany po

kościele, który wyglądał jak koszmarny, dymiący namiot. Poszukujący swoich bliskich wchodzili pod tą blachę, w pogorzelisko, sprawdzając czy czasem Ich tam nie ma." (Wyrka miejsce kościoła pw. Podwyższenia krzyża Świętego; w: http://isakowicz.pl/wyrka-na-wolyniu-miejsce-po-kosciele/).

W nocy z 17 na 18 lipca:

W majątku Koniuchy pow. Horochów w walce z upowcami zginęło 2 Polaków z samoobrony

W dniach 16 – 18 lipca:

Wieś Czechów pow. Kostopol była jedną z wyjątkowych miejscowości na Wołyniu, gdzie Polacy zostali ostrzeżeni przez sąsiada Ukraińca o mającym nastąpić napadzie i zdążyli uciec albo ukryć się. Dlatego w napadzie UPA 17 lipca nikt nie zginął, zostały tylko ograbione i spalone domy polskie.

We wsiach Ilnik Duży i Mały pow. Kostopol, w futorach: Konotopy, Laski, Łosiowe Kubło oraz w kol. Wyszka pow. Kostopol upowcy dokonują mordów ludności polskiej, ilość ofiar nie jest znana.

W futorze Konotopy pow. Kostopol spalili 6 polskich gospodarstw i zamordowali 72-letnią Rozalię Garbowską.

We wsi Laski pow. Kostopol zamordowali nie znaną ilość Polaków.

We wsi Łosiowe Kubło pow. Kostopol zamordowali nie znaną liczbę Polaków.

W kol. Ożgowo pow. Kostopol zamordowali 9 Polaków: 6-osobową rodzinę Antoniego Konopackiego z żoną Marianną i 4 dzieci; Józefę Basińską i Antoninę Sulikowską z córką Ewą.

W kol. Siedlisko pow. Kostopol zamordowali 21 Polaków /lista niepełna/.

W kolonii Tchory pow. Kostopol w dniach 16 – 18 lipca 1943 roku podczas oblężenia przez UPA Huty Stepańskiej ludność polska uciekła do lasu, gdzie ginęła podczas obław. Malczewska (imię nieznane), żona kowala oraz ich córka Zosia ur. 1937 zostały zamordowane podczas ucieczki. Bronisława Sulikowska ur 1920 (córka Ludwika i Walentyny) i Janina Sulikowska (z domu Kopij z Nierucznego, druga żona Franciszka) uciekły do lasu, ukrywali się w szałasie. Tam też zostały zamordowane. Sulikowski Aleksander i żona Maria Grochowska, mieli dwoje dzieci w wieku 3 i 5 lat, które uciekając w panice pozostawili w lesie, ich los jest nieznany. „Grochowscy ukrywali się w lesie, kiedy banderowcy przeszukiwali las, uciekli w popłochu. W ich szałasie pozostało 9 miesięczne dziecko, po powrocie znaleźli Je pokłute bagnetami. Miało 9 ran, dziecko przeżyło jeszcze trzy dni, zostało zagrzebane w lesie" (http://wolyn.freehost.pl/ogloszenia/tchory.pdf). Także wówczas pod Tchorami upowcy zamordowali 9-osobową rodzinę Kobylańskich z kolonii Podsielecze: Hipolita lat 75, jego syna Cezarego lat 40 z żoną Malwiną lat 36 i ich dziećmi Katarzyną lat 12, Stefanią lat 10, Marcelim lat 8, Romanem lat 6, Mieczysławem lat 4 i jednorocznym Stanisławem. Łączna ilość ofiar nie jest znana.

We wsi Zakuście pow. Kostopol wiadomo o zamordowaniu 1 Polaka. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

18 lipca (niedziela):

We wsi Bolizuby pow. Krzemieniec: „We wsi Boliizuby koło Kołodna zabito 18.VII.1943: 1. Franciszkę Kalencha (wdowa), 50 lat; 2. Maria Kalencha (córka Franciszki), żona Ładyszczuka Aleksandra (Ukraińca) 3. Henryka, syna Marii, 2 lata; 4. N. syna Marii (2 miesiące)" (Opracował: Andrzej Biernat, 23.11.2009, na podstawie zeszytów o. Tadeusza Chrobaka wybrała Iwona Kopańska – Konon; w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). W. i E. Siemaszko, na s. 439 podają, że z tej wsi nie mają żadnych informacji na temat losu mieszkających tam Polaków.

Koło wsi Chrynów pow. Włodzimierz Wołyński: Relacjonuje Wiesław Witold G. (ur. 1937): „Polacy jeździli z bronią na wypady do swoich gospodarstw po żywność i inne rzeczy. Kiedyś udało mi się wśliznąć na wóz, którym na wypad jechał mój ojciec. Poza nim jechało wtedy osiem–dziesięć wozów sąsiadów. W wiosce [w pobliżu Chrynowa] wszystkie zabudowania jeszcze stały, nie były spalone. Zajechaliśmy do gospodarstwa M., bo wiedzieliśmy, że nie uciekli. Obok domu, który nie był podpiwniczony, stał tzw. loch ziemny. W nim znaleźliśmy małżeństwo. Ojciec mnie nie puszczał, żeby to oglądać, ale widziałem, jak wyciągali zwłoki. Oboje byli porąbani siekierami. Na polu przy gospodarstwie został znaleziony nasz bliski sąsiad B. Z dwóch stron obłożono go deskami, w których [tkwiły] gwoździe, a deski obwiązano drutem kolczastym. Jego ciało zostało nabite na gwoździe, widziałem go w tym stanie. Wiem, że po polach i obejściach znaleziono kilka osób z rozciętymi brzuchami. Już we Włodzimierzu, byłem z rodzicami w kościele farnym o jedenastej. W czasie mszy wpadła do kościoła może dwunastoletnia dziewczyna. Miała obciętą przy ramieniu prawą rękę. Wbiegła przed ołtarz główny i krzyczała: „Matuchno Najświętsza, dziękuję ci, że pozwoliłaś mi się uratować". Później dowiedziałem się, że zamordowano jej całą rodzinę, ona jedna się uratowała i biegła 10 kilometrów przez las". (Lato 1943 - „Karta" – 43 /2004/, wybór i opracowanie Barbara Odonus)

W Kolonii Hały pow. Sarny został zamordowany z rodziną przez bandę UPA „leśnik" Stefan Szarabara (Edward Orłowski..., jw.).

W kol. Helenów pow. Horochów Ukraińcy zamordowali kilka rodzin polskich, imiennie znane jest tylko 8 nazwisk ofiar. W 3 dni po rzezi znaleziono m. in. matkę z rozprutym brzuchem i jej 10-letniego syna podźganego nożami przez jego ukraińskich rówieśników, kolegów szkolnych.

We wsi Huta Stepańska pow. Kostopol w trzecim dniu obrony przed atakami UPA zginęło około 50 Polaków, zapada decyzja o ewakuacji ludności, nocą wyruszył konwój długości 3 km. Kolumna ewakuacyjna, która opuściła Hutę Stepańską 18 lipca o godz. 15-tej, liczyła około 3 tysięcy osób i zdołała dotrzeć do miejscowości, gdzie istniała polska samoobrona. Rozbita i zmasakrowana została pierwsza grupa uciekinierów, która samowolnie opuściła Hutę w godzinach porannych tego dnia. Władysław Kobylański „Jerzyk" w książce „W szponach trzech wrogów" ocenia, że podczas ataku na Hutę Stepańską zginęło od 1800 do 2 tysięcy Polaków. Władysław i Ewa Siemaszko podają liczbę „ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: ~ 155 + ? Polaków, 11 Żydów" oraz liczbę „poległych w walce: ? Polaków, 6 Ukraińców". Ogólne straty polskie w czasie ataku na Hutę oceniają na około 600 osób zamordowanych bądź zabitych w walce. „W godzinach przedpołudniowych, korzystając z przerwy w napadach, zebrano ludność na placu przed szkołą. Ksiądz Drzepecki i dwóch młodych księży odprawili Mszę Świętą, rozdali wszystkie posiadane komunikanty wiernym oraz udzielili wszystkim w obliczu bezpośredniego zagrożenia życia zupełnego odpustu i błogosławieństwa Bożego. /.../ Na furmankach mogły znajdować się tylko i wyłącznie małe dzieci oraz chorzy, ranni i starzy. Reszta ludności musiała iść na piechotę. O godz. 15-tej, tj. o godzinie miłosierdzia Bożego ruszyły pierwsze furmanki./.../ Kolumna ciągnęła się na kilka kilometrów. Wszyscy modliliśmy się o szczęśliwe wydostanie się z tego piekła. Po opuszczeniu Huty spotkała nas olbrzymia burza, deszcz lał strumieniami,, niebo błyskało piorunami, Bóg wysłuchał naszych modlitw. Mówili ludzie – jest to cud. Bóg zaciera ślady wozów i pieszych, umęczonych wygnańców z własnego domu i własnej ziemi". (Włodzimierz Drohomirecki: „Oczami dziecka"; w książce „Świadkowie mówią"). Opowiada Stanisława Guzowska: „Siedzieliśmy z młodszym o 4 lata bratem na naszym eleganckim, dużym wozie, zaprzężonym w parę pięknych koni. Kolumnę żegnał – z przyniesionym z kościoła Najświętszym Sakramentem – ksiądz proboszcz Drzepecki, który błogosławił nas i mówił: Kochane dzieci, może wy jesteście godne u Pana Boga, módlcie się. I zaintonował „Pod Twoją obronę". Ale to nie był śpiew, tylko jeden wielki szloch. Wszyscy płakali. Mój dziadek Krawczyński, który nie chciał jechać, powiedział do mojej mamy: „Franiu, ty jedź z dziećmi a ja tu zostanę, trudno, zginę to zginę". No i mamusia zostawiła nas na tym wozie z ludźmi i pobiegła na chwilę do dziadka. Miała zaraz wrócić, ale tymczasem czołówka dała rozkaz do wyjazdu w kierunku na Wyrkę i cała kolumna ruszyła. Mama już nie zdążyła wrócić. A wozy jechały i jechały, bo to przecież były tłumy, chyba tysiące ludzi. Mgła była niesamowita. Gdy dojeżdżaliśmy do Wyrki, banderowcy, przepuściwszy czoło kolumny, zaczęli strzelać z karabinu maszynowego. I te ich okropne krzyki: „Hurra! Bić Lachiw! Rezać lachiw! Hurra!". W tym momencie mój 10-letni brat, który zawsze na boisku szkolnym bawił się z chłopakami w strzelców, krzyknął do mnie: skaczemy z wozu! I niczym mały dowódca, rozkazującym głosem mówił: czołgaj się, czołgaj!. Czołgając się, uciekałam od tych strzałów. Do dzisiaj mam na kolanie szramę od drutu kolczastego. Nie znałam Wyrki. Wydawało mi się, że jestem wśród zbóż. I tylko ten straszliwy obraz: wozy poprzewracane, porozrzucane pierzyny, konie pobite. Ludzie leżący tu i tam – jedni martwi, inni ranni. Krowy chodzące dookoła i ryczące, bo nie były dojone. Zauważyłam spaloną blachę i zorientowałam się, że to resztki spalonego kościoła. Zaczęłam uciekać taką dróżką pomiędzy zbożami, a zboża były piękne tamtego roku. Nagle usłyszałam za sobą tętent konia. Pomyślałam: to na pewno banderowiec. A więc to już koniec! Zaraz zarąbie mnie siekierą albo zakłuje widłami. Zrezygnowana, nawet nie oglądając się, stanęłam przy stojącej tam małej kapliczce i zaczęłam się gorąco modlić. Nagle, w jednym momencie, jakby lotem błyskawicy, znalazłam się na grzbiecie konia. Na moje szczęście, to galopował jeden z naszych zwiadowców z czoła kolumny. Wspaniały młody mężczyzna. Bez zatrzymywania się, w pełnym biegu chwycił mnie za sukienkę i jednocześnie podniósł sprawnym ruchem nogi. Strzelano za nami z karabinu maszynowego, ale szczęśliwie omijały nas kule. Zajechaliśmy do lasu, gdzie była duża grupa rozbitków z czoła kolumny. Mój wybawca tam mnie zostawił mówiąc: to jest polska dziewczynka. Byłam uratowana, choć bosa i w porwanej sukience. Czułam się, jakby podarowano mi drugie życie. Z tymi rozbitkami dotarliśmy bezpiecznie do stacji kolejowej w Grabinie. Tam Niemcy podstawili wagony, bydlęce wagony, aby zawieść nas do Sarn. Weszłam do wagonu, podniosłam głowę, spojrzałam – a tam stał mój brat! Rzuciliśmy się sobie w objęcia z wielkim płaczem, bo ludzie mówili, że Huta Stepańska już nie istnieje, że została wysadzona w powietrze. Nie wiedzieliśmy, co stało się z naszymi rodzicami i dziadkami". Gdy Stasia Romanówna, uratowana przez bohaterskiego zwiadowcę, wędrowała z grupą rozbitków z czoła kolumny w kierunku linii kolejowej, reszta furmanek wracała w popłochu do Huty Stepańskiej. Obrońcy, po zebraniu informacji co do rozstawienia sił banderowskich w okolicy, przeprowadzili taktyczny atak na pozycje banderowców w okolicy Słonych Błot, po czym por. Kochański zarządził ewakuację. Wszyscy Polacy opuścili Hutę Stepańską w uporządkowanej, kilkukilometrowej kolumnie furmanek, osłanianej przez uzbrojonych obrońców, a dodatkowo także przez gwałtowną popołudniową burzę. Przed nocą dotarli do kolonii Hały, gdzie – po stoczeniu zwycięskiego boju z niewielkim oddziałem banderowców – urządzili warowny obóz i tam przenocowali.". (Jacek Borzęcki: Obrona Huty Stepańskiej; w: Kurier Galicyjski, nr 13–14 z 16 lipca – 15 sierpnia 2013; za: http://www.kuriergalicyjski.com/historia/upamietnienia/2434-obrona-huty-stepaskiej?showall=1&limitstart=). Jadwiga Majewska (ur. w 1933 roku) w lipcu 1943 roku miała niespełna dziesięć lat. Była świadkiem tragedii w Hucie Stepańskiej. „Byliśmy tam do 18 lipca, a potem wyszedł rozkaz, żeby się wycofać do Sarn, bliżej kolei, tam, gdzie byli Niemcy. […] Szybko wróciliśmy do domu, każdy co mógł, to wziął. Tylko ja nie zdążyłam wejść na furmankę, bo postanowiłam jeszcze wrócić do domu po mój obrazek, który dostałam na Pierwszą Komunię. Biegłam za furmanką, ale było bardzo dużo ludzi. […] Mama krzyczała i wyciągała ręce, żeby mnie wciągnąć na ten wóz, ale nie zdążyłam. Widziałam bardzo dużo pomordowanych. Pamiętam, że napadnięto na nas w trakcie tego wycofywania się. Jak słyszałam te krzyki i strzały banderowców: »Urra, urra, rezać Lachy«, to ja ze strachu przeskoczyłam przez rów, bo zobaczyłam, że niektórzy uciekają do lasu. […] Tam zgubiłam but i ten obrazek. Uciekałam w sukieneczce, w której byłam przyjęta do Pierwszej Komunii, tylko przefarbowanej na niebiesko. […] Zobaczyłam wtedy kobietę z rozciętym brzuchem, nieżywą, przy niej dziecko siedziało, płakało. Widziałam też innych martwych ludzi. Gdy biegłam do lasu, zobaczyłam mojego wujka, brata ojca, który biegł z narzeczoną – złapała mnie za rękę i tak żeśmy szli dzień, noc i jeszcze dzień, aż do Sarn". („Bery kosu, bery niż i na Lacha…"– relacje ocalałych z rzezi wołyńskiej; w: http://www.zbrodnia-wolynska.pl/swiadkowie-mowia/beru).

We wsi Połupanówka pow. Skalat: „18. VII.1943. Połupanówka pow. Skalat. Zamordowany został przez Ukraińców nauczyciel Morzol Stanisław, b. komendant Z.S. i działacz społeczny" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 9, k. 170 – 174).

We wsi Suszybaba pow. Kowel upowcy zamordowali 7 ujętych partyzantów AK „Jastrzębia".

W kol. Szeroka pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 3 Polaków. Ukrainiec Stachu Sołynynka zabił łopatą uratowane z napadu 16 lipca dwoje dzieci Jana Cwinarowicza: 15-letnią Marię i 10-letniego Czesława, którego waląc łopatą 5 razy w głowę rzekł „twerdy lach" (Siemaszko..., s. 135). Ponadto zastrzelili 1 mężczyznę.

We wsi Torskie pow. Zaleszczyki banderowcy zamordowali 11 Polaków, w tym 10-osobową rodzinę Franciszka Markiewicza.

W osadzie Ułanówka pow. Włodzimierz Wołyński zarąbali siekierą 56-letniego Andrzeja Centnera.

We wsi Werbcze Duże pow. Kostopol upowcy wyłapali uciekających Polaków z Huty Stepańskiej i zrobili nad nimi „sąd", po czym bestialsko wszystkich wymordowali, łącznie 60 Polaków.

We wsi Wyrka pow. Kostopol zaatakowali kolumnę uciekinierów z Huty Stepańskiej i wymordowali ponad 100 Polaków. W dniu 18 lipca z rana jedna z kolumn uchodźców, podczas wycofywania się z Huty Stepańskiej, została zaatakowana przez uzbrojonych Ukraińców w Wyrce w rejonie mostu. Było tam ponad 100 zabitych i wielu rannych. Zginął min. Zbigniew Libera. Część ludzi rzuciła się do ucieczki, zostawiając wozy i pojedynczo przebijała się w kierunku linii kolejowej Kowel-Sarny poprzez lasy i bagna (podczas tej ucieczki utopiło się w bagnie dziecko), a pozostała część kolumny natychmiast zawróciła do Huty Stepańskiej. W tym też czasie grupa około 60 uciekinierów, przeważnie kobiet i dzieci oraz ludzi starszych wiekiem, została schwytana i uprowadzona przez bojówkę ukraińską do pobliskiej wsi ukraińskiej Werbcze. Nie pogrzebane zwłoki zamordowanych w Wyrce pozostały na miejscu, m.in. w dużej liczbie koło kościoła i nad rzeczką Wyrka. „Doszliśmy do Wyrki, pali się młyn. Znajomy mówi do Mamy, [że] to jest zły znak, że to będzie jeszcze masakra. Podeszliśmy jeszcze paręset metrów, strzał z przodu, tak że cała kolumna zatrzymała się. A byliśmy na drodze, z jednej strony krzaki, łąka, z drugiej było zboże, żyto. Jak zaczęli strzelać, krzyczeć „ryzat Lachów", niesamowity zrobił się krzyk i jęk rannych. Ta cała banda szła na Hutę, ale jak posłyszeli, że idą Polacy, to zrobili zasiadkę, z tyłu zaczęli strzelać, żeby szybciej mieć w swoich rękach tych bezbronnych ludzi. To my z Mamą weszliśmy do tego żyta, był mały kawałek. Pokładliśmy się w bruździe i leżymy. Wokół nas słychać ukraińską mowę, było słychać „rubaj, derżyj Lachów". Jakie było szczęście, że oni nie weszli do tego żyta. To my tak doleżeliśmy do nocy, ta banda poszła do Huty, było słychać jęki rannych, ludzi i zwierząt." (Edward Szprigiel: Bóg nas uratował. W: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/842-bog-nas-uratowa.html).

W kol. Zabara pow. Horochów zamordowali 25 Polaków (całe rodziny) i doszczętnie obrabowali ich gospodarstwa; z domu Gniotów zabrali nawet garnek z gotującą się na rosół kurą. Sołtys wsi, Ukrainiec, ze swoim synem urządzili polowanie na dzieci pasące krowy na pastwisku, które po złapaniu były zabijane; z kolei inny „partyzant ukraiński" zabił niemowlę kopnięciem w główkę. (Siemaszko..., s. 174).

18 lub 19 lipca:

W kol. Podsielecze pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 2 Polaków: Michała Krowickiego z 13-letnim wnukiem Zdzisławem.

We wsi Zwiniacze pow. Horochów miejscowi Ukraińcy mordują uciekinierki ocalałe z pogromu Kowbani, które nocami szły do Horochowa: Paulinę Madurę z córkami lat 17, 22 i 25 (która już w Kowbanii została ranna). Nie uciekły więc daleko.

19 lipca:

W kolonii Biełczakowska pow. Kostopol zamordowali 10 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Dąbrowa /koło Mańkowa/ pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 7 Polaków.

We wsi Dębina pow. Trembowla: „19.07.1943 r. został zamordowany Muszyński i.n. – gospodarz". (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

W kol. Dykta pow. Borszczów: „Celem tych band jest, drogą powszechnych mordów, usuniecie z tych stron Polaków i stworzenie w ten sposób tutaj zupełnej, 100%-wej supremacji żywiołu ukraińskiego, jako pewny i silny substrakt, mającej w przyszłości najbliższej na tych ziemiach powstać, drogą akcji zbrojnej, wojskowej organizacji ukraińskiej, wolnej, suwerennej Ukrainy rządzonej wyłącznie przez niezależny ukraiński rząd. Powyższe twierdzenia są oparte na faktach notoryjnie znanych. Ukraińcy bowiem po wsiach ze swoimi zamiarami wcale się nie kryją i wprost otwarcie, publicznie je na każdym kroku manifestują. Wystarczy dla ilustracji podać wnioski i dyrektywy uchwalone między innymi na zebraniu publicznym Ukraińców w Oryszkowcach (Bezirk Kopyczyńce), jakie miało miejsce w dniu 27 czerwca 1943 r., a na którym dyrektor szkoły ukraińskiej niejaki Fedorów nawoływał zebranych Ukraińców do zrobienia natychmiastowego porządku z Polakami. Bezpośrednim rezultatem tego zebrania był zbrojny napad na zagrodę gospodarza w Korczakowej, Polaka Ignacego Zabrockiego. Przebieg tego zajścia jest dokładnie opisany w protokole jego zeznań Nr.832/43/W.P., dołączonym do niniejszego pisma jako załącznik 1; oraz mordowanie Polaków na dalszych terenach Kreisu czortkowskiego

w następstwie podobnych zebrań jako zamordowanie Polaka gospodarza Chyły Jana wraz z żoną Weroniką w dniu 19 lipca br. na kolonii Dykta ad Szyszkowce, powiat Borszczów." (1943, 7 sierpnia – Pismo PolKO w Czortkowie do władz niemieckich w związku z falą napadów ukraińskich w powiecie czortkowskim. W: B. Ossol. 16722/1, s. 7-12).

We wsi Huta Stepańska pow. Kostopol po ewakuacji i zamordowaniu około 600 Polaków upowcy spalili wieś, natomiast duchowni prawosławni odprawili przed kościołem dziękczynne nabożeństwo za zwycięstwo nad Polakami, a następnie Ukraińcy spalili drewniany kościół pw. Najświętszego Serca Jezusowego. W Sprawozdaniu „Pierwszej grupy UPA z akcji na Hutę Stepańską" Ukraińcy podają: „Dnia 16. VII o godz. 22-giej oddziały wyruszyły do natarcia na wieś Huta. Oddział pierwszy w kierunku na Borki, drugi na Kurort, trzeci od południowej części. Akcję przeprowadzono likwidując kol. Borek, Lady i część Kurortu i oddziały podeszły pod umocnione stanowiska. Zaalarmowany wróg silnym ogniem maszynowym powstrzymuje natarcie, bój trwa do południa. Na miejsce walki przyciągnięto armatkę i przystąpiono do kolejnego natarcia. Straty wrogów w tym dniu – ponad 150 zabitych. Własnych strat nie było. Następnego dnia 18. VII o godz. 1-szej oddział pierwszy wzmocniony częścią oddziału „Woronoho" ponawia natarcie. Jednej z grup udało się wedrzeć do środka umocnionych pozycji i podpalić budynki. Własne straty 6 zabitych i 3 rannych. Bój trwał do wieczora, a rankiem 19. VII zdobyto umocnienia. /.../ 18. VII druga grupa likwiduje resztę kolonii. W czasie akcji uchwycono wrogi tabor, który uciekał z Huty (150 fur z mieniem). Straty wroga w tym dniu – ponad 800 zabitych./.../ W wyniku przeprowadzonych działań pierwsza grupa w dniach 17, 18 i 19 lipca zlikwidowała następujące wsie i kolonie: Huta Stepańska, kol. Borek, Omelanka, Lady oraz chutory Kamionek, Romaszkowo, Podsielecze, Polany, Hołyń, Temne. Druga grupa zlikwidowała wsie i kolonie: Wyrkę, Siedlisko, Sośniki, Ostrówki, Perespę, Wyrobki, Hały, Szymonisko, Użane, Ziwkę, Berezynę, Tur, Osiewicze, Iwanicze, Długie Pole, Berezówkę. Straty wroga ponad 500 zabitych oraz nieokreślona liczba rannych. Odebrano zrabowane ludności ukraińskiej mienie domowe, bydło, konie i wozy. Zadanie wykonano całkowicie. Rozbijając polskie uzbrojone bandy usunięto zagrożenie, jakie ciążyło nad miejscową ludnością. Jednocześnie oczyszczono teren z okupacyjnej władzy." Z ukraińskiego sprawozdania wynika, że suma ponad 150 zabitych Polaków w pierwszym dniu ataku i ponad 800 w dniu drugim daje łącznie liczbę... ponad 500 zabitych i nieokreśloną liczbę rannych. Ukraińcy w walce atakując umocnione pozycje stracili... 6 zabitych i 3 rannych. Kłamstwo o „odbieraniu zrabowanego ludności ukraińskiej mienia" pozostawić trzeba bez komentarza.

We wsi Łoszniów pow. Trembowla: „19. VII.1943. Leszczyński Edward, absol. gim. – zamordowany w Łoszniowie i podrzucony pod kościół" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 28, k. 73 – 90).

We wsi Suszczyn pow. Trembowla Ukraińcy zamordowali 22-letniego Polaka. Inni: „19.07.1943 r. został zam. Jankowski Jan – rolnik" (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

„19 lipca 1943 r. komendant Okręgu wydał rozkaz podporządkowania Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, podlegającego okręgowemu delegatowi Rządu, dowództwu wojskowemu. W ten sposób kierownictwo Okręgu Wołyńskiego AK, wspólnie z Okręgową Delegaturą Rządu, podjęło radykalne środki w obronie zagrożonej ludności polskiej. Oznaczało to scentralizowanie obrony wojskowej i cywilnej w rękach komendanta Okręgu. Następnego dnia tj. 20 lipca 1943 r. powzięta została decyzja utworzenia oddziałów partyzanckich" (Władysław Filar: Wołyń w latach 1939 – 1944, w: Przed Akcją „Wisła" był Wołyń). Rozkaz komendanta Okręgu AK spóźniony był o co najmniej cztery miesiące. Z wielu wsi polskich na Wołyniu pozostały już tylko popioły i często nie pochowane zwłoki ofiar.

20 lipca:

Między wsią Chobułtowa a Mikulicze pow. Włodzimierz Wołyński upowcy napadli na uciekinierów ze wsi Mańków pow. Horochów i wszystkich wymordowali, 14 Polaków: 2 mężczyzn, 12 kobiet i dzieci, w tym dwie 16-letnie dziewczyny.

W kolonii Mańków pow. Horochów upowcy zamordowali 2 Polaków i 6 Ukraińców (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Okno pow. Horodenka: „Bożemski Konrad, leśnik z rodziną, zamordowani 20.07.43 r." (Prof. dr hab. Leszek S. Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw. tom 8). „W myśl pisma P. Delegata z dnia 3. IX . 1943 Nr. 6899 /T/ 43 Polski Komitet Opiekuńczy w Kołomyi donosi: Dnia 26. VII. br. postrzelono w Jabłonowie [Kołomyja] rzeźnika Lewandowskiego. W tym samym tygodniu zamordowano w Oknie [Horodenka] leśnika Bożemskiego i 3 osoby".

We wsi Połupanówka pow. Skałat uprowadzili Polaka, nauczyciela, który zaginął bez śladu.

We wsi Zamczysko pow. Dubno zamordowali 15 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Zaturzyn pow. Podhajce zamordowali Marię Nenycz.

W nocy 20 na 21 lipca:

W kol. Podsielecze pow. Kostopol Ukraińcy w kolejnej obławie na ukrywających się w lasach i na bagnach zamordowali 11 Polaków, w tym porąbali i pokłuli: Grzegorza Sulikowskiego, lat 48, jego żonę Anastazję, lat 45 i ich dzieci: 16-letnią Józefę, 14-letniego Józefa, 12-letniego Marcelego, 7-letnią Malwinę, 3-letnią Janinę i niemowlę Danutę; ponadto 28-letniego Antoniego Rudnickiego cięli piłą po kawałku od stóp do głowy, jego 25-letniej żonie w ciąży rozpruli brzuch oraz zamordowali ich 3-letniego syna Czesława.

We wsi Sieniawa pow. Brzeżany: „W nocy z 20 na 21.VII.1943. Sieniawa pow. Brzeżany. Przed obejście gospodarza Nenycza zajechała furmanka i dwóch osobników konno. Wyprowadzili Nenycza i jego żonę z mieszkania, kazali im siadać na furę i odjechali w nieznanym kierunku. Sprawcy mówili po ukr. byli to prawdopodobnie Ukraińcy z sąsiedniej wsi" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 9, k. 170 – 174).

W kol. Stepanie pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 1 Polaka, rymarza.

18 lub 21 lipca:

We wsi Ożgowo pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 3 starszych Polaków.

21 lipca:

W kol. Nowiny pow. Włodzimierz Wołyński w walce z UPA zginął 1 Polak z samoobrony.

We wsi Kosmacz pow. Kołomyja banderowcy zamordowali 5 Polaków, w tym inż. Alojzego Żmigrodzkiego z 5-letnią córką Krystyną.

We wsi Łabędzianka pow. Dubno zamordowali1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Witkowce pow. Krzemieniec: „Dnia 21.VII (środa) 1943. Zabili bandyci w Witkowcach następujących starców Polaków, nie mogących uciekać: 1. Liskiewiczowa Anna: 71 lat 2. Liśkiewicza Adama:48 lat (ułomny kaleka). 3. Szynkaruk Marcin (80 lat). 4. Ciura Marcelina (85 lat). 5. Murza Franciszek (80 lat). 6. ?" (Andrzej Biernat, 23.11.2009, na podstawie zeszytów o. Tadeusza Chrobaka. Fragmenty wybrała Iwona Kopańska – Konon; w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). W. i E. Siemaszko na s. 438 podają odnośnie wsi Witkowce: „W Wielkim Tygodniu (19 – 23 kwietnia) 1943 r., w nocy, upowcy zabrali z domów trzech mężczyzn o nie zapamiętanych nazwiskach: woźnicę hr. Grocholskiego z Kołodna; działacza harcerskiego; i „przykładnego" katolika. Za wsią przywiązali ich za nogi do wozu konnego i wlekli za wozem aż na cmentarz w Kołodnie, tj. około 4 km". Nie odnotowują mordu ww. osób.

22 lipca:

We wsi Bitków pow. Nadwórna banderowcy zamordowali oficera rezerwy WP.

We wsi Boryczówka pow. Trembowla: „22.07.1943 r. został zamordowany Muszyński i.n., l. 27, syn Karola". (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

W kol. Dmitrówka pow. Łuck zamordowali 43 Polaków; ciała ofiar znajdowano pokawałkowane w różnych miejscach; 20-letni Józef Figa miał zdzierane pasy skóry (Siemaszko..., s. 639). Podczas tego napadu został zastrzelony przez bojówkę UPA robotnik leśny Karl Figa lat 55, natomiast jego żonę Jadwigę lat 50 i córkę Anielę lat 25 zakłuli bagnetami. (Edward Orłowski..., jw.).

We wsi Detynicze pow. Dubno zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Hleszczawa pow. Trembowla: „22.07.1943 r. zostali zam. na polu: Dżumaga i.n. – gospodarz; Sokół i.n. – gospodarz". (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

We wsi Kosmacz pow. Nadwórna; „W myśl pisma P. Delegata z dnia 3.IX. 1943 Nr. 6899/T/43 Polski Komitet Opiekuńczy w Kołomyi donosi: Dnia 22 VII. 1943 w Kosmaczu [Nadwórna] zamordowano inż. z kopalni i 3 osoby". „Kosmacz. W tym czasie w pobliskim Kosmaczu: zabito na drodze żonę inż. Kuźmińskiego wraz z 4 letnią córką, zamordowano inż. Żmigrodzkiego wraz z 9 letnią córką (22.VII.1943) i resztą rodziny, zabito w Kosmaczu p. Klisowskiego wraz z całą rodziną (zwłoki 6 osób znaleziono w leśnej rozpadlinie), w czasie napadu na pracowników kopalni naftowej w Kosmaczu bandyci Rusini gwałcili kobiety i dziewczęta, zabito profesora gimnazjum Budzianowskiego." (www.szeszory.3-2-1.pl). Patrz: 24 lipca 1943.

W kol. Lipska pow. Horochów wymordowali ludność cywilną w tej polskiej kolonii, liczba ofiar nie została ustalona; m.in. Ukraińcy torturowali 2 Polaków, swoich szkolnych kolegów, a potem spalili ich żywcem. Kolonia ograbiona i spalona przestała istnieć.

We wsi Łobaczówka pow. Horochów zamordowali 43 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Oliwnica pow. Dubno po wysiedleniu z miasteczka Krasiczyn pow. Przemyśl: „Po wysiedleniu na Wołyń do wsi Oliwnica pow. Dubno 22.07.43 r. zostali zamordowani: 1-7. Zalewski Józef z żoną z domu Grochowską; Zalewski Władysław syn Józefa i Zalewska Maria jego żona oraz ich troje dzieci." (Prof. dr hab. Leszek S. Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw. tom 8).

23 lipca:

We wsi Hleszczawa (Kleszczawa) pow. Trembowla: „23.07.1943 r. został zam. Michał Sokół l. 40". (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

W przysiółku Hubinek należącym do gminy Lubycza Królewska pow. Rawa Ruska Ukraińcy zamordowali Zofię Borowicz.

W kol. Kamionka pow. Kostopol: „Biskup Jan Bagiński urodził się we wsi Kamionka w województwie wołyńskim. W 1943 roku, gdy ukraińscy nacjonaliści wymordowali polskich mieszkańców miejscowości, miał 11 lat. - To, że teraz z panem rozmawiam, zawdzięczam naszemu sąsiadowi Makarowi Najstrukowi - mówi biskup. Wieczorem do domu Bagińskich przybiegła córka Najstruka. Powiedziała, że przysłała ją ojciec. W ich domu zgromadzili się banderowcy i zamierzają w nocy zaatakować polskie domostwa. Jeżeli Bagińscy chcą żyć, powinni szybko uciekać. Rodzina natychmiast opuściła wieś. Została tylko prababcia, która powiedziała, że "jej starej na pewno nie ruszą". - Tej nocy Polacy zostali wyrżnięci. Prababcię zasztyletowano, a naszych sąsiadów porąbano siekierami. Zginęła między innymi spokrewniona z nami rodzina Burakowskich. 12-letnia dziewczynka próbowała uciekać, Ukraińcy dopadli ją w polu... - opowiada duchowny." (Piotr Zychowicz: „Ukraińcy, którzy ratowali Polaków"; w: „Rzeczpospolita" z 26 października 2010). „To byli ludzie z innych miejscowości, przynależący do banderowców. Oczywiście, ta tragiczna noc, kiedy już zniszczono i wymordowano tę nieliczną kolonię polską Kamionka, rozpoczęła się od tego, że w domu ukraińskich sąsiadów, przygotowywano plan eksterminacji rodzin polskich. Ten sąsiad Ukrainiec odważył się posłać swoją kilkunastoletnią córeczkę do nas, żeby przekazać, abyśmy natychmiast uciekali, dlatego że tej nocy zginiemy. Bez zastanowienia spakowaliśmy się i uciekaliśmy w kierunku miejscowości Bystrzyce nad rzeką Słucz, bo tam stacjonowali jeszcze Niemcy. Na tym etapie, jeszcze nas bronili. Po drodze do Bystrzyc, gdy przechodziliśmy przez wioskę Rudnia Pohoryłowska, zostaliśmy ostrzeżeni przez ukraińskiego gospodarza, który miał dom przy drodze: wam to nie ujdzie, oni przecież są na koniach, dogonią was i zabiją, dlatego lepiej będzie, jak schowacie się w mojej stodole za słomą. Nie wiem, ile myśmy tam czekali, ale rzeczywiście stało się tak, jak ten człowiek przewidywał. Kilkunastu uzbrojonych mężczyzn pędziło w kierunku Bystrzyc, tą drogą, którą przypuszczali, że uciekamy. On oczywiście, siedząc lub stojąc przy płocie, pytany czy nie widział Bagińskich, powiedział: ależ tak, widziałem, to już trochę minęło, musicie szybko jechać, jeżeli chcecie ich dopaść przed Bystrzycami. Popędzili jak potrafili szybko. Oczywiście, jak już nas nie dopadli, wrócili. Zjedli posiłek u tego gospodarza, on postawił im wódkę i pojechali. Wtedy wyszliśmy ze stodoły i udaliśmy się w kierunku Bystrzyc, dzięki temu, nasza rodzina się uratowała. Z mojej wioski uciekliśmy my, wcześniej jeszcze jedna rodzina. Resztę wybili. Otoczyli naszych sąsiadów i wymordowali wszystkich, w tym rodzinę babci - Burawskich, siedem osób. Z naszej rodziny nie chciała uciekać tylko nasza prababcia. Powiedziała, że takiej staruszki nie zabiją. Nie chciała z nami jechać. Zabili ją." (Bp Jan Bagiński: przeżyłem rzeź wołyńską dzięki pomocy ukraińskich sąsiadów; 2013-12-02; w: http://historia.wp.pl/title,Bp-Jan-Baginski-przezylem-rzez-wolynska-dzieki-pomocy-ukrainskich-dow,wid,16143048,wiadomosc.html?ticaid=115557). Wg Siemaszko (s. 264 – 265) do Prokopa Majstruka 23 lipca 1943 roku przyszło 10 upowców z rozkazem zabicia wszystkich Polaków w Kamionce, ale ten upił ich, a jego żona ostrzegła Polaków. Za tę pomoc zamordowali oni 8-miu swoich rodaków, Ukraińców, w tym 2 dzieci. Podają też, że potem zamordowali rodzinę Burawskich oraz Michalinę Bagińską, lat 82, oraz w 1943 roku rodziny Brzozowskich i Burawskich (Burakowskich).

We Lwowie policjanci ukraińscy zamordowali 1 Polaka.

We wsi Ławrów pow. Łuck Ukraińcy z Zaborola zamordowali Polkę, Lipską.

We wsi Ochnówka pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 11 Polaków, w tym 3-osobową rodzinę z 18-letnią córką której rozpruli brzuch, kilkuletniemu dziecku roztrzaskali głowę, siekierami zarąbali 4-osobową rodzinę kowala Marcina Bronickiego z 2 synami, utopili w studni 68-letniego mężczyznę, zamordowali 7-miesięczne dziecko polsko-żydowskie (Żyda i Polki).

W przysiółku Posiecz wsi Łomna pow. Turka został zamordowany przez banderowców leśniczy Jan Tuczyński. „23. VII.43 Posiecz Pow. Turka: Tyczyński Jan, leśnik, zamordowany." (1944. luty – marzec – Wykazy mordów i napadów na ludność polską sporządzone w RGO we Lwowie na podstawie meldunków przekazanych z terenu. W: B. Ossol. 16722/2, s. 219-253).

We wsi Zimno pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 42-letniego Stanisława Burka.

W nocy z 23 na 24 lipca:

We wsi Bitkowce pow. Rohatyn: „W nocy z 23 na 24.VII.1943. Bitkowce koło Rohatynia. Uprowadzony został przez Ukraińców młynarz, zaś kasjer młyna został w czasie ucieczki zastrzelony. Obydwaj narodowości polskiej" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 9, k. 170 – 174).

We wsi Lipica Dolna pow. Rohatyn: „W nocy z 23 na 24.VII.1943. Lipica Dolna pow. Rohatyn. Ukraińscy bandyci napadli na b. posterunkowego nazwiskiem Gil. W wyniku czego został on uprowadzony" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 9, k. 170 – 174).

24 lipca:

W kol. Abramowce pow. Kowel: "Zagładę Abramowca, części Radowicz, przyniosła pacyfikacja niemiecka w upalną sobotę 24 lipca 1943 roku. Przyczyną bezpośrednią była jednak prowokacja ze strony OUN – UPA. Tego dnia w godzinach porannych traktem przez Abramowiec przejechała z Kowla do Tuliczowa kolumna około 20 ciężarówek niemieckiej żandarmerii. Niebawem od strony Tuliczowa, następnie Litynia rozległy się strzały. Godzinę później pod Abramowiec podeszła gęsta tyraliera żandarmów, którzy zaczęli strzelać do uciekających, zapalając pociskami zabudowania. Zaskoczeni, przerażeni mieszkańcy szukali ukrycia w zabudowaniach, ogrodach, krzewach, bruzdach, łanach zbóż. Niestety, szczelna tyraliera wyszukiwała ukrytych, mordując każdego. Niektórzy, ukryci w budynkach, spłonęli żywcem. Słupy czarnego dymu złowieszczo wzbijały się w błękitne niebo. Samolot krążył nad pacyfikowanymi wsiami ostrzeliwując je z pokładowej broni. Artyleria pociągu pancernego spod Turzyska ostrzeliwała płonące wsie. Pociski z szumem przelatywały nad nami i wybuchały w płonących wsiach. Tę noc, jak i wiele poprzednich, spędziliśmy z rodzicami w ukryciu, tym razem w zbożu. Obudziła nas gwałtowna strzelanina i głośne wybuchy. W trwodze oczekiwaliśmy najgorszego. Abramowiec został starty z powierzchni ziemi. W kolonii zamordowano 25 osób, a 2 zostały ranne. /.../ W pobliskich Piórkowiczach zamordowano pięcioosobową rodzinę Małków, troje dzieci zostało wrzucone przez okno do płonącego domu. Ranni; Antonina Dulkowska i Stefan Gut, zamordowany przez upowców we wsi Peresieka niedaleko Zasmyk. Lista osób może być niepełna". (Feliks Budzisz: Zagłada Abramowca; w: http://wolyn.org/index.php/informacje/101-zagada-abramowca; 27 marca 2011).

We wsi Kosmacz pow. Kołomyja Ukraińcy zamordowali 6-osobową rodzinę polską Klisowskich. Inni: „W pobliskim Kosmaczu: zabito na drodze żonę inż. Kuźmińskiego wraz z 4 letnią córką, zamordowano inż. Żmigrodzkiego wraz z 9 letnią córką (22.VII.1943) i resztą rodziny, zabito w Kosmaczu p. Klisowskiego wraz z całą rodziną (zwłoki 6 osób znaleziono w leśnej rozpadlinie), w czasie napadu na pracowników kopalni naftowej w Kosmaczu bandyci Rusini gwałcili kobiety i dziewczęta, zabito profesora gimnazjum Budzianowskiego". (www.szeszory.3-2-1.pl). „Dn. 24 VII. br. w Szeszorach zamordowano w okrutny sposób proboszcza ks. Grzesiowskiego, któremu uwiązano do szyi sznur i tak go długo na nim wleczono, aż skończył, uduszony. W tymże czasie zamordowano lekarza dr. Ka-

liniewicza, a następnie oblawszy benzyną podpalono." (1943, październik - Zbiór raportów dotyczących napadów ukraińskich na terenie Małopolski Wschodniej zarejestrowanych przez RGO we Lwowie. W: AAN 47, s. 5-11, 13-15). „9 sierpnia 1943. To było w gazecie niedzielnej, że w Pistyniu, tam gdzie jest ciocia Stasia, śmiercią męczeńską zmarli w ostatnich dniach lipca: 1. proboszcz rzym. kat. w Pistyniu ksiądz Józef Grzesiowski, 2. Dr. Kaliniewicz były dyrektor szpitala w Kołomyi mieszkający w Pistyniu, 3. Kuźmińska Rozalia, 4. inż. wraz z córką, 5. inż. Alojzy Zmygrodzki wraz z córką i Budzianowski." (Danuta Krystyna Danyluk – Żabska: „Dzienniczki Danusi"; w: http://www.brodzianie.pl/pdf/danusia.pdf). „Nieco później został uprowadzony do lasu, a następnie zamordowany niejaki Klisowski wraz z całą rodziną (6 osób) z Kosmacza. Zwłoki znaleziono w leśnej rozpadlinie. W czasie napadu na pracowników kopalni naftowej w Kosmaczu gwałcili bandyci kobiety i dziewczęta." (1943, październik - Zbiór raportów dotyczących napadów ukraińskich na terenie Małopolski Wschodniej zarejestrowanych przez RGO we Lwowie. W: AAN 47, s. 5-11, 13-15). „Pistyń Tej samej nocy z 25 na 26 lipca 1943 roku Rusini uprowadzili z plebani w Pistyniu ks. Józefa Grzesiowskiego, zanim go zabili wcześniej był w bestialski sposób torturowany. Oba zabójstwa zostały opisane w relacji o. Eugeniusza Węgrzyna." (www.szeszory.3-2-1.pl).

We wsi Krupiec pow. Dubno zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W majątku Lityń pow. Kowel miejscowi Ukraińcy zamordowali młode polskie małżeństwo: Karolinę Słowik z mężem.

We wsi Michałków pow. Kołomyja banderowcy zamordowali Polaka, rolnika Pieczonkę (B. Ossol. 16721/1, s. 183-184).

We wsi Piatydnie pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 48-letniego Jana Johana.

We wsi Pistyń pow. Kosów Huculski obrabowali plebanię, uprowadzili ks. Józefa Grzesiowskiego i udusili go sznurem na łące pod lasem koło wsi Szeszory.

W kol. Podryże pow. Kowel zamordowali Rafała Citowicza, lat 42.

We wsi Szeszony pow. Kosów Huculski uprowadzili i zamordowali dr Stanisława Kaliniewicza, ordynatora szpitala w Kołomyi; „Doktor został przebity bagnetem, w głowie miał trzy kule, jedną nogę złamaną, drugą bosą, plecy spalone do kości" (Jastrzębski..., s. 183, stanisławowskie; „Na Rubieży" nr 33-34/1999).

25 lipca:

We wsi Gnojno pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 7-osobową rodzinę polską: mieszkankę kolonii Mikołajówka 37-letnią Wiktorię Dobrowolską i jej 6 dzieci.

W kol. Jeziorany Czeskie pow. Łuck około 10-osobowa grupa upowców uzbrojona w karabiny, siekiery, noże i piłę do cięcia drzewa zamordowała 14 Polaków, w tym dwie rodziny, które uciekły z Jezioran Szlacheckich, chociaż tam wcześniej opłaciły złotem Ukraińcom swe bezpieczeństwo i otrzymały obietnice, że nic nikomu się nie stanie. Wszystkie osoby torturowali 4 -5 godzin zadając liczne obrażenia. Kobietom poobcinali piersi i zmasakrowali twarze, wszystkich dźgali bagnetami. Zaczynali od najmłodszych członków rodziny kończąc na najstarszych. Podczas mordowania „powstańcy ukraińscy" mówili, że ofiary „muszą długo umierać, bo są dobrymi ludźmi". Zginęli: 48-letni Stanisław Biernacki, jego około 45-letnia żona Maria, ich dzieci: 24-letni Franciszek, 22-letnia Stefania, 20-letnia Halina, 18-letnia Bronisława i 5-letnia Jadwiga; druga rodzina: 41-letni Józef Biernacki, jego 39-letnia żona Marta, ich córki: 16-letnia Stanisława i druga, 14-letnia; a także nauczycielka tych dzieci Pecowa oraz przebywający u Józefa Biernackiego: 45-letnia Ewelina Budkiewicz - siostra Marty Biernackiej- i 45-letni Sinicki – siostrzeniec Józefa Biernackiego.

We wsi Ławrów pow. Łuck Ukraińcy zamordowali Kazimierza Siateckiego.

26 lipca:

We wsi Gaje (Bogdanówka ?) pow. Lwów został zamordowany przez bojówkę OUN w czasie podróży z Zadwórza do Lwowa leśniczy Kuczyński Henryk lat 40.

We wsi Iwanówka pow. Trembowla: „26. VII.1943. Iwanówka pow. Trembowla. Ukraińcy zamordowali Polaka, b. elewa orkiestry KOP w Kopyczyńcach" (AAN, AK, sygn. 203 /XV/ 9, k. 170 – 174).

We wsi Jabłonów pow. Kołomyja banderowcy zamordowali Jana Lewandowskiego.

We wsi Posiecz pow. Stanisławów uprowadzili i zamordowali 1 Polaka, był to leśniczy Tyczyński ; los pozostałych Polaków (około 50 osób) nie został ustalony.

W kol. Przebraże pow. Łuck w potyczce z upowcami zginął 1 Polak.

We wsi Radochówka pow. Równe Ukraińcy zamordowali 21-letniego Aleksandra Murasa.

We wsi Bukowina pow. Biłgoraj 26 lipca 1943 roku miał miejsce pierwszy odwet Polaków wobec Ukraińców: Oddział AK-NOW „Ojca Jana" spalił 31 gospodarstw, które wcześniej należały do Polaków i zastrzelił 10 Ukraińców.

W nocy z 26 na 27 lipca:

We wsi Gaje pow. Lwów banderowcy zamordowali w młynie 3 Polaków, w tym kobietę. „W najbliższych okolicach Lwowa były w ostatnim tygodniu napady zbrojnych bojówek ukraińskich w Gańczarach, Sichowie, Dawidowie, w Podborcach i w Gajach. W tej ostatniej miejscowości zamordowano 5-ciu Polaków." (1943, 29 lipca - Odpis pisma Delegata RGO we Lwowie Leopolda Tesznara do Prezesa Adama Ronikiera w sprawie sytuacji uchodźców polskich z Wołynia. W: B. Ossol. 16721/2, s. 233 ; oryginał pisma por.: AAN 48, s. 2). „Wyciąg z nekrologów:za spokój duszy śp. Józefa Szulika lat 61, Franciszki Oliwianki lat 32, Alojzego Suchackiego lat 28, zmarłych nagłą śmiercią w nocy z 26/27 lipca br. w Gajach koło Lwowa." (1943, październik - Zbiór raportów dotyczących napadów ukraińskich na terenie Małopolski Wschodniej zarejestrowanych przez RGO we Lwowie. W: AAN 47, s. 5-11, 13-15).

27 lipca:

W kol. Antonówka Szepelska pow. Łuck podczas napadu UPA zginęło 3 Polaków, w tym 18-letni.

We wsi Gnojno pow. Włodzimierz Wołyński ukraińscy policjanci zamordowali Feliksę Dolecką uciekającą ze wsi Swojczów do Włodzimierza Wołyńskiego. „Antonina i Kazimierz wspominają także: "Na rok przed swoją śmiercią przyszedł do nas Bolesław Roch i jak zwykle wspominaliśmy też tragiczne wydarzenia na Wołyniu. W pewnym momencie wspomniałem moją i mojej żony serdeczną koleżankę Felicję Dolecką. Zwierzyłem się Bolkowi, że nie wiem do dziś, co się z nią właściwie stało, słuch po niej zaginął. Wtedy Bolek zaskoczony zapytał mnie znacząco: "To ty nie wiesz, została brutalnie zamordowana przez Ukraińców w Gnojnie!" I zaczął nam opowiadać, jak to się stało: "Z posterunku policji ukraińskiej w Gnojnie przyjechało do domu Felicji w Swojczowie, dwóch znanych jej ukraińskich policjantów. Powiedzieli do Felicji tak: "Zbieraj się odwieziem cię do Włodzimierza Wołyńskiego, bo tutaj Ukraińcy cię zabiją!" Ona już w tym czasie wiedziała o tragedii jaka wydarzyła się niedawno w polskim Dominopolu. Zaufała Ukraińcom, zebrała pospiesznie swoje rzeczy do walizek, wsiadła z nimi na furmankę i odjechali. Zamiast jednak do Włodzimierza Wołyńskiego pojechali w trójkę na posterunek policji ukraińskiej w Gnojnie. Tam ją gwałcili, a w końcu zaciosali kołka i wbili jej ten pal w błonę poślizgową. Tak wbili ją na pal, zupełnie jak za okrutnych czasów ich bohatera narodowego Bohdana Chmielnickiego." Z tego co nam dalej mówił zorientowałem się, że Bolkowi powiedział o tym Stanisław Czop. Staszek, który już umarł, był Polakiem z Niedzielisk. Ożenił się jeszcze przed wojną z Ukrainką z Siedlisk koło Zamościa i przystał ściśle do Ukraińców. W lecie 1943 r. był komendantem policji ukraińskiej właśnie w Gnojnie, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński. Na własne oczy widział jak zamordowano Felicję Dolecką ze Swojczowa. Po wojnie zamieszkał ponownie w Siedliskach i właśnie tam opowiedział swoje świadectwo Bolkowi Roch." (Antonina i Kazimierz Sidorowicz, w: jw.).

W przysiółku Hubinek należącym do wsi Lubycza Królewska pow. Rawa Ruska upowcy zamordowali 5 Polaków, w tym 4 kobiety.

We wsi Komnatka pow. Krzemieniec zamordowali 4 Polaków: 4-letniego chłopca oraz matkę z 2 córkami.

We wsi Rosochacz pow. Turka zamordowali 4 Polaków: gajowego Michała Sztogryna, jego żonę Franciszkę, ich 3-miesięczne dziecko Kazimierza oraz siostrę gajowego Marię Gron.

28 lipca:

W mieście powiatowym Horodenka woj. stanisławowskie: „28.VII.43 Horodenka ad Kołomyja Borzewski Kornel, leśnik, zamordowany." (1944. luty – marzec – Wykazy mordów i napadów na ludność polską sporządzone w RGO we Lwowie na podstawie meldunków przekazanych z terenu. W: B. Ossol. 16722/2, s. 219-253).

We wsi Kołodeżno pow. Kowel Ukraińcy zamordowali 3-osobową rodzinę polską z 24-letnią córką.

We wsi Łoszniów pow. Trembowla zamordowali 1 Polaka.

W mieście powiatowym Skałat woj. tarnopolskie został zamordowany przez bojówkę OUN-UPA leśniczy Zdzisław Popowski (Edward Orłowski..., jw.). „28. VII.43 Skałat Popowski, leśnik, zamordowany." (1944. luty – marzec – Wykazy mordów i napadów na ludność polską sporządzone w RGO we Lwowie na podstawie meldunków przekazanych z terenu. W: B. Ossol. 16722/2, s. 219-253).

We wsi Zaturce pow. Horochów zamordowali 22-letnią Weronikę Szpejtę.

29 lipca:

We wsi Łoszniów pow. Trembowla: „29. VII.1943. Łoszniów pow. Trembowla. Miejscowi Ukraińcy: Góral Józef, Kobel Wasyl, Wasylków Paweł, Pasieka Władysław, Rejchor Władysław zamordowali Polaka akademika Edwarda Leszczyńskiego" (ANN, AK, sygn. 203 / XV/ 9, k. 170 – 174).

We wsi Pistyń pow. Kosów Huculski Ukraińcy zamordowali 3-osobową rodzinę polską. „W myśl pisma P. Delegata z dnia 3. IX . 1943 Nr. 6899 /T/ 43 Polski Komitet Opiekuńczy w Kołomyi donosi: Dnia 29. VII. br. w Pistyniu zamordowano wieśniaka Marchewkę wraz z żoną i dzieckiem". (B. Ossol. 16721/1, s. 183-184).

W kol. Polesie pow. Równe zamordowali 52-letniego Szymona Borsuka.

Od lutego do 30 lipca 1943 roku:

W kol. Janówka pow. Sarny upowcy zamordowali 12 Polaków z rodziny Bieleckich.

30 lipca:

W kol. Antonówka pow. Sarny upowcy oraz chłopi ukraińscy spalili 98 zagród polskich i zamordowali 40 Polaków / liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.). Około godz. 23-ciej następuje atak UPA na kolonie: Perespa, Sunia, Terebunia, Załawiszcze, Parośle II, Wydymer, osady Antonówka i Piłsudy oraz inne miejscowości położone na północ od torów kolejowych. Polacy uciekają w kierunku stacji kolejowej licząc na ochronę oddziału niemieckiego. Po drodze natknęli się na zasadzkę upowców, którzy wyszli tyralierą z lasu spod stacji. Zabijali siekierami, pikami, bagnetami, widłami. Po lasach i bagnach trwa przez kilka dni polowanie na ukrywające się rodziny bądź pojedynczych Polaków oraz bestialskie mordowanie schwytanych. Antoni Przybysz: „W nocy z 30 na 31 lipca oddziały UPA napadły na wszystkie kolonie polskie na terenie gmin Antonówka, Włodzimierzec, Dąbrowica i Stepań /…/ Widziałem jak banda UPA wymordowała mieszkańców kolonii Antonówka na Wołyniu, spalono ich domy i cały dobytek /…/ sam widziałem jak UPA zabiła 37 osób, wśród nich było 3 moich krewnych." (Antoni Przybysz „Wspomnienia z umęczonego Wołynia: 1939-1945").

We wsi Bielin pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali 2 Polaków: Stanisława Janusza, lat 20, i Antoniego Knysza, lat 18.

We wsi Boremel pow. Dubno szef miejscowej Służby Bezpeky OUN, poprzednio policjant ukraiński, Kozaczuk, po torturach zamordował 2 Polki: sparaliżowaną żonę aptekarza Annę Nitkiewicz, lat 48 oraz jej opiekunkę Władysławę Figurkowską, lat 53, wdowę.

We wsi Czernelica pow. Horodenka: „W tym samym czasie zamordowano w Czernelicy [Horodenka] małżeństwo Szlambergier," (1943, 8 września – Pismo PolKO w Kołomyi do Delegata RGO we Lwowie dotyczące napadów i mordów dokonywanych na Polakach na terenie powiatu. W: B. Ossol. 16721/1, s. 183-184). Prawdopodobnie chodzi o dzień 30.VII. 1043 r.

W majątku Dąbrowa, w koloniach: Porada, Rafałówka, Sernikowa Niwa, Setkówka, Kruszewo, Krasna Góra, Janówka, Grabina, Giedrojciówka, Purbejówka oraz w futorze Struga – wszystkie w pow. Sarny, upowcy i chłopi ukraińscy dokonują rzezi ludności polskiej. Liczba ofiar nie jest znana. Ci, co zdołali uciec, w następne dni są wyłapywani, torturowani i zabijani, większość zwłok nie została pogrzebana.

W kol. Kopaczówka pow. Sarny zamordowana została rodzina polska, która przyszła pracować na polu: Adam Wolak, jego żona i 20-letnia córka Genowefa. Ukraińcy ojca zarąbali siekierą, matce i córce w czasie tortur zdzierali skórę i solili rany.

W kol. Giedrojciówka pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa, wiadomo o zamordowaniu 1 Polaka.

W kol. Grabina pow. Sarny zamordowali kilkunastu Polaków, imiennie znane są tylko 2 ofiary.

We wsi Hołyczówka pow. Równe zamordowali 4-osobową rodzinę polską: Rozalię Ładnik, lat 36 z 3 dzieci lat 3, 6 i 12.

We wsi Hwozdów pow. Równe zamordowali 2 Polki, reszta Polaków zdołała uciec do miasteczka Korzec.

We wsi Jasieniów Górny pow. Kosów Huculski zamordowali Polaka, pracownika poczty. Inni: „W myśl pisma P. Delegata z dnia 3. IX . 1943 Nr. 6899 /T/ 43 Polski Komitet Opiekuńczy w Kołomyi donosi: Dnia 30. VII. br. zamordowano w Jasieniowie Górnym [Kosów] Hołyńskiego funkcjonariusza przy kolczykowaniu bydła.

We wsi Kołbanie pow. Sarny liczba ofiar nie jest znana.

W kol. Krasna Górka pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa, wiadomo o zamordowaniu 1 Polaka.

W kol. Kruszewo pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa, wiadomo o zamordowaniu 2 Polaków.

We wsi Mołotków pow. Krzemieniec zamordowali 17 Polaków.

W kol. Poroda pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kol. Prurwa (Przerwa) pow. Sarny Polacy bronili się przez dwa dni podczas napadu upowców, zamordowanych zostało 2 Polaków. Bronisław Rudnicki: „Uderzyli na nas z trzech stron na linii Capczewicze – Kopaczówka - Wydymer. Rozgorzała walka. Ukraińcy podpalili kilka domów które zostały opuszczone, ludzie bronili się w jednym miejscu wokół zbudowanego schronu, od trzynastoletnich chłopców po starców wszyscy w liczbie ponad 200 osób. Mieliśmy na obronę 4-5 karabinów maszynowych, dubeltówki i fuzje. Dzielnie broniliśmy się ze schronu, strzelając do napastników. Na przeszkodzie stał nam dom Mariana Rudnickiego, właściwie jego stodoła za którą kryli się upowcy. Była zbyt blisko, istniała obawa, że napastnicy podejdą i wrzucą granaty do schronu, wykopanego na posesji Adama i Zygmunta Rudnickich. Za domem i stodołą był dół, za nim łąka Romańskiego i dzielił ich płot. Zapadła decyzja podpalenia zabudowań Rudnickiego, by oczyścić nam pole rażenia. Na ochotnika zgłosił się Marian Bańkowski z Krasnej Górki, podpalił wszystko. Niestety zauważyli to banderowcy i zastrzelili naszego podpalacza. Oprócz Bańkowskiego zginęło jeszcze kilku mieszkańców. Następnej nocy atak ponowiono ze zdwojoną siłą. Uderzyli też na sąsiednią Porodę i Choromce, wokoło wszystko się paliło. Przy jednym z punktów obronnych zabito kilku upowców i ranili ich dowódcę, który przyjechał do Prurwy na białym koniu, jak na ironię w polskim mundurze oficerskim. Na głowie miał jednak granatową ukraińską czapkę. Jak spadł z konia zaczął krzyczeć „Marusiu moja Marusiu, luboja Marusiu, ratuj mne ratuj, gde ty myny zabyła" Obrońcy zorientowawszy się co się dzieje, zwiększyli pole rażenia i nie pozwoli banderowcom zabrać go z pola walki. Niestety zaczęło brakować amunicji, lecz napastnicy w porę się nie zorientowali i tak dotrwaliśmy do rana. […] Prurwa nasza rodzinna wieś została całkowicie spalona". (http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/807-moje-kresy--bronisaw-rudnicki.html).

W kol. Purbejówka pow. Sarny upowcy spalili polskie gospodarstwa i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kol. Sernikowa Niwa pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kol. Setkówka pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W futorze Struga pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We wsi Szumbor pow. Krzemieniec Ukraińcy zniszczyli całkowicie kościół pw. Najświętszego Serca Jezusa z 1905 roku, wycięli stare lipy i zniszczyli grobowce.

We wsi Tyszkowce pow. Horodenka: „30.07.1943 r. zostało zamordowane małżeństwo Szlombergierów." (Prof. dr hab. Leszek S. Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw. tom 8). Inni: „W myśl pisma P. Delegata z dnia 3. IX . 1943 Nr. 6899 /T/ 43 Polski Komitet Opiekuńczy w Kołomyi donosi: Dnia 30. VII. br. zamordowano w Czernelicy [Horodenka] małżeństwo Szlambergier„.

W miasteczku Włodzimierzec pow. Sarny upowcy zastrzelili 43-letnią Reginę Rudnicką.

We wsi Zabłotów pow. Śniatyn: „W myśl pisma P. Delegata z dnia 3. IX . 1943 Nr. 6899 /T/ 43 Polski Komitet Opiekuńczy w Kołomyi donosi: Dnia 30. VII. br. zamordowano w Zabłotowie stróża nocnego fabryki Monopolów. (B. Ossol. 16721/1,

s. 183-184).

We wsi Żabie pow. Kosów Huculski zamordowali 3 Polaków, w tym ojca z dzieckiem. „W myśl pisma P. Delegata z dnia 3. IX . 1943 Nr. 6899 /T/ 43 Polski Komitet Opiekuńczy w Kołomyi donosi: Dnia 30. VII. br. zamordowano w Żabiu [Kosów] Romana Myjaka z dzieckiem i funkc[jonariusza] Nadleśnictwa nieznanego nazwiska.”

Po 30 lipca:

We wsi Tutowicze pow. Sarny Ukraińcy zamordowali 2 Polaków, którzy wybrali się do swoich gospodarstw.

W nocy z 30 na 31 lipca:

W osadzie Antonówka pow. Sarny upowcy i chłopi ukraińscy zamordowali 33 Polaków, głownie kobiety i dzieci, uciekinierów z sąsiednich wsi napadniętych przez upowców i chłopów ukraińskich.

W gminie Antonówka pow. Sarny (osada Antonówka, kol. Kopaczówka, kol. Kruszewo, kol. Parośla II, kol. Perespa, osada Piłsudy, futor Struga, kol. Sernikowa Niwa, kol. Sunia, kol. Terebunia, kol. Rosochy, kol. Wydymer, kol. Załawiszcze) upowcy oraz okoliczni chłopi ukraińscy uzbrojeni w siekiery, widły, piki i inne narzędzia wymordowali ponad 100 Polaków.

W kol. Parośla II pow. Sarny zamordowali co najmniej 2 Polaków.

W kol. Perespa pow. Sarny zamordowali około 20 Polaków; 1,5-roczne dziecko leżało obok martwej matki; zabrano kobietę z widłami wbitymi w brzuch.

W osadzie Piłsudy pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa, wiadomo o zamordowaniu 1 Polaka.

W kol. Sunia pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa i zamordowali co najmniej 7 Polaków, w tym 6-osobową rodzinę Werpulewskich.

W kol. Terebunia pow. Sarny spalili polskie gospodarstwa i zamordowali co najmniej 3 Polaków.

W kol. Wydymer pow. Sarny Polacy podjęli obronę, poległo 10 ukraińskich napastników, liczba polskich ofiar jest nieznana.

30 lub 31 lipca:

W okolicach wsi Antonówka pow. Sarny upowcy zamordowali 4 Polaków uciekających z Huty Stepańskiej: 6-letniego Ryszarda Chudaszka; Janinę Romanównę, lat 19; Czesławę Lipińską, lat 20; Franciszkę Sawicką, lat 20; ciężko poranili 1-rocznego syna Czesławy Lipińskiej oraz jej siostrę Zofię Liberę.

31 lipca:

We wsi Jaromel pow. Łuck podczas ataku upowców zginęło 3 Polaków ochraniających żniwiarzy.

W kol. Przebraże pow. Łuck nastąpił atak około 3500 Ukraińców, w tym 2,5 tys. uzbrojonych w broń palną oraz około 1 tysiąca uzbrojonych w dzidy, siekiery, drągi, noże itp.; atak został odparty.

W kol. Załawiszcze pow. Sarny upowcy i chłopi ukraińscy spalili polskie gospodarstwa i zamordowali 2 Polaków. /lista niepełna/. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

Od marca do lipca 1943 roku:

We wsi Pianie pow. Dubno upowcy zamordowali kilka rodzin polskich, znane jest imiennie 13 ofiar, wszystkie zostały wrzucone do studni na skraju wsi.

We wsi Podhajce pow. Dubno zamordowali co najmniej 15 Polaków, w tym 10-letniego chłopca i dziewczęta lat 17 i 18.

Na Polesiu i Wołyniu oraz we wsi Bartkówka pow. Brzozów: „Osoby zamordowane w Bartkówce w powiecie Brzozów i na Polesiu i Wołyniu, gdzie zostały przez Sowietów przesiedlone z pasa granicznego w roku 1940. Zamordowani w okresie 01.03 -31.07 1943 r. na Polesiu i Wołyniu: 1-65. Bujdasz Michał syn Piotra; Bujdasz Stanisław syn Michała; Bujdasz Jan; Bujdasz Karolina żona Jana; Bujdasz Maria, Andrzej i Kazimierz dzieci Jana; Chrapek Salomea córka Eliasza (jej matka Helena); Hadam Karolina córka Pawła; Hadam Antoni syn Andrzeja; Hadam Maria córka Tomasza; Hadam Bellina syn Bronisława; Hadam Stefania córka Bronisława; Hadam Jakub; Hadam Stefania córka Jakuba; Hadam Jan syn Jakuba; Hadam Jan; Hadam Antonina; Hadam Stanisław (adoptowany); Hadam Jan-inna osoba; Hadam Stanisław syn Wawrzyńca; Łybacki Wojciech; Łybacka Wiktoria; Łybacki Jan, Zofia i Stanisław dzieci Wojciecha; Marszałek Stanisław i Maria dzieci Tomasza; Marszałek Jan, Maria i Stanisław dzieci Marcina; Mudryk Jan syn Daniela (l. 40?); Mudryk Helena żona Jana córka Kazimierza; Mudryk Maria l. 40; Pandoł Roman syn Michała; Pandoł Zofia córka Jakuba; Paszko i.n.; Paszko Marcyna żona; Paszko Janina, Kazimiera, Władysława i Zbigniew dzieci Andrzeja; Piróg Andrzej (z Potoka); Rebizak Augustyn syn Jana; Rebizak Józef; Rebizak Zofia żona Jozefa z domu Hadam; Rebizak Kazimierz, Helena, Janina i Salomea dzieci Józefa; Rebizak Mieczysław syn Andrzeja; Rejent Katarzyna córka Jakuba; Rejent Antoni syn Rebizak Katarzyny; Romel Aleksander z żoną; Sarnicki Mieczysław i Stanisław synowie Jana; Sarnicki Julian syn Andrzeja; Siry Józef syn Władysława ze Skały; Wandas Jan syn Andrzeja; Wandas Karolina córka Jakuba; Wandas Marta córka Jana; Wojciechowska Józefa córka Jana; Zawiślański Jan; Zawiślańska Aniela żona Jana. Zamordowani w okresie od 1 marca do 31 lipca 1943 r. na Wołyniu, nie uwzględnieni w książce Siemaszko i Siemaszko (2000): 66-88. Hadam Karolina żona Feliksa; Hadam Anna i Tadeusz dzieci Feliksa; Kozioł Kazimierz; Kozioł Maria córka Kazimierza; Marszałek Henryk; Marszałek Jan; Marszałek Maria córka Heleny; Marszałek Zofia żona Kazimierza; Marszałek Wiktoria córka Jana; Ogryzek Marian; Ogryzek Zofia córka Michała; Ogryzek Helena i Stanisław dzieci Marcina; Pantoł Zofia i Stanisław dzieci Michała; Sarnicki Michał syn Kazimierza; Sarnicka Salomea żona Kazimierza; Sarnicki Władysław, Albina i Mieczysław dzieci Michała; Sarnicka Janina córka Michała; Sarnicka Maria córka Jana.” (Prof. dr hab. Leszek S. Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw. tom 8).

Pomiędzy kwietniem a lipcem 1943 roku:

We wsi Zastawie pow. Horochów „ukraińscy partyzanci” zamordowali 3 Polaków: uprowadzili do lasu 22-letnią Henrykę Tomal, gdzie przez 3 dni wielokrotnie ją gwałcili, potem zamordowali i wrzucili do suchej studni w lesie. Ojca tej dziewczyny przerżnęli piłą; drugiemu mężczyźnie, o nazwisku Szubert, wydłubali oczy, obcięli język, ręce i nogi, a korpusem ciała podparli drzwi domu (Siemaszko..., s. 136).

Od kwietnia do lipca 1943 roku:

We wsi Wołczek pow. Włodzimierz Wołyński Polak Franciszek Mikulski obserwował, jak przez wieś do lasu upowcy zwozili lub prowadzili Polaków z rękami związanymi do tyłu, gdzie ich torturowali i mordowali, a następnie grzebali; ofiar było zapewne kilkaset; w tej wsi mieścił się sztab UPA zgrupowania zwanego „Świnarzyńską Siczą”; masowe „przesłuchania” i mordy trwały także w lipcu i sierpniu.

Pomiędzy majem a 11 lipca 1943 roku:

We wsi Bobły pow. Kowel Ukraińcy zamordowali 4 Polaków, w tym rodziców z córką.

W lipcu 1943 roku (świadkowie nie podali dnia):

W kol. Adamów pow. Łuck upowcy zamordowali 28-letniego Polaka o nazwisku Kędzior.

We wsi Adamówka pow. Kostopol zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kol. Aleksandrówka pow. Kostopol zamordowali kilka rodzin polskich, liczby ofiar nie ustalono.

W kol. Aleksandrówka gmina Rożyszcze pow. Łuck sołtys Ukrainiec zebrał Polaków w stodole, gdzie zostali oni bestialsko wymordowani przez upowców – co najmniej 5 kilkuosobowych rodzin.

W kol. Aleksandrówka pow. Równe upowcy obrabowali i spalili polską kolonię oraz zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, kilka lub kilkanaście rodzin.

W kol. Aleksandrówka – Holendry pow. Kowel upowcy zamordowali 23-letniego Zygmunta Spiłyszewskiego.

W kol. Aleksandrówka Markowiecka pow. Horochów pod koniec lipca upowcy z miejscowymi Ukraińcami zamordowali 2 rodziny 4-osobowe Stasiuków (braci), jedną z córkami lat 15 i 16.

W kol. Anatolia pow. Łuck Ukraińcy zamordowali Polaka, który przyjechał na zbiór wiśni.

W kolonii Antonówka pow. Horochów nie ustalono ilości zamordowanych Polaków.

We wsi Antonówka pow. Horochów nie ustalono ilości zamordowanych Polaków.

We wsi Antonówka pow. Kowel Ukraińcy zamordowali 15 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

We wsi Augustów pow. Horochów upowcy zamordowali około 10 Polaków.

We wsi Babie pow. Łuck miejscowi Ukraińcy zamordowali 2 Polaków.

We wsi Bandrów Narodowy pow. Jaworów policjanci ukraińscy zamordowali Polaka, geologa.

W kolonii Barbarówka pow. Włodzimierz Wołyński: ”Michał, Bolek i jeszcze Romek albo Tadek Roch z Zastawia poszli na Barbarówkę, a potem wstąpili do Tartaku, gdzie też w ten sam dzień pogromu pomordowanych zostało wielu Polaków. W jednym z domów spotkali żywego Polaka, który opowiadał im nazwiska pomordowanych i wydarzenia jakie miały tu nie dawno miejsce. Gdy wrócili, opowiadali nam wszystkim, że tam na Tartaku Ukraińcy pomordowali dużo ludzi. Napad miał miejsce w tę samą niedzielę, co cały pogrom w okolicy. Na Barbarówce mieszkał też nasz kuzyn Jan Roch, który ożenił się z wdową po jednym z tych osadników o nazwisku Bieliniak. Jest mi wiadomo, że został zamordowany na Barbarówce podczas pogromu w lipcu 1943 r., ale dokładnej daty nie znam” (Roman Szymanek, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). „Tartak” to zapewne część wsi Mohylno (Mogilno).

We wsi Bażany pow. Horochów upowcy zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, w tym część w lesie po zamordowaniu wrzucili do studni.

W miasteczku Beresteczko pow. Horochów pod koniec lipca upowcy wymordowali kilka rodzin polskich.

W kol. Berestowa pow. Kowel zamordowali 5-osobową rodzinę Jaworzyńskich.

W jednej z kolonii koło Bereznego pow. Kostopol zamordowali 10 Polaków i 12 Żydów.

We wsi Berezołupy Małe pow. Łuck nie ustalono liczby zamordowanych Polaków.

We wsi Bereźce pow. Luboml Ukraińcy zamordowali osadnika wojskowego Jana Rybarczyka: gwoździami przybili go do ściany stodoły i co pół godziny podawali mu ocet do ust, po 12 godzinach męczarni skonał.

W kolonii Biskupicze Małe pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 2 Polaków.

We wsi Bobły pow. Kowel zamordowali 21-letniego Edwarda Grzegorzewskiego ze wsi Obeniże.

We wsi Bobulińce pow. Buczacz zamordowani zostali Lizak Kazimierz l. 32 i Wojda N.(Kubów Władysław: Terroryzm na Podolu; Warszawa 2003).

W majątku Boheń pow. Równe zamordowali 5-osobową rodzinę polską administratora.

We wsi Bolesławówka pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 7 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Bołożówka pow. Krzemieniec nie ustalono liczby zamordowanych Polaków.

We wsi Boratyn pow. Łuck zamordowali ponad 10 Polaków i 11 Ukraińców, którzy im pomagali.

W miejscowości Boremel pow. Dubno zamordowali 3 Polaków. (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Borownina pow. Sarny upowcy lub bulbowcy zamordowali kilka rodzin polskich, około 50 Polaków.

We wsi Borzemiec pow. Dubno Ukraińcy zamordowali 6 Polaków: 4-osobową rodzinę Rolków z 2 małych dzieci oraz małżeństwo Matusiewiczów.

We wsi Botyń pow. Łuck po kilkugodzinnych torturach w lesie zamordowali 2 Polaków 18-letnich: Eugeniusza Kwiatkowskiego z Palcza oraz Czesława Jóźwiaka z Kopytowa.

We wsi Bór pow. Zdołbunów zamordowali na drodze 3 polskich chłopców jadących do swej wsi Stojło po żywność: byli to bracia Przewłoccy lat 14 i 16 oraz Mirosław Trusiewicz lat 15.

We wsi i majątku Brany pow. Horochów zamordowali około 50 Polaków, kobiety i dzieci były wrzucone do studni (łącznie było co najmniej 71 ofiar).

We wsi Brzezina pow. Sarny: „Pan Stefan Kozioł słyszał, jak Ukraińcy przebierali się za partyzantów i w ten sposób zjednywali sobie Polaków, by ich potem zamordować. Do jednej z miejscowości (pan Stefan podaje, ze nazywała się Brzezina – może chodzić o Brzeźnicę / dziś Bierieżnica/ poł. ok. 16 km na północ od miejscowości Sarny) przyszli Ukraińcy w przebraniu i „krzyczeli, żeby szykować powrozy, żeby zabrać Niemcom krowy, bo je właśnie gonią”. Nad ranem wieś praktycznie nie istniała. Uratowała się dziewczynka, która leżała przy zabitych rodzicach i się nie ruszała oraz kobieta, która miała 18 dziur w ciele, ale dobiegła do Huty Stepangródzkiej i przeżyła. W jednej z miejscowości (teraz pan Stefan nie pamięta już jakiej) było mało Polaków – „może ze 20 numerów”. Gdy zaczął się napad banderowców, to pewien mężczyzna chwycił swojego synka i zaczął uciekać. Niedaleko był las i tam się kierował. Gdy się zorientował, że dwóch Ukraińców go dogania, to porzucił synka, który go wciąż wołał. Miał może z trzy, może z cztery latka, „rozumiał już, co się dzieje”. Na oczach przyczajonego w krzakach ojca zabili chłopca wbijając w niego bagnety i rozszarpując ciało. Pan Stefan nie może zrozumieć, jak ojciec mógł porzucić syna. „Dlaczego on się nie bronił? Miał przecież obrzyna i mógł ich obu załatwić! Chyba dostał pomieszania jakiegoś, czy coś”. W tej samej wsi mieszkał stary Polak o nazwisku Żuk. „Miał może z 80 lat. On nie uciekał, tylko siedział. Zabił dwóch Ukraińców, ale jego też porąbali w kawałki. Zabił ich, jak wchodzili przez okno – dziabnął ich siekierą, ale co z tego”. W tej wsi przepiłowano też jakiegoś człowieka żywcem.” (Fragment pracy p.t ”BRACIA ”, autor: Sławomir Kasprzak, uczeń klasy pierwszej Publicznego Gimnazjum w Czarnowicach. Praca napisana pod kierunkiem Jarosława Winkowskiego. Czarnowice 2004 ; http://www.walusiek.pl/czarnowice/bracia.html; za: Bogusław Szarwiło: Oni mieli zdecydowaną przewagę; w: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/440-oni-mieli-zdecydowan-przewag.html).

We wsi Brzuchowicze pow. Kowel zamordowali 4-osobową rodzinę polską dróżnika Michalaka.

W kol. Buda Hruszewska pow. Równe złapanych 12 Polaków – mężczyzn zaprowadzili do stodoły, powiązali im nogi i ręce drutem kolczastym, zamknęli drzwi stodoły i podpalili, wszyscy spłonęli żywcem. Schwytane dwie siostry: 24-letnią Budzińską w ósmym miesiącu ciąży i 16-letnią Bronisławę Bagińską wrzucili do studni; 65-letnią Annę Bagińską z dzieckiem zamordowali na progu domu.

We wsi Budki Łosickie pow. Kowel zamordowali 3 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Budy Ossowskie pow. Kowel upowcy zabrali 19 polskich gospodarzy z furmankami na tzw. podwody i ich zamordowali.

We wsi Buniawa pow. pow. Horochów zamordowali 34 Polaków, ciała wrzucili m.in. do gnojówki. Jeden z „partyzantów ukraińskich” zabił żonę Dominika Goździkowskiego będącą w ciąży, przebijając jej brzuch widłami (Siemaszko..., s. 138). Los kilku rodzin nie jest znany.

W miasteczku Bursztyn pw. Rohatyn: „W Bursztynie, pow. Rohatyn, zamordowano w lipcu 1943 matkę miejscowego proboszcza”. (1943, 10 listopada – Pismo Pol. K. O. w Stanisławowie do Delegata RGO we Lwowie. Dotyczy mordów i napadów na Polaków w stanisławowskim. W: B. Ossol. 16721/1, s. 283-284).

We wsi Butyny pow. Żółkiew miejscowi Ukraińcy zamordowali 27-letniego Bronisława Żurawieckiego.

We wsi Bużany pow. Horochów upowcy przywieźli do lasu nie znaną liczbę porwanych Polaków z okolicznych miejscowości, których „po badaniach” wrzucili do studni, nie jest też znany los miejscowych Polaków (mieszkało tutaj kilkanaście rodzin).

We wsi Bystrzyce pow. Kostopol zamordowali podczas żniw Jana Rosłańca.

We wsi Cewelicze Dolne i Górne pow. Horochów zamordowali kilka rodzin polskich. Młoda Polka z rozrąbanym uchem i cięciem siekiery na głowie, zasypana ziemią, wygrzebała się i przyczołgała do Łokacz (3 km), gdzie zmarła w szpitalu.

We wsi Cezaryn pow. Łuck zamordowali 4 Polaków.

Między wsią Chołbutowa a wsią Mikulicze pow. Włodzimierz Wołyński w zasadzkę upowców wpadło 5 polskich rodzin uciekających ze wsi Mańków pow. Horochów do Włodzimierza i zostały wymordowane; tj. ponad 20 Polaków.

We wsi Chołupecze pow. Horochów zamordowali 4 Polaków i 19 Czechów.

We wsi Chorostów pow. Włodzimierz Wołyński ostrzelali kolumnę uciekinierów zabijając 3 Polaków, w tym 2-letnie dziecko i kolumnę zawrócili z powrotem do domów.

W gminie Chorów pow. Horochów zamordowali 2 Polaków, braci Kuczyńskich.

We wsi Cumań pow. Łuck został zamordowany z domownikami przez Ukraińców „leśnik” Bejgier. Od mordu ocalał jedynie syn Henryk, którego zabito 20 VII 1943 r. w Rafałówce. (Edward Orłowski…, jw.)

We wsi Cygany pow. Borszczów zostali zamordowani przez policjantów ukraińskich 2 Polacy: Duszeńko Bogdan i Juzwa Michał. (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

We wsi Czahary Zbaraskie pow. Zbaraż policjanci ukraińscy zamordowali 3 Polaków, w tym braci lat 18 i 20.

W kol. Czarne Łozy, gmina Torczyn, pow. Łuck nauczyciel Ukrainiec zabił 18-letniego Polaka.

We wsi Czeremszanka pow. Kowel mieszkało 40 rodzin polskich. Po rzeziach 11 lipca Polacy chcieli uciekać, ale delegacja sąsiadów Ukraińców zachęciła ich do pozostania zapewniając, że nic im nie grozi. Następnie dokonali rzezi Polaków, w której uczestniczyli wszyscy mieszkańcy tej wsi narodowości ukraińskiej, łącznie z kobietami, dziećmi i starcami! Mordowali

za pomocą siekier, wideł, noży i innych narzędzi. W. i E. Siemaszko oceniają, że zginęło 163 Polaków, ale 40 rodzin to jest około 200 osób. Jako datę rzezi podają lipiec lub jesień 1943 r. Uratował się tylko 14-letni chłopiec oraz mężczyzna 30-35 lat ze złamaną ręką i rozciętą głową. Mienie Polaków zostało rozgrabione przez sąsiadów Ukraińców.

We wsi Czerników pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 20 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

W kol. Czerteż i Wodnik pow. Równe kilkadziesiąt rodzin polskich po ucieczce koczowała w lesie. Stąd ewakuował ich do Korca oddział niemieckich żołnierzy. Niemcy bronili więc Polaków przed Ukraińcami, chociaż to właśnie Ukraińcy byli sojusznikami III Rzeszy.

W miasteczku Czortków woj. tarnopolskie banderowcy zamordowali narzeczeństwo, dwoje młodych Polaków, którzy za kilka dni mieli wziąć ślub. Inni: W drodze ze wsi do Czortkowa Ukraińcy zamordowali parę młodych narzeczonych (Kubów..., jw.).

We wsi i w majątku Czudnica pow. Równe miejscowi upowcy zamordowali 6-osobową rodzinę Dziekońskich, w tym spalili żywcem 17-letniego syna, natomiast 14-letni syn Józef ciężko poraniony konał przez kilka godzin na sąsiednim podwórku Ukraińca. Ocalałego ojca rodziny bojówka UPA „Orlika" zamordowała dopiero w lecie 1948 roku przez uduszenie sznurem. Upowcy po wojnie spalili cenne zbiory książek we dworze, których nie zniszczyli ani Sowieci ani Niemcy.

We wsi Dawidów pow. Lwów obrabowali i spalili polskie gospodarstwa oraz zamordowali 9 Polaków.

We wsi Dąbrówka, gmina Wielick, pow. Kowel: „W tym samym okresie (tj. w lipcu 1943 roku – przypis S. Ż.), w Dąbrówce (gmina Wielick) został zamordowany nadleśniczy, pułkownik WP w spoczynku, właściciel młyna, jadący z Kamienia Koszyrskiego do Kowla." (Stanisław Dłuski: "Fragment wielkiej zbrodni" ; w: „Las Polski", nr 10 z 1991 roku).

W miasteczku Delatyn pow. Nadwórna zakłuli nożami Polaka o nazwisku Kuhl, aptekarza i obrabowali aptekę.

W kol. Dembówka pow. Kowel zamordowali rodzinę polską Śmigielskiego. Inni: „W tym samym okresie w Dąbrówce (zapewne chodzi o kolonię Dembówka – przyp. S. Ż.), (gmina Wielick), został zamordowany nadleśniczy, pułkownik WP w spoczynku, właściciel młyna, jadący z Kamienia Koszyckiego do Kowla" (Stanisław Dłuski: "Fragment wielkiej zbrodni" ; w: „Las Polski", nr 10 z 1991 roku).

W miasteczku Deraźne pow. Kostopol zamordowali 3 Polaków: Jana Walika zarąbali siekierą oraz zamordowali jego żonę i 5-letniego bratanka.

We wsi Dębowa Góra pow. Sarny zamordowali Polaka Majewskiego.

W kol. Dmitrówka, gmina Rożyszcze, pow. Łuck zamordowali Antoniego Cielebąka, lat 27.

W kol. Dobrzyńsk pow. Kowel zamordowali 6 Polaków: 2 małżeństwa oraz ojca z córką.

We wsi Dołhań pow. Sarny zamordowany został Władysław Skurzyński przez bulbowców w zasadzce przygotowanej w jego stodole. (http://wolyn.ovh.org/opisy/dolhan-09.html).

We wsi Domaninka Duża pow. Krzemieniec zamordowali 3 Polki: Irenę Górską z 2 córkami. Spalili kościół z 1700 roku z łaskami słynącym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

We wsi Dominopol i w mieście Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 5 osób z rodziny Uleryków. „W polskiej partyzantce Armii Krajowej spotkałem dwóch barci Uleryków: Stanisława lat około 22 i Edwarda lat około 20, opowiedzieli mi wtedy wielką tragedię swojej najbliższej rodziny w Dominopolu, którą osobiście przeżyli, mówili tak: „Nasz tato i dwie nasze siostry wybrali się, aby przerzucać siano na łące, która jest położona w środku wsi Dominopol i od tej pory wszelki ślad już po nich zaginął. My zorientowaliśmy tymczasem, że był napad na Dominopol i uciekliśmy do miasta Włodzimierz Wołyński. Tu zamieszkaliśmy z naszą rodziną na przedmieściu, na ulicy Lotniczej. Niestety ukraińscy bandyci i tu nie dali nam spokoju bowiem jednej nocy napadli znowu na naszą rodzinę i tym razem zdołali zabić naszą mamę oraz naszego młodszego brata. My obaj zdołaliśmy podczas napadu wyskoczyć z domu oknem i tak cudownie zdołaliśmy się potem uratować.." (Wspomnienia Antoniego Sienkiewicza z kolonii Piński Most w powiecie Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1930 – 1944"; spisał i opracował Sławomir Tomasz Roch, 2009 r.; w: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/pinski_most-sienkiewicz_antoni.html).

W miejscowości Drohomyśl pow. Jaworów zamordowali 3 Polaków.

We wsi Drużkopol pow. Horochów zarąbali siekierami Michała Stasiewicza z żoną i dziećmi.

W kol. Dubniki pow. Kowel upowcy oraz miejscowi Ukraińcy wymordowali całą polską kolonię, liczby ofiar nie ustalono, ocalał tylko jeden mężczyzna. Kilkuosobową rodzinę Gruszków wymordowali sąsiedzi Ukraińcy, ofiary miały rozprute brzuchy i ciała podźgane bagnetami, rodzina ta wróciła z Powurska za namową swoich późniejszych katów.

We wsi Duży Porsk pow. Kowel Ukraińcy zamordowali 5 Polaków, w tym 4-osobową rodzinę kowala Świerczyńskiego .Świerszczyńskiego) z żoną i 2 synami.

We wsi Falemicze pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 1 Polaka.

We wsi Ferma pow. Horochów nie ustalono liczby zamordowanych Polaków.

We wsi Folwarki Duże pow. Krzemieniec zamordowali Julię Lewińską.

We wsi Gaje pow. Lwów: „W najbliższych okolicach Lwowa były w ostatnim tygodniu napady zbrojnych bojówek ukraińskich w Gańczarach, Sichowie, Dawidowie, w Podborcach i w Gajach. W tej ostatniej miejscowości zamordowano 5-ciu Polaków." (1943, 29 lipca - Odpis pisma Delegata RGO we Lwowie Leopolda Tesznara do Prezesa Adama Ronikiera w sprawie sytuacji uchodźców polskich z Wołynia. B. Ossol. 16721/2, s. 233; oryginał pisma por.: AAN 48, s. 2).

We wsi Gańczary pow. Lwów spalili 3 gospodarstwa polskie i zamordowali 3 Polaków.

W kol. Górka Olszańska pow. Łuck zamordowali 18-letnią Polkę Stefanię Wardach.

We wsi Górka Połonka pow. Łuck zamordowali 11 Polaków: 3-osobową rodzinę, 21-letnią dziewczynę, małżeństwo, kobietę i 21-letniego chłopca oraz młode małżeństwo z dzieckiem.

W kol. Grabowiec pow. Łuck zamordowali 9 Polaków: 7-osobową rodzinę Anastazego Tarnowskiego z żoą i 5 och dzieci oraz Gabriela Romaniewicza z matką.

W kol. Grada Mosurska pow. Włodzimierz Wołyński spalili polską kolonię, brak jest informacji o ofiarach.

W kol. Grobelki pow. Łuck zamordowali co najmniej 15 Polaków.

W kol. Gruszów pow. Włodzimierz Wołyński miejscowi Ukraińcy wyrżnęli nożami mieszkające tutaj 2 rodziny polskie, a po 11 lipca upowcy zamordowali Polkę Marię Miącz, którą przywieźli z Orzeszyna.

We wsi Hat' pow. Łuck zamordowali 4 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Holatyn Dolny pow. Horochów zamordowali 16 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Holeszów pow. Łuck Ukraińcy zamordowali 7 Polaków.

We wsi Hołoby pow. Kowel upowcy zastrzelili Ignacego Maruszewskiego.

W pow. Horochów w jednej wsi Ukraińcy zamordowali polską nauczycielkę, Marię Krzepiwnicką , która na własnym fortepianie uczyła grać dzieci ukraińskie.

W kol. Horodyczyn pow. Łuck spalili żywcem 2 Polki: Kamińską i Łozińską.

We wsi Horodyszcze pow. Łuck zamordowali 5 Polaków.

We wsi Hrywiatki pow. Kowel zamordowali w lesie 2 Polaków: Dąbrowskiego z synem.

We wsi Huta Stara pow. Krzemieniec zamordowali 63 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

W osadzie koło Huty Stepańskiej pow. Kostopol: „Katarzyna Zawadzka, rocznik 1932, była najstarszą córką małżeństwa Malwiny i Cezarego. W gospodarstwie położonym niedaleko Huty Stepańskiej, w powiecie kostopolskim. W osadzie Polacy i Ukraińcy żyli zgodnie. /.../ Po raz pierwszy wieś zrozumiała grozę sytuacji, gdy zamordowali trzy starsze kobiety, udające się do Huty Stepańskiej po zakupy. - Tam były lasy, duże, grube drzewa. Buki, pełno choinek, jak się weszło w krzaki, nie można było wyjść. Na dole teren podmokły - opowiada Zawadzka. I z tego lasu wyskoczyli Ukraińcy. Kłuli je szpikulcami, gdzie popadło. Na żywo. Ta wieść się szybko po wsi rozeszła. - To był jeden tylko krzyk i płacz - opowiada Zawadzka. - Sąsiadka zawołała mamę, jak z lasu wyciągnęli te babki już nieżywe. Mama mnie ze sobą wzięła. Kazała, żebym zobaczyła. Powiedziała: "Chociaż nie powinnaś patrzeć, to cię przyprowadziłam, żebyś wiedziała, jak było". Ale to się w głowie nie mieści - Zawadzka kręci głową z niedowierzaniem. Rodzina Katarzyny Zawadzkiej zdecydowała się na ucieczkę, gdy Ukraińcy po raz kolejny najechali na wieś. - Nasza sąsiadka miała chorego syna. Leżał na wozie, nie chodził, mało co się ruszał. Kiedy ci gospodarze usłyszeli, że Ukraińcy się zbliżają, schowali się w krzaki. Wóz z chorym pozostał. Myśleli, że niepełnosprawnemu odpuszczą, a oni go pokłuli jak sito. To było ich jedyne dziecko. - W końcu próbowali grupą przebić się przez lasy do Huty Stepańskiej. Niestety, w drodze napadł na nich oddział banderowców. - Tam żeśmy się wszyscy rozlecieli. Gdzie kto mógł, uciekał. I pogubiliśmy się - wspomina Zawadzka. Od tamtej pory nie widziała rodziców, choć jest pewna, że zostali zamordowani po drodze. Inaczej by przecież dzieci szukali. Bratem, siostrą oraz nią samą zaopiekowali się sąsiedzi. Ci sami, którym zamordowano niepełnosprawne dziecko. Katarzyna Zawadzka nie wie, gdzie pochowano jej rodziców. Co roku w lipcu daje za nich na mszę. - Codziennie widzę ich twarze... - wyznaje." (Mord po sąsiedzku. Byli wówczas dziećmi; w: http://www.nawolyniu.pl/artykuly/mord.htm).

We wsi Huta Szczerzecka pow. Lwów policjanci ukraińscy aresztowali Polaka, który zaginął bez wieści.

Na stacji kolejowej Iwanicze pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali mieszkających tutaj Polaków, kilka rodzin.

W kol. Iwanówka pow. Dubno zamordowali 5 Polaków, reszta uciekła w przeddzień napadu.

We wsi Izów pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali małżeństwo Oberdów, a ich 27-letnia córka pokaleczona i zbezczeszczona zmarła 23 lipca w szpitalu we Włodzimierzu Wołyńskim. „W Izowie koło Uściługa, w ukraińskiej wiosce mieszkali nasi krewni, siostra mego dziadka Macieja Szczerbickiego, Feliksa z mężem Józefem Oberda i córką Wiktorią. Oberdowie zostali zamordowani a Wiktoria - ciężko ranna - zmarła po 8 dniach w szpitalu we Włodzimierzu. Przed śmiercią zdążyła ujawnić nazwiska oprawców. Byli to sąsiedzi, kumowie, którym Oberdowie trzymali dzieci do chrztu. Druga córka, która wyszła za mąż za Ukraińca zginęła wraz z nim, bo nie wykonał on rozkazu UPA i nie zamordował żony Polki." („Ze wspomnień Zofii Ziółkowskiej"; w: http://www.najigoche.kaszuby.pl/artykul/artykul=774,ze-wspomnien-zofii-ziolkowskiej). Latem 1943 roku podczas żniw upowiec Łupinka z Izowa przechwalał się, ilu Polaków zamordował i jak polskie dzieci nasadzał na kołki. Zastrzelił także Polaka ożenionego z Ukrainką. Po wojnie Łupinka rozpoznany został w Polsce jako działacz wysokiego szczebla w PZPR, nosił inne nazwisko.

W kol. Jachimówka pow. Horochów zamordowali 12 Polaków. Antoniego Kawarskiego upowcy przecięli piłą na pół, jego żonę przywiązali sznurami do wozu i ciągnęli, a następnie spalili w stodole. Zamordowali także ich syna Kazimierza. Polacy od maja systematycznie ograbiani byli z żywności i innego dobytku, w końcu uciekli. „Nazywam się Barbara Zach z d. Przybysz. Przeglądając Strony o Wołyniu irytuje mnie "Lista osób, które zginęły w Jachimówce" cytowana na podstawie książki Siemaszków. Otóż pod poz. 9 licząc od końca figuruje: KRALUK Helena z d. Przybysz - córka Piotra i Adeli z d. Holc. Otóż moja ciocia Helena PRZYBYSZ - córka Piotra i Adeli z d. Holc nie została w 1943 r. zamordowana. Zamordowane zostały jej dwie siostry Anna Przybysz i Janina Przybysz oraz ich ciocia Antonina Sedryna z d. Holc , siostra Adeli Przybysz z d. Holc. Anna Przybysz i Antonina Sedryna w kościele kisielińskim, a Janina cytuję "w drodze do Jankiewiczów? (Zankiewiczów?) - wg relacji cioci Heleny. " (Barbara Zych, 03.02.2009; w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). W. i E. Siemaszko, na s. 156 podają: „W lipcu 1943 r. upowcy zamordowali następujące osoby: /.../ Helenę Kraluk z Przybysiów, c. Piotra i Adeli z Holców, lat 21". Nie wymieniają sióstr: Anny Przybysz i Janiny Przybysz oraz Antoniny Sedryny – ani w Jachimówce, ani w kościele w Kisielinie. Nie wymieniają także przy wsi i majątku Zaturce (s. 175 – 176) zamordowanej Zofii Przybysz.

We wsi Jakowicze pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali kilka polskich rodzin, imiennie znane są tylko 4 ofiary.

W kol. Jamki pow. Łuck zamordowali kilkunastu Polaków. E. Siemaszko podaje liczbę 15 ofiar (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

W kol. Janów pow. Horochów zamordowali 13 Polaków, w tym 6-osobową rodzinę Stanisława Bieleckiego z dziećmi: 10 miesięczną Bronisławą oraz 3, 7 i 10 lat; ojcu połamali ręce i bili, aż skonał; matkę zarąbali siekierą a dzieci zakłuli bagnetami.

We wsi Janówka pow. Horochów zamordowali 3 Polaków /liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Janówka pow. Łuck zamordowali 2 Polaków: 60-letniego Jana Garczyńskiego z 22-letnią córką Jadwigą.

W koloniach Janówka, Marianówka, Pawłówka Stara i Nowa (wszystkie w powiecie Równe) około 100 upowców oraz chłopi ukraińscy ze wsi Metków i Rubcze napadło na położone obok siebie kolonie polskie. Dziewczęta i kobiety przed śmiercią gwałcono i okaleczano, stosowano bestialskie tortury. Tak zginęło ponad 300 Polaków, ich zagrody zostały ograbione i spalone.

We wsi Jarocin pow. Nisko policjanci ukraińscy i żandarmi niemieccy zamordowali 8 Polaków, w tym żywcem spalili proboszcza ks. Mariana Kędzierskiego.

W miejscowości Jazłowiec pow. Buczacz banderowcy uprowadzili i zamordowali co najmniej 11 Polaków; zwłoki znajdowano nad rzeką i w rzece Seret.

W kol. Józefówka koło Zastawia pow. Kostopol upowcy spalili 8 gospodarstw w tej polskiej kolonii i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kol. Julianów pow. Kowel Ukraińcy zamordowali Polaka Banasika.

We wsi Kaczanówka pow. Skałat komendant posterunku policji ukraińskiej i aktywny banderowiec zakatował w lesie polskiego nauczyciela Stanisława Flisaka; zbrodniarz w 1945 roku uciekł do Polski posługując się polskimi dokumentami, potem do USA udając Polaka i działając w amerykańskiej Polonii, rozpoznany zbiegł i nie został już odnaleziony.

We wsi Kadobyszcze pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 5 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Kamienna Góra pow. Równe zamordowali 2 Polaków.

W kol. Kamionka pow. Kostopol Ukraińcy z sąsiednich wsi Hruszówka, Pogorełówka i Borszczówka zamordowali 7-osobową rodzinę polską, w tym kobiety lat 60, 58, 40, 20 i 18 oraz mężczyźni lat 28 i 23 oraz 82-letnią kobietę; razem 8 Polaków.

W kol. Karczemka pow. Równe upowcy zamordowali 2 Polaków, braci.

W gminie Kisielin pow. Horochów zamordowali 6 Polaków: 30-letnią kobietę oraz spalili żywcem 5-osobową rodzinę.

W miasteczku Kisielin pow. Horochów na początku lipca policjant ukraiński zabił swoją żonę Polkę i ich synów lat 10 i 12.

We wsi Kisielówka pow. Horochów zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Kociór pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 3 Polaków, w tym ojca z synem.

We wsi Kohylno pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 4-osobową rodzinę polską kowala Władysława Janczewskiego: kowalowi odcięli ręce i nogi; 12-letniemu synowi ścięli głowę kosą, przy czym 2 Ukraińców zakładało się, czy można to zrobić jednym ruchem; 4-letniego syna przybili gwoździami do ściany mieszkania i tak pozostawili, aż skonał; żonie, będącej w ostatnim miesiącu ciąży rozpruli brzuch i po wyciągnięciu dziecka rzucili na gnojowisko wołając po ukraińsku: "Popatrzcie jak lata polski orzeł". Żona żyła jeszcze 4 lata, gdyż po odejściu „powstańców ukraińskich" sąsiad owinął ją w matę i zawiózł do szpitala (Siemaszko..., s. 922). Ponadto we wsi i należącej do niej osadzie Zagadka zamordowali 4 Polaków, w tym dwie kobiety i chłopca lat 14. „Do Włodzimierza przyjechaliśmy w sobotę rano (17 lipca – S.Ż). /…/ Jadwiga Buczko wróciła z miasta do domu i rano krowę doiła, przyszli zabrali i zabili, w mieście zostawiła męża i osierociła dwoje małych dzieci. Nasza dalsza kuzynka wróciła z miasta po krowę do domu w Kohylnie. Zabili, najmłodsze dziecko miało 3 latka tylko. Z Zagadki Polak Cybulski uciekł całą rodziną, mieli troje dzieci: córkę i dwóch synów. Wysłał ojciec do domu syna, w moim wieku był, tylko 14 lat. Miał przynieść uprząż, była zakopana, już nie wrócił, zabili go Ukraińcy. Zagadka leżała trzy km na północ od Mohylna. Kiedy z Werby z powrotem pojechaliśmy do miasta Włodzimierz, dowiedzieliśmy że tata brat Jan, co mieszkał na Marcelówce także uciekł wozem z żoną i córką do miasta. Z miasta już, udał się do Mohylna, ponieważ dowiedział się, że zmarła Matka, a moja babcia Agnieszka. W tym ostatnim czasie przebywała u Szczurowskich. Przyszli tam także Ukraińcy i zabrali stryja, tak że nawet nie pochował swojej matki. Jak go potem zamęczyli i gdzie pochowali, tego nikt

nie wie, miał około 53 lata." („Wspomnienia Ludwiki Podskarbi z d. Szewczuk z kolonii Mogilno w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1944"; spisał i opracował Sławomir Tomasz Roch, 2009 r.; w: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/137-wspomnienia-ludwiki-podskarbi-z-d-szewczuk.html).

W futorze Koleszów pow. Kowel Ukraińcy z sąsiedniej wsi Łomaczanka zamordowali w bestialski sposób 4 Polaków, w tym 17-letnią dziewczynę.

We wsi Kołodeże pow. Łuck Ukraińcy w połowie lipca zgromadzili kilkanaście rodzin polskich przy studni w pobliżu drogi i dosłownie wyrżnęli ich kosami i sierpami, imiennie znane są tylko 4 ofiary.

We wsi Kołodeżno pow. Kowel miejscowi Ukraińcy zamordowali 2 Polaków.

We wsi Kołowerta pow. Równe bulbowcy zamordowali 12 Polaków, w tym dzieci lat 4, 7 i 8.

We wsi Kołmaczówka pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 35 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Kopaczówka pow. Sarny w drugiej połowie lipca Ukraińcy zamordowali 3-osobową rodzinę polską pracującą na polu; ojca zarąbali siekierą, 20-letniej córce (była to Genowefa Wolak) zdzierali skórę i solili.

We wsi Korabliszcze pow. Dubno zamordowali 2 Polaków.

We wsi Korytno pow. Dubno zamordowali kilka – kilkanaście rodzin polskich.

We wsi Korszowiec pow. Łuck zamordowali jedną rodzinę polską, los pozostałych nie jest znany.

We wsi Kosmacz pow. Kołomyja: „Z początkiem lipca 1943 Kosmacz powiat Kołomyja. Zabici: Kuźmińska Rozalia, żona inżyniera i jej córka Ewa lat 5; inż. Zmigrodzki i jego córka." (1944, 17 lipca – Pismo PolKO w Stanisławowie do Dyrektora RGO w Krakowie zawierające imienny spis osób uprowadzonych i zamordowanych od początku napadów, od września 1943 do 15 lipca 1944. W: B. Ossol. 16721/1, s. 349-373). „W lipcu 1943 r. został zamordowany Klimaszewski (Kliszewski?) Leon urzędnik lasowy; Żmijewski z rodziną: 3 osoby." (Prof. dr hab. Leszek S. Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw. tom 8).

Na drodze do miasta Kowel woj. wołyńskie upowcy z Kołodeża zastrzelili Józefa Baczoła z Nowej Dąbrowy oraz Bronisława Knysa z Peresieki ("Biuletyn Informacyjny 27 DWAK", nr 1 z 1993 r.).

W mieście Kowel woj. wołyńskie Ukrainiec Chmielarśkyj zamordował żonę Polkę oraz ich małe dziecko i zbiegł do UPA. Duchowny prawosławny Czerwyńskyj nie przyjął do cerkwi „wici chlebowych" i podczas niedzielnego nabożeństwa wystąpił przeciwko mordowaniu niewinnych ludzi, za co kilka dni później został zastrzelony.

W miejscowości Krasne pow. Skałat banderowcy zamordowali 20 Polaków.

W futorze Królewski Most pow. Krzemieniec Ukraińcy zamordowali małżeństwo polskie.

W powiecie Krzemieniec woj. wołyńskie do końca lipca spalili 53 majątki i dwory (ocalały tylko 3, w których stacjonowała załoga niemiecka), a większość ludności polskiej związanej z nimi została wymordowana.

We wsi Krynice pow. Tomaszów Lubelski podczas akcji wysiedleńczej Ukraińcy z Niemcami zabili 24 Polaków: 9 mężczyzn, 5 kobiet, 10 dzieci.

W kol. Kuczkarówka pow. Łuck Ukraińcy zamordowali 5 Polaków: małżeństwo Marmurowskich z córką i dwie 17-letnie dziewczyny: Halinę Bucholc i jej koleżankę.

We wsi Kuczków pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 6 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Kulikowicze pow. Łuck zamordowali 1 Polaka.

We wsi Kupiwka pow. Horochów zamordowali 120 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Kupowatiec pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 6-osobową rodzinę o nazwisku Goździ lub Gwóźć.

W kol. Kurant pow. Horochów zamordowali 4-osobową rodzinę Henryka Królikowskiego.

We wsi i majątku Kwasów pow. Horochów zamordowali kilka rodzin polskich.

W kol. Lady pow. Kostopol na początku lipca zamordowali 4 starszych Polaków.

We wsi Laskówka pow. Brzozów policjanci ukraińscy zastrzelili 2 Polaków.

W kol. Leonówka pow. Horochów upowcy zamordowali 6-osobową rodzinę polską poprzez odrąbanie głów siekierami: Jana Czarneckiego, lat około 50, jego córkę Hannę, lat 21, zamężną córkę Franciszkę i jej 3 dzieci.

We wsi Lipa pow. Horochów zamordowali 2 Polaków /liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kolonii Lipska pow. Horochów zamordowali 2 Polaków /liczba niepełna/ (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Liski pow. Włodzimierz Wołyński sąsiedzi Ukraińcy zamordowali 5-osobową rodzinę Jana Lemiechy oraz Ukrainka zabiła motyką swojego męża Polaka, Jana Krzeczunowicza, gdy on spał.

W kol. Lubomirka pow. Równe Ukraińcy zamordowali co najmniej 6 Polaków.

W kolonii Ludmiłpol pow. Włodzimierz Wołyński na początku lipca: „Ukraińcy zabrali nocą z domów w naszej wsi kilku silnych, młodych Polaków. Nikt z nich nie wrócił więcej do domu i słuch po nich zaginął, jestem prawie pewna, że zostali zamordowani w lesie. Wśród nich był Józef Feliksiak i sołtys Franciszek Puzio. To było na początku lipca" (Maria Roch, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). Ponadto zamordowali 2 Polaków: 31-letniego grajka wiejskiego, który musiał im grać wieziony na miejsce egzekucji oraz także 31-letniego, który wcześniej już raz im uciekł.

W miasteczku Łanowce pow. Krzemieniec upowcy dokonali pogromu młodych Polaków mordując ponad 20 złapanych oraz w majątku (budynku podworskim?) wszystkich Polaków.

We wsi Ławrów pow. Łuck wrzucili do studni 3 Polaków i przygnietli pniakami, jednego z nich po raz drugi, bo wrzucony 25 lipca wydostał się.

Na drodze ze wsi Ławrów do miasta Łuck woj. wołyńskie, według informacji pracowników Kurii Diecezjalnej w Łucku, ks. Piotr Walczak „został napadnięty przez Ukraińców w drodze z Ławrowa do Łucka i w bestialski sposób zamordowany". (Dębowska M., Popek L., ... s 162).

W osadzie Łobaczówka pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 1 Polaka (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W miasteczku Łokacze pow. Horochów zamordowali 5 Polaków. „Jagielski Stefan ~1904, żona Stefania z d. Andraszek (Wasilewska?), dzieci: Lucjan 1914, Maria 1917, Jadwiga ~1924 - została zamordowana z rodzicami przez banderowców" (http://www.wolyn.ovh.org/opisy/lokacze-02.html).

We wsi Łopateń pow. Łuck zamordowali 1 Polaka.

We wsi Łopawsze pow. Dubno zamordowali około 15 Polaków.

W mieście Łuck policjanci ukraińscy zamordowali Czesława Siekierzyńskiego.

W kol. Łuków pow. Horochów zamordowali 4-osobową rodzinę Dzikowskich, rodziców z 2 dzieci.

We wsi Łużki pow. Sarny zamordowali 20 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw,).

We wsi Łysin pow. Dubno zamordowali około 20 Polaków.

W majątku Maciejowce pow. Krzemieniec zamordowali 10 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W osadzie Maczkowce pow. Łuck nie wyjechały trzy rodziny i zostały wymordowane. Staruszkę Ukraińcy wyprowadzili na próg jej domu, obłożyli słomą i spalili. Znanych jest 11 ofiar, ale było ich znacznie więcej, gdyż np. studnia na podwórku spalonej staruszki do polowy była wypełniona zwłokami dzieci (Siemaszko..., s. 600).

W kol. Majówka pow. Łuck zamordowali małżeństwo polskie.

W kol. Maków pow. Horochów zamordowali 5 Polaków: Reginę Baryluk z 3 dzieci oraz 60-letnią kobietę.

W kol. Małyńsk pow. Kostopol zamordowali 2 Polki: Stanisławę Pawulę z matką staruszką.

We wsi Mańków pow. Horochów zamordowali 1 Polaka.

W kol. Marcelówka pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zmordowali 3 dzieci polskich. Było to rodzeństwo uciekające z kol. Ossa: 12-letni Feliks, 15-letni Bolesław i 17-letnia Aniela Makroccy – ich matkę zamordują dopiero 13 lutego 1944 roku. Natomiast miejscowi Ukraińcy zamordowali co najmniej 8 Polaków; razem 11 osób. (Siemaszko...., s. 924 – 925).

W kol. Marianówka pow. Równe upowcy obrabowali i spalili polską kolonię oraz zamordowali kilka lub kilkanaście rodzin polskich, imiennie znanych jest tylko 5 ofiar.

We wsi Marynków pow. Horochów zamordowali 20 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Matyldów pow. Łuck sąsiedzi Ukraińcy udusili Stanisława Strzałkowskiego.

We wsi Medwedówka pow. Kostopol na początku lipca upowcy z sąsiednich wsi zamordowali co najmniej 57 Polaków. Znęcali się zwłaszcza nad dziećmi, z których kilkoro pokłutych zdołało dowlec się do sąsiedniej Janówki. W jednej stodole spalili 14 osób, kilka osób porąbali siekierami na kawałki. Małżeństwo przywiązane do drzewa torturowali aż do zgonu; 3-letniego Adasia Bagińskiego nasadzili na kołek.

W kol. Michalin pow. Łuck miejscowi Ukraińcy zamordowali 27-letniego Jana Ogowskiego, porucznika lotnictwa.

W kol. Michałówka pow. Horochów zamordowali 7-osobową rodzinę, która wróciła po żywność.

We wsi Michałówka pow. Łuck zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

We wsi Mirosławka pow. Łuck zamordowali 34 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W miasteczku Mizocz pow. Zdołbunów pod koniec lipca zamordowali 15 Polaków: jednego starszego i 14 dzieci, uciekinierów z okolicy, pasących bydło na łąkach. Wśród napastników byli Ukraińcy – żniwiarze z pobliskich pól, którzy kosami pościnali dzieciom głowy (Siemaszko..., s. 978).

W miasteczku Monasterzyska pow. Buczacz: „W lipcu 1943 r. został zamordowany przez policję ukraińską Kosik Władysław." (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

We wsi Mydzk pow. Kostopol na początku lipca Ukraińcy zamordowali 3 Polaków.

We wsi Neterpińce pow. Zborów został zamordowany przez Ukraińców Tomasz Najwer (http://www.olejow.pl/readarticle.php?article_id=251). Inni: banderowiec pobił śmiertelnie 1 Polaka.

We wsi Niewirków pow. Równe Polacy bronili się w kościele. Ukraińcy w jednym domu zgwałcili dwie Polki: 20-letnią Hicewicz i 25-letnią Marię Błachowicz, a następnie zakłuli je, natomiast „tylko" śmiertelnie pokłuli ich matki. W drugim domu to samo spotkało kolejne dwie Polki; wiadomo o 10 ofiarach, ale było ich znacznie więcej.

We wsi Nowa Liniówka pow. Łuck upowcy zamordowali 17 polskich rodzin, W. i E. Siemaszko podają liczbę 68 ofiar.

We wsi Nowosiółka Kostiukowa pow. Zaleszczyki: „W lipcu 1943 r. zostali zamordowani przez policję ukraińską Szczerbaniewicz Michał i jego żona" (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

We wsi Nowosiółki pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali starsze małżeństwo polskie

We wsi Nowostaw pow. Łuck zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, imiennie znane są 3 ofiary.

W majątku Nowy Dwór pow. Kowel zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków.

W kol. Obeniże pow. Kowel zamordowali 3 Polaków: małżeństwo i młodego chłopca.

We wsi Okno pow. Horodenka banderowcy zamordowali 5 Polaków. Inni: We wsi Okno k/Czerniatyna pow. Horodenka zamordowany został wraz z rodziną przez UPA „leśnik" Bożemski (Edward Orłowski..., jw.). „Dnia 24. VII. br. W tym samym tygodniu zamordowano w Oknie [Horodenka] leśnika Bożemskiego i 3 osoby." (1943, 8 września – Pismo PolKO w Kołomyi do Delegata RGO we Lwowie dotyczące napadów i mordów dokonywanych na Polakach na terenie powiatu. W: B. Ossol. 16721/1, s. 183-184).

W kolonii Oktawin pow. Włodzimierz Wołyński: „Gajewski Jan zamieszkały Oktawin, gm. Mikulicze, pow. włodzimierski został zamordowany przez UPA. Kiedy z sąsiednich kolonii dochodziły wieści,że Ukraińcy mordują - moja rodzina spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i udała się do Włodzimierza. W niedzielę 11 lipca 1943 roku, nie było ich już w kolonii. Kilka dni później, w tygodniu - grupa mężczyzn, m.in brat Władysławy - Jan postanowili wrócić do Oktawina i zbadać sprawę - czy można wrócić lub chociaż zabrać resztę dobytku. Jan już nie powrócił. Został ukrzyżowany przez UPA na drzewie, nago. Zawsze był eleganckim człowiekiem, nosił krawat. I tenże jedynie krawat oprawcy mu zostawili." (Karolina Kuczewska; w:.http://www.stankiewicze.com/ludobojstwo/zgloszenia.html).W. i E. Siemaszko na s. 865 datują ten mord na 15 sierpnia 1943 r.

W miasteczku Ołyka pow. Łuck upowcy uprowadzili i zamordowali na polu 26-letniego Polaka.

We wsi Omelanka pow. Kostopol: „Po upadku Huty Stepańskiej chowali się w lasach dwa tygodnie, potem przybyli Niemcy z Rafałówki i ich wyprowadzili, a było ich dużo, cała kolumna. Przejeżdżali przez spaloną Hutę Stepańską, Siedlisko, Wyrkę i Soszniki. Opowiadał mi Tata o dwóch trupach posadzonych na zabitej krowie i świni, były popodpierane patykami. Mężczyźni leżące trupy musieli z drogi spychać długim drągiem, tak śmierdziały, że nie można było podejść, a konie nie poszły po trupach. /.../ Omelanka przestała istnieć w Krwawą Noc z 16 na 17 VII 1943 r. Ludność w większości, po upadku Huty Stepańskiej, przedostała się do Grabiny przy torach. Część jednak poszła w lasy, tam przetrwali do końca lipca, kiedy to Niemcy przybyli z Rafałówki zabrać ocalałych. Nieliczni przedostali się do Przebraża. Zabitych nikt nie potrafi policzyć".(Wokół Huty Stepańskiej z Januszem Horoszkiewiczem, w: .http://isakowicz.pl/szlakiem-wolynskich-krzyzy-omelanka/).

We wsi Oryszkowce pow. Kopyczyńce zostali zamordowani: Skikiewicz Alojzy l. 31, Skikiewicz Zygmunt l. 29 (Kubów..., jw.).

W kol. Orzeszyn pow. Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 2 Polki: matkę z córką, gdy po rzezi 11 lipca wróciły do domu po rzeczy.

We wsi Osowik pow. Sarny zamordowali 5 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Ostrowy pow. Luboml zamordowali 1 Polaka.

We wsi Ostrowy pow. Łuck zamordowali 3-osobową rodzinę polską: Adelę Zawadzką z 2 synami.

We wsi Ozierany pow. Kowel upowcy zamordowali 6 Polaków: siostry lat 18 – 20, 21-letniego chłopca oraz Anielę Świder z mężem i dzieckiem; Anielę Świder zgwałcili i przypiekali rozpalonym żelazem (Siemaszko..., s. 349).

We wsi Oździutycze pow. Horochów zamordowali 14 Polaków.

W kol. Paniów pow. Łuck zamordowali 4 Polaków: 2 małżeństwa.

We wsi Paryduby pow. Kowel zamordowali 1 Polaka.

W kol. Pasieka koło wsi Świdnik pow. Kowel zamordowali 1 Polaka, kościelnego.

We wsi Pawlikówka pow. Kałusz zamordowali 6 Polaków, w tym 2 małżeństwa i 10-letniego chłopca.

W kol. Pawłówka Nowa pow. Równe obrabowali i spalili polską kolonię oraz zamordowali kilka – kilkanaście rodzin polskich.

We wsi Peremyl pow. Horochów Ukraińcy załadowali Polaków na duży wóz drabiniasty i wywieźli do lasu, gdzie ich wymordowali przy użyciu różnych narzędzi, 15 osób, jeden zdołał uciec.

W kol. Peresieka Gończybrodzka pow. Kowel zamordowali Konstantego Dunajskiego.

W osadzie Piłsudy pow. Krzemieniec wymordowali całą ludność tej polskiej osady, liczby ofiar nie ustalono.

W kol. Piórkowicze pow. Kowel policjanci ukraińscy aresztowali Jana Żubera, po którym ślad zaginął.

We wsi Plaucza Mała pow. Brody policjanci ukraińscy uprowadzili i zamordowali 5 Polaków.

We wsi Płaszowa Królewska pow. Dubno upowcy zamordowali kilka rodzin polskich.

W kol. Płoteczno pow. Kostopol nocą zarąbali siekierami kilka rodzin polskich, około 35 osób.

W kolonii Poczekajka pow. Kowel: „W naszej okolicy głośno było także o śmierci Jana Rocha, który według tych ludzkich spekulacji w końcu lipca 1943 r. udał się nieco „podchmielony dla odwagi" do wsi Poczekajka. Dowiedział się bowiem, że Ukraińcy zabrali z domu ze sobą jakiegoś Polaka z furmanką i jego końmi i jak dotąd gospodarz ten nie wrócił. Jan, który znał w okolicy trochę Ukraińców, miał nadzieję, że jak się za tym Polakiem wstawi, to może nawet uratuje mu życie. Jednak jak poszedł, tak już więcej nie wrócił i on i ten chłop, słuch zaginął i po jednym i po drugim. Ludzie w naszych stronach sądzili więc, że obaj zostali zamordowani. Faktem jest, że w tamtych trudnych czasach, kogo Ukraińcy zabrali ze sobą na „Poszpant" to już prawie na pewno nie wrócił." (Sławomir T. Roch: Wspomnienia Kazimierza i Antoniny Sidorowicz z d. Turowska ze wsi Dominopol w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1930 – 1944). W i E. Siemaszko na s. 392 piszą: „Brak jakichkolwiek informacji o losach Polaków żyjących w 1943 roku" – i wymieniają m.in. kolonię Poczekajkę.

We wsi Podborce pow. Lwów upowcy obrabowali i spalili polskie gospodarstwa oraz zamordowali 6 Polaków.

We wsi Poddębce pow. Łuck zamordowali 35 Polaków, w tym przybili do ziemi zaciosanym kołkiem kierowniczkę szkoły Halinę Dmochowską, działaczkę społeczną wśród ludności ukraińskiej – miejscowi chłopi ukraińscy śmieli się obserwując zbrodnię.

We wsi Police pow. Sarny zamordowali uciekających po upadku Huty Stepańskiej

około 100 Polaków.

We wsi Połonka pow. Łuck zamordowali ponad 10 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Popielówka pow. Kowel zamordowali 1 Polaka.

We wsi Poruczyn pow. Brzeżany został zamordowany przez Ukraińców Polak, Mikołaj Popiel l. 60 a jego żona Paraksewia później - w październiku 1944 r. (prof. dr hab. Leszek Jankiewicz: Uzupełnienie..., jw., tom 7).

W miasteczku Poryck pow. Włodzimierz Wołyński po rzezi 11 i 12 lipca upowcy zamordowali 12 Polaków ukrywających się w jednym miejscu.

W okolicach miasteczka Poryck pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 11 Polaków, w tym 2 matki, każda z 3 dzieci.

We wsi Possywa pow. Zdołbunów zamordowali 30 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Poznanka pow. Łuck podczas napadu upowcy z Ławrowa, Czarukowa i Korsowa ofiary torturowali, zabijali siekierami, widłami i innymi narzędziami, kobiety gwałcili. Zginęło 95 Polaków, ich mienie zrabowali a zagrody spalili.

We wsi Przemorówka pow. Krzemieniec nie ustalono liczby zamordowanych Polaków.

We wsi Przewały pow. Włodzimierz Wołyński nie ustalono liczby zamordowanych Polaków.

We wsi Puchowa pow. Równe zamordowali co najmniej 4 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Pułhanów pow. Łuck upowcy zamordowali około 10 Polaków.

We wsi Pułhany pow. Horochów na początku lipca uprowadzili do lasu 26-letnią Polkę Zofię Sudnik i ją zamordowali.

We wsi Puzów pow. Włodzimierz Wołyński zabili Edmunda Korczakowskiego.

We wsi Rachmanów pow. Krzemieniec zamordowali 32 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx).

We wsi Radochówka pow. Równe zamordowali podczas żniw 15 Polaków oraz Ukraińca z 7 dzieci za to, że sprzyjał Polakom.

Pomiędzy wsią Rafałówka pow. Sarny a wsią Siedlisko pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 2 Polki, babcię i siostrę Barbary Bittner-Saramak z Siedliska.

We wsi Rewuszki pow. Kowel: „Opiszę teraz los Karola Mroziuka i jego żony. To stryjeczny brat mojej mamy. Mieszkali blisko wsi Turia, bo i rzeka Turia jest na Wołyniu. Miejscowość nazywała się Rewuszki. Przy lesie, urodzajna ziemia. Oboje pobrali się już w starszym wieku, przeważnie mężczyźni dawniej w starszym wieku żenili się. Mieli troje dzieci, same córeczki: 15 lat, 9 lat i 3 latka. Stasia, Felicja i Kazimiera. Od lipca 1943 r, już nie nocowali w domu, tylko po lasach albo w zbożu, razem z sąsiadami. Sąsiadka Ukrainka mówi do Mroziuka żony, aby dzieci przyszły spać do jej domu. Gdyby przyszli Ukraińcy to ona powie, że to są jej dzieci. Posłuchała matka i dała swoje dzieci do Ukrainki na noc, a nie wiedziała że mąż Ukrainki jeździ po nocach i zabija Polaków. Pewnego ranka wpadła matka do tej chaty ukraińskiej, a widząc że dzieci spokojnie śpią lepiej poprzykrywała. A tu naraz przed domem staje furmanka i bandyci idą do tego mieszkania. Ukrainka krzyczy do Mroziukowej by uciekała na strych. Ta rzuca się i w sieni po drabinie ucieka na strych, matka trojga dzieci. I co widzi przez okienko na strychu, jej dzieci zostały przez uzbrojonych w karabiny Ukraińców poprowadzone przodem, a mordercy za nimi. Po chwili usłyszała trzy strzały, dzieci zostały rozstrzelane. Matka biegnie do męża do lasu i tam bije go z rozpaczy. Chciała uciekać wiele razy wcześniej do miasta ale mąż nie godził się na to, nie godził się opuścić gospodarstwa rolnego i tego wszystkiego, co stało w oborze. Teraz włosy rwie na głowie. Żona jego mówi, że teraz już nie pójdzie do miasta bowiem nie ma już dla kogo żyć. Sąsiedzi poprowadzili ją do miasta. Kłócili się oboje przez lata, że dali dzieci do sąsiadki Ukrainki na śmierć. I tak skłóceni szli z węzełkiem chleba w ręku. Tysięcy było takich ludzi, ja dałam przykład jednej tylko rodziny, bo to byli nasi kuzyni." (Wspomnienia Ludwiku Podskarbi z d. Szewczuk z kolonii Mogilno w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1944", Wspomnienia wysłuchał, spisał i opracował Sławomir Tomasz Roch, 2009 r.).

W osadzie Reymontowicze pow. Horochów zamordowali 6 Polaków.

We wsi Rogowicze pow. Horochów Ukraińcy zamordowali 4-osobową rodzinę Łebkowskich.

We wsi Rostoki pow. Krzemieniec Ukraińcy zamordowali Kazimierza Sawickiego z synem Feliksem.

We wsi Rozalówka pow. Sokal obrabowali i spalili gospodarstwa polskie oraz zamordowali 15 Polaków.

W kol. Różyn pow. Kowel zamordowali 2 Polki: Sabiłową i jej służącą.

We wsi Rudka pow. Dubno zamordowali 5 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Rudlew pow. Dubno zamordowali 5 Polaków: małżeństwo oraz dziewczyny lat 8, 17 i 20; ich ciała wrzucili do rzeki Ikwa, a po kilku dniach zostały wyrzucone na brzeg rzeki Styr, do której wpada Ikwa.

W kol. Rudnia pow. Łuck zamordowali 3-osobową rodzinę polską: Rogalińską z 2 dzieci. Najpierw na jej oczach zakłuli bagnetami jej dzieci lat 2 i 3, potem obcięli jej piersi i zamęczyli ją – wcześniej gwarantowali jej bezpieczeństwo, była żoną przedwojennego sekretarza gminy, którego zamordowali już 24 grudnia 1942 roku.

We wsi Rudnia Pogorełowska pow. Kostopol zamordowali kilka – kilkanaście rodzin polskich, m.in. paląc żywcem, imiennie znane jest 11 ofiar.

We wsi Rusów pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 1 Polaka.

W majątku Rusywel pow. Równe zamordowali w okrutny sposób administratora majątku Stanisława Dowgiałłę herbu Zadora, lat 49

W majątku i wsi Rydków pow. Dubno zamordowali kilka rodzin polskich.

We wsi Sądowa Wisznia pow. Mościska zamordowali 2 Polaków: leśniczego z żoną.

W majątku Serechowicze pow. Kowel zamordowali 3 Polaków.

We wsi Serechowicze pow. Kowel nie ustalono liczby zamordowanych Polaków.

W kol. Serniczki pow. Horochów zamordowali 20-letnią Marię Semenowicz.

We wsi Sestratyn pow. Dubno zamordowali 4 Polaków.

We wsi Sichów pow. Lwów obrabowali i spalili gospodarstwa polskie oraz zamordowali 5 Polaków.

W kol. Siedlisko pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 2 Polaków.

W kolonii Sieniaków pow. Łuck zamordowali ponad 6 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: Lipiec 1943 r. na Wołyniu; w: ipn.gov.pl/download/1/91460/EwaSiemaszkoTomaszBereza.docx). Relacja Edwarda Kaczmarczyka: „To było w lipcu 1943 roku. W tym czasie już było słychać, że Ukraińcy mordują Polaków. To tam rodzinę wymordowali, to gdzie indziej. Przed nami wymordowali jedenastoosobową rodzinę. On nazywał się Wagner. Chyba był Czechem, a ona chyba Polką; uratował się tylko sześcioletni chłopczyk, w moim wieku. Gdy rozmawiali o tym w domu już była mowa, żeby uciekać do większych skupisk Polaków. Pod koniec czerwca zostaliśmy doszczętnie obrabowani przez bandę ukraińską. Dziadek i moi wujkowie zostali strasznie pobici. Mieszkała u nas pani Paciejewska z szesnastoletnią córką, którą gwałcono na moim łóżku. Mieszkanie obrabowano i zdemolowano, wszystko potłukli. Dziadek postanowił, że mamy uciekać. Dobytek załadowali na wóz. Wszystko się nie zmieściło, więc mieli drugi raz przyjechać. Niedaleko od budynku spotkaliśmy się z druga rodziną, z którą razem mieliśmy jechać do Łucka. Nie dotarliśmy daleko. Gdy wjechaliśmy w wąwóz, w takie zagłębienie terenu, po obu stronach drogi rosły krzaki tarniny, usłyszałem krzyki. Ukraińcy napadli na nas i czym mieli rżnęli. Padły też strzały. Ja z tego strachu zeskoczyłem z wozu i uciekłem w krzaki, a z krzaków w zboże. Pojawili się Ukraińcy na koniach z karabinami maszynowymi i zaczęli szukać uciekinierów. Nie wiem, czy mnie zauważyli, ale strasznie strzelali; zboże aż syczało od kul. Ja przywarłem do ziemi i jak odjechali, wróciłem do gospodarstwa. Nie zdawałem sobie sprawy, że tam wszystkich wymordowali. Myślałem, że ktoś wrócił, więc wołałem mamo, babciu, ale nikogo nie było. Zacząłem się tułać i to trwało około dwa tygodnie. Spotkałem Wagnera, tego sześciolatka, o którym wspominałem wcześniej i tułaliśmy się razem. Odżywialiśmy się tym, co zostało w piwnicy, która była wykopana koło domu, do którego co rusz wracaliśmy. W końcu postanowiliśmy, że trzeba dokądś pójść, w kierunku placówki, gdzie słyszeliśmy, że Polacy gromadzili się chroniąc się przed napadami. Po drodze znaleźliśmy dwa muce, tak mówiliśmy na kucyki, którymi wożono mleko, i na nich ruszyliśmy dalej. Pod lasem natknęliśmy się na Ukraińców, ale udało się nam uciec i w końcu dotarliśmy do placówki. Były tam trudne warunki. W nocy tak nas oblazły pchły, że nie można było spać. Po dwóch dniach poszliśmy dalej szukać swoich rodzin. Czy on znalazł, to nie wiem, ale prawdopodobnie nie. Ja poszedłem w kierunku majątku Siniaków. Po drodze napotkałem kilku ludzi, którzy kopali dół, gdzieś dwa na dwa i pół metra. Gdy podszedłem do nich, jeden po ukraińsku powiedział: Edek, uciekaj, bo ciebie zarżną. Kazał mi iść do swego domu, gdzie była swego czasu ochronka, czyli przedszkole. Tam kobieta dała mi mleka i jak się napiłem, wróciłem do domu. Nikogo ciągle nie było, więc postanowiłem pójść do sąsiadów, państwa Kamińskich. Musiałem przejść przez gospodarstwo Ukraińca, nazywał się Ojciuś i miał trzech synów: Stiopę, Kolę i Aloszę. U Kamińskich pukałem, ale nikt nie otwierał. Gdy miałem odchodzić, uchyliły się drzwi i starsza pani Kamińska powiedziała: Edziu, nie wchodź, bo może Ukraińcy są na was źli, to i nas wymordują. Dała mi w chustkę kawałek chleb i butelkę mleka i kazała iść w stronę Łucka. Zaledwie minąłem stodołę, patrzę, a tu Niemiec stoi. Zaskoczony stanąłem i nie wiedziałem co zrobić. W końcu rzuciłem się do ucieczki, a on zaczął wołać Edek, Edek, stój. Okazało się, że to mój wujek Józek, brat mamy, który był w partyzantce. Przeżył rzeź, wraz z bratem Janem, bo pracował w Łucku i nie było ich na furmance podczas napadu. Poszliśmy więc razem w stronę wioski Charażdże, do Łucka. Tam ulokował mnie u pani Leokadii Andre. To była żona przedwojennego majora. Miała córkę Wandę. Po zajęciu Łucka przez Rosjan, dostaliśmy nakaz opuszczenia miasta. Zostaliśmy ewakuowani transportem do Chełma Lubelskiego. /.../ Pisałem do Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, opisałem, kto i gdzie zginął. Opowiedzieli w ten sposób, że nie wiedzą, o co mi się rozchodzi. Jeszcze w dodatku podpis z nazwiskiem czysto ukraińskim. To mnie jeszcze gorzej dobiło. Później dostałem pismo, że moją sprawę przekazano do prokuratury. To było po 1992 roku. I na tym koniec. Pyta pan, czego oczekiwałem? Chciałem pojechać i wskazać ten dół, gdzie prawdopodobnie leży pomordowana rodzina. Znaleźć grób. Przez te pięćdziesiąt lat nie miałem nawet gdzie zapalić świeczki. W Zaduszki, we Wszystkich Świętych wszyscy idą na groby i zapalają znicze. Ja idę do lasu, zapalam świeczkę i płaczę. Żona to rozumie. Wciąż słyszę te krzyki, gdy ich mordowano. Boję się ludzi, uciekam od nich". (Kazimierz Rynkiewicz : "Wołyń woła o pamięć"; w: „Tygodnik Świdwiński", nr 32 z dn. 07.08.2003 roku; za: http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/16-wolyn-nadal-wola-o-pamiec.html#comment-1). W. i E. Siemaszko na s. 587 podają, że Belweder był osadą wojskową liczącą 29 gospodarstw, powstałą z parcelacji majątku Siniaków. „We wrześniu 1939 r. Ukraińcy z sąsiednich wiosek rozbrajali żołnierzy polskich, a stawiających opór zabijali, zaś osadników terroryzowali,w wyniku czego nikt nie nocował w domu". Ilość polskich ofiar jest nieznana. Majątek Siniaków wymieniają na s. 594 z odnośnikiem „brak jakichkolwiek informacji o losach Polaków żyjących w 1943 r."

We wsi Siomaki pow. Kowel: "W Siomakach, obok wsi Gajówka , (gmina Maciejów, powiat kowelski) – w sierpniu – nacjonaliści ukraińscy w biały dzień otoczyli gajówkę, a następnie pojmali i okrutnie zamordowali sześcio-osobową rodzinę gajowego Piotrowskiego". (Stanisław Dłuski: "Fragment wielkiej zbrodni" ; w: „Las Polski", nr 10 z 1991 roku).

W mieście powiatowym Skałat woj. tarnopolskie: „W Trembowelskim zamordowano w ostatnim czasie wg urzędowych zaświadczeń 10 Polaków. W Skałacie uprowadzono 2-ch nauczycieli Polaków, którzy zaginęli bez śladu". (1943, 29 lipca - Odpis pisma Delegata RGO we Lwowie Leopolda Tesznara do Prezesa Adama Ronikiera w sprawie sytuacji uchodźców polskich z Wołynia. B. Ossol. 16721/2, s. 233; oryginał pisma por.: AAN 48, s. 2).

We wsi Skobełka pow. Horochów odrąbali głowę Józefowi Łozińskiemu, lat 50 i osadzili ją na płocie.

We wsi Skurcze pow. Łuck śmiertelnie postrzelili 24-letniego Polaka osłaniającego ewakuację 2 rodzin polskich z Koszowa.

We wsi Smerdyń pow. Łuck zamordowali 2 Polaków.

We wsi Smolawa pow. Horochów zamordowali kilka rodzin polskich.

W kol. Smołowa pow. Włodzimierz Wołyński Ukrainiec, który miał wywieźć ze wsi 22-letnią Polkę z jej 3-letnim synkiem i 5-letnią siostrą – zastrzelił ich tuż po wyjeździe ze wsi.

W majątku Smordwa pow. Dubno Ukraińcy zamordowali 15 Polaków.

We wsi Smordwa pow. Dubno zamordowali 1 Polaka.

W miasteczku Sokól pow. Łuck Ukraińcy napadli na kościół i zamordowali 12 Polaków, kościół pw. Najświętszej Marii Panny Wspomożenia Wiernych z 1909 roku obrabowali i spalili.

W majątku Stachów pow. Kowel upowcy wymordowali 21 rodzin polskich, co najmniej 83 Polaków, ocalał tylko jeden mężczyzna.

W kol. Stachówka pow. Sarny podczas ewakuacji ocalałych 50 rodzin zamordowali kilkudziesięciu Polaków.

W woj. stanisławowskim: „W ostatnich czasach na terenie naszym wzmogła się agitacja wśród ludności ukraińskiej przeciw mniejszości polskiej. Przyczyniły się do tego nadchodzące tu wiadomości z terenu Wołynia i rozgrywających się tam wypadków, jak również fakt ukazania się na tutejszym terenie silnych oddziałów dywersyjnych sowieckich wzmożonych częściowo elementem ukraińskim i grasujących już od 2 tygodni. Oddziały te napadając na instytucje rządowe, Lieferungschafty, zabierając bydło, konie, żywność, mundury z posterunków policji wprowadziły wśród tutejszej ludności ukraińskiej poczucie bezkarności. W wyniku tej agitacji zostali zamordowani wedle naszych stwierdzonych dotychczasowych wiadomości: żona inż. Kuźmińskiego wraz z 4 letnią córką i inż. Żmigrodzki wraz z 9 letnią córką na drodze Kosmacz - Kołomyja [Kosów], oraz lekarz Dr. Kaliniewicz były dyrektor szpitala w Kołomyi, Budzianowski - prof. gimnazjalny, oraz proboszcz rzymsko katolickiej parafii w Pistyniu [Kosów] bliżej nieznanego nam nazwiska. Miejsca popełnienia zbrodni nieznane nam. Wypadki te na razie odosobnione dotyczą inteligencji, nie wiadomo nam jednak czy nie ma to miejsca również do osób osadników zamieszkałych po wsiach. Tu i ówdzie słyszy się jednak wezwania "Rizaty lachiw". Wypadki tego rodzaju mogą doprowadzić do katastrofalnego położenia ludności polskiej zwłaszcza zamieszkałej po wsiach lub mniejszych miasteczkach." (1943, 28 lipca – Pismo PolKO w Stanisławowie do RGO w Krakowie opisujące początek mordów Polaków na terenie stanisławowskiego. W: B. Ossol. 16721/1, s. 273-275).

W kol. Stanisławów pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 4-osobową rodzinę: Adolfa Bronickiego z żoną i 2 dzieci.

We wsi Stężarzyce pow. Włodzimierz Wołyński miejscowi chłopi ukraińscy zamordowali 22 Polaków, którzy wybrali się do swoich gospodarstw po żywność.

We wsi Stołbiec pow. Dubno zamordowali 11 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Strzelcze pow. Horochów upowcy zamordowali kilka rodzin polskich, imiennie znanych jest tylko 5 ofiar.

We wsi Suchy Róg pow. Równe zamordowali Franciszkę Kowalczyk.

We wsi Suraż pow. Krzemieniec miejscowi Ukraińcy zamordowali 2 Polaków.

We wsi Suszybaba pow. Kowel zamordowali Jana Maczkowskiego z Budek Łowickich.

W gajówce koło wsi Swiniarzyn (Świniarzyn) pow. Kowel: „Używano band ukraińskich do osobistych porachunków. W gajówce w rejonie Świniarzyna (gmina Kupiczów, powiat kowelski) – w lipcu – Ukrainka, żona gajowego Rutkowskiego, po sprzeczce małżeńskiej, sprowadziła bojowców z UPA, którzy zamordowali jej męża, córkę Stanisławę oraz leśniczego Lipińskiego. Zdołał się uratować syn leśniczego, Zbyszek. Ranny w obie ręce był leczony w kowelskim szpitalu". (Stanisław Dłuski: "Fragment wielkiej zbrodni" ; w: „Las Polski", nr 10 z 1991 roku).

W okolicy wsi Swojczów i Gnojno pow. Włodzimierz Wołyński upowcy uprowadzili kilkunastu lub kilkudziesięciu młodych Polaków, którzy zaginęli bez wieści.

We wsi Szczurzyn pow. Łuck „czarna sotnia z rejonu Szczurzyna' zamordowała 4 Polaków: 23-letnią kobietę oraz mężczyzn lat 18, 19 i 60.

We wsi Szubków pow. Równe upowcy i miejscowi Ukraińcy zamordowali 13 Polaków, w tym matkę z 3 dzieci oraz jej rodziców – mąż ukrył się sądząc, że mordowani będą tylko mężczyźni.

We wsi Szymkowce pow. Krzemieniec zamordowali 2 Polaków.

We wsi i miasteczku Świniuchy pow. Horochów Ukraińcy wymordowali ludność polską, co najmniej 63 Polaków. Ukrainiec zamordował żonę Polkę oraz wspólne ich dzieci.

We wsi Świrz pow. Przemyślany policjanci ukraińscy uprowadzili Polaka, który zaginął bez śladu.

W miasteczku Targowica pow. Dubno w bestialski sposób zamordowali w centrum miasteczka 2 Polaków.

We wsi Tchory pow. Kostopol zamordowali co najmniej 9 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Terka pow. Lesko policjanci ukraińscy z gestapowcami zamordowali 5-osobową rodzinę polską oraz ukrywanych przez nią Żydów.

We wsi Tesów pow. Zdołbunów wiadomo o 1 Polaku zamordowanym podczas napadu.

We wsi Tomaszgród pow. Sarny zamordowali 1 Polaka.

W miasteczku Torczyn pow. Łuck Ukraińcy zamordowali jadącego wozem konnym Albina Dąbrowskiego.

Koło wsi Tuczyn pow. Równe upowcy rozstrzelali 10 Polaków.

We wsi Turia pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 3 Polaków, w tym uciekającą ze wsi matkę z 13-letnim synem.

W kol. Turówka pow. Włodzimierz Wołyński upowcy zamordowali patrol AK z Horodła.

W miasteczku Turzysk pow. Kowel zarąbali siekierami 5-osobową rodzinę polską: młode małżeństwo Józefa Gałązki, lat 22 , jego żonę Jadwigę, lat 21 i ich 3 małych dzieci.

We wsi Ulaniki II pow. Łuck zamordowali 27-letniego Antoniego Jakubasa.

W kol. Usickie Budki pow. Łuck zamordowali 4 Polaków.

W miasteczku Uściług pow. Włodzimierz Wołyński podczas dwóch napadów upowcy zamordowali kilkunastu Polaków a następnie jeszcze 15-letnią dziewczynkę.

Pomiędzy miasteczkiem Uściług a miastem Włodzimierz Wołyński Ukraińcy zamordowali 2 Polaków, lat 15 i 20.

We wsi Użyniec pow. Dubno zamordowali 4 Polaków.

W kol. Warszawka pow. Horochów zamordowali około 20 Polaków.

We wsi Watyniec pow. Horochów zamordowali 2 Polaków.

We wsi Werbcze pow. Kostopol zamordowali Kownackiego.

We wsi Wiczynie pow. Łuck zamordowali 3 Polki: Stanisławę Gniot z córką Marią i nauczycielkę Czrnoleską.

We wsi Wierzchów pow. Zdołbunów: „Proszę o dołączenie do listy zamordowanych przez Ukraińców w lipcu 1943 roku we wsi Wierzchów powiat Zdołbunów moich dziadków: Antoniego Szczyglewskiego lat 80. Babcię Bronisławę Szczyglewską lat 79. Stryjenkę Weronikę Szczyglewską z domu Hana lat 40. Syna stryjenki Weroniki i Adolfa - Władysław Szczyglewski lat 18. Oraz pana Stanisława NN pochodzenia polskiego. Ostatnie trzy osoby są pochowane na cmentarzu prawosławnym w Wierzchowie. Babcia i Dziadek nie wiemy gdzie są pochowani" (Tadeusz Szczyglewski ur. w Wierzchowie, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). W. i E. Siemaszko podają na s. 975, że we wsi Wierzchów (Wierzchnów) Ukraińcy zamordowali 1 Polaka: w listopadzie 1942 roku miejscowego leśniczego NN.

W kolonii Wielick pow. Kowel zamordowali 15 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

W kol. Wierzyca pow. Równe upowcy zamordowali co najmniej 15 Polaków.

We wsi Wigurzyce pow. Łuck zamordowali 3-osobową rodzinę: Markowskiego z żoną Albiną i 10-letnim dzieckiem.

W kol. Wilcze pow. Łuck upowcy w lesie zamordowali 26 Polaków, którzy uciekali z Omelanki do Przebraża po załamaniu się obrony w Hucie Stepańskiej.

We wsi Wiszniów pow. Łuck zamordowali co najmniej 2 Polaków.

W kolonii Władysławówka pow. Włodzimierz Wołyński: „jeden z naszej koloni pan Dobrowolski zorganizował w biały dzień ucieczkę furmankami kilku rodzin polskich, zabierając ze sobą rzeczy i żywność. Gdy wyjechali na szosę Włodzimierz – Łuck koło Mikulicz Bulbowcy wzięli ich w krzyżowy ogień i wybili niemal wszystkich. Pozostałym przy życiu kazali wracać do Władysławówki, obiecując że jeśli nie będą uciekać, to nikt nie będzie ich ruszał (Zdzisław Schab, w: www.stankiewicze.com/ludobojstwo.pl). W. i E. Siemaszko na s. 868 – 869 opisując kolonię Władysławówkę nie wymieniają tej zbrodni.

W kol. Wodnik pow. Równe upowcy zamordowali Floriana Wilczyńskiego, lat 30.

We wsi Wolica pow. Horochów zamordowali 10 Polaków.

W okolicy wsi Wołczak pow. Kowel: „W lasach koło Wołczaka, (gmina Werba, powiat włodzimierski), przy gajówce Czereniuka, Polaka, banda UPA wykopała dół, a właściwie pogłębiła istniejący. W pobliżu tego miejsca bojówka ukraińska organizowała zasadzki na przechodzących i przejeżdżających tamtędy Polaków. Pojmanych najczęściej doprowadzano do siedziby sztabu UPA, gdzie byli poddawani okrutnym męczarniom. Następnie ofiary przyprowadzano lub przywożono (niezdolne do chodzenia), w pobliże dołu i tam je mordowano; najczęściej siekierami. Pierwszymi ofiarami zamordowanymi nad tym dołem była rodzina gajowego Czereniuka, potencjalni świadkowie zbrodni. O miejscu mordu i zbiorowym grobie wielu dziesiątków Polaków, poinformował Wacław Korolski, któremu udało się uciec z miejsca egzekucji." (Stanisław Dłuski: "Fragment wielkiej zbrodni" ; w: „Las Polski", nr 10 z 1991 roku).

W kol. Woronucha pow. Równe upowcy w pojedynczych napadach zamordowali 24 Polaków. 31 lipca wyruszyła kolumna ewakuacyjna docierając do Starej Huty. „Kilka rodzin nie przybyło jednak na miejsce odjazdu. Podjęli decyzję wyruszenia do Międzyrzecza i Równego. Tam mieli znajomych, bliskich, krewnych. Po naszym wyjeździe czekali parę dni. Zostali napadnięci i wymordowani. Ofiarą zbrodni padli Ostrowscy, rodzice Józefa, który był w tym czasie w Ostrogu, a potem trafił do oddziału „Gzymsa" w 27 Dywizji Wołyńskiej Armii Krajowej,Zamordowani zostali także Piotrowscy oraz Chorążewska z małym dzieckiem. Jakubowski, który wyruszył wcześniej do Międzyrzecza, napadnięty został przed Dywniem i zabity drągami" (Franciszek Marcinkowski: Woronucha; Lublin 2002, s. 45).

We wsi Woskodawy pow. Równe zamordowali Polaka, młynarza.

We wsi Wydumka pow. Łuck nie ustalono liczby zamordowanych Polaków.

W kol. Wygadanka pow. Łuck zamordowali 8 Polaków z jednej rodziny.

We wsi Wyrka pow. Kostopol pod koniec lipca 1943 roku: „Rodzinę Horoszkiewiczów, tak jak wiele innych polskich rodzin, z lasu wyprowadzili Niemcy w zamian za krowy i świnie zarekwirowane dla wojska. /.../ - Jak dziś pamiętam tych pozabijanych ludzi w Wyrce – opowiada z przejęciem pan Szczepan. - Najpierw natknęliśmy się na rozkrzyżowanego mężczyznę leżącego pośrodku drogi. Mój ojciec z jeszcze jednym mężczyzną ściągnęli go na pobocze, bo nie było czasu na pochowanie ciała. Nieco dalej, na łące po lewej stronie, Ukraińcy posadzili zabitego mężczyznę na zdechłej krowie. Żeby się nie przewrócił, podparty był patykami. Po drugiej stronie podobny widok – zabity mężczyzna podparty kijami siedział na świni. Po dwudziestu metrach kolejna straszna scena. Przy drodze zobaczyliśmy nabrzmiałe, brązowe ciało kobiety (to był gorący lipiec), na której leżało dziecko. Ono z kolei było bardzo jasne, blade, zupełnie jakby spało. Kolumna szła, wszyscy byli w strachu, nikt do nich nie podszedł. Szczepan Horoszkiewicz nie może też zapomnieć widoku spalonego d połowy budynku ze zwisającymi z okna zwłokami częściowo zwęglonego mężczyzny. Gdy wychodzili z Wyrki, przy mostku na rzeczce leżały kolejne ciała zabitych ludzi. Pan Horoszkiewicz nie wie, co się stało z ciałami, które widzieli po drodze. Niemcy zaprowadzili grupę Polaków do wsi Rafałówka, skąd w większości zostali wywiezieni na roboty do Niemiec".

(Adam Kruczek: Wołyńskie krzyże wokół Huty Stepańskiej; w: „Nasz Dziennik" z 24 – 25 lipca 2010).

W kol. Wysoka pow. Horochów zamordowali 7 Polaków: Weronikę Nowakowiczową z 4 dzieci oraz Babińską z córką.

We wsi Wyszka pow. Kostopol nie ustalono liczby zamordowanych Polaków.

W miasteczku Wyszogródek (Wyżgródek) pow. Krzemieniec upowcy wymordowali 150 Polaków zgromadzonych w kościele, głównie uciekinierów z okolicy, w tym proboszcza ks. Konstantego Turzańskiego, lat 44, oraz wysadzili w powietrze kościół barokowy pw. Świętego Ducha sprzed 1726 roku.

W miasteczku Zabłotów pow. Śniatyń banderowcy zamordowali 1 Polaka.

W majątku Zacisze pow. Łuck upowcy spalili majątek, los Polaków nie jest znany.

We wsi Zagajce pow. Horochów zamordowali 4 Polaków (Ewa Siemaszko, Tomasz Bereza: jw.).

We wsi Zalanka pow. Równe zamordowali 1 Polaka.

W kol. Zalesie pow. Kostopol Ukraińcy zamordowali 1 Polaka.

W kol. Zamczysko pow. Dubno zamordowali 14 Polaków, głownie kobiety i dzieci; 17-letni syn nauczycielki miał 17 kłutych ran.

W kol. Zamosty pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 4-osobową rodzinę: Józefa Konopkę z żoną Zofia, synem lat 9 i córką lat 17; los drugiej polskiej rodziny mieszkającej tutaj nie jest znany.

W kol. Zamostyszcze pow. Kostopol zamordowali Bronisława Słowińskiego.

W kol. Zamoście pow. Łuck zamordowali co najmniej 5 Polaków.

W kol. Zapust Kisieliński pow. Horochów zamordowali 7 Polaków. „Marian i Stefania Kuźmińscy spali w zbożu, a swoich sześcioro dzieci, z których najstarsze miało 13 lat, prowadzili na noc do znajomego Ukraińca. Kiedy rano przyszli po dzieci, nie zastali nikogo i mimo poszukiwań dzieci nigdy się nie odnalazły" (Siemaszko..., s. 175). Zamordowali również chorą, nie mogącą chodzić kobietę.

W kol. Zaugolce pow. Łuck spalili kolonię i zamordowali nie ustaloną liczbę Polaków, w walce z UPA poległ 1 Polak.

W kol. Zaułek pow. Łuck spalili kolonię i zamordowali około 10 Polaków.

We wsi Zboryszów Nowy pow. Horochów zamordowali kilkanaście rodzin polskich, imiennie znane jest 20 ofiar.

W kol. Zielona gmina Beresteczko pow. Horochów zamordowali kilka rodzin polskich, nikt się nie uratował, imiennie znane są tylko 3 ofiary.

W kol. Zielona gmina Kisielin pow. Horochów zamordowali małżeństwo polskie

We wsi Zielona pow. Kowel zamordowali nad rzeką Turia 2 Polaków.

W kol. Zielona pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali 2 Polki ze wsi Iwanicze: Pucelik i Witkowską.

We wsi Znamiarówka pow. Łuck zamordowali 16-letniego Zygmunta Krasińkiewicza, ocalonego z rzezi jego rodziny w maju.

We wsi Zubowmosty pow. Kamionka Strumiłowa zamordowali 60-letniego Polaka i spalili jego dom.

W kol. Zygmuntówka pow. Włodzimierz Wołyński zamordowali co najmniej 2 Polaków, w tym Polkę, żonę Czecha.

We wsi Żabcze pow. Łuck upowcy spalili w cerkwi greckokatolickiej ks. Serafina Horosiewicza oraz 4 Polaków, których ukrywał. Potępiał on w swoich kazaniach zbrodnie dokonywane przez Ukraińców na ludności polskiej.

We wsi Żmudcze pow. Kowel zamordowali kilka rodzin polskich, co najmniej 24 Polaków.

We wsi Żółtańce pow. Żółkiew uprowadzili i zamordowali małżeństwo: Polkę i Ukraińca.

Stanisław Żurek

Podstawowe źródła opracowania, które nie są wymieniane przy podawanych przypadkach zbrodni:

Komański Henryk, Siekierka Szczepan: Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939 – 1946; Wrocław 2004.

Siekierka Szczepan, Komański Henryk, Bulzacki Krzysztof:: Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie lwowskim 1939 – 1947; Wrocław 2006.

Siekierka Szczepan, Komański Henryk, Różański Eugeniusz: Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie stanisławowskim 1939 – 1946; Wrocław, bez daty wydania, 2007.

Siemaszko Władysław, Siemaszko Ewa: Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939 – 1945; Warszawa 2000.

Jan Bednarek ps. „Kowiński” -żołnierz 27 WDP AK

Wiesław Bednarek

Jan Bednarek urodził się w Nowej Dąbrowie w roku 1915 jako syn Piotra i Weroniki zd. Leśniewska. Początkowo przebywał w Radowiczach, gdzie zawarł związek małżeński z Adelą Rakowską, mieszkanką Radowicz w 1939 roku w kościele w Turzysku. Zasadniczą służbę wojskową odbywał Stryj wcześniej w KOP-ie na Polesiu w latach 1935-38, którą ukończył w stopniu plutonowego. W wojsku wyczuł się specjalności telefonisty i dlatego mógł podjąć pracę na poczcie w Turzysku. Pracował tam i za okupacji sowieckiej i niemieckiej przy akceptacji przełożonych, będąc zaprzysiężonym członkiem ZWZ od 08. 1941, przyjął pseudonim „Kowiński”. Mówiło się w rodzinie, że Stryjek służąc w KOP-ie „chodził na tamtą stronę”, co rozumiemy że chodził na sowiecką stronę w celach wywiadowczych. Do Zasmyk został skierowany rozkazem w połowie sierpnia 1943 roku i jest najpierw d-cą drużyny łączności a potem d-cą II plutonu w oddziale „Jastrzębia”.

Bierze udział w wyprawie do Osieka, Bud Ossowskich, walce pod Ośmigowiczami oraz wielu innych akcjach oczyszczających teren z upowskiej dominacji.

22 listopada dowodzi Jan Bednarek obroną przed drugim atakiem UPA na miasteczko Kupiczów ,odrzucając tysiącosobowe siły ukraińskie wspierane 2 działami i „czołgiem-samoróbką”, zdobywając ów czołg. Po mobilizacji i koncentracji 27 DW AK w Zasmykach w ramach akcji „Burza” jest Stryjek Janek dowódcą II plutonu I kompanii w batalionie „Jastrzębia”. Bierze udział w walkach z Niemcami – akcja na Hołody, walki pod Maszowe i Władynopolem. Ma także udział w bitwie o Kowel. Walczy w okrążeniu w lasach Mosurskich a po przekroczeniu Bugu dołączył do oddziałów AK na Zamojszczyźnie. Walczył do czasu wkroczenia wojsk sowieckich. Latem 1944 przebywa w rejonie Sławna u partyzanckiego przyjaciela Wacka Rakowskiego, gdzie zostaje aresztowany przez UB i przewieziony do więzienia w lubelskim Zamku. Osądzony na dożywocie a po prośbie o ułaskawienie otrzymuje wyrok 25 lat zesłania na Sybir. Trafia do obozu NKWD nr. 41 w Ostaszkowie .Tam pracuje w nieludzkich warunkach przy wyrębie lasów. Następuje próba ucieczki szesnastoosobowej grupy Polaków.

W końcowej fazie ucieczki zostaje Stryj tylko z Janem Tutusem („Sroka”- Jastrzębiak) ale obydwaj wpadają w łapy NKWD (Tutus wraca do Polski dopiero w 1956r.). Jan Bednarek ląduje ostatecznie w Kowlu, gdzie pracuje w PUR, ciągle pod nadzorem NKWD. Szczęśliwie po pewnym czasie przedostaje się wraz z transportem polskich przesiedleńców na polska stronę. Ta ucieczka powiodła się. Jego tułaczka po syberyjskich tajgach, sowieckich więzieniach trwała 1,5 roku. W 1946 roku osiedla się Stryj Janek najpierw w Hajdukach Nyskich a potem w Nysie. Pracuje resztę życia w nyskiej fabryce samochodów dostawczych. Zmarł w Gliwicach w 1984 roku. Tyle udało mi się wydobyć z pamięci o moim stryju.

PS.

O obozie w Ostaszkowie stryj raczej nie wspominał, informację uzyskałem dopiero wiele lat po jego śmierci. Obóz nr 41 w Ostaszkowie był zorganizowany rozkazem NKW D z 20 stycznia 1943 r. z limitem na 4 300 osób. (...) **Dariusz Rogut w opracowaniu „Z dziejów Polaków internowanych w Związku Sowieckim - obóz nr 41 w Ostaszkowie” na stronie 97** pisał:..... relacja ta dotyczy siedmiu uciekinierów ze stycznia 1945 r., którymi byli m.in. Jan Bednarek ps. „Koweński”, Wacław Rakowski ps. „Wicher”, Jan Tutus ps. „Sroka”, Leonard Gissyng ps. „Złotówka” — wszyscy z 27 Dywizji AK. Po dwóch miesiącach tułaczki zostali grupkami wyłapani nad granicą polską. (...) *Jan Tutus został później skazany przez sąd w Leningradzie za kradzież barana podczas ucieczki zwolniony z łagru w Murmańsku dopiero po śmierci J. Stalina w 1953 r. L. Karłowicz, Polscy partyzanci w sowieckich łagrach, PTL, sygn. 194/s, s. 14-65

źródło: DZIEJE NAJNOWSZE, ROCZNIK XXXIII — 2001,1 PL ISSN 0419-8824 http://rcin.org.pl/Content/46619/WA303_62908_A507-DN-2001-R-33-2_Rogut.pdf

”Wszystko będzie nasze”, powiedziała Ukrainka... „Musicie zginąć, nie ma tu dla was miejsca”

Bogusław Szarwiło

Zarówno przekaz rodzinny jak i wspomnienia wielu byłych mieszkańców Wołynia, którzy uratowali się z „ Rzezi Wołyńskiej” wyraźnie mówią o akcji agitacyjnej jaką OUN z Galicji (Małopolski Wschodniej) przeprowadził przed rozp**ętaniem fali zbrodni 1043/ 1944 r. Utkwiły mi w pamięci słowa wielu osób wspominający znajomych Ukraińców, którzy informowali swoich sąsiadów o całonocnych zebraniach prowadzonych przez „tych z Galicji”. Ubolewali również nad faktem, że po wielu takich naradach w końcu znajdowali posłuch szczególnie wśród ciemnego ukraińskiego chłopstwa. A**lf Soczyński opisując przygotowania do napadu na dużą polską wieś Hurby napisał: «Gdzie znaleźć tylu chętnych w pobliżu skorych do mordowania sąsiadów? (...) Od kilku dni krążył po ukraińskich wsiach otaczających Hurby bochenek chleba. Krążył od wsi do wsi, stanowiąc rytualny znak jedności i gotowości. Chleb to znak życia, dobroci (wszak mówi się - dobry jak chleb), hojności matki natury, trudu rolnika, dostatku. Chleb to także symbol jedności i znak gotowości do poniesienia ofiary. Ludzie jednoczą się przy jednym stole, obdarowują miłością, łamiąc się chlebem, ofiarowują także siebie. Jednoczą się wokół swego przywódcy, bohatera, ojca. Ten chleb nie bez przyczyny nazywał się chlebem objednania(chlebem zjednoczenia). Ale ten bochenek chleba w tamtych dniach w rękach wielu Ukraińców był symbolem strasznym dla sąsiadów nie będących Ukraińcami. Dla nich stanowił symbol grozy unoszącej się nad najbliższą okolicą, nad ich osiedlami, w których żyli od kilkuset lat i wrośli już w miejscowy krajobraz. Teraz, o grozo, chleb stawał się symbolem gotowości do przelania niewinnej krwi sąsiadów. Tamten bochenek chleba był symbolem jedności z przywódcami UPA, gotowości do mordowania bezbronnych, nawet dzieci, kobiet i starców. Gotowości do zdzierania z ludzi skóry i posypywania solą, wyprowania wnętrzności, wyrywania z ciał kobiet nienarodzonych dzieci, odrąbywania głów, kończyn, piersi, członków, wydłubywania oczu, odrzynania języków. Gotowości do przybijania ludzi do drewnianych przedmiotów, wieszania ich na drzewach, po uprzednim napasieniu się głęboką i wielką nienawiścią. Gotowości do napawania się widokiem cierpień najbliższych sąsiadów. Gotowości do wyrzynania w pień wszystkich mieszkańców będących Lachami, rabowania dobytku ofiar i topienia w ogniu całych wsi. Gotowości do rozrzucenia ciał na pożarcie zwierzętom, nawet do odkopania ciał już pochowanych w ziemi i wystawienia ich na znieważającą poniewierkę. Ta nienawiść wyryła tak głębokie koleiny w świadomości niektórych mieszkańców tych stron, że jeszcze dziś, na początku wieku XXI, można wyczuć jej wyraźne ślady. Ta nienawiść była jakby sprowadzona w te strony przez pogańskiego bożka Baala łaknącego morza niewinnej krwi. To, co stało się późnym wieczorem 2 czerwca roku 1943, nie był to spontaniczny zryw, ani wynik sąsiedzkich porachunków, lecz starannie przemyślana i zorganizowana przez zbrojny oddział OUN napaść, w której wzięli udział także okoliczni mieszkańcy, nie wyłączając kobiet. W cerkwiach popi wygłaszali biblijną przypowieść o kąkolu i pszenicy. Następnie wołali -Trzeba wytępić kąkol na ukraińskiej ziemi, by zboże było czyste i zdrowe! Kąkol, to czużyńcy, zwłaszcza Lachy. Popi święcili w cerkwiach noże, bagnety, widły, kosy, siekiery, cepy - narzędzia potrzebne na swjatoje diło. Na święte dzieło ! (....) O zmierzchu 2 czerwca roku 1943 od poszczególnych wsi otaczających Hurby odrywały się grupki po kilkunastu i więcej, zazwyczaj młodych i w sile wieku ludzi, nawykłych do pieszych, wielokilometrowych marszów. (...)

Ruszyła jedna sotnia UPA z kurenia Dunaja czy Doksa pod prowidem Zahrawy. A do pomocy sotni zawodowych żołnierzy, stojących podziemnym obozem w lesie pod Antonowcami, dołączyło kilkuset ochotników stanowiących samobronni kuszczowi widdiły z Majdanu, Buderaża, Wielkiej Moszczanicy, Stupna, Bondar, Majdańkiej Huty, Buszczy. Otoczone lasami, jakby schowane w ich ciszy Hurby tylko od południa były odsłonięte przez otaczające je pola, na których rozrzucone były pojedynczo zabudowania. Było tych ochotników prawie tysiąc osób, w tym kilkadziesiąt kobiet, uzbrojonych podobnie jak mężczyźni w widły, siekiery i noże. Strilci UPA oprócz noży i siekier mieli broń palną, ochotnicy tylko siekiery, noże i widły, niektórzy wzięli cepy. Większość szła pieszo, część jechała wierzchem na koniach i furmankami, na które będą ładować zrabowany dobytek, aby przewieźć go jako zdobycz do swoich zagród. Podchodząc skrycie lasami, parowami i zagajnikami, coraz bliżej otaczali wieś z wszystkich stron, czekali przyczajeni wśród krzaków na znak, sygnał do ataku. Ci, którzy otaczali wieś od północy, wschodu i zachodu, przyczaili się w leśnym poszyciu, natomiast ci, którzy otaczali wieś od południa rozłożyli się w wysokim zbożu. Wszyscy czekali na sygnał do ataku. Każda grupka upatrzyła sobie jedną lub dwie zagrody ciemniejące na tle nocnego nieba. Znali tych, na których mieli za chwilę napaść, spotykali się z nimi w sklepach, na zabawach, w gminie w Buderażu, w Dubnie, w Szumsku na targach, w sklepie w Mizoczu albo Majdanie, w lasach podczas wyrębu drzew czy zbierania jagód i grzybów. Słuchali odgłosów porykiwania krów, szczekania psów, wyciągania wody ze studni, zamykania drzwi obór i stodół, gdakania kur, beczenia owiec. Zapalały się nikłe światła w oknach. Oni grupkami wybierali sobie zagrody, rozdzielali półgłosem między siebie domy, na które przyjdzie im ruszyć niebawem, starając się podejść jak najciszej i zaskoczyć mieszkańców jak zwierzynę na polowaniu, najlepiej podczas snu. Na każdą grupę ochotników zbrojnych w narzędzia ręcznego mordu przypadał strilec uzbrojony w broń palną. Słuchali odgłosów życia dobiegających z zagród sąsiadów i napawali się myślą, że oto za chwilę będą mogli napoić się mohoryczą nienawiści, ale także słodyczą zwykłego rabunku. Podzielili się na trzy kręgi stanowiące jakby trzy rzuty. Pierwszy wkraczał do poszczególnych zabudowań, gospodarstw, wyciągając z nich zaskoczonych mieszkańców i mordując. Drugi rzut czekał w zaroślach na skraju lasu lub w polu, przyczajony w rowach, pod miedzami, w wysokim zbożu, czając się na niedobitków ocalałych w czasie rozpoczętej rzezi. Trzeci z wozami konnymi był gotowy do rabunku i wywożenia zdobyczy. Najpierw zabijali wszystkich, których zdołały dosięgnąć ich siekiery, widły i noże. A zanim podpalili zabudowania, by spalić je z ciałami ofiar, najpierw je grabili z wszystkich cenniejszych rzeczy. Zapadał cichy wieczór, nikt nie spodziewał się, że się zamieni w koszmarną noc. Tylko cerkiew i kościół ich różniły. Bo nawet język jednych i drugich upodabniał się do siebie przez setki lat sąsiedzkiego bytowania. Polscy wieśniacy wymawiali wiele słów po rusińsku, czy jak kto woli po ukraińsku, a Ukraińcy przyjęli do swojej mowy wiele słów polskich. Rodziny polskie przed snem planują, co będą robić jutro. A pracy w polu jest jeszcze wiele, starczy do zimy. Po czym każda w swoim domu układają się do snu. Układają, czasem usypiają dzieci. Ojciec, matka, troje czy czworo dzieci, dziadek, babcia pogrążają się w sen. Nagle tamci grupkami cichaczem ruszają. Każda grupka ma już upatrzony dom, zagrodę, Jest ich około tysiąca, poczynając od kilkunastoletnich chłopców, nawet trzynasto i czternastoletnich. Każdą grupką dowodzi strilec który wydaje polecenia. Nie znosi sprzeciwu. Za sprzeciw może być kula w łeb. Jedni wdzierają się do domów. Każą kłaść się na podłogach. Tych, którzy nie słuchają rozkazu, by się kłaść na podłodze, uderzają siekierami i powalają na ziemię. Inni podpalają stodoły. W świetle pożaru można poznać ich twarze. Ofiary rozpoznają swoich oprawców. Błagają o litość. Te błagania rozlegają się w kilkudziesięciu domach niemal w jednym czasie. Może to tylko straszny żart albo złowrogi sen? Przecież to sąsiedzi, a nie jakieś straszne, krwiożercze diabły!

- Iwan, daruj życie, nigdy nic ci złego ci nie zrobiliśmy!

- Praklatyje Lachy! Za naszu krzywdu wam smert!(śmierć wam za nasza krzywdę!). Cicho Laszka! (Laszka - Polka).To nie miejsce i czas na litość. Nawet dla dzieci i starców. Ryczy bydło, kwiczą świnie, lamentuje ptactwo! Rżenie wystraszonych koni niesie się po wsi od zagrody do zagrody, potęgując grozę. Wyprowadzają ze stajni konie i zaprzęgają do wozów, na które ładują zrabowany dobytek. Gdy wszystkich ludzi pozabijają, podpalają dom.

- Uciekajcie w zboże ! Za zbożem jest zbawienny las!- ktoś krzyczy. Ale z lasu wyskakują kolejni napastnicy, którzy zostali w odwodzie.

Ci czekają na bezładnie uciekających, którzy nie zginęli w domach czy na podwórzu. Każdy dom umiera nieco inaczej, jeden w sposób straszniejszy od drugiego. Pierwsze napadnięte domy zostały tak zaskoczone, że z nich nikt się nie ratuje. Z tych, co zostały napadnięte nieco później, ratuje się pewna ilość osób. Jakiś ojciec każe żonie i dzieciom uciekać, a sam chce coś zabrać z domu na drogę. Zabrać cokolwiek do jedzenia. Coś cennego uratować. Zaprząc konie. Jak straszne to musiało być, skoro Niemcy, ich odwieczni wrogowie, musieli być ich wybawicielami. Rano przyjechał oddział niemiecki z Mizocza, by zabrać kilku rannych którzy przeżyli i osłaniać pochowanie martwych. - Popatrz Hans - mówi jeden Niemiec do drugiego, krzywiąc się ze wstrętem na widok ciał ponad dwustu ludzi zarżniętych jak zwierzęta, poukładanych w rzędy. – Czy jadąc na wschód, spodziewałeś się cofnąć w czasie aż o setki lat? Przecież to średniowieczna dzicz! Jedni i drudzy, to Słowianie! Byłeś w Auschwitz? Tam chodzi przecież o to samo, ale jaka tam kultura! Nigdzie nie zobaczysz nawet kropli krwi. - A tutaj? Wstrętnie, jak w jakiejś średniowiecznej rzeźni. Napastnicy, którzy po popełnionej zbrodni pochowali się po swoich norach, cieszyli się ze swojego zbójeckiego łupu, gdyż Hurby to była bogata wieś. Obrączki ślubne i pierścionki zaręczynowe, złote sygnety, złote bransolety, złote ruble, zegarki, srebrne misy i łyżki, noże, widelce, narzędzia rolnicze, wozy, bele płótna, długie buty robione na zamówienie u szewca w Dubnie lub Szumsku, zwłaszcza tak zwane oficerki. Rozmaite meble, obrazy, makatki, dzieże i niecki, stolnice, konie, krowy, świnie. Wszystko, co miało jakąś wartość, zabrali jak nagrodę za swój zbójecki trud oddany w imię Samistijnoj. (1)

Eugeniusz Białowąs: Do lipca 1943 r, mieszkałem z rodziną w kolonii Rogowicze, gmina Chorów, pow. Horochów. Ojciec mój Aleksander oprócz gospodarstwa rolnego posiadał młyn, siostra Jadwiga, lat 25, panna, była nauczycielką w szkole powszechnej, starszy brat Aleksander, lat

35 był sekretarzem gminy, ja zaś miałem kuźnię. Z Ukraińcami żyliśmy w zgodzie i mimo iż docierały do nas informacje o mordowaniu rodzin polskich przez banderowców uwierzyliśmy zapewnieniom naszych ukraińskich sąsiadów, że nic nam nie grozi, mamy mocną pozycję, przecież oni też korzystają z naszego młyna i kuźni, a brat Aleksander był przez nich ceniony za udzielanie porad agronomicznych. **A jednak przyszli. Była to niedziela 11 czy też 18 lipca 1943 r.** Wróciłem do domu z rodzicami Aleksandrem i Agnieszką z d. Bernat oraz siostrą Jadwigą po nabożeństwie z kościoła w Łokaczach. Przyszedł do nas brat Aleksander z żoną Marianną lat 28 i dwuletnią córeczką. Naradzaliśmy się, czy mamy pozostać w swoich domach, czy też jak inne polskie rodziny opuścić dom i przenieść się do Łokacz, gdzie został utworzony oddział samoobrony i czulibyśmy się bezpieczniejsi. Ojciec wyszedł w pole do krów, a matka smażyła jajecznicę na boczku. Widocznie przywiódł ich zapach jedzenia. Weszło ich trzech, nieznanych mi z widzenia, uzbrojonych w karabiny. Zapytali czy cała rodzina jest w domu, zażądali od nas dokumentów, zabrali z portfelami mówiąc, że nam już one nie będą potrzebne. Byliśmy odświętnie ubrani, więc polecili, abyśmy się rozebrali do bielizny. Krzyczeli**: Polskie mordy to już koniec z wami, musicie zginąć, nie ma tu dla was miejsca.** Matka prosiła ich, aby pozwolili nam pomodlić się przed śmiercią. Zagonili nas z kuchni do pokoju, a kiedy siostra Jadwiga nie uklękła jak inni i na ich krzyki odpowiedziała: my zginiemy, ale i wy zginiecie, nie zbudujecie Ukrainy na krwi niewinnej i bezbronnej ludności polskiej, a okryjecie siebie i naród ukraiński wieczną hańbą, jesteśmy solą tej ziemi, zamiast mordować uczcie się od nas jak żyć godnie i dostatnio – została uderzona przez bandytę lufą karabinu, zachwiała się i upadła na szafę. W tym zamieszaniu matka powiedziała do mnie, abym uciekał. Klęczałem najbliżej okna. Zerwałem się z klęczek i skoczyłem w okno wybijając łokciem szybę. Kiedy byłem za oknem widziałem jak do mnie strzela inny bandyta stojący na obstawie. Zaciął mu się karabin. Wbiegłem za stodołę, gdzie stał banderowiec z rkm a z drugiej strony dwóch z karabinami. Słyszałem strzały, ale na szczęście nie trafili we mnie. Biegłem w stronę Łokacz polami kryjąc się za dziesiątkami żyta. Na pastwisku pasły się konie. Schwyciłem jednego i na oklep pojechałem dalej. Z ukraińskiej wsi Markowicze wyjechała furmanka z 4-5 mężczyznami którzy strzelali w moim kierunku. Konno dojechałem do rzeki, po czym pozostawiłem konia i wpław przeprawiłem się przez rzekę. Tak dotarłem do Łokacz gdzie poinformowałem znajomych Polaków o napadzie. Zgłosiliśmy o tym Niemcom. Następnego dnia Niemcy za obiecane im krowę, jałówkę i świnię zgodzili się wysłać z Łokacz do mojego domu patrol policji niemieckiej, który będzie mnie i grupę moich znajomych ochraniał przy pochówku wymordowanej mojej rodziny. W pokoju podłoga była we krwi. Nie mogliśmy odnaleźć zwłok. Sąsiad-Ukrainiec powiedział, że ciała pomordowanych leżą w gnojowniku zamaskowane gnojem i słomą. Wszystkie ofiary miały rany postrzałowe z tyłu głowy i w plecach. Odnalazłem swojego ojca w polu, był zszokowany, stracił na bardzo długi czas mowę. Widział z oddali z pola jak banderowcy otaczają nasz dom, słyszał strzały, widział jak uciekam. Zabraliśmy ciała pomordowanych moich bliskich oraz odzież, którą przezornie zakopaliśmy wcześniej w skrzyni na polu i opuściłem na zawsze swoje gniazdo rodzinne.(2)

Czesław Sawicki: Kupowalce były małą miejscowością, zamieszkałą prawie wyłącznie przez Polaków. Mieszkało w niej też kilka rodzin ukraińskich. Graniczyła z osadą Nowe Gniezno, zamieszkiwaną przez osadników wojskowych, legionistów, przeważnie oficerów. Jednym z nich był na przykład generał Galica, posiadający działkę o powierzchni 30 ha ziemi. Sam nie mieszkał w Nowym Gnieźnie, zaś ziemię rozdzielił między swoich trzech bratanków, dając im po 10 ha. Mieszkali tam też pułkownik Wróblewski, kapitanowie Sówczyński i Wantuch, porucznik Sapatkiewicz i jeszcze wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam. Na południe od Kupowalec rozciągała się kolonia Lulówka, zamieszkała przez samych Polaków. Od strony zachodniej, do Kupowalec przylegały wsie Szeroka i Boroczyce, ukraińsko-polskie, z przewagą Ukraińców. Do I wojny światowej w rejonie tym nie było ani szkoły, ani kościoła. Po odzyskaniu niepodległości, w okresie międzywojennym, szkołę wybudowano i zaczęto budować kościół, którego jednak przed wybuchem II wojny światowej nie ukończono. Po odzyskaniu niepodległości, przez wiele lat organizowano nauczanie szkolne w domach mieszkańców wsi. I tak w Kupowalcach dzieci uczyły się w domu mojego dziadka Walerego Sawickiego, gdzie ja sam pobierałem naukę przez trzy lata. W Lulówce zaś prowadzili w swoim domu szkołę państwo Romana i Aleksander Łazowscy. Od samego początku do tych szkół chodziły zarówno dzieci polskie jak i ukraińskie. Nie było żadnych podziałów a dzieci chodziły tam, gdzie im było bliżej. Po wybudowaniu szkoły w Nowym Gnieźnie, wszystkie dzieci z okolicznych wiosek chodziły już do jednej szkoły, i oprócz dzieci polskich czy ukraińskich, były nawet dzieci żydowskie (pamiętam trzech uczniów i uczennicę pochodzenia żydowskiego ze wsi Haliczany). Wyraźnie podkreślam, że w traktowaniu dzieci różnych narodowości nie było żadnych różnic i to nie tylko ze strony nauczycieli, ale i w gronie uczniów. Po I wojnie światowej w Kupowalcach została przeprowadzona komasacja gruntów. Mój dziadek, który gospodarzył na 40 hektarach, dostał dwie odległe od siebie o półtora kilometra działki, a ponieważ miał dwóch synów, dla każdego przeznaczył jedną z nich. Ojciec (starszy z braci) dostał działkę przylegającą do wsi Szeroka, w której w tym czasie mieszkali niemal sami Ukraińcy. Tam wybudował dom i z tego domu chodziłem do szkoły, z racji zaś bliskiego sąsiedztwa, razem z ukraińskimi dziećmi. Kolegami moimi byli między innymi Kuźma Niżnik, Iwan Wójtowicz i Maria Niżnik, siostra Kuźmy. Do 1939 roku żyliśmy w wielkiej przyjaźni. Chodziły z nami również inne dzieci ukraińskie, ale wymieniłem tych troje, bo oni, za kilka lat, wstąpili do bandy UPA po to, by mordować Polaków. Kuźma miał nawet stopień podoficerski, a Marysia była łączniczką. Bardzo poprawne stosunki polsko-ukraińskie uległy znacznemu pogorszeniu w 1939 roku, po wkroczeniu sowietów na kresy wschodnie. Niektórzy Ukraińcy poszli na współpracę z sowieckimi okupantami – zaczęły się donosy na Polaków, powodujące represje NKWD. Na początku jednak tylko niektórzy Ukraińcy byli do Polaków nastawieni wrogo, bowiem sowieci zaczęli „rozkułaczać" zarówno bogatych Polaków jak i Ukraińców oraz represjonować zarówno polską jak i ukraińską inteligencję. Nikt wszakże nie ma wątpliwości, że w poprzedzającym te represje rozpoznaniu brali udział miejscowi Ukraińcy. Na skutki nie trzeba było długo czekać. 10 lutego 1940 roku, gdy obudziliśmy się rano, zamieszkałe dotąd przez legionistów Nowe Gniezno – było puste. Wyły tylko psy, zaś Ukraińcy rabowali resztki dobytku. Mieszkańcy zostali wywiezieni na Sybir. To był początek tragedii. Po pierwszej wywózce nastąpowały w różnych miejscowościach kresowych kolejne. Pamiętam, jak przygotowywaliśmy się na to, że możemy znaleźć się w następnym transporcie. Robiło się zapasy żywności, a przede wszystkim suszonego pieczywa i czekało na swą kolejkę. Kiedy Niemcy, przepędziwszy sowietów wkroczyli na nasze ziemie, wydawało się, że ten koszmar minął. Był to jednak dalszy ciąg tragedii. Niemcy utworzyli policję ukraińską i oddali w ich ręce wiele urzędów. Zaczął się terror. Policja ukraińska dokonywała aresztowań Polaków z byle powodu. Po miesiącu czasu od wkroczenia Niemców zostali aresztowani mój starszy brat Zygmunt i sąsiad Aleksander Łazowski, pod zarzutami przynależności do związku strzeleckiego i posiadania broni. Brat, w 1939 roku, w obliczu zagrożenia najazdem, rzeczywiście został powołany do obrony terytorialnej kraju. Wyposażony w karabin, wraz z kolegami, ochraniał most i inne ważne okoliczne obiekty. Po wkroczeniu Armii Czerwonej wrócił do domu nocą. Pamiętam, jak przyszedł do stodoły gdzie spałem, obudził mnie i jak radziliśmy nad tym, co zrobić z bronią. Postanowiliśmy ukryć ją przed NKWD, w tajemnicy przed ojcem, bo jak już wiedzieliśmy, za posiadanie broni groziła wywózka rodziny na Sybir. Karabin został zakonserwowany i zakopany. Nie zeszło długo, gdy przyszło dwóch enkawudzistów i dwóch Ukraińców na rewizję. Nie znaleźli nic. Kiedy najeźdźców sowieckich zamienili najeźdźcy niemieccy, Ukraińcy znów przypomnieli sobie o broni i aresztowali brata. Został strasznie pobity, ale nie przyznał się. W końcu zarówno bat Zygmunt jak i jego kolega Alek zostali zwolnieni. Komendantem policji w Kupowalcach (polskiej miejscowości) był wtedy Ukrainiec Wawryszczuk a jego zastępcą Romaszko. Nieco później przeszli oni do band jako ich przywódcy i stali się najbardziej znanymi w okolicy, bestialskimi mordercami Polaków. Pod okupacją niemiecką terror nasilał się stopniowo. W pierwszym okresie Niemcy przystąpili do przymusowego wywozu robotników do Rzeszy. Pomagali im w tym Ukraińcy, w związku z czym wywózka dotyczyła przede wszystkim Polaków. Zaczęły tworzyć się dobrze zorganizowane bandy nacjonalistów ukraińskich, z którymi nieoficjalnie współpracowała ukraińska policja. Już pod koniec 1942 roku zaczęto dokonywać pojedynczych mordów. I tak w Łobaczówce, 6 km od Kupowalec, wymordowana została rodzina Zawilskich. W tej samej miejscowości, w dwa tygodnie później, Ukraińcy zamordowali Karola Wala, młodego człowieka (kawalera), który przed wojną należał do związku strzeleckiego. Choć w Kupowalcach nic się jeszcze nie działo, zewsząd nadchodziły bardzo niepokojące wieści. **Było tak do marca 1943 roku. Na początku marca tego roku moja rodzina przeżyła pierwszy napad bandytów na nasz dom.** Tak jak wiele innych domów w Kupowalcach i Lulówce był on dobrym celem, bo postawiony był przy lesie, od którego dzieliła go tylko droga. Już od dłuższego czasu ja, wraz z młodszym bratem Alfredem, ze względów bezpieczeństwa sypialiśmy w stodole. W domu nocowali rodzice Anna i Michał Sawiccy oraz siostry Monika i Alicja. Tego dnia, gdzieś około jedenastej w nocy posłyszałem, że jedzie jakaś furmanka. Od razu domyśliłem się, kto o tej porze może jechać. Obudziłem brata i zaczęliśmy obserwować, co się dzieje. Furmanka zatrzymała się przy naszym domu. Zeskoczyło z niej trzech banderowców i udało na podwórko. Zaczęły ujadać psy a oni podeszli pod drzwi. Zaczęli w nie walić pięściami i krzyczeli, by otworzyć. Nikt im jednak nie otworzył, więc próbowali wyważyć je siłą. Ale drzwi nie puściły. Podeszli więc pod okno i kolbą karabinu wybili szybę. Słyszeliśmy, jak ojciec zaczął wołać o pomoc. Wtedy jeden z nich strzelił do ojca przez okno. Później okazało się, że nie trafił. Ja zaś nie wiedziałem co mam robić, bo byliśmy bezbronni (w związku z tym, że dotąd było spokojnie, karabin był zakopany), i w tych nerwach przyszło mi do głowy, żeby gwizdnąć. A gwizdałem na palcach bardzo głośno. I gwizdnąłem, jak umiałem najgłośniej, trzy razy. Ku mojemu zdziwieniu, bandytów naprzód poderwało, po czym zaczęli uciekać w popłochu. Najprawdopodobniej myśleli, że nadchodzi pomoc. Tej nocy już się nie pojawili. Była to dla nas wielka przestroga. Ponieważ tego dnia bracia Zygmunt i Zenek pomagali dziadkowi i podczas napadu nocowali u niego, postanowiliśmy się nie rozdzielać, a przede wszystkim nie nocować w domu. Podobne środki ostrożności podjęła sąsiedzka rodzina Łazowskich. Zaczęliśmy wspólnie wartować, został odkopany karabin, który w dzień był przechowywany w schowku i wyciągany na noc. Spaliśmy w stertach słomy i stodołach. Długo nie zeszło. W niedzielę palmową napadnięta została rodzina Łazowskich. Tak się złożyło, że wartę pełniliśmy wspólnie z Henrykiem Łazowskim. Ja miałem z sobą karabin. Nasza zmiana miała skończyć się o północy, a podmienić nas mieli mój starszy brat Zygmunt i ojciec Heńka Aleksander Łazowski. Heniek przyszedł do mnie około godziny dziewiątej. Byłem gotowy. Rodzina udała się do kryjówki poza domem. Rozejrzeliśmy się dookoła – wszędzie panowała cisza. Zaszliśmy do domu Heńka, ale nikogo już nie zastaliśmy, gdyż rodzina Heńka udała się również do kryjówki poza domem w stercie słomy, z nimi zaś mój brat Zygmunt, który miał wartować od północy. Podeszliśmy pod ten schowek – nic niepokojącego nie zauważyliśmy, i następnie udaliśmy się pod magazyn zbożowy. Tam usiedliśmy na ganeczku. Była to dosyć jasna noc księżycowa. Rozmawialiśmy po cichu – pamiętam, że o karabinie, i o tym, że mamy niewiele oryginalnej amunicji, bo był to karabin francuski „Libella", ale też pasowała do niego amunicja sowiecka. Łazowscy, tak jak my, mieszkali pod lasem. Tuż przy lesie stała duża szopa na narzędzia rolnicze. W pewnej chwili zauważyliśmy, że zza tej szopy zaczęli wychodzić uzbrojeni bandyci. Było ich siedmiu. Widzieliśmy jak zaczynają się rozstawiać. Dwóch zostało za szopą, dwóch zaszło dom od tyłu, zaś trzech skierowało się do drzwi wejściowych do domu. Widzieliśmy, że to nie przelewki, a ponieważ znajdowaliśmy się zbyt blisko, ostrożnie wycofaliśmy się za magazyn. Był tam drewniany płot ze sztachet, łączący magazyn z budynkiem gospodarczym. Przykucnęliśmy za nim i obserwowaliśmy dalsze poczynania bandytów. Tymczasem ci, co podeszli pod drzwi zaczęli w nie uderzać i wołać, aby otworzono. W domu była jedynie babcia Łazowska-Bogacka, która im nie otworzyła. Przypatrywaliśmy się temu z odległości mniejszej niż 20 metrów. Ja chciałem strzelać, bo strzał był pewny. Nastąpiła krótka wymiana zdań ale, Heniek był temu przeciwny. Ta krótka rozmowa zwróciła na nas uwagę bandytów. Zo-

staliśmy zauważeni i musieliśmy się wycofać. Skierowaliśmy się w stronę lasu i wskoczyliśmy do znajdującego się tam rowu. Tu, nie pytając Heńka, zacząłem strzelać. Bandyci szybko opuścili podwórko, skryli się za szopą i zaczęli strzelać w naszym kierunku. To jednak nie przynosiło żadnych efektów i wkrótce strzelanina ustała. Siedzieliśmy w zupełnej ciszy około czterdziestu minut. Na nieszczęście, mój młodszy brat Zenon, postanowił sprawdzić co się stało i biorąc z sobą psa skierował się w stronę zabudowań Łazowskich. Podszedł do szopy, prosto pod bandziorów. Wtedy jeden z nich strzelił i trafił go pociskiem rozrywającym w nogę, powyżej kolana. Kiedy usłyszałem strzał, nie wiedząc co się dzieje, zacząłem strzelać w kierunku szopy. Wtedy zobaczyliśmy, że bandyci zaczynają się wycofywać. Ale jeden z nich podbiegł do leżącego na ziemi brata, wymierzył do niego z karabinu i strzelił w głowę. Jak się później okazało trafił w szczękę, a kula wyszła drugą stroną. Bandzior powiedział „hotow" i dołączył do pozostałych, pośpiesznie opuszczających zabudowania. Nic nie wiedzieliśmy o tym, co się stało, ale po pewnym czasie usłyszeliśmy jęki. Udaliśmy się w tym kierunku i znaleźliśmy brata w okropnym stanie. Noga była powyżej głowy i latała we wszystkie strony. Nie bardzo wiedzieliśmy co mamy robić, w końcu przynieśliśmy drzwi z kuchni, ostrożnie ułożyliśmy na nich Zenka a Heniek i mój brat Zygmunt przenieśli go na podwórko, ja zaś stałem w pogotowiu z bronią na straży, bo nie byliśmy pewni czy bandyci nie wrócą. Zaprzęgliśmy konie do wozu i przewieźli brata do dziadka w Kupowalcach, skąd dalej do szpitala w Horochowie. Ja przez cały czas konwojowałem furmankę z bronią gotową do strzału. W Kupowalcach, po tym napadzie, na jakiś czas uspokoiło się. Jednakże z okolicznych miejscowości nadchodziły coraz straszniejsze wiadomości. Ukraińcy zorientowali się, że niektórzy Polacy posiadają broń i pewnej nocy powiesili na kuźni wezwanie, aby wszyscy Polacy oddali broń, składając ją na cmentarzu, a jeśli tego nie zrobią, to wieś zostanie spalona. Wielu (szczególnie starszych) mieszkańców podporządkowało się. Po pewnym czasie, do sztabu bandytów znajdującego się w Szerokiej, wybrali się przedstawiciele mieszkających na tych terenach od wieków rodzin – mój stryj Bolesław Sawicki, Tadeusz Gąsiorowski i Aleksander Gilewicz. W sztabie spotkali się z przywódcą bandytów Gilem, który zapewnił ich, że mieszkańcom, którzy mieszkają tu z dziada pradziada nic nie grozi, i że mogą być o swoje życie spokojni. Jednakże fakty tego nie potwierdzały. **Relacje uciekinierów z innych miejscowości zaświadczały o dokonywaniu mordów masowych. Im też mówiono to samo, a potem mordowano bez skrupułów.** Tym niemniej zdania na ten temat były podzielone, gdyż niektórzy starsi ludzie łudzili się i wierzyli Ukraińcom, choć było to tylko czekaniem na swoją kolejkę. Po napadzie na dom Łazowskich, szliśmy wszyscy na noc do Kupowalec i tam wystawialiśmy wzmocnione warty. Ja przebywałem w swoim domu bardzo rzadko. Nawet nie zjawiałem się tam na posiłki. Mama wynosiła mi jedzenie pod szopę, gdzie było złożone drewno budowlane, ponieważ ojciec zamierzał budować stajnię na konie, a wybuch wojny mu w tym przeszkodził. Wobec przerażających doniesień o dokonywanych przez Ukraińców mordach bezbronnej ludności, ważyliśmy decyzję opuszczenia Kupowalec. I taką decyzję podjęliśmy bodajże 14 lipca 1943 roku. Zaczęły się przygotowania. Mama tego dnia wywiozła do miasta powiatowego Horochowa moją najmłodszą siostrę Alicję, zostawiając ją u księdza z naszej parafii Kobylińskiego, który w Horochowie schronił się już wcześniej. **16 lipca, z rana,** ojciec pojechał do kowala, by poprawić coś przy wozie. Czuło się już najwyraźniej atmosferę niepokoju i wielu mieszkańców Kupowalec i pobliskich miejscowości rozważało możliwość opuszczenia swych domów. Zaraz po południu udałem się do Łazowskich. Gdy tam trafiłem, rodziców Heńka nie było, gdyż około południa pojechali wozem na znajdującą się w odległości ok. 1,5 km, nowo kupioną od legionisty, pułkownika Wróblewskiego działkę, grabić uprzednio wykoszoną mieszankę paszową. Heniek i jego siostra Pelagia udawali się tam również. Szedłem z nimi pieszo kawałek, a następnie skręciłem do domu pod szopę, gdzie mama przynosiła mi obiad. Jadłem obiad z mamą, bratem Alfredem i siostrą Moniką. Ojciec był u kowala a brat Zygmunt u dziadka. Ledwo skończyliśmy jeść, zobaczyliśmy, jak drogą maszeruje ogromna, licząca ze stu ludzi gromada. **Na czele szedł człowiek z harmonią, i posłyszeliśmy, że gra melodię piosenki „Smert, smert Lacham". Była to jedna z grup ukraińskich bandytów otaczających miejsca zamieszkania Polaków.** Byliśmy bezbronni, bo w ciągu dnia jedyny karabin, jakim dysponowaliśmy, znajdował się w schowku. Siostrze i bratu kazałem natychmiast uciekać w zboże. Kolumna przeszła obok, więc jeszcze nie byliśmy zorientowani w ich zamiarach, ale za chwilę dostrzegłem, że kilku z nich za sadem ustawia karabin maszynowy nazywany przez sowietów „diechtiariowem". Zostało przy nim trzech bandytów. Pokazałem ich mamie i już wiedzieliśmy, co to oznacza. Prosiłem mamę, by uciekała, ale ona uparła się, by iść do obory i wypuścić krowy. Ja ukryłem się i widziałem, jak krowy wychodzą, w tym jednak momencie na podwórko weszło trzech bandziorów. Skierowali się do obory a ja dosłyszałem ich słowa: „chto u was jest w chati?". Nie słyszałem odpowiedzi, bo rzuciłem się do ucieczki, jednocześnie rozglądając się, czy gdzieś nie widać siostry i brata. W tym czasie oprawcy zawlekli mamę do mieszkania, gdzie w okrutny sposób ją zamordowali (zakłuta została nożami). Dziadek Kuźmy Niżnika, który żył w przyjaźni z moim dziadkiem Walerym Sawickim, opowiadał później mojemu bratu Zenkowi (w szpitalu), że moja mama i brat Alfred byli bardzo zmasakrowani. Mój ojciec w pierwszej chwili skrył się w zbożu i siedział tam aż do nocy. W nocy udał się do naszego sąsiada Nikoły Kowalczuka, który przechowywał go przez kilka dni. Uciekałem wprost przed siebie i doleciałem do rosnącej na środku pola niewysokiej czereśni. Wdrapałem się na nią i zacząłem rozglądać dookoła. Zobaczyłem, że bandyci rozciągają się w tyralierę i po kilku kierują się do zabudowań. Wkrótce zostałem zauważony i w moim kierunku posłano serię z karabinu maszynowego. Zaszeleściły liście, ale nie zostałem trafiony. Prawie natychmiast zeskoczyłem i najprawdopodobniej Ukraińcy uznali, że zostałem zestrzelony, bo już więcej nie próbowali strzelać. Ja zaszyłem się w zboża, zająłem pozycję na wzniesieniu i czekałem, co będzie dalej. Dobrze widziałem odcinek drogi, która prowadziła ze Stojanowa do Beresteczka. Po drugiej stronie tej drogi było kilka domów odległych ode mnie o jakieś 250 m. Mieszkała tam między innymi rodzina Gadawów. W tym czasie, niczego nie podejrzewając, pracowali w ogrodzie. Była tam matka wdowa z trójką dzieci, a najstarszy syn miał 14 lat. Był z nimi również przechowywany i ukrywany przez tę rodzinę żołnierz sowiecki, który uciekł z obozu jenieckiego. Widziałem, jak skierowało się tam czterech bandytów. Wszystkich mieszkańców bandyci zagonili do domu. Tam matkę, jej trójkę dzieci i żołnierza, w okrutny sposób zamordowali. Właśnie za tym domem pracowała przy sianie rodzina moich sąsiadów – Łazowskich. Gdy bandyci skończyli z Gadawami, wyszli na zewnątrz, a jeden z nich przyklęknął i strzelił w kierunku Łazowskich. Po tym strzale Heniek Łazowski rzucił widły i zaczął uciekać w kierunku Szerokiej. Gdy dobiegał do łanu zboża, z tego zboża wyskoczył bandzior z karabinem, chciał Heńka zatrzymać, ale nie udało się to, bo Heniek biegł bardzo szybko. Ukrainiec zaczął go gonić i strzelać z karabinu. Strzały nie były celne. Biegnąc Heniek wpadał do domów i wołał: „uciekajcie bo mordują!". W pierwszym domu na Szerokiej goniący Heńka Ukrainiec dopadł matkę i córkę Drewnowskie, które zastrzelił. Heniek pędził dalej i wpadł do domu rodziny Gilewiczów (Aleksandra Gilewicza). Zaalarmował ich, po czym wszyscy rzucili się do ucieczki. Nie zdążył tylko dziadek Gilewicz, którego dopadł Ukrainiec i zastrzelił. Heniek biegł dalej przez Kupowalce i alarmował innych mieszkańców. Dzięki niemu wiele osób zdołało uciec, przede wszystkim w zboża, i uniknąć śmierci. Kiedy Heniek Łazowski zaczął uciekać przed bandytami, jego bliscy, pracujący przy sianie, zaczęli uciekać w kierunku wozu. Zobaczyli jednak, że w zbożu są Ukraińcy i myśleli, że Heniek został zabity. Byli zdezorientowani. Ale niedaleko mieszkała rodzina niemiecka, więc postanowili tam się ukryć. Schowali się w stodole. Nie udało im się jednak uciec przed pogonią. Bandyci ich dopadli. Mieszkająca tam Niemka Hapko opowiadała, że początkowo ją i Łazowskich zgonili razem do stodoły, gdy jednak dowiedzieli się, że jest Niemką puścili wolno. Widziała, jak matka Łazowska klęknęła przed bandziorami i prosiła, aby ją i ojca Łazowskiego zabili, a darowali życie córce Pelagii, synowej Antoninie i jej czteroletniej córeczce Inezie. Ukraińcy zabili jednak z premedytacją naprzód małą Inezę, potem Pelagię, dalej Antoninę a na końcu widzących to wszystko rodziców Heńka Romanę i Aleksandra. Potem stodołę podpalili. Nie wiadomo nawet, czy w momencie podpalenia wszyscy byli już martwi. Wcześniej w domu Łazowskich Ukraińcy zamordowali babcię Łazowską-Bogacką. Tak zginęła rodzina Łazowskich. Moją rodzinę spotkał łagodniejszy los. Siostra Monika ukryła się dobrze w zbożu i przeżyła. Brata Alfreda, który miał wtedy 14 lat, Ukraińcy złapali, zaciągnęli do mieszkania i w okrutny sposób zamordowali. Ojciec zaś, który był u kowala w Kupowalcach, jak już pisałem, zdołał się uratować. Ja przez jakiś czas siedziałem w zbożu, przez które przeszła w kierunku Kupowalec wspominana tyraliera bandytów. Zauważyłem jednak, że od strony Lulówki zbliża się następna tyraliera i bandyci idą gęsto, więc wiedziałem, że nie mam szans, i że nie było na co czekać. Ruszyłem zbożami w kierunku Haliczan. Była to wieś czysto ukraińska i liczyłem na to, że tam bandyci nie będą szukać, i można będzie bardziej bezpiecznie ukryć się w zbożach. Tak też zrobiłem. Znalazłem sobie dobrą kryjówkę i przesiedziałem w niej do nocy. Stamtąd też obserwowałem co się dzieje. Widziałem jak Ukraińcy plądrowali i rabowali wszystko, co było w zabudowaniach, słyszałem krzyki i wołania o ratunek mordowanych Polaków. Widziałem jak czesali zboże i mordowali wyciąganych z niego niedobitków. A gdy już zakończyli polowanie na ludzi i zrabowali co się dało, zaczęli palić Kupowalce. Wysadzili w powietrze szkołę i kościół. Spalone zostały całe Kupowalce i część Szerokiej. Część zabudowań pod lasem nie była tego dnia spalona, ale później została rozebrana. Gdy nastała noc, spod Haliczan wyruszyłem w kierunku stacji kolejowej Horochów 2, obsadzonej przez uzbrojoną placówkę niemiecką. Aby tam się dostać, trzeba było naprzód przejść przez dobrze pilnowaną przez bandytów szosę Horochów-Beresteczko. Noc była bardzo jasna. Widać było, że co kawałek stoją posterunki bandytów i likwidują wszystkich, którzy przez tą szosę zamierzali przejść. W miejscu, w którym się

/ Zbrodnia UPA w Hurbach. Sąsiedzki mord pochłonął ponad 250 polskich istnień Foto: http://www.studiowschod.pl/zbrodnia-upa-w--hurbach/

znalazłem, po drugiej stronie szosy był mały wiśniowy sad. Pomyślałem, że mogę przeskoczyć przez drogę i się w nim schować. Długo obserwowałem otoczenie i nie zauważyłem nic podejrzanego. Więc zaryzykowałem. Kilka skoków i byłem po drugiej stronie. Wpadłem między wiśnie, ale ku memu przerażeniu wprost na stojących tam dwóch uzbrojonych bandziorów. Znalazłem się przed nimi nie więcej jak o jeden metr. Całe szczęście, że i oni przestraszyli się podobnie jak ja – krzyknęli wprawdzie kto idzie, ale zanim zdołali zareagować, wykonałem zwrot i przeskoczyłem z powrotem na drugą stronę. Zaczęli mnie wprawdzie gonić i strzelać, ale w nocy miałem nad nimi przewagę i zdołałem uciec. Udałem się więc w stronę Kupowalec. Tam była inna sytuacja, bo teren był zasnuty gęstymi dymami a widoczność bardzo mała. Jednakże ja znałem go bardzo dobrze, w związku z czym mogłem przekroczyć drogę w miarę bezpiecznie. I jeszcze jedna przeszkoda – rzeka Gniła Lipa, przez którą udało mi się przeprawić i znaleźć przy torach, prowadzących do stacji. I tak dotarłem do stacji Horochów 2, gdzie było już bezpiecznie i gdzie znajdowali się pierwsi uciekinierzy a ciągle przybywali nowi. Był to już wczesny ranek, **17 lipca 1943 roku. Niemcy dali nam ochronę, zaś wszystkich zdrowych i sprawnych, a przede wszystkim młodych przewieźli do Horochowa, tam podzielili na grupy – jedną samotnych, drugą żonatych z rodzinami jak też osobno całe rodziny i zakwaterowano gdzie to było możliwe – w domach pożydowskich, bądź u dobrych ludzi.** Znalazłem się w pierwszej grupie, która składała się z ludzi najsprawniejszych, w większości młodych, nie obarczonych koniecznością opieki nad bliskimi. Ustawiono nas w czwórki i zaprowadzono do gimnazjum, znajdującego się obok budynku żandarmerii niemieckiej. **Tam nas uzbrojono. Mieli tam dużo broni sowieckiej, którą mogli przekazać bez specjalnych formalności. Komendę nad oddziałem przejął przedwojenny komendant Związku Strzeleckiego z Poluchna – Muciewicz. Ze strony niemieckiej, niejako zwierzchnikiem, został oficer niemiecki, z pochodzenia Czech, który dosyć dobrze mówił po polsku. Tak została stworzona legalna samoobrona, która miała na celu dać odpór bandom, mordującym nie tylko Polaków, ale i Niemców**. Odtąd zaczęła się nasza zorganizowana służba, którą pełnili w zdecydowanej większości ludzie tragicznie doświadczeni, z których niemal każdy przeżył utratę swoich najbliższych. Działania nasze miały przede wszystkim na celu ratowanie niedobitków, znajdujących się w okolicznych zbożach i innych kryjówkach. Po paru dniach zaczęliśmy przeszukiwać teren Kupowalec. Znaleźliśmy tam wielu żyjących jeszcze mieszkańców, na przykład ukrywającą się w zbożu przez 10 dni rodzinę Kazimierza Gilewicza z dwójką małych dzieci (rzecz jasna nie wiedzieliśmy wtedy, iż ratując niespełna trzyletniego Krzysia, ratujemy obecnego redaktora naczelnego „Gazety Łańcuckiej" – Krzysztofa Gilewicza), mego ojca Michała Sawickiego, który jak wspominałem w czasie mordu był u kowala oraz bardzo wielu innych mieszkańców Kupowalec i pobliskich miejscowości. Naszym zadaniem było również zaopatrywanie uciekinierów w żywność. W związku z tym wyjeżdżaliśmy do miejscowości penetrowanych przez bandy i niemal z bronią w ręku kosiliśmy zboża, kopaliśmy ziemniaki i zbierali inne nadające się do spożycia płody i produkty tak, by uratowani, lecz odcięci od wszystkiego ludzie, mogli przeżyć**. W mieście Horochowie działała również samoobrona, tylko że konspiracyjnie. Tworzący ją Polacy musieli ukrywać się przed Niemcami. Zorganizowali się, bo dużego ośrodka miejskiego (miasta powiatowego) pilnowało zaledwie 11 niemieckich żandarmów, a była to zbieranina, przede wszystkim ludzi starszych, nieprzydatnych na froncie. Samoobrona horochowska działała przede wszystkim w nocy, gdyż wtedy miasto narażone było na największe niebezpieczeństwo**, jako że Niemcy zamykali się na noc w swoich budynkach, pozostawiając miasto na pastwę losu. Kiedy już powstała nasza samoobrona, sytuacja zmieniła się, bo firmowaliśmy wobec Niemców wszystkie działające w mieście tego typu polskie organizacje. Wspólnie wyjeżdżaliśmy bronić Polaków przed napaściami Ukraińców, mieliśmy też pod swoją opieką majątek Koniuchy, gdzie schroniło się bardzo dużo polskich uciekinierów, a który ochraniało zaledwie czterech Niemców. Tyle tylko, że dysponowali tankietką. Nas zaś było tam zawsze około trzydziestu, przy czym zmienialiśmy się co trzy tygodnie. Na jesieni 1943 roku sytuacja zaczęła się stabilizować. Uchodźcy polscy rozjeżdżali się w różne strony, bandyci ograniczyli swą aktywność, a wszyscy czekali na zbliżający się front. Zostaliśmy w Horochowie do lutego 1944 roku. Jak już front był blisko, podążyliśmy za wycofującymi się Niemcami. Horochów na parę dni został bez opieki. Wystarczyło to, by Ukraińcy mogli wysadzić jeszcze w powietrze horochowski kościół. Udaliśmy się naprzód do Kamionki Strumiłowej, pod którą zatrzymaliśmy się przez tydzień, potem parę dni koszarowaliśmy w Żółkwi a na koniec dotarliśmy do Rawy Ruskiej. W Rawie zostaliśmy przez Niemców rozbrojeni. Niemcy chcieli wykorzystać nas wysyłając na front zachodni (do Francji). W tym celu przetransportowano nas do Lwowa i postawiono przed komisją lekarską. Tam właśnie dowiedzieliśmy się o ich zamiarach, co zadecydowało o tym, że natychmiast rozproszyliśmy się, nawiązując łączność z organizacjami polskimi we Lwowie. Chcę tu jeszcze wspomnieć jeden szczegół. Pamiętam, jak po przywiezieniu do Lwowa wysiadaliśmy z pociągu śpiewając pieśń: „Pośród wichrów i zamieci, huku armat, świstów kul, bronią Lwowa polskie dzieci, znoszą rany trud i ból…" To było w tym czasie nie do pomyślenia. Ludzie tłumnie wybiegali na ulicę, gorąco nas witając i wypytując skąd się tu wzięliśmy i jakim jesteśmy wojskiem. Polacy płakali, Ukraińcy zgrzytali zębami, zaś Niemcy nic nie rozumieli, bądź udawali, że nic nie rozumieją. Nasza samoobrona rozpierzchła się we Lwowie. Każdy udał się w swoją stronę. Ja ze Lwowa przyjechałem do Białobrzeg i mieszkam w nich do dzisiaj. (3)

Kazimiera Jaśniewska: W końcowych dniach sierpnia 1943 roku, w niedzielę wczesnym rankiem, przed samym wschodem słońca, rodzice moi zajęci byli porannym obrządkiem inwentarza. Reszta rodziny jeszcze spała. W tym czasie z wielkim krzykiem i w rozpaczy przybiega nasza babcia, Anna Zymon, i mówi w przerażeniu, że Ukraińcy w naszej wsi Głęboczycy mordują Polaków. Wtedy rodzice bez zastanawiania się chwytają śpiące nieletnie rodzeństwo, a nas, starszych zrywają z posłania, ojciec mówi zaś do mamy: „Uciekajcie wąwozem w kierunku rzeki Turii". Sam natomiast siada na konia i woła za nami, że postara się zatrzymać bandę UPA. Ojciec mój był legionistą. Teraz zdaję sobie sprawę, że starał się odwrócić uwagę bandy od nas, tak abyśmy mogli odbiec jak najdalej. Wiedział, że było nam ciężko, bo każdy z nas, starszych, za rękę ciągnął młodszego. Banda całą uwagę zwróciła na ojca, zaczęła go ostrzeliwać z broni palnej. My w tym czasie odbiegliśmy w kierunku rzeki. Uciekaliśmy ile tchu w piersiach. Po drodze słyszeliśmy, jak banda mordowała sąsiadów Zamrzyckich. Widzimy, jak ryzuny z siekierami po podwórzu ganiają za dziećmi sąsiada, jak strzelają za nimi z karabinów. Wszyscy, całą grupą, słyszymy przerażający płacz jego dzieci i rozpaczliwy krzyk sąsiadki Zamrzyckiej, o ratunek wołającej. Nie było dla nas wytchnienia ani czasu na zastanawianie się. Ile tylko w każdym z nas było sił, biegniemy. Na nasze szczęście dobiegliśmy do rzeki. Szukamy brodu, ale tak by nie zostać zauważonym pomiędzy szuwarami i krzakami. Po przejściu rzeki mamy wszystko mokre. Zziębnięci i zmęczeni przedzieramy się przez nadrzeczne krzaki i wysokie szuwary do lasu – już jesteśmy bezpieczniejsi, bo maskuje nas dość duża mgła. W lesie trochę zwalniamy biegu. Babcia obie rodziny, swoją i naszą, kieruje w stronę wsi Stawki, na kolonię stawecką, do naszego wujka Franciszka Tatysa. Całe szczęście, że już idziemy przez las. Strach przed zarąbaniem siekierą nieco słabnie. Jesteśmy zmęczeni i głodni, ale babcia i mama, niosące małe dzieci, wciąż przynaglają do szybszego marszu. Zatrzymujemy się u wujka Tatysa w jego stodole. Tatys nie może uwierzyć w taką zbrodnię, idzie do sąsiada Ukraińca zaczerpnąć wiadomości pod pozorem, że cieli się u niego krowa i potrzebuje pomocy. Żona Ukraińca mówi wujkowi, że syna i męża nie ma w domu, ponieważ otrzymali polecenie stawienia się we wsi ukraińskiej w Turyczanach. Nasza ciotka szykuje nam posiłek. W tym czasie do nas dochodzi ojciec i wraca wujek od Ukraińca. Po krótkiej rozmowie ojca z Tatysem nie czekamy na posiłek, tato decyduje się iść dalej w kierunku Madejowa. Idziemy tam lasem, ale z ojcem czujemy się bezpieczni. Omijamy ukraińskie wsie – Turyczany i Przewały. Już pod wieczór ojciec zatrzymuje się z nami w lesie, sam udaje się zaś do swojego znajomego z wojska. Przynosi nam od tegoż znajomego chleb i mleko i się posilamy. W międzyczasie znajomy ojca wraz z sąsiadami szykują konny wóz, by odwieźć chociaż dzieci do Maciejowa. Sami organizują się w eskortę do ochrony i pieszo wyruszają za wozami. Do Maciejowa docieramy już o zmroku, zatrzymujemy się na placu kościelnym. W Maciejowie w kościele lokujemy się na plebanii – tu gromadzi się już duża grupa ludzi. Siadamy wszyscy na posadzce w kościele. W chłodzie i głodzie, wystraszeni i do cna umęczeni drogą, czekamy rana, drzemiąc. Rano dociera do nas wujek Tatys, ale nie z całą swoją rodziną. Opowiada nam, że przy ucieczce natknął się na patrolujących drogi Ukraińców, uzbrojonych w siekiery i karabiny. Chcąc ich ominąć, ukrył się w krzakach. Grupa bandytów jednak ich dostrzegła i udała się za nimi w pościg. Podczas ucieczki zginęli jego synowie, jeden w wieku 6 lat, a drugi lat 8. Przez dwa tygodnie pobytu w Maciejowie na plebanii, w chłodzie i bez okrycia, dzięki pomocy Czerwonego Krzyża otrzymywaliśmy przygotowane przez naszych ludzi posiłki, organizowane na własną rękę. Po tym czasie wyjechaliśmy w towarowych wagonach do Chełma. Z Chełma furmankami konnymi przewieziono nas do niedalekiego Pawłowa. Tu umieszczono trzy rodziny w jednym pokoju, w sumie 15 osób. W Pawłowie rodzice pracowali, zarabiając na życie całej rodziny. Z opowiadania mojego stryjecznego brata Eugeniusza Sobieraja wiem, jak mordowano jego rodzinę i jego ojca, Antoniego. W trakcie mordu rodziny pobiegli obaj po zakopany pod gruszą karabin. Nie dobiegli jednak do niego, bo zostali zauważeni przez nadjeżdżających ryzunów. Ukryli się w kopach zboża. Eugeniusz, chowając się w kopę, przewrócił ją. Obok stojących schował się ojciec. Bandyci szukając ich, przewrócili kopy. Kiedy zobaczyli przewróconą, w której był ukryty Eugeniusz, ominęli ją jako już przewróconą, z następnej, która stała, wyciągnęli ojca i zaczęli go mordować. Ojciec, uderzony siekierą w głowę, przewrócił się, leżącego bandyci przerąbali na pół. W tym czasie Eugeniusz stracił przytomność, a po jej odzyskaniu dołączył do grupy uciekającej do Włodzimierza Wołyńskiego. Z innej relacji wiem, jak zamordowano rodzinę naszego sąsiada Grzesiaka. W czasie mordów ukryli się u swego dobrze znajomego Ukraińca, Trochima. On w celu ich ukrycia zlecił im kopanie schronu w obrębie swoich zabudowań. Po wykopaniu dołu, niby na schron, niespodziewanie zabił siekierą, stojących jeszcze w dole, Grzesiaka i jego żonę. Bez obawy zarąbał siekierą trójkę ich nieletnich dzieci i już sam dół zasypał. W ten sposób stał się bohaterem OUN-UPA – bo wojował z Polakami. To był bardzo zażyły, dobry sąsiad, Trochim. Kiedyś na długo przed mordem w naszej Głęboczycy pasłam na pastwisku krowy. Obok naszego pola krowy pasła także Ukrainka ze wsi Jagodno. Jej krowy weszły do naszego ogrodu. Na zwróconą jej uwagę, że jej krowy są w naszej szkodzie, odpowiedziała mi: **„Czekaj, czekaj, przyjdzie czas, że wszystko od Jagodna do Tureczan** będzie nasze". Stało się, jak wypowiedziała. Ale wtedy nie mogłam zrozumieć, o co im chodziło. A jaki mieli program dowiedziałam się dużo później w tym programie zakładali, że w wojnie (tak przez nich nazwanej, a przecież to nie była żadna wojna, tylko bestialskie mordowanie niewinnych) z Polakami wywalczą Samostijną Ukrainę, a zamierzają to zrobić, urządzając masakrę 500 tysiącom polskich dzieci i kobiet, niewinnym ofiarom. Wymordować ludność wsi, wyniszczyć i wypalić wszystko, co na Kresach polskie. Zniszczyć kulturę i dorobek ludzki z kilku wieków. Opowiadał mi znajomy, który był na naszej Głęboczycy, że nie ocalał ani jeden dom. Wszędzie, gdzie były wsie i osiedla polskie, tam nic nie zostało. Wszystko wypalone i wycięte, sady, ogrody. Wyniszczone cmentarze, kościoły. Wszędzie została pustka, wszystko zarosło lasem, krzakami albo utrzymuje się tam pastwiska dla zwierząt – tam gdzie mordowano i zakopywano ofiary ludzkie. Taką to wojnę prowadzili bohaterowie z OUN-UPA z Polakami i jak mówią, z polskim AK, których żołnierzy u nas w Głęboczycy na oczy nie widziałam. Po zakończeniu wojny wyjechaliśmy z Pawłowa z rodziną na Ziemie Zachodnie, do Rąbina, woj. koszalińskie, gdzie mieszkam do dzisiaj. Tu założyłam własną rodzinę, wychowałam z mężem trójkę swoich dzieci, które są już usamodzielnione i założyły swoje rodziny.(4}

Źródła:

1) Fragmenty z « Krew i Ogień»-: https://www.publixo.com/text/0/t/14006/title/Hurby

2) Z relacji Eugeniusza Białowąsa ze zbiorów E. Siemaszko

3) Z relacji Czesława Sawickiego opublikowana w książce**:** Krzysztofa Gilewicza „Krzyż Wołynia" (II tom)

4) Z relacji: Kazimiery Jaśniewskie j zamieszczonej w książce „ Wołyń. Bez komentarza".

RELACJE PARTYZANTÓW KMICICA - ŁUPASZKI – RONINA ARMII KRAJOWEJ NA WILEŃSZCZYŹNIE III.1943 – VII.1944. Część 5

Opracowanie Leszek Bednarczuk

ORSZAK - Beynar Wacław

Urodziłem się 19 Xl 1914 r. w zaścianku Korcze-Podhorowe, gmina Jody, powiat brasławski, woj. wileńskie, z ojca Konstantego Beynara, matki Emilii z domu Misztowt. Z chwilą wybuchu wojny od razu wszystko się załamało, nic tylko w moim życiu osobi¬stym, ale całego społeczeństwa. Słuchało się komunikaty radiowe, które co prawda pocieszały, że nasze wojsko dzielnie walczy, że Westerplatte się broni, co dodawało otuchy społe¬czeństwu, czekano na sprzymierzeńców. Nic brałem udziału w wojnie 1939 r., bo byłem przydzielony do RKW i czekałem na rozkaz zgłoszenia się na oznaczoną datę, którego już nic zdążyłem otrzymać, a czynną służbę odbywałem w Szwadronie Łączności 3. Samodzielnej Brygady Kawalerii, który stacjonował na Rossie w Wilnie. Stan napięcia trwał do 17. IX. 1939 Po paru dniach zaczęło wkraczać wojsko sowieckie na nasze ziemie.

Latem 1943 r. nadleśnictwo, w którym pracowałem, zostało spalone przez partyzantów sowieckich. Nie tylko nad¬leśnictwo, ale i przyległe małe miasteczko Zamosze wraz z kościołem, cerkwią. A po paru dniach spalono miasteczko Jody, gdzie poprzednio pracowałem. W paleniu przeważnie brali udział Żydzi, którzy uciekli do partyzantki sowieckiej, tak się mścili, że ich dobro zostało po¬zabierane. Nadleśnictwo oddalone było od miejscowości Zamosze o ponad 1,5 km i położone na skraju ogromnych lasów. Od dłuższego czasu w nadleśnictwie mieszkał niejaki Mroczkowski, który pełnił funkcję stróża, a przede wszystkim był wszystkim znany z dobrego wyrobu bimbru. Nadleśnictwo po spaleniu zostało przeniesione do powiatowego miasta w Brasławiu, gdzie i ja zostałem również przeniesiony wraz z kolegami. Ze względu na służbę musiałem od czasu do czasu jeździć na teren byłego nadleśnictwa. W międzyczasie spotkałem się z Mroczkowskim, który okazało się później — współpracował z partyzantką sowiecką i po nie jakimś czasie stworzył niewielki oddział z miejscowej młodzieży, pod nazwą „Tadeusz Kościuszko", którym dowodził. Ze swoim oddziałem przebywał przeważnie w sąsie¬dztwie oddziałów partyzantki sowieckiej. W międzyczasie partyzantka sowiecka miała opa¬nowany całkowicie powiat brasławski i postawski. Niemcy poruszali się na dużych szlakach w miastach tylko, i to w silnym ubezpieczeniu.

Później Niemcy ze swej strony stworzyli oddział leśny ze swoich współpracowników i wysyłali w teren. Niby to był oddział sowiecki, który również grasował w terenie, tak samo jak się zachowywali Sowieci. Ludność miejscowa w niczym się nie orientowała i pod szantażem wykonywała ich polecenia, bo się znalazła między młotem a kowadłem. Niemcy nato¬miast, w jakich miejscowościach przebywali, notowali sobie na mapach jako współpracow¬ników sowieckiej partyzantki. Po niejakimś czasie zostały wysłane w teren silne oddziały SS, Wermachtu i miejscowa policja z żandarmerią w celu przeprowadzenia pacyfikacji. Zaczęli od powiatu postawskiego. Dokonywali w ten sposób: okrążano pewne miejscowości, ludność zganiano do większych zabudowań albo stodół. Budynki potem były otaczane wojskiem i po¬licją z ustawionymi do tego karabinami maszynowymi, a potem podpalano, kto uciekał z płomieni, był zabijany. A in¬wentarz, tak żywy, jak i martwy, ładowano na furmanki, które już były przygotowane wcześ¬niej, i kierowane były w okolice frontu na Wschodzie. W tym czasie został rozstrzelany i mój Ojciec, a zabudowania spalone. Ten tylko został przy życiu. któremu udało się zbiec albo gdzieś się ukrył. Ja natomiast zbiegłem przedtem z Brasławia, gdyż groziło mi aresztowanie przez Gestapo, i to w ostatniej chwili wy¬mknąłem się rowerem do lasu. Na drugi dzień odnalazłem oddział Mroczkowskicgo i do nie¬go przystałem, który udzielił mi ochrony przed Gestapo.

Po niejakimś czasie oddział Mroczkowskiego, który przybrał sobie pseudonim „Zapora", udał się w teren. W jakim kierunku i celu, nic wiedziałem. Tak dotarliśmy do miejscowości Klonowy Ostrów, tuśmy się zatrzymali. Po paru dniach „Zapora" ze swoim oddziałem wyruszył w teren zostawiając na miejscu żonę, córkę, syna i mnie, do czasu jego powrotu. Nie pamiętam, czy tego samego dnia albo następnego przyszedł „Kitek" ze swoim patrolem do Klonowego Ostrowi. „Kitek" - Mieczysław Kitkiewicz, zainteresował się nami i prze¬prowadziłem z nim dłuższą rozmowę. O wszystkim go dokładnie poinformowałem i przed¬stawiłem swoje położenie. Po tej rozmowie „Kitek" zaproponował dołączenie do niego, co uczyniłem. Zostałem przez niego zaprzysiężony i od tej chwili zostałem członkiem Brygady „Kmicica" przy plutonie „Kitka". „Kitek" był wysłany z Bazy w teren w celu zebrania niektórych członków z „siatek", którzy byli spaleni i mieli dołączyć do Oddziału.

Pewnego ranka pojawiło się kilkunastu sowieckich partyzantów, czym „Kitek" się zupełnie nie zraził, bo w owym czasie współpracowali pomiędzy sobą, i Baza znajdowała się w sąsie¬dztwie Baz sowieckich. Ale teraz odbyło się to w zupełnie inny sposób. Kilku sowieckich ofi¬cerów zabrało „Kitka" do mieszkania na osobności. Jak to wszystko przebiegało, tego nie wiem, tylko „Kitek" po powrocie oświadczył nam wszystkim w te słowa: ..Słuchajcie kole-dzy. bez żadnego sprzeciwu musimy złożyć broń, ja pierwszy to czynię. Oświadczam wam, że Baza jest również rozbrojona. Jakie dalsze będą losy, przyszłość pokaże". Byliśmy kilka dni pod dozorem sowieckich partyzantów. Z Bazy między innymi był „Jarek". Następnie przewieziono nas na Bazę wraz z żoną, córką i synem ."Zapory". Po przybyciu na Bazę do¬wiedzieliśmy się, że „Kmicic" został aresztowany, a jego oddział rozbrojony.

A odbyło się to tak: 26.VIII 1943 r. "Kmicic" ze swoim sztabem został zaproszony na od¬prawę, która miała odbyć się na terenie bazy sowieckiej, co było podstępem. Po przybyciu na bazę .sowiecką „Kmicic" i jego członkowie sztabu zostali aresztowani. W tym czasie na Bazie odbywał się przegląd broni, czyszczenie zarządzone przez Nicińskiego który okazał się być w tym naszym oddziale od Sowietów. W takim stanie na Bazę wtargnęły silne oddziały partyzantów sowieckich, które przedtem były okrążyły ze wszystkich stron i zażądali złożenia broni. Na¬stępnie przeprowadzono selekcję rozbrojonych, z których wybrano około 80 żołnierzy i od¬prowadzono w kierunku bazy sowieckiej. Ci żołnierze od chwili uprowadzenia do dnia dzisiejszego nie dali znaku o swoim życiu. O komendancie „Kmicicu" - Antonim Burzyńskim, jego sztabowcach, również do chwili obecnej nic nie wiadomo. Nas włączono do polskiego oddziału – utworzonego przy sowieckiej brygadzie z przymusowo wcielonych partyzantów "Kmicica" – nazwanego im. „Bartosza Głowackiego".

Na Bazie, gdzie mnie wraz z innymi przydzielono, z partyzantów, z którymi doszedłem do Klonowego Ostrowia, zastałem tylko Franciszka Rymowicza z synem, który był ranny przypadkowo w trakcie czyszczenia broni, oraz Mackiewicza. Ci wspomniani byli moimi są¬siadami, poza tym żadnego nie było, nie wiem, gdzie zostali przydzieleni, do jakich oddzia¬łów. Na Bazie ulokowano mnie wraz z „Kitkiem". W baraku byli również „Zapora" wraz z żoną, córką i synem oraz „Lalka" i jeden Sowiet - politruk. Na Bazie w całości było około stu partyzantów, których z każdym dniem ubywało. Ci, co byli wysyłani w patrol, przeważnie nic wracali, a którzy wrócili, przynosili wiadomości o dalszych losach, o kolegach, którzy w czasie rozbrajania byli w terenie. Przez nich to został nawiązany kontakt z tworzącą się Brygadą w terenie. Komendantem przez Sowietów był mianowany "Zapora". "Kitek" dowo¬dził plutonem, innych nie pamiętam. Broni prawie nie mieliśmy, wszystko zostało z Bazy za¬¬brane w czasie rozbrojenia przez Sowietów. Obiecywano nam, że dostaniemy broń ze zrzu¬tów. Kilka razy chodziliśmy na lotnisko sowieckie, gdzie miały nastąpić zrzuty, niestety żad¬nego nic było. Dla dozbrojenia nas miała być akcja wspólnie z sowiecką partyzantką na bunkry niemiec¬kie w pobliskim miasteczku Miadziole. W tej akcji brało udział kilkudziesięciu z nas i taka sama liczba Sowietów, którzy byli solidnie uzbrojeni, natomiast my, zbieranina rozmai¬tego rodzaju, z tym że zdobyta broń na Niemcach będzie nam przydzielona. Akcja miała przedstawiać się następująco: o świcie mieliśmy wkroczyć do miasta na znak jasnej rakiety. Sowieci mieli dotrzeć do bunkrów niemieckich główną ulicą, my zaś ulicą boczną i zająć mleczarnię, skąd mieliśmy zabrać masło, i dalej posuwać się w kierunku lewej strony. Okaza¬ło się, że po wystrzeleniu rakiety Sowieci znajdujący się w tylnej grupie otworzyli od razu ogień w kierunku miasta, zamiast przystąpienia do szturmu. Tu na szczęście odbyło się bez wypadku. Po wkroczeniu do miasta my udaliśmy się na poprzednio wyznaczone stanowisko, gdzie po rozbrojeniu straży masło załadowaliśmy na wozy, a część posuwała się w kierunku bunkrów, skąd Niemcy otworzyli silny ogień. Ale nasi żołnierze już zajęli pierwszy bunkier, byli tam już „Rysiek", „Szpagat", „Jarek" i inni. W międzyczasie z tyłu za nami otworzo-

/ Wacław Beynar „Orszak" i mjr Zygmunt Szendzielarz

no ogień. Byliśmy tym zaskoczeni, bo nam z tyłu nie musiało nic zagrażać, a okazało się, że So¬wieci zamiast nacierać na bunkry główną ulicą, zajęli stanowiska na przedmieściu i z odle¬głości otworzyli ogień w kierunku bunkrów nad naszymi głowami. Na szczęście „Zapora" te¬mu zapobiegł, silnym głosem wydał rozkaz wstrzymania ognia. Skutkiem tego incydentu na szczęście mieliśmy tylko jednego rannego przez Sowietów, był nim „Hrabia" — Józef Deszcz. Na tym akcja się zakończyła, my swoje zadanie wykonaliśmy. Z bunkrów koledzy się wycofali i opuścili miasto. Natomiast Sowieci z automatów strzelali na oślep, co sam oso¬biście widziałem i słyszałem, a odbywało się to następująco: My na zmianę pchaliśmy wóz załadowany masłem. Było tego ok. 4 ton, a do tego ser, zaś kilku Sowietów gnało przed sobą jednego wieprza, zabranego na pewno gospodarzowi, a kilkunastu innych strzelało z automa¬tów po oknach i kamienicach, krzycząc tymi słowy (co dokładnie pamiętam i to widzę do dziś w swojej wyobraźni i tego nie zapomnę): "Strielaj Palaczkom po aknach". I tak zakończyła się akcja w mieście. Po wyjściu z miasta i wypchaniu wozu Sowieci zażądali, żeby im oddano masło, na co myśmy się nie zgodzili. Na chwilowym odpoczynku jeszcze jedną stworzyli nam niespodziankę. Przed nami było miasto, na horyzoncie widziało się wieże kościoła, wte¬dy zaczęli się nawoływać między sobą: „Ty posmotri, jeszcze tam stoit chram, dawaj PTR." (karabin dalekosiężny) i wtedy otworzyli ogień z tego karabinu w kierunku kościoła, ale na szczęście nic nie wskórali. I tak zakończyła się w całości nasza wspólna akcja na Miadzioł. Na szczęście tylko jeden ranny, a mogli stworzyć nam więcej strat swym zachowaniem. To była nasza pierwsza i ostatnia akcja z Sowietami.

Po powrocie na Bazę wszyscy byli wściekli z jej przebiegu, z jeszcze większym napię¬ciem omawialiśmy poufnie między wtajemniczonymi sposób wydostania się z pułapki so¬wieckiej. Prawie co dnia zjawiał się któryś z kolegów z terenu ze świeżymi wiadomościami, natomiast okazywał "Zaporze", że wrócił na Bazę. Ostatecznie uradzono, że trzeba namówić "Zaporę" na wyjście w teren jak największym oddziałem w celu nawiązania kontaktu z kole-gami i namówienie ich na powrót. Jednocześnie nadmieniam, że z Baz były wysyłane ulotki i osobiście partyzanci sowieccy i ich zwolennicy ogłaszali o powrót na Bazę, z tym że o ile nie wrócą w określonym terminie, to ich rodziny będą zlikwidowane, a zabudowania spalone. Z taką propozycją zwrócono się do „Zapory", który po kilku dniach, widocznie omawiał z. Sowietami, dał odpowiedź organizatorom, że się zgadza z naszym projektem. Święcie wie¬rzył, że go nie zawiedziemy, był pewny siebie. I tak się stało. Po dłuższych przygotowaniach wyruszyliśmy z Bazy. Było nas wszystkich ponad 80. Na Bazie z moich znajomych została żona. „Zapory", jego żona, córka, syn, Franciszka Rymowicz z synem oraz Mackiewicz (co z nim się stało, nie wiem). Franciszkę Rymowicz spotkałem w Gdyni w 1948 r. Opowiadała mi, co się stało na Bazie po naszym wyjściu: Sowieci się wściekli. Tam będąc opiekowała się ran¬nym synem, a będąc z zawodu krawcową, szyła i reperowała ubrania Sowietom. Niestworzo¬ne wyczyny dokonywali Sowieci z ludnością tutejszą. Przywozili skrępowanych drutami, żywcem wrzucali do dołu, a później dobijali, a czasem zakopywali jeszcze żywych. Setki te¬go było. Postępowali tak samo, jak w Berezweczu w 1941 roku. Była naocznym świadkiem tych wyczy¬nów.

Pamiętam, nasz szlak z Bazy prowadził przez zalew narocznański na Zanarocze. Przez kilka dni poruszaliśmy się w głąb terenu znanego zakonspirowanym przywódcom uprowadzenia. Co jakiś czas do nas dołączali byli żołnierze z Bazy. Jak się orientowałem, „Zapo¬ra" w niczym się nie orientował i wierzył w swoją osobowość, że zdobył zaufanie dokonał swe¬go celu. W międzyczasie wysyłano kolegów wtajemniczonych do nowo tworzącej się Brygady, a „Zaporze" mówiono, że udają się dla odszukania kolegów z Bazy. Brygada częściowo już była zorganizowana przez „Łupaszkę" i innych członków z konspiracji i żołnierzy z Bazy.

Co do „Łupaszki" – Zygmunt Szendzielarz, rotmistrz 4 pułku ułanów "Zaniemeńskich", jego adiutant „Ronin" – Longin Wojciechowski, porucznik straży pożarnej, w owym czasie sprawa przedstawiała się następująco: „Łupaszko" był wysłany przez Komendę Okręgu Wi¬leńskiego na Bazę do „Kmicica" w określonym przez Komendę celu. Jednak nie dotarł na Ba¬zę, gdyż w okolicy Bazy został zatrzymany przez posterunki sowieckie, które usiłowały jego ludzi z ochrony rozbroić. Jednak „Łupaszko" nie dał się zaskoczyć i stoczył pierwszą walkę z partyzantką sowiecką, z której szczęśliwie udało mu się wycofać, nie ponosząc żadnych strat. Wracając do poprzedniej relacji, „Zaporze" zaproponowaliśmy dłuższy postój w zaścian¬ku Borni[e]. W tych okolicach mieliśmy rzekomo kolegów znajdujących się w terenie. Zamiast poszukiwania został nawiązany kontakt z „Łupaszką" i „Podbipiętą" i in¬nymi organizatorami przyszłej Brygady, gdzie zostały omówione wszystkie szczegóły, celem połączenia wszystkich rozbitków i uciekinierów w jedną całość. Wszystko zostało uzgodnione, rozchodziło się tylko, co zrobić z „Zaporą". Po naradzie w zaroślach koło zaścianku Bibki zaprosiliśmy do siebie „Zaporę" w celu wyjaśnienia położenia. jak się przedstawia w rzeczywistości. Brał w tym udział „Kitek", "Czarny", ja, reszty już nic pamiętam. „Zapo¬rze" oświadczono, że my i cały oddział, który znajduje się tu, nie wracamy na Bazę koło Na¬roczy. Z początku „Zapora" rozzłoszczony rzucił się na nas, że do tego nie dopuści, musimy wykonać zadanie, to jest rozkaz, a on odpowiada również przed dowódcami sowieckimi itd. Ale widząc naszą stanowczość, przy czym szczegółowo wyjaśniliśmy, jak postąpiono z naszą Bazą i z tamtym komendantem „Kmicicem" i żołnierzami. Zaznaczyliśmy, że my już mamy nawiązany kontakt z nowym komendantem tworzącej się Brygady, a wam dajemy wolną wo¬lę, czy chcecie odejść od nas – gwarantujemy wam bezpieczeństwo i doprowadzenie z ochroną na dowolne miejsce opuszczonej Bazy, albo możecie zostać z nami razem dołą¬czyć do nowego komendanta. Po namyśle oświadczył: „Jestem takim samym Polakiem jak wy, i chyba wiecie, że jestem byłym wachmistrzem zawodowym artylerii Wojska Polskie¬go i moje miejsce jest z wami, tylko jak wydostać z Bazy żonę, córkę i syna". Oświadczyli¬śmy mu. że i ta sprawa jest brana pod uwagę. Wobec powyższego postanowienia zostali wy¬znaczeni dla sprowadzenia rodziny „Zapory". Od razu wyruszyli „Pająk" i „Hermes", następnie w razie niepowodzenia mieli ostatecznie załatwić „Rysiek" (Ryszard Ambruz) i „Ja¬rek", ale misja naszych wysłanników nie powiodła się, bo Sowieci już wiedzieli o naszym po¬sunięciu i dołączeniu razem z nami „Zapory" do nowej Brygady. Sowieci twierdzili, że myśmy „Zaporę" zmusili na pozostanie z nami szantażem. Na początku po dotarciu na miejsce „Pająk" i „Hermes" zostali zatrzymani. W międzyczasie dotarli „Rysiek" z „Jarkiem", ale im udało się wydostać z tej opresji tylko dlatego. że jak wspomniałem poprzednio, Niemcy w owym czasie przeprowadzali pacyfikację. Dzięki temu zamieszaniu udało się im zbiec So-wietom i szczęśliwie wszyscy wrócili.

Po połączeniu się naszego zgrupowania z Bazy z tymi, co byli w terenie. „Łupaszko", któ¬ry odbył odprawę, rozmawiał prawie z każdym osobiście, wyjaśniając nasze obecne położe¬nie i dalszy cel naszego zadania i działania. Z „Zaporą" przeprowadził dłuższą rozmowę oso¬biście, następnie ze swoim adiutantem i innymi dowódcami tego zgrupowania. Po zapozna¬niu „Łupaszko" sam ogłosił o połączeniu zgrupowań i stworzeniu Brygady. Później została podzielona ona na kilka szwadronów, a nie plutonów, ponieważ „Łupaszko" był zawodowym kawalerzystą i nadal nim został. Dowódcami szwadronów zostali mianowani „Zapora", „Podbipięta", „Maks", „Janusz", „Kurzawa" i „Kitek". Ja zostałem przydzielony do szwa¬dronu „Kitka", "Akacja" do szwadronu ".Maksa". Brygada została zatwierdzona w późniejszym czasie przez Komendę Okręgu Wileńskiego jako 5 Partyzancka Brygada Wi¬leńska.

Po odprawie ..Łupaszki" z dowódcami szwadronów wyruszyliśmy w teren na wyznaczo¬ne komendantom szwadronów zadania. W owym czasie położenie było bardzo trudne i ogromnie skomplikowane. Byliśmy dość skromnie uzbrojeni, gdyż Sowieci przy rozbroje¬niu prawie wszystką broń zabrali, a do tego mieliśmy wrogów co ulic miara. a byli nimi Niemcy, Sowieci, Litwini, Łotysze, własowcy, a czasem zdarzały się wypadki, że i miejscowa ludność. Zaznaczam, że tylko zdarzały się sporadyczne wypadki. ale i takie miały miejsce. Współpracowali z Niemcami, a niektórzy z Sowietami, którzy im donosili o nas. Niebezpieczeństwo groziło nam na każdym prawie kroku. Musieliśmy się poruszać bardzo ostrożnie, gdyż w każdym najmniejszym zaroślu mogła być zasadzka. Do zabudowań również wkra¬czaliśmy z największą ostrożnością. Mieliśmy dość częste potyczki z Sowietami, Niemcami, Litwinami. Jedną z pierwszych pamiętam, jak trafiliśmy na zasadzkę litewską we wsi Koreniaty, którą mieli przygotowaną na nas w tamtejszej szkole, i tu mieliśmy pierwszego rannego. Był nim „Szpagat", dostał postrzał w piętę, ale szczęśliwie się z tego wylizał, wrócił później do Brygady.

Podobny tryb życia prowadziliśmy przez dłuższy czas, mieliśmy kilkanaście walk mniej¬szych i większych z wrogami, przy tych okazjach dość sporo zdobyliśmy broni. W listopa¬dzie przyłączyła się nowa grupa kolegów, między innymi porucznik „Kanarek", który u nas zmienił pseudonim na „Rakoczy", jak również „Myszka", „Pirat" i inni. 11. listopada w związku ze Świętem Narodowym i dla uczczenia przybycia „Rakoczego" odbyła się w miejscu postoju mini-defilada naszej Brygady. Na nasze warunki partyzanckie, udana uroczysta. Ludność tamtejszych miejscowości bardzo nas oklaskiwała w czasie przemarszu szwadronów, byli niezmiernie wzruszeni tym widokiem. My również byliśmy ucieszeni i dumni ze swoich osiągnięć. Po uroczystości komendant przeprowadził nieduże przegrupo¬wanie. Świeżo przybyłych porozdzielano po szwadronach. „Rakoczego" przeznaczył do spe¬cjalnych zadań: miał przeprowadzać szkolenie minerskie, dywersyjne itd., jak również został powołany sztab przy komendancie. W skład jego weszli: „Łupaszko", „Ronin", „Rakoczy", „Oran", „Lalka" i „Orszak". Moim zadaniem był nasłuch radiowy, ponieważ „Rakoczy" przywiózł z Komendy wszelkie zaopatrzenie medyczne. część broni rozmaitej, amunicję oraz aparat radiowy na słuchawki, wyprodukowany przez specjalistów z konspira¬cji. Najgorsze było dźwiganie akumulatora, który był ciężki i ze szkła tzw. „deklansze". Przy czym załatwianie wszelkiej dokumentacji, jak wystawianie "kenkart" rannym, którzy byli w szpitalach, względnie melinach, oraz pisanie «Kroniki» Brygady. Po uroczystości 11 listopada życie toczyło się nadal tak samo, jak poprzednio, prawie co dnia zdarzały się potyczki które¬muś ze szwadronów z rozmaitymi skutkami. Mieliśmy czasami i straty w ludziach, oraz ran¬nych, ale na szczęście na ogół wypadało naszej stronic dość szczęśliwie. Brygada spotykała się w całości tylko na koncentracjach. Na koncentracji dowódcy szwadronów składali szcze¬gółowe sprawozdania z wykonanych zadań i wszystkich wydarzeń z ostatnich chwil, po czym dostawali nowe rozkazy do następnej koncentracji i miejsce następnej koncentracji. A komendant od siebie sam, względnie przez łączników, składał również szczegółowe spra¬wozdanie Komendzie Okręgu.

Po odbytej koncentracji sztab dołączał do któregoś ze szwadronów i wspólnie dzieliło się losy. Natomiast walki z sowiecką partyzantką coraz hardziej przybierały na sile, o czym ko¬mendant donosił Komendzie Okręgu. Jednocześnie nadmieniam, że Sowieci pomimo, że na nas napadali, rozbrajali podstępnie nasze patrole, a w terenie rozsiewali propagandę oświadczając, że my współpracujemy ż Niemcami i jedynie prowadzimy walki tylko z Sowietami, co było ohydnym i bezczelnym kłamstwem. Wobec czego Komendant Okręgu Wileńskiego gen. „Wilk" wydał polecenie „Łupaszce" przygotowania spotkania z dowódcami partyzantki sowieckiej. w celu wyjaśnienia spornych spraw i doprowadzenia do zaprzestania walk po¬między sobą i wzmocnienie wspólnie przeciw Niemcom. W międzyczasie nadarzyła się okazja. W czasie walki z Sowietami zostało wziętych do niewoli dwu jeńców sowieckich. Z przygotowanym pismem przez komendanta jeńców zwolniono. Pismo zawierało propozy¬cję na wspólne spotkanie naszego Dowództwa Okręgu z dowództwem partyzantki sowieckiej tych terenów, na co dostaliśmy przez specjalnego łącznika zgodę. Po dalszych konsultacjach doszło do takiego spotkania, które odbyło się we wsi Syrowatki. W spotkaniu brał udział gen. „Wilk" ze swym sztabem z polskiej strony, ze strony sowieckiej już nie pamiętam, jak się na¬zywał komendant sowieckich oddziałów. Pertraktacje trwały przez cały dzień. Był bardzo ożywiony nastrój, nasze bractwo niezmiernie cieszyło się tym wydarzeniem, gdyż odpadłby jeden wróg, gdyby doszły do skutku pertraktacje. A wspólne walki przeciwko Niemcom by¬łyby o wiele łatwiejsze. Dowództwo nasze postawiło warunek Sowietom uwolnienie „Kmi¬cica" wraz z jego ludźmi, razem zatrzymanymi, oraz zwrócenie zabranej broni w czasie roz¬brojenia Bazy koło Naroczy w określonym terminie. Pertraktacje do tego czasu zostały odro¬czone, natomiast zawieszenie walki miało obowiązywać z obu stron. Do ponownego spotka¬nia doszło, jednak Sowieci zobowiązanego przyrzeczenia nie dotrzymali. Twierdzili, że obe¬cnie to niemożliwe ze względu na operacje frontowe, i prosili o przedłużenie terminu. Przy czym oświadczyli, że zatrzymani zostali przetransportowani do Moskwy dla wyjaśnienia za¬istniałego przypadku. Natomiast z terenu zaczęły nadchodzić meldunki do Komendanta, że sowiecka partyzantka przyrzeczonego zobowiązania nie przestrzega. Zaczęły się zdarzać przypadki porwania naszych żołnierzy. W kilkunastu miejscowościach doszło do walk.

Większe starcie miało miejsce w okolicach wsi Pracuty, gdzie Sowieci napadli nasz nieduży oddział, jednak udało się przy wsparciu innych szwadronów odeprzeć napastników i wziąć do niewoli kilku sowieckich partyzantów, których tak samo jak poprzednio zwolnio¬no z pismem od komendanta, które mieli przekazać swoim dowódcom. Nasze dowództwo z dwoma szwadronami miało postój we wsi Pracuty, reszta szwadronów w pobliskich wsiach. Miejsce

postoju było ściśle strzeżone w ostrym pogotowiu. Około południa nasze po¬sterunki doniosły komendantowi, że z pobliskiego lasu wyłoniła się furmanka z wywieszoną białą płachtą. Po zbliżeniu się do wsi, została pod strażą doprowadzona do zabudowania, któ¬re zajmował komendant. Pasażerowie zostali doprowadzeni do komendanta, przedłożyli pis¬mo od swego dowództwa, że są przedstawicielami dowództwa i mają uprawnienia do prze-prowadzenia porozumienia. Było ich dwu, jeden w mundurze w stopniu kapitana, drugi nato¬miast bez żadnych odznak, który przedstawił się, że jest Lebiediewem, przed wojną pracował jako profesor na uniwersytecie w Leningradzie. Kapitana nazwiska nie pamiętam. Komen¬dant „Łupaszko" pomimo że znał język rosyjski, prowadził rozmowy przez tłumacza: był nim „Maks", który bardzo dobrze znał język rosyjski. Po skromnym przyjęciu przedstawicie¬li, oczywiście zakrapianym miejscowej produkcji samogonem, przystąpiono do rozmów rze¬czowych. My byliśmy bardzo dobrze przygotowani. Komendant ze swoimi dowódcami i tłu¬maczem byli w jednym pokoju, ja natomiast w sąsiednim pokoju obsługiwałem radio, któ¬rym można było nadawać telegramy alfabetem Morse'a, jak również odbierać. W czasie tych rozmów meldował się któryś z dowódców, meldując o nadejściu świeżego szwadronu, pro¬sząc komendanta o wydanie decyzji, gdzie dany szwadron ma być skierowany. To się powta¬rzało kilkakrotnie, a zawsze meldował się inny dowódca. Ja natomiast meldowałem komen¬dantowi z nasłuchu radiowego, że w danej miejscowości nasz oddział donosi przez radio, że zauważył poruszającą się grupę sowieckich partyzantów, co w danym wypadku mają czynić. Pamiętam, że zameldowałem komendantowi, że do miejscowości (już nic pamiętam nazwy) zbliża się grupa sowieckich partyzantów – około 20 ludzi. W tym czasie przedstawiciel do rokowań Lebiediew natychmiast silnie zareagował. Wstał i oświadczył komendantowi "Pro¬szę tej patroli nie przeszkadzać w ich zadaniu, gdyż zostali oni wysłani w celu zdobycia tłu¬szczu gęsiego dla smarowania partyzantom uszu i twarzy, chroniąc przed odmrożeniem", przede wszystkim uszu, gdyż w owym czasie mróz bardzo dawał się we znaki. Przy obsłudze radia chwilami dopomagał mi por. „Rakoczy", który miał doskonale opanowany system w tej dziedzinie, a nie chcieliśmy podpaść. Może znają alfabet Morse'a i zorientują się, że my ich nabieramy. Rokowania przebiegały w bardzo przyjemnej atmosferze i bardzo rzeczowo do tej sprawy podchodził Lebiediew. Natomiast kapitan prawie tam nie brał udziału, ale dużo śpiewał i tańczył "kozaczka". W pewnej chwili Lebiediew oświadczył; "Proszę nie zwracać na niego uwagi, gdyż on został mi przydzielony jako ochrona, a do tego jest to oficer fronto¬wy". Rokowanie zakończyło się prawie o świcie. Między innymi ustalono, że polskie oddzia¬ły nic mogły mieć postoju co najmniej 5 km od kwaterującego oddziału sowieckiego. To sa¬mo zobowiązanie obowiązywało przeciwną stronę. Nie wolno było przemaszerowywać przez miejscowości, w której był zakwaterowany jakiś oddział czy sowiecki, albo nasz. Obie strony obowiązywał ten sam warunek. Do tego w razie zaistniałej większej walki z Niemcami z prze¬ważającymi siłami, mieliśmy udzielać pomocy Sowietom, w przeciwnym przypadku sowiecka partyzantka udzielać miała dla nas. Na czym rokowania zostały zakończone i rozstali się w bardzo przyjaznej atmosferze. Po odejściu komendant bardzo pozytywnie ocenił przedstawiciela w osobie Lebiediewa, jako człowieka stanowczego, rzeczowego i inteligentnego.

Po tych rokowaniach Sowieci przez jakiś czas przestrzegali przyjętego zobowiązania. W międzyczasie mieliśmy kilka potyczek z Niemcami. Natomiast jedna z większych miała miejsce na szosie koło Żodziszek w kierunku Michaliszek. W tym kierunku po koncen¬tracji przemaszerowała cała Brygada, która zamierzała być na nabożeństwie w kościele Żo¬¬dziszkim. Mszę św. miał odprawiać ks. „Ignacy" — Aleksander Grabowski. Podobne nabo¬żeństwo miało już miejsce w tymże kościele, gdzie osobiście usługiwał sam komendant jako ministrant. Do zamierzonego celu nie doszło, ponieważ jeden ze szwadronów napotkał kolu¬mnę niemieckich samochodów z żołnierzami, z którymi zawiązała się walka. Nasz szwadron zajął stanowisko obronne, w międzyczasie dwa szwadrony podążały na pomoc. Niemcy nie spodziewali się takiego obrotu wydarzeń i mieli na uwadze tylko napotkany oddział. Nasi bronili się zawzięcie przeciw nacierającym Niemcom. Pomoc walczącym podciągała jak naj¬szybciej i udało się wykorzystać zarośnięty teren i okrążyć Niemców z jednej i z drugiej stro¬ny. Niemcy byli zaskoczeni, zaczęli uciekać pozostawiając na miejscu walki dużo broni, sa¬mochody, a do tego jedno działko. Po zakończonej walce zabraliśmy broń, potrzebny sprzęt i żywność. Samochody zostały spalone, a działko uszkodzone, po czym wycofaliśmy się do wsi Syrowatki, tak zwanej w owym czasie naszej Warszawy. Ponieważ ta wieś całko¬wicie nam oddana, nawet uczniowie szkolni przestrzegali nas przed zagrażającym niebezpie¬czeństwem. I nie tylko ta wieś nam sprzyjała, odnosili się tak do nas sąsiadujące naokoło osiedla. Gdy nasze oddziały znajdowały się w ich okolicach, wszyscy naokoło mieszkańcy byli na posterunkach i o najmniejszym niebezpieczeństwie byliśmy powiadamiani. I tak wie¬czorem tegoż dnia zameldowano komendantowi, że Niemcy przeprowadzili wywiad, dopytu¬jąc się, co to było za wojsko, które tak było uzbrojone, waleczne i nadzwyczaj zorganizowa¬ne. Po krótkim wypoczynku i rozdzieleniu zdobytej broni pomiędzy szwadronami, rozeszli¬śmy się w teren. W tej akcji strat nie mieliśmy, kilku było lekko rannych.

Nadchodziły Święta Bożego Narodzenia. Okoliczna ludność przygotowała nam prezenty świąteczne. Kobiety wyszykowały rękawiczki, szaliki, nauszniki, bo zima była ostra tego ro¬ku, jak również rozmaite ciastka. A mężczyźni samogon własnej produkcji. Wszystko po¬czątkowo odbywało się szczęśliwie, aż do dnia 23 grudnia. W tym dniu odbywała się odpra¬wa dowódców. Po odprawie „Maks" z „Murzynem" udali się sankami na wskazany punkt w celu odebrania prezentów i tu na początku wsi wpadli w zasadzkę litewską, gdzie został za¬bity „Murzyn". „Maksowi" szczęśliwie udało się wymknąć z zasadzki. Rano zostały przy¬wiezione zwłoki „Murzyna", a nad wieczór odbył się uroczysty pogrzeb. Po złożeniu trumny do grobu w tejże samej chwili „Rakoczy" zwrócił się z prośbą do komendanta o zezwolenie na udanie się do Świra w celu dokonania odwetu na Litwinach za dokonaną zasadzkę, żeby i oni mieli takie święto, jakie nam przygotowali. Na co komendant wyraził zgodę. Wobec cze¬go „Rakoczy" zwrócił się do kolegów, kto zgłosi się na ochotnika do wykonania akcji. Naty¬chmiast zgłosili się „Ćwiartka" i „Kos". Od razu od grobu udali się do wykonania podjętego zadania. Brygada przemaszerowała na świeże miejsce postoju, gdzie z niecierpliwością ocze¬kiwano powrotu „Rakoczego" z kolegami z zadania. Wieczorem, z pojawiającymi się gwiaz¬dami na niebie, zostaliśmy powiadomieni z pierwszych posterunków przez łącznika, że wra¬ca powóz „Rakoczego" z kolegami. Po wysiadce z powozu zameldował komendantowi. ze zadanie zostało wykonane pomyślnie. Pomimo wielkiego smutku, jaki przedtem przeżyliśmy grzebiąc „Murzyna", od tej chwili zapanowała radość ich powitaniem. że wykonali zadanie i wrócili wszyscy zdrowi i cali. Uściskaliśmy ich serdecznie i całowaliśmy bez miłosierdzia. Akcja odbyła się następująco: Po przybyciu do miasta i dojściu do posterunku litewskiego dokładnym rozpoznaniu ich ubezpieczenia, w odpowiednim momencie zastrzelono dwóch policjantów litewskich, zabrano im dokumenty osobiste, a na ich zwłokach zostawiono ko¬pertę z pismem: ."Przygotowaliście nam święto spędzić w smutku, teraz i wy miejcie takie sa¬me, za wcześnie cieszyliście się". I natychmiast wycofali się z miasta. ale jak to na wojnie by¬wa. bywają smutki i szybko następują wesołe chwile. I tak odbyło się tegoż pamiętnego wie¬czora. Po tym spotkaniu z „Rakoczym" komendant zechciał złożyć wizytę wigilijną w każdym ze szwadronów ze swoimi przedstawicielami osobiście. W każdym wizytowanym szwa¬dronie był serdecznie witany. W każdym odśpiewano kolędy, wypito tradycyjnie strzemienny i tak spędziliśmy wieczór wigilijny. Początkowo w smutku i jednocześnie w żołnierskiej we-sołości. Ale jak w życiu bywa, są rozmaite przypadki. i tym razem tak się zdarzyło.

Komendant był zaproszony do złożenia wizyty u naszych przyjaciół w Niedroszli, dokąd udał się z ochroną i przedstawicielami Brygady. Dojechaliśmy szczęśliwie, było to niedaleko od miejsca postoju. Ludność tamtejsza witała nas jak najserdeczniej i z wielkim entuzjazmem. z tą nadzieją, że już wkrótce skończy się czas tej nieszczęsnej okupacji. W cza¬sie tego. tak serdecznego i wesołego przyjęcia raptem wybuchła wprost bomba. „Rysiek", który był w eskorcie komendanta, podszedł do niego i oświadczył w obecności kolegów: "Komendancie, ja mam dzisiaj cię zastrzelić". Komendant był wstrząśnięty tą wiadomością. Wziął go na bok i w cztery oczy chciał się dowiedzieć, co za powód i kto go do tego inspiruje, na co „Rysiek" nie dał żadnej odpowiedzi. Wobec czego został rozbrojony i odtransportowa¬ny na miejsce naszego postoju Brygady i tym wydarzeniem zostało zepsute całe przyjęcie i wesoły nastrój. Przy okazji przedstawię sylwetkę „Ryśka".

Przybył do nas z Warszawy, podobno był w plutonie wykonawczym KDW. Po spa¬leniu konspiracyjnym wyszedł w teren i tak dotarł aż do naszej Brygady. Przy czym nadmieniam, że „Rysiek" już poprzednio był skazany przez sąd naszej Brygady na karę śmierci za nieludzkie obchodzenie się z ludnością w terenie. Były wypadki, że „Rysiek" strzelał do ludzi zauważonych na horyzoncie, były sprawdzone wypadki śmiertelne. Wyrok zawieszono tylko dlatego, że „Kitek" wziął go na swoją własną odpowiedzialność. Uważał, że może uda mu się jeszcze wyprowadzić go na porządnego człowieka, ale niestety zawiódł się na nim, co później okazało się i jakie zaistniały fakty. Ponownie, w trybie przyśpieszonym, został powo¬łany sąd wybrany z członków Brygady, składający się z oficerów, podoficerów i szeregow¬ców. Raz jeszcze została rozpatrzona sprawa „Ryśka" i po dokładnym przeanalizowaniu ca¬łego przebiegu wykroczeń, został podtrzymany w mocy wyrok skazujący poprzednio wyda¬ny, który został wykonany w wsi Pracuty i tam „Rysiek" został pogrzebany. Był to wielki wstrząs w Brygadzie, który wszyscy przeżyliśmy, ale trudno się mówi, wypadki cho¬dzą po ludziach.

W grudniu mieliśmy taki przypadek. Nasi żołnierze zauważyli przechodzącą kobietę, któ¬rej ogólny widok wzbudzał podejrzenie, i zatrzymali ją, po czym doprowadzali do dowódcy. Po przeprowadzonej rozmowie okazało się, że jest lekarzem i udało się jej zbiec z obozu je¬nieckiego. Zaproponowała swoje usługi, że zgadza się zostać u nas, i będzie udzielała pomo¬cy w swoim zawodzie. Komendant wyraził zgodę. Był tylko problem, do którego szwadronu ją przydzielić, na co „Zapora" oświadczył, że dokładnie zna język rosyjski i chętnie ją przyj¬mie do siebie, i została przydzielona do „Zapory". Będąc w naszej Brygadzie udzielała po¬mocy chorym, opatrywała rannych, a czasami udzielała pomocy ludności cywilnej, jak rów¬nież odbierała porody. Pomimo wszystko nic ufano jej zanadto. Wobec czego komendant za¬wsze przydzielał do szwadronu „Zapory" zaufanego człowieka bez wiedzy „Zapory". Pew¬nego razu zgłosił się mieszkaniec ze wsi z prośbą, żeby nasz lekarz udzielił pomocy choremu, na co wyrażono zgodę. Lekarka udała się do chorego, w drodze powrotnej umknęła naszym patrolom. Krótko mówiąc, nawiała do pobliskiej wsi, gdzie stacjonowały sowieckie patrole. Najprawdopodobniej było to wszystko zaplanowane wspólnie z „Zaporą". Najpierw nie przykładano do tego większej wagi, ponieważ była Rosjanką i do swoich dołączyła. Nato¬miast nad „Zaporą" została zwiększona czujność, w czym on się całkowicie nie orientował. Był do tego delegowany „Bohun", który go zastrzelił. W jakich okolicznościach, tego do¬kładnie nie wiem. Były rozmaite wersje, o których słyszałem: Pewnego razu miał postój szwadron „Zapory" w zabudowaniach zalesionych. Korzystając z tych okoliczności i terenu, „Zapora" zaczął oddalać się od szwadronu niby dla zbadania terenu, a później zaczął uciekać w zarośla i w tym czasie „Bohun" go zastrzelił. Że „Zapora" miał powiązania z sowiecką partyzantką, to stwierdzam na pewno, jeszcze z Brasławszczyzny. I tak straciliśmy lekarza, a „Zapora" zakończył karierę w naszej Brygadzie, a „Bohun" po tym fakcie doprowadził szwadron na miejsce koncentracji.

Miały miejsce także spotkania naszej Brygady z innymi Brygadami z terenów Wileńsz¬czyzny i Nowogródczyzny. Pierwsze takie spotkanie odbyło się z 3. Brygadą pod dowó¬dztwem „Szczerbca" (Fróga). Było to spotkanie dość skomplikowane. Nasza Brygada miała rozkaz ostrego pogotowia. Myśmy się w niczym nie orientowali, o co chodziło. Spotkanie komendantów doszło do skutku, trwało kilka godzin, po czym zostało zakończone i komendan¬ci rozeszli się w przyjaznej atmosferze, po pożegnaniu 3. Brygady, która udała się w swoje wyznaczone tereny. Nasza natomiast została ustawiona szwadronami, a komendant oświad¬czył, co następuje: "przed chwilą pożegnałem kolegę, który namawiał mnie, ażeby nasza Brygada przystąpiła do pewnego zgrupowania politycznego i je reprezentowała, na co ja nie wyraziłem zgody. Oświadczyłem również mu, żeby postąpił w taki sam sposób. Dzisiaj, kie¬dy jesteśmy okupowani i Polacy walczą prawie na wszystkich frontach świata o wolność oj-czyzny, a my już mamy tworzyć rozłam w narodzie. Jesteśmy żołnierzami Armii Krajowej i będziemy walczyć do ostatka pod rozkazami naszego Rządu Emigracyjnego, a gdy wygra¬my wojnę i naród nasz będzie wolny, sam wybierze dobrowolnie rząd, który będzie nam prze¬wodził. A nasze miejsce będzie w armii Wojska Polskiego, które ma strzec naszych granic i porządku w Państwie". Po tym oświadczeniu szwadrony rozeszły się do swych zadań w te-renie. Jednocześnie nadmieniam, że na terenach Wileńszczyzny i Nowogródczyzny nie ist¬niały żadne oddziały poza AK, którymi dowodził generał „Wilk" – Krzyżanowski.

Miały miejsce jeszcze spotkania z innymi Brygadami w terenie, jak I Brygadą, którą do¬wodził "Jurand" kpt. Czesław Grombczewski (który zginął przy zdobywaniu Wilna). Spotkali¬śmy również Brygadę przybyłą z okolic Warszawy UBK, którego d-cą był Bole-

sław Piasecki. Oddział ten był silnie uzbrojona i dzielnie spisywała się w terenie. Oraz z VI Brygadą pod do-wództwem „Konara", z którą spotkaliśmy się parokrotnie i to w bardzo miłej atmosferze. W pierwszej kolejności odwiedził nasz sztab kpt. „Tońko" – Adam Boryczko. Dowództwo nasze bardzo serdecznie go powitało, a do tego spotkał swego kolegę w naszej brygadzie, por. „Rakoczego", ho obydwaj byli spadochroniarzami z ".cichociemnych" zrzuconych do kraju z Anglii. Wspaniale wyglądał, wszystkich prawie zachwycał swoim wyglądem, dowcipem i wiedzą bojową. Jego odjazd serdecznie żegnała nasza Brygada. W niedługim czasie mieli¬śmy złożyć wizytę w ich Brygadzie. Odbyło się to gdzieś w okolicy wsi Martyszuny. Przy¬jęcie odbyło się w serdecznej atmosferze, którą do dziś pamiętam.

Kilka razy wizytował naszą Brygadę gen. „Wilk". Najlepiej pamiętam tę, która odbyła się we wsi Syrowatki. Brygada była przyzwoicie przygotowana, jak na warunki leśne. Zo¬stała uformowana w czworoboku, oczekując na przybyciu generała. Generał przybył w oto¬czeniu swoich oficerów, tu powitał go komendant „Łupaszka", który złożył raport o stanic Brygady. Całość stała na "prezentuj broń", po czym Generał lustrował Brygadę, a następnie ją powitał, na co odpowiedzieliśmy donośnym głosem. Następnie odbyły się promocje, kilku kolegom nadano stopnie oficerskie i podoficerskie, w którym to czasie „Maksa" i mnie, tj. „Orszaka" awansowano do stopnia plutonowego. Przy tej okazji miałem szczęście uścisnąć dłoń generała „Wilka". Potem Generał od nas odjechał przy ubezpieczeniu naszych szwadro¬nów w bezpieczne miejsce.

Kilka razy odwiedził naszą Brygadę pułkownik „Dąbek" – Radzikowski, ze sztabu gen. „Wilka", który miał w zwyczaju interesować się żołnierzami, ich przeżyciami okupacyjnymi, skąd pochodzą. Rozmawiał również ze mną; gdy mu powiedziałem o sobie, oświadczył, że on też pochodzi z moich stron, a ten inżynier, który się mną zaopiekował, to jego rodzony brat – Kazimierz. Od tej chwili, kiedy odwiedzał Brygadę, zawsze kilka minut rozmawiał ze mną. Po tych przeżyciach życie wracało do normy.

W dniu 30 stycznia 1944 r. Brygada dotarła do wsi Worziany na koncentrację. We wsi Worziany zakwaterował się w środku sztab, z jednej strony szwadron spieszony, zaś z drugiej strony szwadron konny pod dowództwem „Dornika". Pozostałe szwadrony zakwaterowały się w pobliskich miejscowościach, niedaleko od Worzian. Rano 31. stycznia zjawili się dowódcy szwadronów na odprawę, był przedstawiciel Komendy Okręgu major „Węgielny".

W pierwszej chwili wszystko toczyło się normalnie. Na początku odprawy zostałem wy¬słany przez Komendanta do adiutanta „Ronina", który nic brał udziału w odprawie. a zajmo¬wał sąsiedni dom. Nie chciał oficjalnie pokazywać się przed tamtejszą ludnością, dlatego, że jego rodzony brat był w pobliskiej parafii proboszczem, którego przez swoją osobę nie chciał narażać na nieprzewidziane konsekwencje. Od „Ronina" wróciłem do Komendanta i po zda¬niu relacji od „Ronina" zostałem wysłany do pierwszego szwadronu w celu doprowadzenia „Podbipięty"– Chojeckiego, który miał pozostać przy pierwszym szwadronie. Jak wróciłem, odprawa już dobiegała końca, w międzyczasie Komendant zwrócił się do mnie tymi słowy: „Orszak, skocz do gospodarza, może on ma coś w płynie, bo jak przysłowie staropolskie głosi: Jak Polacy się rozchodzili, to po jednym wypili". Ale do tego nie doszło, gdyż w mię¬dzyczasie rozległa się strzelanina na zewnątrz domu. Komendant natychmiast dał rozkaz: „Każdy z dowódców natychmiast dołączy do swoich szwadronów i z miejsca podciągnąć w całości do pola walki". Zaś sam wyskoczył z mieszkania udając się nie na ulicę wsi, ale po¬między zabudowaniami na pole. Za nim podążali mjr „Węgielny", „Lalka" i ja, i wszyscy żołnierze, co byli w pobliżu. Tu zobaczyłem, że walka toczy się zawzięta. Już byli w akcji ka¬walerzyści i szwadron spieszony, który zdążył już wyprzeć ze wsi Niemców, którzy na po¬czątku zaskoczyli byli nasz szwadron.

Kawalerzystów łatwo było odróżnić po czapkach, gdyż w owym czasie nosili pokryte białym królikiem tzw. papachy. Myśmy posuwali się do przodu. W międzyczasie rozległ się donośny głos komendanta, który wydał rozkaz wszy¬stkim do ataku. Znaleźliśmy się w bardzo silnym ogniu, tuż przede mną padł „Witia", za nim podążał „Mikołaj" krzycząc: "Za Witiu, za Witiu" i sam padł również. Byli to sowieccy par¬tyzanci, którzy dołączyli do naszej Brygady. Myśmy zajęli stanowiska, „Lalka" dostała post¬rzał w rękę. W tym czasie zauważyłem, że mjr „Węgielny" stoi. Krzyknąłem do niego: „Pa¬nie majorze, padnij!" Być może tym uratowałem mu życie albo kalectwo.

Walka była okrut¬na. Na początku nie można się było zorientować, gdzie nasze oddziały. a gdzie niemieckie. Walczyli wprost wręcz. W międzyczasie Niemcy zajęli silne stanowisko i nas atakowali, myśmy je zawzięcie odpierali, była wprost rzeź i z każdą chwilą przybierała na sile. I tu niespo¬dziewanie nadeszło wybawienie. Na horyzoncie lasów zaczęły się wyłaniać z kilku stron W rozwiniętej tyralierze nasze szwadrony „Maksa", „Kitka", „Czarnego" i inne. Niemcy na ten widok zbaranieli, zostali otoczeni ze wszystkich stron i wycofywali się na otwarty teren. Strzelali nasi żołnierze do nich jak do kaczek w okrążonym stawie. Teren walki został całko¬wicie opanowany, broniło się tylko gniazdo ukryte w zagajniku i to oni wyrządzili nam naj¬większe straty. Myśmy zaczęli się czołgać w kierunku tego zagajnika, gdy doczołgaliśmy się do drogi prowadzącej od Brukaniszek do Worzian, tu niesamowicie zostaliśmy ostrze¬lani z tego gniazda z broni maszynowej. Był razem ze mną komendant, ks. Ignacy, „Lalka". Ogień był tak okropny, że ja wprost przylgnąłem do ziemi, do której wprost wrosłem. Byłem oszołomiony. W tym czasie usłyszałem głos komendanta, który przemówił w te słowa: „Co, dostałeś?" Ja w pierwszej chwili odpowiedziałem, że nie wiem. ale po dojściu do siebie, po¬wiedziałem, że nie. Na to komendant: „A ja dostałem w rękę". W tym czasie oddał mi swój "empi" i granaty mówiąc do mnie: „A teraz czołgaj się w kierunku tego gniazda, za wszelką cenę musisz go unieszkodliwić". „Lalka" w tym czasie pomimo ostrzału zajęła się opatrun¬kiem komendanta, a ja zacząłem czołgać się w stronę ostrzeliwującego nas gniazda. Tuż przed zaroślami pierwszego spotkałem „Nieczuję", z którym wspólnie szukaliśmy odpo¬wiedniego stanowiska. W międzyczasie napotkaliśmy „Janosika", rodzonego brata „Nieczui", który był już na stanowisku, i kilku innych kolegów. „Nieczuja" zwrócił się do niego z ostrzeżeniem: „Pamiętaj, "Janosik", bądź ostrożny!"

Zostawiliśmy go na swoim miejscu, a „Nieczuja" i ja czołgaliśmy się dalej, szukając odpowiedniego miejsca, którego w zaroślach nie można było znaleźć, tak dobrze byli zamaskowani. Wobec czego zaczęliśmy rzucać gra¬naty w tym kierunku. W ten sposób: podnosiło się z ukrycia. rzucało granaty i padało w ukry¬cie. Podobnie kilku innych kolegów postępowało. Po jakimś czasie strzelanina z ich strony ucichła, który z nas wykończył to gniazdo, tego nikt nie wie. Następnie, gdy gniazdo ucichło, ostrożnie zbadaliśmy ich stanowisko, które zostało doszczętnie zlikwidowane. „Nieczuja" w tym roztargnieniu nie odczuwał, że był ranny, na szczęście lekko w pośladek. Wracając. doszliśmy do miejsca zajmowanego przez „Janosika". którego zastaliśmy nieżyjącego: dostał postrzał w usta. Po tej akcji wróciłem z powrotem do komendanta, któremu szczegółowo zdałem relację. Komendant oświadczył: "Wszystko widziałem", przy czym nadmieniam, że nikt w walce w Worzianach nie dowodził. Na początku akcji tylko komendant „Łupaszko" wezwał całość Brygady do ataku na wroga, zaś dalsze posunięcia przeprowadzali sami do¬wódcy szwadronów swoimi oddziałami. Po tym wszystkim strzały ze wszystkich stron ucichły, szwadrony zaczęły się łączyć między sobą, widać było, że walka dobiegła końca. Wów¬czas komendant kazał mi wystrzelić białą rakietę na znak skończonej walki. W tym czasie już ks. Ignacy obchodził pobojowisko, udzielając ostatniego namaszczenia rannym i udzielając błogosławieństwa zmarłym. Sanitariuszki z wielkim poświęceniem robiły opatrunki kole¬gom, którzy jeszcze żyli, lżej rannych ładowano na przygotowane furmanki, po czym komen¬dant udał się na pobojowisko. Było to bardzo smutne, zabici i ranni co parę kroków. Każdego zabitego żegnał ze łzami w oczach słowami: "Moi kochani żołnierze, najbliżsi przyjaciele, tyle wspólnie przeżyliśmy nieszczęść i poniewierki. a dziś was muszę porzucić. Niech Was Najświętszy Bóg błogosławi". A rannym powiedział: "Koledzy, szybko wróci¬cie do zdrowia jeszcze dostaną od nas zasłużoną karę wrogowie". W tym rozżalonym nastroju doszedł do „Czubczyka" i „Hermesa", uścisnął ich serdecznie za ręce, mówiąc: "Już im nic nie pomoże, są w agonii", i w takim rozżaleniu doszedł do jeńców niemieckich. Gdy ich zobaczył, kazał natychmiast rozstrzelać te zwyrodniałe zbiry, za wszystkie wyrządzone krzywdy Ojczyźnie naszej i nam. Rozkaz komendanta natychmiast został wykonany. W międzyczasie segrego¬wano zdobytą broń, a było tego bardzo dużo: kilka erkaemów, jeden cekaem, karabiny ręcz¬ne, granaty, amunicja, krótka broń. Odchodząc od miejsca egzekucji, komendant jeszcze wię¬cej był załamany, powiedział: "Jeszcze nigdy nie wydałem takiego rozkazu i jestem przeciw¬nikiem takich posunięć, ale tu, po obejrzeniu pobojowiska i wiadomościach, co robią z na¬szym narodem w kraju. zmusiłem się wydać taki rozkaz i żeby on był ostatni". W tym czasie został wykopany duży dół, gdzie zostały złożone ciała zabitych, owiniętych w prześcieradła, tam ich wspólnie pogrzebano.

Już zapadał zimowy zmierzch, gdy opuszczaliśmy Worziany. Spieszyliśmy się w obawie nadciągnięcia większych ugrupowań niemieckich. Wyruszyliśmy w stronę te¬renów działań partyzantki sowieckiej, która w nagłych wypadkach miała udzielać nam pomocy, albo my dla nich – według ostatnio zawartej umowy. Wieźliśmy na wozach ok. 10 ciężko rannych, z których 4 nam zmarło i zostało pochowanych w Turowiu Wielkim. Trumny zostały ułożone w tej kolejności obok krzyża: „Fiat", „Hermes", „Czubczyk" i „Tajoj". Po pożegnaniu kolegów salwą honorową udaliśmy się w dalszą drogę. W tej tak ciężkiej walce zginęło z naszej strony 19 kolegów, a Niemców ponad 80. I jeszcze mieszkańcy opowiadali, że co jakiś czas znajdowano po jednemu trupy w zaroślach i okoli-cach Worzian. Posuwaliśmy się bardzo ostrożnie, ponieważ nasi szperacze zauważyli jakieś podejrzane ruchy w okolicach naszego szlaku. Następnie zauważono zaginięcie straży tylnej, co zlekce¬ważono początkowo, przypuszczając, że po przeżyciu tak ciężkiej walki może nic dopisały nerwy i opuścili oddział po kryjomu. Wzmocniliśmy jeszcze ostrożność i tak doszliśmy do wsi Radziusze, a było to 1. lutego 1944 r.

We Wsi Radziusze zatrzymał się sztab, szwadron „Kitka" i kawaleria. Pozostałe szwadrony zakwaterowały się w pobliskich miejscowościach, a komendant z rannymi zatrzy¬mał się w Niedroszli, skąd mieli być przetransportowani przez rzeczkę i dowiezieni do naszych szpitali w terenie. Po zaginięciu ubezpieczenia tylnego została zmobilizowana nad¬zwyczaj na ostrożność na każdym odcinku. Posterunki zostały wzmocnione. Rano zauważono podejrzane przesuwanie się w oddali sowieckich oddziałów, co wzbudziło jeszcze większe podejrzenie z naszej strony. Rano zgłosiło się dwu sowieckich przedstawicieli z propozycją odbycia spotkania ich sztabu z komendantem na wyznaczonym terenie. Ruch z każdą chwilą się wzmagał po ich stronie w zajmowanym lesie, u nas było ostre pogotowie, byliśmy przygotowani na wszelkie niespodzianki. „Kitek" od wczesnych godzin porannych łaził bez prze¬rwy od posterunku do posterunku. Miał przygotowane stanowisko ogniowe przez siebie ob¬rane, gdzie był ustawiony cekaem zdobyty w Worzianach, który został mu przydzielony. W międzyczasie wpadł do mnie i zwrócił się tymi słowy: "Orszak, czy masz coś wypić, bo wiesz, ja coś wyczuwam, a jestem nieomylny". Miałem trochę wódki w kanistrze po wizycie W gorzelni. Postawiłem przed nim dość spory kubeł, do którego serdecznie się przyłożył. Wy¬pił część z tego, a resztę kazał mi dokończyć. Odchodząc powiedział mi: "Dziękuję, dziś mi tego brakowało. a teraz znacznie lepiej się czuję i idę na swoje miejsce". A było to 2 lutego 1944 r. na Matkę Boską Gromniczną.

Ja w tym czasie otrzymałem polecenie zabrać dokumenty in blanco i udać się do Niedroszli dla wypisania rannym kolegom. Rozkaz przekazało dwu kolegów, którzy przyszli specjalnie. Udałem się natychmiast do komendanta, nie drogą, która prowadziła ze wsi, ale na wprost przez pala, a koledzy, którzy mnie powiadomili, wracali drogą. Na miejsce postoju nie dotarli w tym dniu, zostali zwinięci przez straż sowiecką. Jeden z nich po kilku tygodniach wrócił. Twierdził, że uciekł od Sowietów i opowiadał dokładnie, jak się to odbyło, zaś o dru¬gim słuch zaginął, tak jako tylnej straży, co zaginęła w drodze do Radziusz. Odjeżdża¬jąc, wóz nasz przekazałem w opiekę kolegi „Franka", którym zawsze powoził i przeważnie się opiekował. Były tam rozmaite drobnostki pierwszej potrzeby oraz aparat fotograficzny z kli¬szami i radio. Po przybyciu na miejsce wypisałem dokumenty rannym kolegom. Widziałem również, że tam się przeprawił mjr „Węgielny", którego nie widziałem od chwili przestrogi w Worzianach. W tejże samej chwili, kiedy z ostatnimi rannymi kolegami łódź dobijała do brzegu, usłyszeliśmy coś strasznego z kierunku Radziusze.

Raptem zawrzała straszna zbiorowa strzelanina, połączona z wyciem, krzykiem i piskiem. Coś podobnego, jak żyję, jeszcze nie słyszałem. Do dziś, jak zamknę oczy i wrócę myślami do tamtej chwili, odczuwam to wydarzenie. Jak zaznaczyłem, poprzednio stacjonował tam szwadron „Kitka", a opodal szwadron kawalerii. Cała ta zgraja bezpośrednio całą swą potęgą zaatakowała szwadron „Kitka". W tej tak silnej wrzawie usłyszeliśmy miałkliwe dudnienie cekaemu, który miał w swoim posiadaniu „Kitek". Były to strzały dość długich serii oraz wybuchy granatów i strzelanina. W popłochu przyleciało w naszym kierunku kilka koni oraz kilkunastu żołnierzy, między innymi kolega „Franko", który miał w opiece wóz. Oświadczył komendantowi, że „Kitek" ze szwadronem zawzięcie broni się przed atakiem. Po niejakimś czasie serie cekaemu co chwila były krótsze, aż całkiem zamilkły. W tym czasie wszyscy

przypuszczaliśmy, że „Kitek" ze swoim oddziałem został doszczętnie rozbity albo trafił do niewoli. Wobec czego komendant kazał mi wystrzelić trzy czerwone rakiety, czym dawało się znać, że o ile ktoś jeszcze żyje, niech się wycofuje w naszym kierunku, takie hasło było umó¬wione. Po wystrzeleniu rakiet w krótkim czasie ustała strzelanina od strony wroga i całkiem ucichły hałasy, piski i wrzawa. Żołnierze ranni zostali załadowani na furmanki i odjechali na nasze punkty szpitalne w terenie. My zaś, co byliśmy na miejscu, z którego dc) nas dołączyli, wyruszyliśmy na inne bezpieczniejsze miejsce postoju. Byliśmy bardzo zaniepokojeni o losy „Kitka" i jego ludzi. Na drugi dzień komendant wysłał szwadron „Maksa" w okolice Radziusz w celu zorientowania się we wczorajszej walec, i może coś się da dowiedzieć o lo¬sach „Kitka" i jego szwadronu. "Maksowi" udało się ze szwadronu dojść aż na miejsce, gdzie odbywała się wczoraj walka. Po przybyciu na pobojowisko stwierdził, że teren, gdzie toczyła się walka, wyglądał strasznie, nic były jeszcze zabrane trupy sowieckich żołnierzy, w nie¬ładzie porozwalany sprzęt. Sowietów zginęło bardzo dużo, gdyż oni napierali grupowo stłoczeni jeden przy drugim. uważali, że zniszczą nas takim zaskoczeniem masą, „Kitek" ich wycinał ze swego cekaemu do ostatniego naboju. Na miejscu nikogo nie zastał. Lud¬ność tamtejsza opowiadała „Maksowi", że Sowieci bez przerwy nacierali na nasze od¬działy do chwili pojawienia się na horyzoncie czerwonych rakiet. W tym czasie w so¬wieckich oddziałach powstało zamieszanie, słychać było krzyki, nawoływanie, przerwa¬no natarcie i zaczęli pospiesznie opuszczać teren walki, zostawiając wszystko w nieła¬dzie po sobie w obawie, że dla „Kitka" nadciąga na pomoc silne wsparcie „Kitek" rów¬nież w tym czasie zostawił cekaem, ho już nic miał amunicji i przeszedł ze swymi ludźmi w kierunku rzeczki. Z braku łodzi przeprawili się wpław. W drodze powrotnej „Maks" dowiedział się, że „Kitek" stacjonuje ze swoim szwadronem w sąsiednich wsiach, gdzie doprowadzają się do jakiego porządku po tak ciężkiej przeprawie. Po paru dniach „Kitek" te swoim szwadronem zameldował się przed komendantem zdrów i cały. Po czym podał szczegółowy raport z odbytej walki. Bronił się ze swoim szwadronem prawie do ostatnie¬go naboju, po czym wycofał się za rzeczkę wpław ze swoimi ludźmi. Na szczęście było nieźle: jeden dostał się do niewoli, jednego zabito. a jeden się utopił przy przeprawie. Straty w sprzęcie były znaczne, z czego część utonęła przy przeprawie. Kilka koni rów¬nież się utopiło Widii iłem tu na własne oczy, jak konie wystraszone samorzutnie wpada¬ły cło rzeczki, której skarpa po przeciwnej stronie była dość stroma. Po dopłynięciu do skarpy usiłowały się na nią wdrapać, skąd odpadały i w nurcie kończyły swoje życie.

Tak przedstawiały się wydarzenia, które przeżyliśmy w Radziuszach. Wyjaśniło się ostatecz¬nie, jak Sowieci dotrzymali swoje umowne zobowiązanie w stosunku do nas. Liczyli na nasze znużenie i straty w walce z Niemcami. i przypuszczali, że teraz nadeszła sprzyja¬ca okazja wykończyć na do reszty. Na szczęście okazały się złudne ich przypuszcze¬nia. Co prawda ponieśliśmy znaczne straty w ludziach, broni i sprzęcie, ale po przeszere¬gowaniu Brygada w krótkim czasie wróciła do całkowitej normy i od tej chwili już nie wierzono Sowietom i nie przystąpiono do żadnych rokowań. Walczyliśmy z nimi przy każdym najmniejszym zetknięciu, a "Kitek" w ich pojęciu okazał się największym strachem. Gdy tylko ktoś doniósł, że zbliża się oddział "Kitka", nawiewali w popłochu, krzycząc : „Udiraj, idiet "Kitok".

Po paru tygodniach rzekomego odpoczynku udaliśmy się ponownie do Worzian dla przyzwoitego pochowania poległych na polu walki kolegów. Każdy szwadron miał wyzna¬czone swoje zadanie w tym kierunku, i tak jedni przygotowali teren cmentarza, inni kopali doły, reszta przygotowywała trumny, każdy z nas miał swoje zadanie. „Jarek" przygotował tabliczki do krzyży, na których wypalał stopień i pseudonim poległego kolegi. Ks. Ignacy i ja zbieraliśmy dane poległego: imię i nazwisko, rok urodzenia itd., potem pisaliśmy na kartce papieru coś w rodzaju metryczki, które zostały włożone do buteleczek, które zalakowano. Przy składaniu do trumny wspomniane buteleczki wkładaliśmy pod głowę. Nie wszystkich poległych udało się zebrać personalia, gdyż byli niektórzy koledzy z nieznanych stron. Wśród tych, którzy zginęli wtedy. pamiętam i widzę w swojej wyobraźni: mjr „Dornik", „Czarny", „Budzik", „Sokół", „Szpak", „Rekin", „Słowik", „Ćwiartka". „Janosik". „Chochlik", „Dzię¬cioł" i dwu Sowietów „Mikołaj" i „Witia", oraz „Fiat", „Hermes", „Czubczyk" i „Tajoj", którzy w drodze z Worzian do Turowa Wielkiego zmarli i zostali pochowani w tej miejsco¬wości. A Niemców naliczono 80, nie licząc tych, którzy zmarli opodal, potem ich odwieźli do Wilna, ale mieszkańcy opowiadali, że jeszcze w lecie znajdowali trupy Niemców w pobli-skich lasach. Każdego z naszych kolegów wydobyto z grobu, pochowano w trumnie, po czyni ks. Ignacy odprawił ostatnie posługi, a komendant pożegnał ostatnim przemówieniem, gdzie nadmienił i zasługi oddane dla ojczyzny. Tę tak smutną naszą uroczystość zakończono salwą honorową, po czym szwadrony udały się na wyznaczone zadania.

W terenie doszła do nas wiadomość pierwsza, że Sowieci zorganizowali dwa oddziały po kilkunastu żołnierzy przebranych w polskie mundury, a do tego biegle władających językiem polskim. Celem ich było włączyć się w nasz szwadron po kryjomu, niby to Polacy, którzy przybyli z innych terenów, a w czasie walki z Niemcami zostali rozproszeni w terenie. Od tej chwili „Łupaszko" miał się na baczności i bez ochrony osobistej nie poruszał się ani na krok, a w szwadronach przybrano nadzwyczajną czujność. Druga natomiast, też wstrząsająca, wiadomość, że Sowieci zaczęli prześladować polskie rodziny współpracujące z nami, o których tylko jak się dowiedzieli, zabierali mężczyzn, krę¬powali drutem i wywozili ze sobą w nieznanym kierunku, po których później ślad zaginął, al¬bo zabijali na miejscu. Wobec powyżej opisanych wydarzeń, Brygada posuwała się w tereny zagrożone przez Sowietów w kierunku Jasienia.

Brygada prawie w całości przybyła do Jasienia na postój, daty nie pamiętam, ale nie było dużej odległości od walki w Radziuszach. Część patroli była wysłana w teren dla zaciągnięcia informacji o sowieckich zgrupowaniach: patrole te miały dołączyć w Jasieniu. Pamiętam, jak pierwszy wrócił ".Sasza" ze swoją drużyną z patrolu, to on przyniósł pier¬wszą wiadomość o zajściach w Niedoszli. Stwierdzili w terenie, że silne zgrupowania Sowietów znajdują się w tych oko¬licach; do nich dołączyły nowe sowieckie zgrupowania przybyłe ze wschodu na wsparcie. Niektóre nasze patrole w drodze powrotnej były ostrzelane, jak również w nocy ostrzelano dwa posterunki. Zarządzono alarm bojowy i wszystkie nieprzyjacielskie skradające się ataki zostały odparte. O świcie w celu dokładnego zorientowania się w naszym położeniu, został wysłany przez komendanta "Maks" ze swoim szwadronem w kierunku poprzednio wycofujących się Sowietów. W krótkim czasie dobiegły nas słuchy silnego ognia z tego miejsca, gdzie udał się „Maks" z oddziałem. Dla wsparcia „Maksa" został skierowany szwadron ka¬walerii pod dowództwem "Ola", którego widzę dziś, jak szarżował ze swoim szwadronem na wroga. Słychać było, że rozgorzała walka zawzięta. Na miejsce walki wszyscy ruszyliśmy, z wyjątkiem "Kitka", który był chory, prawie nie mógł chodzić. Z „Kitkiem" zo-stało kilkunastu chorych i rannych żołnierzy, a walka toczyła się bardzo zacięta w terenie lasu od Jasienia. W czasie walki „Łupaszka" kazał mi ściągnąć wszystkich, wraz z. „Kit¬kiem" na miejsce walki. Z miejsca ruszyłem na koniu w kierunku miejsca zakwaterowania „Kitka". Po przejechaniu kilkuset metrów zostałem silnie ostrzelany przez partyzantów so¬wieckich, którzy byli ukryci z boku za naszymi oddziałami. Cudem uszedłem; po niejakim czasie po walce zauważyłem, że wierzchem mam przestrzeloną czapkę, którą jak talizman nosiłem ze sobą na pamiątkę. Zostawiłem ją w Wilnie u pana Jana, do którego mnie w swoim czasie był zaprowadził "Nieczuja". który był jego znajomym. a mnie przez kilka dni udzielał schronienia, ale niestety, kiedy się po nią zgłosiłem, co opiszę później, okazało się niemożliwe. Mieszkanie było zamknięte, a pan Jan aresztowany i jest na Łukiszkach, o czym poinformowali mnie sąsiedzi pana Jana. Co do pana Jana, zajmował stanowisko woźnego, ale jak opowiadał mi pan Trzebski, ojciec „Nieczui", i sam pan Jan, miał dwu synów w stopniu kapitana, którzy byli oficerami zawodowymi WP i obaj znajdują się na Zachodzie. O dalszym losie p. Jana nie wiem, pamiętani, że mieszkał gdzieś blisko ul. Mickiewicza.

Z oddziałem „Kitka" nic dotarliśmy na miejsce walki, ho w drodze spotkaliśmy naszą Brygadę, która wracała na miejsce postoju w Jasieniu. Po krótkim postoju ruszyliśmy w dalszą drogę, gdyż nie mogliśmy prowadzić dalszej walki z powodu braku amunicji, której mieliśmy tylko na własną obronę. Pamiętam, byliśmy dokładnie wyczerpani nerwowo, zmę¬czeni. głodni, kiedy opuszczaliśmy tamte tereny. We wsiach, które przekraczaliśmy, ludność stała obok drogi z koszykami czy wiadrami napełnionymi chlebem, jajami i innymi produkta¬mi żywnościowymi. a byliśmy bardzo słabi z braku amunicji przede wszystkim, a nawet i broni. wobec przeciwników. Serdecznie nas żegnano z żalem, gdyż nie mogliśmy im udzie¬lić żadnej pomocy w ich nieszczęściu.

Podążaliśmy w okolice Wilna, tam mieliśmy zaopatrzyć się w brakujący sprzęt, który straciliśmy w Radziuszach, jak lekarstwa. a przede wszystkim amunicję. Z tego po¬wodu został pominięty kolega „Pirat", rodzony brat „Kici", którego znaleźli po walce mieszkańcy tamtych okolic nie żyjącego i bardzo zmasakrowanego. Widać było po zwłokach, że był przed śmiercią okropnie męczony. Miał kończyny rąk i nóg połamane, oczy wydłubane i ucięty język. Z tego wszystkiego widać było, jak Sowieci postępowali z naszymi jeńcami, a pamiętam go jak wieczorem przed akcją był przed naszą chałupą wesoły, grał na gitarze i ślicznie śpiewał. Nie przypuszczał biedaczysko. że to była jego ostatnia chwila ży¬cia, byliśmy zachwyceni jego popisem. Wszyscy go szanowali nie tylko w szwadronie kawa¬lerii, w której był, ale w całej Brygadzie. I tak zakończyły się nasze przeżycia w okolicach Jasienia. Po tej walce w Brygadzie odczuwaliśmy silne zmęczenie.

Po tych ciężkich walkach w tak krótkim czasie i braku amunicji komendant nawiązał łą¬czność z sąsiednimi Brygadami znajdującymi się w pobliżu, które jednocześnie powiadomił o przybyciu w te tereny silnych zgrupowali sowieckiej partyzantki. Nasza Brygada w porozumieniu z innymi Brygadami udała się w okolice W i In a w ce¬lu zdobycia broni i sprzętu medycznego na placówkach niemieckich. W pierwszym okresie akcje były udane, strat nie mieliśmy, zdobyliśmy dużo broni i sprzętu, ale w jednej akcji w leśnictwie, które zdobywaliśmy, został zabity „Waligóra" pod domem leśnictwa. Był to nieodżałowany kolega, stary partyzant jeszcze z czasów „Kmicica". Ja w międzyczasie zo¬stałem odesłany do Wilna, gdzie miałem przejść operację przepukliny, która niezmiernie mi dokuczała w czasie marszów, a Brygada nasza w towarzystwie innych Brygad udała się na tereny zajęte przez partyzantkę sowiecką, która okropnie prześladowała ludność polską, do— puszczając się ohydnych czynów.

Mnie natomiast umieszczono w Wilnie w litewskim szpitalu. gdzie przeprowadzono szczęśliwie operację. Opiekowali się mną wtajemniczeni polscy lekarze. Miałem też przybra¬ną matkę i siostry. które prawie co dnia mnie odwiedzały, przynosiły mi rozmaite smakołyki, a już w czasie święta byłem zaskoczony odwiedzinami "krewnych". tyle ich by¬ło, a każdy z nich coś przynosił. Tak "siatka" Wileńskiego AK opiekowała się partyzantami w nieszczęściu, wszystko było świetnie /organizowane. Byłem na sali pomiędzy chorymi otoczony tak świetną opieką, że personel litewski zaczął coś podejrzewać. Wobec tego po¬spiesznie opuściłem szpital i ulokowano mnie na punkcie "Siatki" w celu całkowitego przyjścia do zdrowia, Punkt miały te panie, które ufundowały i przekazały na Zachód sztandar dla polskich lotników. Opiekę miałem znakomitą i stałą łączność z Brygadą przez łączników, którzy donosił i o działaniach naszej Brygady w terenie.

A najgłośniejsze, o czym mówiono, to była masakra, jaką Litwini urządził i na ludności polskiej w okolicach Janiszek. Palono zabudowania, kazano rodzicom wrzucać swoje dzieci do ognia. Za ten ohydny czyn nasza Brygada udała się na tamte tereny i przeprowadzi¬ła odwet na Litwinach. Ja od tych pan udałem się na przedmieścia Wilna do pana Trzebskiego ojca „Nieczui" i „Janosika", który już nie żył. Pewnego dnia otrzymaliśmy wiadomość, że „Łupaszko" udający się na odprawę dowódców Brygad został przypadkowo aresztowany przez patrole niemieckie. Natychmiast „Nieczuja" i ja udaliśmy się z bronią na wskazane miejsce w celu odbicia komendanta. o ile to będzie możliwe, ale było już za późno, bo „Łu¬paszko" stąd zaginął. Ze względu na ostrożność opuściliśmy mieszkanie Trzebskich.

Mnie "Nieczuja" odtransportował do pana Jana, gdzie zostałem na kilka dni w celu zebrania infor¬macji. w jakich okolicznościach został aresztowany "Łupaszka". Jedną noc u p. Jana byliśmy razem. Rano „Nieczuja" udał się w drogę, by jak najprędzej dotrzeć do Brygady dla udziele¬nia informacji o zaistniałym wypadku. Później z terenu dochodziły różne wiadomości o are-sztowaniu komendanta, w każdym razie powstał dość duży chaos po reorganizacji przez no¬wych przełożonych. Brygada była zżyta z „Łupaszką", co ogromnie dało się odczuć w cało¬ści. Po kilku dniach z Wilna udałem się na punkt koło Balingródka, gdzie miałem otrzymać wskazówki dla odnalezienia Brygady. Niedaleko Balingródka na punkcie spotkałem panią Wan¬dę — teściową „Łupaszki", jego córkę Basię i ciężko rannego "Billa". i tu nadeszła rewela¬cyjna wiadomość, że „Łupaszko" wrócił zdrów i cały. cudem udało mu się umknąć zbirom, tylko jest bardzo rozdrażniony i zdenerwowany swoimi ostatnimi przeżyciami i losem Brygady. Po skontaktowaniu się z „Kitkiem" kazał mi zatrzymać się w tym terenie dla zorganizowania pomocy dla pani Wandy i Basi do chwili otrzymania rozkazu, co mam dalej począć.

Opowiedziano nim, że z chwilą pojawienia się komendanta w Brygadzie wszyscy żołnierze bardzo się ucieszyli. Powstały silne hałasy powitalne i komendant zwrócił się z silnym wzru¬szeniem tymi słowami: „Byłem od Was odtrąco-

ny przez kilka dni, bardzo ciężko przeżywa¬łem, ale teraz przysięgam Wam, że za każdy dzień pobytu u nich, dokonamy jedną akcję zbrojną". Po przeszeregowaniu Brygady przystąpiono do akcji ze wszystkimi naszymi wrogami na nadarzającym się odcinku. Ja w międzyczasie otrzymałem rozkaz od komendanta o dołączeniu do Brygady. Ze sobą miałem za¬brać „Billa", który przebywał na punkcie ciężko ranny w głowę. Jechaliśmy wiejskim wozem, w którym mieliśmy ukrytą broń, lekarstwa i moje wojskowe ubranie. We wsiach, przez które przejeżdżaliśmy stały małe zgrupowania Niemców, najbardziej niebezpiecznie było przejeżdżać przez szlaki kolejowe. ale szczęśliwie dotarliśmy do miejsca postoju Brygady. Zostaliśmy serdecznie powitani i zameldowaliśmy się komendantowi, który skierował mnie do poprzednich zadań, za wyjątkiem pisania «Kroniki», którą przejął ks. Ignacy od chwili mojego wyjazdu. Przy sposobności zaznaczam, że po wyjściu z więzienia nocowałem u „Ronina" w Warszawie, a był to rok 1956 lub 1957, który przy rozmowie zapytał mnie: "Czy wiesz gdzie znajduje się przez ciebie pisana «Kronika» Brygady?" Odpowiedziałem, że nie wiem. W tym czasie "Ronin" wyjął z biurka dwa bruliony tak znane mi, które tyle nosiłem ze sobą. oświadczając mi, że obecnie on je posiada. Co dalej się z nimi stało, tego nie wiem do dziś.

Wszystkie brygady posuwały się w okolice Wilna, jak również Armia Radziecka, a na¬sza Brygada łączyła się w jedną całość. Wysyłano co jakiś czas łączników do Komendy Okrę¬gu w Wilnie w celu otrzymania rozkazu, jakie ma zająć stanowisko nasza Brygada. Naokoło rozbrzmiewała kanonada walk, pożary, oświetlanie reflektorów i rakiet, i to wszystko zbliża¬ło się do Wilna. Polskie oddziały partyzanckie brały czynny udział w zdobywaniu Wilna, za wyjątkiem V Brygady „Łupaszki". którą wyłączono dlatego, że prowadziła walkę z partyzan¬tką sowiecką od chwili, kiedy to została podstępnie rozbrojona Brygada "Kmicica", a jego samego na bazie sowieckiej aresztowano i słuch po nim zaginął, w wyniku selekcji około 80 żołnierzy wyprowadzono z baty w nieznanym kierunku. Później były przeprowadzane per¬traktacje w sprawie zawieszenia broni t Sowietami, ale zobowiązania te partyzanci Sowieccy nie dotrzymywali jak poprzednio pisałem o zajściu w Radziuszach.

Wobec tego V Brygada wyruszyła okrążając Wilno w kierunku Warszawy, taki miała cel. Ostatni postój Brygady na terenie Wileńszczyzny mieliśmy w Suderwie ok. 20 km od Wilna, skąd widać było jak na dłoni łuny płonącego miasta oraz odgłosy wybuchów broni. Było to straszne przeżycie, nie tylko moje, ale i całej Brygady. Widząc te wydarzenia w oddali, myśleliśmy, że być może nasza pomoc ułatwiłaby naszym kolegom ataki na wroga. Było to bardzo ciężkie przeżycie w naszej Brygadzie, ale trudno: rozkaz jest rozkazem. Po odprawie Brygada ruszyła w dalszą wyznaczoną drogę i tak opuściliśmy tereny wileńskie. A tu w Suderwie, gdzie mieliśmy postój, jeszcze inną miałem niespodziankę. Gdy Brygada zatrzymała się, ja przystąpiłem do swoich zadań odnalezienia odpowiedniego pomieszczenia. gdzie ma się kwaterować dowództwo oraz zainstalować radio dla odbierania wiadomości ze świata, które przekazywałem komendantowi. Okazało się, że te zabudowania należą do plebani. Kiedy robiłem instalację, przyszedł do unie ksiądz, już w średnim wieku, brunet, i spytał, co ja tu robię w jego mieszkaniu itd. Grzecznie mu wszystko wyjaśniłem, ale kiedy go zobaczyłem. przypomniałem sobie znajomą twarz i to mnie zaskoczyło. Wobec tego zapytałem go, czy nie jest ks. Mackiewiczem, gdyż go widziałem kilkakrotnie w domu w zaścianku Dziemidówka, jego rodzinnym miejscu, które było położone obok naszego zaścianka ok. 2 km, a ja jestem synem Konstantego Beynara. Na początku ksiądz chwilę mnie obserwował zastanawiając się, potem wziął mnie w swoje objęcia i zaczął całować, mówiąc: "Przecież ty jesteś zupełnie podobny do swojego ojca. Musisz mi dziś o wszystkim opowie¬dzieć, co u was się działo przez ten okres, jak tam moi bracia żyją, czy coś o nich wiesz?" Później wieczorem udałem się do organisty, gdzie mnie odwiedził ksiądz, rozmawialiśmy: do 2 rano musiałem mu o wszystkim opowiedzieć. A pokrewieństwo nasze było takie, że jego rodzony brat Piotr był ożeniony Z moją cioteczną siostrą Władysławą, a ksiądz za młodu, w czasie swoich studiów, często bywał w naszym domu, jak również jego bracia. A ten Mac¬kiewicz, który przybył na Bazę wraz z Mroczkowskim, to był syn jego brata Józefa.

I tak Brygada poruszała się w kierunku Warszawy. Pierwszym postojem znaczniej¬szym były miejscowości niedaleko Olity na terenach litewskich. W czasie przemarszu kilka¬krotnie przeprowadzaliśmy walki z napotkanymi oddziałami armii niemieckiej. Walki te przeprowadzaliśmy często wspólnie z żołnierzami armii radzieckiej, które były uzgadniane między ich a naszym dowództwem. Kiedy przebywaliśmy na terenach litewskich w pobliżu Olity, byliśmy bardzo serdecznie witani przez tamtejszą ludność. Okazało się, że przewa¬żająca jej część to są Polacy, a niektórzy z nich nie umieli nawet rozmawiać po litewsku.

Po akcjach bojowych i innych wydarzeniach co jakiś czas spotykaliśmy się z żołnierzami sowieckimi. Wymienialiśmy między sobą broń, ho oni, czym byliśmy zaskoczeni, niemiecką broń uważali za zupełnie bezwartościową. My na tym bardzo skorzystaliśmy: zamieniali "empi" albo karabin maszynowy na byle jaką broń sowiecką, a każdy z nich chciał mieć byle jaki pistolet i ręczny zegarek. Brygada nasza rozrastała się jak grzyby po deszczu, jak mówi przysłowie. Bez przerwy dołączali do nas nowi żołnierze, a uzbrojeni byliśmy "po zęby". Przez jakiś czas sowieckie wojska nam nie przeszkadzały, a kilkakrotnie prowadziliśmy wspólne akcje przeciwko Niemcom. Były to akcje bardzo udane, a Niemcy ponosili ciężkie straty. Ale po jakimś czasie zauważyliśmy, że naszą Brygadę zaczęły okrążać ze wszystkich stron wojska sowieckie. Nasłuchy radiowe, które odbierałem, donosiły o przebiegu wydarzeń przy zdobywaniu Wilna i w jaki sposób zaczęto traktować Polską Armię Krajową. Dołącza¬jące do nas oddziały z innych brygad donosiły, że polskie oddziały są rozbrajane przez armię radziecką. Niektórych szeregowych wcielają do swoich jednostek. ale większość ładują na ciężarówki i wywożą w nieznanym kierunku. Wobec tego komendant "Łupaszko" zarządził bezwzględną ostrożność, a w międzyczasie wysłał łączników do Wilna w celu stwierdzenia stanu rzeczywistego, gdyż radio z Londynu donosiło, że zaczęto rozbrajać dowództwo, a żoł¬nierzy grupować w obozach. Po powrocie łączników z Wilna dowiedzieliśmy się, że sowiec¬kie dowództwo wezwało nasze dowództwo po zdobyciu Wilna celem omówienia dalszych działań, oraz odbycia defilady ulicami miasta, co później okazało się podstępem. Po przyby-ciu nasze dowództwo zostało zatrzymane i rozbrojone. Natomiast żołnierzy AK zaczęto spę¬dzać w rozmaite przygotowane wcześniej strzeżone miejscowości. Największe zgrupowanie miało miejsce w Miednikach pod Wilnem. Napotykane po drodze oddziały były rozbrajane. Na początku nasi żołnierze nie zdawali sobie sprawy, co to wszystko miało znaczyć, ale gdy z każdą godziną zaczęto obstawiać obozy silną strażą ze wszystkich stron i zabroniono oddalać się i kontaktować się z sąsiednimi grupami oraz rodzinami. Po dokładnym wymienieniu przez łączników, co nastąpiło w Wilnie, „Łupaszko" natychmiast zarządził odprawę całej Brygady i nie wdając się w szczegóły opowiedział całości o zaistniałej sytuacji i w jakich okolicznościach teraz się znajdujemy, przy czym przedstawił życzenie dowództwa sowiec¬kiego, które było takie: żeby Brygada podporządkowała się ich zadaniom, to jest rozbrojeniu, a żołnierze mieli być rozrzuceni po jednostkach, a częściowo zwolnieni do domów, natomiast dowództwo miało pozostać do ich dyspozycji. Takie były warunki dla naszej strony. Wobec tego „Łupaszko" zwrócił się do całej Brygady, co ma dalej robić w takiej sytuacji? Czy podporządkowujemy się Sowietom i przechodzimy pod ich komendę, czy poweźmiemy jakąś inną decyzję? Całość Brygady nie chciała nawet słyszeć o przejściu pod dowództwo sowiec¬kie. Było wielkie załamanie w Brygadzie, kiedy dowiedziała się całej prawdy, w jakim znaj¬dujemy się położeniu. Wołali jednogłośnie prawic wszyscy: "Będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi, ale Sowietom dobrowolnie się nie poddany, już niejedno przeżyliśmy, znamy ich przyrzeczenia i jakie były tego rezultaty". Po tej konsultacji komendant zarządził zbiórkę ca¬łej Brygady raz jeszcze w okolicy Porzecza, kierunek na Augustów. Po przybyciu na miejsce i rozlokowaniu Brygady w lesie raz jeszcze dokładnie wszystkim wyjaśnił nasze położenie. teraz niech każdy decyduje o sobie według własnego uznania.

Przeważająca wię¬kszość zdecydowała. że będziemy przedzierać się w kierunku Warszawy. Część żołnie¬rzy opuściła Brygadę z kawalerią „Tatara" i udała się w kierunku żądanym przez Sowietów. Takim manewrem mieli zmylić sowiecką czujność, że niby przybyła cała Brygada. W ten sposób udało się komendan¬towi uratować ogromną większość ludzi od nieszczęść, tułaczki, a nawet śmierci, gdyż jak się później dowiedzieliśmy, wszyscy, co poszli z „Tatarem" zostali rozbrojeni, a później wy¬wiezieni w głąb Rosji. My natomiast pozostawiliśmy całą broń ciężką i sprzęt, i udaliśmy się małymi grupami. aby przedzierać się w kierunku Warszawy. Rozmaite to były grupy. niektórzy poszli całymi szwadronami, jak "Kitek", ale większość małymi grupami. Ja zosta¬łem przy trupie komendanta. a ze mną byli między innymi: „Łupaszka", „Sasza"', „Zyga", „Zeus" „Nieczuja". „Lalka", „Lilka" i inni, których już nie pamiętam. Od tej chwili zaczęło się nasze straszne życie tułacze, męczące i głodowe. Sowieckie wojska były na każdym kro¬ku, posuwali się wszystkimi drogami, a nawet ścieżkami. Kiedy mieliśmy przekroczyć drogę w oznaczonym kierunku, czasem zajmowało to nam kilka godzin nim doczekaliśmy się od¬powiedniej chwili, żeby można było bezpiecznie ją przejść. O zdobyciu żywności nie było mowy. dzieliliśmy się zapasami, jakie posiadaliśmy, bardzo uczciwie, były to porcje minimal¬ne. W takich warunkach doszliśmy do Niemna, gdzieś w okolicach Mostów. Niemen wyglądał ślicznie, jak lustro kryształowe. Tu kilku odłączyło od naszej grupy, między innymi „Bohun" i „Franko". Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy starą łódkę, którą etapami, po parę osób. przeprawiliśmy się na drugą stronę. Było bardzo spokojne powietrze, świecił księżyc, który ułatwiał nam przeprawę. Po drugiej stronie Niemna teren był zarośnięty niedużym laskiem z gęstym poszyciem. Już świtało, kiedy wszyscy przeprawiliśmy się na drugą stronę. Widać było w oddali wieś, w której słychać było wzmożony ruch. Dolatywały odgłosy war¬kotu jakichś pojazdów, i to coraz silniejsze, wobec tego ukryliśmy się w zaroślach jak myszy.

FUNDACJA DLA POLONII

www.witajciewdomu.pl; www.fundacjadlapolonii.pl

ul. Wałuszewska 48,

03-005 Warszawa KRS: 0000423252

Wsparcie dla Liceum Polonijnego

Nr konta: 86 1240 6175 1111 0010 4598 7860

„11 lipca 1919 r.” wpisany w walkę o „Niepodległość”

Bogusław Szarwiło

Od listopada 1918 na południowym wschodzie trwała wojna polsko-ukraińska o Galicję wschodnią . Tereny województwa tarnopolskiego były widownią walk w 1918 r. w czasie wojny z Ukrainą o przyszłość Małopolski Wschodniej. 1 listopada 1918 Ukraińcy rozpoczęli walkę o Lwów zajmując część miasta, jednocześnie zbrojnie przejęły władzę w tarnopolskim zajmując Tarnopol. Na ten okres miasto zostało tymczasową stolicą Zachodnio-ukraińskiej Republiki Ludowej. Po wielomiesięcznym oblężeniu Lwowa, w marcu 1919 r. polskie oddziały odbiły linię kolejową Przemyśl-Lwów, a Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich opracowało plan ofensywy przeciwko siłom ukraińskim operującym w Małopolsce Wschodniej. Celem głównym było rozbicie tych sił na Wołyniu i tzw. Galicji Wschodniej, ochrona polskiej ludności oraz odzyskanie obszarów tzw. Galicji Wschodniej oraz uzyskanie bezpośredniego połączenia Polski z Rumunią. W połowie maja 1919 ruszyła polska ofensywa. Dywizja Żeligowskiego, znajdująca się na skrajnym prawym skrzydle Frontu Galicyjsko-Wołyńskiego gen. Iwaszkiewicza, 1 lipca miała uderzyć „z rejonu Ujścia Zielonego przez Zadrów na Monasterzyska”. W miarę jak oddziały UHA wycofywały się na wschód, zadaniem dywizji było działanie „na kierunku Monasterzyska – Buczacz”. **Grupa jazdy mjr. Plisowskiego, która skoncentrowała się w Haliczu, otrzymała „zadanie osłony prawego skrzydła grup atakujących i niepokojenie lewej flanki nieprzyjaciela, posuwając się w kierunku Dryszczów – Zawałów**” W tym miejscu wypada przypomnieć , że historia Pułku Plisowskiego sięga 1918 r., kiedy w miejscowości Unheni w Mołdawii powołano do życia szwadron złożony z Polaków wcześniej służących w armii rosyjskiej. Niedługo później, w obawie przed rozbrojeniem przez Niemców, szwadron wszedł w skład 2. Pułku konnego rosyjskiej Armii Ochotniczej zachowując polskie odznaki i komendy. . W połowie sierpnia 1918 r. szwadron mocą umowy pomiędzy dowódcą rosyjskiej Armii Ochotniczej i generałem Lucjanem Żeligowskim podporządkowany został tworzącym się na Kubaniu oddziałom polskim. Wkrótce szwadron zreorganizowano jako dwu-szwadronowy dywizjon, którego dowódcą został we wrześniu mjr Konstanty Plisowski. W październiku 1918 r. został zorganizowany trzeci szwadron (oficerski), a oddział oficjalnie przyjął nazwę Dywizjon Jazdy przy 4 Dywizji Strzelców Polskich. W drugiej połowie stycznia 1919 roku dywizjon przewieziony został drogą morską do Odessy na Ukrainie. Tam przyjął licznych ochotników i został rozwinięty w **Pułk Ułanów 1 Dywizji Jazdy pod dowództwem majora Plisowskiego.** Po wzmocnieniach formacja walczyła wraz z oddziałami francuskimi, greckimi i antykomunistycznymi oddziałami rosyjskimi przeciwko bolszewikom pod Odessą i Tyraspolem. Następnie z oddziałami koalicyjnymi przeszli do Rumunii, skąd w połowie 1919 r. wkroczyli do Polski Z końcem czerwca pułk rozpoczął działania zbrojne w Małopolsce Wschodniej przeciwko oddziałom ukraińskim Ułani walczyli nad Złotą Lipą, pod Sokołowem i nad Strypą. Po chwilowych zwycięstwach Ukraińców w czerwcu 1919, armia polska ponownie odrzuciła je na pozycje początkowe na lini Dniestr-Zbrucz. Główne walki toczyły się koło miejscowości Jazłowiec. Miasto to- zwane kluczem Podola, założone w XIV w. stanowiło wówczas własność książąt buczackich , herbu Habdank, którzy przyjęli miano jazłowieckich. Górujący nad miastem klasztor Sióstr Niepokalanek zajęty został w grudniu 1918 r. przez Ukraińców, którzy zamienili go w twierdze i obóz internowania dla 300 osób. Klasztor ten, to dawna od wielu wieków strażnica Rzeczypospolitej, na południowo-wschodnich rubieżach Polski, na Podolu – powstrzymująca zagony tatarskie i tureckie nawały .W lipcu 14 Pułk Ułanów gen. Plisowskiego stoczył w dniach 11-13 lipca 1919 decydującą bitwę w wąwozie nieopodal miasta. **Bój pod Jazłowcem, 11-13 lipca 1919 roku** opisał w sposób godny polecenia:**: płk dr hab. prof. Akademii Obrony Narodowej Juliusz S. Tym** W lipcu 1919 r. 1. Pułk Ułanów (późniejszy 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich) dowodzony przez mjr. Konstantego Plisowskiego stanowił trzon grupy jazdy 10. Dywizji Piechoty gen. Żeligowskiego prowadzącej działania na prawym skrzydle Frontu Galicyjsko-Wołyńskiego w ramach ofensywy w Małopolsce Wschodniej. W grupie jazdy dowodzonej przez mjr. Plisowskiego walczył również 6. Pułk Ułanów pod dowództwem mjr. Włodzimierza Kownackiego. Stan bojowy grupy jazdy mjr. Plisowskiego wynosił 45 oficerów, 359 szabel, 292 szeregowych pieszych oraz 14 karabinów maszynowych w pięciu szwadronach konnych, szwadronie karabinów maszynowych i dwóch szwadronach pieszych. Pieszą częścią 6. Pułku Ułanów dowodził zastępca dowódcy pułku rtm. Janusz Bokszczanin. W pierwszych dniach lipca 1919 r. jednostki polskie wyszły na linię rzeki Strypy, z zadaniem pokonania tej przeszkody wodnej i kontynuowania działań zaczepnych w kierunku wschodnim. Na lewym brzegu Strypy, na odcinku od Dniestru do Buczacza znalazły się siły ukraińskie liczące łącznie około 5000 żołnierzy wspieranych przez kilkadziesiąt karabinów maszynowych oraz 4 baterie artylerii polowej. ***11 lipca 1919 r. około godz. 8.00, wykorzystując powodzenie działań II batalionu 31. Pułku Piechoty i 6. Pułku Ułanów szwadrony konne grupy mjr. Plisowskiego przeszły Strypę*** w bród. W godzinach przedpołudniowych patrol rozpoznawczy ppor. Edwarda Godlewskiego nawiązał kontakt bojowy z przeciwnikiem w rejonie wzgórza Popowa ***Mohyła.*** Major Plisowski słysząc odgłosy walki w rejonie Popowej Mohyły rozwinął pułk w ugrupowanie bojowe, przemieszczając się w szykach luźnych w kierunku Beremjany – folwark Kadłubiska. W trakcie ruchu w kierunku drogi Jazłowiec – Kosztyłowce dostrzeżono uchodzącą tą drogą kolumnę artylerii przeciwnika. Rozpoczął się wyścig do szosy, celem odcięcia jej drogi odwrotu na Kosztyłowce. ***Na kilkaset metrów przed linią drogi szwadrony przeszły do szarży. .*** Zdobyto łącznie 6 dział z jaszczami, kilkanaście ciężkich karabinów maszynowych, kilkadziesiąt wozów taborowych oraz około 1000 jeńców. Natomiast cześć oddziałów ukraińskich zdołała się wycofać. Ułani nie zdołali zablokować drogi odwrotu ukraińskiego samochodu pancernego. W tym czasie 1. szwadron 6. Pułku Ułanów dowodzony przez rtm. Duchnowskiego opanował Górę Szybińską, przeszedł do wsi Szutromińce, a następnie rozpoznawał w kierunku na Sadki. Wobec dużego zmęczenia koni rtm. Duchnowski zawrócił w kierunku Góry Szybińskiej. Tam otrzymał rozkaz przejścia do wsi Beremjany, gdzie pozostał na nocny postój.

11 lipca 1919 r. przyniósł grupie jazdy mjr. Plisowskiego sukces taktyczny – udało się zrolować ukraińską obronę i odrzucić przeciwnika w kierunku rzeki Dżuryn, opanowano dominujący punkt terenowy. Zdobyto uzbrojenie i sprzęt wojskowy, wzięto jeńców. Ponadto prowadzone popołudniu działania rozpoznawcze ogarnęły dużą przestrzeń docierając do rzeczki Dżuryn. Niestety poniesiono także straty. W samym tylko 1. (14.) Pułku Ułanów po wyewakuowaniu na tyły rannych ułanów oraz rannych i pokaleczonych koni siła bojowa pułku spadła do 200 szabel. Późnym popołudniem zmęczenie ludzi i koni dawało już mocno znać o sobie. 1. (14.) Pułk Ułanów zajął około godz. 18.00 jako rejon postoju wieś Chmielowa, a 6. Pułk Ułanów wieś Beremjany. Pododdziały wystawiły ubezpieczenia. Wybór tych właśnie miejscowości na postój podyktowany był najprawdopodobniej zdobyciem Góry Szybińskiej oraz możliwością osłony dogodnej przeprawy na Strypie w rejonie Sokólec, Beremjany. Major Plisowski grupując swe siły na prawym skrzydle odsłaniał kierunek Jazłowiec–Kosztyłowce. W nocy z 11 na 12 lipca 1919 r. przeciwnik przeszedł do przeciwuderzenia z zamiarem rozbicia sił polskich bądź ich odrzucenia na prawy brzeg Strypy i odtworzenia pierwotnego położenia na linii tej rzeki. O świcie grupa jazdy mjr. Plisowskiego przeszła do obrony w punktach oporu na Górze Szybińskiej i w Chmielowej. Zapoczątkowało to całodniowe walki obronne przeciwko oddziałom ukraińskiej piechoty wspieranym przez artylerię. Wieczorem obserwatorzy z Góry Szybińskiej zameldowali, że przeciwnik gromadzi nowe siły. Wówczas mjr. Plisowski zdecydował się uderzyć pierwszy na przegrupowującego się przeciwnika, nie czekając na jego atak. Do akcji zaczepnej wyznaczony został odwodowy 3. szwadron oraz szwadron 6. Pułku Ułanów, które pod ogólnym dowództwem rtm. Duchnowskiego z nastaniem zmroku, około godz. 21.30 wyszły w kierunku południowym na Latacz po czym nagłym zwrotem w lewo przeszły z szyku marszowego – kolumny, w ugrupowanie bojowe – linię harcowników, i ruszyły do szarży na ogólnym kierunku Buratyńce. ***Szarża przeprowadzona o tej porze dnia wywołała pożądane wrażenie. Atakujący ułani dwoili się i troili w wyobraźni przeciwnika. Jednocześnie szwadrony broniące Góry Szybińskiej wydały z siebie okrzyk „Hurra”, aby wprowadzić w błąd przeciwnika co do ilości szarżujących.*** Wszystko to wytworzyło nastrój paniki u przeciwnika. Ukraińska piechota otworzyła bezładny, niecelny ogień, lecz widząc zbliżających się galopem ułanów wycofała się w popłochu, wprowadzając zamieszanie w podchodzących z głębi kolejnych pododdziałach piechoty. ***Szwadrony szarżowa-***

Generał dywizji Lucjan Żeligowski. Fotografia portretowa z lat 1919-1923.
ARTICLE_FULL_PHOTO [2475x3520, 871.5kB]
ARTICLE_SOURCE: Narodowe Archiwum Cyfrowe

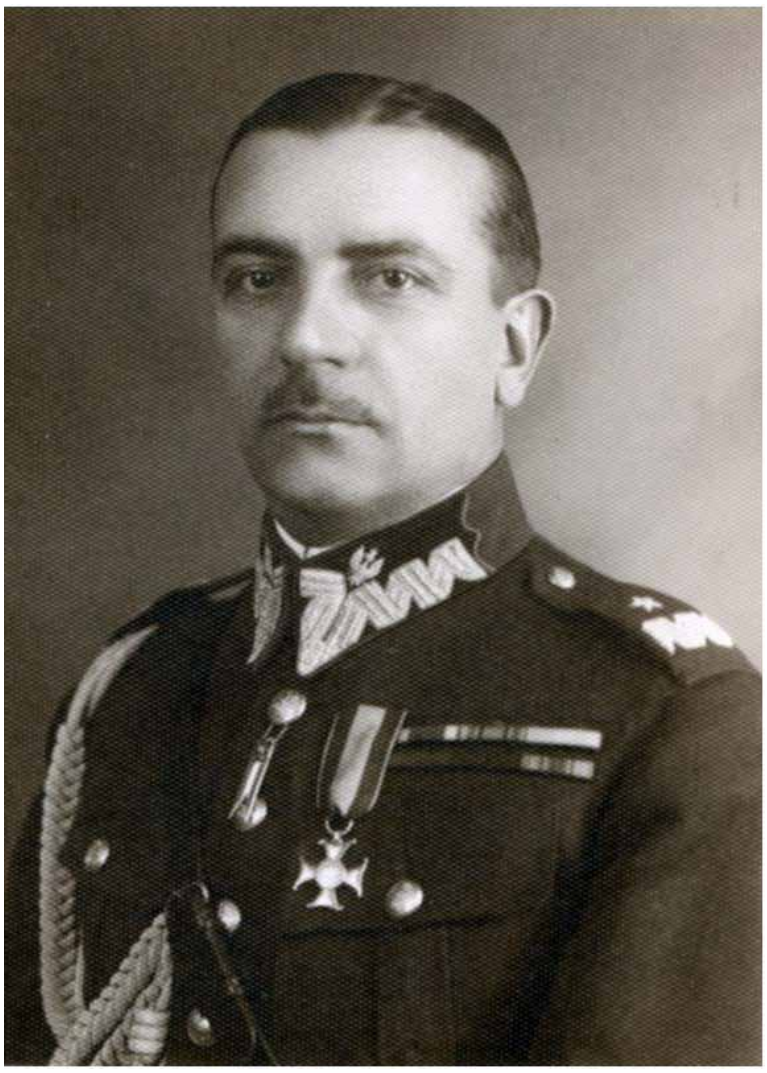

/ Generał Konstanty Plisowski (foto za: http://ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/konstanty-plisowski-odrowaz-plisowski#photo)

ły na przestrzeni około 2 km po czym w szykach luźnych działały na Drohiczówkę i Sadki znosząc po drodze wycofujące się na wschód grupy przeciwnika. Szwadrony powróciły do Chmielowej około godz. 2.00 w nocy prowadząc ponad 60 jeńców oraz 3 ciężkie karabiny maszynowe. 13 lipca 1919 r. to liczne działania rozpoznawcze podejmowane przez stronę polską. minęły spokojnie. Popołudniu trzy szwadrony pod ogólnym dowództwem zastępcy dowódcy pułku rtm. Władysława Kuleszy przeczesał teren na wschód od wsi Szutromińce i Drohiczówka, a następnie zdobył szarżą bronioną przez przeciwnika wieś Sadki. Z trzech dni walk, w szarży pod Sadkami stawiali Ukraińcy najsilniejszy opór, jednakże impetu samej szarży, prowadzonej w dół dość łagodnego zbocza i tym razem nie zdołali zahamować. Epizod ten zakończył trzydniowe walki w rejonie Jazłowca. Po tym boju Matka Boska Jazłowiecka została patronką pułku, a siostry zakonne w dowód wdzięczności ufundowały pułkowi sztandar. Natomiast sam **pułk, przyjął nazwę „Jazłowiecki", a Święto pułku od 1926 roku obchodzono 11 lipca**. Po tej bitwie powstał również słynny hymn Ułanów Jazłowieckich „ Szczęście i spokój daj tej ziemi Pani,/ Co krwią spłynęła wśród wojen, pożogi./ Do

/ Ułani Jazłowieccy

Cię swe modły zanosim, ułani, / Odwróć, ach odwróć, odwróć los srogi /. **Szarża ułanów jazłowieckich z 1919 r. porównywano do tej spod Samosierry. Uwieczniona została na obrazie Wojciecha Kossaka..** Po wyparciu wojsk ukraińskich za Zbrucz pułk przeszedł na Wołyń, by walczyć z bolszewikami**. Numer „14" otrzymał w sierpniu 1919 r. wraz z oficjalnym zatwierdzeniem nazwy**. Brał udział w kampanii 1920 r., w ramach której uczestniczył w zagonie na Koziatyn, wyprawie kijowskiej oraz bitwie pod Komarowem. Pułk stracił ogółem (polegli, zmarli od ran i chorób) 11 oficerów i ponad 100 podoficerów i ułanów. Rany odniosło 31 oficerów, 273 podoficerów i ułanów. **Za odwagę i poświęcenie w walce, żołnierze pułku zostali nagrodzeni Krzyżami Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych**. Znamienne były słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego wypowiedziane przy dekorowaniu w 1921 r - sztandaru pułkowego Orderem Virtuti Militari „- że **jest to pułk, który nigdy nie zawiódł**" potwierdziły się również w trudnym okresie Polskiego Września, czego wyrazem było ponowne odznaczenie sztandaru pułkowego tym samym Orderem. Ułanom Jazłowieckim, , należy się wdzięczna pamięć i głęboki szacunek. Bardzo trafnie podsumował **Daniel Koreś** z IPN-u autor opracowania „ BÓJ POD JAZŁOWCEM , że **:** ***Spośród wszystkich chlubnych walk kawaleryjskich, stoczonych przez oddziały polskiej jazdy w czasie wojen o niepodległość, trzydniowy zwycięski bój pod Jazłowcem (od 11 do 13 lipca 1919 r.) stanowił jeden z symboli esprit de corps – nie tylko 14. Pułku Ułanów, lecz w ogóle polskiego kawalerzysty.*** Na zakończenie warto przytoczyć: **wyciąg z Zarysu Historii Wojennej Pułku**: - „ Mówiąc o boju pod Jazłowcem, trudno pominąć milczeniem twórcę tego zwycięstwa, Majora Konstantego PLISOWSKIEGO. Pełen energii, zimnej krwi, szalonej brawury połączonej z rozwagą i doskonałym orientowaniem się w sytuacji. Major Plisowski był zawsze na miejscach najniebezpieczniejszych, w największym ogniu, świecąc przykładem i pobudzając nim innych**. *Słusznym jest twierdzenie, że podwaliny sławy Pułku położył pierwszy Ułan Jazłowiecki."*** Dnia 14 lipca 1959 roku 14-ty PUŁK UŁANÓW JAZŁOWIECKICH obchodził uroczyście w Londynie 40-lecie swego istnienia, oraz 40-lecie sławnej bitwy pod Jazłowcem w Małopolsce Wschodniej (11 lipca 1919r). Niestety w III RP zapomina się nie tylko o drodze do niepodległości ale i o prawdziwych patriotach i bohaterach, dzięki którym dziś możemy świętować niepodległość.

/ źródło - https://www.slideshare.net/HuraganCarter/prezentacja-historia-14-puku-uanw-jazowieckich-55116522

Źródła:

Wojna Polsko-Ukraińska 1918-1919 https://kresynews.wordpress.com/2014/04/16/wojewodztwo-tarnopolskie-rys-historyczny

Bój pod Jazłowcem, 11-13 lipca 1919 roku

http://ipsb.nina.gov.pl/a/artykul/boj-pod-jazlowcem-1113-lipca-1919-roku

Archiwa 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich trafiły do Archiwum Akt Nowych

http://dzieje.pl/aktualnosci/archiwa-14-pulku-ulanow-jazlowieckich-trafily-do-archiwum-akt-nowych

BÓJ POD JAZŁOWCEM" - http://www.polska1918-89.pl/pdf/boj-pod-jazlowcem,2026.pdf

Jak doszliśmy do naszego sławnego imienia

https://dobroni.pl/n/jak-doszlismy-do-nas/15640

Moje Kresy
Genowefa Pniewska-Puszczewicz cz. 3

Eugeniusz Szewczuk

„Dubno było miastem rzemieślniczym. Mieszkała w nim spora ilość złotników, ludwisarzy, zegarmistrzów, krawców, stolarzy, zdunów, kamieniarzy, murarzy, piekarzy, kuśnierzy, kowali, rzeźników, garbarzy, 16 młynarzy, a najwięcej ponad 200 szewców.

Szewcy mieszkali głównie na przedmieściu Zabrama i na Czerneczyźnie. Osada na Zabramie, gdzie wypalano cegłę, nazywała się Cegielnią. Na Cegielni mieszkało ponad 40 szewców, a także stolarze, cieśle, murarze i dekarze."

„Na naszym przedmieściu Surmicze mieszkali murarze. Każda rodzina murarska miała własną specjalizację i chroniła tajniki swojego warsztatu. Mieszkały tutaj również rodziny garbarzy. Garbarze wytwarzali podeszwy do obuwia i garbowali skóry na cholewki i nosy. Żony surmickich rzemieślników zajmowały się wypiekiem i sprzedażą placków. Znane były wszystkim mieszkańcom legendy. Pośród placu rynkowego, jak opowiadał pewien leciwy Polak w roku 1932, była kiedyś wielka kałuża. Po obu jej stronach siedzieli tragarze, którzy za 2 kopiejki przenosili na barana tych, którzy chcieli trafić na Surmicze lub z powrotem. Około tragarzy siedzieli na krzesłach dwie Żydówki, które za 1 kopiejkę rozmieniali 1 rubel.

W Dubnie Niemcy bowiem bronili tylko siebie. Gdy raz jakiś szeregowiec niemiecki wyjechał poza miasto, by pohandlować z Ukraińcami solą i benzyną, to go po prostu Ukraińcy zamordowali i obrabowali. Wtedy Lohmeier wystał „brygadę karną" - dziesięciu żołnierzy, ale jak ci żołnierze zobaczyli na wsi ponad sto luf ukraińskich, wycofali się szybko do miasta. Gdy w marcu 1943 pierwszy raz jacyś „banderowcy" pogrozili, że napadną na Surmicze i wymordują Polaków, przerażeni rodacy uciekli na naszą ulicę i poprosili Niemców o ochronę. Niemcy zabarykadowali się i na bramie wejściowej zamontowali ciężki karabin maszynowy - naprzeciw naszego domu. Gdyby, nie daj Boże, „banderowcy" na nas napadli, to wymordowaliby nas bezbronnych, a Niemcy daliby jeszcze do nas ognia."

Mama z moim bratem Leonem i ojczymem zostali w Dubnie, mnie udało się przedostać do cioci Broni i jak już wspominałam razem z nią, z Sitna podążyliśmy do Brodów. Wraz z nadejściem frontu Niemcy ewakuowali ludność w kierunku zachodnim, większą część mieszkańców Dubna zagnali do Brodów. Tylko dzięki hr Abramowiczowej przeżyliśmy w Dubnie wczesną wiosną 1944 roku frontowe walki Armii Czerwonej z Niemcami. W dniach 22 - 23 marca 1944 roku armia sowiecka podeszła pod Brody i opanowała Folwarki Małe oraz Wielkie. Sowieci wzięli Brody w kocioł. Wkrótce jednak Niemcy odbili je i przystąpili do obrony swoich pozycji, a jednocześnie niespodziewanie kazali ludności cywilnej opuścić domy w trybie natychmiastowym. W walkach obronnych wzięta w pierścień okrążenia, walczyła 14 Galicyjska Dywizja Waffen SS złożona z Ukraińców, znana jako SS Galizien. Z rozbitej później w kotle brodzkim dywizji, pojedynczy ukraińscy żołnierze przedostawali się do UPA i brali udział w mordach ludności na Wołyniu i Podolu. Na początku kwietnia Brody opuścili wszyscy Polacy i Ukraińcy, przy czym część Polaków dwoma transportami wywieziono do III Rzeszy. Hrabinie ostatecznie udało się uzyskać od Niemców pozwolenie i pozostała z ponad 20 kobietami w pałacu Podhorce, 26 kilometrów na południe od Brodów. Spali się w głębokich pałacowych piwnicach, wysokich. Okna od kul chronione były materacami, słychać było armaty, karabiny, na szczęście pałac nie runął. Ostatniego dnia kwietnia Niemcy zabrali mnie z

/ Genowefa ze znajomymi - Brody 1943r.

/ Genowefa i Władysław Pniewscy

mężem oraz jego rodzicami, ze wszystkimi tobołami, ciężarówką do obozu na ulicy Janowskiej we Lwowie. Przed Lwowem w Jaryczowie ujrzeliśmy łunę na niebie. Ciężarówki zatrzymały się. Zapewne na cześć 1 maja, Lwów bombardowało sowieckie lotnictwo. Po kilku dniach pobytu w obozie na Janowskiej zorientowaliśmy się, że nikt nas nie pilnuje, więc daliśmy dyla. Schronienie znaleźliśmy u serdecznego przyjaciela doktora Baleja z Dubna, wspomnianego już ordynatora Oddziału Chirurgicznego Szpitala Ubezpieczalni Społecznej we Lwowie Adama Grucy. Aby nie być uciążliwymi gośćmi profesora Grucy, po 2 tygodniach pobytu we Lwowie, nasza „czwórka" skierowała się na zachód, na tereny wyzwalane spod niemieckiej okupacji. Moi teściowie pozostali w Przemyślu wierząc, że niebawem powrócą w swoje rodzinne strony, my natomiast przedostaliśmy się do miejscowości Łukawiec k. Lubaczowa, wsi leżącej na Płaskowyżu Tarnogrodzkim w powiecie Jaworów, województwa Lwowskiego. Długo po wojnie okazało się, że jest to wieś rodzinna obecnego metropolity lwowskiego ks. abp Mieczysława Mokrzyckiego. Stamtąd dotarliśmy do wujka Ignacego mieszkającego w Napoleonowie k. Piotrkowa Trybunalskiego, wówczas spotkaliśmy się z mamą i ojczymem Janem.

Starszego ode mnie brata Leona, Sowieci po wejściu do Dubna zabrali do wojska. Trafił do żandarmerii wojskowej 1. Armii Wojska Polskiego, dowódcą której na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku był gen. Zygmunt Berling. Od 22 lipca 1944 gen. Berling był zastępcą Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego w stopniu generała dywizji. Brat zapamiętał zgrupowanie Armii w Cyganówce pod Warszawą w trakcie działań połączonych z forsowaniem Wisły i próbą uchwycenia przyczółka pod Dęblinem i Puławami. Berling po wybuchu powstania warszawskiego, zajęciu przez Armię Czerwoną i 1 Armię Wojska Polskiego Pragi, wypełniając rozkazy Naczelnego Dowództwa miał wyjść do końca 15 września 1944 głównymi siłami na wschodni brzeg Wisły, jednocześnie prowadząc rozpoznanie rzeki, dokonać wyboru miejsca przeprawy desantowej, promowej i mostowej oraz przygotować się do forsowania rzeki w celu uchwycenia przyczółków na zachodnim brzegu w rejonie Warszawy, przeprawić się na Czerniaków, Powiśle i Żoliborz i nawiązać kontakt z po-

/ Rodzina Pniewskich 27.02.1947r.

wstańcami. Brat doskonale pamiętał jego płomienne wówczas przemówienie do nich skierowane „Żołnierze tam giną nasi rodacy, ratujmy ich, pomóżmy przedostać się na drugą stronę Wisły". Przy braku wystarczającej pomocy ze strony Armii Czerwonej, żołnierze polscy przeprawiali się na pontonach na lewy brzeg. Berling dopuścił się kilku błędów w trakcie trwania akcji (niewłaściwy czas i rejony forsowania rzeki Wisły), co było jedną z przyczyn porażki. Prawdopodobnie osobistym rozkazem Stalina Zygmunt Berling został odwołany ze stanowiska dowódcy 1. Armii. Wieczorem przyjechała czarna „Wołga" i 5 ciężarówek z sowieckimi żołnierzami. Ślad pod gen. Berlingu zaginął, brat doszedł do Berlina i już go więcej nie widział.

Z opowiadań rodziny i mieszkańców naszych rodzinnych stron wiem, że po naszej ucieczce do Dubna, w najbliższej okolicy dochodziło do napadów i mordów ukraińskich sotni na bezbronnej ludności polskiej, czeskiej, a nawet niemieckiej. W pobliskim Malinie doszło do najstraszniejszej zbrodni, bowiem w bestialski sposób rozprawiono się z 532 istotami ludzkimi, w tym 26 Polakami, 374 Czechami (104 mężczyzn, 161 kobiet i 105 dzieci) i 132 Ukraińcami. Kto dokonał tej zbrodni? „Najpierw Niemcy rozprawili się z Żydami w Ołyce. Od początku niemieckiej okupacji Żydzi, których w Ołyce było około 2,5 tysiąca zostali poddani represjom. Nakazano im nosić opaski z Gwiazdą Dawida, zdać posiadane złoto, zmuszano do nieodpłatnej ciężkiej pracy do której Żyd nie był nauczony. Byli bici i okradani przez policjantów ukraińskich z miejscowego posterunku. 3 Lipca 1941 roku Ukraińcy zabili 11 Żydów, miesiąc później 5 sierpnia 1941 Niemcy przy pomocy ukraińskiej policji na miejscowym cmentarzu rozstrzelali 682 żydowskich mężczyzn. Z żydowskiego getta rankiem 25 lipca 1942 roku pognano w kierunku zamku Radziwiłłów setki ludzi. Ci którzy nie zginęli w zamku, następnego dnia zostali rozstrzelani na terenie dawnej strzelnicy w pobliżu wsi Czemeryn".

Siedzibą naszej gminy w powiecie dubieńskim przedwojennego województwa rówieńskiego, był Malin. Wójtem przez długi okres był stryj mojego ojczyma – Trzmielewski. „Czescy emigranci pojawili się w Malinie w drugiej połowie XIX wieku. Zamieszkiwali zwarcie kolonię Malin zwany Malin Czeski, podczas gdy Ukraińcy mieszkali w samej wsi Malin, zwanej Malin Ruski. W przeddzień niemieckiej pacyfikacji w kolonii Malin żyło także 26 Polaków.

W 1943 roku Malin znajdował się na terenach okupowanych przez Niemcy (Komisariat Rzeszy Ukraina, okręg generalny Wołyń-Podole, komisariat Dubno). W obliczu rzezi wołyńskiej czeska ludność Malina zachowywała neutralność.

Cdn.

Wspomnień wysłuchał ; **Eugeniusz Szewczuk**

Osoby pragnące dowiedzieć się czegoś więcej o życiu na Kresach, nabyć moją książkę pt. „Moje Kresy" ze słowem wstępnym prof. St. Niciei, proszone są o kontakt ze mną tel. 607 565 427 lub e-mail pilotgienek@wp.pl

/ Znajomi z Brodów 1943r.

Z serii: „Zatrzymane w kadrze"

Redakcja

/ Borysław: Po lewej: Z dawnej polskiej szkoły w dzielnicy Wolanka powstaje cerkiew
Po prawej: Tak wygląda rok później. Foto: Marian Koch

BIAŁE PLAMY WCZORAJ I DZIŚ.

Anna Małgorzata Budzińska

Białe plamy na mapie, białe plamy historii, luki w pamięci, narodowa demencja? Nie wiem jak to nazwać... Chciałabym poruszyć temat wybiórczego traktowania historii. Dlaczego o niektórych sprawach mówi się tylko w domu i tylko od rodziców i dziadków można poznać fragmenty historii?
Tak było za komuny i tak jest teraz. Czy tak będzie zawsze?
Niektórzy ludzie nie mają też takiej możliwości, żeby od bliskich poznać przemilczane fakty. Wzrastają w niewiedzy, karmieni „ jedynie słuszną" wersją historii. Ci bardziej dociekliwi na własną rękę poszukują i znajdują w niektórych źródłach opisy, wydarzenia, opowieści świadków.
Są jednak i tacy, którzy do końca swego żywota wierzą w pseudonaukową papkę wtłaczaną im do mózgów.
Mam przed sobą niepozorną, małą książeczkę z roku 1989. Jadąc do stolicy w delegację kupowało się takie książeczki na Dworcu Centralnym do poczytania w podróży. Ta kosztowała 460 zł. Przeważnie były to kryminały, ale w latach 80 zdarzały się i inne.

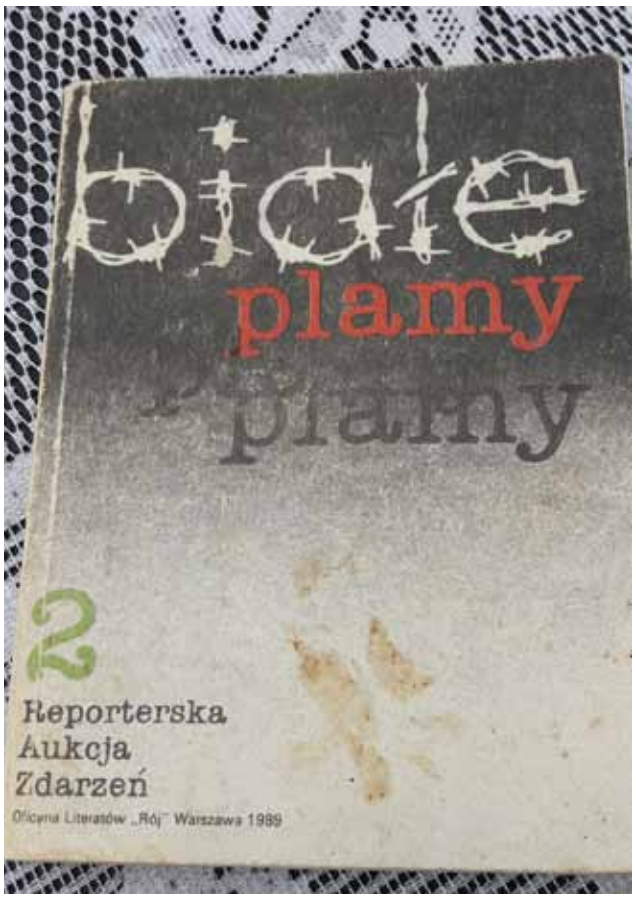

Po latach tłamszenia świadomości ludzi, po latach omijania i tuszowania niewygodnych dla władz tematów wreszcie można było zacząć odkrywać białe plamy naszej historii. I taki właśnie tytuł ma ta książeczka- „ Białe plamy" .
Była to seria zatytułowana : Reporterska Aukcja Zdarzeń, wydawana przez Oficynę Literatów „Rój" w Warszawie. W numerze drugim, który przeczytałam poruszono w krótkich tekstach takie, między innymi tematy:

- Życie z łaski NKWD
- Kasy pancerne Bieruta
- Wyklęta „Teoria dwóch fortepianów"- o Alfredzie Jareckim

To były ważne i ciekawe tematy, zwłaszcza po latach zakazu poruszania tych kwestii.
Zatrzymam się jednak nad innym rozdziałem. Otóż dopiero, gdy upadł komunizm, dopiero wtedy zaczęto też poruszać tematy kresowe. O ile poprzednie tematy rozumiem, że mogły być niewygodne i zakazane przez ówczesne władze to jednak trudno pojąć dlaczego nie wolno było mówić o naszych Kresach? Przecież to spory kawał naszej historii... A tytuł tego tekstu jest łagodny i pogodny:

- Lwów złotych snów- Ja z Łyczakowa

Są to wspomnienia Adama Hollanka, dawnego Lwowiaka, który w tym mieście żył przed wojną a potem, już jako starszy pan odwiedził to miasto z wycieczką. Odwiedza znajome miejsca, przytacza wspomnienia, ale i refleksje, na przykład:
„Ach, jednak ludzie rosną, dorastają, przerastają siebie samych (…) Ile od tamtego okresu, jak mówią politycy i historycy, pojawiło się białych plam, a te plamy to w naszych duszach krwawe rany lub wrzody ohydne, goić je i zabliźniać może tylko wspomnienie prawdy, naszej własnej, jedynej prawdy."
Autor wspomina swoją szkołę, kościół, dom, ulicę, chodzi po Łyczakowie i chłonie Lwów a jednocześnie zauważa:
„To ciekawe, że my z Łyczakowa zdajemy się lepiej niż inni rozumieć i bardziej niż inni skłonni bywamy do przebaczenia, bośmy wzrastali i dojrzewali w straszliwym galopie zmiennych kresowych losów, bośmy Polacy, wychowywali się i dojrzewali między Ukraińcami, Ormianami, Grekami, Austriakami, Rosjanami i Niemcami."
Potem jest zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego i okrutne odkrycie: istnieje tu pokątny handel miejscami w rodzinnych grobowcach. Na podstawie podrobionych papierów można dostawiać do zaniedbanych polskich grobów współczesnych zmarłych Ukraińców. Gorycz…
Potem jest wspomnienie „branirowki" w „wojenkomacie" – zaciągu młodych chłopców do radzieckiej armii. Upokarzające wspomnienie zbiórki, badania i tłumaczenia pod okiem komandira.
„W salce tłum takich zerowych jak ja, takich „w krasnuju armiju", Lwowiaków z krwi i kości, z dziada, pradziada, co z nimi, co ze mną zrobiono!? Potomek Bitschanów, co walczyli do ostatniej kropli krwi- bolszewickim mięsem armatnim, z rodzinnego Lwowa!"
Adamowi udało się wymigać od tej „branirowki", ale wielu innych musiało iść i walczyć pod obcymi sztandarami. Walczyli z hasłem „hajda na germańca" na ustach i wierzyli, że walczą w słusznej sprawie.
Ciekawym opisem jest też opowiadanie o wyjściach do kina Palace.
„…było to przecież miejsce, z którego wielki świat dawał Lwowianom znać co najnowszego na globie" . Jednak najważniejsze było szkolne wyjście do tego kina:

„Półtora zaledwie miesiąca po wojennej, wrześniowej wędrówce, zasiedliśmy sztywno, klasa przy klasie w amfiteatrze Palace'u, wpatrzeni w daleką twarz, nazbyt męską i surową Wandy Wasilewskiej. Na tle transparentów płonących czerwienią, pod portretem batka Stalina mówi do nas ciągle i mówi o sprawach nie tylko trudnych dla nas do pojęcia, ale wprost wrogich naszym umysłom, to się w głowach nie mieści, to napełnia wściekłością i rozpaczą. My już w naszym Lwowie nie mieszkamy w Polsce, lecz w Zachodniej Ukrainie, przyłączonej do ZSRR, ona mówi, że to sprawiedliwość dziejowa, z którą trzeba się pogodzić."
Przemówienie było długie i męczące a zakończyło się oklaskami i ryczącymi z głośników słowami pieśni: „szyroka strana moja radnaja…ja takoj drugoj strany nie znaju, gdie tak wolno dyszyt człowiek".

A gimnazjalista Adam tak sobie myślał:
„To straszne! Brak nam odwagi, nic się nikt nie odzywa, sparaliżowało nas, czuję zawstydzenie, żem się nie zerwał i nie zawołał: Nie chcę, nie chcę! I tylko tym biciem brawa każdy z nas dawał upust swej rozpaczy. Szarpała nas okrutna upokarzająca rzeczywistość: nie dość wrześniowego poczucia posmaku klęski, nie dość wywozów gdzieś daleko na wschód, porywania ludzi nocami tak jak stali, nie dość, że rządziły nami nie nasze lecz obce władze, to jeszcze zmuszają nas, najmłodszych do przymknięcia oczu na to co się stało, pogodzenia się z najgorszym, zaparcia własnej ojczyzny. Judasze, Judasze, Judasze! – myślałem o sobie i o nas tutaj zebranych."
Tak, ten fragment nie mógł być publikowany w czasach komunistycznej cenzury w Polsce…
Następny etap tej historii to wkroczenie wojsk niemieckich i życie pod ich okupacją.
„ Pierwsza wiadomość trzy dni po wkroczeniu do mego miasta pięknych Tyrolczyków była druzgocąca. Na Wzgórza Wuleckie zabrano, wyciągnięto z łóżek i brutalnie, po chamsku traktując, załadowano do samochodowych bud ponad czterdzieści osób- najwybitniejszych uczonych, i ich familie, następnie poustawiano ich po kolei nad Debrą i wystrzelano…"

Pan Adam wiele lat po wojnie ogląda Lwów i wspomina. Kończy zaś tak:
„Każda rzecz tam jest trochę inna dla nas po latach, nawet to, cośmy najlepiej znali, gdy patrzymy szeroko rozwartymi oczyma. Gdy jednak je przymkniemy miasto przestaje mieć jakiekolwiek tajemnice i inności, ono jest w nas, a my jesteśmy w nim bez reszty i wtedy żyją wszyscy ci, których już dawno wśród nas nie ma."

Adam Hollanek daje nam też radę:
„Dziś trzeba wyrzucić z siebie bolesność tamtych przeżyć, ich gorycz, która dzieli i jątrzy. Tak, należy ją zmaterializować i nazwać. To dobra droga do pojednania, do próby życia po nowemu"

Napisał te słowa w latach osiemdziesiątych poprzedniego wieku. Tyle czasu minęło, a wciąż mamy białe plamy w historii, o których nasi rządzący nie chcą mówić. Nie dociera do nich, że drogą do pojednania może być tylko prawda, a nie kłamliwe przemilczenia.

W każdym narodzie jest jakaś cząstka bandytów i zwyrodnialców. Nie można jednak tak określać całego narodu. Na przykład nie można potępiać wszystkich Niemców, za to, że ich rodacy wymordowali miliony ludzi, ale też nie wolno zapominać w imię fałszywie pojętej poprawności politycznej, że zrobili to Niemcy. Podobnie nie możemy pałać nienawiścią to wszystkich Ukraińców za rzezie Polaków na Wołyniu, ale jednak musimy o tym wiedzieć, pamiętać i czcić pamięć poległych niewinnych ludzi.

„…Bolesność tych przeżyć, ich gorycz, która dzieli i jątrzy należy nazwać i zmaterializować"
- to dobra rada i pomyślmy o niej przed 11 lipca, przed Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Wołyniu dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów.

Ja znam historie kresowe z opowieści moich przodków- z Równego, z Ostroga, z Nowomalina, ze Sławuty i z Janowej Doliny. Spisuję też historie ludzi, którzy zdecydują się na opowiedzenie mi ich i podzielenie się pamiątkami. Rozsiewam iskierki wiedzy o Kresach i mam nadzieję, że dociera to do wielu ludzi. Czas najwyższy, żeby i w szkole, na lekcjach historii mówiono dzieciom jasno i wyraźnie o naszej najnowszej historii, a nie propagowano tzw. politykę świadomości historycznej, która traktuje historię wybiórczo.

Życie artystyczne Lwowa w latach międzywojennych.

Dla „Barw Kresów" KSI Aleksander Szumański

Lwów fredrowski, dziewiętnastowieczny, nie był miastem wielkim. „Mimo prześlicznego [...] położenia u stóp Wysokiego Zamku - pisał najwybitniejszy fredrolog lat międzywojennych Eugeniusz Kucharski - wnętrze miasta nie odznaczało się pięknością".

Zabrukowane było tylko centrum-przyległe doń Chorążczyzna i dolny Łyczaków miały już charakter przedmiejski, zabudowane nieregularnie drewnianymi domkami, tonące wieczorami w ciemnościach. „Rząd austriacki z zasady nic nie budował. Przerabiał tylko [...] na swój użytek budowle publiczne, oddziedziczone po Rzeczypospolitej, zacierając grubym stylem koszarowym dawne ich cechy architektoniczne [...]

Swój wygląd europejski i cały współczesny rozmach wielkomiejski zawdzięcza miasto dopiero późniejszej „polskiej gospodarce" z doby autonomicznej. Rozkwit Lwowa i apogeum jego kultury to ostatnie dekady wieku XIX i początku XX stulecia. Jako administracyjna stolica Galicji miasto rozrastało się w oszałamiającym tempie i choć nie było w tej ekspansji jakiejś zdrowej myśli architektonicznej, upodobniało się do Wiednia w swej eklektycznej i secesyjnej zabudowie mieszkalnej i w nowych imponujących budowlach oficjalnych gmachów namiestnictwa, sejmu galicyjskiego, politechniki, klinik i audytoriów uniwersyteckiego wydziału lekarskiego, nowego teatru wzorowanego na operze paryskiej, szeregu domów prywatnych, rezydencji magnackich o renesansowej i klasycystycznej dekoracji, budynków użytkowych, szkół i kościołów w stylu neoromańskim i gotyckim.

W początkach kwietnia 1892 r. zwiedzał Lwów po raz pierwszy Stefan Żeromski. Miasto olśniło go od pierwszego wejrzenia. Miał jeszcze w pamięci Monachium, Pragę i Wiedeń i odkrywał ze zdumieniem europejskość tego miasta, której nie miała Warszawa, a nawet Kraków. „Kolosalne ulice - pisał w liście do narzeczonej - wspaniałe gmachy", imponujący rozmach „w porównaniu z dziwnie ciasnym i małomiasteczkowym Krakowem, nie mogącym wyleźć ze swego rynku", gdy „Lwów z niego wykipiał falą olbrzymią, rzucającą się naokół jak wspaniała piana".

Na tym przełomie wieków Lwów przeżywał istotnie swe najwyższe wzniesienie, urastał do rangi drugiej obok Krakowa stolicy kulturalnej wszystkich ziem polskich. Wspaniały uniwersytet, na którym wykładali profesorowie tak znakomici i głośni jak Władysław Abraham i Oswald Balzer, Szymon Askenazy i Stanisław Zakrzewski, Edward Porębowicz i Kazimierz Twardowski, Marian Smoluchowski i Ludwik Rydygier; Wielki Teatr Tadeusza Pawlikowskiego, w którym w wielkim repertuarze klasycznym i modernistycznym grali artyści najwięksi w dziejach sceny polskiej - Konstancja Bednarzewska, Jadwiga Mrozowska, Natalia Siennicka, Irena Solska i ich męscy partnerzy: Karol Adwentowicz, Kazimierz Kamiński, Władysław Roman, Ludwik Solski, Michał Tarasiewicz; wspaniałe biblioteki Ossolineum, Uniwersytecka, Baworowskich, Dzieduszyckich i Pawlikowskich; towarzystwa naukowe - Filozoficzne, Historyczne, Literackie im. A. Mickiewicza i Przyrodnicze Kopernika; wielkie księgarnie i wydawnictwa Altenbergów, Gubrynowicza i Połonieckiego.

I Wojna Światowa i jej następstwa naturalną koleją rzeczy zmieniły dość istotnie krajobraz miasta degradując niejako dotychczasową stolicę kraju koronnego do rzędu jednego z wielu miast wojewódzkich. Wiele instytucji i osób przemieszczało się z pośpiechem w stronę Warszawy, która swój stołeczny blask w pokaźnym stopniu zawdzięczała owym rzeszom prowincjałów, ciągnącym w stronę „ziemi obiecanej". Warszawa jako centrum życia politycznego i kulturalnego stwarzała takie warunki dla jednostek twórczych, jakich nie mogły ofiarować nikomu miasta tak przodujące do niedawna jak Lwów czy Kraków. Jednocześnie zaś Galicja, dysponująca z racji swej politycznej i kulturowej autonomii doświadczonymi kadrami we wszystkich dziedzinach administracji państwowej, nauki, oświaty i sądownictwa zasilała ofiarnie uboższe pod tym względem dzielnice dawnych zaborów pruskiego i rosyjskiego. Uniwersytety w Warszawie, w Poznaniu, w Wilnie i Lublinie dźwigały się z upadku lub powstawały po raz pierwszy dzięki profesorom z obu miast galicyjskich -przenosili się do stolicy i na zachód odrodzonego państwa pisarze i artyści, galicyjska prowincja ubożała i wyjaławiała się kulturalnie tracąc wiele ze swego niedawnego stanu posiadania. Te nieuniknione procesy nie ominęły również Lwowa. Ostap Ortwin, najwybitniejszy krytyk literacki we Lwowie z okresu świetności kulturalnej miasta, któremu pozostał do końca wierny, pisał wspominając z nostalgią ów znakomity przełom wieków, że „we Lwowie, gdzie tak niedawno jeszcze życie umysłowe biło przyśpieszonym tętnem europejskiej metropolii, coraz karleje wszystko do skali prowincjonalnej".

Lwów bronił się jednak przed tą niezawinioną degradacją, starał się zachować w nowych warunkach swą dotychczasową pozycję na miarę dostępnych możliwości. Był trzecim po Warszawie i Łodzi największym pod względem mieszkańców miastem polskim, poważnym centrum naukowym, siedzibą Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, Politechniki, Akademii Handlu Zagranicznego, Akademii Medycyny Weterynaryjnej, miał wspaniałe muzea, biblioteki, teatry, dziesięć gazet codziennych i wiele wydawnictw periodycznych. Nie miał wyższej uczelni artystycznej, ale w Szkole Przemysłowej istniał wydział rzemiosła artystycznego i sztuki stosowanej oraz instytut sztuk plastycznych, w którym wykładali m.in. Kazimierz Sichulski, Marian Wnuk, Józef Starzyński i Antoni Michalak. Założone jeszcze w XIX w. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, podupadłe w czasie wojny i w pierwszym okresie powojennym, w latach trzydziestych pod prezesurą Edmunda Bulandy, rektora Uniwersytetu i profesora archeologii klasycznej, przeżywało prawdziwy rozkwit uchodząc na tle skostniałej już warszawskiej „Zachęty" i również przeżywającej kryzys organizacji krakowskiej za najlepiej w Polsce prowadzone towarzystwo wystawowe.

Nie zdołało co prawda doczekać się w dwudziestoleciu budowy własnego gmachu, ale dysponowało szeregiem sal w Muzeum Przemysłu Artystycznego, w Pałacu Sztuki wzniesionym na terenach lwowskich Targów Wschodnich z okazji Wystawy Krajowej Jeszcze w 1894 roku, w pomieszczeniach teatrów lwowskich, w przystosowanym do celów ekspozycji artystycznych Pałacu Biesiadeckich czy w salach Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego regularnie odbywały się Salony Wiosenne i Jesienne, na których wystawiano nie tylko dzieła artystów lwowskich, ale wszystkich grup działających w Polsce, szeroko pojętej awangardy, ekspresjonistów „Buntu", formistów i konstruktywistów, organizowano retrospektywne wystawy Wyspiańskiego i Stanisławskiego oraz jubileusze Pankiewicza, Fałata, Malczewskiego, Ślendzińskiego, Wittiga. Instytucjonalnym zapleczem wszystkich tego rodzaju inicjatyw artystycznych były działające we Lwowie związki twórcze, zwłaszcza Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków

/ Tadeusz Mańkowski, badacz sztuki lwowskiej, ormiańskiej i orientalnej,

(ZZPAP) i Koło Pań lwowskiego ZZPAP jako członkiń wspierających i propagujących sztukę poprzez działalność odczytową w formie tzw. „Dyskusji Czwartkowych". W roku 1934 grono profesorów Uniwersytetu z Chwistkiem, Ingardenem i Ajdukiewiczem na czele powołało Ognisko Kulturalno-Społeczne, którego celem miało być „koordynowanie pracy i bezpośrednich kontaktów inteligencji lwowskiej, zarówno twórczej jak i konsumującej dobra duchowe".

W malarstwie lwowskim ujawniały się niemal wszystkie prądy nurtujące współczesną sztukę europejską. Najwybitniejszym i najbardziej ożywczym zespołem artystycznym była utworzona w roku 1929 grupa „Artes", do której należeli Otto Hann, Jerzy Janisch, Aleksander Krzywobłocki, Ludwik Lilie, Roman Sielski i Margit Reich-Sielska, Aleksander Riemer, Henryk Streng (Marek Włodarski) i Tadeusz Wojciechowski. Grupa artystyczna niejednolita, co dobrze świadczyło o jej żywotności i samodzielności w stosunku do warszawskich kapistów i suprematystów, wnosiła żywy ferment w życie artystyczne miasta. Uprawiała na ogół sztukę bezprzedmiotową, często formalną, opierającą się na stosowaniu kontrastowych kompozycji Unii prostych i krzywych, barw jasnych i ciemnych, faktury gładkiej i szorstkiej, kształtów geometrycznych i form opływowych. Malarstwo członków grupy ewoluowało zresztą w różnych kierunkach: kubizmu, futuryzmu, nadrealizmu, koloryzmu, faktomontażu i malarstwa zaangażowanego społecznie o wyraźnych sympatiach lewicowych. Rzeźbę lwowską w formach o mocnym wyrazie realistycznym reprezentowali Józef Starzyński, Janina Reichertówna i Marian Wnuk, wychowanek Akademii Warszawskiej, profesor rzeźby w lwowskiej Szkole Przemysłu Artystycznego; grafikę Ludwik Tyrowicz, Maria Obrębska, Maria Rużycka, Aniela Wzorek-Rafałowska, Władysław Leliwa-Żurawski; rzemiosło artystyczne wybitny introligator Aleksander Semkowicz i kilimiarska pracownia Petzoldówny.

Nie mając wyższej uczelni artystycznej Lwów inspirował jednak sztukę i pobudzał jej kulturotwórczą funkcję i znaczenie poprzez działalność naukową i wychowawczą swoich uniwersyteckich profesorów historii sztuki, mecenasów i kolekcjonerów. Rola wyjątkowa przypadła zwłaszcza profesorowi logiki na wydziale matematyczno-przyrodniczym Leonowi Chwistkowi, który był nie tylko filozofem, lecz i teoretykiem sztuki, nowatorem, twórcą formizmu, artystą malarzem i znakomitym publicystą, obecnym we wszystkich dyskusjach dotyczących najszerzej pojętej kultury duchowej w powojennej Polsce. Obsada katedr historii sztuki na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza była znakomita; Jan Bołcz Antoniewicz, badacz sztuki polskiej dawnej i współczesnej, znawca szczególnie sztuki symbolicznej Boec-

klina, Hodlera, Malczewskiego; Władysław Kozicki, profesor historii sztuki nowożytnej, świetny pisarz i krytyk; Władysław Podlacha, historyk sztuki średniowiecznej i autor prac z zakresu metodologii badań nad sztuką; Mieczysław Gębarowicz, wybitny badacz sztuki średniowiecznej, renesansowej i barokowej z okresu sarmatyzmu polskiego, zwłaszcza na ziemiach południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej; Karolina Lanckorońska, docent UJK, interesująca się głównie sztuką włoską i flamandzką. Rolę znaczącą w życiu artystycznym miasta odgrywali zasłużeni kolekcjonerzy i badacze sztuki i kultury Lwowa: Tadeusz Mańkowski, badacz sztuki lwowskiej, ormiańskiej i orientalnej, Mieczysław Treter, kustosz Muzeum Lubomirskich, Leon Piwiński, profesor prawa, ale zarazem kolekcjoner dzieł sztuki i jej badacz amator.

W roku 1920 powstała Rada Sztuki dla Małopolski Wschodniej, powołana dla opieki nad zabytkami architektury na całym obszarze ziem południowo-wschodnich. Muzea lwowskie Lubomirskich, Jana III Sobieskiego, Historyczne m. Lwowa, Dzieduszyckich, Galeria Narodowa włączały w akcję wychowawczą otwierając bezpłatnie swe sale dla wszystkich zwiedzających w każdą niedzielę. W latach trzydziestych, gdy Lwów zaczął dźwigać powoli z następstw wielkiego kryzysu światowego, zarząd miasta przystąpił do realizacji wielkiego planu odsłaniania najcenniejszych zabytków architektury miejskiej. Zdumionym oczom lwowian ukazało się piękno starych murów obronnych i starych kamienic, ukryte dotychczas pod szablonowymi tynkami i barbarzyńskimi przeróbkami. Akcja objęła Stare Miasto i przyległe ulice stając się wydarzeniem, które zelektryzowało opinię całego kraju.

Doniosłą rolę w życiu artystycznym miasta odgrywał teatr. Lwów miał w tej dziedzinie wspaniałe tradycje sięgające jeszcze czasów Bogusławskiego.

Teatr przeżywał apogeum swego rozkwitu w początkach nowego wieku za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego, kiedy to stał się pierwszą sceną na ziemiach polskich. Lata późniejsze, za dyrekcji Hellera i pierwsze dziesięciolecie powojenne dalekie już były niedawnej świetności; zmieniali się dyrektor przeważał repertuar charakterystyczny dla wszystkich przeciętnych teatrów polskich, w którym sztuki klasyczne i retrospektywne przeplatały się z komedią i farsą. Zdarzały się jednakże sezony bardziej ambitne, jak za Teofila Trzcińskiego, świetnego aktora, piosenkarza i reżysera, współtwórcy słynnego Zielonego Balonika i byłego dyrektora Teatru Słowackiego w Krakowie, za którego dyrekcji trwale zapisały się w kronikach teatru lwowskiego znakomite spektakle „Księcia Niezłomnego”, „Odprawy posłów greckich”, „Wyzwolenia” oraz głośne występy gościnne Osterwy, Siemaszkowej i wybitnego aktora niemieckiego Aleksandra Moissiego w „Hamlecie” i „Upiorach”.

Pomimo to dopiero na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych teatr lwowski wkroczył w nowy okres swojej świetności za sprawą współpracy dwóch najwybitniejszych twórców teatru polskiego w Polsce Niepodległej, Leona Schillera i Wilama Horzycy. Nie były to czasy dla teatru łatwe, początek lat trzydziestych był okresem wielkiego kryzysu światowego i wzrastających w związku z tym wielkich napięć społecznych. Schiller był w swoich koncepcjach teatralnych i w swoich sympatiach ideowych osobistością wybitną, ale kontrowersyjną, łączył w swych upodobaniach mistycyzujący romantyzm, wizje teatru ogromnego na miarę Mickiewicza i Słowackiego w ich okresach mistycznych, z ostrym radykalizmem społecznym, co sytuowało go niekiedy wśród artystów „lewego frontu”. Opinia teatralna Lwowa była podzielona, Schiller miał entuzjastów, ale i zaprzysięgłych przeciwników, uważających go za „Jaśnie Pana Bolszewika teatralnego”. Niemniej upór Horzycy, który jako piłsudczyk miał silną i bezpieczną pozycję w sferach rządowych, zagwarantował Schillerowi współudział w kreowaniu teatru lwowskiego w latach 1931-1936 na zasadzie niemal stałej pracy gościnnej. Tych sześć sezonów, które obaj stworzyli, można było śmiało porównać z sześcioleciem Pawlikowskiego z początków wieku. Obok Schillera zapraszał Horzyca do współpracy najwybitniejszych reżyserów młodszego pokolenia: Wiercińskiego, Radulskiego i Cwojdzińskiego, oprawę dekoracyjną przedstawień oddał w ręce dwóch już wówczas wybijających się młodych scenografów Andrzeja Pronaszki i Władysława Daszewskiego, stronę muzyczną przejął specjalnie sprowadzony do Lwowa Roman Palester.

Program swojej dyrekcji zakreślił Horzyca prawdziwie imponująco, na miarę „teatru ogromnego”: „Dziady” Mickiewicza, „Kordian”, „Sen srebrny Salomei”, „Samuel Zborowski” Słowackiego, „Nieboska komedia” Krasińskiego, „Kleopatra” Norwida, „Wyzwolenie” i „Powrót Odysa” Wyspiańskiego, „Marchołt” Kasprowicza, „Bachant-ki” Eurypidesa, „Życie snem” Calderona, „Sen nocy letniej” Szekspira. Szczytem działalności Horzycy i Schillera w całej ich teatralnej twórczości lat międzywojennych stały się „Dziady”, o których jeszcze po latach pisał naoczny świadek tej inscenizacji, wybitny teatrolog i krytyk Tymon Terlecki: „Byłem na tym przedstawieniu, nigdy go nie zapomnę i będę je pamiętał jeszcze

Należytość pocztową opłacono ryczałtem

CENA EGZ. 80 GROSZY

Lwowskie Wiadomości muzyczne i literackie

Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Kopernika 8. — Tel.: 50-28. Konto czekowe Nr. 153.160. Godziny redakcyjne: od 2—4 popołudniu

Prenumerata: Z przesyłką pocztową Zł. 9·60 rocznie. Pismo wychodzi na początku każdego miesiąca.

Nr. 9 (58). Lwów, dnia 18. września 1930. Rok V.

DR. JÓZEF REISS

Z MONOGRAFJI O HENRYKU WIENIAWSKIM

(DWA FRAGMENTY)

/ „Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie”. Miesięcznik przynosił stałe sprawozdania nie tylko z życia koncertowego i sztuki operowej w mieście, ale i w całej Polsce, a nawet za granicą,

na Sądzie Ostatecznym”. Oczywiście teatr lwowski musiał też pamiętać o potrzebach tzw. publiczności szerokiej i popularnej, toteż słynny „bigos” Horzycy zawierał też ingrediencje lżejsze w rodzaju „Trafika pani generałowej” Bus-Feketego, „Michasia i jej matka” Flersa i Chaillayeta, „Studentka” Vicki Baum, wodewili i komedii muzycznych jak „Królowa przedmieścia” Krumłowskiego, „Moja siostra i ja” Benatzky’ego, nowoczesnych reportaży i faktomotaży „Krzyczcie Chiny” Tretiakowa czy „Fraulein Doktor” Tępy z rolą tytułową odkrytej przez Horzycę Ireny Eichlerówny. Sztuki tego rodzaju grane oczywiście były na scenach kameralnych, w Teatrze Małym i w Teatrze Nowości. Scena Teatru Wielkiego była zarezerwowana dla dzieł repertuaru wysokiego i dla opery.

Życie muzyczne Lwowa koncentrowało się wokół założonego jeszcze w roku 1858 Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego, przemianowanego po odzyskaniu niepodległości na Polskie Towarzystwo Muzyczne, które w latach międzywojennych przeżywało okres świetności pod dyrekcją Mieczysława i Adama Sołtysów. Od roku 1902 Lwów posiadał też Filharmonię w olbrzymiej sali przy ul. Chorążczyzny, gdzie funkcjonowało w dniach niekoncertowych kino „Apollo” i gdzie wykładał przyciągając tłumy słuchaczy słynny profesor filozofii, a zarazem meloman i kompozytor Kazimierz Twardowski. Działały też Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego i Związek Muzyków we Lwowie. W roku 1913 powstał pierwszy w Polsce uniwersytecki Zakład Muzykologii, stworzony przez profesora Adolfa Chybińskiego, z którego szkoły wyszli najwybitniejsi muzykolodzy lat międzywojennych: Jan Józef Dunicz, ks.Hieronim Feicht, Stefania Łobaczewska, Zofia Lissa, Józef Chomiński.

Lwów zdobył się nawet na własny miesięcznik poświęcony popularyzacji muzyki, wychodzące w latach 1926 do 1934 „Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie”. Miesięcznik przynosił stałe sprawozdania nie tylko z życia koncertowego i sztuki operowej w mieście, ale i w całej Polsce, a nawet za granicą, jak dokładne, rzeczowe informacje o słynnych festiwalach w Salzburgu. Prowadził też systematyczną edukację w zakresie kultury muzycznej, zwłaszcza muzyki najnowszej, sprawiającej najwięcej trudności melomanom, prezentując wybitne teksty krytyczne twórców dodekafonii współczesnej i wprowadzając czytelników w arkana nowoczesnej melodyki i harmonii w artykułach Adolfa Chybińskiego, Józefa Reissa, Erwina Steina i Seweryna Barbaga. Na koncertach lwowskiego Towarzystwa Muzycznego występowali artyści tej miary co Karol Szymanowski, Artur Rubinstein, Egon Petri, Stefan Askenase, Claudio Arrau, Mikołaj Orłów, Aleksander Michałowski, Wacław Kochański, Adam Didur i Ada Sari. Zdobywano się na takie wydarzenia muzyczne jak prezentacja „Potępienia Fausta” Berlioza, jednego z najwybitniejszych arcydzieł w zakresie literatury instrumentalno - wokalnej. Na scenie operowej publiczność

lwowska mogła zobaczyć m.in. „Straszny dwór" Moniuszki, „Don Pasquale" Donizettiego, „Lohengrina" Wagnera, „Fausta" Gounoda.

Pejzaż literacki Lwowa przechodził jak wszystko zmienne koleje losu. Wojna wymiotła i rozproszyła po świecie wielu najwybitniejszych, których obecność przed rokiem 1914 sprawiała, że Lwów obok Krakowa był drugą stolicą Młodej Polski. Tu wyrośli na pierwszych poetów tamtego czasu Jan Kasprowicz i Leopold Staff, bracia Stanisław i Wincenty Korab Brzozowscy, Maryla Wolska i Bronisława Ostrowska, tu mieszkali i tworzyli w różnych okresach Gabriela Zapolska, Jerzy Żuławski, Zdzisław Dębicki i Kornel Makuszyński, tu drukował swe dzieła Stanisław Brzozowski i tu działali najwybitniejsi krytycy epoki Ostap Ortwin i Karol Irzykowski.

Wojna i pierwsza lata powojenne zmieniły zupełnie ten krajobraz. Niektórych wydarzenia wojenne wymiotły daleko poza rodzinne strony i nie powrócili już nigdy do Lwowa, jak Staff, Makuszyński, Irzykowski, Kasprowicz, jeszcze profesor i rektor, jednak coraz częściej i dłużej przebywał pod Tatrami, aż osiadł już na stale w swojej Harendzie pod Poroninem. Wierny miastu aż do tragicznego końca w czasie

II Wojny Światowej pozostał Ortwin, żywy łącznik między dawnymi a nowymi laty. Przenosili się w dzielnice zachodnie lub centralne pisarze młodsi od tamtych - Jan Parandowski, Stanisław Wasylewski, Edwin Jędrkiewicz.

Część jednak pozostała - Maryla Wolska, w której willi „Zaświecie" za lat przedwojennych gromadziła się cała młodzież literackiego Lwowa ze Staffem na czele, wydała swój bodaj najświetniejszy tom poezji „Dzbanek malin" (1929), Stefan Grabiński, jeden z najoryginalniejszych prozaików polskich, jedyny przedstawiciel gatunku fantastyki niesamowitej w duchu Edgara Allana Poe, którego „Demon ruchu" stał się swoistą rewelacją literacką lat dwudziestych. Edward Porębowicz, genialny tłumacz arcydzieł literatury światowej, pozostał nadal trwałym elementem kultury Lwowa. Stanisław Maykowski, poeta co prawda niewiele publikujący, lecz osobistość malownicza, bez której obraz Lwowa literackiego byłby uboższy. Przedwcześnie zmarły poeta Jan Zahradnik; Henryk Zbierzchowski, najbardziej reprezentatywny przedstawiciel cyganerii młodopolskiej, poeta, prozaik i dramatopisarz; Mieczysław Opałek, pamiętnikarz, bibliofil, badacz przeszłości kulturalnej Lwowa i Artur Schroeder, krytyk i poeta, organizator życia artystycznego i kierownik literacki teatrów lwowskich. Michał Pawlikowski, syn profesora Szkoły Rolniczej w Dublanach Jana Gwalberta, a jednocześnie badacza mistyki Słowackiego, twórca „Biblioteki Medyckiej", w której publikował literaturę wyjątkowo artystycznie utalentowanej rodziny Pawlikowskich. Lwów odegrał też istotną rolę w dziejach ekspresjonizmu polskiego dzięki poetyckiej i teoretycznej twórczości Jana Stura i Józefa Wittlina. Awangardowym poszukiwaniom artystycznym patronował przybyły do Lwowa w połowie lat dwudziestych jako profesor logiki matematycznej twórca formizmu Leon Chwistek.

Jednocześnie dochodziło do głosu pokolenia postmodernistyczne, wpisujące się trwale w międzywojenne dzieje literatury polskiej poetyki: Anna Ludwika Czerny, autorka kilku tomików wierszy oryginalnych i szeregu znakomitych przekładów z poezji francuskiej i hiszpańskiej; Jadwiga Gamska-Łempicka, Beata Obertyńska, córka Maryli Wolskiej, aktorka, poetka i prozatorka. związana z medyckim kręgiem Pawlikowskich. Noweliści i powieście pisarze: Józef Bieniasz. małżeństwo Anna i Jerzy Kowalscy, związani z lwowską filią Zespołu Literackiego

Nr. 267. We Lwowie — Niędziela, dnia 14. Listopada. Rok 1897

SŁOWO POLSKIE

Wydawca: Stanisław Szczepanowski

Prosimy o rychłe odnowienie prenumeraty celem uniknienia przerwy w dalszej przesyłce dziennika.

Warunki prenumeraty wyżej.

Przewaga Węgier.

Listy wiedeńskie.

(Telegramy „Słowa Polskiego").

/ Słowo Polskie – polska gazeta, wydawana od 1895 do sierpnia 1946 we Lwowie. Źródło- https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Slowo_Polskie_14-XI-1897.jpg

„Przedmieście", Halina Górska, powieściopisarka, a jednocześnie bardzo aktywna działaczka społeczna, organizatorka akcji charytatywnych wśród proletariackiej młodzieży lwowskiej w stworzonym przez nią „Związku Błękitnych"; młody wówczas Teodor Parnicki, startujący ku swej przyszłej świetnej karierze odnowiciela gatunku polskiej powieści historycznej; dramatopisarze: Kazimierz Brończyk, autor popularnych widowisk teatralnych i Jerzy Tępa, wprowadzający nowy wówczas gatunek reportażu i faktomontażu dramatycznego. Wreszcie w połowie lat trzydziestych wystąpiła generacja najmłodsza dobrze się zapowiadających debiutantów: Włodzimierz Lewik, Stanisław Rogowski, Maciej Freudman, Jan Mazur, Tadeusz Hollender, Jerzy Hordyński. Cały ten międzywojenny Lwów literacki nie mógł się zapewne równać z tym wcześniejszym, z przełomu wieków, ale w niejednym przypadku literatura ta reprezentowała poziom pisarstwa dojrzałego, które zaznaczało się wyraźnie w ruchu awangardowym, w dążeniach do uspołecznienia literatury; niektórzy z ówczesnych debiutantów zdobyli znaczącą pozycję już po II Wojnie Światowej.

Gdy w literaturze pięknej dawało się wyraźnie dostrzec pewne obniżenie poziomu w stosunku do „pięknej epoki" małopolskiej, o tyle lwowska nauka o literaturze zachowała swą wyróżniającą się pozycję. Lwów już przed wojną przodował w tej dziedzinie usuwając w cień Kraków, tu właśnie rozpoczęła się już na przełomie wieków wielka dyskusja teoretyczna i metodologiczna, która stała się swoistą rewolucją w myśleniu o sztuce i o metodach jej badania. Ze Lwowa wyszła większość czołowych teoretyków literatury i tę przodującą pozycję dwudziestolecie zachowało. Na katedrach filologicznych i filozoficznych wykładali uczeni tworzący nowe, własne koncepcje, niekiedy o rozgłosie światowym, które zadecydowały o nowoczesności neofilozofii i estetyki polskiej: Roman Ingarden, Juliusz Kleiner, Eugeniusz Kucharski, Leon Chwistek, Stefania Skwarczyńska. Z kręgu lwowskiego wywodzili się Manfred Kridl i Zygmunt Łempicki.

Naturalnym miejscem dyskusji na temat kultury artystycznej miasta, jej miejsca w życiu, jej osiągnięć i potrzeb była oczywiście prasa i czasopiśmiennictwo lwowskie. Czołowe dzienniki: „Słowo Polskie", „Kurier Lwowski", „Wiek Nowy", „Gazeta Poranna i Wieczorna", „Chwila" prowadziły bądź tygodniowe dodatki literackie, bądź oddawały na użytek literatury pięknej swoje szpalty felietonowe. Wiele miejsca użyczały zagadnieniom kultury tygodniki: „Reduta". „Tydzień Polski", „Nowe Czasy" i miesięcznik „Kultura Lwowska". Sprawom teatru poświęcone były wychodzące pod redakcją Artura Schoedera „Życie Teatralne", a w latach trzydziestych „Scena Lwowska" pod redakcją Horzycy. Bardzo szeroki ogląd całego życia artystycznego, bo nie tylko muzyki i literatury, ale również plastyki i teatru, przynosiły „Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie", a także najdłużej wychodzące pod redakcją Karola Kury-luka „Sygnały", w których o sztuce pisywali m.in. Marek Włodarski, Stanisław Teisseyre, Tytus Czyżewski. Marian Wnuk, Andrzej Pronaszko. Znaczącą rolę w życiu kulturalnym Lwowa odgrywały też oficyny wydawnicze, wielkie księgarnie nakładowe, uwzględniające w swoich programach edytorskich również sztukę i literaturę - Altenbergów, Połonieckiego, Gubrynowicza, Ossolineum, Książnicy -Atlas i Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych.

Życie artystyczne miasta przejawiało się rzecz jasna nie tylko w teatrach, salonach wystawowych, w salonach koncertowych, w wydawnictwach i na łamach czasopism, ale również w kawiarniach, cukierniach, restauracjach i knajpach. Były to najbardziej swobodne przestrzenie dla prezentowania osób znaczących w jakiejkolwiek dziedzinie działalności twórczej, dla wymiany poglądów i gorących dyskusji. W latach międzywojennych trwały jeszcze w klimacie miasta tradycję cyganerii młodopolskiej, słynne kawiarnie na rogu ulic Akademickiej i Fredry „Roma" i „Szkocka", restauracja Naftuły - Toepfera przy Trybunalskiej, winiarnia Stadtmullera w Rynku, ale powstały również nowe: Atlasa w Rynku, Kozioła przy Dominikańskiej, cukiernie Zalewskiego i Welza przy Akademickiej. Urzędowali w nich, obok weteranów z lat dawnych Ortwina i Zbierzchowskiego, młodzi i najmłodsi.

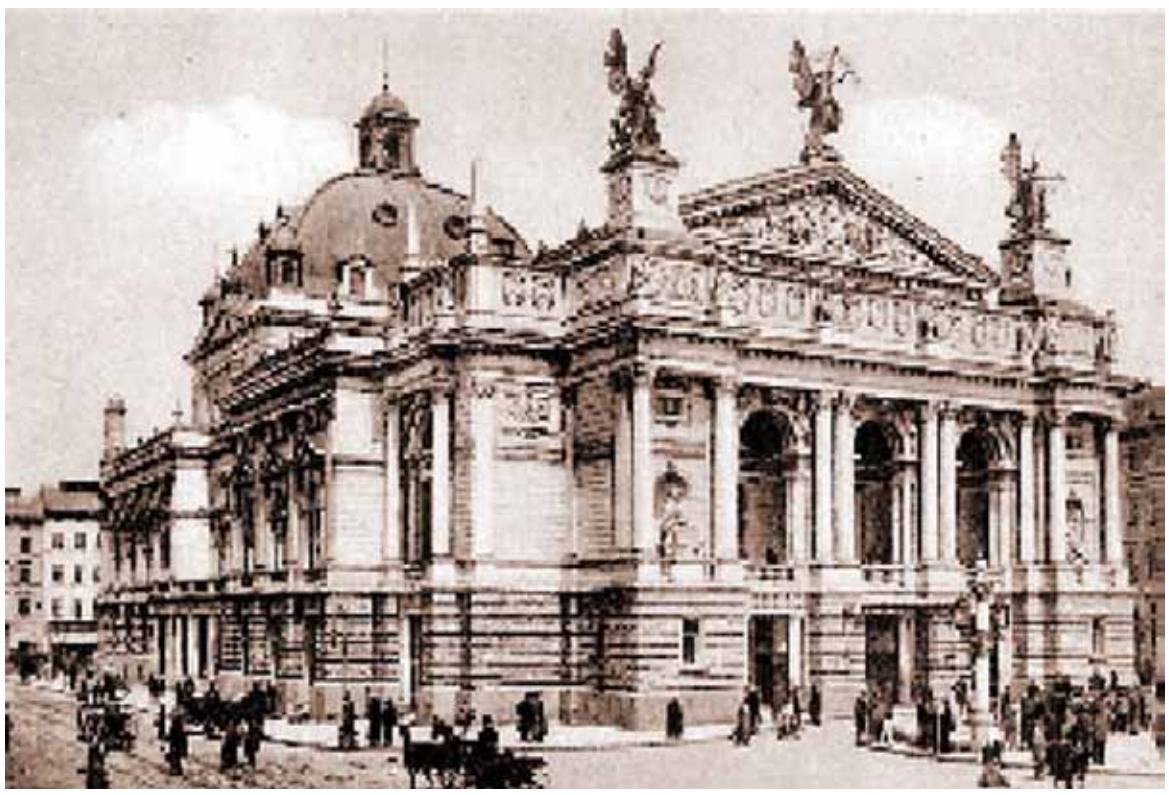

/ Lwów - Teatr Wielki - Opera Lwowska. - źródło Wikipedia.

Źródła:

Bożena Rafalska, Aleksander Szumański „Lwowskie Spotkania" luty 2001 r.

Marsz Pamięci w 75. rocznicę ludobójstwa (2018)

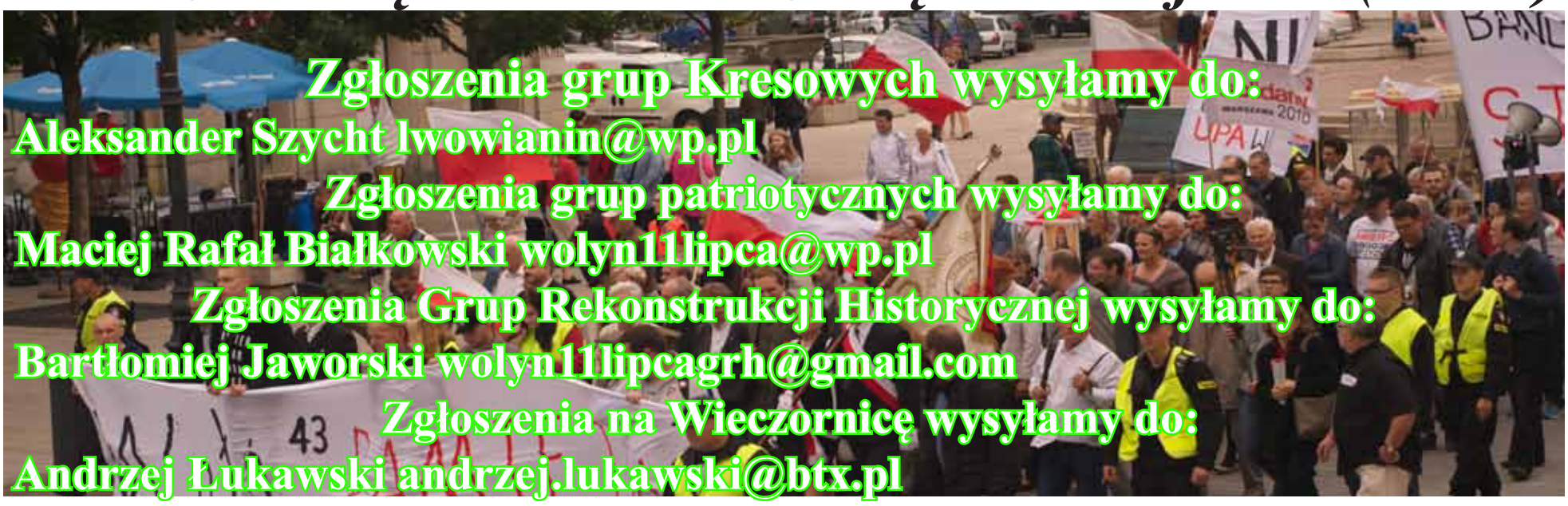

Nasze serwisy

www.27wdpak.btx.pl

www.kresy.info.pl

www.wolyn.org

POSZUKUJEMY WOLONTARIUSZY DO PROWADZENIA SERWISÓW.

WYMAGANIA.

ZNAJOMOŚĆ CMS JOOMLA
ZNAJOMOŚĆ OBRÓBKI GRAFIKI
ZNAJOMOŚĆ EDYTORA TEKSTOWEGO

My gazety tak mamy - uwielbiamy reklamy

Ten numer gazety powstał dzięki Agencji Reklamowej BARTEXPO

BARTEXPO

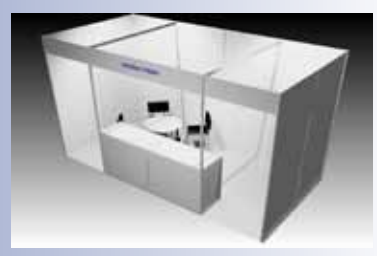

- targi, reklama, poligrafia
- komputery i sieci internetowe,
- hosting, konta internetowe
-domeny i skrzynki pocztowe
- nagłośnienie

02-670 Warszawa ul. Puławska 240/60
22 8534397 ; 501 153340

Partnerzy medialni

Zostań PARTNEREM MEDIALNYM
Nie może Ciebie tutaj zabraknąć

Redakcja - Kontakt:

Bogusław Szarwiło - Redaktor Naczelny
redakcjaksi@kresy.info.pl
607144741
Aleksander Szumański
aszumanski@kresy.info.pl
607 345 832; 664 773 118
Anna Małgorzata Budzińska
anna.malga@gmail.com 660 159 143
Eugeniusz Szewczuk
pilotgienek@wp.pl 607 565 427
Andrzej Łukawski - Wydawca info@kresy.info.pl 22-853 43 97; 501 153 340

Jesteś pasjonatem Kresów?
Koniecznie skontaktuj się z
Kresowym Serwisem Informacyjnym
redakcjaksi@kresy.info.pl

Wydawca: Bartexpo Agencja Reklamowa; 02-670 Warszawa ul. Puławska 240 / 60 tel. 22 853 43 97; 602 397 844 ISSN 2083-9448; wpis do EDG: UD-IV-WDG-A-5415-PLE-2644-2-10 NR 352888 ; Red. Nacz. Bogusław Szarwiło. Dział „BARWY KRESÓW- KULTURA - TRADYCJA„ Aleksander Szumański aszumanski@kresy.info.pl 607 345 832 ; 664 773 118, Redaktorzy: Andrzej Łukawski 501 153 340 , info@kresy.info.pl; Anna Małgorzata Budzińska anna.malga@gmail.com 660 159 143; Maciej Prażmo maciejp-rybidom@wp.pl 602 319 309